

J A K U B
ŻULCZYK
DAWNO TEMU W WARSZAWIE

KONTYNUACJA
**ŚLEPNAĆ
OD
ŚWIATEŁ**



Świat Książki

■ J A K U B
ŻULCZYK
DAWNO TEMU W WARSZAWIE


Świat Książki
wydawnictwo

Spis treści

Prolog

1. Pazina. Ostatnie z bezpiecznych miejsc

2. Jacek. Śpiew syreny

3. Pazina. Nieporozumienie

4. Jacek. *L'ordre règne à Varsovie*

5. Kurtka. Domestos haze

6. Jacek. Nowa Aleksandria

7. Pazina. Perła

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Wydawca: *Joanna Laprus-Mikulska*
Redaktor prowadzący: *Iwona Denkiewicz*
Redakcja: *Joanna Mika*
Korekta: *Ewa Grabowska, Marzenna Kłos*

Copyright © by Jakub Żulczyk, 2023
Syndykat Autorów – Agencja Literacka i Scenariuszowa
Copyright © for this edition by Dressler Dublin sp. z o.o., 2023

Wszelkie podobieństwo do opisanych osób i zdarzeń jest przypadkowe.

ISBN 978-83-828-9259-8
Warszawa 2023

Wydawnictwo Świat Książki
ul. Hankiewicza 2
02-103 Warszawa

Księgarnie internetowe: www.swiatksiazki.pl www.ksiazki.pl

Dystrybucja
Dressler Dublin Sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
tel. + 48 22 733 50 31/32
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

*Olenka, ta książka jest dla Ciebie.
Gdy piszę te słowa, jesteś młodą osobą,
tak samo jak dzieciaki z Azylu.
Tak samo jak im chciałbym Ci powiedzieć,
że wszystko będzie dobrze.
A przynajmniej odrobinę lepiej.
Naprawdę w to wierzę i bardzo Cię kocham.*

– (...) Wszyscy podlegamy prawu wzajemnego podejrzenia, jak prawu śmierci czy ciężenia. Na tym budujemy współzycie, systemy rządzenia. A nuż by się okazało, że to ten czy tamten wybił twemu psu oko. Co byś wtedy zrobił? Spralbyś go najwyżej po mordzie. Ale zadowolenia byś nie miał. Mógłbyś się nawet rozczarować. Że to niewspółmierne do twojej udręki. Mógłbyś się nawet potem mścić na tym swoim, jak mu tam?

– Kruczek.

– No, właśnie. Czy na żonie. Po co za pospolitość sprać kogoś po mordzie. Można się obrzydzenia do siebie samego nabawić.

WIESŁAW MYŚLIWSKI, *Widnokrąg*

PROLOG

POD WARSZAWĄ, LISTOPAD 2020

Stało się.

Świat się skończył.

Nadeszło Groźne i Inne.

Przestańcie się mazać, to dopiero początek. Nie zapinajcie pasów, to bez sensu, auto jedzie zbyt szybko. Ten czas będzie trwał dłużej, niż potraficie sobie wyobrazić; będzie trwał jeszcze długo po tym, jak umrą wasze dzieci. Mamy nowe dni, tygodnie, nowe lata. Potrzebujemy nowego kalendarza, nowych nazw miesięcy, nowych świąt.

Jesteśmy pod Warszawą, na płaskim terenie dookoła miasta, poprzecinanym rzekami i równymi kwadratami lasu o przeznaczeniu gospodarczym, na ziemi, która podczas wszystkich pór roku ma ten sam cmentarny kolor. Stoimy na łące, nieopodal Bugu. Na horyzoncie mającą silosy, magazyny, wielkie i kanciaste domy jednorodzinne. Niektóre wciąż niedokończone, martwe pomniki nieudanych interesów. Jakby zabrane tajemniczą siłą z zupełnie innego miejsca, zrzucone tutaj w ramach niezrozumiałego dowcipu. Wszystkie udają, że są puste. Nikogo nie słyszać i nas też nikt nie usłyszy. Jest jesień. Świat się skończył, ale jeszcze nie umarł. Ta śmierć potrwa długo, co najmniej całe wasze życie.

Łącznie jest nas sześciu. Dzielimy się na dwie grupy, klęczących i stojących. Stojących jest czterech. Ja, on i jeszcze dwóch, nazwijmy ich Wysoki i Szeroki. Nazywają się inaczej, ale to nieważne. Wysoki jest człowiekiem. Szerszy jest nim trochę mniej.

Pozostałych dwóch klęczy na ziemi. Za chwilę umrą.

Przywieźliśmy ich tutaj z różnych miast. Pierwszego wyjęliśmy z rodzinnego domu, zabraliśmy od dzieci i żony.

Drugi, z drugim był kłopot, komedia pomyłek, ale o tym później. Na razie to bez znaczenia.

Wszyscy kochacie Warszawę i jej legendy. Sądy podziemne, Kierownictwo Walki Cywilnej. To, co zrobiliśmy, to prawie to samo. Zaraz, nie oburzajcie się tak. Przecież znacie te baśnie z książek. Kochacie je, bo czynią was częścią czegoś większego. Owszem – wtedy trwała wojna, żołnierze walczyli o honor, Warszawę, Polskę, a my jesteśmy zwykłymi bandytami. Mordercami, gorszymi niż Pruszków i Wołomin. Jesteśmy zmorą tego kraju, jego cichymi okupantami.

Upaśliśmy się na jego krwi jak kleszcze.

Ale posłuchajcie – tak naprawdę każda sytuacja, w której ktoś klęczy na ziemi, a ktoś inny trzyma mu pistolet przy głowie, jest taka sama. Dobro i zło to dekoracja. Program operacyjny.

Ojczyzna, pieniądze, honor, zysk, triumf są ważne dla tego, kto patrzy, i dla tego, kto trzyma pistolet. Ale nie mają już żadnego znaczenia dla tego, który klęczy na ziemi.

– Błagam was, darujcie, ludzie, darujcie. – Widzę, jak w powietrzu dookoła jego ust znikają kropelki śliny.

Ten pierwszy to zwykły mężczyzna. Najzwyklejszy Polak w Polsce. Ma idealnie obojętną fryzurę, trochę przeredzoną na czubku głowy. Jest między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia. Nosi tanie ubrania i sportowe buty. Przestał o siebie dbać, bo teraz musi dbać o innych. Pozbył się większości marzeń, słusznie, one bardzo przeszkadzają. Jest pragmatyczny, nawet silny, chociaż nie tak silny jak jego ojciec i dziadek.

Ten drugi nie mówi nic. Jest umięśniony, zrobiony z żył i zmarszczek. Twarz, pozbawioną wyrazu, zalewa krew. Ta krew ścieka na dresową bluzę. Mężczyzna ma złamany nos, wybite przednie zęby. Strasznie wrzeszczał, ale teraz jest cicho.

Spokojnie, to tylko otchłań. Tam nikogo nie ma. Jest cicho i bezpiecznie.

To łatwe, złapać kogoś, popchnąć w stronę samochodu, zawieźć na śmierć. To łatwe, ale i potężne. Ludzie nie rozumieją, dlaczego zabić kogoś to tak poważna sprawa. Nie umieją wyobrazić sobie, jak to jest – zgasić cały pojedynczy kosmos. A jednak robią to cały czas. Zabijają się codziennie. Powoli i szybko. Okrutnie i łagodnie. Dla zysku i dla zabawy.

Za parę minut będziemy iść przez łąkę, jakiś kilometr, aż dojdziemy do nieutwardzonej drogi. Na drodze czekają pojazdy: dwa czarne range rovery oraz brudny biały mercedes sprinter. Spotkamy tam jeszcze trzech

mężczyzn. Dołączymy do nich, wsiądziemy do aut. Dojedziemy do głównej drogi. Sprinter tam zostanie; obłany benzyną i spalony.

Ten pierwszy, zwyczajny mężczyzna zanosi się płaczem.

– Ludzie, to nie ja, to nie był mój pomysł. To naprawdę nie byłem ja. Nie ja, nie ja, nie ja. Ja mówiłem, aby tego nie robił. Mówiłem mu, kurwa! – Już nie ma siły błagać. Krztusi się, charczy.

– Ale się obsrał – komentuje Szeroki. Żyły wiją mu się pod skórą czaszki jak korzenie pasożytującej na nim rośliny.

I Szeroki, i Wysoki znają takie sytuacje. Różnica jest taka, że Szeroki jest stąd, z kraju, który przeżył swoje największe piekło jeszcze przed jego narodzeniem. Jest tutaj, bo dokonał wyboru. Wysoki nie jest stąd. Wysoki jest ze Wschodu. Dla Wysokiego spokój to krótka anomalia w przerwach od wojny.

Ale tak naprawdę istotni jesteście tylko ja i on.

Być może istniejemy tylko my, ja i on.

Tutaj, na krwawym dysku w samym środku Polski.

– Dziękuję – mówię mu. Teraz jest moim współnikiem. Być może jest też moim kumplem. Jedynym, jakiego mam.

– Nie ma za co, miłości ty moja – odpowiada.

Ten drugi również zaczyna głośno płakać.

– A ty nie płacz, cweluchu. Sam sobie to zrobiłeś. Sam tu przylazłeś i sam ukląkłeś – mówi on.

Stoi z pistoletem w ręku i czeka. I dłoń, i pistolet są ciężkie, nieforemne. Dwie kule brudnego chleba, prawie bez paznokci. Jego czaszka – stary kamień. Słowa, które wypowiada, na początku są śmieszne, ale tylko na początku. Ma głos kogoś, kto nie powinien istnieć. Każdego, kto go usłyszy, piecze serce z lęku. Zresztą spójrzcie na niego. On tylko na pozór jest zabawny, nieprawdziwy. Popatrzcie na wytartą na łokciach skózaną kurtkę, taką, jakie noszono w filmach o polskiej mafii w latach dziewięćdziesiątych, na ubłocone adidas, niegdyś białe, podróbki kupione w Wólce. Bluzę starej rapowej firmy, spraną i gdzieś dziurawą. A potem spójrzcie mu w oczy. Skorupka jest cienka, cieńsza niż u kogokolwiek innego. To, kim jest naprawdę, pulsuje odkryte pod szarym niebem.

– Nie musicie tego robić – wyrzuca z siebie ten pierwszy na bezdechu. – Po prostu... ja wiem, że... dwadzieścia pięć lat, ja jestem gotów... ja... obaj jesteście gotowi.

– Nie musimy tego robić. – On go przedrzeźnia. – Ty nie musisz być cweluchem, cweluchu. Masz teraz okazję, by się zmienić, zostać chłopem wielkim dębem. Na samiuśki koniec, ale zawsze coś. Zawsze warto sobie wyjąć kamyk z buta, nawet na mecie.

Poza strachem mężczyzna czuje potworne upokorzenie. Zasluguje na to wszystko, na każdą z tych potwornych sekund.

– Więc co wybierasz, chłopie?

Oto wyrok w imieniu Polski podziemnej. Podziemnej, bo zamieszkaney przez robaki i krety.

To my jesteśmy Polską podziemną.

Właśnie wychodzimy na powierzchnię.

Po brunatnej łące błakają się bezdomne duchy. Ludzie uwięzieni w pustostanach trzęsą się ze strachu. Jesteśmy pod Warszawą, ale zaraz będziemy w Warszawie. Jesteśmy pod Polską, ale zaraz będziemy w Polsce. Wygrzebujemy się, odwracamy do słońca. Nic nie zstąpi i nic nie odnowi. Za późno, za mało.

Na wystrzał zrywają się ptaki. Ciała opadają miękko w mokrą ziemię, bezdźwięcznie. Niebo mętnieje. Na sekundę ból przeszywa mi brzuch.

To ten stary, martwy ja. Czasami odzywa się z za grobu, próbuje mnie przewrócić, ale stoję stabilnie na ziemi. Cofam się parę kroków. Śmierć jest zwyczajna. Gdyby nie dziury w czaszkach, martwi ludzie wyglądaliby jak menele śpiący w parku.

Oddaję mu broń. On jej nie chce. RzUCA ją między trupy, jakby pstrykał petem. Podnoszę ją z ziemi. Wkładam za spodnie. Pozbędę się jej później.

Jeszcze raz wyobraźcie sobie tę scenę. Wejdźcie w nią. Butwiejąca trawa, powietrze przesycone zapachem węgla. Grafitowe niebo. Ja, on i oni. Nie różnimy się niczym od ludzi, których podziwiacie, od ludzi, którzy wami rządzą, od ludzi, którzy was bronią.

Zobaczcie. Teraz, tutaj, w samym środku niczego, znika wasza przyszłość. Wasza nadzieja. Wasza tożsamość. Bajki, w które wierzycie. Honor, prawdomówność. Odwaga, męstwo, bezwzględność. Nie ma ich. Oto rządy grozy. Oto nowy kalendarz. Oto jego nowi władcy. Ty i ja jesteśmy dziećmi tego dziwnego i krótkiego momentu, podczas którego ludzie myśleli, że będzie lepiej, że są czymś więcej niż ludźmi, że jest dla nich jakaś nadzieja.

Strzał w tył głowy to strzał w tył głowy. Ciała na ziemi to ciała na ziemi. Śmierć to tylko śmierć.

Zobaczcie rzeczywistość, zapraszam.

Przestańcie się mazać.

Wydmuchajcie nosy.

Tania skórzana kurtka, ubłocone adidas.

On zaczyna śpiewać piosenkę, ostatnio śpiewa ją bez przerwy, w kółko, jeszcze raz, i jeszcze raz, do oporu. Najpierw cicho, potem coraz głośniej, w końcu krzyczy:

*Miłowania głodni jak wilcy,
nauczymy się w tym kraju od pierwszego dnia,
słów, którymi mówią tubylcy ¹.*

Jakimi słowami mówią tubylcy?

Ja nie wiem, ale on wie.

Kiedyś byłem Jackiem i udawałem Ducha. Teraz jestem duchem. Jacek umarł, na drugim końcu świata. Noszę kamuflaż z jego twarzy i ciała.

Idziemy przez pole, on przede mną, lekko podskakuje z ekscytacji, jak człowiek, który po ciężkim tygodniu wybrał się na wódkę.

Jest wesoły.

Ludziom rzadko jest dzisiaj wesoło.

– Co się zaczęło – woła – już się nie zakończy!

I tak zaczyna się pożar.

PAZINA

Ostatnie z bezpiecznych miejsc

15 WRZEŚNIA 2020

Spałam dwie godziny. Śpię tak od tygodnia. Gdy człowiek nie sypia, powietrze zamienia się w kamień. Każdy ruch to niewidzialne, piekące obrażenia. Każdy posiłek to połykanie szkła. Kofeina w ogóle przestaje działać. Życie to wydrapywanie dołu w litej skale, samymi dłońmi. Tak muszą się czuć nowo narodzone dzieci. Ostatni raz się wyspałam, gdy miałam covid. Wtedy organizm automatycznie się wyłączał, gasło światło, padałam na ziemię w połowie zdania. Przez całą dobę miałam trzydzieści dziewięć stopni gorączki, nie spadała, chociaż jadłam ibuprom jak chipsy. Ten wirus jest dziwny. Cierpliwym i systematycznym. Pokazuje nam, że wszystko jest snem.

Każdy z nas był już chory. Wirus uszkadzał nas powoli, po cichu. Azyl zamienił się w szpital. Przez długi czas nie mogliśmy wyjść na zewnątrz, bo zgłaszano nas do Sanepidu, więc ktoś, wyznaczony przez resztę, musiał udawać zdrowego. Wychodził do miasta, robił zakupy, ryzykował, że zostanie wylegitymowany i przywałą mu mandat w wysokości kilku tysięcy. Nasz samochód aż błagał, by go zatrzymać – czarny od brudu, z nieczynnym światłem cofania. Co trzy dni objeżdżaliśmy miasto, by kupić żarcie i chemię gospodarczą. W Azylu była ciągła rotacja, ale nigdy nie przebywało tam mniej niż dwadzieścia osób.

Po chorobie zostały dziwne pamiątki – małe dziurki zamiast niektórych wspomnień i słów, ślepe plamki w oczach, awarie smaku i węchu. I to poczucie przegranej, świadomość, że bokujemy powietrze. Jesteśmy wyznawcami kultu śmierci, wiemy, że wszyscy umrzemy, może nie teraz, ale i tak szybko, w przegrzanych miastach, z wydzielaną wodą, z przerwami w dostawach prądu.

Przyciskam dłonie do gęby. Pachną fajkami, detergentem. Wydycham w nie powietrze. Jest ciepłe, odbija się od skóry, piecze mnie w twarz. Nawet nie kończę tej myśli, gdy przecina ją trzaśnięcie drzwi, głośne jak strzał.

Wiktor stoi przede mną przejęty.

– Lucek się nie odzywa. Trzeci dzień – mówi, a jego wielkie oczy za okrągłymi okularami typu Harry Potter robią się jeszcze większe, jak u postaci z anime.

Aby usiąść naprzeciwko mnie, musi odsunąć kartony z koreańskimi zupkami, müsli, zgrzewki wody. Zdejmuję nogi z biurka, w końcu nie będzie mówił do moich podeszew.

– To zdarzało się wcześniej – próbuję go uspokoić. – Lucek znika.

– Lucek znika – powtarza bezwiednie.

– Słuchaj, Lucek zawsze wraca. Znika gdzieś, a potem zakłada Zrzutkę, że potrzebuje na ubera i papierosy, robi z tego storckę i tak dalej – uspokajam Wiktora.

– Najdłużej nie odzywało się przez dwie doby. A teraz to już czwarta – mówi cicho.

Lucek to piękna osoba i wielki problem. Mówi, że ma dwadzieścia lat, ale może mieć pięć mniej albo pięć więcej. Nie pokazał mi żadnego dokumentu. One nie są niezbędne, aby zamieszkać w Azylu. Oficjalnie podpisujemy kontrakty tylko z pełnoletnimi, ale w rzeczywistości przestałam tego przestrzegać. Gdy widzę dzieciaka, który ma piętnaście, szesnaście, siedemnaście lat i potrzebuje pomocy, bez której może nie przeżyć, muszę mu pomóc. Po to robię to, co robię. Po to tu jestem.

Lucek ma półdługie czarne włosy z pojedynczymi różowymi pasemkami. Wygląda, jakby był z porcelany. Mówi cicho, czasami trzeba przysunąć ucho do jego ust, aby go zrozumieć. Raz twierdzi, że rzucił szkołę jeszcze przed maturą, innym razem – że studiuje orientalistykę i chce zostać tłumaczem. To wszystko brzmi jak opowieści o podróży do krainy baśni, lataniu na jednorożcach. Czasami kompletnie gubi kontakt z czasoprzestrzenią. Jaki jest dzisiaj dzień, Lucek? – pytamy. Dzień Lucka – odpowiada. Lucek nie uważa się za chłopca, nie uważa się za dziewczynę. Wiktor mówi o nim w rodzaju nijakim: Lucek poszło, Lucek otworzyło, Lucek zrobiło. Z kolei inne dzieciaki z Azylu wolą formę „osoba Lucek poszła” i tak dalej. Wszyscy próbują nadać mu pewną trwałość i kształt, uformować go słowami. Luckowi jest to obojętne. Przepływa przez nas jak

woda przez palce. Lucek codziennie chce być trochę inny. Lucek chce się bawić.

Gdy zapytałam go, jak mam się do niego zwracać, odparł, że jest mu to obojętne. Traktuję poważnie każdą odpowiedź na to pytanie, również taką. Skoro ci to obojętne, powiedziałam, będę mówić o tobie jako o chłopaku, bo tak będzie mi najłatwiej, bo patrząc na ciebie, widzę chłopaka. Wzruszył ramionami i zaczął mówić wymyślonym japońskim.

Nawet nie wiemy, skąd jest. Gdy go o to pytamy, wymienia różne miejscowości w Polsce, czasem miasta z anime, które ogląda. Czasami mówi, że przyjechał z Tokio. Wtedy bełkocze, wydaje przypadkowe zgłoski i twierdzi, że to japoński.

Jedno w Lucku jest stałe – bardzo chce się zakochać, ciągle mówi o wielkiej miłości. Pod tym pragnieniem nie ma żadnego typu, żadnej konkretnej fantazji. To może być ktokolwiek, Lucka nie interesują takie detale jak wiek i płeć. Nie wiem, czy tak naprawdę interesuje go seks. Chce być dla kogoś najważniejszy, po raz pierwszy w życiu.

Wszystkie te dzieciaki są uszkodzone, wygnane. Szukają ciepła za wszelką cenę. Ślepe kundły z kolorową sierścią, która ma być zbroją, ale tylko zwraca uwagę tych, którzy lubią gnębić słabszych.

Oczywiście, z czasem nabierają siły i odporności, w końcu zaczynają rozumieć, że nie wszyscy chcą ich skrzywdzić, ale też że świat nie składa się z ciągłej dramy, że nie wszystkie złe uczynki są tak samo złe. Ból gaśnie, zaczyna się długi i kosztowny proces impregnacji.

– Pazina? – Wiktor przywołuje mnie do rzeczywistości, wciąż cicho.

– Słuchaj, wiesz, że nie jesteśmy internatem ani poprawczakiem, że nie możemy nikogo trzymać tutaj na siłę.

– To moja osoba przyjacielska – dodaje trochę głośniej.

– Moja też, Wiktor. Wszyscy tutaj są moimi przyjaciółmi.

Wiktor wyciąga z kieszeni za dużych sztruksów paczkę fajek. Również zapala. Strasznie mocno się zaciąga, papieros szybko zmienia się w marchewkę, nierówny, czerwony stożek.

– Są tylko dwa wyjścia, Wiktor. Albo robimy tutaj kolonię karną typu wyjście o ósmej, powrót o dziesiątej, kary, nagrody, sprawdzanie telefonów. Albo próbujemy być dorośli i samodzielni. Nie ma nic pośrodku.

Pokazuje na ścianę. Na wyblakłym plakacie biała pięść odcina się od czarnego tła. NIE IDZIEMY SAMI. NIGDY NIE BĘDZIEMY.

– Ale co, jeśli ktoś chce iść sam? – pytam.

– Nie mów tak. Ja mam złe przeczucie. Serio.

Hormony obniżyły mu głos. Ale czasami, gdy się denerwuje, mam wrażenie, że wraca ten stary, wyższy.

– Przeczucie to suma lęku i wyobraźni, Wiktor.

– Tu nie trzeba wielkiej wyobraźni.

Ma rację. Azyl przyjmuje uciekinierów. Dzieciaki na gigancie, wyrzucane z domów, z małych miejscowości, chore, połamane, niepewne, pokryte bliznami, zatrute lekami. Młodsze, starsze, z bogatych i biednych rodzin, homo i hetero, trans i cis. Wczoraj przyjechał tu Ignac, chłopak z zadrutowaną szczęką, skatowali go koledzy brata, brat stał obok i patrzył. Parę dni wcześniej widział Ignaca z innym chłopakiem, w jakimś miejscu, które miało być ustronne. Jest też Małgosia, dziewczyna po jedenastu przedawkowaniach benzodiazepin, której nie chcą już trzymać w szpitalu. Chłopak matki przypalał ją papierosami, dziarał ją maszynką samoróbką. Na ciele ma napisy w rodzaju: HATE, LOVE, FUCK POLICE, JEBAĆ SĄD, SZMATA, ŁAJZA. I jest Rena, której matka pracuje w ministerstwie edukacji. Gdy Rena powiedziała jej, że tak naprawdę nie czuje się dziewczyną ani chłopakiem, ta zabrała ją do egzorcysty. Przez ostatnie trzy miesiące wstawiała rano o tej samej godzinie i szła na most Poniatowskiego. Ojciec zgarniał ją i wsadzał siłą do auta. W końcu uciekła.

Założyłam Azyl parę lat temu, z przyjaciółmi, ludźmi takimi jak ja, którzy żyli Warszawą, tą dzienną i tą nocną, którzy robili kampanie i sesje, organizowali koncerty, bukowali DJ-ów i artystów, zarządzali ich życiem i żyli razem z nimi, którzy dryfowali na powierzchni, chociaż wydawało im się, że właśnie złapali rytm i płyną po złoty medal zdecydowanym, szybkim kraulem. Jeśli przeżywać to wszystko jako właściwe życie i być w tym stuprocentowo obecnym, to nie było aż tak źle, w końcu wszyscy mieliśmy jakieś pieniądze, pozycję, żyliśmy czyimś snem. „Realizowaliśmy się” kosztem niewielkich, codziennych uszczerbków – ale czy nie były to w gruncie rzeczy uszczerbki wynikające z upływu czasu? Chcieliśmy zrobić coś, co z braku lepszego słowa nazywa się „dobrem”. Niestety, nikt nie chce czynić dobra za swoje oszczędności. Traf chciał, że miałam trochę pieniędzy, z których trzeba było jak najszybciej zdjąć ciężącą na nich kłatwę. To tragiczne, ale też zabawne – jedyny bilet na wyjazd z Babilonu był upaprany krwią jakichś biednych głupków, którzy oglądali *Człowieka z blizną* z Pacino co najmniej tysiąc razy, za to zawsze do połowy.

Te pieniądze były podarowane, brudne, mieściły się w sportowej torbie i szybko się skończyły, ale pozwoliły preferencyjnie wynająć to miejsce od miasta, na dziesięć lat. Oczywiście bez gwarancji, że w pewnym momencie nie przyjdzie tu jakiś inwestor. I inwestor przyszedł. Czasami oglądam jego profil na Insta. Wygląda jak kukła, ma licówki, bungalow na Bali, koszule Ralph Lauren w każdym odcieniu, buddyjski różaniec na nadgarstku. W bio pisze o sobie: „anioł biznesu”. Chce zrobić tu ekskluzywne apartamenty. Ma w dupie pandemię. Ta kiedyś się skończy, za rok, za dwa. On jest cierpliwy.

Rozmawiałam z nim raz. Stwierdził, że „wszystkie dzieci powinny wrócić do domu”. Powiedziałam mu o chłopaku, którego ojciec zamknął na tydzień w piwnicy, aby wypędzić z niego diabła, i zapytałam, czy o taki dom mu chodzi. Odburknął, że nie może się przejmować całym złem tego świata.

– Czemu nie? Przecież jesteś aniołem – odparłam, a on tylko kwaśno się uśmiechnął.

Współzałożyciele Azylu musieli za coś żyć, dorobili się dzieci, długów, problemów. Nie mam im za złe, że odeszli. To nie jest normalne życie – takie, w którym poświęcasz się dla obcych ludzi tak, jak dla najbliższych. Każdy, kto podnosi ten krzyż, bardzo szybko zadaje sobie pytanie, po chuj właściwie z nim idzie. Odpowiedź jest dla większości przerażająca. Robisz to, bo chcesz ocalić siebie. Bo myślisz, że jesteś zły i uszkodzony. Bo nie zdałeś egzaminów. Bo kopnąłeś niechcący psa. Bo mama jest wciąż niezadowolona. Chciałaby, abyś cofnęła czas i bardziej się postarała, najlepiej podczas porodu. Próbujesz z tym wygrać. Chcesz, aby w końcu to ciebie ktoś pokochał. Słowo „pokochał” rozumiesz jako złoty medal, szóstkę z plusem. Aby ją dostać, rozpaczliwie wytwarzasz dobro, które ma tyle sensu, ile kaloryfer na Antarktydzie.

Teraz żyjemy na styk. Na bardzo krótki i bardzo wąski styk. Miasto dorzuca się do czynszu i opłat, ale niedługo przestanie to robić. Ma ważniejsze wydatki. Reszta to zrzutki, które przynoszą coraz mniej kasy. Żarcie – większość to przeterminowane produkty, dary z hipermarketów. Kiedyś miałam tu chłopaka, który umiał ogarniać europejskie granty. Ale teraz już go nie ma, usamodzielniał się i wyprowadził.

Moje dzieciaki śpią więc w korowej pościeli, na piętrowych łózkach, z których połowa ma półtora metra długości. Rano piją neskę i jedzą płatki kukurydziane z Biedronki, a ja mam, kurwa, nadzieję, że tu, na praskim

podwórku, między klubem o pięknej nazwie Klątwa Doliny Węży a tanim hostelem, który zmienia nazwę co miesiąc, chociaż przez krótką chwilę czują się bezpiecznie.

Nazwaliśmy ten ośrodek hostelem interwencyjnym, aby jakoś przedstawiać go tym, którzy nie rozumieją, o co w nim chodzi. Ale dla nas nie jest żadnym hostelem. Jest po prostu ostatnim bezpiecznym miejscem.

Tylko w Azylu są pewne zasady. Nie ma ćpania, picia ani problemów z prawem. Nikt nas tu nie chce i masa osób tylko czeka, aż popełnimy jakąś głupotę. Otacza nas sieć ludzi dobrej woli, ale wystarczy jeden zły ruch, aby ją przerwać i zniszczyć.

To jednak głupie – mówić mu, aby się nie martwił.

Znajduję numer Lucka na WhatsAppie. Ostatnia aktywność – trzy dni temu. Próbuję nie czytać ich komunikacji, zresztą i tak jej nie zrozumieję – memy, emotki, gify z anime, ikony, głosówki.

Przepisuję numer do swojej komórki. Dzwonię, abonent jest niedostępny. Wysyłam wiadomość: „Hej, Luc, tu Pazina. Martwimy się o ciebie, odezwij się”. Jeden szary ptaszek zamiast dwóch – ma wyłączony telefon. Wpatruję się w niego, jakbym chciała zmusić go siłą woli, żeby się zdublował.

– Chodź. – Pokazuję Wiktorowi gestem, aby wstał. I dopiero gdy to robi, zauważam małe otarcie pod okiem, niezdarnie przykryte podkładem. Delikatnie biorę jego brodę w dwa palce, obracam do światła.

– Co to jest? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– No jeszcze raz: co to jest?

– Patelnia – odpowiada cicho.

Wzdycham ciężko. On odwraca się, zdenerwowany. Znowu popchnął go jakiś żul albo łysy, pijany idiota, pod Metrem Centrum, jego albo kogoś innego, a on próbował stanąć w obronie, jak zawsze.

– Lubisz dostawać wpierdol?

– Przestań – protestuje.

– To dwumilionowe miasto, naprawdę nie macie gdzie łązić?

– Jest pandemia, Pazina. Wszystko jest zamknięte. Nie, nie mamy gdzie łązić.

Przyciskam go do siebie, na chwilę. Przytulanie zawsze wychodzi mi niezgrabnie, żołniersko. Ale trudno, mogę robić tylko to, co umiem. Prowadzić Azyl do ostatniego dnia, mojego lub Azylu.

Dzieciaki siedzą w kuchni. Rena robi sobie tosty, zapach stopionego sera wypełnia pomieszczenie. Widzę sklejkę odłóżącą z szafek, warstwy tłuszczu w pochłaniaczu, zacieki na ścianach, chybotające się krzesła. Widzę mały, płaski telewizorek przytwierdzony do ściany, znaleziony przez Besię na śmietniku pod jakimś likwidowanym biurem. Pomoc innym to najczęściej pozbywanie się śmieci. Hojność to recykling.

Chciałabym, aby przez jeden jebany dzień to Jezus miał rację. Aby naprawdę ostatni byli pierwszymi. Chciałabym zabierać ich codziennie do Gesslera. Mieć na podorędziu najlepszego wegańskiego kucharza. Chciałabym rozdawać im najdroższe ubrania. Chciałabym, aby wszystko się przewróciło, upadło do reszty. Abyśmy wszyscy zmieścili się w uchu igielnym.

– Co? – pyta Wiktor.

Musiałam ze zmęczenia zacząć mówić na głos to, co myślę.

– Jakie ucho? – pyta.

Patrzę na nich. Dwie dziewczyny, jedna to osoba trans, nie pamiętam ich imion. Wysoki, potwornie chudy, czarnowłosy Edgar, skrzypek, uczeń szkoły muzycznej. Ogolony na łyso, wielki i gruby Przemek w poplamionej bluzie z napisem SZTYWNIUTKO, wciśnięty w kąt gra na swoim Nintendo, które zwykle chowa przed wszystkimi, kładąc je pod poduszką. Ma piętnaście lat i jak twierdzi, nie jest żadnym pedałem. Policjanci przywieźli go tutaj z dworca, bo dostali informację, że jesteśmy jednym z adresów, pod które można „podrzucić”. Oczywiście nie dostajemy od miasta ani grosza. Trwamy dzięki zrzutkom i aukcjom dobroczynnym, które ogarniają Wiktor z Besią. Właśnie, gdzie jest Besia?

– Czy ktoś z was kontaktował się z Luckiem? – pytam. Zamykam oczy. Na początku nikt nie odpowiada, muszę jeszcze raz, głośniej. – Ej! Czy nagle przestaliście rozumieć język polski?

Oczy, zaspane, otępiałe, podnoszą się na mnie. Większość z tych dzieciaków jest na SSRI, przepisuje je pod stołem zaprzyjaźniona psychiatrka. Może nie powinnam ich faszerować lekami, ale gdyby nie to, codziennie byłoby tu pogotowie.

W Azylu była też psycholożka, był pracownik socjalny. Na umowach zlecenie. Teraz nie podpisuję z nikim umów zlecenie, bo nie mam z czego ich zapłacić.

Kręcą głowami. Rena nakłada sobie tosty. Obok placków spieczonego chleba ląduje kleks keczupu.

– Ja... no przedwczoraj z nią pisałam – odzywa się w końcu Rena, siadając przy stole.

Przemek odruchowo wyciąga dłoń po tosta.

– Ej! – krzyczę na niego. – Rusz dupę i zrób sobie swoje.

– Mogę mu oddać – mówi cicho Rena.

– Ma dwie ręce. Co mówił?

Rena patrzy na mnie, znowu z lękiem.

– Lucek mówiła tylko, że jest wkurwiona, bo nie ma kasy. Potrzebuje różnych rzeczy. Chciała mieć nowy telefon czy coś takiego – opowiada cicho, tonem, jakby przyznawała się do kradzieży.

Kiwam głową. Wiktor jest teraz w niezręcznej sytuacji, bo widzi po mnie, że zaraz znowu zacznę podnosić głos. Wszyscy w pomieszczeniu to po mnie widzą, również dwie osoby, które właśnie wchodzą do kuchni. Aleksy, a drugi nie pamiętam. Mika? Maki?

– Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? – pytam.

Milczą.

– Czy dbamy o siebie nawzajem, czy o siebie nie dbamy? – pytam. Nie lubię roli złej, opierdalającej matki. Nie lubię jej tym bardziej, że nieźle ją gram.

– Pazina? – pyta się mnie ktoś z tyłu, chyba Besia.

Besia jest z Pomorza, przyjechała do Warszawy, bo chciała dostać się do szkoły aktorskiej, co się nie udało, a potem nie udało się jej jeszcze parę innych rzeczy. Zaraz, czy to naprawdę Besia? Wszystko staje się dziwnie niewyraźne, jakby ktoś przejechał mi tłustym paluchem po gałce ocznej; mija parę sekund i nagle wszyscy są wyżej, i słychać głuchy hałas, hałas ciał wstających z krzeseł.

Spadam z wysoka w morze ciemności.

Ta ciemność porusza się bardzo szybko.

To przedziwne uczucie.

Coś ląduje na mojej twarzy, potrzebuję chwili, aby zrozumieć, że to zimna woda. Ktoś podaje mi rękę. Podnosi mnie do pionu.

– Pazina. – Tak, to Besia.

Zaczyna mi być głupio.

– Jedź do domu się przespać, bardzo cię proszę – mówi Wiktor, podając mi ręcznik.

Wycieram sobie twarz.

– Musimy...

- Ty musisz jechać do domu – mówi Wiktor.
 - Musimy zgłosić zaginięcie. Chyba. Nie wiem.
 - Nie możesz dostać zawału serca, Pazina, bo jest pandemia, wszystkie karetki stoją zablokowane na Narodowym.
 - Nie dostanę żadnego zawału, Wiktor.
 - Jeśli tu umrzesz, dopiero będziemy mieli przerąbane.
 - Nie umrę, Wiktor.
- Nie umrę, ale on ma rację. Jeśli mnie zabraknie, będą mieli przerąbane.
- Dobra. Jeżeli się nie odezwie do jutra, będziemy go szukać. – Wstaję powoli, bez zaufania do podłogi i do siebie.
- Patrzą na mnie z lękiem. Wyglądają śmiesznie. Banda zahukanych, ufarbowanych, pomazanych, w sumie grzecznych dzieci.
- Znajdziemy go – mówię im. Ale nie jestem pewna, czy go znajdziemy.
- Pewnie znowu bym się przewróciła, gdyby nie dłoń Wiktora i jego głos, z powrotem niski, obniżony hormonami, ale pewny, prawdziwy głos:
- Zamówię ci ubera, Pazina.

*

Nie mogę tak po prostu położyć się i zasnąć. Całe moje dorosłe życie polegało na wstawaniu o osiemnastej, jedzeniu śniadania o dwudziestej pierwszej i wielogodzinnej nocnej aktywności. Życie sklezione z romansów i kroplówek.

Plac Konstytucji, plac Zbawiciela, plac Wilsona. Utopia, Lustra, Plan. Miłość, Smolna, Jasna. Bacardi, aperol, prosecco. Emka, kryształ, keta. Pilates, joga, ayahuasca. Karta kredytowa, kredyt na firmę, kredyt hipoteczny.

Może tak naprawdę nigdy nie spałam.

Menel zachowuje się, jakby mnie zapomniał. Muszę zapukać do sąsiadki, wręczyć jej butelkę wina za to, że od trzech tygodni daje mu żreć. Nawet jeśli nie sprzątała kuwety – a chyba nie sprzątała, bo całe mieszkanie okrutnie jebie. Poruszam się po nim jak w letargu. Czterdzieści metrów zamienia się w sto czterdzieści, sto czterdzieści zamienia się w pałac. Każdy mój ruch drąży w ścianie nowy, kolorowy tunel.

Biorę prysznic, gorąca woda bombarduje mi plecy. Ulga jest krótka i płytka. Niepokój stał się częścią mojego ciała, napięcie tkwi we mnie tak

głęboko, że gdyby je ze mnie usunąć, umarłabym.

Lucek. Pamiętam, jak zjawił się w Azylu. Usiadł w kuchni i zapalił papierosa, wyluzowany, jakby wszedł do własnego mieszkania. Gestykulował, założył nogę na nogę. Opowiadał o sobie potoczyste, złożone historie. Były niewiarygodne, ale wszystkich zaczarowały. Ażyl się zatrzymał i słuchał tej przedziwnej, barwnej, potwornie szczupłej osoby która zachowywała się, jakby odwiedziła nas w przelocie, podróżując z jednej obcej planety na drugą. Co chwila przerywał, dźwięcznie śmiał się z własnych żartów, podśpiewywał. Przypominał całą chmurę barwnych ptaków. Po jakimś czasie opowieść zaczęła się rwać. Nić, która łączyła ze sobą kolejne zdania, przestała istnieć. Lucek zaczął się trząść, dostał krwotoku z nosa. Zadzwoniliśmy po zaprzyjaźnioną lekarkę. Stwierdziła, że jest tak odwodniony i wygłodzony, że to cud, że chodzi i mówi. Aby dał sobie wbić wenflon i podpiąć kroplówkę, zaoferowałam mu sto złotych. Powiedział: sto pięćdziesiąt.

Jestem umyta i przebrana, i równie dobrze mogę siedzieć przez najbliższe pięć godzin bez ruchu na kanapie. Nie zasnę. Nie ma najmniejszych szans.

Odbiera po trzecim sygnale.

– No nie wiem, nie wiem – zaczyna, jakby mówił do kogoś, kto stoi obok. – Mam focha, wiesz, o co chodzi.

Za każdym razem, gdy z nim rozmawiam, mam wrażenie, że się ze mnie nabija.

– I co mam z tym fantem zrobić? – pytam.

– No nie wiem, nie wiem. Ja ogólnie to nie wbijam focha na długo. – Chyba coś je, bo mlaszcze, co potwornie mnie drażni.

Ma na imię Olek, ale wszyscy mówią na niego Kurtka. Tacy jak on funkcjonują w ramach kilkuletnich kadencji, potem wyjeżdżają za granicę albo idą siedzieć, albo otwierają jakieś nietrafione interesy, zaczynają handlować podróbkami, CBD, spekulują krypto. Kadencja Kurtki właśnie się kończy. Olek mówi, że zaraz się „keszuje”, jakby chodziło o wyjątkowo udany start-up.

– Napisz na Wickrze, co tam chcesz – mówi mi.

– Wiesz, co chcę.

– To wiesz, gdzie się pojawić.

– A nie jesteś w stanie tutaj przyjechać?

– Mam sprawy. – Teraz siorbie przez słomkę.

– Ja nie mogę czekać na ciebie całą noc, nie ma szans – mówię.

Przez krótką chwilę w słuchawce panuje cisza.

– No dobra – słyszę – zawinę po ciebie. Ale pojedziesz ze mną coś załatwić.

Menel zaczyna drapać mnie w piętę. Może jednak jeszcze mnie pamięta. Pamięć kotów jest krótka i wybiórcza.

– Niech ci będzie, i tak nie zasnę – odpowiadam i się rozłączam.

*

Przyjechał smartem. Wygląda w nim, jakby przegrał jakiś zakład, ale wiem, że jeździ autami wypożyczanymi przez aplikację. Twierdzi, że miał kiedyś własne, ale je oddał, co jest dziwne, bo nie sprawia wrażenia gościa, który oddałby cokolwiek komukolwiek.

Ma fryzurę zrobioną niemalże od linijki, idealny cień z boku głowy. Pachnie ciężkimi perfumami, przynoszącymi dziwne skojarzenia – ciasto z goździkami, turniej cukierniczy w piwnicy kościoła, stara kawa wylana na zakurzony dywan. Na szyi, pod swetrem, ma schowany kajdan, gruby, chyba białe złoto. Krótka puchówka Moncler opina krępą sylwetkę i ciężkie, wielkie łapy; ksywa Kurtka wzięła się z tego, że obsesyjnie zbiera drogie kurtki, ma ich chyba kilkadziesiąt.

Siedzimy w milczeniu, palimy papierosy. W połączeniu z jego perfumami zapach zaczyna być nie do zniesienia.

Miasto jest obumarłe, wyludnione, jak dekoracja pośpiesznie zbudowana na potrzeby filmu, który nagle przestano kręcić. W słabo zarysowanych na tle czarnego nieba klockach budynków palą się pojedyncze światła. W tej pustce jest pewien ciężar, nieme oczekiwanie, jakby ulice zaraz miały się znów zaludnić, jakby sto tysięcy mieszkańców czaiło się w mroku, by na sygnał wybiec i zająć miasto z powrotem. Mijają nas pojedyncze radiowozy. Kurtka nie zwraca na nie uwagi.

– Baliby się nawet nas zatrzymać.

Radio mówi o ośmiu tysiącach nowych zakażeń dziennie. Kurtka wyłącza dźwięk.

– No i fajnie sobie to rozkminili.

– Co niby?

– Jak to: co niby, nowy porządek światowy. Zaraz będą cię chipować jak bydło na farmie, zobaczysz. Myślałaś, że jesteś bażantem, a jesteś zwykły kurczak, wiesz, o co chodzi.

– Jakie bażanty, Kurtka, o czym ty mówisz?

Kurtka ma w sobie bibliotekę Babel, tysiące słów i określeń na jedną rzecz, jedną myśl. Do tego spędza całe godziny na YouTube, prowadząc śledztwo w sprawie tego, kto rządzi światem i kto tak naprawdę steruje policjantami czyhającymi na jego wolność i pieniądze.

– Kurtka, nie ukryjesz niczego, bo sam wszystko pokazujesz w internecie. To działa zupełnie odwrotnie, niż ci się wydaje. Ludzie sami to sobie robią – tłumaczę.

– Ja nic nikomu nie pokazuję, co ty myślisz, że ja jestem jakiś dzięcioł? – prycha obruszony.

– Może dzięcioł, może bażant.

Uruchamia telefon. Pokazuje swoje konto na Instagramie – nazywa się „FajnaRoślina”, w opisie ma sklep i fałszywy numer telefonu. Na krótkim gridzie kilka zdjęć roślin doniczkowych. Z tego konta prowadzi swoje interesy. Ludzie, gdy czegoś chcą, piszą mu DM-y, na które odpisuje pojedynczymi cyframi albo literami.

– Co ja tu niby pokazuję? – pyta.

Nie odpowiadam. Nie chcę się kłócić.

– Kto ostatnio mówił, że niby ma tego covida? Małysz? Myślisz, że ile mu zapłacili? Ty znasz w ogóle kogoś, kto to miał?

– Ja to miałam, Kurtka – odpowiadam. – I nic mi, chuje, nie zapłacili. Masz do nich jakiś namiar? Może powinnam się upomnieć o ten hajs? Wystawić im fakturę, jak myślisz?

Nie odpowiada. Chyba nie ma namiaru. Zatrzymujemy się pod paczkomatem. Te wyrastają wszędzie, i naprawdę dziwne, że nikt nie wymyślił na ich temat żadnej teorii spiskowej.

– Kurtka, słuchaj, a widziałaś kiedyś, co jest w środku takiego paczkomatu? Zastanawiałaś się, kto tak naprawdę je montuje?

Patrzy na mnie jak na gadające gówno.

– Ty, Pazina, jesteś inteligentna, rozkminiasz, co się dzieje. I co, naprawdę myślisz, że to się tak po prostu stało? Ile to miało trwać? Miesiąc? Dwa? Patrz, trwa pół roku. I to dopiero początek, mówię ci.

Uśmiecham się, ale nie wiem, czy w ogóle widać ten uśmiech, nie mam siły ruszać mięśniami twarzy. Przejżdżające obok auto na chwilę oblewa

twarz Kurtki jasnym światłem. Kurtka mruży oczy, i wtedy przez moment wygląda jak ktoś zupełnie inny, ktoś, kogo znałam dawno temu, zmienia się w ducha, ale samochód znika w ciemności i wtedy Kurtka na powrót staje się Kurtką.

– Mówiłam ci kiedyś o moich dzieciakach, Kurtka? O tym, co je spotyka? Mnóstwo zła, które dzieje się tak po prostu. Taki jest świat.

– To w ogóle inna sprawa, to jakaś patologia. – Marszczy się i wychodzi z auta, zanim zdążę mu powiedzieć, że zawsze serdecznie go zapraszam, aby sam zobaczył, jak wygląda ta patologia.

Wyciąga ze skrytek pięć niewielkich paczek i ładuje je do torby Louis Vuitton, którą wyciągnął z bagażnika. Robi to bez śladu wczuwki, jakby stał przy owocach w Lidlu i wkładał jabłka do torby. Po chwili otwiera bagażnik, wrzuca torbę do środka. Zamyka go, siada za kierownicą.

– Gdzie teraz? – pytam.

– Po to, co tam chcesz.

Mam ochotę go zapytać, jak zapatruje się na to, że cała ta rzekoma plandemia to dla niego złote żniwa. Ludzie ćpają na potęgę, dwa albo trzy razy więcej niż przed covidem, już nie tylko w weekendy, nie tylko w klubach, ale i w dzień, od samego rana; jarają, wciągają i połykają do śniadania, aby przetrzymać pracę zdalną, ciągłą obecność dzieci, no i tego drugiego człowieka, z którym przecież wcale nie ma jakiegoś zajebistego kontaktu. Ani umowy, że będziemy siedzieć ze sobą dwa cztery na dobę. Ćpają, aby zdusić lęk o rodziców, oddalić widmo choroby i pytanie, czy to akurat ja zostanę wywalony z roboty w tym tygodniu. Kurtki tego miasta mają pełne ręce roboty. Jasne, na początku w ogóle nie było czym handlować. Pamiętam marzec i kwiecień, kiedy musiałam obejść się smakiem; złe, małe sztuki, spryskane muchozolem kozie bobki rodem z lat dziewięćdziesiątych potrafiły kosztować po sto, sto pięćdziesiąt za worek. Nie mówiąc już o czymś mocniejszym, ale to akurat mnie nie interesowało. Ja tylko chciałam się odrobinę wyłączyć. Chciałam osiągnąć ten najważniejszy cel, czyli przespać noc. Olejek CBD działa na mnie równie uspokajająco co olej lniany, czyli nijak. Mogłam wtedy iść po receptę, ale zwyczajnie nie miałam na to kasy. Lekarze w tych zabawnych klinikach, które nagle pojawiły się w deweloperskich blokach, brali po tysiąc złotych za samo spotkanie. Wiedziałam, ile za taką kwotę mogę kupić w hurcie używanych ubrań, papieru toaletowego, jedzenia, mydła.

Chcę go o to zapytać, ale w sumie nie mam ochoty się z nim kłócić, nie po tylu nieprzespanych nocach i nie o coś, o czym tak naprawdę oboje nie mamy pojęcia.

Zatrzymujemy się pod jego blokiem, białym klockiem z wczesnych dwutysięcznych, tuż za centrum handlowym Panorama. Sama Panorama to schowana na południu miasta kapsuła czasu, tunel prowadzący bezpośrednio do lat dziewięćdziesiątych. Na jego drugim końcu ląduje się w pięknym, przedziwnym atrium ze szkła i marmuru i z asymetryczną fontanną. Jest tam tak samo jak wtedy, gdy chodziłam do podstawówki i mama zabierała mnie w niektóre niedziele do Pizza Hut; połykałam wtedy gorący placek, parząc sobie gardło, siorbałam pepsi i gapiałam się jak zahipnotyzowana na marmurowe posadzki, wykusze i wodę odbijającą się w barwionych na niebiesko szybach. Czułam się bezpiecznie, może jedyny raz w życiu. Czułam, że w przyszłości czeka mnie coś lepszego niż dziś, że ta pizza z widokiem na piękną fontannę to tylko przedsmak nadchodzących wspaniałości. Przypominam sobie teraz to uczucie, wysiadając pod białym kanciastym blokiem za wierzącym w reptilian dilerem, i myślę, że należało do zupełnie innej osoby, do świata, który był snem.

Kurtka otwiera drzwi kodem, wchodzimy do środka. Dopiero w windzie zadaje mi kolejne pytanie:

– Słuchaj, a ty zarabiasz w ogóle jakieś pieniądze w tym swoim schronisku?

– Schronisko to jest dla zwierząt – odpowiadam.

– To co to jest?

– Hostel interwencyjny. Nie, nie zarabiam pieniędzy, ja je załatwiam.

– To ile tam załatwiasz, Pazina? – Śmieje się, świdrując mnie wzrokiem. Gdy zaczyna być czymś zaintrygowany, wygląda naprawdę głupio.

– Na bank nie tyle co ty. Ty jesteś królem załatwiania. – Patrzą na niego znacząco, dając do zrozumienia, że nie przystoi mu bycie ciekawskim.

– Po prostu chcę wiedzieć, skąd masz na to kwit. Ty wiesz, skąd ja mam swój.

Okej, niech mu będzie. W sumie nie mam żadnego powodu, aby nie rozmawiać z nim jak z kolegą. Kurtka jest, jaki jest, ale jest rzetelny.

– Kurtka, ja mam cztery dychy. Jakies piętnaście lat więcej niż ty. Poszłam do pracy, gdy miałam dwadzieścia lat. Wtedy jeszcze coś za nią płacili, a mieszkania były po piątkę od metra. Kupiłam dwa, nadpłaciłam kredyty. Tyle w temacie.

Wychodzimy z windy, idziemy korytarzem z pomalowanymi na żółto pobrudzonymi ścianami.

– Miałś farta – mówi.

– Miałam farta – przytakuje, czując, że dotyczy to jakiejś zupełnie innej osoby.

Jego mieszkanie to dwupokojowa dziupla z sześćdziesięciocalowym telewizorem w centralnym punkcie. Na podłodze leżą otwarte, nierozpakowane walizki, torba na siłownię, jakiś sprzęt sportowy, wielkie słoiki odżywek; na kuchennym blacie piętrzą się stosy opakowań po żarciu z Glovo. Dwóch typów w dresach, którzy siedzą na kanapie, wygląda, jakby Kurtka dostał ich w pakiecie razem z mieszkaniem. Mogliby być bliźniakami. Grają w *FIF-ę*, nieruchomi, jakby medytowali. Na ścianie wisi wielki plakat w antyramie, na którym jakiś dawny piłkarz Legii, chyba Lucjan Brychczy, stoi na boisku w zgrzebnej kufajce, trzymając piłkę. Poznają go. Ojciec miał brata, który spędził na Żylecie całe swoje życie.

– Czysty nóż jakiś – rzuca komendę Kurtka.

– Musisz umyć – stwierdza jeden z nich.

– Umyjesz to ty mi kutasa mordą – odpowiada Kurtka, zły, zrzucając opakowania z blatu, i w ich miejsce kładzie przyniesione z paczkomatu kartony.

Koleś wstaje, poirytowany. Podchodzi do zlewu, myje nóż, podaje Kurtce. Ten rozcina karton i wyjmuje ze środka klocek o kształcie cegły, zapakowany w folię ze zgrzewarki. Podnosi go do światła, studiuje uważnie, następnie kładzie na stole, wbija nóż w folię, cegła momentalnie traci kształt. Kurtka rozcina folię nożem, na blat wysypują się zielono-pomarańczowe bryły zasuszonych kwiatów. Zapach owiewa mieszkanie, ostry i piękny. Kurtka podnosi topa do nosa, wącha, podaje mi. Robię to samo. Zakreśla okrąg dłonią nad rozsypanym towarem, zadając mi w ten sposób pytanie, ile chcę.

– Dwie dychy? – pytam, w sumie nie wiedząc.

– Trzy też ci mogę dać.

– Nie mam tyle pieniędzy.

– To zajdziesz mi później – mówi do mnie, po czym rzuca do tego samego gościa, który umył nóż: – Daj wagę.

Kurtka ma rację, to głupie odtrącać dar zaufania, a poza tym lepiej mieć więcej niż mniej. Kładzie kwiaty na wadze, po chwili ważenia, odejmowania i dodawania osiąga tyle, ile chce, wyciąga z szuflady foliową

torebkę na ziplock z nadrukowanym logiem Ikei i pakuje zawartość do środka. Zapina, podaje mi, po czym psika dłonie dezynfektantem.

– Kurtka, wirus nie istnieje – przypominam mu.

– Chuj wie, kto to macał – stwierdza, po czym bierze trochę z wagi, siada na kanapie obok typów w dresach i zaczyna kręcić blanta na stoliku, na którym piętrzą się puszki po coli i opakowania po pizzy. Wyjmuje jedno z oparcí kanapy i mi podaje, żebym też miała na czym usiąść.

Przy pierwszym buchu uczucie, jakby przestraszone zwierzę drapało mnie od środka w przętyk. Zioło jest potwornie mocne. Opuszczam powieki, zapadam się w dym, ciężki i żrący.

Gdy otwieram oczy, Kurtka jest gdzieś daleko, po drugiej stronie niewidocznej rzeki. Może i nie pójdę dzisiaj spać, ale to uczucie jest jakąś formą odpoczynku.

Dopiero teraz zauważam wieszak z ubraniami w rogu pokoju. Jest na nim pięć prawie identycznych kurtek, również Moncler.

Kurtka uważnie studiuje zapalonego jointa, patrzy na niego pod światło.

– Ej, byku, to *cali*. Prawdziwe, nie kurwa hiszpańskie.

– Jakie? – pyta jeden z bliźniaków.

– *Gelato* – odpowiada Kurtka, lekko mlaszcząc.

– Pierdolisz, że poznajesz, nikt tego nie poznaje – rzuca bliźniak.

Dym momentalnie wysusza usta. Kurtka wstaje, podchodzi do lodówki, w całości wypełnionej wodą, colą i smakowym piwem. Pyta, co chcę. Wybieram wodę. Piję powoli. Jest pyszna.

– Słuchaj, mordko, ja mógłbym być kiperem gówna. Widziałem reportaż o takim typie, mieszka sobie w Barcelonie, chodzi normalnie po kofikach, w sensie u nich mówią na to kluby, i testuje zipa, a potem robi recenzje na YouTube'a, wiesz, o co chodzi. Normalnie baka przed kamerą i potem mówi na przykład: o, tu są terpeny, nie wiem, kurwa, osikowe, aromat cynamonu i drzewa sandałowego, a faza jest bardziej w głowie, a potem w nogach, a na końcu w kutasie.

– Kurtka, to zawsze śmierdzi tak samo i wali tak samo – zaczynam się z niego śmiać.

– To twoja sprawa, jak przeżywasz swoje życie – odpowiada.

– Całe życie byłam otwarta, Kurtka. Tak otwarta, że wszystko mi ukradli.

Gdy to mówię, śmieję się jeszcze bardziej. To śmiech odruchowy, efekt uboczny rozluźniania się mięśni. W obciążonej głowie przestają bić

dzwony. Zamykam oczy. Powieki zamieniają się w metalowe kurtyny.

– Możesz zostać takim kiperem, tylko musiałbyś się stąd wyprowadzić – mówię, zerkając w jego stronę.

Patrzy na mnie. W ogóle nie wygląda, jakby się upalił. Jego oczy i tak są małe, trochę nieobecne, lekko załamane. Nagle, tak jakby przestraszył się mojego spojrzenia, wyciąga z kieszeni ciężkie okulary przeciwsłoneczne i zakłada je na nos.

– Nie wiem, czy umiałbym się stąd wynieść.

Znowu zamykam oczy. Też nie wiem, czybym umiała. Jestem stąd, znikąd indziej. Urodziłam się na Bielanach. Potem rodzice przenieśli się na Muranów, chodziłam do plastyka na Smoczej. Pierwsze samodzielne mieszkanie wynajęłam na Żoliborzu i tam mieszkam do dzisiaj, północny lewy brzeg to mój dom, zresztą całe miasto to mój dom. Słowo „dom” w mojej głowie ma czerwony kolor. Nie da się sprać tego, co mówili ci w podstawówce, co mówiła prababcia, która przeżyła barykadę na Górczewskiej.

Warszawa wymusza na tych, którzy się tu urodzili, swoisty fanatyzm, lęk przed przebywaniem na dłużej gdziekolwiek indziej. Czuję się wiecznie zagrożona, ale i nieśmiertelna.

Nie można po prostu mieszkać w Warszawie. Trzeba być jej żołnierzem. Iść prosto, karmić się niechęcią całej reszty Polski. Salutować. Napierdalać każdego, kto się pruje.

– Ej, Pazina. – Kurtka wypowiada moją ksywę, przeciągając samogłoski, Paaaziiiiinaaa, jakby to była kolejna rzecz, która go bawi.

Podnoszę głowę.

– Zawsze chciałem cię zapytać, Pazina, gdzie go wywiało?

– Kogo? – Udaję głupią.

– Kurwa, wiesz kogo. Ducha.

Dobry nastrój pryska. Wszystko się psuje. Gęba Kurtki robi się brzydka, w tej swojej puchówce wygląda jak wielki kondom. Biorę spory łyk wody. Już mi nie smakuje, fuj.

Wstaję, wyciągam pieniądze z kieszeni. Odliczam.

– Pierdol się, Kurtka – rzucam, podając mu je do ręki.

– Poczekaj, poczekaj – prosi. Również wstaje, chce załagodzić sytuację.

– Co cię to obchodzi? – pytam głośno, a nawet bardzo głośno, ci dwaj milczący w dresach robią się zaniepokojeni.

Kurtka podnosi ręce na znak kapitulacji, siada z powrotem na kanapie. Ale ja nie odpuszczam, bo mi się to nie podoba, bardzo, okres tych pytań w moim życiu definitywnie się skończył.

Wspomnienie, które próbuję wygnać. Ten mężczyzna, podręcznikowy zwyrodnialec, parę lat temu. Dziwne pytania. Czapka z daszkiem. Żyletka trzymana w palcach. Z drobnymi kropkami czerwieni.

– Słuchaj, Pazina, to zwykła ciekawość, naprawdę. Jest tyle, kurwa, opowieści na mieście... – przerywa, masuje sobie szczękę i zaciąga się jointem, wypuszcza potężny kłęb dymu. – Nie mogłem cię o to nie zapytać.

– Co mnie obchodzą jakieś opowieści? – pytam go.

– Ludzie chcą wiedzieć, wiesz, o co chodzi.

– Jacy ludzie? Ludzie, którzy go szukali?

– Nie, no ci nie... Ten łysy wariat przecież nie żyje – mówi jeden z jego adiutantów.

Lekkie, krótkie uczucie ulgi – człowiek z żyletką umarł, człowiek z żyletką już nie przyjdzie. Uczucie, które jednak zaraz znika.

– A może ty mi opowiesz o swoich pannach, Kurtka, co? Masz jakąś dziewczynę? Chłopaka? Parę dziewczyn? Chcesz pogadać o życiu prywatnym, to dawaj.

Nagle staje się innym Kurtką. W jego oczach pojawia się coś dziwnego. Trafiłam go w czuły punkt, ale trudno, sam się prosił. Zaciska zęby, odwraca się. Powietrze zmienia się w ciężki żel.

– Wiesz, różni ludzie gadają, że go widzieli. W Warszawie, co nie – rzuca jeden z bliźniaków.

Kurtka nagle zmienia front. Odwraca się do chłopaka.

– Sznuruj cipę.

Ale nie da się cofnąć tego, co zostało powiedziane.

– Ty, no, może tylko tak pierdołą, co nie. – Chłopak się kurczy; wie, że powiedział za dużo.

Jeszcze rok temu coś bym poczuła, ukłucie w sercu, zimno w gardle. Teraz nie czuję nic. Poza tym te ich teksty to trolling, sprawdzanie reakcji.

– Wiedziałybym o tym – odpowiadam, cierpko i zimno.

– Sorry, Pazina. Późny wieczór, chore głowy. Wiesz, o co chodzi.

Szara strefa to dziwne miejsce. Odwrócony świat, w którym chodzi się po suficie. Wlazłam w niego z radosną głupotą dziecka. Jego emisariuszy miałam za niegroźnych kumpli. Całą tę grę – za niegroźną zabawę. Do momentu, w którym wszystko runęło.

Kurtce dzwoni telefon. Odbiera, słucha przez chwilę, następnie wstaje.
– Idziemy – rzuca do bliźniaków.

Na mnie też czas. Wstaję, upalona jak sto diabłów, sprawdzam, czy wszystko mam przy sobie – klucze, dokumenty, dokonany przed chwilą zakup. Biorę telefon, włączam aplikację, zamawiam ubera.

Kurtka to widzi i mówi:

– Zawiozę cię.

– Masz sprawę – przypominam.

– To po drodze – odpowiada.

Wzdycham, patrzę mu w oczy.

– Kurtka, ja nie chcę z tobą nigdzie jechać.

– To po drodze – powtarza. Wie, że nie mam siły mu się sprzeciwić.

*

Jesteśmy w Koszykach, w Nietoperzu, pieczarze ze szkła i czerwonej cegły, z wielką drewnianą płaskorzeźbą nietoperza na głównej ścianie. To całodobowa restauracja, otworzyła się relatywnie niedawno. Kojarzę część tych dziewczyn siedzących przy barze, eskortek wpatrzonych w ekrany telefonów, sztywnych jak piękne manekiny, kojarzę z miasta dwóch czy trzech gostków przy jednym ze stolików, nawijających z szybkością karabinów maszynowych nad nietkniętym jedzeniem. Niby żarcie jest tylko na wynos, ale po dwudziestej trzeciej reguły się zmieniają. Ceny są horrendalnie wysokie, aby między imprezami nie przychodzili tu przypadkowi ludzie, których miejsce według właścicieli było pod całodobowym kebabem przy Świętokrzyskiej. Teraz imprezy zgasły, odbywają się w ukryciu, w mieszkaniach, w klubach przeniesionych do willi na Saskiej, w Wawrze, na Żoliborzu.

Koleś, który czeka na Kurtkę, wysoki blondyn, trzyma przy twarzy serwetkę. Gdy ją zdejmuje, widać głęboką, świeżo zszytą ranę i zakrzepłą krew dookoła. Krople krwi są też na białej bluzie Lacoste. Typ wygląda jak kolejny bliźniak z ekipy Kurtki, z tym że nie ma w nim tego sztucznego, upalonego spokoju. Jest zdenerwowany i przestraszony, nogi grają pod stołem na niewidzialnej perkusji.

Kurtka siada naprzeciwko niego.

– Co się stało? – pyta.

– Nie wiem w sumie, kurwa, co się stało.

Podchodzi kelnerka, stawia przed nim talerz makaronu, ale on nawet na niego nie patrzy.

– Byłem ustawiony na rozkminkę, normalnie, co tam było do ogarnięcia, worek grochu, kurwa, w sumie to tyle. Tam pod kebabem, na tyłach. No i co, przyjeżdża tam cham od nich, wsiadamy do auta, wszystko dobrze, wiesz, przecież nie będę z nim wspominał, jak to w gimbie było. I co, nagle zajeżdżają jakieś chamy z piskiem...

– Czym? – pyta Kurtka.

– Co? – Chłopak nie rozumie.

– Czym zajeżdżają?

Kelnerka znowu podchodzi. Pyta, czy podać coś do picia. Nikt nie zwraca na nią uwagi. Jest tutaj przezroczyta, tak samo jak ja. Wyciągam telefon, aby zamówić ubera, i wtedy przychodzi wiadomość. Wiktor, na WhatsAppie: „Jakiś pobity queerowy chłopak na pogotowiu na Grenadierów, może to Lucek, jedziemy tam z Besią”.

– A4, stara taka, czarna, wypada dwóch, kominiary na łbach, napierdalają mi w szyby teleskopem, ty, no jaja, ja wypadam, coś tego, a ten mi daje na pizdę, momentalnie. Musiał mieć kastet. Ja leżę, ten kopa. Ale nic mi nie zabrali, żeby było śmieszniej. Zupełnie nic, kurwa. Pobili mnie dla zabawy.

Pierwsza myśl jest taka, że to kolejna noc bez snu. Druga, żeby jechać tam teraz, zaraz. Trzecia, że może poradzą sobie beze mnie.

– To nie lata dziewięćdziesiąte – zauważa jeden z bliźniaków, siadając obok.

Uśmiecham się do siebie – ten chłopak w latach dziewięćdziesiątych dopiero się urodził, i to pod koniec dekady.

– No kurwa raczej, wiesz, o co chodzi – mówi Kurtka.

Zaczyna się rozmowa, której nie rozumiem. Toczy się między nimi gwałtownie, nieskładnie, jakby zamiast mówić, wysypywali śmieci na dzielący ich stół. Męczy mnie to. Jestem w filmie, którego nie mogę wyłączyć i który już kiedyś widziałam. Znam zakończenie.

– Rafi by to odjebał? Nie sądzę.

– No a kto inny, on w ciągłym uderzeniu, siedzi non stop na rulecie. Z Maciasem to codziennie na Grzybowskiej wiszą.

– Rafi trzyma cały Goćław elegancko. Że się bawi, to się bawi, trudno. Ale stoi prosto, nie ma nic z dekle.

– Oni wszyscy durni, pamiętasz tego idiotę, co w biały dzień na Nowym Świecie chodził bez koszulki i starej babie zajebał w tryby, bo był na takim odcięciu. To jego najlepszy kolega.

– Kto jeszcze, może Pigmej?

– Który Pigmej?

– Z Bródna.

– Pigmej to zadowolony siedzi, tam nic się źle nie dzieje.

– Tak czy siak, trzeba wyżej to podać.

– Wyżej, czyli gdzie?

– Do prokuratury, kurwa. Jak to gdzie?

– Do Asłana?

– Może jakieś jego psy zjechały z budy i coś chcą na własną rękę rezać.

– Jeśli tak, to ich jutro już nie będzie.

Ta rozmowa może toczyć się całymi godzinami. A ja bezwzględnie muszę iść już do domu.

– A może jakaś zwyczajna patologia.

– Patologia albo desperacja. Nawet ten, co chciał przestać szponcić i iść normalnie, bo właśnie wyskoczył, już nie może normalnie. Bo na przykład otworzył jakąś knajpę i dojechała mu plandemia po miesiącu, i zatkało kakao.

– Znasz takich?

– Ty też znasz.

Cisza, ciężka jak bela materiału. Dopiero teraz zauważam, że w Nietoperzu nie leci żadna muzyka. Ludzie-ćmy siedzą, słuchając własnych oddechów.

– A nie mógł na wynos robić? – odzywa się jeden z bliźniaków.

– Kurtka, ja muszę jechać – mówię.

I już się podnoszę, ale on z jakiegoś powodu chce mnie zatrzymać, wstaje.

– Zadzwońcie do Śniadego – rzuca. I zanim zdążą odpowiedzieć, już prowadzi mnie do wyjścia.

Wsiadamy do auta, on opuszcza szyby. Zdenerwował się, szczęka chodzi mu w lewo i prawo. Przy kumplach próbował zachować spokój.

– Coś się zaczyna dziać? – pytam.

Patrzy na mnie.

– Nie, zwykły przypał – odpowiada, bardzo nieprzekonująco.

Powietrze zmienia się w ciemny, przelewający się olej, jakby jakaś niezgrabna, ale złośliwa dłoń poruszyła kulą, w której środku jesteście.

– Widziałam zwykle przypały i widziałam też te niezwykle.

– Gdzie mieszkasz? – pyta.

– Krasińskiego siedemdziesiąt.

Powtarza adres do telefonu, przekręca kluczyk w stacyjce, rusza. Jedzie powoli, może zbyt powoli, zatrzymuje się na pomarańczowym, przed przejściami dla pieszych, na których nikogo nie ma.

– Wziąłem cię tam, bo co miałaś, w aucie siedzieć?

– W sumie tak byłoby lepiej.

Spogląda na mnie. Po twarzy przejeżdża mu plama światła i znowu staje się kimś innym.

– Ty wiesz, o co chodzi. Po prostu.

– Po prostu się od tego odbiłam – odpowiadam. Już w ogóle nie jestem upalona.

Na WhatsAppie wiadomość od Wiktora: „Lucek wciąż nie wrócił”. Odpisuję, aby poszedł spać, jak głupia matka.

Niepokój wchodzi w zmęczone ciało przez czubek głowy, podobny do długiej na metr, zimnej igły. Niepokój najgorszego gatunku, ten nieusuwalny.

– Kurtka, jeśli chciałabym kogoś znaleźć...

– Mam takiego jednego wariata. Dwadzieścia procent bierze z tego, co odzyska. – Chrząka.

– Nie, nie o to mi chodzi. Chłopak z mojego ośrodka. Parę dni temu zniknął w mieście. Martwimy się.

– Niech psy go szukają.

– Mógł sobie narobić kłopotów – mówię bardzo oględnie.

– Nie masz na nic wpływu – stwierdza nagle Kurtka i ma rację.

Znowu zatrzymujemy się na światłach, on sięga po telefon. Wchodzi w jakąś aplikację, zaczyna przeglądać kontakty.

Nawet nie dostrzegam, kiedy dojeżdżamy pod mój dom. Zatrzymuje się na awaryjnych.

Mówi mi dobranoc. Odpowiadam mu, aby uważał na przypały. Przez parę sekund patrzymy sobie w oczy. O sekundę za długo, aby nie miało to znaczenia. Łączy nas coś nieokreślonego, trudnego do złapania w jedno konkretne słowo. Pewien stan skupienia. Kondycja upiora.

Przychodzi mi na myśl, że przez zarazę wszyscy stają się tacy jak my.

A może po prostu szukam w nim Jacka.

Zanim otworzę drzwi na klatkę, spoglądam na niebo.

Prawdopodobnie już nigdy go nie spotkam. Co bym jednak zrobiła, gdyby to się stało?

Pewnie zaczęłabym krzyczeć i go wyzywać. Nie zostawia się mnie tak, ty chuju. Nie kasuje się mnie bez powodu. Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? Krzyczałabym i krzyczała. A potem, potem nie mam pojęcia, co by się stało.

Niech może będzie sobie tam, gdzie jest. Niech się nie pojawia. Nie wychyła. Niech będzie szczęśliwy, o ile potrafi.

Jacek, ten dziwny przyjaciel.

Wchodzę na klatkę i zamykam za sobą drzwi, zostawiając myśli o nim na zewnątrz.

17 WRZEŚNIA 2020

Próbowałam zrobić coś dla siebie, spędzić ten dzień na jakiejś formie regeneracji. Nic z tego. Wybrałam się po podstawowe zakupy, ale nie widziałam sensu w kupowaniu czegokolwiek. W końcu zjadłam obiad, naleśniki wzięte na wynos z wegańskiej knajpy. Jadłam je z plastikowego pudełka, zdziwiona słońcem, siedząc na ławce i zaczepiając cudze psy. Przez moment zastanawiałam się, czy nie zaczynam wariować.

W nocy nawet nie starałam się zasnąć. Paliłam jointa za jointem, próbując się skupić na kolejnych gównianych serialach. Powoli przestawałam rozumieć ideę telewizji, nie wiedziałam, po co mam się wpatrywać w zaaranżowane perypetie poprzebieranych obcych osób.

Sen przyszedł rano, połknął mnie jak studnia, która połyka wrzucony do niej kamień.

Obudziłam się wieczorem. Na telefonie było dwadzieścia pięć nieodebranych połączeń od Wiktora. I wiadomości, na WhatsAppie, na Telegramie. „Odbierz”. „Pazina? Odbierz, pls”. „Pilne. Proszę”.

Menel głośno miauknął, gdy zrzuciłam go na podłogę.

To uczucie też nie było wybudzaniem się, było gwałtownym wypłynięciem na powierzchnię, świadomość przyniosła ból całego ciała, zwłaszcza płuc, niczym od gwałtownej różnicy ciśnień. To dlatego, że

przed zaśnięciem spaliłam jeszcze jednego jointa, bez tytoniu, grubego jak palec, zaciągając się łapczywie tym dymem, jakbym go piła.

Czasami się zastanawiam, jakim cudem moje ciało wciąż działa. Serce bije, układ pokarmowy trawi, płuca pobierają tlen. Jakim cudem to ciało nadal chce różnych rzeczy. Pić, jeść, dotykać się. Ono powinno przestać działać. Nie mam dla niego krztyny litości. Nienawidzę go. Nie chodzi o to, że mam jakiś problem, patrząc w lustro. Przyzwyczaiałam się do siebie. Gdzieś jestem krótsza, gdzieś dłuższa, gdzieś jest mnie za dużo, gdzieś za mało. To bez znaczenia. Chodzi o to, że traktuję je jak stary samochód, maszynę, która ma służyć na przekór wszystkiemu. Zarzynam je, nie robiąc mu przeglądu, nie zmieniając oleju, tankując truciznami i gównem.

– Wiktor – mówię, odbierając połączenie.

– Znaleźli Lucka na tyłach Novotelu przy Marszałkowskiej, nie żyje. – Ma przerażony głos, wysoki, zasapany, jakby właśnie ktoś go gonił.

Pytam go, skąd wie.

– Są tutaj – odpowiada.

Tłumaczę, że nie zrobią mu krzywdy, i proszę, by dał mi kogoś do telefonu.

– Pani... – słyszę w słuchawce.

– Pazińska. Tak, ja jestem szefową ośrodka.

– Przy chłopaku znaleźliśmy ulotkę – wyjaśnia policjant.

Do bólu płuc dochodzi ból głowy. Gdy podnoszę się z łóżka, skrzypię. Całe moje ciało jest przerdzewiałe od środka, ledwo doczłapuję do łazienki.

– Ale wiecie, kim jest...

– W portfelu była tylko ulotka. Żadnych pieniędzy i dokumentów – mówi policjant, a ja mam wrażenie, jakby z telefonu wychodziły grube, brudne palce i wpychały mi się do uszu.

W uberze, patrząc przez okno, zaczynam rozumieć, że jestem zatrzaśnięta w jednej i tej samej nocy trwającej w nieskończoność, w jakiejś resztkę uszkodzonego snu. To nie może istnieć naprawdę, wszyscy zginęliśmy, świat się skończył, zostały resztki dryfującej w nicości ogromnej czasoprzestrzeni.

Wyrywa mnie z tego stanu utwór techno z ukraińskim wokalem, który nagle wypełnia wnętrze samochodu. Kierowca przepasza, ścisza, a ja w głębi ducha jestem mu wdzięczna, że ściągnął mnie z powrotem na ziemię.

Policjant jest wysoki, niedźwiedziowaty, nawet przystojny, długa, zadbana broda nadaje mu wygląd żołnierza ze Wschodu. Równie wschodnia jest policjantka: lekko napompowane usta, blond włosy splecione w warkocz wystający spod czapki z daszkiem. Oboje są w cywilu, w dżinsach i lekkich kurtkach, wyglądają jak młodzi normalni, zdradzają ich tylko blachy zwieszane na szyi na metalowych łańcuszkach. Gdy dociera do mnie, że to nie są zwykłe krawężniki, tężeję.

– Jesteście z kryminalnej? – pytam ich.

– Wydział kryminalny komendy stołecznej policji – recytuje kobieta. Szybko macha przy tym blachą, tak szybko, że nie mam szans niczego z niej przeczytać.

Prowadzę ich do otwartej przestrzeni, gdzie są piłkarzyki, sala ze starym telewizorem i jeszcze starszą konsolą, stoliki. Siedzam ich na kanapie. Nie podoba im się tu, nie podobają im się szablony, grafiki i graffiti na ścianie: QUEER SUICIDE COMMANDO; SYSTEM GNIJE OD ŚRODKA; ZANIM UMRĘ, ZABIORĘ WSZYSTKICH ZE SOBĄ. Nie podobają im się popielniczki pełne petów, tęczowa flaga z piorunem.

Wiktor kuca w rogu, zapłakany. Besia stoi obok niego, trzymają się za ręce jak zakochane nastolatki.

– Gdzie on jest? Możemy go zobaczyć? – pytam.

– Czy pani jest w stanie potwierdzić tożsamość? – ustala policjantka.

– Ja jestem w stanie. – Wiktor nagle wstaje, przestaje płakać.

– Pani, jak mniemam, jest niepełnoletnia.

– Nie jestem żadną panią, nazywam się Wiktor.

– Tak czy siak, jesteś osobą niepełnoletnią.

Wiktor wyjmuje dowód osobisty. Podstawia go policjantce pod nos. W dowodzie ma swoje właściwe imię. Wiktor Grzelak.

– Wiktor, idź do biura – proszę go.

Kiwa głową. Powoli wchodzi po schodach. Stara się być twardy, godny. Policjantka patrzy za nim. Chcę myśleć, że w jej oczach jest jakaś szczerza sympatia.

Wiktor kiedyś miał na imię Ania. Teraz strzyże się na krótko, nosi szerokie spodnie, pod wielkimi bluzami z kapturem ma binder. Był sierotą, rodzice zginęli, gdy był dzieckiem. Wychowywała go babcia, która parę lat temu osunęła się w demencję. Był pełnoletni, więc żył ze spadku, i od początku twierdził, że nie przyszedł do Azylu po pomoc, tylko po to, by pomagać. Ale oczywiście był taki jak oni wszyscy. Pozbawiony skóry,

zabijany przez własne emocje. Do tego dochodziło zimne piekło internetu – Wiktor potrafił siedzieć przed ekranem po szesnaście godzin dziennie. Przeżywał to, co działo się w social mediach, jak nieustanną serię małych apokalips. Powoli, krok po kroku, przesuwałam go do rzeczywistości. Podarowałam mu rutynę. Nauczyłam go prostych czynności – sprzątanía, gotowania. Teraz nabrał odporności, pokrywa go ochronna warstwa. Jest cienka i krucha jak skorupka, ale przynajmniej nie boli go byle dotyk.

Wszystko fajnie, ale właśnie stoję przed dwojgiem policjantów, a kieszeń kurtki wypycha mi trzydzieści gramów zielska. Bąkam więc coś do nich i biegnę do biura, wciskam zielsko za kartony z jedzeniem, następnie otwieram szuflady i próbuję znaleźć białą kopertę A4 ze skanami i kserokopiami dowodów osobistych. No tak, tylko że Lucek nie pokazał mi żadnego dokumentu. To nigdy nie był bezwzględny warunek przyjęcia do Azylu.

W drzwiach pojawia się Besia. Podsuwa mi ekran telefonu.

– Sfotografowałam jego legitymację szkolną. Kiedy przyszedł.

– Legitymację szkolną – powtarzam.

Kiwam głową, opieram się o ścianę. Walczę ze sobą, żeby nie zemdleć. Ktoś wytarł mi język i podniebienie papierem ściernym, potwornie chce mi się pić.

Na wyświetlaczu komórki widnieje legitymacja dziecka, które nazywa się Oskar Malinowski i według daty urodzenia ma szesnaście lat. Ale na zdjęciu jest Lucek, bez dwóch zdań, ze skórą jaśniejszą od tła, na którym stoi, wąziutką kreską ust uformowaną w niepewny uśmiech i oczami przestraszonej sarny.

Schodzę na dół, pokazuję zdjęcie policjantom. Wpatrują się w nie przez chwilę.

– Dobrze, skontaktujemy się z rodziną – mówi blondynka, po czym zaczyna spisywać dane ze sfotografowanej legitymacji.

– Nie rozumiem, co pani chce powiedzieć. To on czy nie? – pytam.

– Rodzina musi go zidentyfikować – odpowiada, nie patrząc mi w oczy. Gdy w końcu na mnie spogląda, to tak, jakbym była głównianym meblem ze sklejki.

Ona i brodacz wstają, a potem ruszają do wyjścia.

Podbiegam do niej, łapię ją za rękę. Wyszarpuje się, odwraca i patrzy na mnie gniewnie, już nie jak na mebel, ale jak na wroga, jej dłoń odruchowo wędruje do przytroczonego przy pasie gazu.

– Spokojnie – mówi.

– Ja jestem spokojna. Ale jeśli to on... to są jego przyjaciele, to po pierwsze. – Pokazuję na Wiktora i Besię.

– Mamy obowiązek informowania tylko najbliższą rodzinę – tłumaczy brodac.

– Byłam osobą odpowiedzialną za niego przez ostatnie tygodnie. Więc to chyba ja powinnam poinformować rodzinę, jeśli już. – Staram się wyrażać jak najspokojniej, papier ścierny w gardle mi w tym pomaga, wydłuża pauzy między wyrazami.

– A rodzina w ogóle wiedziała, że on tu jest?

Gdy policjantka zadaje to pytanie, Wiktor lekko się garbi, tak jakby stanowiło to ostateczne potwierdzenie: tak, to Lucek, nie ma najmniejszych wątpliwości.

– Posłucha mnie pani – mówi policjantka ze spokojem bankowego bota, który dzwoni z bardzo korzystnym kredytem gotówkowym. – Pani nie chce dalszych problemów. My mamy przykaz z dzielnicy, aby was obserwować. Ludziom nie podoba się to, co robicie.

– Czyli co? – pytam.

Teraz musi znaleźć odpowiednie słowa, bardzo się wysilić. Drzwi na górze się otwierają, kilkoro dzieciaków wyłazi na klatkę, schodzi po schodach. Wpatrują się w intruzów, jakby chcieli ich zamordować. Oni z kolei, uciekając od tych spojrzeń, jeszcze raz przyglądają się napisom, petom, stolikom.

– Czyli, nie wiem no, jak to nazwać, taki samozwańczy poprawczak – odpowiada w końcu policjantka. – I ja mówię do pani, że tak powiem, z sympatii, bo uważam, że słabszym trzeba pomagać. Ale naprawdę czekają na wasze pierwsze spotkanie.

– Kto czeka? Radni? Sawicki? – Dopiero teraz przypomina mi się nazwisko Anioła Biznesu.

– Tak że ja bym nie podnosiła głosu na policjanta wykonującego czynności – kończy blondynka.

Brodacz milczy, ogląda paznokcie. Nie wiecieczemu, zastanawiam się, czy ze sobą sypiają i jak to musi wyglądać. Mózg uszkodzony brakiem snu generuje randomowe obrazy i jedyne, co można zrobić, to pozwolić im płynąć.

Wstaję. Biorę papierosa z leżącej na stole luźnej paczki, każę tym na schodach wrócić na górę, Wiktorowi i Besi też.

– No ale przyjechaliście tutaj. Z tego, co rozumiem, po pomoc. Więc pozwólcie sobie pomóc, bo tym właśnie się tutaj zajmujemy. Pomocą. – Odkładam papierosa z powrotem i ruszam w stronę drzwi. Odprowadzają mnie ukryte w półmroku klatki oczy przestraszonych wilcząt.

*

To on. To Lucek. Potworny smutek wypełnia żołądek czarną, tłustą ropą. Gdy ropa podchodzi do gardła, muszę zatkać usta dłonią.

Jest bardzo ciężko pobity. Na twarzy ma rany i siniaki, i okrągłe ciemnoczerwone ślady; nie chcę wiedzieć, czym są. Nie wygląda, jakby spał. Wygląda jak ktoś zamordowany. To nie pierwszy raz, gdy widzę trupa, ale pierwszy, gdy oglądam ciało w takim stanie.

Ta potworność będzie potrzebowała dni, by mi się w pełni objawić.

– Potwierdza pani jego tożsamość? – pyta policjantka.

Mam przyjaciółkę, Ewę, terapeutkę, psycholożkę, świadkinię w sprawach sądowych. Tak zwanej trudnej młodzieży oddała kilkadziesiąt lat życia. Można uratować jedną osobę na dziesięć, Marta, mówiła mi. Przygotuj się na śmierć, powtarzała, gdy otwierałam Azyl. Bo prędzej czy później ktoś się powiesi, potnie, naje leków. Albo spotka go jakaś krzywda.

– Proszę pani. – Głos policjantki dobiega jakby z innego budynku.

– Tak, Lucek – mówię po chwili.

– Lucek?

Potrzebuję chwili, aby przypomnieć sobie jego nazwisko.

– Oskar Malinowski, tak, to on.

Jest umalowany, makijaż zlewa się z ranami i obrażeniami, usta krwistoczerwone, powieki błękitne. Brzydki makijaż przebranego dziecka, uszkodzonej lalki. Coś ty narobił, na kogoś ty trafił?

– Co się stało? – Odwracam się do policjantów.

– Jeszcze nie ma dokładnych badań, czekamy na lekarza medycyny sądowej... – Chce powiedzieć „ale”, i to „ale” nie przechodzi jej przez gardło, a gdy w końcu wydostaje się na zewnątrz razem z drugą częścią zdania, głos policjantki staje się inny, ludzki, jej pancierz kruszeje, i nagle jesteśmy w tym razem, ona i ja. – Ale ktoś go skatował na śmierć, widzi pani.

Znowu robi mi się niedobrze, zapewne od koloru tego pomieszczenia, od barw kafelków pokrywających ściany i podłogę. Te kafelki – brudnoszmaragdowe, rzygliwie łososiowe, bladoróżowe – są przeznaczone specjalnie do złych miejsc, miejsc kaźni. Szkolne prysznic. Sale operacyjne. Pomieszczenia egzekucji.

Kto nas tu włożył, pytam się, co to za żart, kim jest ten psychopata, który chce sprawdzić, ile wytrzymamy zamknięci z trupem dziecka w wielkiej kostce brudnego mydła?

– Proszę, chodźmy stąd.

Wychodzimy na zewnątrz. Idziemy teraz na górę płataniną schodów, które są niby ewakuacyjne, ale sprawiają wrażenie, jakby każdy z ciągów kończył się śmiertelną pułapką.

W biurze policjantka w ludzkim odruchu robi mi rozpuszczalną kawę. To zmęczenie, poczucie klęski, ono przyjdzie jak huragan, czarna burza, zaczadzi mi głowę tak, że nie będę umiała się nawet przedstawić, ale to jeszcze nie teraz, jeszcze chwila.

– Ewelina – mówi kobieta i wyciąga dłoń, którą ściskam. Ma różowe paznokcie, tak krzykliwe, że aż ładne.

– A ja jestem Mateusz – przedstawia się policjant. Musimy w końcu zamienić się w ludzi, bo oszalejemy. Człowiek w obliczu śmierci musi wybuchnąć, a następnie trwać dalej. Co to za zdania?

– Powinniśmy się skontaktować z jego rodziną. Ustalić... – zaczyna Ewelina, ale Mateusz jej przerywa:

– My już chyba nic nie będziemy ustalać. I tak zaraz nam to zabiorą.

Zamykam oczy i natychmiast jestem z powrotem w szmaragdowym pomieszczeniu. Przychodzą detale, pęknięta warga, podrapany podbródek, ciemne pręgi na szyi. Przychodzą i zostają, zostaną już na zawsze. Trwa bezgłośnie tatuowanie kory mózgowej. Nic tego nie zmyje. Żadna burza, żaden deszcz.

– Nie zabiorą zaraz, nie zabiorą za godzinę i nie zabiorą za dwie – mówi Ewelina. Choć jej głos znowu robi się mechaniczny, napięty jak struna, to od czasu, gdy podała mi swoje imię, już nie mogę myśleć o niej jako o bocie. – Znajdź rodziców. I od razu do nich zadzwoń – wydaje polecenie.

– Teraz? Nad ranem?

– Tak, teraz, nad ranem.

Bez dwóch zdań to ona jest tu górą, w każdym aspekcie ich relacji.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie...

– Marta.

– Posłuchaj, Marta. Chłopak miał przy sobie plecak. W plecaku była gotówka, całkiem spora jak na takiego sryła, jakieś dwa i pół koła. Do tego kondomy, lubrykant, maszynka do golenia. Ketamina, chyba, laboratorium jeszcze to mieli. Jedna tabletkę PrEP.

– No i? – Nie rozumiem, chociaż tak, rozumiem.

Wzdycha.

– Jak mam to nazwać, żeby nikogo nie obrazić?

To nowe uczucie, które przykrywa smutek. Uderzenie w twarz z płaskiej i niewidzialnej dłoni.

– To niemożliwe. Nie ma szans.

– Niby czemu?

Niemożliwe, bo ich pilnowałam. Bo byłam odpowiedzialna i czujna. Bo mieliśmy umowę. Bo podpisywaliśmy kontrakty. Bo spałam po trzy godziny na dobę po to, aby byli bezpieczni i zaopiekowani. Głupia, głupia matka. Marta Pazińska. Oczywiście, że to możliwe. Taka z ciebie obrończyni, idiotko. Tak ratujesz ludzi.

– Najpewniej zrobił to klient. Pobraliśmy DNA, z tym że nie ma pewności, że ono należy do sprawcy.

– Czyli nie wiadomo, czy ktoś go zgwałcił i zabił, czy tylko zabił. – To zdanie wypowiada ktoś o głosie identycznym jak mój. Ale to nie jestem ja.

– Czyli nic, kurwa, nie wiadomo – mówi ten sam głos dużo gwałtowniej.

Płacz włącza się na krótką chwilę. Jest głośny, brzydki i zawstydzający. Gdy się uspokajam, ona mówi:

– Nie jesteśmy wrogami, ty i ja.

Wstaje, otwiera szufladę, wyciąga cienkie papierosy, zapala jednego. Patrzy na mnie już nie jak na mebel, na przeszkodę, ale jak na drugiego człowieka. Studiuje mnie, próbuje się dowiedzieć, kim jestem.

– Posłuchaj. Skup się. Rodzina na pewno uzna, że to twoja wina, więc nie próbuj nawet z nimi rozmawiać – instruuje. – Złożysz teraz zeznania, oni je zobaczą, i tyle. Nie rozmawiaj z nimi.

Kiwam głową. Ona naprawdę nie jest moim wrogiem. I to, co mówi, ma sens.

– Powinnaś wysłać te dzieciaki do domu. Do swoich rodzin – dodaje.

– One stamtąd właśnie uciekły – odpowiadam.

– Posłuchaj sama siebie, jaki to teraz argument? Ja chcę ci pomóc... Jesteś dobrą osobą.

Nie ma bardziej upokarzającego zajęcia na świecie niż bycie dobrą osobą, myślę, a ona kiwa głową, jakby przeczytała tę myśl.

– I zabiorą mi to miejsce. Przyjdzie inwestor, ten z Bali...

– Ja nie wiem, o czym mówisz – przerywa mi. – I to nie jest moja sprawa.

Ma rację, sama nie wiem, o czym mówię.

Wraca Mateusz, w ręku trzyma kubek z czymś ciepłym. To coś wstrętnie pachnie, trochę jak rosół z proszku, ale ewidentnie trzyma go w pionie.

– Rozmawiałem z matką. Nie wierzy, że to jej syn. Ale będą tu za dwie godziny.

– No dobrze. – Ewelina sięga po papier i długopis.

Zadziwia mnie, że wciąż robią to ręcznie. Jakby ktoś chciał, aby byli mniej efektywni, aby nie dawali sobie rady, aby system, w którym tkwią, nie działał, istniał tylko dla pozoru, zepsuty i żalony.

Bandyci, których znałam, zawsze się z nich śmiali. Oprócz Jacka, ale Jacek nie śmiał się z niczego. Teraz myślę, że potwornie cierpiał, napięcie musiało wypalać go od środka, jak kwas, jak rak. Tak to jest, gdy w obliczu pożaru próbujemy chronić papierowe domki. Ale czy sama nie robię czegoś podobnego? Lucek. Okej, dzieci to robią, nie urodziłam się wczoraj. Tylko że Lucek był tak kompletnie naiwny. Odłączony od świata, trwale półprzytomny. I niewinny, przede wszystkim niewinny. Kurwa, przecież sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co to w ogóle są pieniądze.

Może na dole, w tej kostnicy, to nie on? Może powinnam tam zejść, jeszcze raz sprawdzić? Może Lucek nie był wcale Oskarem?

Na ile ja mogę ich pilnować? Na ile można upilnować kogokolwiek? Nie mam pojęcia, mogę dotknąć tylko tego, co w zasięgu ręki.

Czy to już wszystko? Tak, to już wszystko.

Ewelina kiwa głową i pokazuje mi kartkę. Ma nawet ładny charakter pisma, równy, nie robi błędów.

– Nie powiedziałam tego zdania. – Pokazuję na jedną z linii.

– To dla twojego dobra – zapewnia.

Zdanie brzmi: „Wielokrotnie próbowałam skontaktować się z rodzicami denata i nakłaniać go do powrotu do domu rodzinnego, ponieważ robię tak z każdym moim podopiecznym. W przypadku Oskara okazało się to bezskuteczne”.

– Zawsze to robisz? – pytam.

– No co ty – odpowiada. I dodaje z wahaniem: – Ludzi, którym warto pomagać, jest niewiele.

Ciekawe, jak wygląda jej prawdziwa twarz, myślę, gdyby zmasać z niej tę tapetę. Pewnie jest nawet ładna. Na pewno ładniejsza od mojej. A może nikt tak naprawdę nie jest ładny? Są po prostu typy twarzy, które sugerują, że ktoś jest dobrym człowiekiem, to rodzaj mimikry, pawiego pióropusza.

– Idź spać i uważaj na siebie. – Ewelina podchodzi do drzwi i je otwiera, a gdy wychodzę, dotyka moich pleców w dziwny sposób, trochę je klepie, a trochę głaszcze. Odruchowo podskakuję. Cofa dłoń, jakby się przestraszyła własnego gestu.

Następne dwie godziny przeżył chyba ktoś inny, ja tylko oglądam je na filmie, choć zapis jest niewyraźny, a obraz ma taką barwę, jakby cały świat stał się ciemnią fotograficzną. Pazina wchodzi do Azyłu, Pazina mówi dzieciakom: tak, to prawda, Pazinie chyba udaje się nie rozplakać, gdy przytula poszczególne osoby, udaje się jej nawet rozumieć cudze słowa. A potem Pazina znika, bo jej ciało ma już dość, i mówi: idź się jebać, Pazina, na razie, po czym pada tam, gdzie stoi.

18 WRZEŚNIA 2020

Miałam tego nie robić, ale wyszło jak zwykle. Całe moje życie to robienie tego, co inni mi odradzają. Przynajmniej spałam, bite dziesięć godzin.

Gdyby nie sen, rozmawiając z nią, pękłabym na pół, dostała zawału.

– Nie jestem złą osobą. – Matka Lucka siedzi naprzeciwko mnie, po drugiej stronie biurka. Jest równie szczupła i biała jak Lucek, powiększone usta bez szminki czy błyszczyka wyglądają jak dwie gumowe dżdżownice przyklejone do twarzy. Ubrana jest w drogie rzeczy, na kolanach trzyma torebkę Louis Vuitton. Zaciska dłonie na uchwytach tak mocno, jakby w środku było jej serce.

– To straszne, co panią spotkało. Ja sobie tego nawet nie wyobrażam. Nie mam dzieci.

– Wspominam o tym, bo... bo wszyscy myślą, że dzieci uciekają od złych rodziców – mówi, jakby połknęła żyletkę.

– Ja tak nie zakładam – zapewniam, chociaż to oczywiste, że tak zakładam, bo dzieci nie uciekają z domów, w których rodzice są

w porządku. To wymaga siły, aby uciec z domu. To jak skoczyć na główkę, nocą, do ciemnej wody, z wysokości, której nie da się ocenić.

Wiktor, opuchnięty od płaczu, wchodzi do pokoju z dzbankiem herbaty, stawia go na biurku. Opadające na dno torebki sagi również przypominają coś, co kiedyś żyło w wodzie i nagle umarło, zatrute tajemniczą substancją. Nalewam płyn do kubka, kobieta machinalnie bierze łyk. Kiwam głową, daję Wiktorowi znak, aby wyszedł.

Jak dotąd spotkanie przebiega spokojnie, ale i tak jest potwornie trudne. Kobieta nie krzyczy, nie atakuje, nie histeryzuje, mimo to sprawia wrażenie, jakby umierała w zwolnionym tempie.

Przez ostatnie pół godziny wymieniliśmy mniej niż dziesięć zdań, ale zużyłam na to całą swoją energię i cały oddech. Gdy matka Lucka w końcu wyjdzie, zemdleję.

– Policja powiedziała pani, że Oskar tu był? – pytam.

– Nie, syn powiedział mi to sam.

– Sam – powtarzam ostatni wyraz, zdziwiona.

– Co pani myśli, przecież ja w kółko pytałam się go, gdzie on jest, dzwoniłam do niego co chwila. I w końcu podał mi adres tego miejsca. Co w tym dziwnego?

Nie wiem, nie mam pojęcia, co w tym dziwnego.

– Że po niego nie przyjechałam? To panią dziwi?

Znowu nie odpowiadam, bo nie chcę jej przytakiwać, nie chcę też zaprzeczać.

– Bo się bałam, że ucieknie gdzieś dalej? Ja... bo ja zupełnie nie wiedziałam, o co mu chodzi, a gdy już się dowiedziałam, to...

Pęka na moich oczach, widzę, jak na jej twarzy pojawiają się kolejne rysy. Maskę się łuszczy, odpada z twarzy grubymi płatami.

– Ja też jestem ofiarą, wie pani?! – krzyczy przez płacz. – Myśli pani, że ja mogłam coś zrobić? Że kobieta może zrobić cokolwiek?

Wstaję z krzesła. Tu kończy się moja siła. Całe życie robię rzeczy, których nie powinnam. Odwracam się do niej tyłem, przynajmniej przez chwilę muszę na nią nie patrzeć.

– A pani czemu go nie upilnowała?! – wrzeszczy dalej. – Co pani tu właściwie robi, co?! Co to za miejsce? Co to za flagi tęczowe? Co to za bazgroły, co to za syf jest?!

Nie odpowiadam.

– Czemu to ma służyć? Pracy z trudną młodzieżą? I co, pracuje tu pani z nimi? Niby nad czym? Co to za praca?!

Czuję drobne skurcze mięśni, jak przy rażeniu prądem.

– I niby on się kurwił? Mój jedyny syn?! Może ty sama go do tego namawiałaś, co?

Wiem, że dzieciaki tego słuchają. Może właśnie w ten sposób dowiadują się o tym, co robił Lucek. Nie rozmawialiśmy na ten temat. Nie było czasu. Nie miałam siły.

Biorę bardzo głęboki, pojedynczy wdech.

– Bardzo pani współczuję i udzielię pani każdej pomocy, jakiej będę w stanie. – To zdanie brzmi fałszywie, jak kwestia z *Klanu*.

– Odpowiedz. Namawiałaś go?! – Kobieta w ogóle nie słyszy, co do niej mówię.

Odwracam się z powrotem dopiero na dźwięk przesuwanego krzesła.

– Zrobię wszystko, żeby ten, który to zrobił... – Nie mam siły kończyć tego zdania. Wymawiam je cicho łamiącym się, przestraszonym głosem. I chyba nie ma już sensu dodawać cokolwiek.

Za to ona mówi dalej. Stoi przede mną i celuje we mnie palcem jak pistoletem.

– Tacy sami jesteście, wszyscy, co do jednego. Myślicie, że zbawiacie świat, że każdemu potraficie pomóc, że będziecie mówić ludziom, jak żyć. Jakich używać wyrazów, jak się zwracać do innych, aby nikogo tylko nie obrazić. Najmądrzejsi, światli. A kiedy przychodzi co do czego, dziecko idzie na dno, a wy tylko patrzycie. Patrzycie i nic nie potraficie zrobić, tylko siorbiecie sobie to latte sojowe. Albo sami jeszcze popychacie, zachęcacie, tak, idź dalej w to dno, zobacz, jakie fajne to jest. Jakie, kurwa, wyzwolone.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio piłam jakieś sojowe latte. Nie wiem nawet, gdzie teraz w Warszawie można je kupić. Każde jej słowo pomniejsza mnie o centymetr, aż w końcu staję się wielkości krasnoludka. Kobieta jest ogromna, stoi nade mną jak potwór z hollywoodzkiego filmu.

– Wiem, co pani czuje – mówię.

– Gównu wiesz!

Gdy w końcu wychodzi, siedzę sama przez dziesięć minut. Zamykam oczy. Liczę oddechy. Każdy wdech pali płuca. Każde uderzenie serca jest jak uderzenie młotem.

Wstaję i idę do kuchni. Są tam, czekają na mnie, wszyscy Azyłowicze. Około dwudziestu osób.

Besia proponuje, aby może każdy z nas powiedział coś miłego o Lucku. Mówi szybko i bezładnie, jej głowa próbuje panicznie zracjonalizować jego śmierć. Przerywam jej.

– Wiedzieliście, że to robił? – pytam. Patrę w oczy każdemu z nich po kolei. – Wiedzieliście, że są konsekwencje za robienie nielegalnych rzeczy? Czytaliście kontrakty?

– To nie jest nielegalne – mówi cicho Wiktor.

Odwracam się w jego stronę. Zużywam całą swoją siłę, aby nie wpaść w szal.

– Sutenerstwo jest nielegalne, Pazina. Poznaj prawo, a potem... – ciągnie.

– To jest nielegalne tutaj – warczę jak zła suka. – Dlatego, że jest niebezpieczne.

Nie przestają się mądrzyć. Robią to w obronie własnej. Ktoś zaczyna płakać. Ktoś trzęsie się z nerwów. Trudno.

– Nie wiadomo, czy niebezpieczne. Różne osoby sexworkerskie mówią coś innego. – Edgar poprawia okulary na czole.

Głęboki wdech. Twoje własne zasady, przypomnij je sobie. Na przykład ta: gdy masz krzyknąć, weź głęboki oddech. Ułóż sobie w głowie zdania, które chcesz powiedzieć. Daj sobie czas.

– Fakty. Są straszne, ale ja za to nie odpowiadam. Lucek nie żyje. Ktoś go zabił. Policja twierdzi, że to ktoś, z kim Lucek uprawiał seks za pieniądze. Ja nie chcę dramy. Ja chcę uczciwości. Chcę wiedzieć, kto z was o tym wiedział i to przede mną ukrył.

Milczą. Patrzą na swoje buty. Bardzo przestraszone, biedne dzieciaki. Kurwa mać. Nagle to rozumiem. Wiedzieli wszyscy.

Najpierw rękę podnosi Edgar, potem, Rena. Potem jeszcze dwie osoby. A na końcu Wiktor.

Okej, większość z nich po prostu się bała mi powiedzieć. Lubili go. Nie chcieli kablować. Ale Wiktor – Wiktor to co innego. Wiktor jest pełnoletni. Jest odpowiedzialny. Jest moją prawą ręką. Wiktor będzie miał przepierdalone.

– Ja, ja po prostu uważałem... – zaczyna, potykając się o własne słowa. – To by było wykluczanie, Pazina. Gdybyś go wyrzuciła.

Staję przed nim na odległość wyciągniętej dłoni. Proszę Boga, bo nie mam już kogo prosić, o siłę, aby nie zmienić się teraz w najgorszą wersję siebie.

– Może bym go wyrzuciła. Może nie. Ale znałeś zasady.

– Zasady? A ty co jesteś Pazina, jakimś SWERF-em? Co ty właściwie chcesz powiedzieć, że Lucek umarł za karę?! – krzyczy w odpowiedzi. – Zastanów się może, czy rzeczywiście jesteś po naszej stronie, co?

Besia podchodzi, przytula go. Mówi mu coś na ucho, co ma go uspokoić, ale Wiktor się nie uspokaja. I ja też nie.

Jeśli masz krzyknąć, zaciśnij zęby. Policz do dziesięciu. Licz dalej. Policz do stu.

A potem wytłumacz, o co ci chodzi. Drugiej osobie, i sobie samej.

– Jak może się domyślacie, walczymy tu o przetrwanie. Wszyscy chcą się nas stąd pozbyć. Wykorzystają pierwszą możliwą okazję, bo nie uważają nas za ludzi. I dlatego nikt w Azylu nie ćpa, nie kradnie, nie robi sexworku, nawet nie jedzie tramwajem bez biletu. Nikt nie robi niczego, co pomogłoby naszym wrogom nas stąd wykopać. Prosiłam was. Mówiłam wam to codziennie.

Wiktor patrzy na mnie z żalem i wściekłością, które zburzyłyby wieżowiec.

– Przestań zachowywać się tak, jakbyśmy to my go zabili! – krzyczy w końcu.

Biorę głęboki oddech. Jasne. Ma rację. To nie jest ich wina.

Głosem robota recytuję nowe zasady.

Od teraz nie ma wychodzenia z Azylu po dwudziestej drugiej. Zawsze mają mieć włączone telefony. Muszę dostać numer do jednej osoby z rodziny, której ufają – siostry, brata, cioci, dziadka, kogokolwiek. Podkreślam: to dla waszego bezpieczeństwa. Obwieszczam to jak stan wojenny i wychodzę. Wracam do biura, zamykam drzwi. Papieros, woda. Nogi na biurku. Po paru minutach kolejne oddechy mniej palą. Serce przestaje być moim wrogiem. Może zachowuję się jak dziecko, które samo poddało się głupiej emocji: biedna ja, smutna ja, ja zawsze będę szła sama. Ta emocja jest głupia. Ona nie ma znaczenia. Przeganiam ją jak gryzący dym.

Lucek nie żyje. Ktoś gasił mu pety na twarzy. Lucek leży w pomieszczeniu wyłożonym szmaragdowymi kafelkami.

Może rzeczywiście powinien to wszystko przejąć deweloper. Stworzyć tu piękne, sztuczne mieszkania. Zamalować ściany, położyć parkiety, wstawić designerskie meble. Ogrodzić bramę wjazdową, zainstalować monitoring, wstawić na ochronę emeryta, dać mu krzyżówki i gaz pieprzowy. W podwórku zrobić pasek równego zielonego trawnika. Zostawić tylko nazwę, Azyl, jako przypomnienie, że nie ma czegoś takiego jak bezpieczeństwo za darmo, że trzeba sobie na nie zapracować.

Wiktor pojawia się po paru minutach. Siada naprzeciwko mnie.

– Obiecujesz? – pyta.

– Co? Co mam ci obiecać?

– Że ich znajdziemy – mówi cicho.

Patrzę mu głęboko w oczy. Czy istnieje określenie na kogoś, kto jest przerażony i odważny jednocześnie?

– Ty nikogo nie będziesz szukał – odpowiadam.

– Obiecujesz? – pyta znowu, jakby nie usłyszał moich słów.

Patrzę na niego. Odwaga i strach zlały się w jego oczach w jedno. Jest młodziutki, a zrobił już coś, o czym większość nawet boi się myśleć – znalazł w sobie prawdziwego siebie i stał się nim, kosztem ostracyzmu i lęku. Niewiele rzeczy wymaga większej odwagi.

– Obiecuję – potwierdzam, łapiąc go za rękę.

– Bo policja go nie znajdzie... – zaczyna, ale pokazuję mu palcem, aby był cicho.

Muszę stąd wyjść. Muszę o tym zapomnieć, chociaż na kilka minut. Wiktor wychodzi za mną, odprowadza mnie do drzwi. Stajemy obok auta.

– Wiedziałeś coś więcej? – pytam go.

– Co więcej?

– Czy mówił ci o jakichś klientach? Opisywał ich? Podawał jakieś imiona, ksywy?

Wiktor kręci głową. Nie umiem mu uwierzyć.

– Powiedział ci w ogóle dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego to robił?

– No dlaczego się to robi, Pazina, no weź – prychna, ale widzę coś w jego oczach. Unik, tik. Małą nieprawdę.

Nie chcę go przesłuchiwać. W końcu go przytulam, całuję go w czoło. Mówię mu, gdzie w biurze jest schowane tritico. Ma je dać wszystkim, którzy nie będą mogli zasnąć.

Wychodzę z Azylu, w końcu. Wsiadam do samochodu, zamykam drzwi, w zapachu skaju i fajek jest coś kojącego i znajomego – jakieś wspomnienie, jakieś dzieciństwo, bieg przed siebie po krzywym chodniku w dzień tak słoneczny i gorący, że skóra momentalnie robiła się brązowa, Baltona na Polnej, rzędy kolorowych opakowań na półce w Supersamie, wyglupy na przegubie w zapchanym, śmierdzącym autobusie, smak Pizzy Hut w Panorامية, wyprawy na zakupy na Stadion Dziesięciolecia, pierwszy przejazd linią metra, smród podziemi Centralnego, zanim go wyczyszczono, pierwsze imprezy w Filtrach i Trendzie, Cricoland pod Pałacem Kultury, giełda na Grzybowskiej, baseny Kora, księgarnia Odeon, letnie słońce wpadające przez szyby barów mlecznych, bitwy między osiedlami, heroiniści na Barbakanie, brunatna ziemia zamiast trawników, głupie polskie piosenki, tatuaż zdobi twoją pierś, a wstyd, jakiego nie znam w nocy, sznuruje mi usta, wszystko, co było dobre, co było kiedyś i czego już dawno nie ma; coś tak odległego, że nawet wspomnienie tego jest niewiarygodne, pozbawione właściciela, dryfuje w próżni. To były najlepsze czasy, to były najgorsze czasy. Wiosna pięknych nadziei, zima wielkiej rozpacz. Wszystko było przed nami i nic nie mieliśmy przed sobą. I być może tego wszystkiego nie przeżyłam ja, tylko ktoś zupełnie inny, daleko stąd, a może przeżyliśmy to wszyscy, na innej planecie, w innym wymiarze, dawno temu w Warszawie.

*

Mieszkanie Ewy to kabina do teleportacji wyłożona wykładziną, pilnowana przez pięć starych kotów. Boazeria, ściany pełne książek, suszone kwiaty, mandale, flaga Tybetu, roczniki magazynów z czasów, gdy Tomasz Raczek i Krzysztof Ibisz byli młodymi mężczyznami. Gdy Ewa idzie zaparzyć herbatę, wchodzę na Instagram Lucka. Być może wszystko, co na nim jest, zwiastuje tragedię, ale ja nie potrafię tego zobaczyć. Niewyraźne zdjęcia, na których widać części ciała, wielkie, umalowane oczy. Kadry z anime, memy o catboyach i simpach, o sikaniu do łóżka i kupowaniu gówna w Żabce. Fragmenty osoby, której już nie ma. Przytwierdzone na stałe storki, niektóre jeszcze z jego domu. Szczur w klatce, jedzący mu z ręki. Szary widok za oknem. Japońskie litery,

malowane na kartkach kolorowymi farbami. Żyłka i blada skóra. Czerwone ślady.

– Zostaw to w cholere – mówi Ewa.

Stoi w drzwiach, niska i krągła, w ciężkim czarnym swetrze. Ma chore biodro, ale mocno stąpa po ziemi, nawet gdyby się rozpędzić i rzucić się na nią, nie można byłoby jej przewrócić.

Kubki. Herbata. Ciasto. Nie należę do tego miejsca, mogę tu tylko chwilę odpocząć.

– Nie chciało mi się piec. Zrobiłam je, żeby nie myśleć.

Biorę gryza.

– Czuć – mówię.

Uśmiecha się.

– Wiesz, odkąd pamiętam, mówiło się dzieciaki teraz to, te dzieciaki teraz tamto. Ale... to jest jakaś wielka zbrodnia, Marta. Świat zastawił na nie pułapkę i nie chce ich wypuścić. Polub to, kup to, będziesz lepszy. Z drugiej strony świat się zaraz skończy, to apokalipsa. Czyli kupuj i umieraj, kupuj i umieraj. A teraz jeszcze ta zaraza.

Kiwam głową. Jeden z kotów wskakuje mi na kolana, drugi ociera się o moje nogi. Szukają chorób.

– Oni nie mają żadnego życia – ciągnie Ewa. – Jest ekran dwadzieścia cztery godziny na dobę. Płaska powierzchnia. Zero komunikacji. A rodzice się boją. Bo zaraz wszystko się zawali, stracą robotę, mieszkanie, stracą oszczędności. Lęk, wszędzie jest lęk, Marta, czujesz go?

Nie tylko go czuję. Ja go widzę. Lęk wisi w powietrzu, półprzezroczysta, gryząca mgła.

– Świat jest złym domem – mówi moja przyjaciółka.

Uśmiecham się.

– Miałaś mnie, kurwa, jakoś pocieszyć.

Zapadam się w fotelu i odgryzam jeszcze kawałek ciasta. Z jednej strony mogłabym zostać tu na zawsze, z drugiej – szarpie mną, aby jak najszybciej wstać i wyjść. Mimo to mięśnie w nogach odpuszczają, znika potworne napięcie w dole pleców, jakbym codziennie robiła martwy ciąg. Biorę bardzo głęboki oddech. Próbuję robić tak, jak kiedyś uczyła mnie Ewa – nabierać białe, wypuszczać czarne.

Chciałabym mieć kogoś silnego, kto będzie za mną stać i złapie mnie, gdy stracę równowagę. Ale nie puszczam ofert w świat, nie przeprowadzam castingu. Tinder to dla mnie generator losowych, dziwacznych zdarzeń,

kończących się drobnym wstydem i poczuciem straty czasu. Niby nie jestem stara, jednak we własnej głowie mam co najmniej sześćdziesiąt lat. Czasami sprawdzam przed lustrem, czy nie ruszają mi się zęby. Myślę o tym, że psuje mi się wzrok. Myślę o tym, że parę razy codziennie gubię coś, co przed chwilą miałam w ręku.

– Nie możesz nic zrobić, gdy ktoś coś ukrywa – mówi nagle Ewa.

– Ja też nie trzymałam się zasad.

– Tak, nie trzymałaś się zasad. Co gorsza, tych, które sama wprowadziłaś. Teraz się mówi, że zasady są złe, przemocowe. Tak naprawdę zasady ograniczają przemoc. No ale wiesz. Niedługo stanie się coś takiego, że ludzie sobie przypomną.

– Chyba nie chcę gadać o tym, co się stanie.

Nagle ogarnia mnie strach, że pewnego dnia się obudzę i ten stan, który zwykle trwa kilka sekund, stan, w którym nie wiem, gdzie i kim jestem, zacznie się wydłużać. Najpierw rozciągnie się do minuty, potem do pięciu, w końcu do kwadransa, godziny, dnia, reszty życia.

– Co chcesz zrobić? Z tym chłopcem?

– Nie wiem. Obiecałam dzieciakom, że znajdę tego, kto to zrobił.

– Głupia jesteś. Jak?

– Mogę pomóc policji w śledztwie.

– Ty uważaj, żeby policja nie zrobiła cię współwinną. Najłatwiej pomyśleć tak jak ta matka.

– To śledztwo prowadzi taka policjantka, ona... – Przerывam. Przecież sama nie widzę sensu w tym, co mówię. Mam odnaleźć jakiegoś mordercę? – Może ja rzeczywiście powinnam odesłać ich do domów? Może naprawdę robię im większą krzywdę niż ci rodzice?

Pytanie zawisa bez odpowiedzi. Obie zapalamy papierosy, Ewa otwiera okno. Podchodzę do niego, wypuszczam dym w ciemne, uśpione miasto.

– Boisz się wirusa? – pytam.

– Jasne, że się boję. Mój kolega umarł parę dni temu, w karetce. Facet miał pięćdziesiąt lat.

– Mało.

– Niby mało, ale zaraz może się okazać, że to dużo. – Wzdycha.

Ze światem musi być naprawdę źle, skoro Ewa zaczyna złorzeczyć. Zawsze potrafiła odgonić lęk, postawić mnie do pionu, wskazać, gdzie może świecić światło, którego nie widać tylko ze względu na chwilową awarię.

– Ty straciłaś nadzieję, Ewka.

– Ja mam nadzieję, kochana. Mam nadzieję, że nie umrę w karetce, która czeka w korku pod szpitalem.

Boże, niech ona tak nie gada, bo ja nie mam siły nawet płakać. Na całym świecie jest niewielu naprawdę dobrych ludzi, a ona jest jednym z nich. Być może dlatego została sama, z pięcioma kotami, zabunkrowana w przesiąkniętym nikotyną schronie. Nigdy nie chciała zbyt wiele i była odważna, a wszystkich ludzi traktowała tak samo, bo patrzyła na nich przez pryzmat ich cierpienia.

Dzwoni mój telefon. Wychodzę do malutkiej kuchni, zastawionej kolekcją herbat i ziół w słoikach.

– Mówiłam ci, a ty swoje. – To Ewelina. Jest wściekła, ale komunikuje to tak, jakby była moją koleżanką. Więc chyba zostałyśmy koleżankami, chociaż żadna z nas tego nie chciała.

– Wiem, wiem, miałam z nią nie rozmawiać. Ale sama do mnie przyszła.

– Ona już sobie znalazła winnego, czyli ciebie. Mówiłam ci, że tak będzie.

Miasto za oknem wygląda, jakby ktoś w zupełnej ciemności rozsypał trochę świecącego piasku. Jakby ten piasek wypadł mu z olbrzymiej kieszeni, a on nawet nie zwrócił na to uwagi, tak jak nie zwraca się uwagi na upchane w kieszeniach zużyte bilety, chusteczki, paprochy.

– Może i mówiłaś – przyznaję.

– Masz teraz naprawdę chujowego wroga.

Człowiek, który zabił Lucka, który gasił na nim papierosy, jest gdzieś w tym mieście, w tym złotym, sztucznym piasku, patrzy na to samo niebo. Czy myśli o tym, co zrobił? Czy czuje niepokój? Czy boi się, że go złapią? Czy tylko obsesyjnie planuje, jak zrobić to samo następnemu dziecku?

– Jak mogę wam pomóc? – pytam.

W słuchawce dziesięć sekund wścieklej ciszy.

– Nijak. Sobie pomóż. Nie wpuszczaj jej więcej. Nie rozmawiaj z nią. Nie rozmawiaj z nikim oprócz prawnika. Masz jakiegoś, prawda?

Jasne, że mamy. Mam całą bandę prawników, tylko żaden nie odbiera telefonu. Tak jak większość ludzi, którzy tworzyli siatkę kontaktów wokół Azylu – terapeutów, psychologów, prawników, lekarzy. Chorują albo próbują nie chorować. Albo mają tysiąc ważniejszych spraw. Najpierw trzeba ratować swoje życie, a dopiero potem jakieś obce dzieci.

– Dowiedzieliście się czegoś? – pytam.

– Na razie tyle, że Novotel nie potwierdził, że się tam meldował, no ale trudno się było tego spodziewać.

Odwracam się od okna. Do jednej z szafek przyczepiona jest kartka z wydrukowaną sentencją: „Radość i spokój są możliwe właśnie w tej godzinie, jeśli nie możesz ich znaleźć, to nie znajdziesz ich nigdzie”. Dobre sobie.

– Jesteś tam? – upewnia się.

– Jestem, jestem.

– Próbujemy teraz zmusić Novotel, żeby pokazał nam, czy go widać na kamerach.

– I dasz mi znać, jak się czegoś dowiesz? – pytam.

– O Jezus, dziewczyno. Ja ci nie muszę niczego raportować, pamiętaj.

– Ja po prostu chcę wiedzieć – mówię jej i dodaję: – Jeśli tylko mogę się do czegoś przydać, pomóc...

– Z nikim więcej nie rozmawiaj. To pomoże.

Ewa wchodzi do kuchni, zapala światło, patrzy na mnie z powątpiewaniem, kręcąc głową. Obejmuje mnie. Pachnie papierosami, wełną, naftaliną, czymś starym i ciepłym.

Zamykam oczy i robi mi się potwornie przykro.

Wszystko jest stracone, po prostu.

– Płacz, babo, płacz – mówi Ewa.

Czyli nie jest tak źle, czyli miałam siłę się popłakać.

Dotyka moich policzków. Uśmiecha się. Kłamała, jeszcze widzi gdzieś jakieś światło, stara baba. Tylko nie chce powiedzieć gdzie.

Jeden z kotów wskakuje na blat i także wpatruje się w miasto, w obsypaną złotym pyłem ciemność, nieruchomieje; czegoś tam szuka, być może kolejnej ofiary, ale po chwili również zdaje sobie sprawę, że to wszystko zaraz zniknie, i zeskakuje z powrotem na podłogę.

20 WRZEŚNIA 2020

– Kurtka.

– Jestem zajęty.

Nie podoba mi się to, więc jeszcze raz powtarzam jego ksywę, a on jeszcze raz mówi, że jest zajęty. W końcu słyszę:

– Przyjedź.

Podróż trwa zarazem krótko i długo. W tym czasie dzwoni Wiktor – podobno ktoś kręci się po podwórku, mężczyźni, dwóch albo trzech. Nic nie robią, nie gadają, tylko chodzą, oglądają auta. Każę mu zamknąć drzwi, nikogo nie wpuszczać ani nie wypuszczać, a jeśli nie znikną w ciągu trzydziestu minut, zadzwonić do Eweliny. Podaję mu numer. To tylko strach, powtarzam sobie. A potem przypomina mi się Betlejem. Elewacja kamienicy już dawno nie jest osmalona, tylko kremowobiała, jej świeżość dziwnie kontrastuje z szarością Centralnego i zastygłą, szklaną galareta dachu Żółtych Tarasów. Za nowymi oknami kryją się biura, apartamenty do wynajęcia. Pamiętam tamten ogień, i ten ogień w mojej głowie wpełza na podwórko przy 11 Listopada, zaczyna lizać ściany Azylu, jego drzwi i okna.

Wywałam ten ogień z głowy.

Nikt nie pamięta Betlejem, i bardzo dobrze. Tak samo nikt nie pamięta Le Madame, Jadłodajni Filozoficznej, Chłodnej 25, Miłości, Utopii. Nic nie żyje wiecznie, więc dlaczego kluby miałyby żyć wiecznie. Zresztą gdy zaraza się skończy, w Warszawie nie będzie już żadnego klubu.

– Zadzwoń też do Gabrysi z Kłątwy – mówię mu i się rozłączam.

Gdy wchodzę do mieszkania Kurtki, on i jego ziomki zawieszają rozmowę. Jej urywki słyszałam na korytarzu, jeszcze przez drzwi. Ktoś u kogoś był. Ktoś kogoś nastraszył. Ktoś dał komuś jakiś towar, który potem zabrał. Ksywy, bluzgi, ksywy. Lęk, dezorientacja, słabo ukrywane pod zbędnym kozaczeniem.

Na mieście coś się dzieje – ale nikt nie powie mi co, i nie wiem, czy to moja sprawa.

Dym jointów zmienił powietrze w klej, kaszlę od samego oddychania. Jest tu jeszcze więcej bliźniaków niż ostatnio, cała banda, łącznie siedmiu albo ośmiu. Trwa coś w rodzaju nerwowej narady, ale wszystkie rozmowy cichną w momencie, gdy wchodzę do mieszkania. Niektórzy siedzą na kanapie, inni na podłodze, podobne fryzury, dresy, szczupłe, wyrzeźbione sylwetki. Pozornie nieruchomi, statyczni, mogą się zerwać w każdej chwili, rzucić do szyi, zagryźć. Obserwują mnie bez zaciekawienia, nie rozpoznają jako zagrożenie. Jestem dla nich takim dziwnym powietrzem.

Na kuchennym blacie, obok kartonów po pizzy, tacki z rozsypanym jaraniem i kolorowych napojów w butelkach, leży mały plastikowy pistolet. Wygląda jak zabawka. Kurtka zauważa, że go widzę.

– Kurwa, jak to wszystko się skończy, otworzę klub, gdzieś na Parkingowej albo na Mazo, chuj wie – mówi, udając, że całe to spotkanie to taki niezobowiązujący chłopacki melanz z jointami i konsolą. – To jest Pazina. – Pokazuje na mnie.

– I jak nazwiesz ten klub, mordko? – pyta chłopak siedzący na kanapie. Poznaje go, to ten, który był w Nietoperzu, ten, który oberwał kastetem.

– Flex – odpowiada Kurtka.

– Jest już taki klub – mówi inny koleś – w Łomiankach.

– A chuj giał Łomianki, wiesz, o co chodzi – autorytatywnie stwierdza Kurtka.

– No ale jest. – Tamten nie daje za wygraną.

Kurtka bierze pistolet i chowa go sobie do przewieszanej przez tors torby z logo Gucci. Widzi, że to widzę, i się szczerzy, pokazując aparat na zębach. Dotyka łańcucha na szyi, wyciąga go na wierzch bluzy.

– Jak będziemy chcieli, kupimy sobie Łomianki – dodaje. – Mordko, jednego dnia myślę, że jest przypał, ale dopiero następnego dnia jest przypał. I tak w kółko, dzień świstaka, tylko bardziej, wiesz, o co chodzi.

– U mnie tak samo. – Kiwam głową.

Mruży oczy.

– Ej, nie mów, że wyjarałaś to wszystko, co ci sprzedałem.

– Możemy pogadać na osobności? – pytam i widzę, że to pytanie go krępuje.

Odwraca się do swoich żołnierzy i próbuje im pokazać głupią miną, że nic go nie łączy z tą dziwną starą babą. Mimo to otwiera drzwi niewielkiej sypialni, gestem zaprasza mnie do środka. Widzę podwójne niezasłane łóżko, goły materac, szafę wbudowaną w ścianę i sportowe torby pełne ciuchów.

Siada na łóżku, wyciąga z kurtki skreconego już jointa.

– Właśnie wychodzimy. Musimy popytać, co się dzieje.

– Ta sytuacja ostatnio?

– Były jeszcze dwie takie sytuacje, następnego wieczoru – odpowiada, chrząkając. Jest naprawdę zdenerwowany. Nawet nie udaje odprężonego, tak jak robi to zwykle. Bawi się łańcuchem, przesuwając go sobie po szyi w jedną lub drugą stronę.

Zapala jointa. Łapczywie połyka kulę dymu, trzyma ją w ciele, a gdy w końcu robi wydech, na zewnątrz wydostaje się tylko trochę pary, jakby lekko chuchnął na mrozie. Częstuje mnie, nie odmawiam.

– Chodzi o tego chłopaka, Kurtka.

Patrzy na mnie spod przymrużonych powiek.

– Tego, co się zgubił? – pyta.

– Znalazł się – odpowiadam, a on to rozumie, bo oczy zwężają mu się jeszcze bardziej. Wzdycha ciężko. Wstaje, poprawia bluzę.

– Był eskortem – mówię mu.

– Trafił na jakiegoś zwierzaka?

– Zwierzaka to ja mam w domu, mam nadzieję, że nie zdechł z głodu.

– Słowa to słowa, wiesz, o co chodzi.

Odwraca się do okna. Przez chwilę patrzy na neon Panoramy, następnie zasuwą żaluzje, jakby ktoś schowany za tym neonem obserwował jego mieszkanie.

– Chcesz, żebym ci pomógł, ale jak ja mam ci pomóc? To chore, że takie rzeczy się dzieją, mam nadzieję, że ten, co to zrobił... no że pójdzie na sztywną celę i go dadzą od kopa do wora. Ale nikt mi nic nie powie. – Spogląda na mnie, jakby nagle nie miał żadnego problemu z patrzeniem ludziom w oczy. – Tym bardziej że to na stówę wypadek przy pracy.

To, co mówi, jest tak głupie, że przez chwilę nawet nie mam siły się oburzać.

– Kurtka, co ty pierdolisz? Jaki wypadek przy pracy?

– No jakieś bydlaki pojechały cracku, chciały poobrać se transa albo chłopca jakiegoś, zwierzaki mają czasem taką jazdę, odzywa im się z puchy. Im bardziej wydziarani, w sześćdziesiątkach przekreślonych, tym częściej u nich się to odzywa. No i on pewnie się przestraszył, chciał pójść, ktoś za mocno mu odwinął. W końcu to chłopak, nie dziewczyna. Można mu przypierdolić, co nie?

– Tak, a potem gasił na nim papierosy – mówię.

Nic nie odpowiada, kręci młynka palcami.

– Ludzie są gorsi od zwierząt, masz rację – rzuca po chwili.

– Chcesz coś lepszego? – pyta, pokazując na zgaszonego jointa między moimi palcami.

– To znaczy?

Otwiera szafę, w środku, pomiędzy równo poskładanymi stosami koszulek, dresów i bluz, jest niewielki czarny sejf, mniej więcej taki jak w hotelowych pokojach. W sejfie widać różne rzeczy, na przykład pliki forsy spięte gumkami.

– Wiesz, że przez pierwsze trzy miesiące musieliśmy gonić maseczki? – pyta.

Nie rozumiem, co do mnie mówi.

– No zamknęli granice, w ogóle nie było towaru, tylko jakieś gówno. Przecież pamiętasz, do jarania sama słoma była. Więc handlowaliśmy maseczkami, ściągaliśmy je z Chin, na potęgę. Maseczki i żele do rąk, odkażające. Kurwa, ze sto koła na tym ogarnąłem. Nieźle, nie? – Wyciąga ze środka plastikowy słoiczek pełen fluorescencyjnych kapsulek. Przypominają coś z innej planety, rekwizyt z filmu science fiction. – Kurwa, one naprawdę świecą w ciemności.

– Co to?

– Coś nowego.

Patrzę na niego jak na durnia.

– Opio. Dojebane – tłumaczy. – Na bazie oxy, ale zupełnie nowe wiązanie. Z domieszką benzo. Bierzesz jedną, nie więcej. Jest tego bardzo mało, jakby ktoś celowo to puszczał drobnymi partiami. Ale jest z tego pierdolony hit, mówię ci.

Daje mi słoiczek do ręki. Lekki, waży tyle, co nic. Potrząsam nim, brzmi jak instrument, grzechotka.

– To ci pomoże, to jest lepsze. – Nie mówi tego głosem handlarza, po prostu stwierdza fakt.

– Nie, Kurtka, to będzie mój koniec.

Oddaję mu i jointa, i słoik. On bierze jointa, ale słoik wpycha z powrotem w moją dłoń.

– Koniec to będziesz miała zaraz, bo cię, mordo, wyłączy.

Pewnie ma rację. Pewnie zaraz się rozsypię. Może widać to po mnie bardziej, niż mi się wydaje.

– To chyba uzależnia, nie? Jest jak heroina? – pytam.

– Heroinę wali się po kablach. Wiesz, o co chodzi. – Siada obok, zapala jointa i kładzie się na kanapie. – Podobno nie wkręca.

– Jak na to mówią? – pytam.

– Świetliki.

– Był taki zespół – zauważam.

– Może, mordo. Ja pierdołę muzykę. Słucham tylko wiksy i Biggiego. *Whats beef, beef is when your mom ain't safe up in the streets, beef is when i see you guaranteed to be in I-C-U.* Skumałaś? Cały ten rap teraz to *Psi Patrol*, wiesz, o co chodzi. – Wzrusza ramionami.

Zrobiłabym wszystko, żeby te kanty, ostre rogi wygładziły się chociaż na moment. Gdy zamykam oczy, Lucek leży na stole w zielonym pomieszczeniu, leży z zamkniętymi oczyma, nieruchomy i nagi, a rany i siniaki na jego ciele sąsiadują z brzydkimi tatuażami. Człowiek, który to zrobił, jest gdzieś w Warszawie, pod tym samym niebem. I jestem prawie pewna, że teraz się śmieje.

Wkładam kapsułkę do ust, chemiczny, szpitalny smak momentalnie paraliżuje mi język, kapsułka rozpuszcza się powoli jak miętówka. Kurtka wstaje, podaje mi małą butelkę wody. Piję, a wtedy on mówi:

– Ty wiesz co, ja w sumie ostatnio słyszałem coś dziwnego. Jeden typ mówił o swoim koledze, który ma normalnie żonę, tego... Ale czasem je z drugiej miski, wiesz, o co chodzi, i raz miał problem, bo jednego chłopaka ciut uszkodził... No słyszałem taką bajerę. Że coś tam, że...

Krztuszę się, wypluwam wodę i kapsułkę prosto na swoje nogi.

– Kurwa, Pazina. – Kurtka wzdycha i wychodzi, wraca z papierowym ręcznikiem. Daje mi go, abym się wytarła.

– Jaki typ? – pytam.

– Ej, Kurtka! Jedziemy?! – woła ktoś zza ściany.

– Tak, tak, już, zaraz.

– Jaki typ? – powtarzam pytanie.

– Słuchaj... nieważne, muszę lecieć. Łap orient, wiesz, o co chodzi.

– Kurtka, kurwa! – To ten sam chłopak, robi się jeszcze bardziej niecierpliwy. Ktoś wstaje. Komuś dzwoni telefon. Robi się tłoczno, głośno. Dym zaczyna wirować, włączyć w nos, krztusić.

– Że jest problem, bo wziął i uszkodził jakiegoś małolata, co go poznał na Grindrze. Zaprosił go na chatę i trochę go tam poddusił, pociął... no i trzeba było to potem tuszować, jakoś kleić. To nie było za kasę, ten małolat to był w ogóle syn miastowego, żeby było śmiesznie. Jakiś stary pruszkowski miał kruchego dzieciaka.

– Kurtka. Co. To. Za. Typ?

Dzwoni mój telefon. Wiktor. Łącznie od czasu ostatniej rozmowy, tej godzinę temu, mam od niego kilkanaście nieodebranych połączeń.

Jeden z chłopaków wchodzi do pokoju, bez słowa pokazuje Kurtce ekran telefonu. Kurtka kiwa głową, nerwowo przeciągając łańcuchem po szyi.

– Muszę iść. Ty też musisz.

Wstaję, i chyba mam na twarzy coś, czego on trochę się boi, a może obawia się tego, co zobaczył przed chwilą na wyświetlaczu, w każdym razie mówi:

– Zabiorę cię do niego, niedługo, ale teraz naprawdę musisz iść.

Wychodzę na zewnątrz i dopiero kiedy znajduję się na brudnobiałej klatce schodowej, czuję, że jestem kompletnie sztywna od złości, lęku i trawy, i nie mogę się nawet ruszyć.

*

Na podwórku Azylu stoi policyjny passat, czerwono-niebieskie światła przelewają się po ścianach. Podbiegam, ściskając torbę, Ewelina stoi nieopodal wejścia, rozmawia z Wiktorem i Besią. Kawalek dalej są Mateusz i jeszcze jeden gliniarz, którego nie rozpoznaję, niższy i krępy, a za nimi cała reszta lokatorów. Niektórzy w piżamach przytulają się do siebie, jakby próbowali się nawzajem ogrzać. Na drzwiach wejściowych widać namazany fluorescencyjnym sprayem napis UWAGA BURDEL i poniżej TU GINĄ DZIECI. Dostrzegam też powybijane szyby na parterze i śmieci walające się po podwórku, wysypane z poprzewracanych koszy. Smród nadpalonej gumy, gryzący i kwaśny, włazi w nozdrza.

– To było coś w rodzaju koktajlu Mołotowa – mówi Ewelina. – Na szczęście nie bardzo umieli go zrobić, więc po prostu osmaliło wam podłogę i ściany. – Patrzy na mnie i chyba myśli, że nie rozumiem, więc uściśla: – Ktoś was próbował podpalić.

Spoglądam na ściśnięte dzieciaki. Błede, smutne twarze, kolorowe rozczochrane włosy. Niezgrabne sylwetki. Oczy, niektóre piękne, ciemne, oczy saren stojących na szosie i wpatrujących się w reflektory.

– Co tu robią psy, Pazina? – rzuca ktoś z grupki.

– Nie mówi się psy – odpowiadam.

– Od kiedy? – dopytuje się ten ktoś, ale puszczam to mimo uszu.

– Ten z brodą zawłókł mnie do suki siódmego sierpnia. Pamiętam cię z Tęczowej Nocy, skurwysynu – rzuca ktoś inny, chyba Majka, dziewczyna, która przyjechała tu ze squatu w Poznaniu, gdzie wszystko było super, dopóki ktoś nie wrzucił jej do browara pigułki gwałtu.

– Wszyscy do środka, Besia i Wiktor zostają – rozkazuję.

Nie mam im nic do zaoferowania poza rozkazywaniem. Ewelina to widzi. Gdy dzieciaki są już w środku, odwracam się do Wiktora i Besi, pytam ich, czy naprawdę nikt nie ucierpiał. Wiktor nie odpowiada, Besia potrzebuje chwili. Oboje drżą z emocji. Patrzą na policjantów tak, jakby to oni wybili szyby i zamazali bluzgami drzwi. Po mojej lewej jeszcze jeden napis: PAZIŃSKA MORDERCZYNI. Jak znam życie, spółdzielnia potraktuje to tak, jakbym sama to napisała, i zrobi wszystko, żeby wpieprzyć mnie w remont.

– Siedzieliśmy w świetlicy, czilowaliśmy, część spała. I usłyszeliśmy hałas, tłuczone szkło, zbiegliśmy na dół, śmierdziało i dymało – opowiada Besia.

– Widzisz, Marta, to jest narażanie nieletnich na zagrożenie życia – mówi Ewelina.

– Nie wszyscy tu są nieletni – uściślam.

– Ale ja mogę po tych nieletnich jutro przyjechać i wysłać ich do domów. Nawet mogę cię zaaresztować. – Chcę jej przerwać, ale mówi dalej: – Ja ci nie grożę, ja ci tłumaczę, dziewczyno. Jutro przyjedzie tu ktoś inny, weźmie te dzieciaki siłą, nawet nie będzie się zapowiadał. Nie powie nawet „dzień dobry”.

– Nie – mówi Wiktor cicho. Wściekłość zgniata mu klatkę piersiową.

Ewelina patrzy na niego bez komentarza, czeka, co powie dalej.

– Ktoś musi jechać na komendę, złożyć zeznania – mówi Mateusz.

– Nie – powtarza Wiktor głośniej.

Próbuję go uspokoić:

– Wiktor, to nie są nasi wrogowie.

– Nie oddamy ofiar przemocy sprawcom przemocy. Obiecaliśmy im, że nigdy nie będą szli sami. I nie będą – syczy. To wystudiowany, przeciwiczny tekst.

Ewelina patrzy na niego ze współczuciem.

– Jesteś dobrym dzieciakiem. A ja chcę ci pomóc.

– Tak? Jak chcesz mi pomóc? Co możesz zrobić? Wrzucić mnie do suki, spryskać gazem, jebnąć mi pałą w głowę? – Wiktor podnosi głos do krzyku.

– Ej! – zwraca mu uwagę Mateusz.

– Wiktor, przecież sam do nich zadzwoniłeś – przypominam.

– Bo mi kazałaś. I nie odbierałaś.

– Ja pojedę – mówi w końcu Besia i rusza w stronę passata.

Mateusz posyła mi pytające spojrzenie. Kiwam głową. Przyciskam Wiktora do siebie, z wściekłości jest sztywny jak kij. Proszę, by wszedł do środka.

Gdy to robi, Ewelina pokazuje głową, abyśmy odeszły na bok.

– Gdzie byłaś? W domu? – pyta.

– Co cię to obchodzi?

– Poza wszystkim jest kwarantanna. Kiedy ostatnio testowałaś ich na covid?

– Prawie wszyscy już przechorowali – odpowiadam.

– To ty myślisz, że nie można zachorować drugi raz? Można i cztery razy.

Podsuwa mi papierosy, biorę jednego, przez chwilę stoimy w milczeniu, paląc, a niebiesko-czerwone światła przelewają się po ścianach, aż w końcu ona mówi:

– Dziewczyno, to dla twojego dobra, twojego i ich. Przynajmniej oddaj tych nieletnich.

– Oddaj?

– Wiesz, o czym mówię.

Wdeptujemy pety w ziemię.

– Tak w ogóle, to coś mamy – zmienia temat. – Portier jednak go rozpoznał.

– Więc można sprawdzić, w którym był pokoju, no i z kim. – W ułamku sekundy robię się bardziej przytomna.

– On twierdzi, że go nie wpuścił. Że kręcił się trochę przy lobby, ale kazał mu spierdalać.

– Bo?

– Bo kiedy wchodzi sami, bez fagasa, muszą opłacić się portierowi, aby wjechać na górę. Sprawdzamy, czy miał jakiegoś sutenera. To znaczy raczej nie, bo wtedy nie tylko my szukalibyśmy zabójcy. Ale sprawdzamy.

– Sutenera – powtarzam to słowo, jakby należało do jakiegoś innego porządku. Do kurwy nędzy, to był chłopiec, który ledwo co odkrył, że jest gejem, który oglądał anime i filmy z ballroomów na YouTubie.

Zimna kropla kapie mi na nos, na czoło. Mnie to nie przeszkadza, mogłabym stać w deszczu godzinami, dopóki nie spłucze ze mnie Lucka, wirusa, Kurtki, Jacka, ale Ewelina ewidentnie nie lubi, gdy woda moczy jej przylizane, ściśnięte w warkocz włosy. Nagle w ciszę wbija się

chrzęszczący, niewyraźny głos szczekaczki. Nie rozróżniam słów, ale policjanci w sekundzie robią się podminowani.

– Musimy jechać – mówi Mateusz. Pokazuje Besi, aby wysiadła z auta, i popycha ją w moim kierunku. – Przywieź ją jutro, żeby złożyła zeznania.

Ewelina podchodzi do nich, pytając, co jest.

– Strzelanina przy rondzie Wiatraczna. My jesteśmy blisko, jedziemy.

– Ktoś nie żyje?

– Jakiś chłopak leży pod budą z kebabem. Trudno powiedzieć, chyba małolat.

– Myślisz, że to oni? – pyta Mateusz.

Ewelina spogląda na mnie, a potem na Mateusza. Nie odpowiada.

Nie wiem, kogo ma na myśli, mówiąc „oni”, ale przypominam sobie plastikowy pistolet na blacie, Kurtkę chowającego go do torby, podekscytowanych chłopaków w pokoju pełnym kleistego dymu. Czuję impuls, aby do niego zadzwonić. Ale nie, są ważniejsze sprawy.

Wsiadają do auta, włączają bombę. Gdy stoi się obok, dźwięk jest tak głośny, jakby ktoś wbijał ci nóż w bębenki. Niebieskie i czerwone światła oblewające ściany w końcu znikają i teraz podwórko oświetla pojedyncza latarnia. Zostajemy z Besią we dwie w zimnej ciemności, gęstej jak syrop.

Wykręcam numer Kurtki. Mimo wszystko się martwię. Mimo wszystko to kolega. Ma wyłączony telefon.

Nadzieja, że to jednak nie on.

– Wiesz, co oni każą mi zrobić – mówię do Besi.

Kiwa głową.

– Jeśli ich odeślemy... to będzie, jakbyśmy się poddali – odpowiada, i ma rację. Słowo „poddali” przybiera kształt kilkutonowego sześcianu, który zawisa nad naszymi głowami.

– Ale wtedy może, podkreślam, może będziemy mieli szansę na przetrwanie.

Chociaż może nie jest dane nam przetrwać. Może musimy upaść, aby przyszli po nas inni. A może nic już po nas nie przyjdzie. Rozrzucony na ziemi złoty piasek dogasa, zamienia się w popiół.

Nie zrywam folii, tylko próbuję zdrapać taśmę z framugi, łamiąc sobie przy tym paznokcie. Nie wiem, po co mi ta dokładność. Framuga jest stara i brudna, i będzie stara i brudna do końca swoich dni, pojedyncze płaty taśmy klejącej nie ujmą jej żadnej urody. Ale paznokcie drapią same, zapamiętała, aż Besia podaje mi nóż. Taśma odchodzi, ale razem z płatami farby i wiórami drewna. Facet z firmy okienniczej stoi obok, oparty o ścianę.

– No ma pani szczęście, jak by nie było pandemii, w życiu by się nie udało tak szybko wyciąć tej szyby.

– Że ja miałam pieniądze, to również fart.

Zmarszczki na twarzy i łysa głowa nie pozwalają określić, ile ma lat, w każdym razie jest miłym człowiekiem, takim szczerze miłym, co jest naprawdę rzadkie. Pali, co chwila ociera dłoń z niewidocznego brudu o poplamione farbą robocze portki. Pachnie piwem i pyłem. Jest pierwszym człowiekiem od dawna, który nie przyszedł tu, by nas w ten czy inny sposób skrzywdzić.

W końcu folia upada na ziemię i facet zaczyna wstawiać szybę. Pytam go, czy chce kawy, odpowiada, że tak. Robię mu ją ze szczerą wdzięcznością.

To, że miałam pieniądze, to nie był fart, tylko kolejny test godności, nie wiem już który w moim życiu.

– Ale po co ci to? – zapytała rano moja matka, stojąc na balkonie swojego domu na Starych Bielanych.

Poranek był piękny, słoneczny, drzewa jeszcze dziwnie zielone, tak jakby jesień bała się wejść do jej ogrodu. Nie zdziwiłabym się, gdyby tak było. Psy z uporem oszczekiwały wiewiórkę, a matka oszczekiwała mnie, wydając krótkie, głośnie warknięcia.

– Mamo, możesz być mniejszą jedzą. Naprawdę.

– Żebyś ty mnie w końcu doceniła, Martusia. Ile litrów krwi na ciebie poszło.

– Przynajmniej nie pytaj za każdym razem o to samo. Są inne pytania. Na przykład: jak się czujesz?

Zrobiła się zła i zmieszana. Nie, warknęła, pytała o to po raz pierwszy. Czekałam, aż powie, że nie mam predyspozycji na Ochojską. Na razie zaniosła się kaszlem. Rzuciła palenie, ale pewnie za późno. Stara okrutnica w równie starym zamku.

– Ty nie masz predyspozycji na...

- Na Ochojską, mam, wiem.
- No właśnie, Martusia. Dokładnie tak.

Była jednak w świetnym humorze, bo zwykle miała jeszcze inne zacinające się płyty do zagrania: „Zmarnowałaś życie”, „Trzeba było iść na medycynę”, „Twój ojciec byłby załamany”. Była tak wesola, że dała mi te zasrane dwa tysiące, a ja mogłam zapłacić facetowi za wstawienie szyby.

Wszystko, co powiedziałabym, zostałyby użyte przeciwko mnie. Poza tym też miałam swoje płyty do zagrania, swoje małe skalpele pochowane w rękawach, tylko nie widziałam sensu ich użycia po raz nie wiadomo który.

Powiedziałam jej jednak o śmierci Lucka.

– O matko święta, to straszne – zaczęła, ale zaraz weszła na swój klasyczny tor: – Widzisz, mówiłam ci, same kłopoty. Tym się zajmują ludzie, którzy się do tego nadają.

– W sumie to nikt się do tego nie nadaje.

Słodka, przeciągła melodia szlagieru *Co ja zrobiłam, że ty jesteś taka niedojrzała* wybrzmiała, gdy już stałam w drzwiach, żegnając się z psami.

Gdy wychodziłam, wcisnęła mi w rękę kolejne dwa tysiące. Popatrzyłam na nie zdziwiona, a mama zaczęła płakać.

– Żeby dorosła kobieta musiała prosić o taką kwotę – powiedziała.

– To mój wstyd, nie twój – odparłam. Do furtki odprowadzał mnie jej szloch, głośny i teatralny.

Musiałam to wychodzić, z Cegłowskiej na 11 Listopada doszłam na piechotę. Szłam szybko, bez przerwy, zatrzymałam się dopiero przed kioskiem Ruchu. Żołądek zamienił mi się w bryłę brudnego lodu, gdy na okładce prawackiej „Naszej Warszawy” zobaczyłam niewyraźne zdjęcie Lucka i tekst: 16-LETNI OSKAR, OFIARA PROPAGANDY LGBT?

Kupiłam dwa numery. Leżą teraz na podłodze, przykrywają nadpalony fragment linoleum. Depczę po rozkładówce, po artykule, w którym napisano, że pracowałam jako naganiaczka w klubach, załatwiałam narkotyki celebrytom, a obecnie zmuszam dzieci do prostytucji i tranzycji. Nie wiem, czy mogę z tym cokolwiek zrobić, na przykład ich pozwać. W artykule figuruję jako Marta P., mimo że nikt nie postawił mnie w stan oskarżenia.

Facet w końcu wstawia szybę. Daję mu pieniądze i proponuję, aby wpadł kiedyś na kawę, może ze zmęczenia, w każdym razie brzmi to głupio. Pogrzeb Lucka będzie za trzy dni. Ewelina zabroniła mi wziąć

udział w ceremonii. Gdy zapytałam, czy mogą iść dzieciaki z Azyłu, odparła, że to moja odpowiedzialność.

Po południu siedzimy w sali telewizyjnej i gramy w kalambury. Nie zgaduję większości haseł, ale śmiejemy się wszyscy razem, wygłupiamy i klaszczemy. Wspólny czas przeradza się w coś w rodzaju imprezy na cześć Lucka. Besia piecze ciasto. Edgar gra na małym keyboardzie podłączonym do laptopa. Niektórzy puszczaają swoje ulubione storki z TikToka, głównie te wrzucane przez idolkę dziewczyn, Michałkę. Michałka to spora osoba, wysoka, ma męskie, wielkie łapy, używa ich czasem do porachunków z homo- i transfobami. Wszyscy biją brawo, gdy jakiegoś Janusza, który wyzywa ją od „przebranego chłopca”, podnosi bez wysiłku do góry, jakby ważył tyle, ile mały psiak. W końcu każę im to wyłączyć. Dość TikToka, macie TikToka cały czas. Pośpiewajmy. Potańczmy. Próbuujemy, ale nie umiemy zgrać się w jeden wspólny rytm. Dziewczyny śpiewają hity Dua Lipy, Ariany Grande, Justina Biebera. Nie znam tych piosenek, ale potem ktoś włącza Abbę, a ja wcale się nie cieszę, bo czuję się jak siedemdziesięciolatka. Jemy ciasto, jemy jabłka i gadamy głupoty, i opowiadamy sobie dowcipy, i pokazujemy sobie memy. Wyobrażamy sobie, że jesteśmy duchami, które nawiedzają opuszczoną praską kamienicę. Zaczynają krążyć straszne historie: o dziewczynie, która grała w przeklętą grę online, a potem zabiła swoją babcię, o opuszczonym domu pod Legionowem, do którego ludzie przychodzą popełnić samobójstwo.

Około północy się zegniam, jadę do domu, chcę się wyspać we własnym łóżku. Nie wspominam słowem, że policja kazała mi ich odesłać do domów. Nie mam tyle siły.

Schodząc, dotykam świeżo wstawionej szyby i śmieję się z własnej ulotnej myśli, że nikt jej już nigdy nie wybije, że tym razem wstawiłam ją na amen, że jesteśmy nietykalni i bezpieczni.

Na podwórku przystaję i patrzę w nasprayowane na ścianach bluzgi; być może odpowiada za nie ta sama osoba, która napisała artykuł. I wtedy migają światła zaparkowanego za mną samochodu. Rozlega się ciche piknięcie otwierających się drzwi. I głos:

– Przejedzie się pani z nami?

Robię krok w ich stronę i próbując przebić się wzrokiem przez oślepiające światła reflektorów, mówię:

– Ani się ważcie wejść do środka.

Intruz nie odpowiada. Muszę zasłonić sobie oczy. Gdzieś spoza światła wyłaniają się dwa ludzkie kontury.

– I jeśli wybijecie mi znowu szyby, to przysięgam, że was, kurwa, pozabijam – dodaję w nagłym przypiływie odwagi.

– Nie wiemy, o czym pani mówi – odpowiada facet, a halogeny w końcu gasną.

Gdy wraca mi wzrok, widzę, że typ nie wygląda jak zwykle barczyste chamidło, które wysyła się, aby kogoś nastraszyć. Jest szczupły i wysoki, przed trzydziestką, ma na sobie koszulę i sportową marynarkę. Po chwili zauważam, że ma też zarost prosto od barbera i modne okulary.

– Proszę pani, my nie wybijamy szyb. My je wstawiamy. My budujemy domy.

Pytam ich, gdzie niby mamy się przejechać.

– Do biura, proszę pani. Powinniście uczciwie porozmawiać, pani i szef. Już rozumiem, z kim rozmawiam.

– To szef nie jest na Bali?

– Myślę, że pani wie: nie za bardzo można tam teraz polecieć.

– Myślę, że dla pana szefa rzeczy niemożliwe to drobnostka. Czemu nie pofatygował się tu osobiście?

– Jest zajęty.

W samochodzie pachnie środkiem do czyszczenia skóry, który śmierdzi gorzej niż jakikolwiek brud.

– O tej godzinie jest zajęty?

– Coś w tym złego? – odpowiada mężczyzna.

Sama nie wiem, czy jest w tym coś złego. Staram się oddychać jak najwolniej i jak najgłębiej. Jadę bronić tych dzieciaków. Powstrzymać nieuchronne, chociaż na moment.

– Wie pani, pani Marto, ludzie, którzy dochodzą do czegoś w życiu, często pracują do bardzo późna – ciągnie mężczyzna, w ogóle niepytany.

– A pan jak ma na imię? – pytam go.

– Marcel.

– Marcel, ja całe życie pracowałam do późna, a nawet do rana, i do niczego nie doszłam.

– Późno to nie wszystko, trzeba jeszcze ciężko – stwierdza, bardzo z siebie zadowolony.

Wjeżdżamy na most Świętokrzyski. Wisła to ciemna i zimna stal, gdyby w nią skoczyć, człowiek roztrzaskałby się o powierzchnię. Gdzieś

z przygaszonej, cichej Warszawy dobiega głos, cichy głos ducha. Coś śpiewa, nie rozróżniam słów. Może to ja jestem duchem, który nawiedza to miasto.

– Może nie trzeba w życiu do niczego dochodzić – mówię.

– Oczywiście, że nie trzeba. Ale nie trzeba się też przejmować tymi, którzy nie doszli.

Zastanawiam się, jaką właściwie ma definicję „dojścia do czegoś”. Pewnie taką, jak z coachingowego kanału na YouTube, oglądanego przez chłopców z podstawówki. Czasami do Azylu trafiają chłopaki takie jak Przemo, samotne i wyśmiewane. Zostawione przez ojców, traktują te idiotyzmy jak Koran. *Posłuchaj uważnie, w bezwzględny świat krwiożerczych hien trzeba być lampartem, alfą lub sigmą. Bo tylko prawdziwe wilki mogą żyć pełnią życia, mieć super laski, auta, wakacje w Dubaju, zegarki warte tyle, ile mieszkania. Jeśli chcesz mieć, musisz umieć gryźć. Musisz być gotów walczyć na śmierć i życie.*

A może wyznaje wersję bardziej konserwatywną – taką, w której zapewnia bezpieczeństwo jakiejś wyimaginowanej, fajnej, ładnej i zdrowej rodzinie. Tak czy siak, bez wątpienia jest człowiekiem takim samym jak jego pracodawca. Wszystko, co nie jest zyskiem, jest stratą czasu.

W sumie nie wiem, co wyznaje. Czemu się nad tym w ogóle zastanawiam?

Wjeżdżamy w Kruczkowską. Oczywiście, gdzie może mieszkać Anioł Biznesu, jeśli nie w penthousie na Powiślu?

– To piękne miejsce – mówię z przekąsem, gdy wysiadamy. Marcel patrzy na mnie, jakby właśnie zrozumiał, że mam ciężką psychozę. –

Piękne jak śmierć – dodaję, a on odwraca wzrok i bez słowa wpuszcza mnie na klatkę schodową, śnieżnobiałą jak śnieg w lesie.

Apartament jest ogromny, przestronny, przedpokój wyłożono marmurem. Na jednej z białych ścian wisi płachta materiału z nadrukowaną mandalą. Minimalistyczne, designerskie meble musiały kosztować tyle, ile Azyl od początku swojego funkcjonowania. Anioł Biznesu medytuje, siedząc na małej poduszce i wpatrując się w mandalę, zasłuchany w niski, buczący dźwięk dobiegający z audiofilskich głośników. Długie, siwawe włosy ma spięte w kucyk, ręce splecione na brzuchu. Na ścianie nad nim góruje olbrzymi telewizor z wyłączonym dźwiękiem.

Gdy wchodzę, nie reaguje. Marcel nakazuje mi gestem, abym usiadła na kanapie.

Rozglądam się po pomieszczeniu. Na ścianach wiszą obrazy przedstawiające androgyniczne sylwetki tańczące z kulistymi, świetlnymi obiektami. Są szpetne, raczej namalował je ten sam człowiek, być może sam Anioł. Jedna ze ścian w całości pokryta jest przyczepionymi do niej polaroidami. Podchodzę do nich, przedstawiają Anioła na tropikalnych plażach, otoczonego różnymi ludźmi, głównie kobietami, spalonymi słońcem na ciemny brąz i okutanyymi w chusty, pokrytymi tatuażami przypominającymi wzory z henny, które rzymskie dziewczyny przebrane za Hinduski robiły na bazarach w latach dziewięćdziesiątych. Wszyscy są nienaturalnie uśmiechnięci, jakby zawiesił im się zły mefedron, w oczach mają dziwny obłęd. Każda z tych instagramowych czarownic wygląda jak swój własny sobowtór, to samozwańcze kapłanki trefnych religii, które w praktyce polegają głównie na sprzedawaniu biżuterii i warsztatów ze smarowania się czekoladą.

Na zawieszonym na ścianie potężnym ekranie widać twarz Mariusza Fajkowskiego. Anioł, nie otwierając oczu, mówi do mnie:

– Jeśli cię to interesuje, to włącz dźwięk. Pilot jest na stoliku.

Robię to.

– *To już prawie pięć miesięcy od czasu zaginięcia byłej telewizyjnej gwiazdy Mariusza Fajkowskiego. Rodzina i współpracownicy wciąż nie wiedzą, gdzie przebywa dziennikarz. Szukają go policja i służby w całej Europie. Mariusz Fajkowski był gwiazdą telewizji, jednak jego kariera załamała się, gdy w dwa tysiące czternastym roku...*

Anioł wstaje z poduszki. Wyłącza telewizor.

– Jestem przekonany, że siedzi na jakichś wypach. Miał dość. Nie mógł inaczej – stwierdza.

Odwracam się w jego stronę. Jest mocno opalony, ubrany w białą, rozpiętą koszulę i lniane spodnie. Jakby plaża była tuż obok, a on właśnie z niej wrócił.

Pamiętam, że gdy dowiedziałam się o wypadku, który spowodował Fajkowski, pobiegłam do mieszkania Jacka, a on potraktował mnie jak gówno. Może nie jak gówno, ale gówienko, które przyklepiło mu się do butów.

– Znał go pan? – pytam.

– Sprzedałem mu apartament w Sopocie. Ciekawy człowiek, ma w sobie ze stu innych ludzi. Proszę usiąść – zmienia temat.

– Może postoję.

– Nie, nalegam. Naprawdę wygodniej będzie się nam rozmawiać – dodaje i wskazuje na szarą kanapę. – Wygląda pani na bardzo zmęczoną.

Marcel i ten drugi koleś gdzieś tu są, nie wyszli z mieszkania, i zastanawiam się, czy mają tu jakiś swój pokój, kantinę, w której czekają na polecenia. Pewnie Marcel nagrywa filmiki, a mięśniak robi sobie plan żywieniowy.

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni – odpowiadam.

– I wszyscy jesteśmy w więzieniu – mówi Anioł z uśmiechem.

– Tylko niektórzy mają cele premium. – Ja też się uśmiecham, ale na pewno wygląda to tak, jakbym odgryzła kawałek cytryny.

On wstaje z poduszki i sadowi się na kanapie, wyciąga nogi, zamyka oczy, odchyła głowę do tyłu. Sięga po stojącą na szklanym stoliku karafkę wody. Nalewa sobie i bierze łyk.

– Słyszałem o tej tragedii. To naprawdę straszne. – Przymyka oczy i przesuwa palcem po zawieszonych na szyi drewnianych koralach. Sprawia wrażenie totalnie odprężonego, jakby wszystko szło po jego myśli. – I te problemy, które teraz pani ma, pani Marto. To wynika, wie pani, z głębokiego niezrozumienia spraw, którymi się pani zajmuje.

W salonie robi się odrobinę ciemniej. Nie wiem, czy to złudzenie, czy wykonał jakiś gest, który spowodował reakcję czujników światła.

– Jakie problemy? – pytam.

Unosi powieki, patrzy na mnie.

– Prawne – odpowiada i znów się uśmiecha. – Ta pani... matka tego chłopca... nie próżnowała przez ostatnie dni.

Marcel z powrotem pojawia się w pomieszczeniu. Bez słowa kładzie przed Aniołem foliową torebkę pełną burego proszku z żółtawymi kryształkami. Ten sypie sporo do szklanki, miesza palcem, wypija. Uśmiecha się.

– Microdosing. Potrzebuję tego, aby skalibrować swoją energię. Mieć odpowiednią uważność, aby wejść w trudny temat.

– Tugajew dzwoni od rana – odzywa się nagle Marcel. – Mówi, że to dość pilne.

– Co jest takie pilne?

– Chce wiedzieć, co dokładnie wiemy o tym człowieku. O panu Andersie.

– Kolejny trudny temat. – Anioł wykonuje gest, jakby opędział się od owada.

To nie jest microdosing, to konkretna ilość emki, która wysadziłaby mi głowę. Odruchowo oceniam, ile czasu zajmie mi dobiegnięcie do wyjścia.

– Ona... była, jak pewnie pani wie, w mediach, była w prokuraturze, ma świetnego prawnika, ten prawnik znalazł wszystkie dziury w funkcjonowaniu pani klubu.

– Hostelu interwencyjnego.

– Tak, tak. – Miętko kiwa głową. – W każdym razie wy tam jesteście praktycznie nielegalnie. Na przykład umowa z miastem nie przewiduje prowadzenia działalności medycznej tudzież paramedycznej. A to jest chyba działalność medyczna, prawda? Opieka nad ludźmi w depresji, z zaburzeniami płci i tak dalej?

Przeciąga się, unosi bose nogi, czerpie z tego wyraźną przyjemność, która zaczyna być dla mnie niepokojąca. Powietrze tężeje, robi się jeszcze trochę ciemniej. Marcel staje się już tylko ciemnym konturem na tle ściany.

– Oczywiście złożyła też zawiadomienie w prokuraturze, podobne w treści do tych rewelacji z tej gazety, jak ona tam się nazywa...

– „Nasza Warszawa” – przypomina mu Marcel. – Przejął ich Orlen, plus mają dotacje z ministerstwa.

– No tak Marcel, tak, Marcel jest jak Alexa, widzisz? Popatrz na niego. Wie wszystko na każdy temat. Zawsze ma jakieś ciekawostki. Marcel, to musi być przytłaczające, prawda? Mieć tak zapchany mózg? Musisz spróbować medytacji, naprawdę. Pomoże ci.

Marcel nie odpowiada. Anioł się uśmiecha, znów przeciąga ciało. Nabiera powietrza. Pokazuje Marcelowi gestem, aby przyniósł mu coś jeszcze.

– Prokuratura wie, że pani stręczy te dzieci zwyrodnialcom...

– I co teraz? – przerywam mu.

Odwraca się, patrzy mi w oczy. Ma źrenice wielkości monet. Musiał się naćpać wcześniej, teraz tylko poprawia.

– Co ja właściwie tu robię? – pytam.

Anioł rozpina guzik koszuli. Wypręża klatkę piersiową. Bierze wdech, trzyma powietrze w płucach przez długie kilkanaście sekund. Gdy je w końcu wypuszcza, coś klika mu w ciele.

Nagle ukłucie w żołądku wędruje szybko do góry, mknie przez klatkę piersiową, zatrzymuje się w okolicy krtani. Bardziej wstręt niż ból.

– Będę ci mówił na ty, dobrze? Savoir-vivre to zbędna bariera. – Szczerzy wściekle białe zęby.

– Nie ma problemu.

– Ja nazywam się Rafał. – Wyciąga dłoń. Nie ściskam jej. On dalej się szczerzy, kładzie osamotnioną dłoń na brzuchu. – Od kogo wynajmujesz lokal, Marta? – pyta.

– Mam go od miasta.

– Właśnie, od miasta. I widzisz, Marta, to, że ten lokal nie wraca na rynek, tak jak powinien wrócić lokal z takim potencjałem i w takiej okolicy, zależy od tylko jednego człowieka. Jest taki radny z lewicy, na pewno go znasz. Na tych wszystkich tęczowych spacerach łązi z flagą w pierwszym szeregu. Uśmiechnięty facet, bardzo pozytywny. Ktoś mógłby powiedzieć, że trochę niemęski. Ale ja nie patrzę na ludzi w tych kategoriach.

– Strobiński – wypowiadam nazwisko tego człowieka.

Tak, to prawda, był nam przychylny, i to z nim głównie się kontaktuję, gdy mam rozmawiać z miastem. To on przekazał nam klucze. Gdy w zeszłe wakacje razem z ludźmi z Kłątwy organizowaliśmy Dzień Sąsiedztwa – wystawiliśmy na podwórko stoły z żarciem i napojami, zaprosiliśmy DJ-a, robiliśmy dzieciom face paint, puszczaaliśmy latawce i tak dalej, nieudolnie próbowaliśmy wprowadzić w życie te naiwne brednie o „wspólnotowości” i „prawdziwym sąsiedztwie” – on przyszedł jako jedyny radny. W sumie Anioł przypomniał mi teraz, że powinnam do niego zadzwonić. A ten Dzień Sąsiedztwa, no cóż, było fajnie, ale i tak zaraz potem ktoś wybił nam szyby w aucie.

Marcel przynosi Aniołowi szklanekę czegoś, co wygląda jak whisky, stawia przed nim na stole. Anioł odprawia go ruchem ręki.

– No tak, i wiesz, Strobiński fajny facet, otwarty, nowoczesny, ale też głodny. Każdy jest głodny, ale Strobiński nie wie do końca, jak się je nożem i widelcem.

Tacy ludzie to diabły tego świata, myślę.

– Niby nic, facet ma się schylić po banknot, to się nie brzydzi, że on w gównie leży. To są różne rzeczy, jakiś VAT, jakieś odrobnianie... Ale pierdoły takie. Ścinki. Na przykład był taki dom starców niedaleko Małkini. Niby ekskluzywny, dziesięć tysięcy miesięcznie. No ale coś te staruszki tam umierały częściej niż w innych domach. Lekarz nie dojeżdżał na czas. Rodziny nie mogły ich za bardzo widywać. W końcu wjechał tam Sanepid. Straszne rzeczy się okazały... Strobiński miał połowę udziałów w interesie, tylko jak wyszło szydło z worka, to bardzo szybko przepisał te udziały na spółkę żony. Rozumiesz, Marta, nie ma sensu szantażować tych, co są na

górze. Oni są wodoszczelni, impregnowani, cały dół będzie ich chronił. Choć Namysłowski, w sensie prezydent, ma potężne plecy, aż do Brukseli to się ciągnie, takiego nie tkniesz. A ci na dole zrobią wszystko, bo wiedzą, że są do wymiany, i tyle, ile sobie wezmą przez ten czas, tyle będą mieli.

Chce mi się pić, ale nie tknę niczego, co jest w tym mieszkaniu.

– Strobiński to człowiek z małego miasta, złapał Boga za nogi. Naprawdę mu się udało. Jego żona pochodzi z rodziny takiej jak twoja, Marta, warszawskiej, z tradycjami. Mają dwa dwustumetrowe mieszkania na Foksal, w jednym mieszkają, drugie wynajmują na kręcenie *Na Wspólnej*. Kurde, tak się facetowi udało, a wciąż się boi. To pewien typ człowieka. Myślisz, że tacy jak on kiedykolwiek przestaną się bać? – pyta i wkłada rękę w lniane spodnie. Trzyma ją tam przez dłuższy czas i widzi, że ja widzę, i się uśmiecha, i widzi też, że oceniam odległość z kanapy do drzwi.

– Nie będę cię tu trzymał na siłę. Wyjdź, jeśli chcesz. Ja po prostu proponuję ci umowę.

Znowu zamyka oczy. Wyciąga się na kanapie tak, że właściwie leży. Zaczyna cicho sapać. Muszę się umyć, w tym momencie. Umyć się albo zrzygać.

– Przestań.

On porusza ręką schowaną w spodniach w górę i w dół. Nie reaguje.

– Przestań, kurwa twoja mać!

Zrywam się z kanapy, biegnę w stronę najbliższych drzwi, szarpnię za klamkę. Zamknięte.

Za plecami słyszę ciche stęknienie.

– To gwałt – mówię, bardzo cicho.

On parska śmiechem.

– Jedyne, czego brakuje tam, w prokuraturze, to kogoś, kto poświadczy tę wersję wydarzeń. Jakiegoś dzieciaka, który powie: tak, Pazińska kazała mi jeździć do hoteli i dawać dupy i inkasowała z tego połowę. Jak myślisz, gdy przyjadę tam do ciebie, Marta, i zaoferuję dziesięć tysięcy osobie, która pójdzie i złoży te zeznania, to naprawdę nikt tego nie zrobi?

Wyjmuje rękę z gaci. Wstaje. Jeszcze raz się przeciąga, klaszcze w dłonie. Grzechoczą drewniane różańce, którymi jest obwieszony.

– Chodzi o to, abyś nie robiła mi problemów, Marta. Nie psuła energii. Znajdę ci jakiś lokal. Jest taka świetlica w Piasecznie, przecież to nie musi w Warszawie być, prawda? Będiesz tam sobie robić, co zechcesz. Wstawię

ci parę łóżek, ogłosimy, że doszliśmy do porozumienia. Mnie się przyda zgromadzić trochę contentu, takiego wiesz, równościowego. Ja wiem, że to jest przyszłość. W Polsce dłużej to potrwa, ale to jest przyszłość. – Bierze głęboki wdech, zamyka oczy, cały się napina, a następnie wypuszcza powietrze z długim, głośnym jęknięciem.

Odwracam się od niego. Chipsy i ciasto ze wspólnej imprezy podjeżdżają mi z powrotem do gardła, czuję je na języku.

– Po prostu się ze mną dogadasz, Marta, albo pójdiesz siedzieć.

Potrzebuję długiej chwili, aby ruszyć ręką albo nogą. Wstręt na moment odciął mi centralny układ nerwowy.

– Powiedz mi, Marta, co trzeba w sobie mieć, żeby tak bardzo nienawidzić dzieci? – dodaje.

Miał rację. Drzwi na zewnątrz rzeczywiście są otwarte.

*

Wracając uberem, wciąż trzymałam przy ustach foliową siatkę. Zdrapywanie smaru, który na stałe przykleił się do skóry. Stoję pod gorącą wodą, szorując się i drapiąc, aż pod paznokciami pojawiają się cienkie czerwone półksiężycy. Nic nie schodzi. Smar pokrył mnie na stałe.

Przypominał mi się obrzydliwy łysy typ z dziwnymi zdrobnieniami wypadającymi mu z ust jak robaki, przypominał mi się jego zapach, gdy się nade mną nachylał, zapach kurzu i brudu, i zbutwiałej boazerii.

Anioł mnie podeptał. Dał mi do zrozumienia, że robi ze mną, co zechce. Czuję się, jakbym miała centymetr wzrostu i wciąż malała, z każdą sekundą.

Nagle dzwonek domofonu. Wracam do swojego ciała, orientuję się, że leżę nieprzytomna na łóżku, gapiąc się w niezrozumiały dla mnie serial. Wstaję, zrzucając z siebie kota. Odbieram.

– Przepraszam cię, mordko, ale nie mogę inaczej, wiesz, o co chodzi.

Zaskakuje mnie ulga, nagła i silna. Kurtka żyje. To nie on leżał na rondzie Wiatraczna. To nie do niego pojechała policja.

– Chcesz wejść?

– Nie. Nie, weź zejdz. Sorry. Jeszcze raz.

Zbiegam na parter, wychodzę przed klatkę. Jest roztrzęsiony. Płytko oddycha, rozgląda się dookoła. Doskonale znam ten stan u tego typu

chłopaków. Okej, ulga ulgą, ale powinnam teraz wrócić do mieszkania i zablokować jego numer, inaczej jego problemy za chwilę staną się moimi problemami.

– Ja pierdolę. Myślałam, że...

– Co myślałaś?

– Nieważne.

– Potrzebuję pomocy – mówi.

Kręcę głową. Nie mogę mu pomagać. Jest pełno innych ludzi, którym muszę pomóc. Kurtka nie jest sierotą. Jest dorosłym mężczyzną. Musi radzić sobie sam.

Jeśli powiem „tak”, zrobi to samo co Jacek. Zabierze mi wszystko, co tylko mu się przyda. Moją uwagę, siłę, czas. Zużyje mnie, a potem wyrzuci.

Tylko ja już jestem za stara, aby ktoś mnie wyrzucił.

– Nie ma mowy, Kurtka, ja...

– Potrzebuję pomocy – powtarza. Chwyta mnie za rękę. Natychmiast ją wyswobadzam. – Poczekaj. To nic takiego, ej. Po prostu coś mi przechowasz, no.

Torba na ziemi. Ta nie jest sportowa jak ta, którą dał mi Jacek; ta jest skórzana i dobrej firmy, ale te wszystkie torby tak naprawdę wyglądają identycznie i mają w środku to samo. Trącam ją lekko butem i czuję coś utwardzonego, sprasowanego.

– Spierdalaj, Kurtka – mówię, ale brzmi to jak prośba.

– Od wczoraj w kółko jeżdżę po mieście. Na wariata, kurwa. Bez spania. Normalnie mam lasery w oczach. Jakby gonił mnie demon, Pazina, wiesz, o co chodzi.

Fakt, jego głos jest wolny od ciężkiego, olejowego spokoju, który przepełniał go do tej pory.

– To może przestań wachać i jarać, weź melatoninę i idź spać. – Chcę otworzyć drzwi na klatkę, a wtedy on łapie mnie za przegub i ściska.

– Nie przesadzaj, Kurtka.

– Pazina.

– Puszczaj.

Puszcza.

– Ty, no dobra. Wyrwało mnie trochę. Przepraszam. Przepraszam.

– Co się dzieje?

– Dziwnie się dzieje. Napadają na chłopaków. Dają im towar, a potem sami kradną. Świry uciekły z psychiatryka i rządzą miastem, wiesz, o co

chodzi. Są cali pod bronią, nikt im nie podskoczy. Kręcą coś grubego. Coś, czego tu nie było pewnie od czasów Pruszkowa. Taka mordka, Bastek... dureń, i pewnie coś powiedział nie tak, ale dostał, kurwa, kulę w łeb. Nie że jakaś noga złamana, kop na mordę, że zęby. Nie, dostał kulę w łeb. Nie żyje. I ja nie przypominam sobie takiej akcji, Pazina, wiesz, o co chodzi. Nie przypominam.

Nie rozumiem, co mówi. Nie chcę rozumieć. Mogę przeżyć resztę mojego życia, nawet nie zerkając w stronę świata, który mi opowiada. Nie tylko mogę. Chcę i powinnam.

Dolna szczęka lekko mu drży. Co chwila przejeżdża dłonią po idealnie wycieniowanym boku głowy. Boi się jak dziecko. Trudno. Nie mam miejsca na jeszcze jedno dziecko, które się boi.

– Ja muszę mieć jakieś zabezpieczenie, Pazina. Nikomu nie ufam. Tobie ufam, ty jesteś normalna, poza tym jesteś cywil, wiesz, o co chodzi.

– Musisz zrozumieć, że to nie jest dobry adres – tłumaczę mu spokojnie.

– Ja mam mnóstwo kłopotów, Kurtka. I codziennie rozmawiam z policją. Zginął dzieciak. Jego matka myśli, że zginął przeze mnie.

– Właśnie, ten typ, o którym ci mówiłem. – Otwiera oczy jeszcze szerzej, jakby przypomniał sobie rozwiązanie zagadki, od którego zależy jego życie. – Ten, który pokaleczył tego chłopaka... Chciałaś wiedzieć, pytałaś się. To taki Łukasz, taki świr z YouTube'a. Łukasz Czego Szukasz, kojarzysz? On ma takie powiedzonko, tak świruje do dup. W każdym razie parę tygodni temu znowu to zrobił. Był z takim trans eskortem i konkretnie mu wpierdolił. Nie że go zaskoczyło, po prostu odpaliło go po cracku i mu wjechał. Wcisnął mu nos w czaszkę podobno... Nie wiadomo, gdzie teraz jest, chłop wyparował. Gadali, że próbował się układać z jego gachem, w Warszawie jest jeden, co trzyma transy, z tego co wiem.

– Kto? – pytam.

Chwilę się waha, ale podaje mi nazwisko. Znałam tego człowieka. Ale nie mam czasu, aby się tym dziwić.

– Ten cały Łukasz... to ten sam, który pociął syna gangstera?

– Tak, on z tym ojcem tamtego chłopaka... też się z nim ułożył. Chyba dwieście tysięcy mu dał. Tamten zadłużony, CBA mu wokół chaty jeździ, nic nie może zrobić, to wziął.

– I na co mi ta wiedza? – pytam.

Otwieram drzwi na klatkę. Kurtka szybko ruchem nogi wsuwa torbę między drzwi a framugę.

– Pojadę tam z tobą. Kiedy tylko chcesz. Pomogę ci. Ale ty pomóż mnie.

Nie pytam, co jest w środku. To zresztą nie ma żadnego znaczenia. Wiadomo, co tam jest.

Nieruchoma, zastygła twarz Lucka, drobna sylwetka na stole w okropnym zielonym pomieszczeniu.

Wiktor i inne dzieciaki.

Podarta i zgnieciona w kulkę karta pokładowa samolotu do Buenos Aires.

Gadzinowa gazeta w kiosku.

Demony, które krzątają się po uśpionych miastach.

– Tylko na tydzień – mówi Kurtka. – Naprawdę, wystarczy. Ja po prostu nie mogę mieć nic na chacie, jak wjadą, bo będę zamieciony jak chodnik przed Sejmem.

Nie ma ucieczki od tego gówna, myślę. Nie ma wyjścia z czarnego labiryntu. Te drzwi zamknęły się za mną jakieś dwadzieścia lat temu.

– Dlaczego ja? – pytam, choć znam odpowiedź. Słyszałam ją już wiele razy. Paskudne kłamstwo, na które zawsze się nabieram, i oni to wiedzą. Najtańszy numer bazarowego cwaniaka, oszustwo jak w grze w trzy kubki. Gdybym miała jakiegokolwiek poczucie godności, gdybym sama czuła, że jestem w porządku, może nie nabierałabym się na to w taki ordynarny sposób. Gdybym nie miała centymetra wzrostu. Gdybym ciągle nie walczyła o szóstkę plus.

Ale to zawsze działa, gdy mówią:

– Bo tylko ty jesteś w porządku.

Za każdym razem.

Kurtka znika, zanim zdążę do końca wsunąć torbę do klatki.

JACEK

Śpiew syreny

14 PAŹDZIERNIKA 2019

Życ tutaj to skapitulować przed wiatrem. Pozwolić sobie na bycie miotanym i bezwładnym, jak foliówka wyrwana z kosza na śmieci.

W tym miejscu wiatr jest wszystkim.

Wiatr codziennie walczy z miastem. Kruszy jego ściany. Chybcze budynkami w posadach. Próbuje porywać ludzi i łodzie. Miasto nazywa się Ushuaia, ostatnie miasto na świecie. Dalej jest tylko Antarktyda.

Jestem w swoim mieszkaniu razem z trzema mężczyznami, którzy chcą mnie okraść, a potem zabić. Mają broń. Ja mam bilet na samolot do Buenos Aires, na jedenastą. W Buenos Aires mam przesiadkę do Frankfurtu. Z Frankfurtu lecę na Mazury.

Muszę zdążyć na ten samolot.

Lecę na pogrzeb siostry.

Kojarzę dwóch z nich, ale w ogóle nie założyłem, że mogą się znać. Tak założyłby tylko paranoik. Ale na tym właśnie polegał mój błąd – wyłączyłem swoją paranoję, odprężyłem się. Myślałem, że wraz z nim umarło wszystko, co mogło mi zagrozić.

Pierwszy z mężczyzn nazywa się Bola. Byłem u niego w domu, kupowałem od niego kokainę. Ma jakieś dwa metry wzrostu, długie i chude ręce, przypomina kościstego pająka. Bola ciężko dyszy. Jego serce bije dużo szybciej, niż powinno. Nie sądzę, aby się bał. Jego organizm jest trwale rozregulowany ćpaniem. Drugi jest grubawy i niski, ma na sobie poplamiony dres i umazane farbą crocsy. Podszedł do mnie pod sklepem, tamtej nocy, gdy pierwszy raz próbowałem pójść w ciemność, na sam koniec świata. Był razem z tą starą kobietą, która opowiedziała mi o syrenie. Myślałem wtedy, że oboje są bezdomnymi szaleńcami.

Trzeciego widzę po raz pierwszy. Około czterdziestki, blady, krótko ostrzyżone czarne włosy. Komicznie wielki nos sprawia wrażenie trofeum, które zdobył na turnieju klaunów i przyczepił sobie do twarzy, aby wiecznie się nim chwalić. Gdy się uśmiecha, w szczęce błyszczy mu srebrny ząb, dwójka.

Wiatr wciska się do środka przez szczeliny we framugach okien. Łaskocze mnie w twarz.

Mój pies, Kolega, potwornie na nich szczeka. Tłumaczę mu, że ma się uspokoić. Bezskutecznie. Zamknęli go w łazience, ale Kolega otworzył sobie drzwi i wybiegł na zewnątrz.

Tłumaczę im po hiszpańsku, że nie mam biżuterii, towaru ani gotówki, ale mogę dać im sto tysięcy dolarów w bitcoinie albo ethereum, potrzebuję tylko adresu blockchain. Nie rozumieją, o czym mówię. *Dinero*, krzyczę. *Dinero, dinero*, grubasek kiwa głową, jakby był upośledzony, i tyle tej komunikacji, chociaż wtedy, pod sklepem, był wyjątkowo elokwentny. Są partaczami. W Polsce już dawno byłbym w lesie, w jakimś odludnym miejscu. Miałbym nadgarstki pocięte od drutu, połamane nogi, wybite zęby.

Pokazują, że mam z nimi iść.

Odpowiadam, że nigdzie nie idę. W odpowiedzi Bola podchodzi i jeszcze raz wali mnie w twarz. Mój pies rzuca się na niego. Bola próbuje kopnąć psa, odciągam go w ostatniej chwili.

– Wy kurwy jebane – mówię po polsku.

Wypychają mnie z mieszkania. Jeden z nich uderza mnie otwartą dłonią w głowę.

Obiecuję Koledze, że wrócę.

Jego szczekanie słyszę jeszcze w samochodzie.

Na pace pick-upa, niegdyś białego, leżą szmaty, kable, przerdzewiały szmelc, papierowe worki po cemencie. Siadam na tylnym siedzeniu, obok grubego spod sklepu. Na lusterku wisi ciężki drewniany różaniec. Gruby się przedstawia – nazywa się Gonzalo. Nie potrzebuję tej informacji.

Samochód powoli toczy się znajomymi ulicami. Nad portem wirują chmury głodnych mew, przez uchylone okna wpada duszący smród mączki rybnej.

Bola siedzi na siedzeniu pasażera, jazgocze, gwałtownie gestykułując. Srebrny Ząb każe mu się zamknąć.

Oni wszyscy są tacy sami, na całym świecie, mają tylko różne odcienie. Chcą być szanowani i bogaci, zresztą w ich wyobrażeniu szacunek

i pieniądze to jedno i to samo. Tak naprawdę nie mają pojęcia ani o szacunku, ani o pieniądzach. Jakby w odpowiedzi na te myśli Bola odwraca się i patrzy mi w oczy. W ręku ma długi ząbkowany nóż do oprawiania ryb. Zaraz zupełnie go odepnie, straci resztki poczytalności, wbije ten nóż w najbliższe ciało, być może nawet w siebie.

Pick-up wyjeżdża z miasta. Przez parę minut jedziemy drogą szybkiego ruchu, potem odbijamy w wąską dróżkę. Auto podskakuje na dziurach i wybojach. Przejeżdżamy przez niewielką miejscowość, rzadki rząd niedokończonych domów rozrzuconych wzdłuż szosy. W końcu auto się zatrzymuje. Dom to ceglana rudera bez elewacji. Dobudowane piętro jest zбите z desek, okna zasłonięto kolorowymi szmatami. Dookoła piętrzą się śmieci, szmaty, przerdzewiałe fragmenty nieokreślonych maszyn oparte o ogołoceny z gałęzi kikut drzewa. Wszystko jest otoczone ogrodzeniem zbudowanym naprędce z grubych metalowych prętów; przyczepiona do niego tablica informuje, że ogrodzenie rzekomo jest pod napięciem. Przed domem jest kolejna tablica, na niej napis gotycką czcionką: BETLEHEM. Zaczynam się śmiać. Bola patrzy na mnie jakby zdziwiony, że ktoś jest jeszcze bardziej pieprznięty od niego.

Srebrny Ząb naciska guzik przy furtce, ta otwiera się ze szczękiem. Wchodzimy na teren posesji. Pod nogami kable, sznury, worki, plastikowe opakowania, gazety, rozrzucone niedbale mięso, resztki, kości, skóra. Z boku budynku potężne psy pozamykane w metalowych klatkach – dogi brazylijskie, amstaffy, jest ich tu kilkanaście. Mężczyźni prowadzą mnie do brudnego przedsionka obitego boazerią. Pokazują stertę butów zalegającą w rogu, pewnie chcą, abym zdjął swoje. Nie ma szans. Na drzwiach wisi kurtyna z kolorowych koralii. Pachnie tu słodkim, starym olejem, kurzem, środkiem przeciwko molom. Do sufitu przyczepiony jest lep, cały w martwych muchach.

Każą mi usiąść w pomieszczeniu, które pełni funkcję salonu; wskazują zniszczoną, obitą skajem kanapę naprzeciwko kilkudziesięciocalowego telewizora. W telewizji gra telenowela z wyłączonym dźwiękiem. Na gołych ścianach wisi obraz z Matką Boską oraz mapa Ameryki Południowej. Przez drzwi balkonowe widzę fragment podwórka na tyłach domu. Grabie, łopaty, worki, klatki z psami. Jeśli chcę zdążyć na samolot, muszę za godzinę stąd wyjechać i wrócić do mieszkania.

Nagle w żołądku pęka mi wrzód wypełniony stresem, a ten rozlewa się po całym wnętrzu. Dociera do naczyń krwionośnych, do mózgu. Dłonie

robią mi się mokre i chłodne, serce zaczyna bić szybciej, skacze mi tętno. W przełyku kwaśny smak treści żołądka. Ale paradoksalnie robię się spokojniejszy.

Gonzalo zagląda do pokoju i macha mi ręką na znak, abym poszedł za nim. Sąsiednie pomieszczenie to kuchnia, kompletnie naga, pozbawiona wystroju; kuchnia, która bardziej pasowałaby do stołówki w fabryce niż domu mieszkalnego – białe, popękane kafelki, zwinięty szlauch leżący na podłodze, metalowa półka pełna kilkilitrowych opakowań detergentów. Kwaśny fetor amoniaku zagęszcza powietrze, zabiera oddech. Kobieta ma siwe włosy, spięte w szczurzy kucyk. Stoi tyłem do mnie, odwrócona do wielkiego, kanciastego zlewu, ubrana w dżinsy pokryte jasnym pyłem. Myje plastikowe wiadro, z którego bije kwaśna para. Na dłoniach ma grube gumowe żółte rękawice. W rogu pomieszczenia widać kuchnię gazową – na okopconych palnikach stoją patelnie i garnki pokryte warstwą białego nalotu. Kobieta się odwraca, zdejmuje maskę ochronną; jej twarz jest tak samo ptasia i ostra jak u Srebrnego Zęba. To jego matka albo starsza siostra. Swoją drogą, nie widzę go, gdzieś zniknął. W kuchni jesteśmy we czwórkę: ja, Gonzalo, Bola i kobieta.

– Mam forszę, ale w krypto – mówię jej. – Mam też dolary amerykańskie, ale musielibyśmy podjechać do banku. Z tym, że gdy otworzą banki, będę musiał już być na lotnisku. Więc zostają ci kryptowaluty. Potrzebuję jakiegokolwiek laptopa z internetem.

Patrzy na mnie spode łba.

– Albo to, albo gówno. *O eso, o una mierda.*

Ściąga rękawice, rzuca je w kąt. Jej dłonie to dwa płaty starego mięsa.

– Więc jeśli dasz mi adres blockchain, przeleję ci równowartość stu tysięcy dolarów – ciągnę. – Kurs jest dobry. Kupa szmalu. Wyremontujesz sobie tę rudę.

– *No entiendo. Quieres darme un regalo?*² – pyta. Jej głos brzmi, jakby codziennie piła te stojące za nią detergenty.

Boją się jej, a najbardziej Bola. Przeszępuje z nogi na nogę, jakby zaraz miał narobić w spodnie. Ewidentnie mają z nim problem, jest najslabszym ogniwnem. To nie tylko ćpanie – chłopak jest fabrycznie głupi. Trafił tu wyłącznie dlatego, że jest z kimś stąd spokrewniony. Muszą go pilnować. Jest dziurą, przez którą przeciekają pieniądze.

– Nie, nie chcę ci dać prezentu, chcę, abyś mnie stąd wypuściła i aby twoi ludzie zawieźli mnie na lotnisko – odpowiadam.

W odpowiedzi syczy i spluwa. Ma małe, świdrujące oczy. Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, jakbym był koniem na sprzedaż. Jest czarownicą, widać po jej dłoniach i oczach, że z łatwością zabija i ludzi, i zwierzęta.

Ale czuć też, że jest wściekła na swoje zło, że ono ją męczy. W pewnym sensie jest jak przeciętna stara kobieta, która pracuje w sklepie albo w szkole. Może nawet pracowała w szkole, na przykład jako chemiczka.

Mam tak wysokie ciśnienie, że zaczynają boleć mnie oczy.

Mimo to stoję nieruchomo. Nie boję się śmierci. Boję się, że jeśli umrę, nie zdążę na samolot.

– Każdy, kto w Ushuaia sprzedaje cokolwiek bez mojej wiedzy, umiera – mówi.

– Ale ja niczego nie sprzedaję! Ile razy mam ci, kurwa, powtarzać? Coś robiłem w Buenos Aires, ale to nie jest twoja sprawa.

– Nie zabiję cię, ale zamknę cię w klatce razem z psami i będziesz zdychał z pragnienia, i utnę ci język – syczy dalej.

Wyzywam ją od starych kurew. Bola łapie mnie za twarz i uderza mną o ścianę. Tępy ból zaczyna się w dole kręgosłupa i szybko rozlewa się na całe ciało; pomieszczenie wybucha tępym hukiem. Stara na mnie pluje, śliną żrącą jak chemikalia z wiadra.

Kolejne ciosy lądują mi na brzuchu, plecach, łokciach, przedramionach. Kulę się, zasłaniam twarz, głowę i brzuch, próbuję myśleć tak jak oni myślą i chyba mi się udaje; jakiejś części ciosów udaje mi się uniknąć.

Zdążę na samolot. Wyjdę stąd.

Wiem, co stanie się dalej.

Wie to mój żołądek, wie to moje serce.

Czeka na mnie inna śmierć, dużo sensowniejsza.

Ciężnienie krwi spada. Oddech się wyrównuje.

Na moment oddzielam się od ciała. Do głowy wpływają pojedyncze wspomnienia, nieważne twarze. Wracam z wysiłkiem, spinam się w sobie, próbuję się skupić z powrotem na bólu. Zmuszam świadomość, aby wędrowała razem z nim po ciele. Nie, jeszcze nic mi nie złamali. Mogę wstać, mogę się napiąć, obronić.

Stara coś bełkocze.

Nic mi nie możesz zrobić.

Mam dużo większe problemy niż ty.

Wykorzystuję krótką przerwę w kopaniu i uderzam Bołę pięścią w krocze, co pauzuje go na potrzebny mi ułamek sekundy. Walę go w brzuch, a następnie w wątrobę, bokerską serią, powoli podnosząc się do góry; odcina go dość szybko, łatwo wyłączyć organizm zniszczony crackiem. Kątem oka widzę, że Gonzalo bierze zamach, jeden z ciosów trafia mnie w ramię, w naciągnięty rotator; ból jest bardzo silny, ale nie paraliżujący. Porywam patelnię z gazowej kuchenki i walę go na pizdę. Chwyta się za łeb, ale wciąż stoi na nogach, więc poprawiam jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, aż coś w jego czaszce wydaje dźwięk podobny do pękającego pieńka. Ma pistolet, ale już nie zdąży wyjąć go zza paska spodni, a co dopiero wycelować i strzelić. W końcu któregoś uderzenie patelnią miażdży mu nos. Mokre chrupnięcie. Osuwa się na ziemię. Stara stoi sparaliżowana, nawet nie oddycha. Mija chwila, długa i tłusta. Ona w końcu zaczyna drzeć mordę, kucam, wyciągam jego pistolet zza paska, wstaję i celuję jej w pysk.

Nawet nie wiem, jak z tego strzelić, nie wiem, czy jest odbezpieczony, ale broń wycelowana w twarz to broń wycelowana w twarz. Idee przychodzą i uciekają, lecz konkret zawsze się o ciebie upomni. Twarde powierzchnie, śmiertelne mechanizmy, komórki, które buntują się przeciwko organizmowi, psy ujadające tak głośno, jakby chciały zaszczekać świat na śmierć. Patelnia leży na ziemi, biały osad na teflonie jest teraz zabarwiony na czerwono.

– Mogłaś zarobić pieniądze, ale wolałaś być głupia.

Ona otwiera usta, chce wydać z siebie jakiś dźwięk, być może kogoś zawołać, ale kładę palec na ustach na znak, aby zamknęła ryj.

Jeszcze do niedawna nie znałem swojej siły, jej prawdziwych parametrów. Nie wiedziałem do końca, co się stanie, gdy kogoś uderzę. Od jakiegoś czasu je znam. Jestem silny, bardzo, i gdy zaczynam się bić, dzieją się różne rzeczy. Straszne, śmieszne, niebezpieczne.

Patrzę jej w oczy, ale jednocześnie próbuję rozeznaczyć się w broni – jak ją odbezpieczyć, jak nią celować. Próbuję robić to mikroruchami palca wskazującego. Próbuję udawać, że te badania są drganiem zdenerwowanej ręki.

– A teraz dasz mi kluczyki do auta i stąd pojedę. I na znak tego, że jestem dobrym człowiekiem, nawet ci go nie ukradnę. Zostawię je na lotnisku w Ushuaia, kluczyki będą na ziemi, schowane za prawym kołem...

Pies wpada do kuchni jak pocisk, rozszarpując powietrze, i jedyne, co przychodzi mi do głowy, to przewrócić się na ziemię, zanim on przewróci mnie pierwszy. Pies to coś w rodzaju amstaffa, brązowo-biała kula furii i sierści. Tuż za psem wpada do środka Srebrny Ząb. Podniecił się, może trzepał sobie za ścianą do jakiegoś zwyrodnialstwa, krzyczy na psa, zagrzewa go, aby zabił mnie szybciej. Stara stoi jak sparaliżowana, nie spodziewała się tego, po chwili dołącza do opętanego chóru. Zdania i wyrazy utopiły się we wrzasku, teraz sami są jak psy.

To wszystko trwa sekundy, ale trwa również godziny i miesiące.

Amstaffy z reguły mają około półtorej tony nacisku na szczękę. Ciało pęka mi od kortyzolu i adrenaliny, mój puls terkocze jak wirnik helikoptera. Próbuję znowu bronić się przedramionami, jakbym trzymał gardę w boksie. Na niewiele się to zdaje.

Ból przeszywa mi łokieć, jakbym dostał w rękę ślepakiem.

Zamykam oczy.

Zęby psa wbijają mi się w ciało.

Coś ciepłego spływa po nodze. Badam ręką podłogę dookoła siebie. Mam.

Słyszę, jak starucha piszczy z podniecenia.

Ciepło. Dużo. Biorę wdech.

Moja śmierć przyjdzie dużo później. Będzie znacznie sensowniejsza.

O ile pies nie przegryzł mi tętnicy.

O ile pies –

25 GRUDNIA 2014

Pazina znika w hali odlotów. Prawdopodobnie widzę ją po raz ostatni. Wyobrażam sobie, że wpycham ją do małego pudełka obok serca. Zamykam to pudełko na klucz. Zostaję sam.

Czarna, zimna woda spływa mi po twarzy tłustymi kroplami, które śmierdzą jak ropa.

Teraz straciłem wszystko. Czuję się potwornie lekki. Zamiast szpiku mam powietrze. Zamiast krwi – wiatr.

Dzwoni telefon.

To moja siostra.

Jestem pewien, że chce zapytać, czemu znowu nie byłem na święta w Olsztynie. Odruchowo odbijam połączenie. Ale po chwili przypominam sobie, w jaki sposób on wypowiadał ich imiona dosłownie dziesięć minut wcześniej. Jego obrzydliwe zdrobnienia, nasączone śliną.

Paulinka. Michałek. Kacperek.

Kilka godzin wcześniej zmusił mnie, abym strzelił drugiemu człowiekowi w twarz. Ten człowiek, stary, szeregowy gangus o pseudonimie Stryj, okradł mnie z pieniędzy, ale tak naprawdę nie miało to dla mnie znaczenia.

Mimo to nacisnąłem spust. Głowa Stryja wybuchła jak przebity balon. Dario wyglądał przy tym, jakby właśnie spuszczał się w spodnie.

Można się roztrzaskać o wodę. Można połknąć wrzask, który potem rozsadzi cię od środka. Można wszystko.

Wsiadam do pierwszej lepszej taksówki. Cierp pyta mnie, gdzie jechać. Nie mam jebanego pojęcia. Nie mam pieniędzy. Mimo to obszukuję kieszenie, znajduję sto złotych, wciskam mu banknot w dłoń. Proszę go, aby zawiózł mnie gdzieś pod miasto. Legionowo, Piaseczno, Falenica. Gdziekolwiek. Niech wybierze najtańszy przydrożny motel, taki, gdzie tirowcy przyjeżdżają z dziewczynami. To dość desperacki pomysł na kryjówkę, ale nie mam lepszego.

Przez parę minut wpatruję się w numer Pauliny na ekranie telefonu. Palec, nienaturalnie zawieszony nad zieloną słuchawką, w końcu zaczyna drętwieć. Od lat każda nasza rozmowa kończyła się awanturą, do szału doprowadzały mnie jej ciągłe próby wpędzenia mnie w poczucie winy. Z biegiem czasu miałem jej to za złe coraz mniej, ale wciąż nie lubiłem z nią rozmawiać.

Gdy w końcu oddzwaniem, nad Warszawą następuje oberwanie chmury. Tym razem deszcz jest prawdziwy.

- Hej, Paulina.
- Chyba wiesz, co chcę ci powiedzieć.
- Wiem. Ja chcę ci pogratulować.
- Nie rozumiem.
- Jesteś w ciąży, tak?

Pod wpływem dziwnego boskiego dowcipu niebo zamienia się w ocean, który siłą grawitacji spada na ziemię. Kierowca jedzie na dwójce, prawym pasem, dwadzieścia na godzinę. Nikt go nie wyprzedza. Mijamy kulkę

pomarańczowego światła, ze strumieni wody wylania się dzwon trzech samochodów.

– Mama ci powiedziała?

Nie, przed chwilą rozmawiałem z człowiekiem, który chciał rozciąć ci brzuch na żywca, myślę. Wrzask trzeba połykać ciągle. Raz po raz w ustach rodzi się nowy.

– No ludzie, kurwa, arkę zaraz trzeba będzie zbijać – mówi kierowca.

Ślub trzeba szybko robić, bo w brzuszku kielkuje już nowy Kacperek.

– Miała ci nie mówić.

– Czyli wciąż są rzeczy, które chcesz powiedzieć mi sama. To miłe.

Próbuję być złośliwy. Próbuję ukryć, że się o nią boję.

– Jesteś moim bratem, a ja jestem w ciąży, po prostu. Ja pierdolę. Ja normalnie nie przeklinam, tylko jak rozmawiam z tobą, wiesz?

Dziesięć sekund długiej, pustej ciszy. Potrzebuję jej, aby zatrzymać złość, nie nakrzyczeć na nią.

– Dobrze, przyjadę na sześćdziesiątkę mamy. Za parę dni akurat jestem w Polsce.

– Wiesz co, ja myślę, że ty cały czas jesteś w Polsce.

Masz bardzo słaby kontakt z rodziną, a przecież rodzina najważniejsza.

Z jadącego za nami auta dobiega klakson.

– Człowieku, uspokój się – mówi cierp.

Ma rację. Klakson nie wyłączy deszczu. Nic go nie wyłączy. To jest ten moment. Odpręż się. Zamknij oczy. Zaśpiewaj sobie piosenkę. Nic więcej ci nie zostało.

Paulina chce coś jeszcze powiedzieć, ale przecinam rozmowę szybkim „do zobaczenia”.

Gdy naciskam czerwoną słuchawkę, deszcz nagle przestaje padać. Cały prawy pas to kałuża, głęboka na pół felgi. Wciąż czuję się lekki, wciąż nie mam nic, ale muszę podjąć decyzję, co dalej. Muszę podjąć ją szybko.

*

Motel był bardziej niż wstrętny. Mieścił się w domu wolnostojącym, zbudowanym w taki sposób, aby pomieścić część mieszkalną i do tego jakiś interes. Interes połknął część mieszkalną. W środku pachniało zepsutymi mlekiem i piwem, podłogę pokrywała stara drewnopodobna okleina.

Brudne ściany ostatni raz malowano jeszcze przed wejściem Polski do NATO. Większość pokoi była wieloosobowa, ale cudem mieli wolną jedynekę. Jedyński są droższe, powiedziała zmęczona kobieta na recepcji, z obolałą twarzą i kaskiem natapirowanych włosów. Nie miałem żadnych pieniędzy. Miałem zegarek, używanego Breitlinga. Był wart może jakieś dziesięć tysięcy. Ostatecznie dałem jej w zastaw paszport.

Wziąłem prysznic, umyłem się odpryskiem mydła, który leżał na zlewie. Przez wiele godzin siedziałem nagi na tapczanie, piłem wodę z kranu, oglądałem telewizję na małym i starym odbiorniku, przykręconym do ściany na grube śruby. Obudziłem się nad ranem i od razu włączyłem go znowu.

– *Tragedia pod Warszawą, eksplozja bomby w samochodzie na weselu córki biznesmena Piotra Fukaja. Według CBA Piotr Fukaj ma powiązania z międzynarodowym procederem handlu narkotykami.*

Patrzyłem na zmianę w telewizor i na ekran telefonu. Dario rozkazał mi być u niego w domu dziś o dwunastej. Miałem dostać pieniądze, towar, auto i mieszkanie.

Mógł zrobić wszystko, co wymyślił. Świat był dla niego kartonową makietą. Mógł w niej przedstawiać, zmieniać i niszczyć dowolne elementy.

Zniewolił mnie. Zrobił to od niechcienia, pstryknięciem palcami. Nie miałem żadnej alternatywy. Obudziłem się z tą świadomością jak z kajdankami na dłoniach.

Podanie o urlop możesz napisać później, powiedział. Był ze mną w tym pokoju, „ruchał mnie z miłością”. Wcisnięty w róg, nieusuwalny jak zmora, którą widzi się w trakcie paraliżu sennego. Odwlekałem telefon do niego, bezskutecznie walcząc z czasem o jakąkolwiek niepodległość. Każda minuta trwała rok. O dwunastej wybiegłem z pokoju, ruszyłem w stronę głównej ulicy. Kręciło mi się w głowie. Po paru krokach musiałem się zatrzymać i zwymiotować. Rzygałem dobre piętnaście minut, żółcią, trzęsąc się jak podczas ataku padaczki, nieporadnie schowany za drzewem. Ktoś zapytał, czy wszystko w porządku. Ktoś inny warknął, że zaraz zadzwoni po policję.

Ruszyłem w stronę centrum Piaseczna. Ukradłem portfel starszej kobiecie, która zapatrzyła się w ogłoszenia na słupie. Wziąłem z niego dwieście złotych, zapamiętałem dane z dowodu, wrzuciłem portfel do skrzynki na listy. Był drugi dzień świąt, ale chiński market okazał się otwarty. Kupiłem jedzenie – zupki instant, jogurty i banany, plus bieliznę,

jakiś biały podkoszulek. Ukradłem skarpetki i kostkę mydła. Wróciłem do motelu. Umyłem się, przebrałem. Zjadłem. Jeszcze raz zwymiotowałem. Jeszcze raz zjadłem.

Skapitulowałem parę minut po piętnastej. Wciąż go widziałem, stał w rogu pokoju. Nie było innego wyjścia. Pierdol się, powiedziałem mu. Wybrałem jego numer. Abonent był czasowo niedostępny.

Włączyłem telewizor.

– Mariusz Fajkowski nie wróci na antenę NTV. Prezenter miał prowadzić nowy talent show dla dzieci, *Zdolne szkraby*, jednak internetowy protest przeciw jego zatrudnieniu podpisało kilkadziesiąt tysięcy osób.

Dario miał wciąż wyłączony telefon. Wieczorem zadzwoniłem do Pauliny pod jakimś głupim pretekstem – czy urodziny będą w knajpie, czy w domu, czy mam coś kupić, w sumie to najchętniej dorzuciłbym się do prezentu. Była zdziwiona, ale też wyraźnie szczęśliwa.

Najważniejsze – wszystko było z nimi w porządku. Byli razem. Chciałem jej powiedzieć coś w rodzaju: zamknijcie drzwi, nie wpuszczajcie nikogo do domu. Nie powiedziałem. Nikomu i niczemu by to nie pomogło. Nawet mojemu strachowi.

Kompulsywnie zmieniałem kanały. Głowę miałem pełną krótkich, idiotycznych przeblysków, które skakały mi po mózgu jak naelektryzowane pchły. Twarze. Miejsca. Ucieczki. Pieniądze. Fajkowski. Beata. Maluch. Węzeł złych decyzji. Supły bólu. Eksplodująca twarz Stryja. Myśl znikąd: suma cierpienia we wszechświecie jest stała, tak samo jak liczba atomów. Aby mniej myśleć, chodziłem w kółko po pokoju, gadając do siebie. Biłem się po głowie, coraz mocniej. Co chwila wyglądałem przez okno. Wypatrywałem go na parkingu. Obserwowałem ludzi, którzy wysiadali z podjeżdżających aut. Każdy mógł być jego wysłannikiem. Mógł być wszędzie, a i tak stał w rogu pokoju. Wpatrywał się we mnie, nawet nie mrugając oczami.

Film taki oglądam z tobą sobie, mówił bezgłośnie.

Telefon zadzwonił dopiero następnego dnia wieczorem, o dwudziestej trzeciej. Zdążyłem obejrzeć całą telewizję w Polsce. Gdyby zadzwonił pięć minut później, oszalałbym. Nie znałem tego numeru. Odebrałem. Na początku nie rozpoznałem głosu.

– Wyłaż, kurwa, na zewnątrz – usłyszałem.

Piotrek był sam. Palił cienkiego papierosa, ubrany w dresowy komplet, oparty o zielone porsche cayenne z włączonym silnikiem. Udawał

zrelaksowanego, ale na twarzy miał miazdżycową czerwień. Szczęka mu pracowała, na jeden mach wciągnął jedną trzecią fajki. Na mój widok pstryknął petem i parsknął śmiechem.

– Ale cię oderwało, ja pierdołę. Teraz serio wyglądasz jak duch.

Co mogłem mu powiedzieć? Zabiłem człowieka. Pociąłem twarz kobiecie, którą kochałem. Byłem pusty. Rozmawiałem ze zmorami.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

– Bo jak ktoś chce się schować, to nie pawi w biały dzień za drzewem na środku ulicy w drugi dzień świąt, Jacek.

Patrzył na mnie jak na dziecko wojny. Zrobiło mi się wstyd.

– Chłopie, ja się tu urodziłem przecież, tu, w Piasecznie, kurwa. Wszyscy mnie tu znają. Jak mam problem, wszyscy o nim pierdolą. A teraz moim problemem jesteś ty.

Zdjąłem zegarek z nadgarstka, wyciągnąłem w jego stronę. Zachnął się.

– Poczekaj. Wyluzuj, kurwa. Czekaj.

Schylił się, wyłączył silnik. Zamknął drzwi. Opuścił powieki, wziął głęboki wdech. Przeciągnął się, splunął.

– Wiem, że twoje zaufanie... – zacząłem.

– Moje zaufanie do ciebie nie istnieje. Moje zaufanie do ciebie jest martwe jak świętej pamięci babcia Kinia. Z tym że babcia Kinia obudzi się, rozumiesz, na Sądzie Ostatecznym, Jacuś. A moje zaufanie nie.

– Słuchaj, to Stryj i...

– Ja wiem, co Stryj. Ten idiota Bujas mi się wypucował. Ja wiem, że to oni.

– Stryj nie żyje.

– Wiem. Wszystko, kurwa, wiem. Chodzi o to, że się dałeś. Jak mały dzieciak.

Dotknął sedna, musiałem mu to oddać. Tak, dałem się podejść z każdej możliwej strony.

– I co teraz?

Złapał mój policzek w dwa palce, a na jego twarzy pojawił się pełen spokoju uśmiech Świętego Mikołaja.

– Dorośli ludzie naprawili sytuację. Dojechaliśmy go. Szybko i sprawnie.

– Kogo?

– Misia Gogo. Tego kurwę syna psychopatę Dareczka. Wiem, że tobie też cisnął i kręcił świry.

Na początku zupełnie nie mogłem go zrozumieć. Tak czują się ludzie, którzy dostali wylewu, pomyślałem. Cudze słowa brzmią jak wypowiedziane w obcym języku. Znajomo brzmiącym, ale kompletnie niezrozumiałym.

– Ty lampisz się na mnie, chłopino, jakbym powiedział ci, że wczoraj poleciałem na Marsa, otworzyłem tam burdel z kosmicznymi, kurwa, kurwami i wróciłem stamtąd na rowerze. Dorwaliśmy, czytaj: nie ma chłopa. I rychło w czas. Przecież facet by Warszawę podpalił zaraz.

Ciało musiało się nauczyć tej informacji, mięśnie jeszcze jej nie rozumiały. Rosnące we mnie uczucie – ulga? nadzieja? – było tak wielkie, że na moment straciłem równowagę.

– Jak to zrobiliście?

– A to ma znaczenie? Zrobiliśmy to, co trzeba było. To, co on próbował mi zrobić, cwelisko podłe. Myślałeś, że co, że ja to odpuszczę, co on zrobił? Na weselu mojej córki? A potem jeszcze ten Stryju? On był zawsze najbardziej chory z ludzi.

– Podłożyliście bom...

Przerywa mi.

– Noż kurwa chrześcijańska mać, Jacuś. Ty serio przeżyłeś jakieś załamanie mózgowe. To nie ma znaczenia jak. Ważne, że jest git.

Miał rację. Nie było sensu ani pytać, ani odpowiadać, ani w ogóle rozmawiać. To uczucie otwartych nagle płuc było gwałtowne i dojmujące jak nic nigdy wcześniej. Narodziłem się na nowo, na małym parkingu, zimową nocą, za brzydkim, dużym domem na obrzeżach obcego miasta. Odwróciłem się do Piotrka plecami. Mogłem mieć wyraz twarzy, którego nikt nie powinien oglądać.

– Nie ma chłopa, chuj mu na mogiłę. Ameno amba fatima.

– A co z nami? – zapytałem, wciąż odwrócony.

– Nic.

– W sensie?

– Nic mi nie lecis, nic nas nie łączy. Schowaj ten sikor i spierdalaj z Warszawy, jedź sobie, gdzie tam tylko chcesz, chłopaku. Rada: tutaj nie wracaj. A jak tak bardzo kochasz piękną stolicę Polski, to se znajdź jakąś normalną robę, bo gonić już nie będziesz nic po tych twoich wyczynach.

Odwróciłem się, aby mu podziękować, ale on odwrócił się pierwszy. Bez słowa wszedł do samochodu.

Nie zobaczyłem go nigdy więcej.

Wróciłem do pokoju. Usiadłem na tapczanie. Wyłączyłem telewizor. Rozplakałem się. W rogu nikogo nie było. Moja skóra stała się nową skórą. Pod spodem były nowe mięśnie i kości, które napełniały się szpikiem. Żyły napełniały się krwią.

Zszedłem do recepcji. Oddałem kobiecie zegarek, wziąłem swój paszport. Powiedziałem jej, że zostaję do jutra.

Następnego dnia pojechałem pociągiem do Olsztyna, na gapę. Wszedłem do domu rodziców po raz pierwszy od dobrych kilku lat. Ojciec siedział w fotelu, czytał „Kwartalnik Teatralny”. Całe moje życie ojciec siedział w fotelu i czytał „Kwartalnik Teatralny”, to pismo musiało być drukowane specjalnie dla niego. Przywitał się ze mną głuchym mruknięciem i podszedłem do niego, żeby uścisnął mi rękę. Mama się rozplakała, ale zaraz odzyskała spokój. Była szczuplejsza, niż gdy ją ostatnio widziałem. Obcięła włosy, zafarbowała je na kruczoczarno. Ubrana w długi, ręcznie dziergany sweter, chodziła w kółko po mieszkaniu, opowiadając mi o sprawach jakichś swoich znajomych, zupełnie obcych mi ludzi, jakbym ich doskonale znał. Po prostu kiwałem głową. Nie musiałem nic mówić, bo w zasadzie nie zadawała mi pytań. Próbowali się zachowywać, jakbym ostatnio był u nich tydzień temu. Mama zawsze po prostu mówiła, ojciec nie mówił nic – było tak, odkąd pamiętam; jakiś ich wspólny wygląd, zakład, z którego nie umieli się wyplątać. Znowu malowała obrazy – głównie zachody słońca nad jeziorem, rozmazane, ledwo widoczne. Wisiały wszędzie w mieszkaniu, pachniały terpentyną, mama miała na dłoniach drobinki farby.

Paulina przyjechała dwie godziny później, zjedliśmy urodzinową kolację. Miała wyraźnie zarysowany brzuch. Co chwila wymieniali z narzeczonym spojrzenia dobrych przyjaciół. Byli solidną firmą, pewnym biznesem. Nie miałem siły im zazdrościć. Kacper był podobny do niej – miał jasne włosy i wielkie oczy, które w skupieniu połykały otaczający świat. Wyglądał, jakby bardzo poważnie traktował bycie małym dzieckiem. Podobało mi się to. Mama dostała w prezencie tygodniową wycieczkę na Krete, na którą miała pojechać razem z ojcem. Prezent był niby również ode mnie. Obiecałem Paulinie, że później się z nimi rozliczę. Zadawano mi jakieś pytania, na które odpowiadałem z automatu, ledwo rejestrując rzeczywistość. W pewnym momencie Paulina dała mi chłopca na rękę. Powąchałem jego głowę. Pachniał czymś bardzo czystym, ale to nie był zapach oliwek, kremów, proszku do prania, mleka. To był jego pierwotny,

przyrodzony mu zapach. Ktoś powiedział, że mały jest podobny do mnie. Popatrzyłem mu w oczy. Nie był. To dobrze, pomyślałem.

Było chyba koło ósmej, gdy przeprosiłem ich na chwilę. Musiałem być sam. Głowa huczała mi od szumu. Byłem wyczerpany. Zapytałem rodziców, czy mogę u nich spać. To przecież twój dom, odpowiedzieli. W moim dawnym pokoju mama urządziła sobie pracownię – na środku stała sztaluga, podłoga była brudna od farby, pachniało terpentyną. Pod ścianę dosunięta stara kanapa. Niewykluczone, że to na niej straciłem dziewictwo. Na ścianie wciąż stare plakaty: Tool, Wu-Tang Clan, *Noc na Ziemi*, *Wściekłe psy*. Na podłodze stał mój stary dwukasetowy magnetofon, wycierany z kurzu, uwalony farbą, plus kasety. Wziąłem jedną z nich, *Aenima*, włożyłem do środka, nacisnąłem play. Dźwięk wydał mi się rozlany, gumisty. To była tytułowa piosenka, Maynard, wokalista, modlił się o zatopienie Los Angeles. Ja modliłem się o zatopienie Warszawy.

Nie udało się, trudno. Może kiedyś.

Położyłem się na kanapie. Nawet nie zasnąłem, po prostu się wyłączyłem. Po jakimś czasie ktoś mnie obudził. Wyrwałem się ze snu, jakbym wypłynął na powierzchnię czarnego jeziora. Paulina stała nade mną, patrzyła mi w oczy. Przeprosiła mnie. Powiedziałem jej, że nie ma za co.

– My już jedziemy, Jacek. Padam. – Pokazała na swój brzuch. – Weź z tym chodź cały dzień.

– Nie tłumacz się. No co ty.

Usiadła przy mnie, wzięła mnie za rękę. Odruchowo chciałem ją zabrać, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili.

– Pamiętasz, jak znalazłam u ciebie trawkę? I chciałam ją zanieść do mamy? Trzymałeś ją w takiej kapsułce po zabawce z jajka niespodzianki.

Podniosłem się. Przysunąłem się do niej. Jedynym dźwiękiem był oglądany przez rodziców telewizor. Dokładnie tak jak wtedy, gdy byliśmy mali.

Człowiek, który jej groził, już nie żył.

– Nie wiedziałaś nawet, co to jest.

– Oczywiście, że wiedziałam. Miałam dwanaście lat. Wiedziałam wszystko.

– Matko, to był naprawdę podły weed. Maczali to chyba w butaprenie. Dziw, że wciąż żyjemy.

– No tego akurat nie sprawdziłam. Miałam dwanaście lat.

Dotknąłem jej dłoni. Była ciepła, dużo cieplejsza od mojej.

– No dobra, ale czemu nie pokazałaś tego starym?

– Bo czymś mnie nastraszyłeś. Że spalisz moją kolekcję N Sync czy coś.

Jej oddech w ciemności przypominał szum ciepłego morza.

– Tak naprawdę nic im nie powiedziałam, bo wiedziałam, że miałbyś kłopoty – dodała ciszej, prawie szeptem.

– Dzięki.

– Nie musisz nas okłamywać – znów szept.

Przez parę czarnych sekund milczałem.

– A co robisz naprawdę, Jacek? – zapytała.

– Nie zanieśiesz tego do mamy?

Znowu się uśmiechnęła. Wzięła moją dłoń i położyła ją na brzuchu, w którym było dziecko, a ja uświadomiłem sobie, że nigdy tego nie robiłem, nigdy nie trzymałem dłoni na brzuchu kobiety w ciąży, twarde i napięte jak bęben.

– No co ty.

– Handlowałem narkotykami, Paulina. Kokainą. Dużymi ilościami. Zarabiałem potworną kasę. A potem całą straciłem.

– Chyba nie jestem zdziwiona. Ale nie wiem czemu.

Myślałem, że zabierze moją dłoń z brzucha. Ale zamiast tego położyła na niej swoją.

– Kurczę, wszystko mogło być inaczej – powiedziała.

– Ale nie ma sensu tak myśleć.

– Jasne, że tak.

Przez ten krótki moment, zanim pocałowała mnie w czoło i wyszła, naprawdę była moją siostrą. Słyszałem przez ścianę, jak się żegnają. Nie wyszedłem do nich. Paulina powiedziała im, że śpię. Włączyłem telefon. Zacząłem googlować wyrazy: „gangster”, „Dariusz”, „śmierć”. Jedna wzmianka z lokalnego warszawskiego portalu. Ciało znalezione w okolicy Rembertowa, w porannych godzinach. Spalone zwłoki zostały zidentyfikowane jako Dariusz K., były gangster z Trójmiasta. Nikt nie zrobił z tego czołówki. Nikt się tym szczególnie nie przejął. Nikt nie skojarzył tego z Piotrkim. Jeden jedyny komentarz brzmiał: „To nie był żaden prawdziwy gangster, nigdy o nim nie słyszałem”. Gdy umierają ludzie tego typu, pozostawiają po sobie tylko cichą ulgę.

Obudziłem się nad ranem i upewniłem się, czy ten artykuł rzeczywiście istnieje. A potem zasnąłem jeszcze raz.

Śniłem o lotniskach. Halach odlotów, check-inach, bramkach. O zapachu w sklepach bezcłowych. O butelkach perfum, kartonach papierosów. Śniłem o szukaniu zgubionej karty pokładowej. O tym, że wchodzę do lotniskowej toalety i na podłodze, obok muszli, leży płachta cienkiego materiału. Kucam, biorę ją w dwa palce. To skóra.

Obudziłem się po dobrych dwunastu godzinach. Była dziesiąta rano. Z kuchni dobiegały głosy Pauliny, Bartka i Kacpra, wrócili do rodziców na późne śniadanie. Mama usmażyła naleśniki i zrobiła kakao, jakbyśmy cofnęli się w czasie o trzydzieści lat. Z całych sił próbowała zamurować ciszę słowami. Wspominała jakieś wydarzenia, które nigdy nie miały miejsca. Miała prawo żyć w swoim świecie, jak każdy.

Aby jej nie słuchać, rozmawiałem z Bartkiem. Razem z Pauliną prowadzili sklep z materiałami plastycznymi niedaleko liceum plastycznego. Nie był to jakiś intratny biznes, ale w miarę bezpieczny. Uczniowie potrzebowali sztalug, ram, pędzli i papieru. Bartek pochwalił się, że jego rodzice sprzedali ogródek działkowy i dali im pieniądze na remont mieszkania, które kupili na licytacji komorniczej. Bartek był zaradny i oszczędny. Bartek był w porządku.

Po śniadaniu zapytałem go, czy możemy pogadać na osobności.

– Co tam, Jacek? – zagadnął.

– Potrzebuję pożyczyć od ciebie dziesięć tysięcy.

Był zdziwiony i trochę smutny.

– Uprzedzając: tak, mam przejściowe kłopoty, ale obiecuję, że ci oddam – dodałem.

Mógł być złośliwy. Zapytać, czy w Hongkongu aż tak źle mi płacą. Ale nijak nie skomentował mojej prośby, tylko wyjął telefon i puścił mi przelew.

Pięć minut później kupiłem przez internet bilet do Buenos Aires.

Pocałowałem Paulinę na do widzenia. Powiedziałem rodzicom, że wracam do Hongkongu.

Ojciec zawiózł mnie na lotnisko w Szymanach. Gdy wysiadałem z auta, powiedział:

– Fajnie, że wpadłeś. Mama się ucieszyła.

Tyle, to jedno zdanie.

Na lotnisku zlokalizowałem córkę kobiety, której ukradłem portfel, była fryzjerką w Falenicy. Zadzwoiłem do niej, powiedziałem, że znalazłem portfel jej mamy, głupia sprawa, pożyczyłem sobie z niego pieniądze. Teraz chcę je oddać, z nawiązką. Poprosiłem ją o numer konta. Przelałem jej tysiąc złotych.

Z Szyman poleciałem do Londynu, na Stansted. Z Heathrow miałem lot do Buenos.

Przespałem cały.

Śniła mi się Pazina. Byliśmy w lesie, późną nocą. Czegoś chciała, prowadziła mnie gdzieś. Było zimno. Chyba chciała się ze mną kochać, po to, aby się rozgrzać.

Potem zupełnie zniknęła.

Zostałem w lesie sam, położyłem się na ziemi.

Gdzieś w mroku były zwierzęta. Słyszałem ich oddechy, czułem ich zapach. Słyszałem, jak mnie okrążają.

STYCZEŃ 2015 – PAŹDZIERNIK 2019

Odebrałem bagaż jeszcze w półśnie. Oprzytomniałem, gdy zidentyfikowałem swoją walizkę. Prawie wybiegłem przed terminal. Musiałem jak najszybciej doświadczyć tego świata, powąchać go. Na początku był orgią kolorów, okrzepł dopiero po chwili, gdy wzrok przyzwyczyił mi się do nowych doznań. Oparłem się o ścianę zatłoczonego McDonalda, poprosiłem kogoś o papierosa. Nie mam pojęcia, czemu to zrobiłem. Nigdy nie paliłem papierosów, ale ten nawet mi smakował.

Przez pierwsze dwa tygodnie na zmianę spałem w hotelu i szlajałem się po ulicach. Miasto było potężne, na jego przecinających się pod kątem prostym arteriach panował spowolniony chaos. Ludzie płynęli przed siebie w gorącym powietrzu, sprawiali wrażenie obojętnych i półprzytomnych. Realne życie, ze swoim porządkiem, przyczynami i skutkami, zaczynało się po zmroku. O dwudziestej drugiej mieszkańcy i turyści wychodzili na zewnątrz, aby pić i jeść, dojeżdżali szarostalowymi autobusami do dzielnic imprezowych. Dopiero około drugiej szli do klubów. Oczywiście potrzebowali narkotyków. Ludzie potrzebują narkotyków pod każdą szerokością geograficzną, ale tym razem nie potrzebowali ich ode mnie. Nie miałem zajęcia. Byłem pogubiony. Lubiłem to. Dalej paliłem papierosy.

Zrozumiałem, dlaczego ludzie palą – papierosy stają się sercem, w którego rytm bije reszta życia.

Nie odezwałem się do Paziny. Czasami zastanawiałem się, co by było, gdybym się na nią natknął, ale tak się nie stało. Należała do świata, który umarł. Połączyły nas konkretne okoliczności, samotność podobnego rodzaju. Te okoliczności przestały istnieć. Warszawa była na drugim końcu świata. Skrzynka obok serca – zamknięta na wyrzucony klucz.

Poznawałem nowych ludzi. Traktowałem ich jak sny. Barczystego Rosjanina, który twierdził, że jest marynarzem, i który powiedział mi, że za parę lat wybuchnie wojna światowa, że zacznie się od ataku atomowego na Polskę (mówiąc to, śmiał się białymi licówkami, które w nocy wyglądały jak z marmuru). Szwedkę, wysoką, posagową i posępną dziewczynę, która tak jak ja kiedyś malowała obrazy i która tak jak ja chciała od wszystkiego uciec. Tylko ona uciekała do środka. Żarła tabletki, które spłaszczają jej ból do poziomu, na którym mogła funkcjonować. Poszliśmy do łóżka, ale to było dziwne, bo czuliśmy się jak bliźniacy.

Z hotelu przeprowadziłem się do brudnego, taniego mieszkania w dzielnicy Boca, podobno niebezpiecznej. Mieściło się niedaleko stadionu piłkarskiego. Poznałem chłopaków, którzy handlowali mdma, ketaminą i heroiną, wytatuowanych małolatów z fryzurami jak Ronaldo i wydepilowanymi brwiami. Jeździli po mieście na małych skuterach o kolorach flamastrów. Gdy nie jeździli, przesiadywali w lodziarniach albo grali w karty na krawężnikach w głupie, pozbawione zasad gry. Przypomniałem sobie, jak odgrywa się rolę człowieka godnego zaufania: mówić niewiele, nie używać internetu, patrzeć prosto w oczy, gdy trzeba się odwrócić; wiedzieć więcej o swoim rozmówcy, niż on wie o tobie; jeśli nie wiedzieć, to przynajmniej go czytać. Poznali mnie ze swoimi zwierzchnikami.

Zwierzchnicy mieli mniej nażelowane włosy, mniej krzykliwe ciuchy, rzadziej chodzili na siłownię. Ich biura mieściły się w azjatyckiej dzielnicy, nad wielkimi hurtowniami zasłon, dywanów i prześcieradeł. Chcieli być traktowani poważnie, jak prawdziwi biznesmeni, mimo że funkcjonowali w świecie pozbawionym podstawowych narzędzi biznesu: umów, udziałów, kont bankowych, aktów notarialnych. Tacy ludzie zawsze chcą dwóch rzeczy: być traktowani poważnie i czuć się bezpiecznie.

Robiłem swoje – po prostu zarabiałem pieniądze. Nie jeździłem po mieście, przechowywałem rzeczy w swoim mieszkaniu, czasami ktoś po nie

przyjeżdżał. Liczyłem, zapamiętywałem. Ważyłem. Na darkwebie kupiłem litewski paszport z wizą stałego pobytu w Argentynie. W skrytce za wanną trzymałem dziwne narkotyki, głównie różowy koks z Kolumbii, o którym nagrywano reggaetonowe przeboje i który tak naprawdę nie był żadnym koksem, tylko mieszanką emki, ecstazy, xanaxu, różnych mefedronów, czasami fentanylu. Różowy kolor pochodził od barwnika spożywczego, tego samego, który dodaje się do jogurtów czy galaretek. Spałem w dzień, wstawałem w nocy. Najbardziej lubiłem świt, porę odpoczynku. Zjadałem posiłek w całodobowej knajpie, steka i sałatę, i jechałem autobusem na nabrzeże.

Pierwszą gotówkę, jaką dostałem do ręki, wysłałem przez Western Union Bartkowi. To, co pożyczyłem, i drugie tyle za fatygę. Próbowałem oponować, ale go spacyfikowałem. Kolejny zarobek natychmiast wydawałem na bzdury. Brałem dziewczynę ze Szwecji do butików i kupowaliśmy markowe ubrania, a potem oddawaliśmy je bezdomnym. Pieniądze kiedyś były dla mnie wszystkim, wielkim murem, barierą bezpieczeństwa. Teraz rozumiałem, że są warte tyle, ile spodnie na dupie, dach nad głową, jedzenie w żołądku. Nic więcej.

Dziewczyna okazała się kompletnie szalona. W nocy budził mnie jej płacz, opowiadała mi o sobie historie, które były zbyt dziwaczne, aby je po prostu wymyślić. Poznała starego faceta, pieprzyła się z nim na kamerkach, nazywała go ojcem. Nie tatusiem, *daddy*, tylko właśnie ojcem. Nienawidziła dzieci, raz nachyliła się nad wózkiem zostawionym pod sklepem i napłula niemowlakowi na buzię. Jej cierpienie było nieuleczalne. Mogła tylko coraz głębiej się w nie zapadać.

Czasami ogarniał mnie krótki, irracjonalny lęk, że on tu jest, że wciąż żyje, że przyleciał tu za mną. Czasami mi się śnił, stał w rogu pokoju i po prostu na mnie patrzył, nucił melodie, palił papierosy, ale gdy się budziłem, znikał.

Czytałem wtedy treść notki o jego śmierci – zrobiłem screenshota z tego artykułu i ustawiłem go jako tapetę – po czym szedłem spać dalej.

Widocznie był tylko człowiekiem, jak wszyscy. Ot, wzięli go z zaskoczenia, dali w łeb, związali, wywieźli do lasu. Oblali benzyną. Podpalili. Wyobrażałem sobie, że śmiał się do końca.

Zrozumiałem, że za moim marzeniem o odpoczynku kryło się coś zupełnie innego. Odległy sen o ciszy, której nie znałem. Musiałem się jej nauczyć, ale okazała się nie do zniesienia. Próbowałem medytować. Gdy

zamykałem oczy, skupiałem się na oddechu, ale wtedy od razu wszystko eksplodowało. Miasto. Torba. Beata. Policzek. Zdrobnienia. Twarz Stryja. Jak balon.

W końcu Szwedka wyjechała. Wiedziałem, że pewnego dnia to zrobi – albo to, albo się zabije, i wolałem rano zobaczyć puste łóżko niż trupa w łazience. Pojechałem do Iguazu, zobaczyć największy wodospad na świecie. Pojechałem do Amazonii. Pojechałem w parę innych miejsc, w tym do Gujany, tam, gdzie tysiąc osób popełniło zbiorowe samobójstwo razem ze swoim przywódcą, szalonym kaznodzieją Jimem Jonesem. Chodziłem po porośniętych dżunglą resztkach ich miasta, w airpodsach grała ściągnięta z internetu „Death Tape”, podobno prawdziwy zapis ostatniej nocy w Jonestown. Płacz otrutych dzieci nakładał się na hipnotyczny dźwięk organów grających dziwną cyrkową melodyjkę. Sam stawałem się od tego chory. Zacząłem myśleć o śmierci jako o szybko przybliżającym się punkcie, bo tym właśnie była, niczym innym.

A potem wróciłem do Buenos Aires. Zwierzchnicy poznali mnie z kolejnymi zwierzchnikami. Ci byli jeszcze zwyczajniejsi, jeszcze bardziej przezroczyści. Zdradzały ich tylko lepsze zegarki. W oczach mieli pustkę. Nie musieli jej udawać, odgrywać. Mówili na mnie „dziwny Polak”, *Polaco extraño*. Zrobiłem na nich wrażenie, po prostu mówiąc o sobie prawdę. Powiedzieli mi, że gdyby wszyscy w tym biznesie byli tacy jak ja, pieniądze byłyby dużo większe, umierałoby dużo mniej ludzi. Gdyby ten biznes był legalny, nikt by nie umierał, odparłem. Ale wtedy pieniądze byłyby mniejsze, stwierdził jeden z nich. Zastanowiłem się wtedy po raz pierwszy, jak wyglądają tutejsze więzienia, i zrozumiałem, że wiele rzeczy mi się udawało, bo wypierałem myśl o więzieniu. Zamieniłem ją w lęk, upakowany do rozmiarów małego, twardego guza w żołądku. W więzieniu najbardziej bałem się nie przemocy, niepewności, poczucia straty życia, które jest gorsze od właściwej straty. Najbardziej bałem się zwykłego zamknięcia.

Tego, że nie mogę po prostu otworzyć drzwi i wyjść.

Poznawałem ludzi, kolejnych i jeszcze kolejnych. Modelkę uzależnioną od cracku, potwornie bogatą. Starą, mądrą panią z Polski, która pracowała w bibliotece. Człowieka, który stracił w kasynie pieniądze odłożone na wykształcenie pięciorga swoich dzieci w Stanach Zjednoczonych. Mężczyznę, który twierdził, że jest kuzynem Messiego, i który być może nim był, bo wszystko inne, co mówił, wydawało się w miarę normalne. Ale

przecież na tym polega dobre kłamstwo. Musi mieć podporę z banału i wiarygodności.

Lewitowałem. Pieniądze wpadały mi do ręki, nieproszone. Po jakimś czasie przestałem handlować, przetrzymywać towar. Zrozumieli, że moim największym talentem jest uważność. Zacząłem się zajmować logistyką. To była praca jak w zwykłej firmie, siedzenie w małym pokoiku przed komputerem podpiętym do zaszyfrowanego łącza satelitarnego, przy biurku z szufladą pełną kryptofonów. Pracowałem na zmianę z drugim człowiekiem, który przychodził do pracy w masce; gdy wchodził, ja musiałem założyć swoją. Towar przywożono ciężarówkami z Kolumbii przez Chile. Musiałem siedzieć przy ekranach, obserwować trasę, koordynować ochronę, przeładunek. Monitorować dziesiątki punktów będących w promieniu kilku kilometrów od kryjówek i miejsc przeładunku. Odczytywać drobne sygnały, notować rejestracje przejeżdżających samochodów, szukać powtarzalności, wzorów. Nie chodziło nawet o policję, problemem byli napadający na transporty *bandidos*. Taki napad oznaczał wyrok śmierci dla nich i ich rodzin, ale ludzie byli zdesperowani i głodni. Zresztą nie obchodziło mnie to. Ja tylko musiałem patrzeć, bez przerwy. Pomagała mi w tym trawa – wzmacniała paranoję, wyostrzała to, co nieschematyczne, gwałtowne. Dostawałem za to bardzo dobre pieniądze w gotówce, amerykańskie dolary.

Jedyną osobą z Polski, z którą miałem kontakt, była Paulina. Zadzwoniła do mnie, gdy doszła do siebie po urodzeniu córki, i odtąd dzwoniła co dwa, trzy miesiące. Nazwali dziewczynkę Jagoda. W międzyczasie wzięli szybki i kameralny ślub. Nie robili żadnego wesela, szkoda im było pieniędzy. Nie miałem pretensji, że nie powiedziała mi wcześniej. I tak nie mógłbym przyjechać. Paulina cieszyła się, że znowu normalnie rozmawiamy. Opowiadała mi o swoim życiu, rzeczach codziennych, a jednocześnie zupełnie mi obcych. Praca, dzieci. Wstawanie w nocy. Liczenie pieniędzy. Upór i godność. Jej życie miało pień. Lubiałem sobie powyobrażać, że również mogę się o niego oprzeć. Czasami brała Kacpra na kolana. Za którymś razem pomachał mi i powiedział: cześć, wujek. Paulina zmierzwiła mu włosy. Wujek jest daleko, ale kiedyś nas odwiedzi, powiedziała.

Poznałem pewną kobietę. Bogatą, starszą ode mnie. Zamieszkałem z nią. Z miesięcy zrobił się rok, półtora. Czas przestał być odczuwalny, jego kanty się wygładziły. Zamienił się w zwykłą codzienność.

Mieszkając z kobietą, namalowałem parę obrazów. Żyłem za jej pieniądze, podziękowałem zwierzchnikom za współpracę. Nalegała na obie te rzeczy. Musisz mieć jedno życie, które nie może być sekretem, przekonywała, inaczej umrze twoja dusza. Miała rację. Zwierzchnicy byli źli, próbowali mnie zastraszać. Odbiliśmy rozmowę, późną nocą, w zamkniętym magazynie, w półmroku, pomiędzy metalowymi półkami wypełnionymi belami zakurzonego materiału. Chcieli mnie torturować, czułem to. Nie byli pewni, czy nie współpracuję z policją. Zaoferowałem, że oddam im pieniądze, ale odmówili. W końcu się dogadaliśmy, praktycznie bez słów, to była gra spojrzeń, szukanie słabego punktu.

Odpuścili. I tak mieli moje dane, ksero paszportu.

Wróciłem do kobiety, położyłem się obok niej. Powiedziałem jej, że to koniec. Ona przytuliła się do mnie. Pocałowałem jej włosy, pachniały oliwą. Zrozumiałem, że nie mam pojęcia, co to znaczy dobre życie.

Minęły jakieś dwa miesiące. Dalej gotowałem kolacje, dbałem o dom, wykonywałem drobne naprawy. Uczyła mnie hiszpańskiego. Przyjmowaliśmy jej znajomych, którzy patrzyli na mnie z sympatią i rozbawieniem, tak jak się patrzy na młodszego utrzymanka.

O tym, że Piotrek nie żyje, dowiedziałem się z internetu, ze zwykłej wzmianki na głównej stronie jednego z portali. „Tragiczna śmierć Piotra Fukaja (49 l.), biznesmena, właściciela sieci restauracji z kuchnią bliskowschodnią, podejrzanego o import narkotyków na szeroką skalę. Piotr Fukaj zmarł w wyniku tragicznego wypadku – zatrzasnął się w prywatnej saunie. Za przyczynę śmierci uznano ciężkie poparzenia”.

Artykuł sugerował, że zmarł nie przez przypadek. Jak twierdził dziennikarz, była to czwarta w ostatnich miesiącach śmierć osoby mającej domniemane związki z hurtem narkotyków na szeroką skalę, ale bez postawionych zarzutów. Ksywy poprzedników – Lego, Bolek, Kotlet – przeciętnie durne, coś mi mówiły, może kiedyś poznałem któregoś z nich, ale równie dobrze autor artykułu mógł je wymyślić na poczekaniu.

Poczułem niewiele, prawie nic. Piotrek miał pełno wrogów. Zresztą był grubawy, nie ruszał się, źle żarł, bez przerwy się wściekał. Przegrzał się, zemdłał. Zdarza się. Zresztą ta historia należała do dawnego życia.

Bardzo szybko okazało się jednak, że nie ma żadnego poprzedniego ani nowego życia. Że tak zwany nowy etap sprowadza się do zmiany dekoracji.

Pewnego dnia, gdy wyszedłem z domu, czekał na mnie czarny range rover z przyciemnianymi szybami. Mężczyzna w środku zamachał bronią,

grzecznie kazał mi wsiąść. Powiedział po hiszpańsku, że to drobnostka, po prostu musimy coś sobie wyjaśnić.

Znowu znaleźliśmy się w magazynie, w znajomym półmroku.

Na przyśrubowanym do podłogi krześle siedział przywiązany do oparcia mężczyzna w czarnej kurtce. Głowa zwisała mu bezwładnie. Jeszcze żył.

Znowu znalazłem się w Rembertowie, w piwnicy dziwnego domu. Zatrzymany w tym momencie na wieczność, celowałem pistoletem w głowę Stryja. I usłyszałem ten głos, śliski, kwaśny, trujący:

Pomogę ci w końcu stać się tym, kim chcesz. Pomogę ci, bo cię lubię.

Zabiję cię, odpowiedziałem mu w myślach. Pogrzebię cię żywcem.

Ale Dario mógł nie żyć, a ja mogłem sobie mówić. Fakt był prosty: ponownie wylądowałem w tym samym miejscu, tyle że na drugiej półkuli.

Świat, który był mi przypisany, był światem prymitywnych, małych apokalips.

Jeden z przezroczystych zwierzników podszedł do człowieka, podniósł jego głowę. W rękach trzymał obcęgi. Facet miał powyrywane przednie zęby. Na kurczowo wczepionych w krzesło palcach w miejscu paznokci widniały krwawe plamy.

Zwierznik zapytał go po hiszpańsku, czy mnie zna.

Człowiek odpowiedział:

– *No sé quién es, nunca lo he visto* ³.

Głos przypominał pocieranie szmatą o szorstką powierzchnię. Wrzask trwale uszkodził mu struny głosowe.

Zapytałem ich, czy to policjant, nie odpowiedzieli, zrozumiałem, że tak. To musiał być ich policjant. Poświęcili go, aby się upewnić. Aby nie musieć zabijać człowieka z europejskim paszportem.

Zapytałem, czy muszę na to patrzeć. Pytanie ich zdziwiło. Oczywiście, kurwa, że musisz patrzeć. Jeden z mężczyzn wziął wielki nóż do oprawiania zwierząt. Chwycił torturowanego za włosy.

Zamknąłem oczy, ale to, co słyszałem – nagle ucięty wrzask, gulgot – było jeszcze gorsze niż patrzenie na tę agonię. Stałem bez ruchu. Czekałem, aż ten człowiek umrze. Trwało to długo, bo krótka śmierć to fart. Próbowałem się odgradzić. W myślach odwzorowywałem trasę do tego miejsca.

Urodziłem się w niewielkim mieście otoczonym lasem. Nie miałem do czynienia z prawdziwą przemocą. Nie umiałem nawet jej sobie wyobrazić, tak jak więzienia. Byłem chłopcem, mniejszym, a potem większym.

Rysowałem i czytałem książki. Miłość i przyjaźń wydawały mi się czymś potężnym. Życie mogło być wielkie, dźwięczne. Wszystko zmieniło się w Warszawie. Świat się skurczył, zgasł. Dźwięk stał się płaski i fałszywy. Życie zaczęło być tym, czym jest w istocie – przetrwaniem.

To była pozornie prosta historia. Poznałem Pazinę. Zaprzyjaźniłem się z nią. Pazina poznała mnie ze swoim kolegą, który miał coś do upłynnienia. Gdy upłynniłem to coś, koleżka poznał mnie z kimś innym. A ktoś inny poznał mnie z Piotrkim. Choć tak naprawdę dokonałem tego wyboru dużo wcześniej. Na imprezach, w klubach, obserwując ludzi, nienawidząc siebie za brak pieniędzy. Chciałem malować, być artystą, ale szybko zrozumiałem, że w świecie sztuki panuje zwyczajny feudalizm. Jedna na dziesięć tysięcy osób osiąga sławę i bogactwo, namaszczona przez rzeczywistość, bo uznana za użyteczną. Ten, który wygrywa los na loterii, staje się bogatym niewolnikiem historycznych degeneratów. Reszta topi się w jeziorze rozpaczy, korporacjach, domach mediowych. Zarzyna swój talent jak ofiarne zwierzę na starożytnym ołtarzu. Za spływającą po kamieniach krew bierze kredyty, kupuje ładne przedmioty, cyklinuje podłogi, daje do renowacji przedwojenne drzwi, lata w grudniu do Tajlandii.

Bandyci na tym tle wydawali się ostatnimi sprawiedliwymi. Pieniądz z handlu dragami – najuczciwszy. Ktoś chciał twojej kasy, ktoś chciał twojego czasu, ktoś chciał zamknąć cię w pierdłu – ale nikt nie chciał twojej duszy. A ci ludzie dookoła, ludzie z miasta, jednak z jakiegoś powodu wszyscy ćpali. Aby nie utopić się w jeziorze rozpaczy. Aby unosić się na jego powierzchni.

Film taki oglądam z tobą sobie.

Ktoś klepnął mnie w ramię. Otworzyłem oczy. Głowa zarzniętego mężczyzny trzymała się teraz na niewielkim kawałku ciała.

Wyszedłem stamtąd bez słowa, a w nocy wyjechałem. Nie chciałem narażać kobiety, z którą żyłem, na niebezpieczeństwo. Ale też zrozumiałem, że cokolwiek robiliśmy, z mojej strony była to kolejna maskarada.

Napisałem jej list po hiszpańsku. Bardzo ci dziękuję, ale więcej się do mnie nie odzywaj. Już nie wrócę. *Muchas gracias, pero no me vuelvas a hablar. No volveré.*

Miasto, a raczej miasteczko, nazywało się El Calafate. Ludzie przyjeżdżają tam na trekking, a także obejrzeć lodowiec, który wygląda jak ogromna abstrakcyjna rzeźba z niebieskiego plastiku, jakby Bóg włożył go

w krajobraz dla żartu. Dopiero gdy na niego wejść – zrobiłem to z wycieczką trajkoczących Niemców – widać, że to nic innego jak bryła brudnego, topiącego się lodu. Jego powierzchnię przecinało pełno małych kraterów, kanalików, którymi spływały strużki wody. Lodowiec się topił. Przewodnik zachęcił nas, abyśmy się napili. Gdybyście z jakiegoś powodu musieli pić tylko tę wodę, powiedział, i tak umarlibyście z pragnienia, jest jak woda utleniona, nie ma w niej żadnych minerałów. Wiem coś o tym, pomyślałem. Całymi latami siedziałem na wielkim zbiorniku wody i umierałem z pragnienia. Kucnąłem, nabrałem trochę w dłonie, chociaż wirowały w niej czarne drobinki ziemi. Okazała się zupełnie bez smaku. Zimna w sposób, który wcale nie orzeźwiał. Ci, którzy to zauważyli, poczuli się skrępowani, na chwilę przestali rozmawiać. Wstałem, otarłem usta. Uśmiechnąłem się. Niemcy wrócili do fotografowania lodowca i rozmowy z przewodnikiem.

Samo miasto jest niewielkie, mieszka tam kilkanaście tysięcy osób. Biura podróży, kawiarenki położone przy głównej ulicy. Oceanarium na wzgórzu. Spędziłem w El Calafate trzy miesiące, pod szarą, ciężką płytą nieba. Tamtejszy wiatr podobno potrafi wywiać duszę, w nocy miało się wrażenie, że poderwie budynek z ziemi. Dach łopotał, jakby był zrobiony z płótna, a nie blachodachówki. Ja się przyzwyczaiłem gdzieś po tygodniu, ale fakt, że można od tego popełnić samobójstwo, był dla mnie w pełni zrozumiały.

W dzień słuchałem szczekania psów albo czytałem książki. Rozumiałem już prawie wszystko, co mówili w telewizji. Przygarnąłem psa. Był chudy i strasznie znerwicowany, miał wytrzeszczone oczy i sierść w kolorze piasku. Gdy Paulina znowu zadzwoniła na Skype, pokazałem go Kacprowi i poprosiłem, aby go nazwał. Powiedział po prostu:

- Kolega.
- Kolega to nie jest imię, Kacper – zaproponowała Paulina.
- Kolega to świetne imię – odparłem.

Moja siostra była zdenerwowana, smutna. Jagoda od początku była wymagającym dzieckiem, podejrzewano u niej niedosłuch, bo nie reagowała na dźwięki, poza tym bardzo rzadko płakała, nie mówiła, sztywniała, gdy brano ją na ręce. Coś jest z nią nie tak, powtarzała w kółko Paulina. Diagnoza szła w kierunku ciężkiego autyzmu.

Nie miałem pojęcia, jak wesprzeć siostrę. Nie umiałem wyobrazić sobie emocji rodzica. Nigdy w życiu nie dbałem o nic tak, jak dba się o dziecko.

Zapytałem ją w końcu, czy potrzebuje pieniędzy. Udała, że nie słyszy tego pytania.

Miałem bardzo dużo pieniędzy. Pewnego wieczoru zupełnie przypadkiem okazało się, że jestem milionerem. Słuchałem jakiegoś podcastu o kryptowalutach i przypomniałem sobie, że parę lat wcześniej sam kupiłem bitcoiny. Powiedział mi o nich taki jeden trader, którego zaopatrywałem. To będzie nowy szal, wszyscy zrobią się na to chorzy, kupuj teraz, gdy są po dwa dolary, namawiał. Kupiłem ich bardzo dużo, jakieś kilka tysięcy. I zupełnie o nich zapomniałem, jak o starej prenumeracie.

Bardzo niewiele osób ma rację. Ci, którzy ją mają, i tak mają ją tylko przez chwilę. Ale to była właśnie ta chwila. Wartość krypto wzrosła tysiąckrotnie. Oczywiście był to farmazon, schemat Ponziego, ale teraz były na górze i pełno ludzi uważało, że będą jeszcze droższe. Dwa tysiące dolarów za wirtualną monetę, pomyślałem, wpatrując się w ekran laptopa, przecież to głupsze od kokainy. Z telewizora dobiegał głos jakiejś kobiety, która w programie rozrywkowym opowiadała o swojej nieudanej waginoplastyce. Prowadząca płakała, słuchając tych wyznań. W tutejszej telewizji wszyscy albo płakali, albo rozmawiali o operacjach tyłka i chorobach wenerycznych.

Sprzedalem tylko część coinów. Mogły być jeszcze droższe – ich promotorzy gadali o nich jak o nowej religii. Aby uwierzyli w nią wszyscy, wystarczył kolejny kryzys gospodarczy, masowy spadek zaufania do pieniądza. Na horyzoncie zawsze majaczyły niewyraźne sylwetki tych czy innych jeźdźców apokalipsy. Świat wciąż jechał do przodu, ale z coraz większym trudem – coś piszczało mu w tylnym kole, na desce rozdzielczej migiała kontrolka *check engine*, smród benzyny wżerał się w przetartą tapicerkę.

Na koncie utworzonym na to samo nazwisko, które widniało w moim litewskim paszporcie, miałem ponad milion dolarów. Kupiłem na darkwebie kilka numerów kart kredytowych, połączyłem je z PayPal. Zupełnie nie wiedziałem, co z nimi zrobić. Każda cyfra w zasadzie jest zerem, pomyślałem.

Przelałem na konto Pauliny pięćdziesiąt tysięcy, na początek. Napisałem jej: nie masz prawa tego nawet skomentować. Dodałem, że to czyste pieniądze.

W telewizorze leciała teraz rozmowa z piłkarzem. Ta sama prowadząca, która rozmawiała z kobietą po waginoplastyce, opowiadała piłkarzowi, jak straciła dziewictwo.

Wyłączyłem odbiornik. Wyszedłem na spacer. Szedłem przed siebie poboczem drogi, która prowadziła prosto na koniec świata, do miasta Ushuaia, skąd odpływały statki na Antarktydę.

Szedłem i szedłem. Kolega dreptał przy mojej nodze. W pewnym momencie myśl: co byłoby, gdybym nie zawrócił? Szedł w zimną ciemność, do samego jądra wiatru? Było cicho, oprócz szumu nielicznych przejeżdżających samochodów. Gdy szum gasł, orientowałem się, że coś słyszę. Wysoki, oddalony dźwięk, co jakiś czas zmieniający tonację. Śpiew. Chyba zdaliśmy sobie sprawę z tego jednocześnie, ja i pies. Stanęliśmy w bezruchu. Kolega nadstawił uszu. Ten śpiew dobiega z samej Antarktydy, pomyślałem.

Nagle Kolega szczerknął. Na poboczu, jakieś dwieście metrów przede mną, stała czarna postać, sama niewyraźna sylwetka. Wiem, kim jesteś, pomyślałem. Obrazy wybuchaly mi w głowie. Maluch. Beata. Piotrek. Dario. Stryj. Człowiek w magazynie w Buenos Aires. Zimna pięść ścisnęła mi żołądek. Gdy odwróciłem się w stronę, z której przyszedłem, postać również tam była. Ona nie stała na drodze; jej kształt był wytrawiony w moim oku. Podążała za mną procesja trupów.

– Zawijamy się stąd, Kolego – powiedziałem do psa.

Zrozumiał. Wróciliśmy do domu.

Patrzyłem na mapę. Niby mogłem pojechać wszędzie, ale tak naprawdę kierunek był jeden. Samo południe. Serce ciemności.

Wyjechaliśmy jeszcze w nocy, pierwszym autobusem.

Na miejsce dotarliśmy nazajutrz wieczorem.

Ushuaia była kilkakrotnie większym miastem niż El Calafate. Miasto żyło u podnóża gór, wydłubane w ciemnozielonej tundrze. W pewnym odległym sensie przypominało mi Olsztyn. W ciemności można spokojnie żyć, pomyślałem. Schować się w zagłębieniu pod wulkanem.

Na drewnianej tablicy nieopodal portu widniał napis: USHUAIA – FIN DEL MUNDO. Hasłu „koniec świata” było podporządkowane wszystko, nazwy ulic, atrakcje turystyczne. Kolejka, latarnia, muzeum. W centrum, przy jednej z bocznych ulic, mieścił się zapuszczony sex shop, który nazywał się Seks na Końcu Świata.

Wynająłem mieszkanie w centrum. Dwa pokoje, łóżko, fotel, mały telewizor, lodówka. Spałem w dzień, wieczorem spędzałem czas w barach, nocą chodziłem do portu. Nic nie musiałem.

Nawet w środku pogodnego sobotniego dnia Ushuaia było prawie puste, miało w sobie coś z kolonii karnej. W tym dziwnym zawieszeniu nic nikogo nie interesowało. Mógłbym sprzedać resztę bitcoina, póki kurs był dobry, kupić mieszkanie i siedzieć tu do końca życia. Ale zwlekałem z tym. Udawałem sam przed sobą, że są jeszcze jakieś decyzje do podjęcia.

Przez Tindera poznawałem kobiety pracujące w lokalnych szkołach, biurach i firmach, dryfujące po nocy. Spotykałem tutejsze dzieciaki. Miały swój mikrokosmos kilkunastu klubów, knajp, koncertów, z którego chciały się wydostać, ale były uwięzione w Patagonii, oddzielone od reszty świata milionami kilometrów kwadratowych pustyni i tundry. Błąkałem się z nimi po ulicach, obserwując turystów w kurtkach Quechua i North Face, dumnych z siebie, że dotarli aż tutaj. Zresztą sam miałem taką kurtkę i sam byłem trochę dumny, że tu jestem. Dzieciaki paliły trawę, a ja paliłem ją z nimi. Osadzała mnie w miejscu, przywiązywała do chodników i budynków. Po trawie Patagonia zamieniała się w stalowoszary, mglisty bąbel, w powietrzu dało się czuć bliskość Antarktydy, wielką lodową dłoń.

Noce często spędzałem w porcie. Siadywałem na ławce w towarzystwie Kolegi. Kupowałem małe buteleczki rumu albo whisky, pociągałem drobne łyżki, każdy długo trzymałem na języku. Zacząłem rozumieć przyjemność płynącą z picia.

Nocą promy wypływały z portów, aby świtem dotrzeć na północny cypel Antarktydy. Mogłem w każdej chwili wskoczyć na jeden z nich, lecz robiąc to, musiałbym założyć, że jednak wrócę. Nie mogłbym tam po prostu zostać. Operatorzy promu, kapitan, mieliby problemy, wszyscy byliby zobligowani, aby mnie szukać, wysłano by jakąś ekipę ratunkową.

Ciemność mnie nie widziała, ale ja widziałem ją. Gdy wszystko cichło, dalej słyszałem śpiew. Kolega czasami czekał w jej kierunku. Zdawał się z nią rozmawiać.

Znowu, to samo, od nowa. Ale teraz już to widziałem. I było mi to obojętne.

Jeden z dzieciaków, z którymi szlajałem się po mieście, Xavier, rozpoznał mnie, podjechał na elektrycznej hulajnodze. Miał jasne włosy

i piegowatą twarz. Zapytałem go po hiszpańsku, czy wie, gdzie można kupić kokainę.

Chłopak popatrzył na mnie.

– ¿*Para qué necesitas esto?* ⁴

Pokazałem mu gestem, że to głupie pytanie. To chyba oczywiste, że chrzan jest po to, aby coś poczuć.

W dłoni błysnął mu smartfon, przystawił go do ust, nagrał głosówkę. Koniec świata jest taki sam jak jego środek i początek.

Wyciągnąłem z kieszeni garść banknotów, ale pokręcił głową, kazał mi je schować, powiedział, że mam iść za nim. Kolega cały czas siedł przy mojej nodze.

Ruszyliśmy w głąb dzielnicy portowej, kluczyliśmy między knajpkami i kawiarniami, w których ludzie jedli steki, salada mista, pili wino. W Argentynie nie ma zbyt wiele więcej do jedzenia. Standardowa knajpa ma w karcie pięćdziesiąt rodzajów wołowiny, frytki i sałatkę. Myślałem, że Xavier poprowadzi mnie daleko, na obrzeża miasta, ale on skręcił w boczną uliczkę za jednym z lokali i zadzwonił domofonem przy odrapanych metalowych drzwiach w rogu budynku.

Klatka cuchnęła szczynami i grzybem. Błada, pojedyncza żarówka zawieszona na półpiętrze oświetlała plastikowy znak z napisem SCHODY PRZECIWPOŻAROWE.

Kolega nie chciał wejść do środka. Musiałem wziąć go na rękę, bałem się zostawiać go na zewnątrz.

Gdy za dnia jestem w obcym mieście, wydaje mi się, że budynki są po prostu bryłami, w których środku nic nie ma, żadnych mieszkań, ludzi – makietami jak w *GTA*; można wejść tylko do kilku wyznaczonych miejsc, ważnych dla dalszego rozwoju fabuły. Dopiero w nocy widać prawdę. Życie, ludzie, historie są wszędzie.

Facet w środku był wychudłym paranoikiem ubranym w sprane skejtowe ciuchy. Skrzywił się na widok psa, ale nic nie powiedział. Był mocno po czterdziestce, chociaż mógł tylko tak wyglądać. Crack to progeria, człowiek w rok starzeje się o dekadę. Walilo amoniakiem. Trudno było powiedzieć, jaki kolor miała skórzana kanapa, na której siedział. Na ścianie wisiał plakat Los Violadores. Na podłodze brud, śmieci, kłęby sierści, chociaż nigdzie nie widziałem żadnego zwierzęcia. Pod ścianą stał sześćdziesięciocalowy telewizor, w którym leciał streaming walk psów. W rogu ekranu wyświetlały się ciągi cyfr i liter, plus obstawiane na żywo

zakłady. Psy warczały. Kolega próbował się do nich przyłączyć, przywierając do mojej nogi. Facet wyciszył dźwięk, Kolega ucichł.

Powiedziałem, że chcę piątkę. Tak naprawdę nie chciałem jej zaćpać, po prostu ją sprawdzić. Tańczyłem przed ciemnością. Prowokowałem ją. Obudź się, spróbuj mnie zabrać. Głupio udawadniałem sobie, że nie jestem na nią skazany.

Zapytałem faceta, jak ma na imię. Bola, odparł. Usiadłem na kanapie nieokreślonego koloru, wyciągnąłem butelkę z kieszeni, Kolega usadowił się obok mnie. Drapałem go po głowie, mocno, tak aby go uspokoić. Bola wyszedł do drugiego pomieszczenia i przyniósł małe zawiniątko. Było drożej niż w Buenos Aires. Może mniejszy rynek, może słabe albo ryzykowne łańcuchy dostaw, może po prostu byłem białym turystą. Bola wpatrywał się w zagryzające się zwierzęta i jak szalony uderzał palcami w smartfon. Zapytałem go, które z nich obstawiał. Odparł, że żadne, ale wypożyczył na tę walkę trzy swoje psy.

Wtedy zapytałem go, skąd jest towar. Popatrzył na mnie podejrzliwie. Doprecyzowałem, że chodzi mi o sposób dystrybucji. Ile jest podmiotów, kto za to odpowiada. Bola wytrzeszczył oczy. Zacząłem tłumaczyć, że też jestem z branży. Wymieniłem parę imion z Buenos Aires.

Śpiew narastał. Na stałe wżarł się w moje ucho.

Jeden z psów w telewizorze, czarny bull, przestał się ruszać. Bola nerwowo tupał nogą, pot spływał mu po twarzy, telefon drżał mu w ręce.

Gdy wyszliśmy, Xavier zaczął na mnie krzyczeć, szybko i bezładnie. Trudno było mi go zrozumieć, ale doskonale wiedziałem, co mówi. Przeprosiłem go. Powiedziałem, że mnie poniosło i że nie będzie miał przeze mnie żadnych problemów.

Odjechał bez pożegnania.

Towar okazał się ożeniony, na pewno nie była to piątka, Bola potraktował mnie jak turystę z Europy. Wsypałem część do butelki z napojem, wypilem. Gdy w końcu na mnie podziałał, ruszyłem przed siebie. Zatrzymałem się tylko po to, aby kupić wodę i napić Kolegę.

Po jakiejś godzinie dotarliśmy na obrzeża miasta. Wzdłuż drogi ciągnęły się niskie domki, w których mieściły się sklepiki sprzedające papierosy, colę i bilety na loterie, poza tym punkty naprawy telefonów, siedziby firemek, warsztaty samochodowe, hurtownie. Asfalt się skończył, ustępując uklepanej ziemi. Po obu stronach drogi wznosiły się baraki

sklecone z desek i blachy falistej. Śmierdziało gazem. Szedłem dalej i dalej, w ciemność.

Jest taki film Herzoga o Antarktydzie, coś z krańcem świata w tytule, a w nim scena z pingwinem, który oszalał. Pingwin odłącza się od stada i idzie przed siebie, na pewną śmierć. Nikt nie potrafi wyjaśnić jego zachowania. Może dostał uszkodzenia mózgu? Może miał dość bycia pingwinem, tak jak niektórzy ludzie mają dość bycia ludźmi? A może, tak jak ja, usłyszał ten głos i wszystko zrozumiał.

Zatrzymałem się tylko dlatego, że w pewnym momencie Kolega się zbuntował. Nie idę z tobą dalej, ty idioto, zdawał się mówić. Nie jestem, kurwa, pingwinem. Jestem psem.

W drodze powrotnej dopadł mnie zjazd. Gubiłem się, kluczyłem po uliczkach, byłem zmęczony, senny i ciężki. Po drodze zatrzymałem się przed całodobowym sklepikiem, kupiłem colę, papierosy, małą butelkę brandy i puszkę karmy dla Kolegi. Podałem mu ją na jednorazowym talerzu, na drugi nalałem wody. Usiadłem na wystawionym na zewnątrz plastikowym krześle. Wtarłem trochę towaru w dżiasta. Okazał się nawet niezły, nie tak czysty jak ten w Buenos Aires, ale oczywiście bez porównania do tego sprzedawanego w Polsce. Bez gówna, leków, szklanego pyłu. Wypełniaczem na pewno była po części glukoza, na języku zostawał cień słodkiego smaku. Wtarłem jeszcze trochę, w końcu mnie to zmęczyło, wyrzuciłem resztę do studzienki ściekowej.

Podeszła do mnie pomarszczona kobieta w nieokreślonym wieku, w krótkich piłkarskich spodenkach i rybackim swetrze. Miała niewiele zębów, jeszcze mniej przytomności w oczach. Patrzyła na mnie i mówiła o syrenach, które wciąż żyją na zimnym morzu; syrenach, które wołają ludzi, aby ci popłynęli na koniec świata i rozbili się o ścianę lodu. Ich śpiew upaja, mówiła, czasami słyhać go w mieście, o świcie, gdy wszyscy śpią. Śmierdziała brudem i obłędem, zapaliłem papierosa, by tego nie czuć. Pies warował przy mojej nodze. Kobieta była mu obojętna, ale zaczął warczeć na mężczyznę, który do niej dołączył. Małego i grubego, w luźnym dresie pokrytym plamami tłuszczu i z dłońmi w białym pyłu. Gdybyś tyle nie gadała, usłyszelibyśmy głos tych syren, powiedział, po czym odwrócił się do mnie, zapytał, co tu robisz. *He venido a ver el fin del mundo*⁵, odparłem. Pokiwał głową. Ushuaia to niebezpieczne miasto. Panują w nim ukryte rządy. Nikt nigdy nie widział tych prawdziwych władców, powiedział, ale wszystko przechodzi przez ich ręce. Mają czarne oczy i czarne uszy, lecz

nic się przed nimi nie ukryje. Jest wiele nurtów, ale wszystkie są jedną rzeką. Za każdą chmurą jest jeszcze tysiąc chmur.

Wstałem i bez słowa ruszyłem w stronę domu, nie chciałem słuchać tego pierdolenia. Krzyknął za mną, abym na siebie uważał. Po drodze zrobiło się jasno. Zaczęły śpiewać ptaki. Przemknęło mi przez myśl, że jestem w czyścicu.

Następnego dnia czułem się źle, chyba byłem przeziębiony. W ciągu dnia jadłem zupy instant, piłem herbatę. Paulina zadzwoniła do mnie jeszcze raz, koło południa. Zdziwiłem się, że dzwoni tak szybko – stało się jakąś niepisaną tradycją, że kontaktujemy się raz na kilka miesięcy. Miała jakiś problem, ale nie chciała wyjaśnić, o co chodzi, robiła dobrą minę do złej gry. Powiedziała, że lecą na wakacje na Fuerteventure. Na koniec pojawił się Kacper. Pokazał mi szybko jakieś zabawki i rysunki, następnie wyciągnął małego plastikowego robota.

– To Optimus Bionicle, jest tu po to, żeby mnie chronić – oznajmił.

Gwałtowne déjà vu przeszło moje ciało jak prąd. To był jeden z tych starych, dziwnych snów.

Paulina powiedziała, że mały wciąż o mnie pyta. Jest strasznie ciekaw, co u mnie. Cały czas fantazjuje o rzeczach, które będziemy robić, gdy się spotkamy.

– Jesteś dla niego jak superbohater.

– Musisz go wyprowadzić z błędu.

– Może kiedyś. – Uśmiechnęła się i dodała: – Jezu, on już samodzielnie pochłania książki. Wyobrazasz sobie?

Gdy skończyliśmy rozmawiać, poczułem ukłucie, najpierw na plecach, potem z przodu, jakby coś próbowało przebić mi serce, z obu stron. Przez moment ruch, sylwetka w rogu pokoju. Zamknąłem oczy, policzyłem do dziesięciu. Wrażenie minęło.

Duchy i zmory zaatakowały mnie z powrotem w środku nocy. Twarze kłębiły się dookoła, jakby ktoś wepchnął mnie nagle we wrogi tłum. Obudziłem się, wyprowadziłem psa, kupiłem jakiś alkohol. Do rana siedziałem przy laptopie, pijąc i osuwając się w czarną dziurę. Beata – próbowałem ją znaleźć, ale skasowała wszystkie konta w mediach społecznościowych. Dopiero po godzinie zobaczyłem zdjęcie na profilu projektantki ubrań, która kiedyś była moją klientką. Trzy kobiety sfotografowane z jakiejś modowej okazji. Beata po prawej, zmęczona, dużo chudsza. Uśmiechała się nieśmiało. Na pierwszy rzut oka nie było widać

blizny na policzku i przez krótką chwilę pomyślałem, że to, co się stało, wcale nie miało miejsca, że może uwierzyłem w jakiś stary sen. Dopiero gdy się przypatrzyłem, zauważyłem ciemniejszą smugę przykrytą grubą warstwą podkładu i zrozumiałem, że odwraca głowę tak, aby ją ukryć, że ma to perfekcyjnie opanowane.

Przypomniałem sobie seks, jej ciało, jego temperaturę, jej głos, moją skórę na jej skórze, zawsze lekko chłodnej. Niewyraźne rysy w ciemności, szczupłą sylwetkę w lustrze. Teraz i tutaj to była abstrakcja. Jedzenie kamieni, pływanie w asfalcie. Roztrzaskiwanie się o wodę.

Pociałem jej twarz. Nie można mieć żadnego nowego życia, jeśli zrobiło się coś takiego. Robiąc to, wypisałem się z klubu ludzi. Mogłem tylko iść na koniec drogi.

Przestać wydłużać procesję trupów.

Już nigdy nie będę kimś innym, niż jestem. I jeśli będę dalej żył, zrobię jeszcze gorsze rzeczy. Nieważne, gdzie będę się znajdował. Tutaj, w Warszawie, na Marsie. W piździe, w dupie. Tłumiłem te myśli alkoholem i prochem. Zabijałem czas, dalej błędząc w kraju duchów.

Pazinę znalazłem od razu. Jej Instagram był prawie pusty, pojedyncze zdjęcia sprzed paru lat. Ostatnia rzecz na jej osi czasu – oznaczenie jakiegoś miejsca na Pradze, które, z tego co zrozumiałem, miało pomagać nastolatkom LGBT wyrzuconym z domu. Wszystko, co robiła, było pomaganiem. Dla Paziny sens istniał tylko w innych ludziach. Całe życie próbowała budować wokół siebie stada, organizować je, opiekować się nimi. Nawet nie usiłowałem tego zrozumieć.

Zasnąłem w południe.

Tak minął mi cały następny tydzień. Zamawiałem jedzenie przez telefon, wychodziłem tylko z Kolegą pod dom, aby mógł się wysikać i wysrać. Siedziałem w internecie, oglądałem filmy z dzieciństwa na CDA. *Niekończąca się opowieść*, *Przyjaciel wesołego diabła*, *Goonies*. Próbowałem cokolwiek poczuć, ale te filmy tylko mnie męczyły. Spisałem ręcznie wszystkie hasła do kont, na których miałem krypto, sfotografowałem kartkę. Przygotowałem wiadomość dla Pauliny z tymi hasłami. Ustawiłem wysłanie z miesięcznym opóźnieniem. Gdy to robiłem, przyszedł do mnie dziwny mejl. Nadawcą była kobieta, Teresa Kulisz. Temat brzmiał: „Malinowy Król”. W mejlu znalazłem jedynie pojedynczy link do artykułu z lokalnej gazety z Radomia. Żadnego podpisu, komentarza. Zdjęcie łysego, krępego faceta, grubo po pięćdziesiątce.

Artykuł informował o zaginięciu. Janusz Kulisz, lat pięćdziesiąt osiem, zaginął w grudniu 2014 roku. Rodzina prosi o jakiegokolwiek wiadomości. Wychodząc z domu, był ubrany w to i tamto. Numer do Itaki, tyle.

Mężczyzna wyglądał zupełnie zwyczajnie – umięśniony kark opinała czarna koszulka 4F, na szyi miał srebrny łańcuszek z Matką Boską. To musi być jakiś spam, pomyślałem, spam albo pomyłka. Wyrzuciłem tego mejla do kosza.

Ubrałem się w dzinsy, trampki. Na dworze było jakieś dziesięć stopni, silny wiatr. Zważyłem w ręku kupioną w El Calafate kurtkę North Face, rzuciłem ją w kąt. Tylko przedłuży sprawę, pomyślałem.

Twarze ludzi. Widziałem je wszędzie. Beata. Stryj. Człowiek w Buenos. Szare monitory, obrazy z dronów.

Film taki oglądam z tobą sobie.

Nie musisz nas okłamywać.

Można tylko bardziej ranić. Siąc dookoła ból. Nie, ilość cierpienia nie jest stała. Można ją zmniejszyć.

Rozgonić procesję trupów.

Wszystko było przygotowane.

Miałem w kieszeni pięćdziesiąt tabletek benzodiazepin. Butelkę wody, aby je zapić. Po zastanowieniu włożyłem do kieszeni pakę gotówki. To było coś naturalnego i szlachetnego – utopienie się w ziemi, roztrzaskanie się o wodę. Pewność, z którą wyszedłem z mieszkania i ruszyłem przez centrum na obrzeża miasta, sprawiała, że wszystko stało się krystalicznie czyste, niesamowicie wyraźne.

Pies szedł za mną.

Nie mogłem go zamknąć w mieszkaniu. Nie wiedziałem, co z nim zrobić. Działąłem głupio i po omacku.

Śpiew syreny narastał.

Było zimno, coraz zimniej. Szedłem przed siebie miarowym tempem, nic nigdy nie było tak wyraźne jak w tej chwili. Po jakimś czasie przestałem iść, a zacząłem dryfować. Mijające mnie samochody przypominały spowolnione meteoryty. Sklep, pod którym spotkałem kobietę i mężczyznę, był teraz zamknięty. Latarnie uliczne, światła coraz rzadszych budynków próbowały powstrzymać ciemność, ale ta nieustannie napierała na światło, połykała je szybko, jak głodne zwierzę. Jej wszechmoc była łagodna i piękna.

Pies ocierał się o mnie, zachodził mi drogę. Próbował przemówić mi do rozsądku.

W końcu zostawiłem za sobą ostatnie miejskie zabudowania. Jedyne, co widziałem przed sobą, to światła mającej na horyzoncie stacji benzynowej. Na mapie widziałem, że kilkanaście kilometrów za nią kończy się droga. Był tam jakiś ogrodzony teren, być może baza wojskowa. Dalej już tylko zimne morze. Skały. Kilka wysp. Antarktyda.

No dobrze – gdyby jechać szosą na południe, było jeszcze jedno miasteczko należące do Chile. Ale traktowałem je jako żart, pomyłkę na mapie, naniesioną na złość mieszkańcom tego miasta.

Poza tym to był koniec świata. Parę domów położonych kilka kilometrów dalej nie robiło żadnej różnicy.

Oddychałem głęboko i szybko, na granicy hiperwentylacji; upojony tym, co miało nastąpić.

Na stacji nie było nic poza papierosami, piwem, wódką i płynem do wycieraczek w wielkich plastikowych kanistrach. Kupiłem papierosy, małą butelkę alkoholu. Pod dystrybutorami stały brudne samochody.

Wyciągnąłem z kieszeni gotówkę. Łącznie jakieś dziesięć tysięcy dolarów.

– Dam ci te pieniądze, jak weźmiesz psa – powiedziałem do sprzedawcy. Był mocno po pięćdziesiątce. Miał ogorzałą, opaloną twarz. Gdy wziął pakunek, podałem mu smycz. – Będzie za mną biegł. Daj mu coś dobrego.

Facet pogłaskał psa po głowie. Powiedział do niego coś po hiszpańsku.

– Nazywa się Kolega. *Amigo*.

Pokiwał głową.

– *Amigo* – powtórzył.

Kolega zapłakał. Wyszedłem, nawet na niego nie patrząc. Pięć minut, dziesięć minut, piętnaście.

Pół godziny, godzina, parę godzin. Koniec drogi musiał być niedaleko, ale nie widziałem już dalej niż na odległość wyciągniętej ręki. W ciemności tworzyły się wiry, eliptyczne kształty, tunele. Nie znikwały, gdy zamykałem oczy.

Szum przestał być szumem, to była ciągła samogłoska w określonej tonacji.

Syrena czekała na mnie na morzu.

– Idę. Zaczekaj – poprosiłem.

Telefon zawibrował w kieszeni. Zapomniałem w ogóle, że mam go ze sobą. Paulina, znowu. Przecież tu nie ma sygnału, pomyślałem. Nie było żadnych kresek, nazwy sieci; mimo to telefon wciąż dzwonił. Odwróciłem się. Stacja benzynowa, światła miasta były równie daleko jak gwiazdy.

Odebrałem.

Głos dziecka:

– Wujku.

Kacper. Kacper potwornie płakał.

– Mamusia się nie rusza.

– Kacper?

– Mama się nie rusza, wujku.

Potwornie silny prąd, w sam czubek głowy.

Ciemność momentalnie blaknie, spłaszcza się do czarnej kartki. Syrena zamyka ryj.

– Pomóż mi, wujku.

Mój kręgosłup, żołądek. Moja wątroba. Wszystko jest lodowate, całe moje ciało. Stoję, nie mogąc się ruszyć, asfalt połknął mi stopy.

– Kacper, o co ci chodzi? Kacper?

Jego płacz zamienia się w chrzęst. Pod chrzęstem jest wrzask.

– To Jagódka. Jagódka tak krzyczy.

– Kacper, gdzie jesteście?

– Źli panowie. Zrobili to. Są zimni. Mama się nie rusza. Tata też. Tata też się nie rusza. Coś śmierdzi, wujku.

– Jacy panowie?

– Niewidzialni. Pomóż mi, wujku Jacku. Pomóż mi.

Płacz. Szum. Chrzęst. Skrzek. Woda. Odkręcam ją, wypijam pół butelki. Oddechy, głęboko, szybko.

– Jak wyglądali? Możesz mi opisać?

– Mieli kominiarze, wujku.

– Kominiarki?

– Tak.

– Masz swojego optimusa?

Płacz, głośniejszy. Chrzęst. Ktoś rozdziera rzeczywistość. Przecina jej płótno ostrym nożem.

– Kacper, trzymaj robota, dobra? Trzymaj go mocno.

– Dobrze, wujku.

– On cię obroni.

– Dobrze, wujku.

Postać, kształt wygrawerowany w moim oku – bardzo blisko, na wyciągnięcie ręki. Śpiew otaczający mnie jak kokon.

Jego śmiech. Nie żyjesz, skurwysynu. Nie żyjesz, mówię mu.

W rogu pokoju nikogo nie ma.

– Trzymasz robota?

– Tak, wujku Jacku.

– Zadzwoń do babci.

– Nie ma w telefonie „babcia”, wujku Jacku.

– Mama. W telefonie mamy babcia jest pod „mama”. Babcia to mama mamy.

– Tak, wujku. Co mam zrobić, żeby mama zaczęła się ruszać?

W rogu pokoju nikogo nie ma, ty skurwysynu!

– Gdzie jesteście?

– W aucie.

– Ale...

– W Warszawie, wujku Jacku. Jagódka krzyczy. Co mam zrobić?

– Nie wychodź z samochodu. Rozłączę się. Zadzwonię do babci.

Chrzęst. Krzyk. Głośno.

– Kacper. Zadzwonię do babci. Zaraz do ciebie oddzwonię.

Rozłączam się. Próbuję zadzwonić do mojej matki, ale nie mam już zasięgu. Zaczynam biec.

Stacja jest bliżej, niż mi się wydawało. Wcale nie zawędrowałem tak daleko.

Zasięg. Wciąż brak. Facet patrzy na mnie pytająco.

– Oddawaj mi tego psa – mówię.

Warczy jak zwierzę.

– Pieniądze zostaw. Są twoje. Dawaj psa.

Kupuję butelkę wódki. Odkręcam gwint, biorę spory łyk. Robi mi się jeszcze zimniej. Tabletki benzo, które mam w kieszeni – wyrzucam je wszystkie do kratki ściekowej. Odciągam od niej Kolegę, który próbuje ją wachać i lizać.

Facet ze stacji wychodzi na zewnątrz i pyta, czy dobrze się czuję. Proszę, by zostawił mnie w spokoju.

– *Por favor, déjame en paz* ⁶.

W głowie zamiast myśli szybkie poklatkowe obrazy. Ekran komputera, strona z biletami lotniczymi. Kody kreskowe, kody QR. Numery kart, kody

Blik. Prysznic. Coś ciepłego do ubrania. Lotnisko.

Idę dalej w stronę miasta. Sygnał. Dzwonię do matki.

– Mamo, to ja. Jacek. Zadzwoń na telefon Pauliny. W tym momencie. I zadzwoń na policję.

Ledwo mnie słyszy. Nie rozumie. Jeszcze raz, powoli, głośniej, spokojniej. Tak, mamo, to na pewno ja. Jacek. Nie, nie wiem, co się stało. Dzieciak do mnie zadzwonił. Kacper. Paulina wymyśliła, że będę jego wujkiem. Tak, wiem, jestem jego... Mamo, nieważne.

Ludzie. Niewidzialni ludzie w kominiarkach.

– Mamo! Posłuchaj! Policja musi zlokalizować telefon.

Dario pytał mnie przez telefon na Okęciu: Michałek? Mąż twojej siostry ma na imię Michałek? Mylił się. Mylił się w innych szczegółach. Pomylił wiek Kacpra. To znaczy, że blefował.

Przede wszystkim on nie żyje. Nie żyjesz, skurwysynu.

Nie żyje, ale jednak go widzę. Bardzo wyraźnie. Podchodzi do przedniej szyby ich samochodu i wyciąga pistolet.

Mówi do mojej siostry: ale ty nie płacz, laluniu, ciasteczko moje, ale ty nie płacz, nie rób tego. To się musi stać w twojej ładności.

Nie, nie.

ON NIE ŻYJE.

NIKOGO NIE MA W ROGU POKOJU.

Gnam przez miasto, pies biegnie obok. Ufa mi, jak gdyby nic się nie stało. Znika ciemność, śpiew, wszystko. Rzeczywistość jest długim, wąskim tunelem. Gdy rozłożę ręce, palce obu rąk dotkną jego ścian.

Świta, gdy dochodzę do mieszkania. Daję Koledze jeść i pić, a on rzuca się na żarcie jak wściekły. Ten chuj ze stacji nie dał mu nawet wody.

Prysznic, szybko. Jakaś nadzieja. Może zasłabli. Może zostali pobici. Może dzieciak dostał jakiejś jazdy, gdzieś im uciekł i ukradł mamie komórkę...

Zasięg. Telefon. Mama.

Najpierw płacz, i nic więcej. Przez dobre trzydzieści sekund, minutę, dwie.

Wszystko jest jasne. Próbuję oddychać, jak najwolniej, jak najgłębiej. Wdech i wydech. Wdech i wydech. Pierwsza myśl, próbuję narysować ją sobie nożem na mózgu: to nie twoja wina. Nie masz z tym nic wspólnego. Druga myśl: musisz się dowiedzieć. Musisz to załatwić. Wybór, którego dokonałeś wiele lat temu, zobowiązuje cię do tego. Nie możesz scedować

tego na kogokolwiek innego, na los, na policję... w sumie kto miałby to zrobić? Ty nie należysz już do klubu ludzi.

Złość. Potężna, pozbawiona kierunku. Złość jest bestią uwięzioną w ciele, żebra to pręty jej klatki. Szarpie je.

Odgryza kawałki serca.

Pluje nimi na zewnątrz.

Szczegółów dowiaduję się później, w ciągu dnia. Gdy mama dzwoni znowu, gdy nafaszerowana lekami może mówić. Powoli, jak robot, przeciwionymi zdaniami.

Paulinę zabili pierwszą. Leżała na masce auta, strzelili jej w twarz. Bartek leżał na zewnątrz samochodu. Musiał wybiec, rzucić się na nich. Najpierw go pobili, dopiero potem strzelili. Policja zlokalizowała telefon, była tam po półgodzinie. Dzieci widziały wszystko. Kacper przestał mówić. Teraz milczeli oboje, on i jego siostra.

Rozplakałem się dopiero wieczorem. Tak dużo przeżytego życia. Tak niewiele wspomnień.

To, gdy znalazła u mnie trawę. To znaczy, to jej wspomnienie. Ja w ogóle tego nie pamiętałem.

Pamiętam za to coś innego.

Byliśmy w podstawówce, ja chyba w czwartej klasie, ona w pierwszej, jakiś chłopak zaczął ją męczyć. Na przerwach zaczepiał ją, szarpał, macał. Podszedłem do niego na przerwie, w dłoni trzymałem mały kamień. Zawołałem go zwykłym „ty”. Trzasnąłem go prosto w maskę, stracił obie jedyńki. Zgiął się gwałtownie i zaczął płakać. Wiszące z nosa smarki zmieszane z krwią przypominały wiśniowy kisiel. Uderzyłem go jeszcze raz, w głowę. Stracił przytomność. Psycholog, kurator, zawieszenie w prawach ucznia.

Wszystkie wspomnienia to teraz puste pudełka.

Przez ostatnie lata tymi telefonami co parę miesięcy dawała mi szansę. Chciała wciągnąć mnie z powrotem do klubu ludzi, chciała, żebyśmy byli rodziną. Wierzyła, że miłość zdoła wszystko naprawić, bo miłość jest właściwą substancją, z której składa się świat. Kiedyś nawet mi to powiedziała, w liceum, gdy oglądaliśmy razem jakiś film na wideo. Odpowiedziałem jej wtedy, że miłość to odruch przywiązania występujący u ssaków karmionych piersią, a ona stwierdziła, że jestem smutniejszy niż głupszy.

Nie mogę już wytrzymać w tym mieście. Stało się klatką, kolonią karną. Noce znowu spędzam na ławce w porcie, z psem.

Odpowiedzialność to pewien drogowskaz. Palę nerwowo papierosy, patrząc w ciemność z bezpiecznej odległości. Syrena już nie śpiewa. Rozumie, że musi się ode mnie odpierdolić.

Ból jest nie do wytrzymania. Próbuję go zrozumieć, rozebrać. Po jakimś czasie wkładam w niego dłoń. Ból to poczucie wielkiej niewdzięczności.

Paulina na studiach wzięła dziekanę i pojechała do Londynu. Była kelnerką w knajpie w Soho. Poznała faceta, Anglika, po trzydziestce, wpadał tam na późne śniadania. Koleś był ze starych pieniędzy, potwornie bogaty: willa w Hampton Hill, stumetrowe mieszkanie w Maida Vale. Jak twierdził, zakochał się w niej do szaleństwa. Zapraszał ją na imprezy pod miastem, *garden parties* ze znajomymi z Oksfordu. Mówiła, że wszyscy w wolnym czasie grali w polo i nikt z nich nie był czarny, a jedynego spośród nich Hindusa traktowali jak pacynkę, dowód na swoją inkluzywność i postępowość. Po trzech miesiącach ten Anglik zaproponował Paulinie ślub.

Bartek pracował w tej samej knajpie na zmywaku.

Nigdy nie zrozumiałem tego wyboru. Kiedyś ją o to zapytałem.

– Paulina, nie musiałabyś nic robić do końca życia. Nic.

– To byłby przecież jakiś koszmar – odparła.

– Koszmar? – zapytałem zdziwiony.

– Jeśli tego nie rozumiesz, to nie zrozumiesz.

– A ten koleś ze zmywaka, co on takiego ma?

– Zawsze pyta, jak się czuję.

Moja siostra nic nikomu nie zrobiła. Nie prosiła się o ciemność, zawsze stała do niej tyłem. Była normalną kobietą, gotową na życie i całe jego cierpienie. Miała w sobie tę gotowość, bo miała miłość. Miała dzieci. Miała męża, który był zdrowym człowiekiem.

Odpowiedzialność bierze się za błędy. Podpisywanie się pod dobrymi wyborami to żadna odpowiedzialność. To powinienem być ja. To powinienem być, kurwa, ja. Wtedy w tej piwnicy. W domu w Rembertowie.

Próbuję zrozumieć. Co oni tam robili? Niewiele wcześniej wylądowali na Okęciu. Wracali z wakacji. Samochód stał na płatnym parkingu. Powinni wracać od razu do Olsztyna. Ewentualnie przespacić się w hotelu koło lotniska – nie było sensu wjeżdżać do miasta, zwłaszcza z parą zmęczonych dzieci.

Dlaczego pojechali na koniec Warszawy, w nocy? Kto ich do tego przekonał? Kim byli mężczyźni w kominiarkach? To musiało mieć związek ze mną. Wysięk, aby oddzielić poczucie winy od prób znalezienia logicznego związku, jest nieludzki. Zасыpiam, ale zadaję sobie te pytania dalej, we śnie.

Piotrek nie żyje. Poza tym Piotrek nie zabiłby rodziców na oczach małych dzieci. Nie był zwyrodnialcem.

Maluch? Ten gnój może pobić swoją dziewczynę, ale nic więcej. No i całkiem prawdopodobne, że też nie żyje.

Śniady? Bujas? W ramach zemsty za Stryja? Ale po co? Podlegali Piotrkowi.

Fajkowski? Bo stracił program w telewizji? Byłby aż takim psychopata? Dar... Dario nie żyje. Podpalili go żywcem. Nie mogli się pomylić.

NIKOGO NIE MA W ROGU POKOJU.

Poza tym każdy z nich, gdyby miał to zrobić, zrobiłby to od razu. Nie teraz, nie po pięciu latach.

Przyspawany do ławki odbieram kolejny telefon od mamy. Jej głos jest jeszcze bardziej wypłaszony, głuchy. Emocje ma wyłączone lekami, inaczej by oszalała. Pogrzeb ma być za cztery dni, policja już oddała ciało. Śledztwo jest otwarte. Będą chcieli z tobą porozmawiać, Jacuś.

Policja nikogo nie znajdzie, myślę, ale nie mówię tego mamie. Śledztwa polskiej policji kończą się wydaniem aktu oskarżenia tylko wtedy, gdy czyjś kolega, który powalił się w zupełnie innej sprawie, nagle uświadamia sobie, że kiedyś umrze i to może jednak niemądre grzać kolejną dychę w kryminale, więc postanawia się rozjechać. Ci policjanci nawet nie potrafią przyjąć tego daru, poprawnie zapisać zeznań, a potem przeczytać ich ze zrozumieniem. Te filmy i dowcipy na ich temat tak naprawdę ich rehabilitują. Gdyby nie konfidenci, wszyscy byliby krawężnikami.

Nie ma najmniejszych szans, aby znaleźli mordercę mojej siostry.

– Kocham cię, mamó – mówię równie sztucznym głosem.

Mama nie odpowiada. Rozłączam się.

Muszę zrobić to sam. Uda mi się. To nie jest problem. Znajdę ludzi, którzy mi pomogą. Opłacę ich. Znajdę swoją piwnicę. Kupię krzesło. Postawię je na środku pomieszczenia. Kupię taśmę, kupię kajdanki. Kupię obcęgi, kupię skalpele. Kwas solny.

Moja siostra nie zrobiła nic złego.

Na telefonie sprawdzam połączenia lotnicze. Pierwszy samolot do Buenos Aires jest za osiem godzin. Tam kolejne osiem oczekiwania na przesiadkę do Frankfurtu. Kupuję bilety i wracam do mieszkania.

Wyciągam klucze, ale drzwi są otwarte, i ktoś jest w środku.

– *Nuestra gente de Buenos Aires nos habló de un extraño polaco que comerciaba con diversas mercancías* – mówi głos w ciemności. Nasi ludzie w Buenos Aires opowiedzieli nam o dziwnym Polaku, który handlował różnymi towarami.

Chcę włączyć światło, gdy ktoś łapie mnie za nadgarstek. Próbuję go uderzyć poniżej pasa, ale mocna dłoń zakleszcza mi się na głowie jak wielki pająk, przysuwa ją do ściany, uderza. Na tyle słabo, abym nie zemdleł, ale na tyle mocno, aby mi uświadomić, co może się stać.

W mroku widzę znajomą sylwetkę spod sklepu, niewielką i okrągłą. Ma na sobie ten sam poplamiony dres.

Mówi chrapliwym głosem, że jestem bardzo daleko od domu.

14 PAŹDZIERNIKA 2019

Skupić się na ruchach, być w nich w pełni obecnym. Przewracam się na bok, wyciągam dłoń, zaciskam ją na rękojeści patelni. Uderzam psa w nos. Zdaję sobie sprawę, że w prawej dłoni wciąż mam pistolet, dłoń jest zaciśnięta, sparaliżowana od adrenaliny.

– *Paco, cómete al hijo de puta, Paco* ^Z – skrzeczy jędza.

Ta czwórka pokrak z chowu wsobnego ugotowała sobie mózgi własnym towarem, a w konsekwencji zaczęła majaczyć na mój temat, w pustym mieście na krańcu świata, w którym narkotyki bierze się wyłącznie po to, aby chociaż na chwilę nie widzieć otaczającego je krajobrazu.

Skupiam się na swoim pulsie. Jest równomierny, nie zwalnia. Nie kręci mi się w głowie. Tętno jest całe.

Skołowany pies daje krok w tył, następnie rzuca się na mnie jeszcze raz, prosto na twarz, ale cofając się, stracił dwie cenne sekundy; przystawiam mu pistolet do pyska i naciskam spust. Huk jest głuchy, potężny, kobieta obok podskakuje, pies wydaje z siebie potworny ni to pisk, ni to charkot, karmazynowa czerwień tryska z boku, drugą stroną, razem z pociskiem. Podrywam się na nogi. Walę starą kurwę w ryj, z całej siły, miażdżąc jej nos i krusząc zęby. Srebrny Ząb rzuca się na mnie, a ja przyjmuję jego siłę

i oddaję mu ją z powrotem. Gdy z impetem uderza o ziemię, podchodzę do niego, kopię go w głowę. Chwytam za metalową półkę wypełnioną detergentami, szarpnię, przewracam ją na niego. Gdy przygniatają go metal i plastik, nie wydaje żadnego dźwięku. Już nie wstanie. Może nigdy.

Opieram się o ścianę i uderzam pięścią w mostek, chcąc powstrzymać nadchodzący zawał. Bola próbuje się podnieść, chyba się ocknął. Kobieta wydaje z siebie cichy jęk. Grubas, Gonzalo czy jak mu tam, dalej leży nieruchomo. Na zewnątrz oszalałe psy jazgoczą, walą ciałami o pręty klatek.

Ostatkiem sił podchodzę do Boli i sprzedaję mu kopa w brzuch. Ocieram pot z czoła. Kucam, zaczynam obmacywać mu kieszenie, starając się przy tym nie zemdleć.

Bola coś mówi, ale nie mogę go zrozumieć. Zwraca się do kogoś, kogo tu nie ma, może do psów, które oglądał wtedy w telewizorze. Biorę pistolet i jeszcze raz walę go w łeb. Jest tylko przeszkodą wygenerowaną przez sytuację. Rozpościeram ramiona, palce dotykają ścian tunelu. Rzeczywistość to gra. Istnieją tylko te miejsca, które są przystankami.

Kołatanie serca w końcu ustaje. Puls spada. Zamykam oczy, gdy otwieram je z powrotem, oni wszyscy, cała czwórka i pies, wciąż leżą na ziemi.

Skoro już zawróciłem z tej ostatniej drogi, skoro kazałem syrenie się zamknąć, to nikt nie zdoła mnie powstrzymać.

Kucam i zaczynam się śmiać. Śmiejąc się, wychodzę z ciała. Mój umysł chce uciec i polecieć jeszcze wyżej, przeniknąć przez dach i wznieść się do stratosfery, ale ściągam go z powrotem i wpycham sobie do gęby, powstrzymując odruch wymiotny.

Opatruję rękę rękodzielnikiem kuchennym. Wyliczam w myślach, co muszę zrobić: wrócić do mieszkania, wziąć swoje rzeczy, następnie pojechać na pogotowie albo znaleźć weterynarza, któremu dam w łapę, aby zszył i dał mi zastrzyk przeciwko wścieklicznie. Muszę jechać na lotnisko.

Wychodząc z domu, odwracam się; patrzę jeszcze raz na napis na znaku i widzę, że litery układają się w „BETLE EM”, że brakujące H dopowiedział mój mózg.

Pick-up odpala dopiero za piątym razem. Auto trzęsie się i protestuje przeciwko każdemu mojemu ruchowi kierownicą, naciśnięciu pedała. Patrzę, co jest w schowkach. Jeszcze jakiś pistolet, trudno powiedzieć, czy na ostrą, czy na ślepaki. Papierosy, torba marihuany, jakieś pół uncji.

Puszka ciepłej coli. Pornosy. Mapy. Włączam radio. Po chwili gadania zaczyna grać rockowa piosenka, która brzmi trochę jak The Police po hiszpańsku. Facet śpiewa coś o nocy zamkniętej jak sklep – ale trudno go zrozumieć, słowa przykrywa żrąca kłódra szumu. Ruszam gałką potencjometru, co tylko pogarsza sprawę.

Nie zatrzymuję auta pod swoim domem, tylko kilka przecznic dalej. Biegnę, rozglądając się dookoła. Wchodzę do wciąż otwartego mieszkania. Biorę komputer, dokumenty, gotówkę; myję się, przebieram, chowam klucze pod wycieraczkę. Ranę na ręce owijam białym ręcznikiem i zaklejam taśmą. Kolega rzuca się na mnie, liże mnie po twarzy.

Przytulam go, mocno. Biorę go ze sobą.

Weterynarka podaje mi znieczulenie miejscowe, następnie zszywa ranę. Nie zadaje żadnych pytań. To niska, krępa kobieta koło sześćdziesiątki. Kolega obserwuje to wszystko, lekko zaniepokojony. Macha ogonem. Pewnie myśli, że on również zaraz będzie ofiarą jakiegoś zabiegu. Kładę na stole pięć tysięcy dolarów. Mówię jej, że dam jej drugie tyle, jeśli weźmie psa. Muszę wracać do Polski, nie mam co z nim zrobić. To dobry przyjaciel, przekonuję.

Początkowo się waha, ale zaraz uśmiecha się do psa, szczerze i ciepło. Oddycham z ulgą. Mówi, że nie chce za niego pieniędzy. Niedawno zmarł jej pies, którego miała dwadzieścia lat. Nie chciała nowego aż tak szybko, ale trudno. Głaszczę Kolegę po łbie, daje mu jakiś śmierdzący smakołyk. Łatwo cię kupić, myślę. Kucam przed nim, drapię go po głowie.

– Jesteś bardzo w porządku – mówię cicho. – Ale to już naprawdę koniec. Ta pani jest okej.

Pozwolił mi wyobrazić sobie, jak to jest kochać i mieszkać w świecie. Nie interesowało go, kim jestem, bo żadna z ludzkich spraw nie jest esencją. Po prostu lubił mnie i potrzebował. Teraz liże mnie po twarzy. Nie skamle, gdy wychodzę. Wszystko rozumie.

– Może kiedyś wrócę – dodaję na odchodnym. – Postaram się wrócić.

W taksówce na lotnisko zamykam oczy. Pozwalam obrazom spadać mi na głowę. Zwierzę, które mam zamknięte w klatce piersiowej, wyje z bólu.

Rozpaczam powrót do miejsca, które kiedyś nazywałem domem.

Olsztyn jest jak Ushuaia. Głęboko pod ziemią, na której stoi, tkwi wielki kawał lodowca: podziemne zamrożone jezioro. Czuję go pod stopami, pod chodnikiem. Cienkie, wystające spod ziemi nitki mrozu. Syreny na razie milczą, ale są cierpliwe.

Jestem w centrum handlowym. Kupuję garnitur. Kiedyś, w Warszawie, każdy sobie szyłem. Mystkowski, Cafardini. Czuję wielką doniosłość chwili, gdy zdejmowano ze mnie miarę, pokazywano mi próbki tkanin. To było przeobrażenie, za każdym razem. Kompletowanie siebie, wykańczanie rysunku.

Straciłem to w Argentynie. Ubrania przestały być częścią wizerunku, stały się czymś funkcjonalnym. Grzały, chroniły przed słońcem, tyle. Praca, którą wykonywałem w Buenos Aires, nie wymagała autokreacji, byłem kimś w rodzaju gościa z IT. Nosiłem dżinsy, T-shirty, trampki. A potem, gdy uciekłem na południe, po prostu zrosłem się z kurtką North Face. Przywiozłem ją ze sobą, chociaż w Polsce prawie wszędzie można kupić identyczną.

Gdy byłem w Olsztynie ostatni raz, ta galeria handlowa nie istniała. Obsługuje mnie młoda dziewczyna z mocnym makijażem, która pewnie dorabia tutaj do studiów na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. Pyta mnie, na jaką okazję. Odpowiadam jej, zgodnie z prawdą, że na pogrzeb.

Szuka odpowiedniego wyrazu twarzy i zaraz go znajduje. Pokazuje mi gestem, abym poszedł za nią. Wtedy słyszę głos.

Znajomy, ale trudny do zidentyfikowania.

– Jacek? Jacek Nitecki?

Pierwsza myśl – nie powinien mnie rozpoznać. Rano ogoliłem sobie głowę maszynką ojca. Przejechałem palcami po czaszce, wyczułem nierówności, kępki włosów. Poprosiłem matkę, aby poprawiła. Kucnąłem nad wanną, a ona zaczęła jeździć mi maszynką po skórze, irytująco, zbyt delikatnie, uczucie było jak łaskotanie.

– Mocniej – powiedziałem, ale nie umiała mocniej. – Mocniej, mam – powiedziałem jeszcze raz, a ona się rozplakała, poprosiła, żebym na nią nie krzyczał. To nie był krzyk, mimo to ją przeprosiłem.

Gdy wszedłem do mieszkania, ojciec siedział w fotelu, ale tym razem nic nie czytał. Ręce wisiały mu zwiedłe po bokach fotela. Mama chodziła powoli po mieszkaniu, ubrana na czarno. Trzymała kadzidło, okadzała nim mieszkanie. Nuciała jakąś starą piosenkę, którą kojarzyłem z dzieciństwa.

Rozmowa z nimi była bezcelowa. Rzucali pojedyncze słowa, które przypominały kawałki gruzu pozostałe po wybuchu bomby. Ich ból nie był moim bólem. Jak miał być, skoro nie mieliśmy o sobie pojęcia?

Poza tym na to, co przeżywali, i tak nie było odpowiednich słów. Są śmierci, których nie można zrozumieć, wyjaśnić, obejść. Te śmierci są napromieniowane, zabijają także wszystkich dookoła.

Dzieci Pauliny były pod opieką rodziców Bartka. Wyciągnąłem od mamy, że Kacper wciąż nie mówi, nie reaguje na bodźce. Nie wyobrażałem sobie spotkania z nim.

– Nitecki, no.

Głos jest niski i upierdliwy. Odwracam się. Nie mam pojęcia, co to za typ.

Sweter polo opina mu się na wydatnym brzuchu. Z mocno przerzedzonych włosów barber zrobił mu zgrabną pożyczkę. Po oczach widzę, że zakłada, że jestem tak samo szczęśliwy jak on z powodu tego spotkania. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że kompletnie nie mam pojęcia, kim on w ogóle jest.

– To ja, Damian. – Wyciąga rękę.

Bezkształtny, chrapliwy głos zaczyna mówić mi coś do ucha, niezrozumiałe zdanie, zamykam oczy i poruszam się po własnej głowie, próbując sprawdzić, czy to nie sen.

– No Damiano. Z klasy. Byku, no. Ile to razy rzygałeś u mnie w domu za kanapą?

Okej. Rozumiem. Stare życie, inna planeta. Skasowałem całe liceum – ludzi, pamięć, tożsamość – gdy tylko wyjechałem do Warszawy.

Nie był moim najlepszym kumplem, ale był kumplem, chociaż często mieliśmy z niego bekę, późno łapał żarty, o ile w ogóle, do tego próbował być mądrzejszy, niż jest. Dobrze grał w piłkę i bardzo źle grał na basie w naszym bardzo złym zespole, w którym wyśpiewywaliśmy niedorzeczne teksty po angielsku. Ja grałem na gitarze, jeszcze gorzej niż on. Nie wiem, co robił w plastyku, kompletnie nie umiał rysować, ale był sprawny manualnie. Miał duży dom na Dajtkach, urządzał tam imprezy pod nieobecność rodziców. Jego ojciec był komisarzem policji, matka notariuszką. Rzeczywiście, działały się tam różne licealne sprawy, z perspektywy czasu durne i nieważne, chociaż są ludzie, którzy zawiesili się na tamtych latach i do dzisiaj są kustoszami poświęconej im wystawy. Paliliśmy trawę, po której on zawsze dostawał paranoi – bladł, pocił się,

w jego głowie rozgrywał się wtedy jakiś niewypowiedziany koszmar, którym nie umiał się podzielić.

Wygląda zupełnie inaczej, ale rozpoznałbym go, gdybym w ogóle myślał o tamtych czasach. Na palcu ma obrączkę. Na nadgarstku smartwatcha. Do spatynowanych džinsów włożył granatowe tenisówki New Balance. Jest zwyczajny, generyczny. Nie mam żadnego powodu, by być dla niego niemiły.

– Słyszałem, że Warszawka cię zjadła – odzywa się.

Damian. Dobry chłopak. Czyjś szwagier albo zięć, brat, mąż.

– Mieszkalem w Hongkongu ostatnie parę lat – odpowiadam. Próbuje się przy tym uśmiechać.

– Nieźle. Sztukę jakąś robiłeś? – pyta.

– Interesy. – Odruchowo rozglądam się po sklepie. Poza nami i dziewczyną nikogo nie ma. Ona chyba na mnie czeka, stoi przy półce z koszulami.

– Interesy to też sztuka – stwierdza Damian, szczerząc zęby.

Pokazuje sieciówkę na końcu korytarza. Proponuje mi kawę. Mówię mu, że nie mam czasu, i wyjaśniam, po co przyjechałem do Olsztyna.

Jego twarz tężeje. To naturalne, jest zwykłym facetem, serdecznym Damianem. Ma zdrowe reakcje, standardowe parametry psychofizyczne.

– Przecież to była młoda dziewczyna – mówi.

– Wypadek.

– To... to straszne.

Jest autentycznie poruszony, ale tak naprawdę to jego problem. W żałobie nie ma miejsca na emocje innych ludzi. Gdy odchodzę, łapie mnie jeszcze za rękę. Jego dotyk jest dziwnie gwałtowny.

Odwracam się.

– Jacek, ja już wiem... to... Kurwa, stary, myślałem, że to zbieżność nazwisk. Czytałem na necie... o tej strzelaninie.

To nie była strzelanina. To była egzekucja, Damian. Ale to nie twoja sprawa.

– Gdybyś kiedyś chciał pogadać... mam wciąż ten sam numer co w ogólniaku, ale pewnie nie masz... – Wyciąga z portfela wizytówkę. Wynika z niej, że pracuje dla Stomilu, zajmuje się marketingiem. Chowam ją do kieszeni bez słowa.

– Dasz mi swój numer? – pyta.

Oczywiście, że nie powinienem. Ale jeśli jestem normalnym gościem, który kupując garnitur, spotkał po latach innego normalnego gościa, kolegę z liceum, to tak naprawdę nie ma powodu, abym tego nie zrobił.

Wysłałam SMS-a na numer na wizytówce. Trudno, najwyżej później go zablokuję.

– O każdej porze dnia i nocy, Jacek – mówi.

Nie odpowiadam, idę do przebieralni.

Garnitur jest zwykły, polski, średniej jakości. Materiał – trochę sztywny, pod palcami czuć domieszkę poliestru. Ale dobrze leży, jest czarny, tyle. I tak wyrzucę go zaraz po pogrzebie.

Dziewczyna czeka pod przebieralnią. Informuje mnie, że mam od nich w rabacie dwie koszule. Odruchowo rozglądam się za Damianem, czy gdzieś się na mnie nie czai. Ale już go nie ma.

Wieczór w hotelu jest nieznośny. Brakuje mi psa. Chcę wierzyć, że wszystko z nim w porządku. Nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić. Na skrzynkę przychodzi kolejny dziwny mejl, znowu od Teresy Kulisz. I tym razem temat brzmi: „Malinowy Król”. W mejlu jest niewyraźne zdjęcie. To ten zaginiony mężczyzna. Ma na sobie roboczą kurtkę, brudne spodnie. Jest na jakimś placu rozładunkowym, wkłada coś na pakę auta. Zwyczajny człowiek w zwyczajnej sytuacji. Dziwne jest tylko to, że ewidentnie nie ma pojęcia, że ktoś go fotografuje. Odpisuję: „Przepraszam, to jakaś pomyłka”.

Wkładam kurtkę, wychodzę z pokoju. Muszę się ruszyć, zmęczyć, dostać zadyszki. Muszę to wychodzić, pozbyć się tego chociaż na chwilę. Hotel jest za Kortowem, do centrum mam w prostej linii pół godziny spaceru.

Starówka to rozświetlony gablotami mikrokosmos, wewnątrz szklanej kuli. Ściśnięte knajpy, kebaby walczą o przetaczających się po niewielkim obszarze ludzi, głównie obcokrajowców i studentów z Kortowa. Na wypadek kolejnych Damianów zaciągam kaptur na głowę, zakrywam twarz daszkiem czapki. Ale nie zatrzymuję się na Starówce, mijam ratusz, następnie areszt śledczy i szubienice. Idę dalej, wyżej, w kierunku Nagórek.

Podstrajam myśli pod rytm własnych kroków. Wyrывa mnie z niego tylko czekanie na światłach, w Olsztynie chyba najdłuższe w Europie.

Wspomnienia tak odległe, jakby należały do kogoś zupełnie innego.

Starte kolana, krew na ustach, gumy shocki, piłka w parku Kusocińskiego, amiga, karty telefoniczne, noże w rękach Cyganów, pszenne bułki, zakupy w Uranii, smażony ryż z kurczakiem w chińskiej

knajpie na Pojezierzu, którą prowadził rzekomo prywatny kucharz Urbana, pierwsza sperma na prześcieradle, pierwsza miękkość ciała, dyskoteki w Come In, techno w Rentgenie, siedzenie na wiadukcie za dworcem. Pierwsze grzybki i przerażenie, że to szaleństwo nigdy nie minie, oszukiwanie Niemców na Starówce na dobre kwoty, drogie piwo U Artystów, punkowe giełdy w MOK-u, i ten śmieszny facet, Rysiek, który pomagał każdemu dziwnemu dzieciakowi, robiąc coś takiego, co teraz, z tego, co rozumiem, robi Pazina. Fosa, czyli amfiteatr na Starówce – a na niej piwo, fajki, trawa, afery, duchy. Gość o ksywce Cure, który kochał The Cure i chodził w makijażu jak The Cure, i chyba brał heroinę, oraz niejaki Kaczor, klejarz-punkowiec, który na plecach skórzanej kurtki miał przyklejoną ukradzioną z kolei metalową tabliczkę z trupa czaszką, „Nie dotykać, grozi śmiercią”, i tak nikt go nie dotykał, chyba że butem po głowie.

Wszystko razem, wszystko obce, wszystko nigdzie.

Olsztyn zamienia się w koniec świata, w drogę na Antarktydę. Na moment – znowu – czarna sylwetka wydrapana na siatkówce. Rytmiczne dyszenie Kolegi biegnącego przy mojej nodze. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że nigdy nie chodził na smyczy. Kupiłem ją, ale nie używałem.

Cel jest prosty.

Piwnica. Krzesło. Narzędzia.

Na najprostszym poziomie uratować swoje życie oznacza mieć coś do zrobienia. Coś zgodnego ze sobą.

Pierwszy raz, w piwnicy na Rembertowie, to było wejście w otchłań. W magazynie w Buenos Aires – przykra konieczność. Ale w domu w Ushuaia ogarnęła mnie nagła euforia, adrenalina o mało nie zatrzymała serca, wyżłobiła ślad w mózgu. Ten ślad śwędzi.

Bądź cierpliwy, mówię do siebie.

Znajdziesz go. Zrobisz, co masz zrobić.

A potem wrócisz do Ushuaia. Kupisz bilet na prom na Antarktydę.

Może znajdziesz tę weterynarkę. Upewnisz się, że dba o twojego psa.

Dasz znać syrenie, że jesteś gotów. Śpiewaj, powiesz jej. Głośniej. Głośniej, ty kurwo.

Książd jest stary i już lekko wyłączony. Próbuje zamienić początki demencji w dostojność. Idzie mu kiepsko. Klepie banały, mówi z zaśpiewem, przeciąga wyrazy. Może zawsze tak jest. Nie wiem. Widziałem więcej śmierci niż pogrzebów.

Rodzice odpowiadają na pytania monosylabami. Mama próbowała mnie objąć, ja niezgrabnie próbowałem odwzajemnić ten gest. Powiedziałem jej i tacie, że muszę jechać do Warszawy zaraz po pogrzebie. Nie wiem, czy zrozumieli. Skłamałem, że wkrótce wrócę. Albo ich odwiedzę. Albo zadzwonię. Nie odpowiedzieli.

Jestem poirytowany. Wszystko jest pieczeniem, swędzeniem, podrażnieniem. Rozdrapałbym się cały.

Trumny przykrywa gruba kołdra kwiatów, na niej umieszczono zdjęcie Pauliny i Bartka, oprawione w czarną ramkę. Lekko prześwietlone selfie z wakacji sprzed paru lat. Dziecięcy rysunek, rodzina koślawych ludzików na tle tęczy i słońca.

Kacpra i Jagody nie ma na pogrzebie.

Dzień jest długi jak wieczność. Od momentu, gdy się obudziłem, minęła pewnie dekada. Ludzie stoją nieruchomo w oślepiającym słońcu, które chyba z nich kpi. Ciocie, wujkowie, kuzyni, przyjaciele. Większości i tak nie kojarzę.

Moja matka zaczyna wyć wyciem katowanego psa. Wyciąga ręce w stronę trumien. Ojciec rusza ku matce, potrąca mnie ramieniem, nawet tego nie zauważa. Odkręca butelkę z wodą, podaje mamie. Ta pije łapczywie.

Rozglądam się, patrzę ludziom w oczy, przeciągam te spojrzenia. Próbuje znaleźć kogoś niepasującego, przyklejonego do obrazka. Kogoś, po kim widać, że zna sprawy obce tym, którzy spłacają kredyty, płacą podatki, biorą leasingi. Próbuje zobaczyć to w cudzych twarzach, chwycić się czegokolwiek. Znaleźć trop. To przecież nie musiało mieć żadnego związku ze mną. To mógł być przypadek, pomyłka. Wdech, wydech. Nadzieja jest podła, świetnie udaje logikę.

Rozpoznaję go; jego obecność przecina ten moment jak ostrze. Stoi na uboczu, w towarzystwie jakiejś kobiety, pewnie żony. Sympatyczny Damian, kolega z liceum. Nie wiem, czy mnie widzi. Bezgłośnie płacze – jakby sam chował siostrę.

Zdziwienie, niejasne przeczucie, ukłucie w okolicy żołądka. Poirytowanie przeradza się w czystą złość. Najchętniej podszedłbym do

niego i wytłumaczył, że moja siostra była dla niego obcą osobą, że powinien oszczędzać swoje cenne łzy na własnych bliskich. Będzie miał swoje okazje. Niech po prostu cierpliwie poczeka. On zacząłby protestować – przecież byliśmy kolegami, liceum, imprezy, dupy, bla, bla, bla. Zrobiłoby się zamieszanie. On mówiłby dalej, a ja w końcu bym go uderzył.

Odpuszczam. Jedyne, co robię, to wyciągam telefon i blokuję jego numer. Muszę stąd iść. Jestem pełen zatrutej złości, która zaczyna wyciekać na zewnątrz. Ruszam alejką w stronę kaplicy i wyjścia, idę wzdłuż równego szpaleru rachitycznych drzewek. Jestem cały czerwony. Marzę, żeby kogoś pobić. Wystarczy bardzo, bardzo niewiele.

Dwaj dziennikarze stoją z boku, nieporadnie udając, że nie są dziennikarzami. W tej maskaradzie nie pomaga samochód z logo NTV zaparkowany na kościelnym parkingu.

Ktoś za mną idzie. Pozwalam mu do siebie podbiec, dopiero potem się odwracam. To kobieta w wieku mniej więcej mojej mamy. Bardzo szczupła, zwiędła, o ciasno spiętych siwych włosach. Bije od niej pewien spokój, charakterystyczny dla bibliotekarek i nauczycielek nauczania początkowego.

Kobieta przedstawia się jako mama Bartka. Mówi mi, że na razie zajmują się dziećmi Pauliny, moja mama się w ogóle do tego nie nadaje. Chciała mnie poznać. Składamy sobie kondolencje. To wszystko jest dosyć niezręczne, ale być może potrzebne.

– Pana rodzicami... też się trochę opiekujemy. Kacper... Kacper ciągle nie mówi, wie pan. Ja... ja modlę się, żeby one kiedyś normalnie żyły, te dzieci. Po czymś takim. No ale nie wiadomo. Nie wiadomo.

Jej głos jest kruchy, bardzo cichy. Pęka pod ciężarem słów.

– A państwem kto się opiekuje? – pytam.

– Może po prostu lepiej to znosimy.

Kiwam głową. Mam ochotę zapytać ją o Bartka. Czy coś słyszała. Czy kogoś znał... Nie, to bzdura. Daję jej swój numer i proszę ją, żeby dzwoniła, gdyby czegokolwiek potrzebowała.

W zamian dostaję uścisk, taki prawdziwy.

Zamawiam taksówkę na dworzec. Nawet nie wiem, czy jest jakiś pociąg. Jeśli nie, pojedę z facetem prosto do Warszawy.

Na początku biorę ich za sprzedawców zniczy. Czekają na mnie tuż przed wyjściem z cmentarza, oparci o cywilną kię. Starszy i młodszy, obaj

tak samo zniszczeni. Mają zmęczone, obłe gęby. Świńskie oczka. Alkoholowy zespół płodowy. Jeden mówi:

– Przepraszam pana na chwilę.

Są spokojni, też jestem spokojny. Są też nieporadni. Byłoby dziwne, gdybym ich nie spotkał. Pytają, czy się z nimi przejadę. Nie, odpowiadam, muszę lecieć.

– Straszna tragedia – zagaja ten starszy. Bezwiednie mruga lewym okiem.

Nie mam pojęcia, czy wie, kim jestem, czy widział mnie w kartotece. Może blefuje. Może powinienem udawać zdenerwowanego, ale nie mam na to siły. Najpierw przeprasza, że żyje, a zaraz potem pyta, gdzie byłem w momencie śmierci siostry.

– W Ameryce Południowej, głównie w Argentynie.

– Co pan tam robił?

– Żyłem.

– A z czego pan finansował sobie to życie?

– Obracałem kryptowalutami.

– Chyba nieźle można na tym zarobić, co?

Patrzę mu prosto w oczka, wepchnięte w głowę o kształcie bułki, guziki w twarzy topiącego się bałwana. Widzę w nich szczerą, wielką tępotę, silniejszą niż życie i śmierć. Może dla rozrywki kopie żonę w brzuch, może wali konia, patrząc na zamazane zdjęcia nagich dzieci. Może super się bawił, gdy raził taserem przykutego do kaloryfera małolata, który chciał wyjąć z Żabki piwo i dwie czekolady.

Jego kumpel ma w sobie poczciwość, której na pewno nie umie zagrać. Nad nikim się nie znęca, po prostu żyje smutnym życiem idioty, który od rana do wieczora chodzi po świecie z przyczepionym do głowy niewidzialnym znakiem zapytania. Pije siedem kaw dziennie, bo się przyzwyczał. Serce i kicha wciąż go bolą. Pije wodę, by nie czuć tego wszystkiego. Rzyga, ale zawsze pije do odcinki. Ta za każdym razem przychodzi minutę szybciej.

– To pogrzeb mojej siostry.

– I bardzo panu współczujemy. Robimy wszystko, aby znaleźć sprawcę. Ale musimy, wie pan. Czynności.

Tak, zdradził się, przestał mrugać. Jego kumpel się napina, kładzie otwartą dłoń na karoserii.

– Więc o chuj wam chodzi, pajace?

Momentalnie go mrozi. Zmienia ton, kończy mu się grzeczność. Zaczyna kozaczyć:

– Wiesz, zawsze najpierw bierze się pod lupę rodzinę.

Coś wie, widział papiery. Odrobił pracę domową. Brawo, siadaj, czwórka. Masz w nagrodę loda, tylko nie włóż go sobie w dupę.

Robię krok w jego stronę.

– Przejrzałeś mnie, chłopie, nie ma co, jesteś superpies. I co wywachałeś? Kto zabił moją siostrę? O co mu chodziło?

– Siedziałbyś do teraz, jakby wtedy nie wpłacili za ciebie tej kaucji – mówi.

Uśmiecha się. Myśli, że zdobył punkt.

– Byłem za granicą. Mam bilety, mam rachunki. Nie wiem, co się stało.

– Tak? A kto właściwie był w tej Ameryce Południowej? Bo nie ma w tym momencie w Polsce ważnego paszportu wystawionego na imię i nazwisko Jacek Nitecki.

– Za to jest grzywna.

– Nie, dla ciebie będzie pięć lat.

Zaczynam tracić cierpliwość. Wyobrażam sobie, że go krzywdzę. Słońce jest nieznośne, gwałci mi oczy. Nie mam okularów przeciwsłonecznych. Koszulę pod marynarką przesiąka pot. Podjeżdża taksówka, macham na nią ręką. Zatrzymuje się przy wysepce, na awaryjnych.

– Wyluzuj, po co te nerwy? Po prostu powiedz, czy masz jakiś pomysł – mówi pies.

Próbuję wyobrazić sobie swoją wściekłość jako grubego muppeta, śmieszna postać z kreskówki. Próbuję sprawić, aby mnie rozbawiła.

– To ty masz mieć pomysł. Ty jesteś z policji.

Stoję tak blisko, że czuję, jak śmierdzi mu z gęby. Pytam go, czy to już wszystko. Na ten moment tak, odpowiada. Nie umie w przekaz, jest na to zbyt tępy. Niech spierdalają na suszarę. Wsiadam do taksówki. Jadę na dworzec. Oczywiście nie ma już żadnego pociągu, więc wciskam kierowcy w rękę tysiąc złotych i każę mu się wieźć do Warszawy. Proszę, aby nic do mnie nie mówił. Oglądam zdjęcia Pauliny z wakacji.

Po drodze przez telefon wchodzę na serwis z mieszkaniami na sprzedaż. Zaklepuję jedno i na następny dzień umawiam się do notariusza.

Jestem gotowy. Chcę, aby wszystko wydarzyło się jutro. Aby trwało tylko chwilę.

Nie mogę się doczekać.

LISTOPAD 2019 – MARZEC 2020

Ale zanim cokolwiek się wydarzyło, minął ocean czasu. Każdy dzień był jak łyk słonej wody. Wściekłość powoli stygła. Zamieniała się w coś w rodzaju drugiej skóry, pancerza.

Mieszkanie, które kupiłem, znajdowało się trzy bloki dalej od mojej starej skrytki spalonej przez ludzi Daria i policję. Kawalerka, trzydzieści metrów na siódmym piętrze gierkowskiego bloku. Obrzydliwe ratanowe meble, różowe kafelki w łazience, okrągłe lustro w plastikowej ramie i ściany barwy moczu. Rozkładana czerwona kanapa, która nadawała się tylko do wyjebania.

Rozpakowałem się, usiadłem na kanapie. Aby nie patrzeć na ohydny kolor ścian, pojechałem do sklepu i kupiłem duży telewizor. Niestety, wciąż je widziałem. W konsekwencji pojechałem do Castoramy po wałek i farbę. Malowałem do rana, słuchając randomowych seriali z oklejonego folią telewizora, i wyobrażałem sobie, jak wyglądają ich bohaterowie.

Nad ranem wszystko było gotowe i przez krótki moment nie musiałem robić nic.

Ludzie są śmieszni. Największym marzeniem każdego jest żyć życiem, w którym nie trzeba nic robić. Jednocześnie nie potrafią spędzić na bezczynności pięciu minut. Bezruch przypomina im o przerażającej pustce, z której się wzięli i do której idą. Ekrany, jak i wiele innych rzeczy, wynaleziono głównie po to, aby odegnąć myśli o śmierci.

Miałem już mieszkanie, potrzebowałem jeszcze auta. Facet z pierwszego sensownego ogłoszenia odebrał za czwartym razem. BMW 5 F11, automat, diesel, dwieście tysięcy przebiegu. Metalik, ksenony, zwykła, ale czysta tapicerka. To było porządne auto, dobre jak chleb i nierzucające się w oczy. Zaproponowałem sprzedającemu kwotę wyższą o pięć tysięcy. Zrobiłem to, bo bawiło mnie jego zdziwienie.

Po tygodniu wyrzuciłem ratanowe meble i kupiłem jakieś w Ikei. Potem wynająłem faceta, który skuł kafelki i zrobił remont łazienki. Mieszkanie z obrzydliwego zamieniło się w standardowe Airbnb.

Pojechałem w to miejsce po paru dniach. Szukałem go długo, wskazówki były dość mętne. Rodzice nic nie wiedzieli, pomogła mi mama

Bartka – wspomniała coś o położonym w pobliżu nieczynnym zakładzie. W końcu znalazłem: pusty teren w tamtej okolicy, mieszczący się nieopodal zamkniętej fabryki palet.

Rozległa łąka ciągnąca się po horyzont, w oddali linia lasu. Wawer. Miejsce, które jest nigdzie. Trawa, pustaki i śmieci. Dziurawa wyasfaltowana droga. Policja ustaliła, że właściciele działki nie żyli, a ich dzieci mieszkały w RPA. Resztki policyjnej taśmy pokazały mi, gdzie leżeli Paulina i Bartek. Poza tym nic – żadnych śladów, kształtu odcisniętego ciała, kropel krwi.

Położyłem się na ziemi. Śmierdziała. Chodziłem po tym miejscu w kółko aż do wieczora. W oddali widniały kontury klockowatych domów jednorodzinnych, niemych świadków tego straszego bezsensu.

Miałem wrażenie, że w Warszawie mieszka dwa razy więcej ludzi niż w 2014, ale nie znałem nikogo z nich. W mieście było pełno nowych miejsc. Smolna, Niebo, Miłość, Jasna. Bank, K-Pop, Wizje, Nowe Filtry. Były też stare, dobre Lustra. Zachodziłem do nich, ale zaraz uciekałem. Czasami rozpoznawałem w tłumie dawnych klientów, ale nikt z nich nie rozpoznawał mnie. Miałem krótkie włosy, inne ubrania, czapkę z daszkiem głęboko nasuniętą na oczy. Pozbyłem się wszystkiego, co charakterystyczne. Byłem też kilka lat starszy, a Argentyna dodatkowo mnie postarzała. Usiłowałem się dowiedzieć, co dzieje się na mieście, ale miasto wybudowało ścianę między sobą a mną. Żyłem w nim, otoczony twardym bąblem. Za mną szedł korowód trupów. Trupy były cicho.

Czasami czułem się w Warszawie tak jak wtedy, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Przyjechaliśmy pociągiem, razem z ojcem. Tata studiował zaocznie na PWST, próbował zostać aktorem, chyba starał się o angaż w jakimś teatrze. Był rok 1989. Nocowaliśmy u ciotki w Ursusie, mimo to wysiedliśmy na Centralnym. Wyszliśmy z budynku dworca, stanęliśmy przed postojem taksówek. Było już ciemno. Choć miałem jakieś dziewięć lat, na widok Pałacu Kultury zacząłem płakać. Bałem się, że tak wysoki budynek zaraz się na mnie przewróci.

Pamiętam uczucie stania nad brzegiem ogromnego czarnego morza. Pod jego powierzchnią była cała galaktyka niewidocznych światów. Widziałem je w każdym zapalonym oknie, każdym z przejeżdżających obok samochodów. Ta niezliczoność, to mrowie. Dziesiątki neonów, CENTRUM bez „R”. Społem. Krajowa Loteria Pieniężna.

Ojciec nie chciał brać taksówki, bał się, że go okradną. Gotówkę miał przy sobie w brzydkim skórzanym neseserze. Przyciskał go do siebie kurczowo, przez co przypominał groteskową postać ze starego filmu, uprowadzonego dyplomaty albo świadka koronnego zeznającego przeciw mafii. Nie umiał znaleźć odpowiedniego przystanku autobusowego. Był wściekły. W końcu zdecydował, że pójdziemy na piechotę. Po drodze pytał ludzi, w którą stronę jest Ursus, ci w odpowiedzi pukali się w głowę. Szliśmy prawie trzy godziny, pod koniec musiał nieść mnie na rękach. Wyobrażałem sobie, że brodzi w czarnym szlamie. Że zapada się w niego coraz głębiej, po kolana, po uda. W końcu ten szlam dotyka moich pleców, połyka moje ręce i głowę. Ojciec tego nie widzi, idzie dalej, a ja po prostu się topię.

Znowu kupowałem koks, tylko po to, aby pogadać z łebkami, którzy go sprzedawali. Z tego, co opowiadali, wyłaniał się obraz zupełnie nowego miasta.

Mieli nienagane fryzury, okulary w połączonych oprawkach, drogie, idealnie leżące ciuchy z Vitkaca w stonowanej kolorystyce. Niektórzy używali słów typu „asset” czy „portfolio”. Przechwalali się, że grają na spadki na krypto, wynajmowali mieszkania i podnajmowali je na Airbnb bez wiedzy właścicieli. Inni po prostu byli małpiszonami w kolorowych ciuchach. Wydawali całą forszę na trampki i messenger baga, cytowali teksty z trapowych kawałków, nawijanych przez gości, którzy z kolei udawali, że są nimi. Byłem dla nich dziwnym zgreдем. Żaden z nich mnie nie rozpoznawał. Sześć lat temu byli jeszcze dziećmi.

Pokolenie pruszkowskich, mokotowskich odchodziło w niebyt. Nie żyli, garowali, część została patocelebrytami, inni po prostu mieli jakieś firmy i spokojnie gnili na miążdżycę w pobudowanych pod Warszawą domach. Ludzie pokroju Piotrka tracili na znaczeniu, o ile jeszcze żyli. Coraz silniejsi stawali się obcokrajowcy, głównie Czecheńcy, którzy od razu zainwestowali potworne pieniądze w legalne biznesy, by prac w nich szmal z hurtu, burdeli, kamerek. Organizowali sportowe gale, otwierali markowe sklepy, salony sprzedaży aut. Kupowali całe kamienice na biura. Byli wielkim międzynarodowym klanem, operowali w Niemczech, Austrii, Beneluksie. Drugim, zupełnie osobnym światem byli Wietnamczycy. Mieszkali pod Warszawą, w miejscowościach-bazarach, takich jak Wólka. Psy myślały, że podrabiane ubrania są tylko przykrywką dla narkotyków, ale to one były ich właściwym biznesem. Dawały lepszy i pewniejszy

pieniądz. Do Trójmiasta przyływały całe kontenery podróbek Gucci, Armaniego, butów Nike szytych w tych samych fabrykach co oryginały, tylko po godzinach. Podobno w Wólce były już pobudowane całe gotowe szwalnie, aby zaoszczędzić na transporcie.

Moda na koks się kończyła, bo tak naprawdę koks zawsze był drogi i chujowy. Dawał sztuczny prestiż, a czasy prestiżu się skończyły, zaczynały się czasy przetrwania. W mieście wszyscy brali kryształ, ketaminę. Nikt już się nie napinał, kończyła się era prawdziwego zarabiania pieniędzy. Zamiast walczyć o fantomowe fortuny, ludzie woleli się odcinać, odpływać, bawić. Brexit, Trump – wydarzenia, które w Argentynie wydawały mi się bez znaczenia, tu przybliżały wszystkich do końca świata. Ludzie wariowali od internetu, codziennie patrzyli śmierci w oczy. Lęk był wszędzie: w powietrzu, słowach, zapachach. Globalne ocieplenie. Wojna atomowa. Rozpad Unii Europejskiej. Na ulicy coraz więcej było podrabianego benzo, wracała moda na opiaty. Z kolei na osiedlach rządził klefedron, a w zasadzie wszystko, co można było pogonić za trzydzieści złotych od wora. Za ten szmelc odpowiadały różne polskie ekipy. Działy skromnie, w stosunkowym rozbiciu, mało ze sobą powiązane. Oprócz tego gówna handlowały też dopalaczami ściąganyymi z Izraela. Na rynku było też bardzo dużo bardzo dobrej trawy z Kalifornii i Hiszpanii. Sprzedawano ją w niby oryginalnych, zabawnych opakowaniach. Większość detalu przeniosła się na aplikacje – Instagram, Wickr, Telegram.

Czułem się przybyszem z przeszłości. Kabaretem starszego pana, zapomnianego i niewidocznego.

W Warszawie miałem jeszcze jedno mieszkanie, apartament na Powiślu. Klucze trzymałem w depozycie w banku. Przez moment bałem się, że ktoś mnie w nim odwiedzi, będzie czegoś chciał. Ale obawy okazały się bezpodstawne. Nikogo nie obchodziłem, i w jakiś sposób to było wspaniałe. Ale skoro przestałem istnieć, skoro byłem zapomniany i nudny, to czemu ktoś miałby skrzywdzić moją rodzinę?

Śledztwo tkwiło w martwym punkcie. Idioci z policji przesłuchiwali pasażerów samolotu, którym Paulina i Bartek wracali do Polski. Co oni mogli im powiedzieć? Nagranie kamery z Okęcia pokazywało moją siostrę i jej męża na parkingu, jak wsiadają do samochodu. Ładowali walizki do bagażnika. Byli zwyczajnymi ludźmi po długim locie z małymi dziećmi. Nie mieli żadnych długów, konfliktów, kredytów, problemów z hazardem. Billingi z telefonu Bartka nie naprowadziły na żaden trop. Z kimkolwiek się

kontaktował, musiał to robić przez aplikację. Samego telefonu nie znaleziono na miejscu zbrodni.

Sprawa przypominała bryłę lodu. Nieruchoma, zamrożona, półprzezroczysta.

To był mój największy lęk – że ktoś zrobił to tak po prostu. Dwóch przypadkowych psychopatów, którzy tego samego wieczoru rozpuścili się w świecie, wychynęli na chwilę z ciemności, by do niej wrócić.

Rozmowy z małolatami z miasta nic nie dawały. Próbowiałem odgrzebać stare, wątle kontakty ze starszymi gitami. Ci krążyli dookoła Legii, zajmowali się głupotami, jedli skrawki. Ochraniali burdele, handlowali gównem, próbowali naliczać drugoligowych raperów. Jeździłem do jakichś podłych, dziwnych miejsc pod Warszawą. Odbywałem rozkminki, które do niczego nie prowadziły. Jedyne, co wyczułem od tych ludzi, to strach. Uważali, że śmierci Piotrka i innych są połączone, ale nie umieli ich do nikogo przypisać, tak jak nie umiałem do nikogo przypisać śmierci mojej siostry. Tunel, którym się poruszałem, stawał się coraz niższy i węższy. Teraz mogłem tylko w nim kucać, trzymać barki opuszczone wzdłuż ciała.

Prawda była zatrzaśnięta. Obchodziłem dookoła mury ogromnego zamku, codziennie bardziej przerażony, że odgradzają mnie wyłącznie od pustki.

Ludzie nie potrafią znieść nawet pięciu minut beczynności. Moja beczynność trwała całe miesiące. Robiłem się zdesperowany. Nie mogłem tego wytrzymać i nie cierpiałem siebie za to.

Chodziłem na Legię, trenowałem strzelanie. Zapisałem się na siłownię. Ćwiczyłem boks. Pływałem. Uczucie beczynności znikало tylko w krótkich momentach totalnego zmęczenia.

Cały czas szukałem kogoś, kto wpuściłby mnie z powrotem do miasta. Stałem przed zamkiem, nie umiejąc do niego wejść, jak geodeta w książce Kafki.

Pazina – jasne, wciąż miałem jej numer. Ale Paziny już nie było, oszukałem ją, pozbyłem się jej. Teraz, po kilku latach, bez wątpienia stała się kimś innym. Na instagramowym profilu miejsca, które prowadziła, Azylu, pozowała w otoczeniu dzieciaków, z pomalowaną twarzą i w cekinowym przebraniu z okazji jakiejś dzielnicowej parady. Zmieniła się w wesołą, szurniętą belferkę. Tęskniłem za nią, wiedziałem jednak, że od razu spróbowalaby mi pomóc, uczynić moje sprawy naszymi wspólnymi sprawami.

Coś musiało zaistnieć. Drgnąć. Frustracja bywała tak dusząca, że traciłem oddech. Spotykałem się z kobietami, by nie oszaleć. Tinder to znakomity wynalazek, kolejne osoby pojawiały się i znikwały, a ja coraz lepiej przypominałem sobie seks. Stałem się w nim łapczywy, gwałtowny. Świetnie zabijał czas, regulował napięcie. Jedną z tych dziewczyn polubiłem. Nazywała się Klara, wykładała chemię na UW. Szczupła, drobna, miała coś ciepłego i głębokiego w oczach. Była zupełnie zwyczajna i bardzo ładna w tej zwyczajności.

Na święta poleciliśmy do Tajlandii, zostaliśmy tam ponad miesiąc. Byłem nieostrożny, bo pozwoliłem, by Klara zaczęła się zakochiwać. Mimo to trwałem w tym. Trudno było mi zrezygnować z obecności kogoś niewinnego i serdecznego. Byłem jak każde zwierzę, koił mnie dotyk.

Leżeliśmy w słońcu, jeździliśmy skuterami, jedliśmy tanie i pyszne zarcie. Próbowałem się skupiać na tutaj i teraz. Opowiedziała mi o sobie. Smutna historia – szybki rozwód, dużo nienawiści, trochę przemocy. Szukała w kimś oparcia i zaufania. Ja mówiłem niewiele, w większości kłamstwa.

Była jedna sytuacja, w barze w Phuket. Noc, pot, słodkie i wstrętne drinki, rozkrzyczany rój ludzi, wszyscy naćpani seksem i emką. Pijany, nawąchany facet z Warszawy oparty o drewniany bar. Prawdopodobnie mój klient. Zaczął mnie szarpać za rękę, wołać po imieniu. Pytał, czy coś mam. Był albo przekonany, że robię tutaj to, co kiedyś w Warszawie, albo tak wycięty, że myślał, że sam jest w Betlejem, w 2015 roku. Powiedziałem mu trzy razy, że z kimś mnie pomylił, trzeci raz na granicy agresji. Klara nie rozumiała tej sytuacji, ale przyjęła, że gość jest po prostu głupi i naćpany.

Wróciliśmy w lutym. Na lotnisku w Tajlandii wszyscy nosili maseczki, sprawdzano nam temperaturę. Na lotnisku w Polsce musieliśmy wypełnić formularze lokalizacyjne. Ogarnęło mnie przeczucie, że nadciąga coś potężnego, czarny deszcz, który zmyje mnie, śledztwo w sprawie Pauliny, Warszawę, nas wszystkich.

Jakby w odpowiedzi na to przeczucie Klara zaczęła u mnie pomieszkiwać.

Żyłem z myślą, że nie znajdę zabójców siostry, chodziłem z nią jak z ciężkim plecakiem. Leżałem w łóżku, nie mogąc zasnąć. Klara spała obok, spokojnie. Klara była ludzką benzodiazepiną, mieszkała na różowej chmurce. Opuścić tym bydlakom, przestać ich szukać, skupić się na codzienności oznaczało spędzić resztę życia w dziwnym, miękkim

więzieniu. Z perspektywy tak zwanego zwykłego człowieka miałem wszystko. Tyle pieniędzy, by nie robić zbyt wiele do końca życia. Mądrą, dobrą osobę, która chciała ze mną być i która może nawet wybaczyłaby mi moją przeszłość. Jednak wejście w to na całego było dla mnie równoznaczne z czekaniem na śmierć pod dziwną narkozą, która zostawiała tyle świadomości, aby móc wykonywać podstawowe czynności fizjologiczne.

Pewnego wieczoru zapytałem Klarę, w jakiej części świata chciałyby zamieszkać na stałe. Była zdziwiona. Powtórzyłem pytanie. Wymieniła parę krajów, które pewnie wymieniliby każdy – Hiszpanię, Włochy, Kanadę.

Tego wieczoru długo się kochaliśmy. W trakcie chciałem wziąć jej rękę, przystawić sobie do klatki piersiowej. Powiedzieć: tam jest zwierzę, które na razie śpi, ale zrani cię, gdy tylko się obudzi. Zrobi to na ślepo, nawet o tobie nie pomyśli. Po prostu przedrze się przez ciebie, bo stanęłaś mu na drodze. Uciekaj, szybko.

Poranki spędzała utopiona w telefonie. Ja nie chciałem rano dusić się wiadomościami, wolałem wstać, poćwiczyć, wziąć prysznic, zrobić jej śniadanie.

Tak też jest teraz. Tylko teraz, krojąc chleb, słyszę:

– Ja cię pieprzę!

Często tak reaguje na byle głupoty, ale teraz ten głos, ta głupia fraza wciska jakiś ukryty w ciele przycisk. Nagła świadomość, że to ostatni dzień pewnego okresu. Koniec interwału. Wybudzenie z narkozy.

– Kurde, jakim trzeba być bydlakiem – znowu się odzywa, tym razem głośniej.

Przynoszę jej jedzenie do łóżka. Siedzi w nim naga, zawinięta w kołdrę.

– Zobacz. – Pokazuje mi ekran telefonu.

Kolejne ukłucie, tuż poniżej serca. Post na Instagramie. Beata, czarno-białe, ostre zdjęcie, zrobione przez fotografa. Zmęczone oczy, włosy spięte w kok. Twarz, na której widok kiedyś wybuchał we mnie granat. Na policzku blizna, brzydka, niedobrze zrośnięta, gruba kreska na pół palca.

Chowałam tę bliznę przez parę lat. Już dość. Teraz chcę, aby wszyscy ją zobaczyli. Byłam ofiarą przemocy. Napaści dokonanej przez złego, sadystycznego mężczyznę. Mężczyznę, któremu się wydawało, że coś do mnie czuje. Nic do mnie nie czuł. Chciał mieć mnie na własność, a gdy się okazało, że to niemożliwe, zareagował przemocą. Potworną, gwałtowną.

Chcę zapytać Klarę, jak to znalazła, ale pod zdjęciem jest sto tysięcy polubień.

Nie wiem, co dzieje się z tym mężczyzną, nie wiem, czy zgłoszę sprawę na policję, nie wiem, czy ma to sens. Przez parę lat myślałam, że zabrał mi wszystko, co najcenniejsze. Umiałam się tylko chować, kulić ze strachu. Teraz już wiem, że nic nie straciłam. Wiem, że nie mogę się chować. Nigdy nie będę szła sama.

Dziesiątki tysięcy komentarzy. „Niech skurwysyn zgnije w piekle”. „Kocham cię, siostrze”. „Jesteś wspaniała”. „Jesteś piękna”.

– Kurde, dziewczyna ma odwagę. Wszędzie o tym piszą – mówi Klara.

Oddaję jej telefon. Wypita na pusty żołądek kawa tańczy mi w brzuchu.

– Jakim trzeba być bydlakiem, aby pociąć kobiecie twarz? – pyta Klara. Patrzy na mnie, jest poruszona.

– Po prostu trzeba być złym człowiekiem – odpowiadam.

Dzień toczy się dalej. Idziemy na spacer. Jemy obiad na mieście. Wieczorem Klara jedzie do siebie, przygotować się do pracy. Ja zostaję w domu. Nie śpię do rana. Aby zająć czymś mózg, gram w pokera przez internet. Wygrywam niewielkie sumy. Chcę je przegrać, ale wygrywam dalej. Robię to automatycznie, bez zastanowienia.

Głos we mnie pyta: czy jej też byś to zrobił? Przystawiłbyś jej twarz do lustra? Wyciągnął nóż? Tylko dlatego, że nastraszył ją inny, silniejszy koleś? Nie, na pewno nie, odpowiadam sobie. Zostanie z nią byłoby formą pokuty, oszukiwania się, że jednak jestem „dobrym człowiekiem”. Konsekwencje tego byłyby dobre – w sensie: społecznie oklaskiwane.

Przyjeżdżalibyśmy na obiady do moich rodziców. Mielibyśmy dziecko. Jeździlibyśmy dalej na wakacje. Zarządzali zainwestowanymi pieniędzmi, kupowali nieruchomości, wynajmowa...

Stop. Nie po to tu przyleciałem. Nie po to zawróciłem do Ushuaia. Nie po to wyrzuciłem tę garść benzo do kratki ściekowej.

Mejl przychodzi o trzeciej nad ranem, tym razem bez tytułu. Nadawcą znowu jest Teresa Kulisz. W treści są współrzędne GPS. Przeklejam je do Google Maps. To miejsce, w którym zginęła moja siostra.

Ukłucia wracają, dużo mocniejsze. Narastają, by przejść w potworny ból, wrażenie zagłębiania się noża w tkanę. Zwierzę się budzi, szarpie za pręty żeber. Tunel delikatnie się rozszerza, znowu mogę się w nim wyprostować. Kręci mi się w głowie. Klara zupełnie znika, w ułamku

sekundy zapominam nawet, jak wygląda. Gdzieś w otaczającym Warszawę murze, skrzypiąc, otwierają się małe drzwi.

Wybiegam z mieszkania, wsiadam do samochodu. Nie zwracam uwagi na światła, prędkość nie spada poniżej stu sześćdziesięciu. Miasto śpi, na jezdni są jakieś pojedyncze auta. Zajeżdżam komuś drogę, ktoś na mnie trąbi. Gdy docieram na miejsce, widzę siebie z góry, niczym umierający człowiek na stole operacyjnym. Zostawiam włączone światła, wysiadam. Nikogo tu nie ma. Chodzę w kółko po łące. Zaczynam krzyczeć, wołać. Pokaż się, kimkolwiek jesteś! Pokaż się, kurwa! Jeśli to żart, to cię zabiję!

Sylwetka wydrapana na siatkówce.

To zaraz się skończy, poczekaj. Ciche szepty. Ciche śpiewy.

Poczekaj.

Dzwoni telefon.

Znowu jestem na lotnisku. Znowu jest noc. Czarna woda chlusta na mnie prosto z nieba. Ostatnie kilka lat było tylko bardzo długim snem.

– Cześć, Jacunia. Piękniśiu ty.

Miękną mi kolana, plecy eksplodują bólem. Tył głowy uderza o ziemię. Czuję, jak zatrzymuje mi się serce. Gdy rusza z powrotem, wypada ze mnie krótki krzyk, pojedyncza samogłoska. Dopiero potem biorę głęboki wdech.

– Nie mogłem już dłużej wytrzymać. Strasznie za tobą tęskniłem. Straszniutko.

To jego głos. Głośny, dźwięczny. Podwójny. Dobiega ze słuchawki i ze środka mojej głowy jednocześnie.

– Jesteś tam, co nie? Też tam byłem. Też wachałem tę ziemię. Ziemia dziwnie pachnie, i zawsze trochę inaczej.

Uczucie wielkiego zimna. Takiego, które przykręca puls, paraliżuje ciało. Bezruch. Ciało całe robi się strachem.

– Jesteś tam, bo chcę, żebyś coś zrozumiał. Ja wszystko o wszystkim wiem. Ciii. Ciiii, Jacunia. Paulinka, Bartuś, Kacperek, Jagódka. Straszne. Potworne. Zadzwońlibym wcześniej, ale wiesz. Miałem przeróżne swoje sprawy. Poważne i wesołe. Duże i małe. Dużo, pełno spraw.

Uderzam się pięścią w twarz. Ból rozlewa się po głowie. Puls znowu skacze. To nie jest sen.

– Ty nie żyjesz.

Powiedziałem to, jakbym chciał mu o tym przypomnieć. Schować dzina z powrotem do butelki.

– No o tym akurat nic nie wiem, Jacunia. To znaczy oni myślą, że mnie już nie ma. Zapomnieli o mnie, чуje nędzne jedne. Zapomnieli o mnie, tak jak zapomnieli o tobie. Smutni ludzie. Rucham ich. To znaczy nie, jeszcze nie. Ale zaraz wszyscy pójdą do worka. Kolejka będzie stała po kutasa, jak za komuny po mięso.

Wyrazy więzną mi w gardle, czuję się, jakbym właśnie obudził się w trumnie, pogrzebany żywcem.

Z oddali obserwują mnie zwierzęta. Już dawno mnie okrążyły. Odwracam się w stronę zakładu. Może on jest właśnie tam. Stoi w oknie. Obserwuje mnie.

– Było opóźnienie małe, zresztą wiesz. Mieliśmy zacząć od razu, ale trzeba było trochę poczekać. Obsuwka to drugie imię interesu. Ale nie bój się, zaczynamy niebawem. Już-już.

Kręci mi się w głowie. W ustach mam smak krwi. Próbuje go wypluć, bezskutecznie.

– No nie martw się, Jacunia. Zobacz, ile miałeś fajnych wakacji. Taką emeryturkę za młodu sobie zrobiłeś. No, ale dość bimbania, leżenia chujem do góry. Czas do roboty. Hops, hops.

Może mam uszkodzony mózg. Może on mieszka w środku. Może muszę go z siebie wyjąć.

Coś we mnie wzbiera i z wielkim trudem wydostaje się na zewnątrz.

– Zabiję cię – mówię to bezwiednie.

W odpowiedzi rechocze.

– Ona nic ci nie zrobiła. Nic nikomu nie zrobiła. Zabiję cię.

Rechocze jeszcze głośniejsze. Odrywam telefon od ucha. Próbuje usłyszeć ten śmiech w powietrzu. Pokaż się, skurwysynu.

– No zabijesz mnie, no. Ile razy chcesz, to mnie zabijesz. Słuchaj, pogadałbym dłużej, ale ty masz telefonik sklonowany tak na stówę. Psiury ci zapięły nagrywanie. Psiury, pozdrawiamy was! Odezwę się.

Słowa więzną mi w gardle. Tunel znika. Moja klatka piersiowa pęka, ostre końcówki połamanych żeber przebijają serce. Zwierzę wydostaje się na zewnątrz. A więc to tak. A więc wszystko jest jasne.

Drzwi w murze są otwarte na oścież.

– Jeszcze jedno, Jacunia. Ta dupeczka, co jej zrobiłeś kuku w buzię, ona jest wredna i chce wszystkim powiedzieć, że jesteś. Wie, co się stało z twoją siostrą, i tylko to ją powstrzymuje. Nic jej nie rób, wiesz. Dziewczyny lubią prezenty, tak ci powiem. Jacunia, trzy rzeczy są pewne.

Jedna jest taka, że chcesz mnie zobaczyć. Druga jest taka, że chcesz być niewidzialny. Trzecia jest taka, że wszystko zależy ode mnie. Widzimy się niebawem. Cierpliwości.

Siedzę na ziemi, w świetle reflektorów własnego auta. Widzę go, jak stoi w rogu pokoju i śmieje się ze mnie. Czuję się upokorzony, jak małe dziecko, któremu zrobiono straszliwy kawał.

Zanim wchodzę do środka, rzygam. Pod siedzeniem mam resztkę napoju izotonicznego, smakuje jak posolone cukierki. Płuczę nim usta, wypluwam. Siadam za kierownicą. Mam płytki oddech i bardzo szybki, nieregularny puls. Podkoszulek i bluza są całe mokre od potu. Czuję się, jakby właśnie mnie reanimowano. Mimo tego nagle wszystko zyskuje kierunek i kształt.

Zwierzę, które wydostało się ze mnie, przypomina psa. Amstaffa z domu o nazwie Betlehem. Pies ma pysk cały we krwi i jest bardzo głodny.

Pierwsza, najważniejsza decyzja: nigdy nie zadawaj sobie pytania, czy zdołasz to zrobić. Już to zrobiłeś, raz, drugi, więc zrobisz i trzeci. Wydostałeś się z domu pełnego bandytów i psów. On niczym się od nich nie różni. Nie bój się go. Jest drapieżnikiem. Wydziela truciznę, która powoduje ten strach. Ale się uodpornisz. Ma czaszkę taką jak wszyscy. W środku – taką samą galaretę mózgu.

Staram się nie myśleć o tym, że on cały czas żył, że mnie obserwował. Czekał na mnie. Staram się nie myśleć o tym, że gdybym nie poleciał do Argentyny, to...

Nie, po prostu o tym nie myślę.

Umiem nie myśleć o tym, o czym nie chcę.

Umiem się skupić. Umiem liczyć. Umiem zauważyć coś, czego nie widzą inni. Wiem, jak się poruszać w ciemności. Jak żyć pod osłoną nocy.

Moja siostra nic nikomu nie zrobiła.

Wyobrażam sobie zdziwienie w jego oczach, gdy go dorwę. Myśli, że nie jestem do tego zdolny. Dlatego się mną bawi. Nie rozumie, że sam mnie tego nauczył. Myśli, że wie, jak to jest być mną. Nie ma o tym pojęcia.

Chcesz się bawić, skurwysynu? Wspaniale. Dawaj. Niech gra muzyka. Niech żyje bal.

Gdy to się stanie, znowu wsiądę w samolot, wrócę do Ushuaia, znajdę tę weterynarke. Przywitam i pożegnám swojego psa. Kupię bilet na prom.

Życie przestanie być kłamstwem pod narkozą. Będzie domknięte tak, jak trzeba.

Odpalam silnik. Świat ma ostrość skalpela. Do domu wracam z dozwoloną prędkością. Najpierw milczę, a potem coraz głośniejsze się śmieję.

17 MARCA 2020

Czwartego marca odnotowano pierwsze w Polsce zakażenie wirusem COVID-19. Codziennie śledzę prognozy. Najlepsze są na japońskich stronach, tekst tłumaczę translatoem, chociaż tak naprawdę nie jest potrzebny. Same wykresy są bardzo czytelne, a przy tym piękne, klarowne. Fale wzrastają jak rośliny. Zamknięcie świata staje się kwestią czasu.

Dzwonię do rodziców. Chcę im pomóc. Na przykład kupić dom na wsi, wyposażyć go w zapasy na kilka miesięcy. Zatrudnić kogoś do pomocy. Odmawiają. Spokojnie proszę ich, aby przynajmniej pozwolili przelać sobie pieniądze. Matka zaczyna krzyczeć, wmawiać mi, że jestem szalony. Rozłączam się. Dzwonię do mamy Bartka, proszę ją, aby tego dopilnowała. Mówię, że na początek przeleję jej pięćdziesiąt tysięcy. Mama Bartka nie oponuje.

Pierwsze, co pomyślałem: tego nie będzie się dało wytrzymać bez narkotyków. Ci, którzy handlują, zarobią potworny hajs.

Część mnie wciąż jest przerażona, ale nie dopuszczam jej do głosu. Ta spokojna część, która doskonale wie, co robi, jest dużo silniejsza.

Wciąż strzelam na Legii. Wciąż ćwiczę. Czytam. Oddycham.

Nie odzywam się do niego. Czekam na kontakt.

Jestem pewien, że nie chce mnie zabić. Gdyby chciał, zrobiłby to dawno temu.

Klara potwornie przeżywa nasze rozstanie. Pisze do mnie długie wiadomości, których nie mam siły czytać. W końcu spotykam się z nią. Kłamię, że muszę wrócić za granicę. W prezencie kupuję jej samochód, fiata 500, z jakiegoś powodu uważam, że to auto do niej pasuje. Jest niewielkie, ładne. Ma kolor płynu do płukania tkanin. Sprawia wrażenie czegoś bezpretensjonalnie cennego. Klara kompletnie nie wie, jak zareagować. Mówię jej:

– Nie chcę, abyś miała poczucie, że straciłaś czas.

Zaczyna płakać, ale zaraz się opanowuje. Zostawiam ją bez słowa. Ludzie strasznie się krzywdzą, próbując rozgrywać takie sytuacje jak

w filmach.

Za dwa miesiące będę dla niej tylko dziwnym posmakiem, który z czasem zupełnie zniknie. Zamkniętą sprawą.

*

Parkuję auto dokładnie przed znajomą kamienicą, opłaciłem parkometr na cały dzień. Czekam. Parę razy zaczepia mnie Straż Miejska. Mówię, że wypatruję koleżanki. W sumie to prawda.

Mieszka na Starym Mokotowie, róg Różanej i Bałuckiego. Na jednym ze zdjęć na Instagramie widać było szyld teatru Guliwer.

W końcu wychodzi z domu. Jeszcze chudsza niż przed laty, ukrywa twarz za wielkimi czarnymi okularami. Jakby specjalnie dla niej zza chmur wychodzi słońce. Ma długi czerwony płaszcz; gdyby był o centymetr dłuższy, szorowałby po ziemi. Przyklejam plecy do auta. Patrzę na nią jak na zdjęcie. Wyobrażam sobie, że jest dwuwymiarowa, że wszystko, co widzę, jest ekranem.

Jej post jest wszędzie, w socialach furkocze. Bliznowiec na twarzy to jej nowa tożsamość, aureola. Makijażystki go uwypuklają, robiąc go brzydszym i czerwieńszym, fotografowie przy obróbce nakładają na niego jeszcze większy kontrast. Jest bohaterką, celebrytką, influencerką. W ciągu ostatniego miesiąca zaprosili ją do kilkunastu podcastów, w których streściła historię swojego życia. Opowiadała o sobie jako o młodej, zagubionej, wyzwolonej kobiecie w wielkim mieście, która owszem, była raniona i instrumentalnie traktowana, ale teraz obrosła mięśniami poczucia własnej wartości. Prowadzący pytali ją, czy boi się swojego oprawcy. On nie zasługuje na to, by o nim mówić, odpowiadała. To była cała zaplanowana narracja, ktoś musiał z nią nad tym pracować, jakiś dom mediowy. Celowo naprężyła tę strunę, budowała suspens. W każdym z wywiadów pojawiało się więcej detali, akcentów. Półświatek, celebryci. Narkotyki, tak, miała problem, ale teraz jest w terapii. Chciała zdradzić moją tożsamość, ale czekała na odpowiedni moment, na trzeci akt.

I oczywiście miała do tego prawo. Zrobiłem jej coś potwornego, a ona w odpowiedzi zrobiła z tym, co chciała. Powinienem się temu poddać, przyznać się, dać się publicznie zlinczować, zamknąć do więzienia.

Niestety, nie miałem na to czasu. Może kiedyś.

Jej chód jest sprężysty i lekki, może trochę mniej płynny niż parę lat temu, bardziej nerwowy. Idę za nią przez chwilę i dopiero gdy jestem tuż za jej plecami, mówię bardzo cicho:

– Beata.

Odwraca się. Ściąga okulary. Ja ściągam maseczkę. Jest zwyczajnie przerażona.

– Poczekaj – proszę ją.

Zaczyna drzeć, najpierw usta, potem dłonie, w końcu całe ciało.

– Wszystko widziałem. Wszystko rozumiem. Niczego nie chcę. Nic ci nie zrobię. Okej?

Próbuje się uspokoić. Wsadza ręce do kieszeni płaszcza. Wyjmuje je z powrotem. Na żywo jej blizna przypomina coś przyklejonego do twarzy. Gdyby chciała, na pewno mogłaby ją zoperować, uczynić mniej widoczną.

– Możemy porozmawiać też tutaj. Zobacz – pokazuję – tam są strażnicy miejscy. Jeśli się boisz, po prostu ich zawołaj.

Niepotrzebna, automatyczna reakcja ciała na ślad jej zapachu. Mięśnie i stawy wiążą się w supły, napięcie spływa między nogi, woła o ulgę. Ciężko mi się oddycha. Odwracam się. Naciągam maseczkę.

Jej oczy to obce planety koloru stali.

– Co ty mi możesz powiedzieć?

– Że cię rozumiem.

Ktoś się odwraca, na końcu ulicy. Nie, nie policjant, po prostu kolejny samotny człowiek z psem. Ona to widzi, podnosi głos.

– Że mnie rozumiesz?

– Rozumiem, w sensie: na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Sprzedałbym siebie. Wziął te pieniądze. Uciekał.

Zaczyna płakać. Ten płacz nie wynika z lęku, bezradności. Jest bronią, którą właśnie wyciągnęła z kabury. Robię dwa kroki w tył, chowam ręce do kieszeni, aby w razie czego pokazać, że nie zamierzałem jej dotknąć. Mówię jej prawdę:

– Kochałem cię.

– Za tę waszą miłość powinni was kastrować, skurwysyny.

Jest oburzona i obrzydzona. Jestem dla niej wstrętny. Nie ma w tym nic dziwnego.

Znowu jej zapach i znowu w odpowiedzi reakcja ciała. Te włosy, laskotanie na twarzy, bardzo delikatne rażenie prądem. Czasami, gdy na mnie siedziała, próbowałem łapać ich końcówki w zęby. Mówiła, że to

obrzydliwe. Ale wtedy „obrzydliwe” oznaczało dla niej zupełnie coś innego.

Migawki – stoi przed lustrem, czesze się, wklepuje krem w policzki, tuszuje rzęsy. Chciałem wtedy ją zjeść. Pochłonać, połknąć. Mieć ją ciągle w sobie. Czasami chciałem, żeby to ona wyruchała mnie. Nie miałem odwagi ją o to poprosić.

Jej łokcie wbite w mój tors.

Jej zapach – hasz, migdały, olej arganowy.

– Gdyby ktoś przeniósł mnie w czasie, zrobiłbym jeszcze raz to samo.

Zastyga.

– Co?

– To, co słyszałaś. Jestem bandytą. Wiedziałaś to od samego początku. Dokonałaś wyboru. Podobalo ci się to. A potem mnie sprzedałaś.

To nie jest prawda. To nie był do końca jej wybór. Zastraszył ją inny mężczyzna, taki sam skurwysyn jak ja. A ja pociąłem jej twarz. Jakbym licytował się z tym drugim, kto jest większym skurwielem.

Na przemian zaciska i otwiera dłonie. Na skórze widać czerwone ślady paznokci.

– Wiesz, ja tylko pociąłem ci twarz. Ktoś inny odciąłby ci cycki.

Dostaje szau, pluje, nie trafia. Uderza mnie w twarz. Pluje jeszcze raz. To przynosi ulgę, i jej, i mnie.

Odwracam się w stronę samochodu. Szybko skanuję zaparkowane obok auta. Szukam ludzi siedzących w środku. W końcu robię dwa kroki w tył, ona zatrzymuje się w miejscu.

– Nie grozę ci. Nikt ci nic nie zrobi. Po prostu zasługujesz na prawdę.

W kieszeni znajduję to, z czym tu przyjechałem. Wyciągam.

– Moje mieszkanie na Powiślu. Jest twoje, jeśli chcesz.

Nie reaguje.

– Jest warte dwa miliony, chyba. Ale jeszcze bym go nie sprzedawał. Może być różnie. To mogą być trzy miliony za rok. Albo więcej.

– O czym ty, kurwa, mówisz? – cedzi.

Wkładam jej klucze do ręki, zanim zdąży ją cofnąć.

– Nie musimy się spotykać u notariusza. Wyślę jakiegoś pełnomocnika. Zapłacę podatek od darowizny.

Patrzy na kluczyki, jakby były martwym ptakiem, którego podniosłem z ziemi i położyłem jej na dłoni.

– To jest zadośćuczynienie. Ale to jest też cena.

Znowu chce mnie opluć. Zbiera ślinę.

– Nie ujawnisz mojego nazwiska. Nie pójdziesz na policję. Nie zrobiłaś tego do tej pory nie dlatego, że usłyszałaś z mediów o mojej siostrze...

– Na pewno zginęła przez ciebie, chuju – przerywa mi.

Nie reaguję.

– Nie zrobiłaś tego, bo bałaś się, że cię znajdę i zabiję.

Kiwa głową.

– I słusznie – przyznaję.

W jednym z zaparkowanych samochodów ktoś siedzi. Czerwona kia, w środku kobieta wpatrzona w telefon.

Nie pamiętam żadnej czerwonej kii, która by za mną jechała. Ale mogłem też o tym po prostu nie myśleć.

Beata otrząsa się ze stuporu. Wyciera łzy, z powrotem zakłada okulary. Z kieszeni płaszcz wyciąga pogniecioną maseczkę. Jej włosy, ufarbowane na kolor krwi zmieszanej z czekoladą. Płaszcz. Buty. Ktoś zerwał z rzeczywistości skalp w kształcie jej sylwetki.

Odwraca się i rusza przed siebie, bez słowa, gwałtownie i szybko. Nie wyrzuca kluczy. Chowa je do kieszeni. Dobrze. Mądrze.

Dźgnięcie czymś twardym pod prawą łopatką.

Głos, tuż przy moim uchu.

– Cześć.

Kurwa mać. Naprawdę jestem tak głupi, tak nieprzytomny.

– Nie pogadaliśmy na pogrzebie, ale naprawdę najszczersze kondolencje.

– Byłeś bardzo wzruszony.

– Tak, zawsze płacę na pogrzebach.

– Twoi koledzy też tam byli.

– To nie są moi koledzy, to jakieś downy z Olsztyna. Odsunęliśmy ich, zawracali pizdę.

Idziemy powoli, on cały czas wciska mi kopyto w plecy.

Otwiera drzwi kii, wpycha mnie na tylne siedzenie. Sam siada na fotelu pasażera. Odwraca się. Jest z siebie zajebiście, ale to zajebiście zadowolony, jakby sam sobie obciągnął. Może nigdy nie chodziłem z nim do liceum, może jest po prostu podobny, myślę przez chwilę, ale on kasuje te wątpliwości. Wyciąga z kieszeni legitymację w skórzanym etui, podaje mi, abym sobie ją obejrzał. Otwieram. Centralne Biuro Śledcze. Damian Kryszak.

– Jaca, ja powiem ci, że przez długie lata zastanawiałem się, co porabiasz. Nie było jak się do ciebie odezwać. I nagle twoje akta na stoliku, zdjęcia... Zbaraniałem. Diler z Warszawy dowożący najbardziej dzianym. Gość nie do dźgnięcia, tak ostrożny, tak dobrze rozkminiający... Słuchaj, żeby nie było, ja cię nie oceniam. Ale wiesz, zobaczyłem cię w rejestrze i po prostu poczułem się, jakbym był w filmie.

– Nie jesteś w filmie.

– Jak chodziliśmy do szkoły, to byłeś dla mnie Jimem Morrisonem, Jaca.

– Aha. Ty byłeś dla mnie Ferdkiem Kiepskim.

Szczerzy się, cieszy. Ma błyszczące usta, jakby cały dzień popijał olej. Cały się błyszczy, taki jest zadowolony.

Z kolei kobieta za kierownicą ma źle ufarbowane ciemne włosy, wyskubane brwi, zmęczone i złe oczy. Nie lubi go i nie lubi tej pracy. Nie chce tu być. Ma mnie gdzieś. Jestem dla niej po prostu kolejnym idiotą na tylnym siedzeniu.

– Na Nowolipie – rozkazuje jej.

Ona przekręca kluczyk w stacyjce, samochód na początku gaśnie, jakby nie umiała prowadzić.

– Ja pierdołę, kto ci dał prawo jazdy? – pyta ją.

Nie odpowiada, ale jej oczy robią się minimalnie bardziej zmęczone. Jeszcze bardziej złe.

– Mordują nas po trochu każdego dnia, co? – Patrzę jej w oczy we wstecznym.

Nie odpowiada. Naprawdę ma mnie gdzieś. Nie mam jej tego za złe.

– Zobaczyłeś mnie w rejestrze, w którym szukałeś czego? – pytam Damiana.

– O Jezus, chuja psiego, Jacek. Zaraz zobaczysz.

– Przydzielili cię, bo mnie znałeś, czy sam się przydzieliliś, bo zobaczyłeś mnie w rejestrze?

– Co ty, kurwa, Jaworowicz jesteś? Chłopie, ty jesteś w całości rozkminiony.

– Od kiedy? – pytam.

– Odkąd wysiadłeś z samolotu.

Masz telefonik sklonowany tak na stówę.

– Więc czemu dopiero teraz?

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Inspektor wszystko ci powie. Znacie się.

Zatrzymujemy się pod pałacem Mostowskich. Nigdy nie byłem w środku stołecznej, w ogóle rzadko przyjeżdżałem na Muranów, to dziwna dzielnica, nie do końca ją rozumiałem. Znałem ludzi, którzy tu mieszkali, wynajmowali lub mieli mieszkania niedaleko Polinu. Mówili o duchach, zmorach, nawiedzeniach. O paraliżach sennych, wychudłych postaciach stojących w rogach pomieszczeń, niewidzialnych dłoniach na klatkach piersiowych. O krokach za drzwiami, jakby ktoś w kółko chodził po korytarzu w chodakach. Może sobie to wszystko wmawiali. Może historia getta, powstania, wywózek tworzyła grunt, na którym wyrosły te halucynacje. Kiedyś przywiozłem tutaj crack koleśowi, który siedział sam w mieszkaniu czwartą dobę, przy zgaszonym świetle. Chyba zostawiła go żona, nie pamiętam, w każdym razie był spanikowany, twierdził, że piętro niżej płacze dziecko. Niczego nie słyszałem. Nie chciał mi uwierzyć, błagał, abym przystawił ucho do podłogi. Tam nie mieszka żadne dziecko, tam mieszka starsza kobieta, a ja mimo to wciąż je słyszę, słyszę je od wczoraj... Był na granicy szaleństwa, błagał, aby mu pomóc. Wyszedłem stamtąd. Nigdy więcej go nie widziałem. Może powinienem zadzwonić wtedy po karetkę.

Szanowałem historię Warszawy, ale starałem się o niej nie myśleć. Odrywała od rzeczywistości, dociążała krok. Musiałem uważać na żywych, nie mogłem zawracać sobie głowy duchami.

Może w mieszkaniu poniżej rzeczywiście było jakieś dziecko. Może trzeba było spędzić tam jakiś czas, aby je usłyszeć. Wzbudzić jego zaufanie.

Przechodzimy przez pałacową bramę na wewnętrzny dziedziniec. To piękne miejsce, pokazowa centrala, żywe muzeum. Tu nie zabija się dzieci, nie razi prądem, nie napierdala pałą po nerkach. Szkoda brudzić krwią piękne elewacje. Rysować parkiet szarpiącym się człowiekiem.

Wyobrażam sobie władcę tego miejsca. Króla Polskich Psów w niebieskim futrze z gronostajami i złotą blondyną zamiast berła. Bezębny, chorobliwie opasły Papież Polskiej Policji. Królowa nie żyje, zabił ją drzwiami od lodówki, bo w środku paliło się światło. Przy brzuchu ma worek stomijny, na śniadanie pije litr taniej wódki. Miał już dwadzieścia zawałów. Śmieję się, głośno i do siebie, w odpowiedzi na mój rechot Damian usiłuje przestraszyć mnie wzrokiem.

Dziewczyna podaje mi maseczkę. Damian próbuje wziąć mnie pod rękę, z niezgrabną delikatnością, jakbym był starszą kobietą na pasach.

– Spierdalaj – mówię mu.

Komitet powitalny jest w pokoju po prawej.

Damian wprowadza mnie do środka.

– Znacie się. – Ma ogromną satysfakcję.

– Tak, znamy się.

Marek Żakowski stoi pod ścianą, z rękami splecionymi na mostku. Trzeba przyznać, że wygląda dużo lepiej niż wtedy, gdy widzieliśmy się ostatnio. Ogolił głowę, przystrzygł zarost. Nabrał mięśni. Nie jest już chorobliwie spocony, przedzawałowo czerwony na twarzy. Na pewno przestał chlać, być może też odkleił się od rulety.

Każdym, nawet najmniejszym ruchem komunikuje swoje zmartwychwstanie. To już nie jest degenerat, którego opłacają chłopaki z miasta, aby wnosili im ciekawostki z komendy. Odbił się z najniższego poziomu piekła. Brawo, Marek. Zuch typ. Mówię mu to. Nie reaguje.

Nie siadam, chociaż pokazuje mi krzesło przy długim stole. To pomieszczenie też jest nowe, ładne i świeże. Nie zasługują na nie. Powinni siedzieć w chlewie i szukać obierek w gównie.

– Marek, to ile tym razem potrzebujesz? Piętnastaka? Dwudziestaka? Możemy zrobić korektę inflacyjną.

Zamiast odpowiedzieć, obrzuca wzrokiem pozostałych. To jego sekta – grupa siedmiu, ośmiu wiernych psów. Wmawia im pewnie, że są najlepsi z najlepszych. Drze mordę, bije, potem głaszcze. Psy tresują psy. Szewc zabija szewca. Część z nich jest młoda, w tym brodaczk crossfitowiec, który siedzi w cieniu zabazgranego flipcharta z kubkiem Nescafe, oraz jeszcze jedna dziewczyna – potwornie umalowana, ale nawet ładna. Blond włosy ma splecione w warkocz zawinięty dookoła głowy. Jest ładna, bo w oczach ma coś, czego nie mają tamci. Pewną bystrość. Głębsze widzenie. Wrażenie – jest jedyną osobą w tym pokoju, której nie warto lekceważyć.

– Marek, nie mogliśmy po prostu spotkać się w Sogo przy rulecie? Pogadać sobie w zaufaniu, na osobności?

Żakowski uśmiecha się do Damiana.

– Mówiłem ci, że będzie tak gadał. – Przenosi spojrzenie na mnie. – Wszyscy wszystko wiedzą, Jacek. Nikogo tu nie zaskoczysz.

Ściągam maseczkę, w końcu wszyscy w pomieszczeniu są bez. Klaszczę w dłonie.

– Rozumiem, Marek. Odpokutowałeś. Fajnie. Żona się wyluzowała?
Odwraca wzrok. Reszta wymienia zakłopotane spojrzenia. Ale Marek pobłażliwie macha ręką.

– Widzę, lubisz odwiedzać byłe dziewczyny. Stara miłość nie rdzewieje, co?

– Mieliśmy do pogadania – odpowiadam i siadam na wolnym krześle.

Marek również siada przy stole. Blondynka z warkoczem wciąż na mnie patrzy. Ma w oczach to samo co Beata. Gniew wymieszany pół na pół z odrazą, jak koktajl benzyny ze spirytusem. Z tym że jej oczy wcale nie są zimne.

– Wiesz, że za to jest lekko pięć lat i wiesz, w jakiej celi.

– Ona mnie sprzedała. Przestań mnie, kurwa, straszyć. Czy ktoś mógłby zrobić mi kawę? Może Damian?

– Jaka, w liceum byłeś zabawniejszy.

– W liceum to ty sobie wyciąłeś dziurę w plecaku i dymałeś ją na lekcji.

Marek patrzy mi głęboko w oczy, teraz tak prawdziwie. Brzydzi się mną, jakbym się rozkładał, gdyby tylko mógł, zutylizowałby mnie. Spalił, zakopał. Może widzi we mnie swoje poprzednie życie. Może to nienawiść do samego siebie.

Wyciąga z kieszeni telefon. Coś naciska.

Ten głos potrafi złamać rzeczywistość, nawet odtworzony z urządzenia. Wszyscy w pomieszczeniu wyglądają, jakby zaciskali zęby.

– *No i super, umówieni. Słuchaj, pogadałbym dłużej, ale ty masz telefonik sklonowany tak na stowę. Psiury ci zapięły nagrywanie...*

Żakowski wyłącza telefon. Na twarzy ma coś nowego. Triumf. Zdobył złoto, strzelił decydującego gola. Podchodzi do tablicy. Uderza w nią pięścią.

– Tak, kurwa. TAK. KURWA. TAK!

Uśmiecha się do swojej sekty.

– Tak, wiem, że reaguję w ten sposób od dwóch dni. No, ale wy chyba to rozumiecie. Inaczej nie byłoby was w tym pokoju, prawda?

Brodaty bije mu brawo, i tylko on. Damian odwraca się do mnie.

– Marek jako jedyny w całym CBS twierdził przez całe lata, że Kinski dalej żyje – tłumaczy.

– Kinski – powtarzam.

– Dariusz Kinski. Urodzony w Sopocie. Pięćdziesiąt osiem lat. Gangster. Sadysta. Morderca.

– Wiem, kim on jest.

Marek prosi jednego z psów, aby zrobił kawę. Schodzi z niego napięcie. Odpręża się jak ktoś, kto właśnie zrealizował ważny punkt planu.

– Pod koniec dwa tysiące czternastego pojawia się w Warszawie. Zaczyna srać w interes Fukajowi. Zabija jego bratanka. Zabija jego kaprała, Stryjkowskiego.

Stryj. Piwnica. Głowa, która wybuchła jak balon. Na sekundę zamykam oczy.

– W tym czasie poznaje ciebie.

– Zakochuje się w tobie. Chyba tak trzeba to nazwać.

To ta umalowana policjantka. Odwracam się w jej stronę. Ma ładny głos, lekko zachrypnięty, mocno zmęczony. Prawdziwy. Dlatego nie można jej lekceważyć. W przeciwieństwie do pozostałych jest nie tylko psem. Jest też człowiekiem.

– Masz na imię...

– Ewelina.

– I skąd to wiesz, Ewelina? Czytasz uczucia? Wierzysz w horoskopy? Widzisz aury?

Ewelina nawet chciałaby mi odpowiedzieć, ale nie, to jednoosobowe przedstawienie jej zmartwychwstałego szefa. Marek mówi dalej, siedząc, choć najchętniej by sobie potańczył.

– Mój poprzednik patrzył na niego, ale go nie widział. Wtedy, w dwa tysiące czternastym. Myślał, że do miasta przyjechał kolejny stary gangus, taki jak te wszystkie kondony z Pruszkowa czy Mokotowa. Najpierw spróbuje coś pokręcić na ulicy, ale zaraz będzie pisał książki o tym, jak balował ze Słowikiem, otworzy sobie siłownię, pokręci afery na YouTube. Albo założy kominiarkę i poudaje koronnego. Jest taki jak reszta, tylko trochę bardziej zwyrodniały, do tego śmiesznie gada. Skąd wiemy, co o tobie myślał? No były jakieś zeznania, jakiś telefon był podsłuchany. Po zabójstwie Stryja okazuje się, że gość nie żyje. Pojawił się, zaraz zniknął, tyle. Krótka historia z prostym wytłumaczeniem: Fukaj i reszta się wkurwili. Nikt nawet nie otwiera dochodzenia. Był gangus, nie ma gangusa, podziękować Bogu. Ale mija parę lat. I zaczynają się dziwne rzeczy.

– Jakie?

– Przecież wiesz jakie. Musiałeś to śledzić. Brutalne gówno, jak mawia młodzież. Egzekucje jak w latach dziewięćdziesiątych. Ślady tortur. Kwasy,

żyłетки, prąd. Leci większość starych gangusów, a na końcu Fukaj. Ugotowany żywcem, kurwa, straszna sprawa. Ciężko mi od tamtej pory na saunę chodzić. Oczywiście natura nie znosi próżni. Czeczeńcy, Wietnamczycy wchodzą z impetem w każde wolne miejsce. Zresztą wiesz, jak to wygląda. Chodziłeś po mieście. My też chodziliśmy. Nikt nic nie wie. Ale wszyscy są przerażeni, uwierz mi.

Nachyla się do mnie. Patrzy mi w oczy. Nie przerywam mu.

– Wiem o nim wszystko – ciągnie. – Mogę ci streścić całe jego dzieciństwo. Gdzie garował i ile. Widzę go. Jestem psem. I jako pies mówię każdemu, i powiem też tobie: tego człowieka trzeba wykroić ze społeczeństwa. Nie tyle ukarać, ile zlikwidować. Ze wszystkich ludzi, którzy w tym kraju zajmowali się bandyterką, to najniebezpieczniejszy, najbardziej szalony skurwysyn. Nikt nie ma do niego podjazdu. Wszyscy inni chcieli robić jakieś interesy. On nie chce robić żadnego interesu.

– Tylko co? – pytam.

– Spalić ten kraj, w pizdu. Taka faza, tyle, chuj, cześć. Wiesz, ty jesteś gnida, ale masz jakieś zasady...

– No nie wiem, czy pan Nitecki ma zasady. Za to, co zrobił tej dziewczynie, powinni go cwelić do końca życia. – Znów Ewelina.

Żakowski nie patrzy na nią. Ma oczy wygłodniałego psa utrzymanego w klatce, któremu postawiono cel tuż przed nosem. Ta wściekłość trzyma go w pionie. Ale widać, że gdyby ją z niego wyjąć, sflaczałby w sekundę, ściekłby po krześle, zamienił się w kałużę stopionego ciała.

– Spalić ten kraj. No nieźle. – Parskam śmiechem. Ten śmiech jest sztuczny, i on to widzi.

Wysłany po kawę pies wraca z tacką pełną szklanek. Kładzie ją na stole. Takie ładne wnętrza, a oni dalej piją plujkę z brązowego arcorocu. Trudno, biorę jedną bez pytania. Upijam łyk. Marek odchyła się na krześle. Znowu się odpręża. Funkcjonuje w kilkuminutowych interwałach: wściekłość – spokój, gniew – luz.

– Wiesz, skąd wiedzieliśmy, że odezwie się do ciebie, jak wrócisz do Polski? – pyta.

– Bo macie nagranie, że mówi komuś, że się we mnie zakochał. Słuchajcie, wy budujecie dom z waty. Dajcie mi święty spokój. Nic nie wiem. Jestem w Polsce, bo zmarła moja siostra...

– No właśnie – przerywa mi. – Zmarła twoja siostra. To znaczy: zmarła. Twojej siostrze strzelono w twarz.

Wstaje z krzesła. Na krótki moment coś znika z jego oczu, robią się puste i szklane.

Myśli to iskry z płonącego mózgu. Próbują znaleźć ujście w ciele, uciec przez ręce i nogi; zmuszam się, aby nerwowo nie tupać, nie obgryzać paznokci, nie zamiatać ze stołu niewidzialnych okruchów. Nic tak nie wyczerpuje jak udawanie spokojnego.

– Jest na ciebie gotowy. Wie, że zamierzasz go zabić. Chce cię zjeść. A ja chcę ci pomóc nie zostać zjedzonym, bo to straszna śmierć. Co więcej, chcę ci pomóc nie pójść na piętnaście lat do puchy.

Jeszcze łyk kawy. Smakuje jak błoto z gównem i cukrem. Odwracam się do Eweliny. Mrugam do niej okiem. Robi się wściekła, napina się, jakby chciała wstać i dać mi w twarz.

– Co dokładnie masz na myśli, mówiąc, że chce spalić kraj? – pytam Marka.

– W dziewięćdziesiątym pierwszym powiedział psychologowi więziennemu, że jest Stalinem.

– No i co z tego?

– To z tego, że w tym samym więzieniu zmusił głównego gita do samobójstwa. Facet zrobił sobie tak zwanego cesarza, obrysował całe ciało żyłką. Normalnie to się robi płytko, ale Dario zmusił go, aby wbił żyłkę głębiej. Na centymetr, dwa. Gość wykrwawił się na śmierć. Dario siedział i się śmiał. A potem zapytał tego psychologa, czy w końcu go rozumie.

– Ale co planuje teraz?

– Na razie wiem, że żyje, bo wjechałem się na twój telefon.

Damian patrzy na mnie i się szczerzy. Tak, wjebaliśmy się na twój telefon, bo jak kretyn dałeś mi swój numer.

– Wiesz, że to on. Wiesz, że zrobił to, żeby cię ściągnąć. Chłopie, on ci to obiecał! Wtedy też miałeś ucho na telefonie, a co ty myślisz?

Nie odpowiadam. Znów napinam mięśnie, aby nie ruszać rękami i nogami.

– Więc chyba chcemy tego samego – kończy.

– Nie sądzę.

Przygląda mi się badawczo. Jest bystry, ale wydaje mu się, że jest najbystrzejszy. I dlatego jest durniem.

– Nie rób głupot. Nie poradzisz sobie sam.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie zrobisz tego sam. To niemożliwe.

Kręci głową, zniecierpliwiony.

– Przestań się wydurniać. Pójdiesz do niego i mu powiesz, że też go kochasz. Będiesz lizał mu dupę i robił lachę. I będziesz nam wszystko mówił. Wszystko, Jacek. Będziesz grzeczny jak młoda kurwa. A my go dojedziemy. Nie ma innego scenariusza.

Nie reagują, gdy wstaję.

Nie reagują, gdy biorę ten ohydny arcoroc i rzucam nim o ścianę, a tuż za plecami Marka wykwita brązowa plama.

Marek mówi tylko:

– Uważaj.

Podchodzi do mnie. Staje blisko, na odległość linijki. Chcę zrobić krok w lewo, ale daje mi znak ciałem, że nigdzie mnie nie przepuści.

– Wszystko. Gdzie jest. Co robi. Ilu ma ludzi. Bo ich ma, to wiem. Bo chce zrobić coś, na co czekał od lat.

Siadam z powrotem. Znowu ten dławiący strach. Zatrzaśnięcie w podwójnej pięści. Złość, wielka, którą trzeba jak najszybciej połknąć, bo jest niemądra, jest stratą energii.

Oddech, powtarzam sobie w myślach. Jak najwolniejszy, jak najgłębszy.

– No dobrze. Założmy, że to się uda. Że rzeczywiście jesteście ekipą jak z filmu. Ja wam pomagam. Wy robicie obławę. Łapiecie go, skuwacie. Jesteście szybsi, mądrzejsi, lepiej uzbrojeni. I co z tego? On wyskakuje za piętnastaka za dobre sprawowanie.

Nie powinienem z nim rozmawiać, ale nie mam wyjścia. Nie wiem, jak udawać, że je mam. Pochowano mnie żywcem, w dwóch trumnach jednocześnie. Na świeżo uklepanej ziemi leży wściekły pies. Słyszę jego oddech. Jest bardzo zmęczony. Krew schnie mu na pysku.

– Osobiście dopilnuję, żeby zdechł w wuzetce, obiecuję ci to. – Żakowski nie ucieka wzrokiem, patrzy mi prosto w oczy.

– A jeśli powiem, żebyś się pierdolił?

– To pójdziesz siedzieć.

– Trudno.

– No nie wiem, czy tak trudno, Jacek. Ty jesteś z tych, którzy prędzej wskoczą na sznur, niż pójdą leżeć. No ale nawet jeśli jesteś wielki git, to i tak są ludzie, na których wciąż ci zależy, prawda?

Wdech – raz, dwa, trzy, cztery; wydech – raz, dwa, trzy, cztery; wdech.

– Na przykład Marta. Pazińska, tak? Kurczę, można jej narobić mnóstwo przykrości. Półlegalny dom dziecka dla małych peda...

– Przestań – przerywam mu. – Przestań, kurwa.

Przypominam sobie, po co właściwie tu jestem. Wyobrażam to sobie jako kroplę ciepłego kleju. Ta kropla rozszerza się, rośnie. Wypełnia mi serce.

– Nie słuchasz mojego telefonu. Nie dzwonisz do mnie. To ja dzwonię do ciebie – wypowiadam te słowa powoli, pomimo uczucia, jakby ktoś zgasił mi papierosa wewnątrz krtani.

Żakowski nie reaguje.

– Będę potrzebował broni.

– Myślę, że on da ci broń.

– Jeśli mi da, to w każdej chwili może mi ją zabrać.

Marek patrzy na Ewelinę, patrzy na Damiana, patrzy na pozostałych. Jego milczenie oznacza aprobatę.

– I najważniejsze – kończę. – Nic, co mówię, nie idzie na papier.

Energicznie kręci głową.

– Nie, nie, kurwa. To tak nie działa. Audiobooki to ja mam w aucie, lepsi aktorzy czytają niż ty.

– Nic nie idzie na papier – powtarzam. – Nikt mnie nie nagrywa. Nie ma opcji, nie będę się skazywał, szedł do sądu w kominiarce, udawał do końca życia nauczyciela w Ostrołęce, czy co tam sobie wymyślicie. Mam swoje pieniądze. Kończy się akcja, wylatuję stąd. Odpierdalacie się ode mnie.

– Musimy mieć podstawę do działań.

– To sobie ją wymyślicie.

Porcja kleju jest teraz wielkości pięści. W wyobraźni zawieszam ją na sercu jak bombkę. Są w niej spokój i klarowność. Tunel jest szeroki. Wstaję z krzesła. Nikt mnie nie zatrzymuje. Zakładam maseczkę. Naciskam klamkę.

– Nie wiem, czy się dogadaliśmy – mówi Marek.

– Chcesz się z kimś dogadać, to kup sobie psa.

Jestem już jedną nogą na korytarzu, ale głos Eweliny zatrzymuje mnie w drzwiach:

– Ej. Stój.

Patrzy na mnie, uśmiecha się. Wyjmuje z kieszeni gumy do żucia, wrzuca jedną do ust. Są owocowe, różowe. Na opakowaniu uśmiecha się wesoły stworek. Dorośli ludzie raczej nie lubią takich gum.

– Nie szanuję cię, delikatnie mówiąc. I nie podoba mi się to, co tu robimy. Chciałabym, żebyś siedział. Ale wiem, że cierpisz – stwierdza.

– A ja wiem, że masz dzieci. – Pokazuję palcem na paczkę gum.

Zanim cokolwiek odpowie, zamykam za sobą drzwi.

Idąc korytarzem, pozwalam ciepłemu klejowi rozpląnąć się po ciebie, wypełnić je od środka.

Zaraz po wyjściu z pałacu zaczynam szczekać. Wiem, że Kolega mnie słyszy, nawet w Ushuaia. Wiem, że mi odpowiada.

20 KWIETNIA 2020

Greps na wycieracze. Zgnieciony śmieć, chusteczka higieniczna. Po rozprostowaniu – kolejne współrzędne GPS, nabazgrane kulfontastym pismem, jakby ktoś specjalnie pisał lewą ręką.

Wpisuję je w telefon. Rembertów. Środek osiedla. Bloki, Żabka, Biedronka. Miejsce, które zupełnie nic mi nie mówi.

Pistolet, który dostałem, mały, zgrabny, oliwkowego koloru, to Glock Coyote. Przypomina gadżet, dodatek do jakichś limitowanych sneakersów. Amunicja przychodzi osobno, w kartonowym pudełku. Wysłali mi to na paczkomat, przebrane za przesyłkę z Allegro, obwiązane folią i taśmą. Brawurowo z ich strony, no ale w końcu to oni są policją.

Nie mam kabury, więc w aucie wkładam broń do skrytki.

Droga na miejsce trwa jakieś dziesięć minut.

Na końcu ulicy czteropiętrowe bloki w kolorze herbaty z mlekiem. W blokach jakieś dziwne, ludzkie życie, docusoap z Polsatu dwa cztery na siedem. Pomiędzy blokami odrapany betonowy pawilon. Pełno drobnych śmieci na trawniku, mandala usypana z petów, małpek, puszek po energetykach. Generująca cały ten syf Żabka. Parking z jedynym wolnym miejscem, jakby specjalnie dla mnie, jakby to wszystko było symulacją.

Zatrzymuję auto. Słucham, jak byczy powietrze. Jak iskrzy w nim niewidoczny prąd.

Wysiadam.

Widzę go od razu. Jest ostrzejszy, wyraźniejszy.

Ma inną rozdzielczość niż wszystko dookoła. Jest nie z tego świata.

Schował się w zmierzchu, oparł o ścianę pawilonu. Uśmiecha się szeroko. Dookoła przepływa zupełnie obojętny na niego świat, ludzie w maseczkach, ludzie z psami, człapią dookoła pawilonu, a on stoi i bawi się w najlepsze. Nikt nie zwraca na niego uwagi, bo na pierwszy rzut oka

wcale go nie widać. W starej skórzanej kurtce wygląda jak cierp na fajrancie, jakby spędzał pod tym pawilonem wszystkie popołudnia, brakuje mu tylko puszki harnasia w ręku. Też ma maseczkę, z czerwoną krechą ułożoną w kształt uśmiechu.

Idę w jego stronę. Pistolet wciska mi się w ciało. Wyciągam go i strzelam, trafiam prosto w głowę.

Nie. Nie robię tego.

Za to on zauważa, że mam broń.

– Wziąłeś kopyto, Jacuś. To dobrze. Rozsądny chłopak.

Rusza w moim kierunku i zanim zdążę cokolwiek zrobić, przyciąga mnie do siebie, przyciska. Bierze głęboki wdech, wacha moją szyję, jak wacha się szyję kochanka. Sam śmierdzi, potem i czymś jeszcze, gryzącym, chemicznym. Może dba o higienę, kąpiąc się w veloksie, a może lubi się czuć wypalany, wyżerany, poparzony.

Myślałem, że przyjdzie z dwoma, trzema ludźmi.

Ale jego ludzi jest kilkunastu.

Wychodzą zza drzew, z aut, wynurzają się z powietrza.

Stają w pewnej odległości, otaczają nas szczelnym pierścieniem. Jeśli zechcę się wyrwać, uciec, zastrzelą mnie albo przynajmniej złapią w ułamku sekundy.

Rośli kolesie, w dresach, niektórzy w wojskowych spodniach. Nabici, silni. Wysocy. Wschodnia uroda, czarny zarost. Gotowi do strzału.

W końcu się wyszarpuję z uścisku, odpycham go, on pozwala sobie to zrobić; jego ludzie reagują, słyszę ruch, przyśpieszone oddechy. Ale on zatacza się niczym pijany i śmieje się dalej.

– Jacuś! Ten chłop, co nie, ten, którego spalił Piotrek. Powiem ci coś. Wyrwaliśmy mu wszystkie zęby, co nie. Niektóre musiał połknąć. Niedobra szamka. – Ściąga maseczkę, unosi twarz do nieba, gwałtownie połyka powietrze, jakby je pił. – Potem pojechaliśmy do jego żony. Ona się tak nazywała jak w tych mejlach.

Wygląda młodziej, niż kiedy widziałem go po raz ostatni. Wtedy wyskoczył z puchy, a pucha niszczy ludzi, zabiera im zdrowie, serce i zęby, postarza o dekady. Nie nosi już okularów. Może zamienił je na soczewki, może miał operację. Jego oczy są przez to wyraźniejsze. Czarne jeziora, które widziałem w nich wtedy – jeszcze głębsze.

Opił się krwi, ale wciąż jest bardzo głodny.

– Mamy do pogadania i nadrobienia.

Na jedno pstryknięcie palcami jego ludzie wracają, skąd przyszli.

– Dobrze, dobrze cię widzieć. Myślącą mordkę zobaczyć. Kogoś, komu nie trzeba walić łbem o inny łeb, żeby zakumał. Duszę bliską.

– Duszę bliską. – Obracam tę zbitkę w ustach. Wyrazy gryzą się ze sobą, kaleczą nawzajem. Albo to on, wypowiadając je, trwale je zepsuł.

Spogląda na miejsce, gdzie trzymam broń. A potem patrzy mi w oczy. Głęboko, w ciemności, przy samym dnie jezior pływają ryby, które jedzą ludzkie mięso.

– Skoro pięć lat udawałeś, że nie żyjesz, to dlaczego teraz jak gdyby nigdy nic stoisz sobie pod sklepem?

– A co, Jacuś, trup nie może sobie iść do sklepu? To jakaś dyskryminacja jest trupów? Myśmy kiedyś zabrali trupa do sklepu, w dziewięćdziesiątym którymś. Facet miał sieć sklepów, nie chciał pieniążków płacić. I wzięliśmy go, kurwa, na zakupy. Już takiego zepsutego trochę, co nie. Żeby zrobił zakupy w swoim własnym sklepie.

Usta robią mi się suche. Powietrze smakuje jak stal. Zmierzch zawsze spłaszcza kolory i kontury, ale nie tym razem; jego obecność sprawia, że wszystko nabiera specyficznej, lśniącej ostrości.

Dario szczyrzy zęby. Jedna dwójka jest srebrna i spiłowana. To wygląda jak żart. Cały wygląda jak żart. Niewyczerpany żart. Wieczny wic.

Strach, który czuję, patrząc na niego, jest poza kontrolą.

On emituje coś, co go wzbudza.

Nie myśl o tym.

– Ej, a ja mam pomysł, Jacuś. Strzel do mnie teraz.

Próbuję uspokoić serce. Wmówić sobie, że to łomotanie jest niepotrzebne.

– Myślisz, że ci zabiłem siostrę. No dobra, to dawaj. Strzel do mnie.

Ona nic mu nie zrobiła. Jemu ani nikomu innemu.

Kłóćą się. Ale się kochają. Są zmęczeni. Długo lecieli. Dzieci dały im w kość. Marzą o prysznicu, łóżku. Cichym dotyku przed snem.

– Weź to kopyto. Dawaj. Nie zrobisz tego. Wiesz dlaczego? Powiem ci.

Podchodzi do jednego z zaparkowanych aut, czarnego range rovera. Otwiera drzwi, siada za kierownicą. Naciska klakson, patrząc na mnie przez szybę. Ogromny, czarny balon hałasu, który potrafi rozdać się do rozmiarów planety, wypełnia okolicę. Ludzie zatrzymują się, rozglądają. Facet, który jechał rowerem po chodniku. Dzieciak na hulajnodze. Dwie babcie z siatami.

On trzyma rękę na klaksonie i wrzeszczy.

Obchodzę samochód, otwieram drzwi, siadam po stronie pasażera. Dopiero wtedy puszcza klakson i milknie.

Gdy zamykam drzwi, uderza mnie w udo otwartą dłonią, jakby właśnie opowiedział świetny dowcip.

Wyjeżdża, i od razu pojawiają się za nami auta jego ludzi. Układają się w łańcuch, w sznur szcurów.

– Miałeś kiedyś kota, Jacuś? Na pewno miałeś. Każdy miał kiedyś kota.

Włącza radio, piosenka eksploduje w samochodzie.

Miłowania głodni jak wilcy.

Nauczmy się w tym kraju od pierwszego dnia

słów, którymi mówią tubylcy ⁸.

Znam ten numer. Mama opowiadała, że tańczyli przy nim z ojcem na pierwszej randce. Uśmiechała się do siebie, gdy o tym opowiadała. Jak nigdy.

– Alicja Majewska. Wiesz, że ona wciąż żyje? Babulcia z niej taka-taka. To znaczy babulcia. Ledwo dychę starsza ode mnie. Teraz sam jestem dziadkiem, Jacuś. Ale w sumie to ona mogłaby być moją mamunią. Dziesięcioletnia mamunia. Chciałbym o nią zadbać, wiesz? O różnych ludzi chciałbym zadbać, Jacuś. O ciebie też.

Gdy ostatni raz siedziałem z nim w samochodzie, przejeżdżał setką na czerwonym. Teraz jedzie powoli, rozgląda się, patrzy w lusterka. Próbuje być niewidzialny, o ile można być niewidzialnym w czarnym range roverze. Gdy widzi za sobą swojego człowieka, uspokaja się. Kolejne czarne auto, audi quattro. Chłopak za kierownicą macha mu ręką.

– Jacuś, kot, co nie, robi kupę. Wszystko robi kupę i kot też. I w kupie kota jest toksoplazmoza. Ty wiesz, że to kobietom w ciąży szkodzi. Ale to robi coś innego. Jak mysz powącha trochę takiej kupy, to wiesz, co się dzieje?

Zaraz: miałeś nigdy nie wątpić, czy możesz go zabić. Po prostu miałeś zrobić to przy pierwszej okazji.

Strzelić mu w głowę. Chwycić kierownicę. Zawrócić. Otworzyć drzwi, wypchnąć ciało z auta. Jechać. Zgubić ich. Przynajmniej spróbować. To wszystko jest do zrobienia.

Wyjeżdżamy z Rembertowa, zbliżamy się do Wisły.

– Nie jedziemy do twojego domu – zauważam.

– Tamtego domku? Po babci? Ja już go nie mam, Jacuś. Psiury o nim wiedzą. Trudno. To fajny domek był. Paskudny skurwysyn z zewnątrz, ale w środku przytulny. No i wiesz, co się dzieje, jak mysz zje trochę kociej kupy? Zaczyna kota kochać, co nie. Zaczyna go kochać i idzie w jego stronę, tak go kocha. A kot ją sobie zjada.

Wyciąga z kieszeni paczkę papierosów, wkłada jednego do gęby, zapala. Gryzący, chemiczny zapach cynamonowego aromatu. Teraz jest cały, kompletny.

– Mówię ci, Jacunia, to jest niesamowite, te zwierzątka. Jakbyś się zagłębił w dżunglę, głęboko, głęboko, jakbyś tam tak naprawdę wlaźł, to znalazłbyś jakieś najgorsze szkaradztwo. I to szkaradztwo, co nie, co by miało tysiąc zębów i trzydzieści par oczu, i flaki na wierzchu, by cię żarło i trawiło żywcem. A ty byś je kochał. Kochał je najmocniej. Myślałbyś, że jest najpiękniejsze.

Przejeżdżamy przez Radość, Józefów. Dario szczerzy się do mijanych miejsc. Macha ludziom. Czasami macha nawet, gdy nikogo nie ma.

Patrzy na mnie, gdy zatrzymujemy się na światłach. Uśmiecha się.

– Pamiętam, co ci tam wtedy gadałem. Po prostu bawiłem się tobą, Jacuś. Się bawię ludźmi jak zabawkami. Sklejam ich jak modele.

Wyciągam pistolet i odbezpieczam, zanim powie jeszcze cokolwiek. Ale broń jest dla niego przezroczysta. Jakbym zawiesił w powietrzu pustą dłoń, skrzywioną pod dziwnym kątem.

Wciskam mu lufę w twarz. On w odpowiedzi rechocze.

– Oj, ty Jacusiu ty.

Trzymam palec na spuście. Wystarczy chwila. Jeśli masz trafić, odgłos strzału musi cię zaskoczyć. Zawsze jest trochę wcześniej albo później, niż ci się wydaje. Czekam na to zaskoczenie. On przyśpiesza. Osiemdziesiąt. Dziewięćdziesiąt.

– Jacusiu, ty mnie kochasz, tak jak ja kocham ciebie. Zjadłeś moją kupę. Kochasz mnie bardzo. Nie strzelisz.

Sto. Sto dziesięć. Hamuje z piskiem, skręca o dziewięćdziesiąt stopni, ktoś za nami trąbi, długo i przeciągle. Już nie jest niewidzialny. Ja też nie jestem. Chwyta broń za lufę, wrywa mi ją, wali mnie pięścią w bok głowy, jeszcze raz, i jeszcze. Ból, tępy, dłoń na głowie, uderza moją czaszką o deskę. Słony, metalowy smak. Ciepły płyn w ustach.

– Dosyć tych głupich głupstw.

Ktoś za nami dalej trąbi. On bierze moją broń w dwa palce, za rękojeść, oddaje mi ją i wysiada. Wszystko na niego patrzy – drzewa, niebo, powietrze.

Podchodzi do auta, za kółkiem siedzi kobieta. Dario otwiera drzwi, chwyta ją za głowę, wali nią o kierownicę, po czym podnosi za włosy. Widzę, jak jej twarz spływa krwią. Mężczyzna na siedzeniu pasażera coś wrzeszczy, wypada na zewnątrz. Obserwuję tylko ruch jego ust, od uderzenia mam pisk w uszach. Pisk i wrzask syreny.

Obracam w palcach pistolet. Po prostu mi go oddał, włożył z powrotem w dłoń.

Mężczyzna to młody chłopak, po dwudziestce. Standardowa fryzura od barbera, zadbana broda, smukła, szczupła sylwetka. To zwykły człowiek, po prostu. Ale już nie będzie zwykły. Jego zwykłość kończy się właśnie w tym momencie. Dario uderza go pięścią w nos. Nos pęka. Chlusta z niego krew. Dario rzuca mężczyznę na maskę jak kukłę, na deser kopie w drzwi. Wraca do auta, dysząc jak zwierzę, które długo biegło. Kładzie sobie dłoń na sercu. Po chwili wycofuje, skręca, rusza.

– Dosyć głupich głupstw, Jacuś – powtarza.

Wyciąga ze schowka chusteczki i podaje mi jedną, abym wytarł sobie twarz. Pękło mi naczynko w łuku brwiowym.

– Myślisz, że umiesz zabijać. Ale ja ci wtedy po prostu pozwoliłem. Tam, w Argentynie, też ci pozwoliłem.

Jestem w całości strachem. Jestem ścianą ze stali. Moje płuca są nieruchome. Powietrze bije o nie, bez skutku.

Przecinamy Otwock, senny i pusty, wjeżdżamy w leśną drogę. Po obu jej stronach schowane w roślinności domy. Schrony, bezpieczne miejsca. W środku ludzie, którym się wydaje, że nikt ich nie znajdzie. Wyjeżdżają na zewnątrz w swoich wielkich samochodach, gotowi na konfrontację z każdym możliwym złem.

Droga przez las, wyłożona starymi, popękаныmi płytami chodnikowymi, prowadzi do pokrytego sprayem przedwojennego pustostanu. Naciskam łuk brwiowy, aby krew nie leciała mi do oka. Półokrągłe okna bez szyb. Zapadnięty dach. Ściany zabazgrane idiotyzmami.

Dario zatrzymuje samochód. Wysiada, zatrząskuje drzwi. Auta, które jechały za nami, parkują jedno obok drugiego. Mężczyźni wychodzą. Wszyscy są uzbrojeni.

– Janóweczka. Piękne miejsce. Tu leczyli Żydów, wiesz? Leczyli tu Żydów na głowę. – Dario kieruje palec w stronę czarnego wejścia.

Teraz pamiętam. Opuszczony szpital psychiatryczny. Ci sami ludzie, którzy opowiadali o duchach na Muranowie, opowiadali też o tym miejscu. W 1942 Niemcy rozstrzelali cały personel, a potem chcieli tu produkować idealne genetycznie dzieci, krzyżować ze sobą ludzi. Nie wiadomo, czy zaczęli. Ktoś opowiadał o zezwierzęconym człowieku, który żyje w Puszczy Mazowieckiej. Ktoś inny – o dobiegających stamtąd w nocy wrzaskach.

Dario też zna te historie.

– Likwidacja życia niewartego życia, Jacuś. To właśnie tu robili. Sprzątali. Przynajmniej tak myśleli. – Ogląda budynek jak swoją posiadłość. Jest z siebie dumny. W swojej wyobraźni dorobił się tego miejsca. – Wiesz, jakie życie jest niewarte życia? Ja ci powiem. Życie tych, którzy przeszkadzają. Zabraniają. Naliczają. Stawiają przed nami zasieki, tak żeby nic nam się nie udało. Jebać ich, Jacuś. Jebać ich drutem kolczastym. Jebać ich bez miłości.

Zapala papierosa i cmoka, uderzając językiem o podniebienie. Na ten sygnał z budynku wyłania się kilku mężczyzn, w spodniach moro i wysokich, sznurowanych butach. Są uzbrojeni w półautomatyczne karabinki. To nie jest jakiś gang, to nie banda chamów naliczająca kurwy i przerzucająca mefedron.

To wojsko.

Kilku, i jeszcze kilku, i jeszcze.

Razem jest ich kilkudziesięciu. Niektórzy salutują Dariowi.

– Gdzie jest Karaś? – pyta Dario wysokiego, bardzo młodego chłopaka o czujnym spojrzeniu.

Nie wiem, kto to Karaś. Chłopak odpowiada coś po rosyjsku.

Parter budynku to zwykła ruina, pod stopami chrzęszczą śmieci i szkło. Na ścianach – jeszcze więcej kretyńskich napisów. Tak powinien wyglądać pałac Mostowskich, przebiega mi przez głowę. Zatrzymujemy się przed ciężkimi metalowymi drzwiami, ewidentnie wstawionymi w dziurę powstałą po wysadzeniu fragmentu ściany. Jeden z żołnierzy Daria otwiera je szarpnięciem, wkłada w to mnóstwo siły. Potworny zgrzyt rozdziera powietrze na pół. Po drugiej stronie widać schody prowadzące w dół, w czerni. W tej czerni coś terkocze, jednostajnie i tępo, wprawiając podłogę w lekkie drżenie.

Dario pokazuje na mnie jednemu ze swoich ludzi.

– Napraw go – rzuca.

Facet to potężny, dwumetrowy bydlak. Sięgająca niemalże splotu słonecznego broda upodabnia go do górala terrorysty z Kaukazu. Gość wyciąga z torebki przewieszanej przez ramię wodę utlenioną i plaster do zamykania ran. Nagłe pieczenie, mimowolnie syczę, odruchowo zaciskam mięśnie.

Facet gada do mnie coś po rosyjsku, nie rozumiem co.

– Mówi, żebyś nie zamykał oczu, Jacula – tłumaczy Dario. – Bo będzie boleć bardziej.

Jego ciało i rozmiar łap w ogóle nie wskazują na delikatność, z jaką przykleja mi plaster. Ale taki człowiek musi być precyzyjny i uważny. Gdy rozplątuje cienkie żyłki kabli. Gdy celuje z karabinu snajperskiego.

Schodzimy w mrok. Po paru krokach zatrzymuję się, nie widzę zupełnie nic. Ciało spina lęk, zabrania mi choćby się ruszyć. Furkot schowanej w ciemności maszyny jest coraz głośniejszy. Dario zapala światło.

Ściany olbrzymiej piwnicy są obite styropianem i pokryte pianką akustyczną. Po podłodze i suficie biegną żyły kabli. Idziemy powoli. Dario przeciąga dłonią po ścianie, jakby ją głaskał. Gdy wchodzimy do kolejnego pomieszczenia, a on zaczyna mówić, słysząc pogłos.

Nie jestem pewien, czy nie wariują mi oczy, ale coś świeci w ciemności własnym bladozielonym światłem. Fluorescencyjna chmura, zawieszona w powietrzu na wysokości mniej więcej metra. Powidok. Duch.

Zanim zapytam, co to właściwie jest, światło jarzeniówek eksploduje, wbija się w oczy bolesnymi igłami. Na początku widzę metalowe półki pod ścianą. Wiadra, chemikalia. I źródło nieprzerwanego buczenia – generator prądu.

– Tu robili te eksperymenty, Jacuś. Potrzebowali dużo miejsca na tych Żydków i te ich choroby dziwne.

Pośrodku jest ogromny metalowy stół, na którym piętrzą się kartony, elektroniczne wagi, bryły białego proszku zapakowane w folię. I stosy jasnozielonych kapsulek. To one są duchem, powidokiem. To one świecą w ciemności.

Znikąd pojawia się jeszcze jeden, dość młody facet. W ogóle tu nie pasuje. Ma dzinsy, sweter z sieciówki, okulary w drucianych oprawkach. Na widok Daria lekko zastyga. Ten do niego podchodzi, obejmuje go ramieniem.

– To jest Patryś, nasz mały geniusz. Patryś, powiedz Jackowi o tym całym pięknie.

Robię parę kroków w stronę stołu. Znowu otaczają mnie pierścieniem. Patryś bierze jedną z kapsułek do ręki.

– Nazwaliśmy je świetliki – mówi głosem młodego chłopca.

– Patryś jest genialny. Ge-nial-ny! Wszystko wymyśli.

Kapsułki dzielą się na pełne i puste. Pełne są w oklejonych folią sześcianach. Puste – w plastikowych wiadrach na stole i pod nim. Pokazuję na bryły białego proszku.

– Co to jest? Mefedron?

– Pizdedron, Jacuś, jaki tam mefedron. – Dario bierze w dwa palce kapsułkę z partii przeznaczonej do zapakowania. Wyciąga ją w moją stronę.

– To... Generalnie jest to ten sam opiat co w oxycondonie. Wymyślony przez Niemców w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku...

– Kurwa, dobra, Patryś, nie mów nic. Nie mów nic, kochanie, bo już mnie zębki bołą.

Stary szpital. Kiedyś Niemcy mordowali tu Żydów. Teraz składują tu opiat wymyślony przez Niemców. To są zbiegi okoliczności, które bawią Daria, myślę.

Dario przyciska głowę młodego do swojego barku. Nie, ten chłopak nie jest zakochaną w kocie myszą. On jest zwyczajnie sparaliżowany ze strachu. Dario wziął jego duszę i złamał ją sobie na kolanie.

– Weź, mówię – powtarza, podsuwając mi kapsułkę.

– Pierdol się.

Krótki koncert odbezpieczanej broni. Puls generatora, coraz głośniejszy. Jestem sam w żołądku wielkiej ryby.

Próbuję sobie przypomnieć moment w domu pod Ushuaia. Bolę na podłodze. Zabitego psa. Tę adrenalinę, od której prawie wybuchały żyły. Ale zupełnie zapomniałem to uczucie.

Ktoś podaje mi małą butelkę wody. Wkładam kapsułkę do ust. Przełykam. Nic się nie dzieje. Oczywiście, zacznie się dziać dopiero po chwili. Cokolwiek tam jest, musi się rozpuścić w żołądku.

– Pięć, dziesięć minut. I już będziesz wiedział.

Bierze spod ściany plastikowe krzesło. Podsuwa mi, abym usiadł.

Szum staje się odrobinę cichszy. Przyjaźniejszy. Wszystko robi się przyjaźniejsze. Jakby w ciemności przycupnął ktoś, kto ma czyste intencje.

– Będziemy bardzo bogaci, Jacuś. Ale będziemy się tym też chwalić. Co ci po milionie dolarów, dziesięciu milionach dolarów, jak mieszkasz w baraku z małpiszonym, jak ruchasz małpiszona, jak śmierdzisz jak odbyty małpiszona. Albo jak żyjesz w jakiejś piwnicy w Austrii, jesz kaszki Milupa, stara baba ci je podaje, siedzisz na tapczanie pod portretem Hitlera i raz w tygodniu jedziesz do burdelu na przyjemność z jakąś zaćpaną sierotą bez zębów, Jacunia, przecież to gorsze niż więzienie, w więzieniu przynajmniej można kogoś uszkodzić sobie fajnie.

Pewna łagodność powietrza. Wyczuwalna na skórze, na poranionej twarzy, na policzku. Bardzo subtelne, przyjemne uczucie. Jak dotyk ciepłej dłoni. Suchość w ustach. Więcej ciepła.

– Co to jest?

– Będziemy mieli pałace, Jacunia. Ja będę miał sto dwadzieścia lat, Jacunia, i będę dalej żył, będę wciąż mieszkał w pałacu i codziennie będę brał sobie biedaka. Będę go brał, Jacunia, z kolejki w Biedronce, gdzie kupuje chleb z tamponu i te pomidory wstrętne, twarde, będę go brał z poczekalni w Providencie, z lombardu go wezmę, jak będzie zastawiać Nintendo dzieciaczka, będę brał codziennie biedaka takiego. I będę miał też posła, ministra jakiegoś. Najlepiej premiera. Będzie codziennie przychodził ten premier, a ja będę brał tego biedaka i mówił: wyruchaj tego premiera teraz w dupę. Dam ci dwadzieścia tysięcy. Pięćdziesiąt tysięcy ci dam. Zęby mu wybij i zgwałć go w tę gębę bezzębną. Sto tysięcy ci dam. On ci wszystko zabrał. Wszystko, co masz. Zrób to. Daj go do wora, tego karalucha wstrętnego. Będę robił to codziennie, Jacuś. Tyle będę miał pieniędzy.

Mógłby mi tak przez całą noc opowiadać o cweleniu i wybijaniu zębów, bo jego głos jest miękki i ciepły jak głos Krystyny Czubówny. Jego głos jest jak gruba kołdra z anilany i kubek ciepłego rosółu z torebki, i termometr trzymany pod językiem. To miejsce jest już innym miejscem. Stało się przyjazne. Ja czuję się bezpiecznie. Zapominam, po co tu jestem.

– Będziemy tym handlować, Jacunia. Będziemy mieli chłopaków, a oni będą z tym biegać. To będzie hit, Jacunia. Bo jest coraz gorzej. Oj, jak ludzie się boją. Ile mają w sobie strachu codziennie. Wystarczy włączyć telewizorek, w telefonie popatrzeć na to wszystko i już człowiek jest tak przestraszony, że najchętniej toby sobie samemu wygryzł serce. Ta choroba teraz? Wojna zaraz będzie, jedna, druga, trzecia. Przecież to było chwilowe, że każdy biedny miał co jeść. To musiało minąć. Stan naturalny to wojna,

Jacunia. A ludzie muszą się uspokajać. Muszą czuć się lepiej. Inaczej nie da rady.

– Ja nie będę handlował. Nie chcę, Dario. Nie chcę jeździć samochodem, kitrać towaru, liczyć gotówki. – Mówię to głosem pluszowego zwierzaka. Tunel jest obity miękkim futrem. W mojej klatce piersiowej mieszka miś Paddington.

– Zobacz, to jest taki spokój jak w brzuszku u mamusi. To jest takie coś, że przestajesz się bać wszystkiego. Jest fajnie. Jest przyjemnie. Jest tak, jak chciałeś. Jeśli to będzie nasze, to będziemy bogaci.

Zabiję go. Delikatnie go popchnę, a on miękko rozpadnie się na kawałki. I wszystko będzie spokojne. Niezmałcone jak powierzchnia jeziora.

Mój język nagle staje się kawałem płyty pilśniowej. Zabiję go. Próbuje przedrzeć się przez spowijającą mnie błonę, rozerwać ją, wyrzucić na zewnątrz. Ale z każdą sekundą jest coraz trudniej, mam coraz słabsze ręce. Poddaję się. Zabiję go. Sam nie dasz rady. Jest za jasno. Ktoś mógłby zgasić światło.

Wyłączam strach.

Wyłączam paranoję.

Odprężam się jak nigdy w życiu.

Lekkość piękniejsza niż orgazm.

On powoli zaczyna mnie zjadać.

– Zaprosiłem cię do najlepszej rzeczy, Jacunia. Najlepszej rzeczy na świecie. Zobaczysz.

Nie słyszę, co mówi dalej. W piwnicy jest jeszcze jedna piwnica, wytłumiona kołdrami, świat pełen ciepła; ten świat jest zdradziecki i podły, ale nie można się mu oprzeć. Ciepła, potężna ręka w końcu nabiera kształtu, ściska mnie mocno i ściąga w dół, sto pięter niżej.

Nie ma jak opowiedzieć tej rozkoszy.

PAZINA

Nieporozumienie

26 WRZEŚNIA 2020

To było może trzy, cztery miesiące temu. Lucek stał w drzwiach biura, dyskretnie trzymał się framugi. Twierdził, że wypili kilka piw w Skaryszaku, ale to było zdecydowanie więcej niż kilka piw, i nie były to tylko piwa. Zamiast źrenic miał czarne talerze, do tego dłoń pogryzioną do krwi. Mimo to kontaktował, wiedział, gdzie jest i z kim rozmawia.

– Co ty zrobiłeś, głupku? – zapytałam.

Zawsze dopiero po fakcie docierało do mnie, że nie wolno tak do nich mówić: ty głupku, ty idioto.

Co tydzień zmieniał kolor włosów, tamtego dnia miał jasny blond. Oczy obwiodł błękitną kreską. Obejrzałam jego dłoń. Spytałam, czy to PVP, bo wiedziałam, że to właśnie robią ludzie po nowych dopalaczach, gryzą się do krwi. Zęby i dziąsła tak potwornie swędzą, że człowiek najchętniej wybił je sobie o twardą nawierzchnię. Nie odpowiedział. Dałam mu hydro, kazałam iść spać. Poprosił o dwie, najlepiej trzy. Miałam ochotę go spoliczkować. Zamiast tego mocno go przytuliłam. Śmierdział.

– Pazina, nie kochasz mnie, jestem dla ciebie obcym człowiekiem, co nie? Kocha się rodzinę, przyjaciół. – Jego głos był zaskakująco głęboki, niski, niezmodulowany.

Nie odpowiedziałam.

– Ale dzięki tobie mogę sobie wyobrazić, jak to jest, gdy ktoś mnie kocha – dodał.

Wygoniłam go z biura. Słyszałam, jak szykuje się do snu: bierze prysznic, przebiera się. Próbował z kimś gadać, ale ten ktoś kazał mu się zamknąć, dać innym spać. Tłukł się jeszcze chwilę, w końcu zasnął.

Dzisiaj Ewelina zadzwoniła z informacją, że jutro będzie pogrzeb Lucka. Zostanie pochowany pod imieniem, które dali mu rodzice.

Zastrzegła, że nikt z nas nie może przyjść na pogrzeb, zwłaszcza ja.
– To może skończyć się linczem.

Jasne, przekażę to dzieciakom, powiedziałam. Nie ma sprawy, Ewelina. Pójdziemy na grób kiedyś tam, jak wszystko się uspokoi.

Dzięki tobie mogę sobie wyobrazić, jak to jest, gdy ktoś mnie kocha.

A teraz przeciskam się przez tłum, po raz pierwszy od ponad roku. Idzie mi ciężko. Straciłam wprawę. Pomiędzy kolejnymi „przepraszam” trudno złapać oddech. Oczywiście nie jest to tłum z prawdziwego zdarzenia, raptem kilkadziesiąt osób stłoczonych na małej powierzchni, ale dzisiaj, teraz, to dużo ludzi. Alkohol, trawa, rozmowy, śmiechy, flirty. Muzyka, bas, ruch. Coś obcego i zakazanego, coś, czego nie powinno być.

Formalnie to miejsce – klub i komuna teatralna w jednym – jest nieczynne, wszystkie wydarzenia odwołano z powodów epidemicznych. Spektakl określiłabym jako trochę pantomimę, trochę ballroom w wykonaniu pięknych ludzi o wysportowanych ciałach, w fosforyzujących kostiumach kąpielowych. Muzyka to duszący trap i techno, głośna, ale nie aż tak, by było ją słychać na zewnątrz; zero dekoracji, tylko ostry stroboskop, spowijający wszystko fioletowy dym. Na ścianie wyświetlone twarze, Debbie Harry, Simone Weil, Genesis P-Orridge, Lenin w kneblu i chokerze, pstrokate, trójwymiarowe obiekty kręcące się dookoła własnych osi, w zgrzebnych, celowo oldschoolowych animacjach. Kicz i energia, seks i ruch dają nadzieję, przypominają, że jednak ktoś przetrwa, ktoś przeżyje. Mimo to oglądam i słucham z trudem. Nie mogę wysiedzieć dwóch godzin jako bierny widz, zgubiłam tę umiejętność. Moje ciało czuje, że to potworna strata czasu.

Teraz, po spektaklu, wszyscy włączają się do siebie, wciskają się do siebie nawzajem, próbują się nawzajem wypić, wyssać. Pełno tu znajomych, których nie widziałam od lat. Głównie teatr, trochę reklama, produkcja. Ktoś działał w podziemiu, teraz robi influencer marketing. Przeprowadziłam jakieś dwadzieścia rozmów o pogodzie, dzieciach, braku dzieci, receptach, braku recept. Kto miał jakie objawy, czyja matka umarła w karetce, a czyja stuletnia babcia miała tylko lekki kaszel. Nieustanne kondolencje. Podziękowania zmęczonymi głosami. Uśmiechy przez zaciśnięte zęby. A taki jeden typ, którego też znam z dawnych czasów, zwariował, uważa, że to zaplanowany atak na liberalną demokrację i wstęp do zaprowadzenia nowego światowego porządku. Gada tak, chociaż jest mądry. Był mądry. Teraz z obłędem w oczach pokazuje wszystkim artykuł

o tym, że lotnisko w Wuhan zamknęło loty wewnątrz krajowe czterdzieści osiem godzin przed międzynarodowymi.

Krew, którą mi ukradli, paruje w powietrzu. Na wszystkie pytania, jak leci, odpowiadam, że jakoś. Co innego jest do powiedzenia? Zwrot „wszystko w porządku” przestał być przyzwoity.

Wszyscy tu wiedzą, czym się zajmuję. W ich oczach widzę ulgę, że dzięki mnie oni już nie muszą, że wystarczy wpłacić raz na jakiś czas sto lub pięćset złotych na którąś z moich zrzutek. Głaszczą mnie, macają, aby podkreślić swój szacunek. Pazina, to takie fantastyczne, takie piękne. Pazina, jak ty znajdujesz siłę. Pazina, słyszałam o tym chłopcu, to straszne, potworne. Odpowiadam im w myślach, że cały świat jest straszny, potworny.

Przy barze szef tego miejsca, facet koło pięćdziesiątki, niegdyś redaktor jednej z darmowych comiesięcznych gazet z kalendarium wydarzeń. Covid uratował mu dupę, afera z nim w roli głównej bulgotała w garnku i jak nic zaraz by wykypiała, gdyby nagle nie zamknięto całej rzeczywistości. Często się zakochiwał, zwłaszcza w śpiących albo mocno pijanych. Potem w wiadomościach robił się bardzo niemiły. Też widziałam te wiadomości, jedna dziewczyna opublikowała je na Fejsie, bez podawania imienia i nazwiska. „Pizdo, zniszczę ci życie, dostaniesz schizofrenii, nie będziesz wiedziała, co jest prawdą, a co nie”. Teraz koleś stoi tutaj jak gdyby nigdy nic. Może ratuje go to, że jest polityczny. A może to, że oni zawsze tak sobie stoją, perfekcyjnie obojętni, wodoodporni, niezatapialni.

Informacja o imprezie rozeszła się pocztą pantoflową. Na zewnątrz, przed wejściem do kamienicy, stoi chłopak, prosząc o hasło: „Zbieramy zwiędłe kwiaty, by posiadać cokolwiek”. Szef kocha poezję, wiem, że zanim robi się niemiły, wysyła dziewczynom cytaty ze swoich ulubionych poetów.

Ale dobra, jebać go, on przynależy do wczoraj. Topór, który wisi mu nad głową, kiedyś spadnie. Jestem tu dla kogoś innego. Kogoś schowanego w ciemności. Mignął mi, gdy z gracją przemykał przez tłum, pokryty łuską błyskającą w fioletowym świetle.

Teraz widzę go w rogu. Macham do niego, aby się przywitać, po czym biorę głęboki oddech i zaczynam się przeciskać w jego kierunku.

– Pazina. – Uśmiecha się.

Parę dni wcześniej Ewelina znalazła dla mnie pięć minut, siedziałyśmy w jej prywatnym aucie zaparkowanym pod Galerią Wileńską. Kupiłam jej

kawę w Costa Coffee. Nie piła jej, tylko ciągle w nią dmuchała. Miała nowe paznokcie, srebrne pasemko gwiazd przecinało czerń lakieru.

– Niezłe, nie? – zapytała, machając mi nimi przed nosem. – Wietnamka zrobiła mi na Bakalarskiej. Takie nazywają się „kosmos”.

Kiwam głową. W życiu bym sobie takich nie zrobiła, ale są całkiem ładne.

– Więc mówisz, że jest jakiś facet, twój dawny kolega, który stręczy transwestytów.

Przytakuję.

– I jeszcze inny facet, który lubi ich katować. Ten.

Włączyłam jej filmik z Łukaszem Czego Szukasz, jeden z setek na jego kanale. Jeszcze dwa tygodnie temu Łukasz publikował nagrania po parę razy dziennie. Nagle przestał. To pokrywa się z tym, co powiedział Kurtka – że facet rozpuścił się w powietrzu.

Łukasz Czego Szukasz jest koło czterdziestki; kwadratowa szczęka, niezła sylwetka, klatka piersiowa obudowana prawdziwym mięśniem. Ma w sobie jednak coś paskudnego, taką obleśną nieobliczalność. To, co chciałby, aby w nim pociągało, odstręcza. Jest bystry, dla kogoś na pewno zabawny. Na filmiku, który pokazałam Ewelinie, siedzi rozwalony na fotelu, ubrany w boksyerskie gacie, i rozmawia z długonogą dziennikarką. Ewidentnie naćpany, cały spocony, prawa noga gra na niewidocznej perkusji, ręce ściskają mikrofon z logo eventu Power MMA. Pod satynowymi spodenkami widać zarys erekcji. Dziewczyna jest biedna, odczuwa dyskomfort, może strach. Z tego, co rozumiem, rozmowa odbywa się przed występem Łukasza Czego Szukasz na gali sztuk walki, w której biorą udział ludzie znani w internecie. Łukasz patrzy na dziewczynę jak na coś do jedzenia. Mówi szybko, bezładnie, lekko sepleni. Słowa wypadają mu z ust jak kulki brudnej waty.

– Czasami w życiu zdarzają się różne nieporozumienia, co nie, na przykład mój koleżka, taki jeden dobry chłopak no, on miał pokój w hotelu, co nie, i walił trzy dni żelki, kamagrę w sensie, i do tego klefę, i oglądał pornuchy, i nie mógł się spierdaczyć, co nie, trzepał i nic, jakies sobie zrobił odparzenia, naderwał sobie to wiesz, to, co napleta trzyma, to takie więzadelko, no nie, a jego narzeczona myślała, że on siedzi, no wiesz, jak to powiedzieć, chyba mogę tu przeklinać, co nie, no dobra, powiem wprost, myślała, że siedzi z kurwami, no nie, i koleżka normalnie przychodzi do domu, a ta go spakowała już i wystawiła bety na zewnątrz, a on tylko sobie

konia walił, no taki miał na to wszystko pomysł, no nie, no powiedz mi, złotko, czy to nie było jakieś straszne nieporozumienie?

Jest świadom efektu słowa „nieporozumienie”, wie, że zrobią z tego mem. Z premedytacją udaje głupszego. Mówi to dla fejmu, i po to, aby trochę skrzywdzić tę dziewczynę obok.

Ona słucha z wystudiowanym uśmiechem. To nie miało tak wyglądać, myśli. To miały być gwiazdy filmowe, politycy, w najgorszym wypadku goście telewizji śniadaniowej, tacy pozytywnie pierdolnięci, domorośli wynalazcy, goście od magicznych sztuczek, facet, który objechał Europę na hulajnodze. To miało być wiele rzeczy, ale nie coś takiego.

– Tak, rzeczywiście to nieporozumienie – odpowiada w końcu.

– A co robisz wieczorem, złotko? – pyta Łukasz. – Może my też zrobimy sobie jakieś nieporozumienie? Albo porozumienie, przepraszam. Właśnie ty i ja się porozumiemy, tylu ludzi się nie rozumie, a my się dogadamy, co nie?

Filmik zrobił furorę, ma parę milionów wyświetleń, a pod nim widnieje litania komentarzy. „Ja pierdolę, co za wyrwany chłop”, „Ale król”, „Łukaszek najlepsza bajera w Polsce”, „Królu, wpadaj do Lotu, pijemy”.

Na Ewelinie nie zrobił wrażenia. Patrzyła na Łukasza jak na przeciętny okaz gatunku, z którym wielokrotnie miała do czynienia.

– Wstrętny, zryty mózg od ćpania i pewnie siedział w kryminale, bo tylko tam takie historyjki są zabawne – skomentowała. – Ale to jeszcze nie jest dowód, że kogoś pobił.

– Podobno potwornie skatował chłopaka, który był synem jakiegoś gangstera...

– Ale skąd o tym wiesz? – przerwała mi poirytowana. Bardziej interesowało ją to, co robię ja, niż co robi Łukasz. Nie potrzebuję tej dziwnej opieki, pomyślałam. Potrzebuję pomocy w znalezieniu mordercy.

– Im więcej popełnisz głupot, działając na własną rękę, tym trudniej będzie go dorwać. – Nie musiała mi czytać w myślach, wszystko było po mnie widać. – No? Skąd? – Wbiła mi w ramię paznokiec z kosmosem, lekko.

Jakby była moją matką, jakby właśnie wróciła z wywiadówki. Ze stresu dostałam zaburzenia perspektywy, Ewelina zrobiła się dziwnie mała. Mocno zacisnęłam oczy; gdy je otworzyłam, perspektywa wróciła do normy.

– Od kolegi – odpowiedziałam w końcu.

– Fajnie, że masz fajnych kolegów, Marta. Ale jeśli to są tacy koledzy, o których wolisz ze mną nie rozmawiać, to może nie rozmawiaj ze mną w ogóle.

– Jesteś policjantką, a to jest jakiś trop, tak? – zapytałam.

Westchnęła.

– To co mam twoim zdaniem zrobić?

– Przesłuchać tego stręczyciela. On i ten Łukasz próbowali się dogadać. Typ może wiedzieć, gdzie on jest. A może Lucek... no, może pracował też dla niego – mówiąc te zdania, mam wrażenie, że streszczam jej przeczytany artykuł, opowiadający o zupełnie obcych ludziach.

– Nie mam powodu, żeby go wezwać, dopóki nie dostanę zeznania na piśmie, że facet zajmuje się tym, czym się zajmuje. A nie możesz mi dać takiego zeznania. To byłoby zwykłe pomówienie – powiedziała i wreszcie upiła łyk kawy.

– Myślisz, że jestem dzieckiem? Wszystkie sprawy, które macie, są z pomówienia.

– Nie rozumiem.

– A ci... – chwilę szukałam tego sformułowania – świadkowie koronni? Mali świadkowie koronni?

– Stara, ty nie jesteś świadkiem koronnym. Nawet tym najmniejszym.

Siedziakśmy tak, złe na siebie, ale na siebie skazane. Dzień był przenikliwie zimny, kawa lurowata.

– W takim razie po prostu chciałam cię poinformować, że idę z nim pogadać – stwierdziłam.

– To twoja prywatna sprawa.

– No dobrze, a jeśli dowiem się czegokolwiek, to czy wtedy mi pomożesz?

– Śledztwo wciąż trwa, Pazińska – odparła – a ja muszę działać w pewnych granicach. Tak czy owak, znajdziemy tego, kto to zrobił.

– Na pewno? Od pół roku nie możecie znaleźć Fajkowskiego, wielkiej gwiazdy telewizji.

– To nie mój wydział go szuka.

– Szuka go policja. Ty jesteś policją.

– Fajkowski najpewniej nie żyje. Ale nie o nim rozmawiamy.

Była umalowana jeszcze mocniej niż zwykle. Oczy miała odcięte od reszty twarzy kreskami tuszu grubymi na pół palca, tapety nałożyła tyle, że robiła za drugą skórę. Może coś ukrywała, a może miała plany na wieczór,

a ja kradłam jej czas. Z drugiej strony to była jej praca. Skoro ja czasami pracowałam całą dobę bez przerwy, to ona też mogła.

Zastanawiała się nad czymś, nieświadomie klikała językiem o podniebienie.

– Nagraj go.

– Że co?

– Nagraj go telefonem, jak powie coś potrzebnego, będziemy się potem zastanawiać, jak to obronić – wyjaśniła.

Na początku myślałam, że żartuje.

– I nie spotykaj się z nim specjalnie. Zastanów się, gdzie może przebywać, i tam idź.

– Kurwa, w środku pandemii? Mam pojechać do sklepu na jego osiedle i liczyć, że przyjdzie tam na zakupy? – zapytałam.

Uśmiechnęła się, wycelowała we mnie palcem. Lakierowy kosmos zatrzymał się o centymetr od mojego serca.

– Kto, jak nie ty, Pazińska?

Popatrzyłam na moje własne obgryzione i brudne paznokcie i pomyślałam, że muszę sobie przypomnieć, komu dałam godność na przechowanie.

Na pewno nie znajdę jej tutaj, w komunie ukrytej w praskiej kamienicy.

– Kopę lat, Pazina.

– Hej, Kamil.

Kiedyś był piękny. Długie blond włosy, dwa metry wzrostu, wyrzeźbione ciało. Kochali go faceci i dziewczyny, on pił tę miłość, używał jej. Na scenie zamieniał się w symbole, zwierzęta, duchy. Trzeba było go uruchomić, ale gdy ktoś zrobił to dobrze, przekształcał się w naczynie, półprzewodnik, przez który przepływały obce i stare siły. Był w zespole Warlikowskiego, jeździł z nim do Francji. Miał swój sezon, swój moment. Jednak tych najpiękniejszych czas dopada najszybciej, jak sportowców. Teraz jest zużyty i przejrzały, chociaż nie ma jeszcze czterdziestki. Próbował grać w serialach i filmach, ale jego piękno nie odbijało się w kamerze, na ekranie wyglądał nieforemnie, pokracznie. Mógłby zagrać Nosferatu, Kaspara Hausera. A że w serialach NTV nie było wtedy takich postaci, zostały mu telenowele i reklamy. Snuł się po drugim planie jako czarny charakter, chciwy lekarz biorący łąpówki, pisarz sprowadzający na złą drogę córki pocziwców. O zbyt ostrych rysach, zbyt niespokojny, aby grać główną rolę, aby polubiły go gospodynie domowe.

Każdy wampir kończy z przebitym sercem, każdy święty zostaje ukrzyżowany. Nadprzyrodzonym jest się tylko przez chwilę.

Wiele lat temu miał mnie za swoją przyjaciółkę. Ufał mi. Nie odwzajemniałam jego uczuć, ale szanowałam to zaufanie. Do tego w jakiś sposób mnie rozczulał – był jak zagubiony w mieście piękny psiak. Widać taką mam karmę. Nabieram się na kiepskich mężczyzn. Pół biedy, gdybym po prostu z nimi sypiała, ale ja robię sobie z nich przyjaciół.

W każdym razie przykleiło się do niego wtedy coś brzydkiego, coś, z czym nie chciał być kojarzony. Orgietka, która skreśliła w złą stronę za bardzo podłana teatralną, sekciarską toksyną. W konsekwencji czyjś ból, oskarżenia. Uwierzyłam mu, że tylko tam był. Czuję wtedy, że jest zbyt niewinny, zbyt zagubiony, by kogoś wykorzystać. Sprawa nie poszła na policję, ale potrzebował alibi. Dałam mu je. Mówiłam ludziom, że tego wieczoru był u mnie, że spałam z nim. Nie jestem dumna z tego, jak postąpiłam, chociaż to, że niektóre imprezy zmieniały się w pandemonium pieprzenia po MDMA, było dosyć normalne.

Tak czy siak, Kamil jest mi krewny. Pamięta o tym. Widzę to w jego oczach.

– Co słysząc? Jak się trzymasz? – zagaduje.

Wzruszam ramionami.

– Nie trzymam się – odpowiadam, on reaguje nerwowym śmiechem.

Dosuwam się do niego. Teraz, żeby się oddalić, musi mnie potrącić.

– Co tam słysząc? Gdzieś grasz? – pytam.

– Gdzie miałbym grać? Mieliśmy próby w Powszechnym, ale widzisz, co się dzieje.

– To się nigdy nie skończy, prawda?

– No coś ty, musi się skończyć. Przecież wszystko się kończy – rzuca ostro, zdziwiony.

– Obyś miał rację, a ja nadzieję.

Wierci się, drepcze w miejscu, chciałby się ulotnić.

Tymczasem za nami coś się dzieje. Pojawia się poruszenie, rozmowy cichną. Nie odwracam się, próbuję patrzeć mu w oczy.

Nie jestem aż tak sprytna, aby zarzucić przynętę i go złowić. Muszę mówić wprost. Jeśli będzie próbował się stłenić, muszę go powstrzymać. Przycisnąć do ściany, złapać za ubranie. W głowie wyświetla mi się dziwny serial sensacyjny ze mną w roli głównej, niedorzeczną bohaterką, której nic nie wychodzi.

– Słyszałeś, czym się zajmuję, prawda? Prowadzę hostel dla ofiar przemocy w rodzinie – mówię.

– Tak, słyszałem. To bardzo... bardzo dobra robota, Pazina. Duma, props, gratulacje – recytuje. Wciąż nie rozumie, o co mi chodzi. Był piękny i magiczny, ale nigdy nie był zbyt lotny.

Ktoś wyłącza muzykę. Fala niepokoju nagle przechodzi przez tłum jak prąd. On spogląda na zamieszanie ponad moją głowę.

– Słyszałeś o tym chłopcu, którego zamordowano? – pytam.

Już rozumie. W pomieszczeniu rozbrzmiewa burza zdenerwowanych szeptów.

– Policja – mówi ktoś głośno, starając się być przy tym jak najciszej. – Policja jest na zewnątrz. Ktoś zadzwonił.

Słysząc głos szefa, przestraszone „kurwa”, „ja pierdołę”, zdziwione „co?”, odgłosy zamieszania, szmery. Trzydzieści tysięcy mandatu to dużo, wypowiedzenie lokalu przez miasto – jeszcze więcej. Zwłaszcza dla eksperymentalnej lewackiej komuny teatralnej, którą trzyma się w danym lokalu tylko dlatego, że jest grzeczna i siedzi cicho, a na lokal nie ma akurat innego pomysłu.

Napieram na Kamila, jakbym nachalnie go uwodziła.

– Słyszałeś, prawda? – pytam.

– Na górze jest strych, mam klucze – mówi szef. – Dziesięć osób tu zostaje, dobra? Reszta idzie za mną.

– Ludzie, jak w Powstaniu Warszawskim – rzuca ktoś z tłumu.

W zeszaniu, odpowiada ktoś inny, ktoś nerwowo się śmieje, a ktoś rzuca, że to nie czas na takie żarty.

Szef rusza pierwszy, grzechocząc pękiem kluczy jak szamańskim rekwizytem. Ludzie ruszają za nim w widocznym zdenerwowaniu, i wtedy Kamil robi krok w bok, odpycha mnie barkiem i wbija się w tłum. Biegnę za nim, nie odpuszczam go na krok. Ludzie na schodach kierują się na górę, ale on wybiera drogę na dół, prosto w ramiona policji, na zewnątrz. Wyciągam z kieszeni zmiętą maseczkę, zakładam.

Przy drzwiach stoi chłopak od hasła, dyskutuje z trzema funkcjonariuszami. To faceci, ale trudno powiedzieć o nich coś więcej, nad maseczkami widać tylko oczy, których wyraz i tak topi się w zmierzchu.

Za to głos chłopaka jest tak głośny, jakby krzyczał mi wprost do ucha.

– Mieszkam tutaj. Ile razy mam wam to powtarzać?

Kamil przemyka obok nich tak szybko, że nie reagują. Idzie szybko, prawie biegnie. Od ulicy dzieli go dwa podwórka przedzielone filarami. Jeden z policjantów zastawia mi drogę.

Oczywiście, że to zjechałam. Nieporadna bohaterka. *Perypetie Detektyw Paziny* co czwartek o dwudziestej w Telewizji Puls. Oglądajcie, będzie super śmiesznie. Zobaczycie, że ona nigdy nie da rady.

– A pani co tu robi?

– Mieszkam tutaj – odpowiadam.

– Dużo ludzi tu dziś mieszka.

– To jest stolica Polski, tu wszędzie mieszka dużo ludzi.

Widzę Kamila w oddali, w bramie wychodzącej na ulicę. Sylwetka Nosferatu. Jeszcze mogę go dogonić, muszę tylko przebiec przez podwórko.

Stoi, patrzy, co zrobię. Wyrwam się i zaczynam biec. On znika.

– Koleżanko!

Nie jestem twoją koleżanką, pajacu, myślę. Odkrzykuję, że mi się śpieszy. Nie ruszą za mną. A nawet jeśli, to nie ma znaczenia. Biegnę, najszybciej, jak potrafię. Kamil stoi na przystanku, na który właśnie podjeżdża tramwaj. Drzwi się otwierają, on wchodzi do środka, wpadam na niego, wpychając go do wnętrza pojazdu. Chce wysiąść, ale jest za późno, słychać psyknięcie zamykających się drzwi. Siada na plastikowym krześle, zrezygnowany.

– Co ty odpierdalasz? – pyta.

– Nie, co ty odpierdalasz?

Nie ma pomysłu, co mi odpowiedzieć.

– Wiesz... za dużo wiesz, Pazina.

– Z ludźmi, którzy za dużo wiedzą, trzeba się zawsze witać, i to bardzo serdecznie. Dbać o nich, spełniać ich prośby. Nie przed nimi spierdalać, kretynie jeden.

Zwiesza głowę jak skarcony pies. Siadam naprzeciwko niego.

– Znaleźli tego chłopca na tyłach Novotelu. Policja twierdzi, że się prostytuował, że zabił go klient – mówię. Mam zdjęcie żywego Lucka na telefonie. Mogłabym mieć zdjęcie po, zdjęcie z kostnicy. Mogłabym wcisnąć mu to zdjęcie w twarz.

Tramwaj zbliża się do przystanku. On ocenia swoje szanse, ale chyba czuje, że nie ma sensu dalej się wydurniać.

Nie pokrywa go żadna złota łuska. Jest zwykłym zaćpanym facetem, któremu nie wyszło w Warszawie i który nie ma pomysłu, w jaki sposób spróbować jeszcze raz. Po prostu utrzymuje się na powierzchni.

– Wiem o tym – mówi cicho. I dodaje: – Ty też wierzysz w to, co o mnie opowiadają?

Mogłabym dużo powiedzieć o Kurtce, ale nie to, że kłamie.

– Nie wierzę. Wiem – odpowiadam.

Podrywa się, a ja łapię go za ramię, ściskam mocno, wpijam się w nie paznokciami. Zmuszam go, żeby usiadł. Jedziemy długo w milczeniu. On potrzebuje chwili, aby ostatecznie się poddać.

Tramwaj wjeżdża na Ratusz Arsenal.

– Nie wydurniaj się, Kamil. Serio, jesteś mi to winien.

*

W Barze Kawowym nikogo nie ma i pewnie dlatego jeszcze jest czynny. „Limit do pięciu osób w środku”, głosi drukowany napis na kartce przyklejonej do drzwi. Ekspedientka, szczupła, żylasta kobieta po sześćdziesiątce, odgraża się, że zaraz idzie do domu.

– No, ale jeszcze tu pani jest. Dwie kawy pani da. To nie potrwa długo.

– Kawę to w domu sobie wypijcie, ludzie.

Uśmiecham się.

– Dwie kawy i dwie żołądkowe, czy co tam pani ma.

Patrzemy sobie w oczy. Dwie zmęczone kobiety w środku nocy, w środku miasta. W tym malutkim, żywym skansenie przycupniętym obok Starbucksa, Pizzy Hut i wielkiej stacji metra nic się nie zmieniło od kilkudziesięciu lat. Boazeria, szklana lada, za nią ciastka z galaretką wyglądające jak plastikowe rekwizyty. Jedyna różnica między kiedyś a dzisiaj to pojemnik płynu do dezynfekcji na barze.

Kamil stoi grzecznie obok mnie, już nie próbuje uciekać.

W tle radio; w Sejmie wystąpiła dziś kobieta, która co prawda nie jest posłanką, ale mimo to ktoś dopuścił ją do głosu. Przemawiała dobrą godzinę o tym, że lekarze dokonujący aborcji powinni odpowiadać jak za morderstwo z premedytacją, a kobiety, które przerwały ciążę – za współdział.

Specyficzny rodzaj nienawiści, obecny we wszystkim, nieusuwalny. Jej ślad jest zawsze w powietrzu, jej posmak – w każdej rzeczy, którą jesz. Każdy widok, nawet najpiękniejszy, nosi rysę. O co ci chodzi, Pazina? Przecież nie jesteśmy w Korei Północnej, nie przesadzajmy. Są ważniejsze sprawy. Weź głęboki oddech.

Kobieta mówi, że te dwadzieścia pięć lat to i tak niewielka kara. Lekarz może się przez ten czas przygotować na wybaczenie Boga. Wymodlić sobie czyściec.

– Potworna sprawa, śmierć tego chłopaka.

– Chyba nie mamy czasu na oczywistości.

Milczy. Zbiera słowa.

– Masz rację. Jestem ci coś winien.

– Mów, Kamil.

Kawa jest rozpuszczalna, słodka, z dodatkiem tłustego mleka, podana w szklankach arcoroc, wódka obok – w plastikowych kieliszkach. Siadamy przy stoliku. Upijam trochę żołądkowej, zostawia miły mdły smak na języku, jak batonik.

– Ludzie muszą jeść, prawda? – zaczyna tonem usprawiedliwienia.

Uśmiecham się kpiąco.

– Jacy ludzie?

– Wszyscy.

– I dlatego wszyscy ludzie są alfonsami?

Opuszcza wzrok.

– Oni sami doszli do wniosku, że potrzebują kogoś... Michałka to zaproponowała. Przecież wszyscy się znamy z wiesz, no, środowiska. To po prostu jest naprawdę niebezpieczne, robić to, co oni robią...

– Nie rozumiem, Kamil. Tłumaczysz mi się ze swojego życia? Nie ma takiej potrzeby.

– Szukały kogoś, kto będzie je... reprezentował. Michałka, Śliwka z Nowego, Sandra, wiesz która... to tylko parę osób. To nie jest tak, że jestem jakimś... przedsiębiorcą. Ja tylko... na Fansach wiadomo, one radzą sobie same, mnie nic do tego. Chodzi o spotkania na żywca. Tu bywa różnie, tu jest ktoś potrzebny.

– Mnie to zupełnie nie obchodzi, za kogo ty się uważasz, Kamil – przerywam mu.

Wypija haustem wódkę, zapija kawą, parzy się w usta, prychna. Kobieta za ladą patrzy na niego zza zasłonki oddzielającej zaplecze od baru.

Sprawia wrażenie, jakby była nim rozczarowana.

– Te wszystkie szantaże, całe to gówno... Robią teraz z Michałki kogoś, kto wiesz, w cyniczny sposób rozbija rodziny i tak dalej... Ona po prostu próbowała się bronić, naprawdę. Ona po prostu wykonuje swoją pracę. Oni tego chcą, a potem jej grożą. Wstydzą się sami siebie, a przyjeżdżają do niej na własne życzenie. Straszne, nie? Tak bardzo wypierać siebie, a potem...

– Poczekaj. Stop. Ja nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

– Nie czytałaś Ratlerka?

Mniej więcej kojarzę, w czym rzecz. Afera koperkowa sprzed paru tygodni, dzieciaki w Azylu to przeżywały. W rolach głównych Michałka, ich ulubienica z TikToka, i małżeństwo aktorki i piosenkarza. Chłopak, znany piosenkarz, mocno płynął, aż w końcu dopłynął do mieszkania Michałki. Ta go nagrywała, robiła zdjęcia. Upubliczniła jeden filmik, jak nagi siedzi na kiblu, ale twierdziła, że to zaledwie trailer prawdziwych atrakcji. Pamiętam to nagranie, niewyraźne, z przytłumionym dźwiękiem. Piosenkarz wydawał niekreślone odgłosy, coś pomiędzy bełkotem a płaczem. Głos zza kadru był zimny, wystudiowany. „Wszystko w porządku, miśku? Chodź, wracaj do łóżeczka. Czekam na ciebie, miśku” – mówiła osoba trzymająca telefon głosem uszkodzonego robota. W konsekwencji aktorka spakowała piosenkarza, wystawiła mu rzeczy za drzwi. On zaczął nagrywać dziwne filmiki na YouTube’a, tłumaczące sytuację. Robiły przygnębiające wrażenie, widać było, że coś w nim trwale pękło. Dzieciaki zaśmiewały się z tego, pokazywały sobie nagrania na telefonach. Z alfa małpami trzeba krótko, mówiły, zadowolone, że pewny siebie mięśniak dostał w łeb. Ofuknęłam ich jak stara matka: pamiętajcie, że to beka z czyjegoś cierpienia. Zasłużył na to, skwitował Wiktor.

Ale teraz to nieważne.

Nachyliłam się do Kamila.

– Kamil, kurwa. Wiesz coś. I powiesz mi to. Zaraz.

Wyciąga coś z kieszeni, wrzuca sobie do ust, połyka – w półmroku pomieszczenia miga fluorescencyjna kropka.

Zamyka oczy, pozwala jej działać. Rzeczywiście, to dzieje się szybko. Oddech mu się reguluje, klatka piersiowa lekko się otwiera. Twarz się rozluźnia, mięśnie przestają walczyć z grawitacją. Kurtka miał rację, myślę.

– Ja w życiu tego dziecka nie widziałem. – Gdy w końcu się odzywa, ma trochę inny głos, miękniejszy i głębszy, głos z teatru.

– Jeszcze ci go nie pokazałam.

Marszczy się.

– Nie o to chodzi. Ja żadnego dziecka nie widziałem. To są jakieś patelniowe, bajzlowe klimaty, nie interesuje mnie to.

Pokazuję mu zdjęcie Lucka. Jedyne, jakie zrobiłam mu w Azylu. Leży na swoim łóżku. Jest chyba odprężony. Chyba nawet spokojny. Je tosty. Czyta mangę.

Teraz Kamil patrzy mi w oczy. Kręci głową.

– Ja nie wiem, kto to jest. Ja bym w ogóle takiego maślaka wyjechał na kopalnie tam, skąd przyszedł. Prowadzę ekskluzywną usługę, w której podstawą jest pełna dyskrecja.

– Ekskluzywną – powtarzam po nim. – To jak bardzo ekskluzywne stawki masz za uszkodzony towar?

Marszczy się, zaciska szczękę. Nie potrafi ukryć, że doskonale wie, do czego piję.

Wyciągam telefon, włączam filmik z Łukaszem Czego Szukasz. On przeklina bezgłośnie, ucieka spojrzeniem.

– Wypili? – pyta pani zza lady.

– Jeszcze chwila – odpowiadam.

– Idę zapalić i zamykam – informuje nas.

Też patrzę za szybę. Puste miasto, białe, martwe światło przystanków; karetki na sygnale, karetki bez sygnałów. Pojedyncze światła w oknach, blade jak strach. A gdzieś w tym wszystkim pochowane plemię głodnych duchów. Biedne dzieciaki, pokiereszowani dorośli, wszyscy ukryci w ciemności. Tacy jak my. To właśnie my. Pokiereszowani dobrzy, pokiereszowani źli.

– Musiałem szukać pomocy – mówi w końcu.

– Taki wielki ochroniarz jak ty? I przedsiębiorca?

Znowu się wije, szuka miejsca na manewr.

– Nie rozumiesz – warczy.

– Właśnie wydaje mi się, że wszystko rozumiem. Zrobiliście sobie z Michałką fajny interes, zaczęliście wyciągać od ludzi kasę. Mają płacić, bo inaczej filmy dostaną żony, mamy, dzieci. I z niego też chcieliście coś wyrwać, w końcu to znany youtuber, zawodnik MMA czy jak się to nazywa. Ilu ludzi śledzi jego kanał? Pół miliona?

– Nie wiem – szepcze tonem dziecka, które pod nieobecność rodziców zrobiło imprezę na sto osób i zostało ze zdemolowanym mieszkaniem.

– I nie wyczuliście, że gość jest niebezpieczny, tak? Że może pali crack i ma paranoję, a może jedno i drugie? Że gdy zrozumie, że jest nagrywany, że dostał coś do drinka, wpadnie w szał i złamie Michałce nos?

– To nie była Michałka, tylko Śliwka. Michałka sama nie chciała tego robić, bo wiedziała, że on jest psychopata.

– Świetnie to o was wszystkich świadczy.

Wzrusza ramionami.

– To gdzie on jest?

– Kończymy – stwierdza pani zza baru. Stoi już w drzwiach, ubrana w kurtkę, okutana szalikiem.

Kiwam głową, wstaję, wychodzę na zewnątrz. Kamil człapie za mną jak skarcony pies. Pomyśleć, jak bardzo inne były te nasze poprzednie życia, moje i jego. Nasza przeszłość to tak naprawdę nasze marzenia. Zupełnie się zepsuliśmy, ja, on, wszyscy.

– Nie mam pojęcia, gdzie on jest – odpowiada na moje pytanie. Wyciąga z kieszeni papierosa, częstuje.

Zaciągam się tak łapczywie, jakby dym miał mnie odmłodzić o dwadzieścia lat.

– Ile ci zapłacił? – pytam.

– To miało być sto tysięcy. Plus koszt operacji plastycznej. Razem ze sto pięćdziesiąt.

– Miało być – powtarzam.

Na gębie wykwita mu jeszcze większa pustka, jeszcze większy smutek.

Rozglądam się w poszukiwaniu kosza na śmieci, ale w końcu kapituluję, dyskretnie przydeptuję niedopałek. Kamil się nie krępuje, pstryka petem na tory tramwajowe.

– Nie wiem, gdzie on jest, i nie wiem, gdzie jest facet, który miał to dla mnie odzyskać. Zgodził się na trzydzieści procent. Dałem mu trzydzieści tysięcy.

Spojrzeniem zbitego psa pyta, czy to już wszystko. Obok nas przejeżdża sznur karetek, żadna nie ma włączonego sygnału.

– Jak on się nazywał, ten facet?

– Mówią na niego Śniady. Mogę ci go pokazać na Instagramie.

Patrząc na niego ze współczuciem. Niektórzy powinni się pogodzić, że zwykłe, nudne życie, takie, w którym wychodzi się z domu o ósmej rano i wraca wczesnym wieczorem, to dla nich jedyne wyjście. Powinni to

zrobić zarówno dla swojego dobra, jak i dobra ogółu. Naprawdę rozwiązałyby to wiele problemów, zapobiegłyby wielu durnym decyzjom.

Gdy zwykły głupek trafia na narkotyki i kreatywnych ludzi, dostajemy piękny przepis na tragedię, bo wtedy zwykły głupek zaczyna mieć pomysły. Doznaje fałszywych olśnień. Nagle rozumie, że nie jest głupkiem. To zawsze tragedia, zawsze w jednym akcie.

Zaczyna mżyć.

Kamil wyciąga telefon, pokazuje mi zdjęcia kolejnego faceta; opalony na solarium i wyrzeźbiony głupek w obcisłych džinsach, z przewieszoną przez klatkę piersiową nerką Gucci, stoi w białych trampkach przed wypożyczonym ferrari, gdzieś w Dubaju. Dziewczyna obok miała w życiu więcej operacji plastycznych niż ja wizyt u dentysty. #wakacje. #dubaj. #traplife. #polishtrapstar. #polishboy. #polishflex.

– On miał odzyskać twoje pieniądze – powtarzam. – Ten facet.

– Tak.

Przeglądam zdjęcia, zatrzymuję się na jednym ze starszych. Śniady jest w klubie, pijany i szczęśliwy, trzyma w ręku oszronioną, napoczętą flaszkę drogiej wódki. Zaciska dłoń na szyjce, jakby butelka była bronią, którą zaraz walnie kogoś w łeb. Obok niego stoi Łukasz Czego Szukasz tak samo wyszczerzony i zadowolony. Obaj mają źrenice wielkości filiżanek.

Parskam śmiechem.

– Ja pierdołę, Kamil, gdzie cię robili?

Robię screenshot zdjęcia, wysyłam je sobie airdropem. Jednocześnie wyłączam nagrywanie. Mam już wszystko, czego chcę. WhatsAppem wysyłam nagranie Ewelinie.

Oddaję mu aparat i ruszam w stronę przystanku.

28 WRZEŚNIA 2020

Ktoś mną mocno potrząsa, jakby usiłował sprawdzić, czy żyję. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to Besia. Potrzebuję kolejnych chwil, aby wylądować. Azyl, biuro, rozkładana polówka z trzeszczącymi sprężynami. Zapachy: papier, folia, kurz, McDonald's. Wiem, gdzie jestem, ale ta wiedza mi nie pomaga.

– Ej. Przemo. On chyba ma covida.

Teraz słyszę. Piętro niżej ktoś wyje, potwornie, nieludzko. Zrywam się, zbiegam na dół. W myślach dziękuję sobie, że nie chciało mi się rozebrać przed zaśnięciem.

Dzieciak leży na dolnej pryczy łóżka piętrowego, ledwo się na nim mieści, w końcu to gigant, metr dziewięćdziesiąt, sto dwadzieścia kilo żywej wagi. Sprana bluza Sztywniutko jest mokra od potu. Nie jest w stanie mówić.

– Kurwa, Przemek. – Przykładam dłoń do jego czoła. Aż parzy. Czyli choroba do nas wróciła, czyli nasza nadzieja była głupia. – Besia, daj mu trochę wody.

Pytam Wiktora, czy dzwonił do Niedzielskiego, lekarza, który pomaga nam po godzinach. Wiktor dzwonił, ale Niedzielski jest chory. Sam ma covid.

Próbuję kalkulować. Nie wychodzi mi. „Rodzice, rodzice, rodzice” – powtarzam ten wyraz, aby mocniej złapać się myśli, której szukam. Jego rodzice są dość mocno poza planszą, ojciec wrzucał kolejne chwilówki w maszyny, aż wylądował w pierdlu, matka wyjechała do Londynu, pracowała przy sprzątaniu metra, przez chwilę posyłała pieniądze, w końcu przestała. Młodszy brat trafił do domu dziecka. Dla Przemka nie było miejsca, dwa tygodnie krążył dookoła Dworca Południowego, raz po raz przeganiała go policja. W końcu trafił tutaj.

Dzieciak się dusi. Wyciągam telefon, próbuję zadzwonić po karetkę.

– Słucham, dyspozytor dwieście dziesięć. – Robot po drugiej stronie ma zmęczone gardło z gumy.

– Ażyl, schronisko młodzieżowe, Jedenastego Listopada. Dziecko potwornie się dusi, ma gorączkę.

– To pani dziecko?

– Nie, dziecko pod opieką schroniska.

– A pani kim jest?

– Proszę pani, dziecko się dusi. Potrzebujemy karetki.

Drewniane listwy pod materacem trzeszczą, gdy Przemek przewraca się na bok, łapiąc się za żołądek.

– Ja nie mam wolnych karetek – mówi zmęczony robot z gumy.

Dzieciaki gromadzą się dookoła mnie, tak samo zmęczone i przestraszone jak ja. Głodne duchy.

– To co ja mam zrobić?

– Przywieźć na SOR – informuje kobieta. Robot traci gumową robotowatość, na moment pokazuje swoją prawdziwą istotę. – I ktoś może przyjmie.

Rozłączam się.

– Musicie pomóc mi go znieść do transportera – mówię.

Edgar i jeszcze jeden chłopak o imieniu Janek próbują posadzić Przemka na łóżku. On się zapiera, jego ciało się broni, tak jakby wiedziało, że jeśli wyda energię na cokolwiek innego niż złapanie oddechu, umrze.

– Przemek. Przemo. Przemciu – szukam takiego wariantu jego imienia, który może do niego trafić.

Janek jest silny, pracował na magazynach i jako kurier. Szczupły, mocny chłopak z podziaraną twarzą. Ale nawet we trójkę mamy ogromny problem, by podnieść Przemka. Musi mieć ponad czterdzieści stopni, jest rozgrzany jak kamień z ogniska. Ktoś przytomny, chyba Rena, przynosi worek z lodem, przyciskam mu ten worek do rozgrzanej głowy, on zanosí się kaszlem.

W drodze na SOR łamiemy wszelkie możliwe przepisy. Miasto, noc i światła zlewają się w kłęb płam o nieokreślonym kolorze, płataninę kabli. Smród skaju przesiąkniętego zapachem papierosów zatyka nos. Uchylam okno, aby się nie zrzygać.

Szpital na Wołoskiej.

Klnę, Besia spogląda na mnie. Nawet nie wiem, kto siedzi ze mną w samochodzie. Widzę Ignaca, widzę Renę. To dobrze, że akurat oni. Są najwytrzymalsi. Wjazd do szpitala jest od Miłobędzkiej. To ciasna uliczka, teraz cała zastawiona dziesiątkami czekających w kolejce karettek, błękitne światła kręcą się na dachach. Ratownicy stoją oparci o samochody, piją energetyki, jedzą kanapki, palą. Mają oczy bardziej szklane niż ci, którzy wychodzili z Luster we wtorek o piętnastej. Muszą być trzecią, czwartą dobę bez snu. Na dziedzińcu szpitala widać główny zbiornik instalacji tlenowej. Jest pusty.

Zostawiamy auto na podjeździe. W powietrzu wisi ciężki smród środka do dezynfekcji – niektórzy wcierają go w ręce, inni czyszczą nim nosze i wózki na zwłoki. Próbuujemy wziąć Przemka pod ramiona, zawlec w stronę wjazdu. Potężna, bezwładna, ciepła kupa mięsa. Nic nie jest tak ciężkie jak umierający człowiek.

Buty szorują mu o asfalt. Ratownicy patrzą na nas, nie reagują. Nie mam im tego za złe. Jeden z nich ostatecznie zostawia swojego red bulla

i podbiega do nas, kładzie Przemkowi dłoń na czole, rzuca „kurwą”.

– To bez sensu. – Kręci głową. Ma jakieś trzydzieści lat, oczy dwa razy starszej osoby. Pomarańczowo-czarna kurtka jest brudna od sadzy, smaru, wygląda jak mundur, zresztą cała ulica przypomina okop.

– Co bez sensu? – To, co mówi, dociera do mnie dopiero po dłuższej chwili.

– Połóż go na ziemi. – Pokazuje palcem.

Besia zaczyna na niego wrzeszczeć. Czy on zdurniał, na jakiej, kurwa, ziemi? Co to za traktowanie ludzi? Ma zmęczone gardło, wrzask przechodzi w skrzek. Ratownik nie reaguje. Tylko tak da się to przeżyć, blokując się na ludzki głos. Na piersi ma plakietkę z imieniem – Antek.

Gdzieś wysoko nad nami warkot helikoptera. Jak można zobaczyć cokolwiek w tej parującej śmierci?

– Antek – mówię.

Pokazuję Besi palcem sznur karetek, nie reaguje, więc biorę jej głowę w dłoń i delikatnie obracam, pokazuję jej ten upiorny korowód.

– Nikt go nie przyjmie – tłumaczę jej. – Tak jak ich wszystkich.

Antek patrzy na mnie i kiwa głową. Cieszy się, że ktoś go zrozumiał.

– Zadzwoń do niej – mówi Besia. Nie chce ze mną polemizować. Chce mi wydać polecenie.

– Mama jest na emeryturze – odpowiadam.

– No to tym bardziej, wszyscy ją znają, zadzwoń do niej.

– Nie, Besia. Nie zadzwonię do niej i nie będę jej o nic prosić.

Ma w oczach złość, niezrozumienie i desperację.

– Ona nam nie pomoże. To będzie strata czasu. – Nie umiem jej tego inaczej wytłumaczyć.

– Nie mam nawet noszy. – Antek rozkłada ręce.

Przemek osuwa się na ziemię, ścieka po powietrzu. Gdy uderzy o beton, pęknie jak balon.

– Daj energetkę. Dwie, jak masz – rzuca ratownik do kolegi.

Ten podaje dwie folie.

– Macie jakiś koc, szmatę, cokolwiek?

Besia reaguje pierwsza, idzie do auta, grzebie w pace, następnie wyciąga koc z Ikei, stary, śmierdzący benzyną i nadgryziony przez mole. Antek wystawia kciuk do góry.

– Połóż folię. Na to koc. I na to jeszcze jedną folię.

– Którą stroną, srebrną, złotą...

– To nie ma znaczenia. Podłóż mu jeszcze coś pod głowę – mówi.

Zdejmuję kurtkę, zwijam ją w rulon i kładziemy Przemka na zaimprovizowanym legowisku. Drży, trzęsie się coraz mocniej.

– Dam mu kroplówkę z paracetamolem – informuje Antek.

Wraca do karetki. Reszta ratowników przestała zwracać na nas uwagę. Za chwilę na tej ziemi będą leżeć kolejni.

Stoimy nieruchomi, para wypada nam z ust grubymi obłokami. Jesteśmy zupełnie sami, spisani na straty od samego początku. Ktoś skradł nam nasze życie, zamurował możliwości. Tak naprawdę dawno temu, wiele lat przed zarazą.

Ściskam Besię za rękę. Ignac kuca, kładzie dłoń na czole Przemka.

– Jeśli on to ma – mówi – to my zaraz też.

– Nie wytrzymam tego drugi raz – odpowiada Besia.

– Daj spokój, ty tylko nie miałaś wężu – przypomina jej Ignac.

Besia każe mu spierdalać.

Hałas. Szelest. Pisk. Ktoś rzeźi, wykasłując płuca. Czyjeś życie zaczyna uciekać w pustkę. Ktoś głośno hamuje.

Antek wkłupa się Przemkowi w rękę, podaje mi kroplówkę, abym ją trzymała. Następnie siada na schodkach karetki, zapala papierosa. Pokazuje kciukiem na tył samochodu. Dobiega stamtąd pikanie defibrylatora i coś, co chyba jest oddechem, ale brzmi jak zarzynanie starego silnika na jedyńce.

– Ten ma osiemdziesiąt lat. Moim zdaniem umrze za godzinę.

– To jakiś horror, prawda? – pytam go.

– Nie, to nie jest horror. Horror to taki film z potworami. Na to nie ma słowa – odpowiada Antek. Kładzie Przemkowi rękę na szyi, następnie wsuwa mu ją pod bluzę. – On jest cały mokry.

Woła drugiego ratownika. Ja wkładam Besi worek z kroplówką w dłoń i nachylam się nad Przemkiem. Wciąż się trzęsie, bezgłośnie porusza ustami, w końcu z gardła wydobywa mu się cichy, przeciągły jęk.

– O Boże, jak boli, mam, jak boli. – Ma głos małego chłopca.

– Oni się tak nie pocą – mówi Antek. – Covidowcy.

Proszę go, aby powtórzył to dziwne zdanie. Podchodzi do niego kolega, krępy facet po pięćdziesiątce. Kuca nad chłopakiem.

– To tak nie wygląda. Oni bardziej rzeźą, duszą się. Wchodzi im na płuca. Nie umierają na gorączkę. – Antek próbuje powiedzieć mi wzrokiem coś więcej niż słowami. Ale nie czytam co.

Szlaban się podnosi, by zaraz opaść. Jedna karetka na samym froncie kolejki bardzo powoli wjeżdża na teren szpitala. Szlaban od razu opada, następnej przed nosem.

– Gdzie cię boli? – Antek korzysta ze względnej przytomności chłopaka. Ten podnosi głowę, otwiera szeroko oczy. Ma źrenice jak czarne dziury.

– Wszędzie – mówi nagle bardzo wyraźnie. – Boli mnie wszędzie.

Antek przenosi wzrok na Besię, która ściska worek z kroplówką.

– Zabierzcie go tam, skąd go przywieźliście. Najlepiej przywiążcie go czymś do łóżka. Zmuszajcie go, żeby pił. Wtedy może przeżyje.

Besia nie odpowiada, ucieka wzrokiem.

– Co mu jest? – pytam go.

Ratownik mówi coś do swojego kolegi, nie słychać co.

– To głód – zwraca się do mnie.

– Ale on jadł – odpowiadam jak idiotka.

– Opiaty. Heroina. Odstawienie – precyzuje.

Ignac łapie moje spojrzenie. Nagle wygląda jak uczeń przyłapan na wpisywaniu sobie samemu ocen do dziennika.

– To pewnie te świetliki – mówi kolega Antka. I zaraz spluwa, jakby musiał oczyścić usta z tego słowa.

Świetliki, małe zielone kapsułki w sejfie Kurtki. Robaczki dryfujące w ciemności. Zaczarowane.

– Skąd wiesz? – pytam.

Antek posyła mi błagalne spojrzenie.

– Słuchaj, ja nie śpię siedemdziesiątą drugą godzinę. Nie wiem, gdzie jestem. Zaraz znowu będę po kogoś jechał. Zabierzcie go stąd i dajcie mi spokój.

W ulicę powoli wjeżdża karawan. Mija nas, zatrzymuje się przy pierwszej karetkie przed szlabanem.

Ignac i Besia z trudem podnoszą Przemka z ziemi, stawiają go do pionu, bardzo delikatnie. Teraz rozumiem, jak bardzo go boli. Każdy krok stawia, jakby następował na gwóźdź. Po chwili znowu traci pion, uderza kolanami o asfalt.

– Poczekajcie. – Antek podchodzi do nas, pokazuje nam, abyśmy położyli Przemka z powrotem. Kuca przy nim i każe nam odwrócić go na bok. Gdy nam się to udaje, robi mu zastrzyk w dupę.

Ciało Przemka lekko podskakuje.

– Relanium – tłumaczy Antek, podciągając mu gacie. – Tyle mogę.

– Bardzo ci dziękuję – mówię cicho.

Przemek odpływa. Ledwo podnosimy go do pionu.

– Za chwilę go odetnie – rzuca Antek i odchodzi w tę przeklętą, straszną noc.

Ruszamy z powrotem w stronę auta. Wisi nad nami śmierć, niewidoczna jak tlenek węgla.

Kładziemy Przemka na podłodze paki, jak najostrożniej, pośród cuchnących smarem szmat, narzędzi i śmieci.

– Ty prowadzisz – mówię do Ignaca – i masz jechać dwadzieścia na godzinę.

Siadam przy Przemku, przyciskając plecy do zimnej blachy. Trzymam tę kropłówkę, jakbym miała w ręku jego życie.

Ruszamy.

– Wiecie, o czym on mówił – nie pytam, informuję.

Milczą.

– Ja tylko wiem, że jest coś takiego – szepcze w końcu Besia. – Ale nas na to nie stać.

– Kłamiesz, Besia. Kłamiesz, kurwa, kłamiesz.

Niech to wszystko coś znaczy, myślę, chociaż przez jeden dzień. Niech ktoś zaśpiewa piosenkę, którą będzie można powtórzyć. Niech opowie historię, w którą będzie można uwierzyć. Te wszystkie planety, niby podobne do Ziemi, niby w samej Drodze Mlecznej jest ich trzysta milionów – one wszystkie są puste. Są tam tylko skały, rozgrzane do czerwoności lub zimne jak piekło, albo słona i martwa woda. I tylko ta jedna planeta porosła dziwną zieloną pleśnią, nie wiadomo dlaczego. Pleśń wyhodowała miliony par oczu, aby planeta mogła patrzeć sama na siebie. Ja mam jedną z tych par oczu, ale nic nie widzę. Pleśń pobudowała sobie schronienia, które wyewoluowały w miasta. Jesteśmy w jednym z nich. Miasto gaśnie. Pleśń umiera.

Ten asfalt, te budynki, koryto rzeki. Drzewa w parkach, auta na parkingach, okna rozświetlone trupim światłem. Pułapka o nazwie Warszawa, dziwnie zaprojektowana, pełna śniących ludzi, którzy nie chcą ani żyć, ani umrzeć. Niech to będzie jakąś opowieścią, niech ma zakończenie. Morał. Wyjaśnienie, dlaczego mamy dalej w to brnąć.

Kiedyś wszystko we mnie było potężne. Moje miłości i nienawiści – paliłam nimi budynki, zalewałam całe ulice. Moje wielkie nadzieje,

kwieciste autostrady. Szeroki świat pod oślepiającym słońcem. Marszałkowska, Nowy Świat, Francuska, Targowa. Dzielnice, bloki, kamienice, widoki. Rzeka i schodki. Teatry i place. Nie robiłam ani kroku do tyłu. Patrzyłam światu prosto w oczy.

Teraz kręcę się w kółko w ciemności, ślepa i zmęczona. Każdego dnia myślę – ten jest ostatni. Dziś się przewracam. Koniec. Kaput. Zwyczajnie nie mogę dalej. Ale nie, ciało dalej się kręci, wprawione w ruch przez głupią i ślepiącą siłę.

Dawno temu na dworcu w Odessie widziałam konduktora, który stał przy drzwiach do pociągu i podawał rękę każdej wysiadającej osobie. Postaw mi na drodze kogoś takiego.

Dobrego człowieka.

*W bezgwiezdną noc, gdy ciemna noc
odbiera każdą radość nam.*

*Odezwij się, przywołaj mnie,
tak bardzo nie chcę zostać sam...* ⁹

– Pazina.

Otwieram oczy. Wjeżdżamy na most Łazienkowski.

– Pazina, sorry. – Przemek się krztusi. – Ja to ćpałem. I Lucek to ćpał. Jakoś od pół roku. Miałem to od niego.

Jest tak mokry, jakby ktoś oblał go wodą. Dopiero teraz, w zamknięciu, gdy siedzę obok niego, czuję, że cuchnie jak szpitalny korytarz.

– Przepraszam, Pazina.

W szybie drzwi do paki widać krawędź mostu i Wisłę, rozciągniętą jak płachta błyszczącej skóry.

– Załatwialiśmy na to kasę sami. On zaczął się ruchać, żetonować na kamerkach, a ja... – urywa, nie ma siły mówić dalej.

Ruchać się. Żetonować. Te dziwne wyrazy, nagle brzmiące jak z jakiegoś obcego, archaicznego języka, dotyczą chłopca, który płakał na bajkach. Nie do końca je rozumiem, stają się obcymi kształtami. Tak, wiem, to tylko moja naiwność, stereotypy, boomerstwo.

Lucek był pełen sprzeczności. Jak, kurwa, każdy. Lucek był człowiekiem. Lucek potrzebował pomocy.

– A ty co? – pytam z zaciśniętym gardłem.

– Ja to sprzedawałem przez Instagrama, taki resell robiłem. Bo tego jest mało. Jakby specjalnie za mało.

Dojeżdżamy pod Azyl. Nie mam siły być wściekła. Słyszę, jak Przemek charczy:

– Gdybym umarł, Besia zna adres mojej mamy.

Mówię mu tylko:

– Zamknij się. Po prostu się zamknij.

*

Wyrzucam z siebie krótkie komendy: zrobić śniadanie, umyć się, czekać. Dziękować Bogu, że was nie pozabijałam. Myjemy Przemka pod prysznicem, Ignac go podtrzymuje, żeby się nie przewrócił, ja szoruję gąbką. Na ciele ma mnóstwo podłużnych, nieregularnych ran. Niektóre są zakażone.

– Drapał się. To tak bardzo swędzi – wyjaśnia Ignac.

– Jak bardzo?

– Tak bardzo, że mój ziomek próbował odciąć sobie rękę, ale matka powstrzymała go w ostatniej chwili – mówi cicho.

Patrzę na niego. Wyłączam wodę. Zaczynam wycierać Przemka ręcznikiem. Wciąż cuchnie szpitalem, nawet po półgodzinnym prysznicu.

Gdy kładziemy go do łóżka w czystym ubraniu i czapce, zaczyna z powrotem wyc – jego ciało budzi się do życia. Może dla Jezusa to nie ukrzyżowanie było najgorszą gehenną; prawdziwym piekłem było wstanie z grobu.

– Pilnuj go – rzucam do Ignaca i schodzę do kuchni.

Szykują się do jedzenia zebrani przy stołach. Wiktor wyjmuje tosty z upańkanego opiekacza. Pomieszczenie pachnie kawą rozpuszczalną i serem. Staję w drzwiach. Oni wbijają wzrok w talerze.

Kurwa mać.

Każde z nich wiedziało.

Powinnam ich za to wszystkich stąd wyrzucić. A potem śmieję się do tej myśli. Wyrzucić się stąd sama, Pazina.

Mały telewizorek tym razem jest włączony, choć bez dźwięku. Na ekranie widzę twarz ministra zdrowia. Jak on ma na nazwisko? Jak jakaś piosenkarka z dawnych lat. Z nabrzmiałą twarzą i worami pod oczami wygląda strasznie, ewidentnie jest na granicy wydolności. Na chwilę włączam dźwięk.

– Z zaniepokojeniem obserwujemy wzrost skali zakazeń, następne obostrzenia będą zależały od tego, czy będzie on wykładniczy... Dlatego musimy czekać. Tak, tak, musimy poczekać.

Ściszam. Facet na chwilę chowa twarz w dłoniach, po czym bezgłośnie otwiera usta. Trudno powiedzieć, czy ziewa, czy wrzeszczy, w każdym razie robi to przed kamerami. Minister zdrowia. Jest w jeszcze gorszym stanie niż ja.

– Jak on ma na nazwisko? – pytam.

Nikt mi nie odpowiada. Pytam jeszcze raz.

– Kunicki – mówi w końcu ktoś, chyba Besia.

Kiwam głową. Minister Kunicki. Jak Halina Kunicka. Miła pani, śpiewała *Orkiestry dęte*. Moja mama słuchała jej płyt.

– Kto jeszcze z was to bierze? – pytam.

Znowu milczenie. To nie ja, myślę, ja nie chciałam być nauczycielką, na lekcji stać i krzyczeć na dzieci.

Dopada mnie wilczy głód, biorę tost, chlustam na niego keczupem. Wgryzam się w zapieczone kromki, a gorąca, serowo-słodka maź spływa mi po przelyku, parzy gardło. Jeden chłopak podnosi rękę. To chyba Gutek. Za duża bluza pokryta wzorkami jak logówki blackmetalowych zespołów, przetłuszczone włosy ufarbowane na flamastrowy róż.

– Ja... ja kiedyś, ale się nie wkręciłem – mówi.

– Ja też próbowałam, na imprezie – odpowiada cicho Rena – ale straciłam przytomność.

Spoglądam na Wiktora. Stoi w rogu kuchni, wciska się w ścianę, jakby chciał zniknąć. Podchodzę do niego i patrzę mu w oczy. Ucieka spojrzeniem.

– Co ty myślisz, Pazina? – pyta. – Że to się da tak żyć? Myślisz, że tylko my to robiliśmy?

– Wpisz sobie w Facebooka „OPIO LOT XO”. Poczytaj sobie, zobacz. Albo wpisz sobie „Świetlikowcy”, poczytaj, co piszą rodzice – dodaje Besia.

Dotykam dwoma palcami brody Wiktora, kieruję jego głowę w swoją stronę. Na coś się, do diabła, umówiliśmy. Coś mi obiecali.

– Mieliście się o siebie troszczyć. Mieliście o siebie dbać. Widzieliście, jaki jest Lucek. Widzieliście, że ściąga na siebie kłopoty. Pamiętacie, jak wrócił ze Skaryszaka z pogryzioną ręką? Pamiętacie to, czy tylko ja to pamiętam?

Wiktor coś odpowiada, brzmi jak „przepraszam”, ale jest zbyt cicho i niewyraźnie. Odwracam się do pozostałych. Ale oni już na mnie nie patrzą. Powoli biorą swoje jedzenie, ze spuszczoneymi głowami uciekają, zostawiając nas samych. Mają dość. Musiałabym na nich nawrzeszczyć, aby tu zostali. Nie mam na to siły.

– Co ja jestem, czyjaś matka albo ojciec? Nie jestem, Pazina! A poza tym o co ci chodzi, sama cały czas palisz skuna, odpiardol się od nas!

– Skun to nie tabletki z heroiną.

– To nie jest heroina.

– To coś jeszcze gorszego.

– Ty przynajmniej coś przeżyłaś, Pazina – mówi. – A my? Mamy po dwadzieścia lat, mieliśmy mieć przed sobą całe życie, a zaraz wszystko się rozsypie. Ugotujemy się żywcem. I tak to miało wyglądać? Życie w strachu o każdą jedną rzecz? Ja się boję, czy przejadę bezpiecznie metrem i czy świat będzie istniał następne pięć lat, i czy zdążę, kurwa, chociaż pojechać do Berlina. Zawsze chciałem zobaczyć występ Sashy Velur, odkąd wygrała Ru Paula. Myślisz, że ona jeszcze kiedyś gdziekolwiek wystąpi? Że ktokolwiek wystąpi gdziekolwiek?

Wpatruję się w czarny, tłusty okrąg na ścianie pod okapnikiem. Coś próbuje się przez niego wydostać. Wystawia oczy. Ale gdy mnie zauważa, chowa się z powrotem. Bardzo dobrze. Siedź tam, kurwo.

Zwracam twarz Wiktora w swoją stronę. Widzę łzy, pryszcze, wąsik, małe zakażenie w nozdrzu, w miejscu po kolczyku.

– Ćpałeś to czy nie?

– Spróbowałem. I się przestraszyłem.

– Czego się przestraszyłeś?

– Że od razu wszystko zniknęło – szepcze. – Że cały lęk sobie poszedł. Zamienił się w ciepłą watę.

Pamiętam słowa Ewy, gdy zakładałam Azyl. Posadziła mnie naprzeciwko siebie, pośród amuletów, kotów, w tym swoim ciepłym kurzu, dała mi napar z czegoś podobno zaczarowanego i powiedziała: nie rób tego, kobieto, to samobójstwo. Ale skoro już musisz, to pamiętaj, nigdy nie może być ci ich szkoda. Litość to zbrodnia. Jeszcze raz, powtórz, powoli, przemedytuj te dwa wyrazy. Litość. Zbrodnia.

Tyle że oprócz litości jest też miłość, i ja ich kocham, każdego z osobna i wszystkich razem, ta miłość jest jak stary węglowy grzejnik przytroczony na stałe do pleców.

Przytulam Wiktora, mimo całej tej złości. A on mówi:

– Rozmawiałem z nim wtedy, tamtego wieczoru. Gdy wrócił ze Skaryszaka.

Odsuwam się od niego. Patrzę mu w oczy.

– Tylko mów prawdę. Mów prawdę, Wiktor, bo coś ci zrobię. Przysięgam.

Zaciska usta.

– Mówił, że był u takiego typu, youtubera – odpowiada z ociąganiem. – Że mam nikomu nie mówić, bo ten typ to gigachad. Taki giga-giga. W sensie, był w więzieniu, a teraz walczy w MMA czy coś takiego. Nie wierzyłem mu. Mówił, że ten koleś lubi na ostro, czasem go trochę podrapie, ale Lucek daje mu consent, wie, że typ nie robi mu krzywdy. No i pieniądze były super. Chciał wynająć mieszkanie.

– Nie chciał wynająć mieszkania. Chciał ćpać.

– Skąd to wiesz, co?

– Wiem, Wiktor. Imię.

Wyciera oczy, uspokaja oddech. I wymawia imię, które doskonale znam. Wymawia je głośno i bez strachu.

– Nie pójdę na policję, Pazina. Nie ma szans. Boję się. Ja wiem, że Lucek... ale ja się zajebiście boję policji. Nie wierzę im i boję się ich. Oni się cieszą, że on nie żyje.

– To nieprawda, Wiktor. Oni się nie cieszą.

– Nieważne. Tylko ty możesz go znaleźć.

Przytulam go znowu.

– Przepraszam – szepcze. – Ja sobie nigdy tego nie wybaczę.

– Ja też nie.

Widzę go. Lekko niewyraźnego, jak na spauzowanym filmiku. Siedzi uśmiechnięty, z mikrofonem w łapie i ze wzwodem w gaciach. Patrzy na dziewczynę obok. Gwałci ją tym, co mówi. Na koniec dodaje, że to wszystko było tylko nieporozumieniem.

29 WRZEŚNIA 2020

Dziwne – to mało powiedziane. Nierzeczywiste, to może lepsze słowo. Ale jak jesteś taki mądry, to pokaż mi coś rzeczywistego, kimkolwiek jesteś.

– Jesteś tu tylko dlatego, że cię lubię – oznajmia Ewelina.

– Dzięki, że mnie lubisz – odpowiadam.

– Trochę nie mamy na to wpływu, co nie? Kogo lubimy.

Nie łapię tego, co powiedziała. Wciąż jestem wyczerpana, parę godzin snu niczego nie załatwiło. Wszystko jest nierzeczywiste. Gdyby nie smak i temperatura kawy, myślałabym, że to sen.

– Jeżeli mielibyśmy na to wpływ, życie byłoby dużo prostsze.

Teraz rozumiem. Tak, oczywiście, że ma rację.

Jeszcze w progu dała mi odkażacz do rąk i kazała założyć maseczkę.

– Dzieci – wytłumaczyła.

Wskazała na dwóch pyzatych chłopców stojących karnie w rogu, zupełnie do niej niepodobnych.

– Za dziesięć minut zaczynasz lekcje – zwraca się Ewelina do jednego z nich – i idziesz do komputera.

– Nie chcę iść do komputera na lekcje. – Starszy chłopczyk wydyma wargi.

– Ja też nie chcę. – Młodszy jest bardzo podobny do starszego, tylko bardziej pyzaty.

– Ty nie masz lekcji, Remik. Ty oglądasz telewizor – mówi Ewelina.

Oślepia mnie słońce wpadające przez okno wychodzące na podwórze, muszę usiąść do niego tyłem.

– Masz męża? – Nie wiem, dlaczego o to pytam, może z niewyspania. Inna rzecz, że jeśli rzeczywiście jest sama z dwójką dzieci, to nie mam pojęcia, jak łączy wychowywanie ich z pracą w policji.

– Krzysiek jest w Norwegii. – Nalewa sobie kawy z dzbanka, puka w niego palcem. – Jak się skończy, to zrobię nową.

Nie oponuję. Kolejna kawa niczego już nie zmieni.

– Dlatego to mieszkanie jest spłacone, dlatego Franek ma nowy komputer do lekcji – ciągnie. – Myślisz, że ile ja zarabiam?

– Tęsknisz za nim?

Nie odpowiada, tylko patrzy mi w oczy. Rozumiem to spojrzenie. Nie chce nic mówić, bo za słabo się znamy. Nie chce też kłamać.

I jakby idąc jej na ratunek, za ścianą eksploduje jakaś kosmiczna maszyna. Ewelina wychyla się z kuchni, krzyczy do chłopców, aby ściszyli.

– Nie jest źle, zaraz przyjdzie do nich babcia – pociesza samą siebie.

I nagle na parę sekund przestaje ją rozpoznawać. Jest obcą osobą, wygląda zupełnie inaczej. Trochę jakby za nią pojawiło się silne, bardzo

mocne źródło światła, zupełnie zmieniło jej kształt. Uczucie jest nieprzyjemne, gwałtowne, spada mi na głowę ciężkim kocem. Szczypię się w policzek, uczucie mija tak szybko, jak się pojawiło. Zamiast tego nagle wraca mi pełna przytomność. Pamiętam już, po co tu jestem. Czemu zadzwoniłam do niej o świcie, na dzień dobry dziesięć razy ją przepraszając, czemu zamówiłam ubera.

– Lucek spotkał się z Łukaszem. Parę miesięcy temu. Mówił o tym innym dzieciakom.

– A te dzieciaki przyjdą mi to powiedzieć?

Nie odpowiadam. Ona kręci głową.

– Słuchałaś przynajmniej tego nagrania? – pytam ją.

– Przynajmniej. Tak, przynajmniej słuchałam. Znajdę sposób, żeby go zatrzymać. Będziemy to badać. – Widzi po mnie, że jej nie wierzę, więc tłumaczy: – To nigdy nie trwa szybko. Nawet w serialu potrzebują na to jakichś pięciu odcinków.

Kiwam głową.

– Tylko teraz tak. – Bierze mnie za rękę, i ten dziwny gest czułości jest tak niespodziewany, że na powrót ląduję w równoległym wszechświecie. Jej dłoń jest ciepła i twarda.

Podnoszę wzrok. Znowu się zmienia, drży.

– Bardzo, ale to bardzo cię proszę. Już nic więcej nie rób. Obiecujesz?

Kiwam głową.

– Obiecaj, kurwa – prosi mnie.

– Obiecuje.

– Mamooo! – woła dzieciak zza ściany.

Ewelina przez chwilę patrzy przeze mnie, za okno. Chce mi coś powiedzieć, ale zmienia zdanie. Zaciska usta. Muszę się przespać, teraz.

– Pazińska. – Pstryknięcie palcami tuż przed moją twarzą.

Otrząsam się. Wracam.

– Nic. Więcej. Nie. Rób – cedzi Ewelina. – I nie interesuj się tym. – Dolewa mi kawy.

– Chciałam ci coś pokazać. Dlatego tu jestem. – Wyciągam telefon z kieszeni, pokazuję jej ekran.

– Co to jest? – pyta.

– Grupa na Facebooku. Dzieciaki pokazały mi ją wczoraj.

Przysuwa sobie wyświetlacz do oczu, blisko, jak starsza pani. Fakt, to, co jej pokazuję, jest nieczytelne. OPIO LOT XO ma jakieś pięć tysięcy

członków, dzieci ćpających opioidy. Wiktor powiedział potem, że to tylko jedna z wielu. Majka, fenta, oxy. Tramadol. Burprenorfina. Poziomy jak w grze. Opio loteria – zakłady za pieniądze, który pierwszy się przećpa. Głównie uczniowie liceów, ale także starsi i młodszy. Czarne kurtki, kominiarki, kolczyki, tatuaże. Najwięcej jest jednak bezosobowych profilówek, awatarów z memów, postaci anime. Zdarzają się dłuższe posty, ale dominują raczej krótkie wiadomości.

Nie chcę nic czuć FR. Zrobiliśmy 3xOx ale gorzej niż Św. Świetliki slay, najlepiej. Jestem w brzuchu u matki ale u jakiejś innej matki niż moja bo moja jest zjebana lol.

Patrzyłam na to wszystko i czułam się przeraźliwie dorosła, w najgorszym tego słowa znaczeniu. Patrzyłam w prawdziwy równoległy wszechświat.

Teraz patrzy w niego Ewelina.

– Spójrz na to. – Znajduję post, który chcę jej pokazać.

Ale jaja, stary odbierał mi dzisiaj Św z paczkomatu powiedziałem mu że to kontroler do Switcha bo stary sie zjebał XD no cap Ej a ja normalnie podbijam do typa jeżdże do niego niby jak wracam od babci. Mi starzy w ogole nie pozwalaja wychodzic z domu ale mam wolna godzine gdy ida do kosciola pls help mam już bóle miesniowe.

Całe dorosłe życie myślałam, że to zabawa. Lekko w dół albo mocno w górę. Owszem, są jeszcze drągi, co pokazują rzeczy, których normalnie nie ma – kwasy, grzybki, jady żab. Ale nigdy nie wierzyłam w olśnienia i iluminacje. Zawsze były ściemnione, utleniały się bardzo szybko, zostawała po nich tylko dezorientacja. Ja po prostu lubiłam zabawę. Jak małe dziecko, które kręci się w kółko, dopóki się nie przewróci.

Tymczasem to, co pokazał mi Wiktor, to zwyczajna śmierć. Prosta i czarna. Zaplanowana i zorganizowana. Noc w lesie samobójców.

– No tak, świetliki – mówi Ewelina. – Słyszałam o tym.

– Lucek to brał.

– Wiemy. Toksykologia wykazała.

– Wczoraj zawiozłam innego mojego chłopaka na SOR. Myśleliśmy, że ma covid. Ale to było odstawienie.

– Rozumiem, Pazina, ale to nie narkotyki zabiły tego chłopca. Zabił go zwyrodnialec, którego znajdziemy. I mówiąc „my”, nie mam na myśli ciebie i mnie. Mam na myśli mnie i moich kolegów.

Pyta wzrokiem, czy na pewno rozumiem. Kiwam głową. Wtedy mówi dalej:

– Odpocznij. Tyle z tego będzie, że zaraz umrzesz.

Oddaje mi telefon, jeszcze raz łapie mnie za rękę.

– Mamo, lekcja mi nie działa – mówi chłopiec stojący w progu kuchni.

– Zaraz – odpowiada mu Ewelina.

Ściska mnie mocno za nadgarstek. Za mocno, parzy. W tym uścisku jest tajemnica, której nie chce zdradzić. Kawa znowu ma smak. W mieszkaniu przebywa z nami ktoś jeszcze, ktoś, kogo potwornie się boję. Czeka za cieniutką skórą świata, możliwą do rozerwania jednym gestem. Ewelina przestanie być Ewelina. Stanie się złym, słodkim głosem. Głos pokaże swoją prawdziwą twarz.

– Mamo. – Stojące za nią dziecko też może nie istnieć.

– Jeszcze raz: nic więcej nie rób.

– Mamo! – dziecko podnosi głos.

Ewelina wstaje i nie patrząc na mnie, wychodzi z kuchni.

Nie towarzyszy mi w przedpokoju, gdy wkładam kurtkę. Widzę, jak siada między chłopcami, przytula ich do siebie i zastyga razem z nimi, wpatrując się w kreskówkę o wybuchających robotach.

7 PAŹDZIERNIKA 2020

Gdyby nie sąsiadka, przez ostatni rok Menel wykorzystałby wszystkie swoje dziewięć żyć na śmierć głodową. Ale przez ostatni tydzień sąsiadka ma mniej obowiązków. Jeżdżę do Azylu tylko kontrolnie, na kilka godzin. Śmierć Lucka i historia z Przemkiem ich zmieniły. Stali się samodzielni, odpowiedzialni. Nie wychodzą. Dużo rozmawiają. Grają w gry. Umieją się zorganizować. Siedzą cicho jak w bunkrze. Czekają na to, co dalej.

Ja też czekam. Czekanie jest trudne, ale można je wytrzymać. Całe dni to kucanie w boksie, uczucie czekania na sygnał startu. Ten bieg będzie desperacką ucieczką, walką o przeżycie. Ale ta smolista, ciężka pauza pozwala mi się zregenerować, odzyskać siły.

Ewelina nie dzwoni. Próbowалам raz skontaktować się z nią sama. Nie odebrała. Wmawiam sobie, że wie, co robi, na pewno lepiej ode mnie.

Każdy wieczór wygląda podobnie. Prysznic. Joint. Herbata. Joint. Spać. Sen krótki i rwany, prawie świadomy, parogodzinny. W snach za każdym

razem ruch – spacer, bieg, podróż, pociąg. W pociągu nieczytelny krajobraz za oknem. Potem dotarcie do celu, przecucie domu. Coś dobrego, ciepły wieczór, miękka trawa, zapach ziół. Coś w nocy żyje, gada, ćwierka. Obecność kogoś dobrego na wyciągnięcie ręki. Domek na zarośniętej działce. Ktoś mi mówił, że ma taki domek.

W dzisiejszym śnie pada pytanie. Nie wiem, kto je zadaje, głos jest obcy i bardzo daleki.

– Widziałaś kiedyś świetliki?

– Wiele razy.

Zaczarowane kształty wirujące w powietrzu, podświetlone pyłki. Łapię jeden w dłoń, zaciskam. Otwieram, dłoń jest pusta. Ta postać obok, na wyciągnięcie ręki, to Jacek.

Tym razem prawdziwy.

– Spróbuj jeszcze raz – mówi.

Chwytam. Zaciskam. Otwieram. Na dłoni jest zielona fluorescencyjna kapsułka.

Momentalnie się zrywam, siadam na łóżku. Jest wieczór. Musiałam zasnąć po południu, wpatrzona w telewizor.

Rozglądam się po mieszkaniu, próbuję złapać oddech.

– Czy widziałaś kiedyś świetliki? – Głos Jacka w głowie, jeszcze raz.

Nikt nigdy nie zadał mi tego pytania na żywo. Chyba. Nie pamiętam.

Wszystko ma swój spód. Piwnicę. Są warstwy, warstwy i warstwy. Kapsułki. Kurtka. Lucek. Wielka ulga. Pieniądze. Strach. Łukasz Czego Szukasz. Stroboskop w głowie. Wstaję, potykam się o własne nogi. Szukam po omacku oparcia w powietrzu, nie znajduję go, podnoszę z ziemi kota, przyciskam go do siebie. Drapie, więc go puszczam.

– Czy widziałaś kiedyś świetliki?

Jacek. Kurtka. Lucek. Drzwi. Torba.

Kurwa.

Torba.

Zupełnie ją wyparłam.

Otwieram szafę. Biorę torbę do ręki. Jest potwornie ciężka. Tkwi w niej równoległy wszechświat, który wytwarza własną grawitację. Podnoszę ją i znowu rzucam na ziemię.

Zaparzam kawę, zapalam kolejnego jointa i wracam do łóżka. Torba jest w zasięgu mojego wzroku. To zwykła torba, powtarzam. Droga, skórzana, rzetelna torba dla bogatych ludzi. Na Okęciu takie torby mają faceci

w białych tenisowych koszulach, espadrylach i z rolexami na nadgarstkach. Faceci z dziwnymi paszportami, o kamiennych twarzach, którzy nawet nie spojrzeliby na Kurtkę, gdyby go minęli.

Wstaję, otwieram torbę nagłym pociągnięciem suwaka.

Bryły, niekształtne sześciany z folii grubej na palec. Ale nawet spod tej grubej warstwy prześwituje ten pierdolony kolor. Gaszę światło. Zawartość torby wygląda jak skarb. Bajkowa lampa. Co to za pomysł, przychodzi mi do głowy, aby robić narkotyki, które świecą w ciemności?

Żar z jointa spada na folię i wypala w niej małą dziurkę. Panicznie uderzam w pakunek dłonią, biegnę do kuchni, gaszę go pod kranem, wypluwam to, co zebrało mi się na przelyku.

Mam w mieszkaniu torbę pełną opiatów, za którą można iść do więzienia na piętnaście lat. Ja, kobieta oskarżana w mediach o stręczycielstwo nieletnich. Chroniona przez jedną ludzką, upartą policjantkę. Aplauz na stojąco. Bukiety róż. Bardzo dziękuję, nie trzeba było.

Biorę torbę do ręki i wybiegam z mieszkania. Dopiero gdy wciskam guzik przy windzie, orientuję się, że jestem bez samochodu, że przyjechałam tu uberem, a azyłowóz został na Pradze.

Wspomnienie Jacka. Jakiś wieczór, jeden z setek podobnych. Siedzieliśmy u niego w mieszkaniu, ja paliłam trawę, on pił herbatę. Śmiałam się głośno i dużo, on trochę ciszej i mniej.

– A co, jeśli auto się zepsuje? – zapytałam go wtedy.

– To co? – nie zrozumiał.

– Jeździsz po mieście tą swoją superfurą, no ale co, jak ona ci się zesra?

– Nie zesra się. Co miesiąc jest u mechanika. – Popatrzył na mnie, jakbym wylądowała w jego mieszkaniu kartonowym stateczkiem kosmicznym, oficjalna delegacja z Planety Idiotów.

– No i co, i tak się może zesrać, to samochód, Jacek.

– Mam assistance. Dzwonię po lawetę.

– I masz assistance na swoje nazwisko?

– Przestań.

– A towar?

– A towaru nigdy nie mam tyle, żeby nie zmieściło się w kieszeni.

– I co robisz?

– Jadę taksówką.

– I taksówkarz wie, że jedziesz na bombie?

– Czasem wie, czasem nie. Gdy wie, dostaje pieniądze.

– A od czego to zależy?

Umiał ukryć każdą emocję poza zdziwieniem.

– Od mojej oceny sytuacji – odpowiedział, i bardzo mnie to wtedy rozbawiło.

Teraz moja ocena sytuacji jest następująca: chłopaka, który prowadzi, nie obchodzi, co jest w torbie, nie obchodzę go ja, jego imię składa się z samych spółgłosek, jeśli będziemy mieli dzwona, to on ucieknie pierwszy i zostawi mnie tu samą, w rozbitym aucie i z narkotykami wartymi piętnaście lat więzienia.

Ale do żadnego dzwona nie dochodzi. Miasto jest puste. On jedzie wolno. Okolice Panoramy, znowu. Stare-nowe bloki pełne Bułgarów i Rosjan. Skupiam się, próbuję sobie przypomnieć, który to jest blok, która klatka, jaki numer mieszkania.

Tak, oczywiście, że próbowałam do niego dzwonić i pisać. Oczywiście, że nie odbierał. Po tym, jak podrzucił mi torbę, jakbym była narkotykowym oknem życia, nawet się nie odezwał. Trudno, teraz ja się do niego odezwę. Biegnę szybko w stronę bramy.

– Proszę pani – słyszę za sobą.

Jest ich dwóch. Bezosobowi, identyczni. Niebieskie mundury. Twarze zasłonięte maskami. Oczy pozbawione wyrazu jak obiektywne aparatów. Stoją i zadają mi pytanie, co tutaj robię samą swoją obecnością.

Ja pierdolę.

Poprawiam torbę na ramieniu.

– Pani tu mieszka? – odzywa się ten po lewej.

Tego samego wieczoru – albo jakiegoś innego, nie pamiętam – zapytałam Jacka, jak przerabia to nieustanne zagrożenie. Przecież w każdej chwili może zostać złapany, zakuty w kajdanki, zamknięty.

– Wiesz, ja po prostu nigdy nic przy sobie nie mam – odpowiedział.

A gdy pewnie znowu się zaśmiałam, głupia i zjarana, dodał:

– Zachowuję się, jakbym nic nie miał, i wyglądam, jakbym nic nie miał, bo tak naprawdę nic nie mam, Pazina.

– Czyli wmawiasz to sobie? – próbowałam go zrozumieć.

– To jak jazda samochodem. Gdy jestem sam, ciało wie, że to mam. Ale gdy ktoś mnie zaczepia, pyta, prowokuje, wtedy nic nie mam. Jestem inną osobą, po prostu. Jackiem z Olsztyna.

– Proszę pani, czy pani tu mieszka? – dwugłowy policjant pyta jeszcze raz. Torba zaczyna ważyć trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt kilo. Chwytam mocniej za pasek.

– Ja... to rzeczy przyjaciółki. Jest sama w domu. Ma covid. Muszę jej...

– Jeśli pani będzie miała kontakt z chorą, musi pani iść na kwarantannę.

– Tak, tak... Tak. – Kiwam głową.

Zachowuję się dokładnie jak ktoś, kto ma w torbie kilogram narkotyków. Oni z kolei zachowują się, jakby byli na baterie. Gdzieś z tyłu głów muszą mieć ukryte włączniki.

Ubranie klei mi się do ciała. Oddech zaczyna mnie piec.

– Mogę prosić dowód?

Aby mu go podać, muszę postawić torbę na ziemi. Dokładnie w tej sekundzie, gdy to robię, rozlega się chrupnięcie, cichy chrzęst, jakby uderzyć pięścią w puf wypełniony groszkiem. Oni nie reagują. Albo nie słyszeli, albo słyszeli, tylko torturują mnie przeciąganiem swojej reakcji. Krew huczy mi w uszach. Modlę się, żeby wyczerpały im się baterie, żeby zatrzymali się w pół ruchu.

Policjant patrzy w mój dowód, długo, jakby uczył się na nim czytać.

– Marta Pazińska – wypowiada moje imię i nazwisko.

– Tak, Marta Pazińska.

Kręci głową. Tak jakby nie zgadzał się na Martę Pazińską, podawał ją w wątpliwość. Oddaje mi dokument.

– Proszę na siebie uważać – mówi.

Tak. Oczywiście. Jasne. Biorę torbę, odwracam się w kierunku bramy. Po prostu musieli kogoś spisać. Zwyczajnie im się nudzi. Nie wiedzą, co ze sobą robić, tak jak cały świat. Moje serce trochę się uspokaja.

Brama jest zamknięta, nie pamiętam numeru mieszkania ani kodu. Policjanci stoją w tym samym miejscu, jakby rzeczywiście wyczerpały im się baterie.

– Myślisz, że kiedyś cię aresztują? – spytałam Jacka tamtego wieczoru.

Nie odpowiedział, a ja, zjarana, nie zauważyłam, że robi się poirytowany, więc spytałam go jeszcze raz.

– Jeśli robi się to wystarczająco długo, zawsze cię aresztują, Pazina. Tak jak gdy pali się wystarczająco długo, dostaje się raka płuc.

Czasami brzmiał jak zadufany w sobie belfer z kijem w dupie aż po samo gardło. Wtedy lubiłam go najmniej.

– Nie jesteś taki – mówiłam wtedy.

– Dzięki – mówię teraz. Nawet nie wiem, jak wygląda ten ktoś, kto otwiera bramę, nie przyglądam się, natychmiast wślizguję się do środka.

Idę szybko, próbuję przypomnieć sobie rozkład podwórka. Białe kanciasty blok – ale tu wszędzie są białe, kurwa, kanciaste bloki. Jedna trzecia tego miasta to białe lub szare kanciaste bloki. I skąd mam znać kod, przecież to Kurtka zawsze używał domofonu. Podwórko jest puste. Większość okien – martwa i czarna. Może ci wszyscy Bułgarzy na tym osiedlu po prostu wrócili do Bułgarii, zanim zawieszono połączenia lotnicze?

Błądzą palcami po klawiaturze domofonu. W końcu naciskam losową parę cyfr. Ktoś odbiera.

– Kurier – mówię i szybko przebiegam do windy.

Jestem w tym najgorsza. Torba waży sto kilo. Wałę palcem w przycisk tak mocno, że łamię sobie paznokieć. Winda zjeżdża w dół po pięciu latach. Myślę, że to było trzecie piętro. Tak, to na pewno było trzecie piętro.

Na korytarzu czegoś brakuje, potrzebuję chwili, aby załapać czego – smrodu skuna, którym Kurtka z kolegami wypełniał cały pion budynku. A może to jednak nie ten blok? Ale nie, wszystko się zgadza. To tutaj, bez dwóch zdań.

Stawiam torbę na ziemi. Jeśli go nie będzie, po prostu położę mu ją pod drzwiami. Trudno. Jebać go.

Pukam, mocno i głośno.

Mężczyzna po drugiej stronie nie jest Kurtką. Jest potężny, nosi wełnianą czapkę i długą brodę. I obcisłym czarnym dresie podkreślającym ogrom sylwetki. Zasłania całe drzwi, nie widać pomieszczenia za nim. Czuję tylko zapach – słodki i korzenny, jakby ktoś w środku piekł arabskie ciastka. Pytam go, czy jest Kurtka. Jego oczy odpowiadają, że nie rozumie. Czy jest Kurtka? – pytam jeszcze raz.

Odwraca się, mówi coś w języku, który brzmi jak rosyjski. Po chwili się odsuwa, robi miejsce dla kogoś nowego, kto staje w drzwiach. Ktoś nowy patrzy ze zrozumieniem. Jest niższy od poprzedniego, ale jeszcze od niego szerszy, krępy jak byk, na łysej czasce wiją mu się żyły, przez co jego głowa przypomina węzeł kabli spod zapuszczonego biurka, pokryty napiętą skórą. Typ trzyma w ręku garść orzechów albo pestek i co chwila wrzuca sobie jednego lub jedną do gęby. Głośno chrupie i mlaszcze.

Na ścianie za nim wciąż wisi telewizor, ale wieszak na kurtki jest pusty. Na kanapie siedzą jacyś mężczyźni, przed nimi na stoliku stoi potężna

połączana sista. To chyba ona generuje ten zapach.

– Co jest? – pyta facet, bez zbędnej grzeczności.

– Ja do Kurtki.

– Kurtki?

– Kurtka. Olek. To jego mieszkanie.

Facet rozgląda się dookoła. Syczy. Na ustach pojawia mu się bąbelek śliny. Chce splunąć, ale orientuje się, że jest w pomieszczeniu.

– To nie jest jego mieszkanie – mówi po chwili.

– Nie pomyliłam pięter.

– Nie mówię, lalka, że pomyliłaś piętra, mówię, że to już nie jest jego mieszkanie.

– Nie jestem lalką.

– Może i nie. – Lustruje mnie od stóp do głów i się szczyrzy.

Patrzemy na siebie. Dłużej. Uważniej. Rozumiem, że jest zły, i widzę, że powinnam się go bać, może zresztą kiedyś bym się go przestraszyła. Rozumiem, że łysi, brodaci kolesie w głębi pomieszczenia pochodzą z miejsca, do którego nigdy w życiu nie dotrę, i że widzieli rzeczy, których nie jestem w stanie sobie wyobrazić.

– Co jest w tej torbie? – pyta.

– Coś, co należy do Kurtki.

Kiwa głową. Patrzy na torbę i cmoka. Podnoszę ją z ziemi, przewieszam sobie przez ramię. Waży sto dziesięć kilo. Ale za to mam w miarę normalne tętno. Ogarnia mnie nagłe i dziwne uczucie bycia chronioną.

– Kurtki już tu nie będzie – mówi facet.

Odwracam się i zbiegam po schodach, i nawet nie zastanawiam się nad tym, co oznaczają te słowa.

Rozglądam się za zsysem, śmietnikiem, czymkolwiek. Dalej, pod Panoramą, jest stalowy niebieski kontener na gruz z wiecznie remontowanego parkingu.

– Ej. – Pacnięcie w ramię; zapominam oddechu, serce znów mi łomocze.

– Co ej? – warczę.

Chłopak, którego najpierw nie poznaję. Wysoki, szczupły, z bardzo krótkimi ufarbowanymi na blond włosami i w czarnej kurtce North Face narzuconej na jasną bluzę bez nadruku. Łańcuszek wyciągnięty na wierzch bluzy. Czerwone ręce i twarz. Trzęsie się, jest mocno zmarznięty albo po prostu naćpany.

– Szukasz Kurtki, to chodź – mówi.

– To chodź gdzie? – Przyciskam torbę do siebie.

Teraz go poznaję. Był wtedy w Nietoperzu, przestraszony, nad nietkniętym makaronem. To ten chłopak, którego pobili kolesie w kominiarkach.

– Wróbel. – Wyciąga do mnie rękę.

– Skoro tu jesteś, to znaczy, że go szukasz, co nie? Co innego byś tu robiła? Chcesz kupić jaranie?

– Nie, nie chcę kupić jarania.

Mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje, choć okna mieszkania Kurtki – byłego już mieszkania Kurtki – wychodzą na drugą stronę budynku.

– Chcę z nim pogadać.

– To chodź. – Wykonuje nieokreślony gest głową, na znak, abym poszła za nim.

Auto, stara niebieska skoda, stoi kawałek dalej. Z boku ma przyklejone logo Ubera. Chłopak otwiera bagażnik, abym wrzuciła torbę do środka. Nie korzystam, siadam na tylnym siedzeniu i przyciskam torbę do siebie. Chłopak naprawdę jeździ uberem. Na telefonie ma otwartą aplikację. Zaczyna wyjeżdżać z parkingu, ostrożnie, jakby dopiero zrobił prawo jazdy.

Jedziemy krótko, najpierw w stronę Centrum, potem Dolną pod górę, w stronę Puławskiej. Wróbel lekko przypala sprzęgło. Zatrzymuje się, rozgląda dookoła. Puszczą parę aut. Również zachowuje się jak Uber.

– Co to za kolesie w jego mieszkaniu?

– Jacy kolesie?

– Nie udawaj durnia. Ruscy, Czeczeni?

Chłopak milczy, skręca w lewo. Potrzebuje dobrej minuty, by odpowiedzieć.

– Wszystko się zmieniło.

– Zmieniło czy zjechało?

– W sumie to jedno i to samo, co nie?

Zatrzymuje się na parkingu sklepu spożywczego przy Metrze Wilanowska. Powietrze jest brudne i ciężkie, każdy oddech wali mnie pięścią w płuca. Idziemy w stronę bloków na Bukowińskiej. Sprawdzam godzinę w telefonie. Pierwsza. Lęk, nieokreślony, bo coś połknęło mi kilka godzin tej doby – nie sen, bardziej zanik pamięci. Tylko patrzeć, jak połknie mi kilka lat.

W jednym z bloków jest zamknięty lokal z kebabem, pusty w środku. W bladym świetle pojedynczej żarówki widać lodówkę z napojami, pionowy rożen pokryty starym tłuszczem, zawieszony nad ladą menu w plastikowym kasetonie. Nawet przez zamknięte drzwi śmierdzi olejem i nieświeżym mięsem. Koło zlewu piętrzy się pryzma starych chlebów pita popakowanych w folię. Wróbel puka. Po paru chwilach z zaplecza wychodzi kolejny chłopak w dresie Nike. Cały świat zamieszkują tylko chłopcy w dresach Nike. Może gdyby nie oni, wszystko by się rozpadło.

Otwiera drzwi, bez słowa wpuszcza nas od środka.

– Nie można wejść, tam cały czas ktoś siedzi – mówi Wróbel.

– A to kto? – pyta ten drugi. Na policzku ma tatuaż, kilka czerwonych kropel układających się we wzór przypominający brzydki kwiat.

– Nie poznasz jej? – pyta.

On kręci głową. Nie musi mnie poznawać. Ja też ich nie poznaję. Wszyscy chłopcy w dresach są dla mnie tacy sami, jak dla nich identyczne są wszystkie kobiety po czterdziestce.

Prowadzi mnie na zaplecze. Stary tłuszcz wpycha mi się do nozdrzy, zatykam nos, ale on wślizguje się przez zaciśnięte palce. Czuć też smród skuna, lecz nawet on nie jest w stanie wygrać z fetorem smażeniny, którym przesiąknięta jest kuchnia. Na ciasnym zapleczu przede wszystkim widać stół. Na nim – butelki sprite'a i 7UP, coś, co jest chyba amerykańskim syropem na kaszel, a wygląda jak krew tętnicza wlana do plastikowych butelek, papierowe kubki po kawie, potężną popielniczkę, tackę do kręcenia zioła oraz maszynkę do liczenia pieniędzy. Jest też plastikowa torba, w niej jakieś sto gramów pierwszoligowej trawki, widać po kwiatach. Są pryzmy jednorazowych opakowań na żarcie. Pod ścianą detergenty. Hajs – stówy spięte gumkami w małe, brudne cegielki. Jeszcze więcej chłopaków, a pośród nich Kurtka, niekoronowany król tego bajzlu, siedzący na plastikowym krześle. Pije monstera, pali jointa i ciężko oddycha, oddechem sześćdziesięciolatka, który nie uprawia sportu, a musi wejść po schodach na dziewiąte piętro.

– Była pod twoim blokiem. – Wróbel pokazuje na mnie, a ja kiwam głową na znak potwierdzenia.

Wszyscy tu próbują wyglądać groźnie, ale kulą się jak przestraszone zwierzaki. Zdejmuję torbę i podaję ją Kurtce przez stół. Teraz jest lekka. To tylko kapsułki. On nie wyciąga po nią ręk, patrzy mi w oczy. Pierdołę go.

Rzucam w niego torbę, ta ląduje mu pod nogami, tym razem z prawdziwym i słyszalnym chrzęstem folii i kapsułek.

– Po pierwsze, to miał być tydzień. Minęły prawie dwa.

– Sprawy się zmieniły.

– Sprawy się zmieniły w marcu, dla wszystkich i wszędzie, i to żadne wytłumaczenie.

Oblizuje palce, delikatnie wodzi nimi po żarze jointa, słychać cichutki syk podobny do bzyczenia owada. Odkłada go do popielniczki.

– Dałbyś pojarać tego palca, mordo – mówi jeden z chłopaków.

Kurtka, poirytowany, rzuca w jego stronę torbę z jaranem.

– Skreć ci się nawet, kurwa, nie chce? – pyta, po czym zapala z powrotem swojego.

Ma oczy i ruchy lunatyka, musi nie spać od dobrych kilku dni.

– Po drugie, miałeś tam ze mną jechać – ciągnę.

– Gdzie miałem z tobą jechać?

– Spierdalaj.

– Co spierdalaj? Powiedz mi, Pazina, gdzie ja niby miałem z tobą jechać?

Spoglądam po jego kolegach. Patrzą na mnie ze skrajną obojętnością. Myślą, że jestem ich najmniejszym problemem. To nie do końca prawda.

– Do twojego kumpla Łukasza – przypominam mu.

Pokazuje mi dłoń, abym usiadła na wolnym krześle, z boku stołu. Na nim też jest syf, foliowe torebki, opakowania po żarciu. Zrzuca to wszystko na podłogę. Krzesło, lekko pęknięte, trzeszczy pod moim ciężarem.

Kurtka zaczyna się śmiać.

– A tak w ogóle to co u ciebie? Chcesz się czegoś napić? – pyta.

To osaczone zwierzęta. Schowane w nocy, w zaułkach, w dziurach w ścianach. Przerażone i głodne, gotowe gryźć. Ci Rosjanie czy Czeczeni, którzy siedzieli w jego mieszkaniu, weszli tam i go eksmitowali, jak biedną rodzinę z lokalu komunalnego. Może miał broń przy głowie. Może musiał oddać zegarki i kurtki.

– Fajny hajs? – pytam go.

– Nie rozumiem. Hajs zawsze jest fajny, wiesz, o co chodzi.

Kiwam głową w stronę brudnych plików spiętych gumkami.

– Chłopiec, którego zabili. Pieprzył się po hotelach, żeby zarobić na te kapsułki. Ty mu je sprzedawałeś, chuju jeden. Sprzedajecie to dzieciom.

Zabijacie dzieci.

– Mam się popłakać?

– To jest dziesięć razy mocniejsze od heroiny. Mam u siebie chłopaka, który się z tego odtruwa. Nie wiem, czy przeżyje. Jeszcze raz, kurwa, Kurtka, zabijacie dzieci. Żeby mieć na kurtki i bluzy, i zegarki, i łańcuchy, czy co tam lubicie przyczepiać sobie do fiutów, żeby było je w ogóle widać.

– Teraz już naprawdę jestem wzruszony, mordko. Poryczę się jak na *Forreście Gumpie*, jak wchodzi do tej szmuli i skleja, że ma dzieciaka, i to niezjebanego. Wiesz, o co chodzi.

Pokazuję mu fucka.

– Myślałem, że przyjechałaś tu z czymś ciekawym.

– Jesteś mi coś winien, to jest ciekawe.

– Nie jestem ci nic winien. Ja mam swój grind, kurwa. Mam życie, o którym nie masz pojęcia. Nic nie jestem winien nikomu.

– Zostawiłeś to u mnie, bo wiedziałeś, że przyjdą do ciebie ci Czeczeni czy ktokolwiek to jest. Że wszystko ci zabiorą, wyrzucą cię z domu.

Nie odpowiada.

– Za ile sprzedajesz jedną kapsułkę? Za pięćdziesiąt, za czterdzieści?

Zaciska szczękę, bardzo mocno. Próbuje zachować albo udać spokój. W ogóle mu nie wychodzi.

– Ile tu jest forsy? Dwieście tysięcy? Pół miliona?

Nie chciałabym być na jego miejscu, ale też średnio chcę być na swoim. Jak zresztą chyba wszyscy w obecnym czasie.

– Pazina, jak to mówią w *Ukrytej prawdzie*, to skomplikowane jest.

Z powrotem zapala jointa. Jeszcze łyk monstera, drugi, trzeci. Napięcie opada, jego ludzie zaczynają się nudzić. Jestem tylko starą babą. Telefony są ciekawsze.

– Przeprowadziłem się, po prostu – dodaje.

– Gdzie się przeprowadziłeś? Tutaj?

Odgłos nagle hamującego samochodu, jego kumple podrywają się jak koty na dźwięk drukarki. Pisk opon nie ma żadnego dalszego ciągu. Opadają z powrotem na krzesła. Zaraz od tego wykorkują.

Telefon. To Ewelina. Nie teraz. A może odbiorę i powiem: przepraszam, ale dzwoni do mnie policja?

Nagle Kurtka się uśmiecha. Coś mu się przypomniało.

– Duch jest w mieście – mówi, zgniata puszkę po monsterze i rzuca nią w róg pomieszczenia. W tym samym rogu piętury się już kilkanaście takich

puszek.

Proszę, by powtórzył.

– No Duch jest w mieście. – Wstaje, przeciąga się. Podchodzi do drzwi.
– Jest, i to w chuj.

Te słowa wybuchają we mnie, jakbym połknęła petardę. Skupiam się na jego wyglądzie. Może nie jest z nim aż tak źle. Kurtka, którą ma na sobie, to nie Moncler, ale jest jeszcze fajniejsza i chyba jeszcze droższa, zielona jak szkolny mazak, pokryta drobną aplikacją. Na klatce piersiowej logo North Face Gucci. Tak czy siak, fajna kurtka, Kurtka.

– Jest w mieście już od paru miesięcy. On i ten stary popierdoleniec są najlepszymi ziomkami. A może to w ogóle miłość. W każdym razie kręcą wszystkim.

– Stary popierdoleniec?

Obrzydliwy facet. Parę lat temu. Żyletka. Zdrobnienia. Zimno, które pełźnie po kręgosłupie w tempie wytrwałego robaka.

– Mówiliście, że on nie żyje.

– Żyje w chuj. Obaj żyją w chuj. – Kurtka cmoka. Patrzy na swoich ludzi. – Czym kręcą, chłopaki? Wróbel, powiedz pani. Pani się pyta. – Trudno powiedzieć, czy to uśmiech, czy grymas bólu. W każdym razie licówki błyszczą mu sztuczną bielą.

– Ulicą – odpowiada Wróbel ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Nie, nie ulicą. Ulicę to oni zjedli. Oni kręcą Warszawą. Oj, kurwa. Takiej sztuki to jeszcze nikt tu nie zagrał, wiesz, o co chodzi.

Jacek, nad ranem, u siebie w apartamencie. Zawsze mówił, że pójdzie spać na kanapę, i ścielił mi swoje duże łóżko. Nakładał świeżą pościel, tak świeżą, że aż chrupało, gdy przycisnąć głowę do poduszki. Trwało to zawsze bardzo długo. Wszystko musiało być równe, prześcieradło jak tafla szkła.

– Skąd wiesz, że Jacek tu jest?

Kurtka parska śmiechem. Patrzy na Wróbla. Wróbel ucieka wzrokiem.

– Wszyscy go widzieli. Była taka sytuacja... Jak to właściwie nazwać? Panel? Jest takie słowo, mordko... o, konferencja.

– O czym ty mówisz?

– Stał przed nami i powiedział, że od tej pory jesteśmy ich własnością. A potem jego ludzie zaczęli strzelać. Jeden koleś dostał w łeb.

– Kto stanął?

– Wiesz kto. Jak on miał na imię?

Miał na imię Jacek. Jacek kolega. Jacek przyjaciel. Przystojny, ale przeważnie seksualnie obojętny. Zimny, zamknięty, ale tak naprawdę w porządku. Wiarygodny w byciu mężczyzną. Były dziwne momenty, w których go pragnęłam. Zwłaszcza na koniec, gdy widziałam, jak się rozpada. Było kilka chwil, w których chciałam mieć go na sobie, w sobie, przy sobie. Chciałam, aby wziął sobie moje ciało. Aby dopasował je do siebie. Ugniótł, ulepił, przekształcił. Chciałam go zjeść i chciałam, aby on zjadł mnie.

Miałam wtedy przy sobie tak zwanego dobrego człowieka. Przyzwoitego i rzetelnego faceta, który dostał mocno po dupie, właśnie za bycie przyzwoitym i rzetelnym. Miał dziecko. Walczył o nie i o nie dbał. Słuchał i rozumiał. Wspierał i robił mi śniadania.

Ten facet był u mnie, gdy Jacek przyszedł do mojego mieszkania z bronią, naćpany i przerażony, w ekstremalnej paranoi. Był pewien, że sprzedawałam go policji. Dobry człowiek wstał. Kazał Jackowi wyjść. Zrozumiałam, że nie jest w stanie mnie obronić. Że jego słuchanie i rozumienie, i śniadania na nic mi się nie przydadzą. Wiedziałam też, w głębi ducha, że Jacek tak naprawdę nic mi nie zrobi.

Wyrzuciłam Jacka za drzwi. Robiąc to, zadałam sobie pytanie: kogo tak naprawdę chcę stąd wyrzucić?

To nawet nie było takie głupie. To była czysta przemoc przebrana za znajomość. To był syndrom sztokholmski.

Potem Jacek zostawił mnie na lotnisku. Owszem, podarował mi świetne wakacje i trochę pieniędzy, ale tak naprawdę mnie wyrzucił. Byłam dla niego śmieciem, zbędnym balastem.

A później dowiedziałam się, co zrobił Beacie, i sama starałam się go pozbyć. Odczepić od siebie. Wyrzucić.

Nie umiałam. Wciąż nie umiem. Jacek jest we mnie. Mieszka w samym środku kuli zlepionej ze starych, przeterminowanych emocji. Troska. Żal. Zranienie. Nadzieja.

Jacek nie był prawdziwy. Był przedstawieniem, które wciąż oglądam w myślach. Ludzie tacy jak on, gdy pojawiają się w twoim życiu, zabierają ci wszystko. Potem znikają, a ty nawet nie próbujesz tego odzyskać.

Musi minąć długa minuta, abym zdała sobie sprawę, że Kurtka wciąż mówi.

– Poczekaj: on niby jest w Warszawie, tak? – pytam go.

Ale on tylko patrzy na mnie z politowaniem i mówi dalej.

Jacek jest w Warszawie. Próbuję to zostawić, odsunąć. Skupić się na tym, co najważniejsze. Na tym, co jest teraz.

– Słuchaj. To jest pucz. To są rządy junty. Co, zdziwiona, że znam takie słowa? Ja kiedyś wygrałem olimpiadę historyczną.

– Gratulacje.

– Już mi mama pogratulowała. Przejmą wszystko. Ja pierdołę, naprawdę są atomowe te chłopy. Twój były to premierem zostanie.

Przerywa, łapie oddech.

– Po Wietnamczyków nie pójdą – zauważa Wróbel.

– No to nie pójdą, bo nie muszą. Wietnamczycy są jak Protosi w *StarCraftie*. Robią swoje – mówi ktoś inny.

– Jakby Protosi tylko się układali, tobyś nimi nie grał, mordo. – Trzeci głos zaczyna panel o grach komputerowych, który Kurtka przerywa krótkim:

– Dobra, mordo. To nie jest klub fanów kompa.

Zapala kolejnego jointa. Patrzy na mnie. W oczach ma czyste wyczerpanie, nic więcej.

– Kojarzysz Tugajewa? Wiesz, który to? Nie wiesz, bo skąd masz wiedzieć. To ten, co trzyma walki MMA, jeden z głównych Czeczeńców. Wódz klanu, czy jak to się tam u nich nazywa.

– Power MMA? – pytam.

Patrzy na mnie, zdziwiony, że kojarzę tę nazwę.

– Mój ziomal twierdzi, że kiedyś przybalaował z nimi na jakimś vipie. Pili, pili, aż w końcu Tugajewa wzięło na wspominki i zaczął opowiadać, że jak była wojna, to on jako dzieciak był w szpitalu i ruskie wbili na ten szpital i zaczęli rzucać noworodkami o ścianę. Z całej pyty, czaisz? Dziecko po dziecku. Cały oddział tak rozchlapali o mur. Te dzieci darły mordo, ale zaraz milkły. On to widział, na własne oczy.

– Hard – mówi jeden z chłopaków.

Kurtka odwraca się w jego kierunku.

– Hard, kurwa? Hard? Ty innych słów nie znasz, tępą ruro?

Tamten milczy, speszony. Kurtka ciągnie:

– Potem widział, jak jego ojcu ucinali łeb. I weź coś zrób takiemu, powiedz mu coś. Przestrasz go czymś, wiesz, o co chodzi. Wymyśl coś, żeby on się ciebie słuchał. I on jeden podobno nie chce jeszcze iść razem z Dariem. Idzie na zwanie. Duch do niego polazł, ale Tugajew go pogonił.

Jednak Tugajew też w końcu z nim pójdzie. Wszyscy pójdą. To czas długich noży. Może nie jedna noc, ale czas. Miesiąc, góra dwa.

– Faktycznie jesteś dobry z historii, Kurtka – rzucam z przekąsem, którego on nie rejestruje.

Znowu patrzy mi w oczy. Strach w nim byczy, drga jak przepalająca się jarzeniówka.

– Wiesz, co ja myślę? Ten łyso, Dario. Widzi w tobie to, czego się najbardziej boisz, i łapie cię właśnie za to. Jak pająk z *Hobbita*. Patrzy ci w duszę, znajduje w niej taki malutki, najwrażliwszy punkcik, mordo, taką perełkę, i ją zżera. Ty wciąż żyjesz. Czujesz, jak ją trawi. On nawet w tym Tugajewie znajdzie coś, czego ten się boi. Żaby, kurwa. Ślimaki. Chłop nie boi się niczego, ale boi się, kurwa, ślimaków. I on go złapie za te ślimaki, za te żaby.

Chyba zdaje sobie sprawę, jak bezsensownie to brzmi. Wydusza z siebie nerwowy śmiech.

– Co chcesz zrobić? – pytam, a on śmieje się jeszcze głośniej.

– Co ja chcę zrobić? Co ja mogę zrobić? Chuja mogę zrobić. Najszersze chamy w tym mieście nie mogą zrobić nic. – Rozkłada ręce.

– Skoro tak myślisz. – Wzruszam ramionami. To jakieś głupoty. Egzystencjalne rozterki podrzędnego dilerka, który przez chwilę myślał, że rządzi światem, a nie rządzi nawet we własnym mieszkaniu.

– On przydzielał mieszkania, jak za komuny – ciągnie. – Nie wiem po co, chyba dla jaj. Jakichś swoich chłopaków dał do mojego. Mnie zostawił dziesięć koła i mówi: wynajmij klawisz na pół roku. No to wynająłem mikrokawalerkę piętnaście metrów, wiesz, o co chodzi.

– Pierze wam mózgi – mówię głucho. – Robi tak, żebyście nie wiedzieli, o co chodzi.

– Nie, to jest dosyć oczywiste, o co chodzi.

Wstaję, podchodzę do drzwi. Ewelina znowu się do mnie dobija. Za to nikt nie dzwoni z Azylu. To dobrze. To znaczy, że Przemek żyje. Ewelina ma rację, nie mogę stać w rozkroku między nią a Kurtką, zwłaszcza po tym, co mi właśnie powiedział. Wciąż dzwoni, odbieram. Słyszę jedną urwaną sylabę, mówię, że zaraz oddzwonię, i ją rozłączam.

– Pazina – odzywa się Kurtka.

Naciskam klamkę.

– Najpierw chciałem przyjechać do ciebie z bronią, wycelować ci ją w łeb i kazać ci to pogonić, przez tych twoich przychlastów. No, ale to nie

byłoby fajne, wiesz, o co chodzi.

Zamykam za sobą drzwi i w ciemności wpadam na plastikowe krzesło. Klnę. Chcę otworzyć drzwi na ulicę, są zamknięte. Znowu klnę. Ewelina dzwoni jeszcze raz. Teraz odbieram.

– Mam nadzieję, że cię obudziłam. Że jesteś w domu.

– Nie, nie obudziłaś mnie. – Staram się mówić jak najciszej.

Kurtka pojawia się w drzwiach na zaplecze. W ciemności się uśmiecha. Ten uśmiech nie jest ani szczery, ani przyjazny, ani zabawny.

Przechodzi mi przez myśl, że jestem jeszcze głupsza, niż mi się wydaje. On robi krok do przodu, i kolejny, powoli, jakby mnie osaczał. Czy jeśli powiem mu, że właśnie rozmawiam z policją, to będzie lepiej czy gorzej?

– Nagranie. Ten facet.

– Łukasz – wymawiam jego imię, patrząc Kurtce w oczy. Może Kurtka już wie. Znika na zapleczu.

– Nie, ten, z którym był na zdjęciu... gość o pseudonimie Śniady – mówi Ewelina. – Czy możesz wysłać mi to zdjęcie?

Kurtka z powrotem staje w drzwiach, w dłoni trzyma torbę. Bierze zamach i rzuca mi ją pod nogi. Słysząc chrzęst kapsulek uderzających o ziemię.

– Wyślij mi je i powiedz na serio, gdzie jesteś, mogę po ciebie przyjechać.

Rozłączam się.

Podchodzi bliżej. W rękę ma klucz. Obraca go w palcach, dalej świdrując mnie wzrokiem. A więc to tak, kutasie. Wydrapię ci oczy, jeśli tylko spróbujesz...

– Wiem, gdzie on jest – odzywa się. – Zabiorę cię tam.

– Wypuść mnie – mówię bardzo głośno; następne „wypuść mnie” będzie wyrzeczane. To blok, nad kebabem mieszkają ludzie.

– Teraz – podkreśla.

– Wypuść mnie, do kurwy nędzy.

Kuca, otwiera torbę, powoli, z dokładnością chirurga. Zdejmuje rolexa z nadgarstka, łańcuch z szyi, chowa je do środka. Chowa też pieniądze, brudne pliki stów, złotych i euro. Wyjęte z kieszeni, wyglądają jak śnieżki ulepione z błota. Następnie coś, co przypomina portfel do kryptowalut – dziwaczne metalowe USB z długim kablem. Na końcu wyjmuje zza paska broń, znajomy plastikowy pistolet. Jego również chowa do torby. Zamyka suwak.

– To nie jest twoje – odzywam się.

Patrzy na mnie, długo.

– Jest taki burdel, że nie wiadomo, co jest czyje.

– Ja pierdołę.

– Tylko teraz nie w swoim mieszkaniu. Teraz w bezpiecznym miejscu. A potem ci go wystawię. Niech ci będzie, jebie mnie to. – Otwiera drzwi, pokazuje mi gestem, abym wyszła na zewnątrz. – Tylko co zrobisz, jak już go zobaczysz? Zadzwonisz po psy?

– A co innego mam zrobić? – odpowiadam.

Kręci głową.

– Pies wszystko srał. I tak oni wszystkich zabijają.

– Jacy oni, Kurtka?

– Ferdek z Paździocem, Pazina. Duch i Dario. Zabijają wszystkich. Zamawiaj ubera, na ten parking tutaj.

Zamawiam auto, a potem podnoszę torbę z ziemi. On wyjmuję jeden uchwyt z dłoni, zaczynamy nieść ją razem. Idziemy powoli w stronę zaparkowanych aut. Gdzieś w ciężkiej, ciemnej ciszy kolejny sygnał karetki.

Jacek. Jacek jest w Warszawie. Gdzie dokładnie jest Jacek? Kim teraz jest Jacek?

Kurtka wie, o czym myślę.

– Ten twój chłopak to potwór. Taki sam jak tamten. To nie jest człowiek, Pazina. Bo to jest w oczach, wiesz, o co chodzi.

Myśl jak odruch, gwałtowna i wyraźna, myśl-krzyk. Nie masz racji, Kurtka. Pierdolisz głupoty.

*

– Marta, czy ty jesteś naćpana?

Ewa nie spała, tyle dobrze, że jej nie obudziłam. Ale to może być koniec tej znajomości. Mówiłam Kurtce, aby poczekał na zewnątrz, ale on to zignorował, teraz stoi za mną i czeka w półmroku klatki. Koty otaczają Ewkę jak straż przyboczna, tworzą wokół niej ochronny krąg.

– Nie. Posłuchaj. Musiałam uratować jednego dzieciaka, byliśmy pod szpitalem... nieważne, nieważne, Ewa. To nie musi być tutaj – przekonuję – to może być w tym twoim stryszku.

– Kim pan jest? – pyta Kurtkę.

– Kolegą Marty, proszę pani – odpowiada Kurtka.

Ewka zamyka drzwi, a ja mam ochotę w nie walnąć. Kurtka kręci głową. Spluwa.

– Nie pluj tutaj, chamie – warczę na niego.

– Masz jeszcze jakieś miejsce? – pyta.

Telefon. Znow Ewelina.

– Kto się tak dobija do ciebie o tej porze? – Zerka na wyświetlacz.

– Koleżanka – odpowiadam.

– Namolna ta koleżanka. Problemy z typem? Czy domóweczka?

– Nie obchodzi cię to.

Drzwi znowu się otwierają. Ewka stoi opatulona w pled, w rękę ma pęk kluczy.

– Za mną – mówi. Jest zła złością starej nauczycielki.

Kurtka szczerzy się głupio, jak uczeń przyłapany na jaraniu w kiblu.

– Pan zostaje tutaj – decyduje Ewka.

Kurtka wzrusza ramionami, opiera się o ścianę, zatapia w telefonie. Wchodzimy piętro wyżej, w powietrzu smród kurzu, który wsiąkł w starą farbę. Torba jest potwornie ciężka, dyszę, taszcząc ją do góry.

– Marta, czy ty masz kłopoty? – pyta Ewa, otwierając ciężkie metalowe drzwi pokryte odłóżką farbą.

– Oczywiście, że tak. Ale jeszcze nie takie najgorsze.

– Szukasz zabójcy tego chłopaka.

Kiwam głową. Ewka wzdycha.

– Ty głupia dziewucho.

Strych jest ciemny, zagracony. Ewka maca ścianę, szukając włącznika. Wyjmuję telefon, znajduję na Instagramie zdjęcie Łukasza i Śniadego. Robię zrzut ekranu, wysyłam Ewelinie. Ewka w końcu znajduje włącznik. Okazuje się, że tuż przed nosem mam ścianę wzniesioną z czyichś przedmiotów: kartonów, starych mebli, sprzętów, toreb z Ikei pełnych starych ciuchów, z uchwytami związanymi na supeł. Ewka idzie wzdłuż tej ściany, ja podążam za nią. Widzę kolejną hałdę kartonów, sprzętów i siat.

– Za tę torbę można iść do więzienia, co nie? Na dobre dziesięć lat – stwierdza z zadziwiającą fachowością.

– Przecież nie ty pójdziesz. Ty jej nigdy nie widziałaś. Ty nawet nie wiesz, co jest w środku.

Zdejmuje okulary, przeciera oczy. Łzy podchodzą jej pod powieki, ale udaje jej się opanować.

– No jak córka, normalnie. Wszystko, co dobre w córce, i wszystko, co w córce złe.

– Nie wiesz, co jest w środku – powtarzam. – I nikt nigdy nie będzie tu tego szukał.

Pokazuje ręką koniec tunelu biegnącego pod sklepieniem utworzonym ze starych sprzętów.

– Zanieś to tam. Przywal czymś – mówi.

Pochylona wchodzę w półmrok, w zapach grzyba i kurzu, z opiatami za kilkaset tysięcy złotych, tracąc przyjaciółkę. Stąпам ostrożnie, próbując nie zniszczyć zbędnym ruchem tej niepojętej konstrukcji z przedmiotów podtrzymujących się nawzajem siłą własnego ciężaru. Dochodzę do końca. Na prowizorycznym regale zбитym z nieoheblowanych desek kolejne przedmioty, stare łyżwy, magnetowid z wysuniętą, nieopisaną kasetą, czterotomowa historia sztuki, radio Unitra. Zeszyty szkolne. Ubrania. Dawno temu w Warszawie.

Wpycham torbę na najniższą półkę regału, przyciskam ją do samej ściany. Zastawiam kartonem pełnym szmelcu – sztucców, ramek ze zdjęciami, starych proporczyków Legii.

Przemyka mi przez myśl, że ta torba nie opuści tego miejsca przez lata. Zostanie tu, dopóki ktoś nie zechce odnowić tego strychu, zamienić go na kolejne mieszkanie, dopóki nie przyjedzie śmieciarka i nie wywiezie wszystkich tych rzeczy na wysypisko. Łyzew, proporczyków, starego radia, torby pełnej opiatów. A może spadnie na to wszystko bomba, w wielkiej wojnie, która wybuchnie już niedługo. Może to wszystko zamieni się w pył, wśród alarmowych syren i płaczu przerażonych ludzi.

– Więcej o nic mnie nie proś, Marta – mówi Ewa i kieruje się do schodów. Na dole mija Kurtkę bez słowa i wchodzi do mieszkania.

– Dobranoc – rzuca Kurtka w jej kierunku. Zapala jointa i powoli rusza w dół.

*

– Posłuchaj – mówi.

Stoimy na zupełnie pustej Francuskiej. Światło pali się tylko w Efezie. Być może na zapleczu tego kebaba też siedzi jakiś zdesperowany Kurtka nad stolikiem pełnym brudnych pieniędzy.

– Słyszysz? – pyta.

Zaprzeczam ruchem głowy. Słyszać tylko przejeżdżające w oddali auta, ambulanse, odgłosy pustego miasta. Szum jego krwi. Beton, asfalt. Napierające na siebie masy. Zasady tektoniki mrowisk.

Ale nie, pod spodem jest coś jeszcze. I tego czegoś on każe mi słuchać. Buczenie. Rytm. Puls.

– Teraz słyszysz. – Kiwa głową.

Wysiadamy z auta i kierujemy się do jednej z bocznych uliczek. Kubańska? Irlandzka? Nie mogę znaleźć tabliczki z nazwą, może ktoś ją ukradł. Puls się przybliży, wybija spod ziemi. Na skrzyżowaniu z Irlandzką dwóch facetów w czarnych kurtkach, stoją naprzeciwko siebie, patrząc w dół, jakby oglądali sobie nawzajem buty.

– Git? – pyta Kurtka.

– Nic nie jest git – odpowiada jeden z nich.

– Termos chociaż macie? Kanapki?

– A weź daj spokój, kurwa.

Kurtka uśmiecha się. Idziemy dalej.

– Ta twoja babeczka, ona jest pewna? – pyta dopiero teraz, po fakcie, jak głupek.

– To samotna kobieta. Opiekowała się matką przez ostatnie lata. Matka umarła. – Nie wiem, czemu mu to mówię.

– Da mi to?

– Nie da tego nikomu poza mną.

W odpowiedzi cmoka. Trudno powiedzieć, czy w wyrazie aprobaty, czy raczej zdenerwowania. Dochodzimy do celu, którym jest piękna modernistyczna willa z dziurami w elewacji. Naprzeciwko mały zielony skwer, obok niewielki kościół. Patrzą na nazwę ulicy – Nobla.

– Moja babcia umarła. – Kurtka odwraca się do mnie.

– Współczuję.

– Umarła, bo matka kazała jej się zaszczepić. Powiedziałem jej: masz babcie na sumieniu, kretynko.

Mówiąc „kretynko”, spluwa. Lekko naciska furtkę. Z ciemności wyłania się kolejny facet z klanu czarnej kurtki. Rozgląda się w lewo i prawo, jakby przechodził przez jezdnię.

– Psy były dzisiaj już trzy razy.

– No i co?

Facet rozciera ręce. Jest wysoki, szeroki, ale też zmisiały, narobił sobie brzucha. Wyciąga cienkie fajki, wsadza sobie jedną do ust.

– Były i się zmyły. Masz coś?

Kurtka patrzy na mnie, po raz pierwszy od początku tej rozmowy.

– Nie, nie mam nic. Po prostu chcę z kimś pogadać.

– Hasło znasz? – pyta facet.

– Pigalle kasztany coś tam. Nie wygłupiaj się, mordziaty. Ja jestem hasło.

Mordziaty przyznaje mu rację.

Za drzwiami dzieje się coś niespotykanego. Za drzwiami znajduje się maszyna czasu. Hałas, którego dawno nie słyszałam, pot, seks i perfumy, chemikalia, wspólny puls kilkuset osób, stopa w tempie stu trzydziestu uderzeń na minutę jak młot walący o tynk. Impreza. Klub. A więc to tak.

– Pięćdziesiąt złotych od osoby. W cenie welcome drink. – Dziewczyna ma włosy świecące w ciemności i pełno barwnych tatuaży. Największy na dekolcie, czaszka jelenia w koronie cierniowej, symetrycznie odchodzące promienie. Kolczyk w przegrodzie nosowej. Czarne usta. Oczy szare jak popiół. Na zsuniętej na brodę maseczce widnieje nadrukowana uśmiechnięta buźka. – Wychodzimy tylko grupami, co równe pół godziny zbiera się tu grupa gotowa do wyjścia. Nie zamawiamy taksówek ani uberów na tej ulicy, trzeba dojść co najmniej do Francuskiej.

Kurtka rzuca jej stówę.

– Jasna sprawa – mówi.

Wyciągamy nadgarstki. Dziewczyna zapina na nich papierowe bransoletki i przez chwilę wierzę, że wchodzimy do zwyczajnego klubu w zwyczajny piątek albo sobotę. Choroba była żartem, chwilową przerwą, tą rybką, która pływa w nocy na kanale MiniMini.

– Przypominamy, że wchodzicie tu na własną odpowiedzialność prawną. – Tego wieczoru wypowiedziała to zdanie tyle razy, że musiało dla niej stracić jakiekolwiek znaczenie.

Potężny, kilkudziesięciometrowy salon zamieniono w bar. W środku panuje półmrok, wszystko jest skąpane w czerwono-fioletowym świetle z przymocowanych do sufitu punktowych świateł. Okna są zasłonięte czarnymi roletami. Z zewnątrz wygląda to, jakby dom był pusty. Ludzie

łoczą się w kolejce do kontuaru, stoją w grupkach i rozmawiają, niektórzy niecierpliwie podrygują w rytm muzyki.

Uczestnicy imprezy w innych okolicznościach w życiu nie bawiliby się w tym samym klubie. Są lekko pogubieni we własnym towarzystwie. Chłopcy w obcisłych sweterkach i nerkach przewieszonych przez ramię, nerwowo rozglądający się dookoła, lustrujący przeznaczone im dzisiaj dziewczyny, sklonowane studentki Koźmińskich: lekko napompowane usta, obcisłe sukienki, markowe torebki, w uszach kolczyki wielkości słońc. Trochę ludzi po czterdziestce, a nawet po pięćdziesiątce, w tym kobiety wyglądające jak sklonowana Przetakiewicz i kolesie w białych koszulach, rozpiętych na ogolonych klatkach piersiowych. Młode dziewczyny wywołują u starszych facetów widoczny niepokój, oprócz tych starszych facetów, którzy przyszli tutaj z młodziutkami dziewczynami. Młodzi faceci obserwują tych starszych przyczajeni jak lwy. A obok nich jeszcze inne plemię, w kolorowych kurtkach puchowych. Zawinięte przy kostkach szerokie spodnie, wzory tribali na koszulkach, obcisłe sportowe topy, okulary przeciwsłoneczne, estetyka niemieckiego rave'u z lat dziewięćdziesiątych. Poza tym chowające się po kątach nastolatki w gotyckich makijażach. Dziewczyna w piżamie z Hello Kitty. Łysy chłopak w skórzanych spodniach i nabitych ćwiekami szelkach na chudym torsie. Plemiona patrzą na siebie nawzajem. Łączy ich to, że wszyscy są już mniej lub bardziej naćpani. Para przy barze bez skrępowania wysypuje sobie do drinków kryształ z dużych foliowych toreb. Ktoś zagaja rozmowę, chce się poczęstować. Oni w odpowiedzi się uśmiechają. Ogolona na łyso piękna dziewczyna o arabskiej urodzie, z bujnymi biodrami, w dzwonowatych futrzanych spodniach w krowie łaty podchodzi do łebka w kreszowym dresie i z różową kominiarką na twarzy, podciąga kominiarkę, całuje go w usta, następnie bierze go za rękę, wchodzi po schodach na piętro.

– Skąd wiesz, że on tu jest? – pytam.

– Bo nigdy nie przepuścił melanżu. – Kurtka rozgląda się dookoła. Macha komuś w tłumie. – A to jedyny melanż w mieście. Znaczy jest jeszcze coś na Mazo, ale tu jest bardziej jego klimat.

– Tu jest różny klimat – zauważam.

– Nie, tu jest ćpuński klimat, a te sportowe łby są tutaj, bo nie wpuścili ich na Mazo. Pewnie tam jest komplet. No i jest też gruby balet w Marriotcie, na ostatnim piętrze. Ale tam to wiesz, jak zapłaciłaś bańkę podatku za zeszły rok, to może wejdiesz.

– Fajnie – stwierdzam.

– Fajnie to będzie, jak tu wjadą psy – śmieje się Kurtka.

Schodzimy po schodach. Kto to organizuje, chcę go zapytać, ale nie pytam. Piwnica musi być wytłumiona, bo na dole jest potwornie głośno. Niewielki parkiet oświetlają tylko zerojedynekowe błyski stroboskopu. Ludzie są tak ściśnięci, że bardziej rozpychają się łokciami, niż tańczą. Muzyka jest szybsza, dużo szybsza, niż wydawało mi się na górze, hard techno ze śladową ilością melodii, tempo napierdalania w boksterską gruszkę. Przedzieramy się przez tłum, bokiem, przy ścianie. Ludzie podrygują, przyciskając do siebie butelki z wodą. I dopiero teraz przychodzi mi do głowy, że oni wszyscy zachorują. Wystarczy jedna osoba. Jedno kichnięcie, kaszlnięcie. Maseczki noszą nieliczni. Zresztą co dają maseczki? Ta choroba dopiero się rozkręca. Jej ostateczna forma, która wykluje się za rok, dwa, zabije nas wszystkich. Może Kurtka ma rację, może szczepionki to żart. Trącam niechcący wielkiego, trzęsącego się faceta, on oblewa się piwem, z zemsty szturcha mnie w plecy, zaczyna coś krzyczeć, kształt słów nie przebija się przez muzykę, jest tylko wibracja wrzasku. Kurtka odwraca się, coś mu pokazuje, nie chcę wiedzieć co. Facet milknie. Przeciskamy się dalej. W głowie widzę śmierć – sam wyraz w kształcie ogromnego białego neonu. Litera Ś, M, I, E, R, Ć, zawieszona na MDM-ie, na Pałacu Kultury, na Narodowym. Wyraźniejsze niż to miejsce, niż ten tłum, tak blisko, że mogłabym złapać którąś w rękę. Na pewno są zimne w dotyku. Zwłaszcza pierwsza i ostatnia, Ś i Ć.

DJ ma na sobie skórzaną czerwoną maskę psa. Co rusz wciąga coś z podawanej mu dyskretnie salaterki. Otacza go kilka naćpanych mangowych laś. Na chwilę milknie stopa, zostaje sam pulsujący, narastający syntezator. Przejdźcie, napięcie, ludzie zaczynają krzyczeć. Pod krzykiem słyszeć czyjś kaszel, suchy i głośny, ale może mi się tylko wydaje.

Za parkietem korytarz, kolejne pomieszczenia. Ktoś zaadaptował piwniczne komórki na łoże. Pokoje, w których trzyma się ziemniaki i rowery. Wciąż trochę pachną ziemniakami i rowerami. I kurzem, ciepłym. Jakbym dalej była na strychu u Ewy, w tunelu z niechcianych przedmiotów. Zaglądam do kolejnych komórek. Pobielone nagie ściany, w środku stoliki, poduszki z Ikei. Na poduszkach kolesie z dziewczynami albo kolesie z kolesiami nad butelkami wódki i tackami pełnymi kresek. W następnej

łoży dziewczyna robi laskę jednemu z trzech typów, pozostali dwaj nie zwracają na to uwagi.

– Kurtka, kto to wszystko ogarnia? – pytam w końcu.

– Chłop, który miał taki klub, Betlejem. Paluch? Sraluch? Kurwa, już nie pamiętam.

Parskam śmiechem.

– Przecież go posadzili.

– Przecież nikogo nie zabił, mordko, to ile miał siedzieć? Trzy lata chyba odpierdzał. Teraz kradnie jeszcze lepiej niż kiedyś. Teraz w ogóle zajebiście się kradnie – rechocze Kurtka.

– Dlaczego?

– Maseczki, mordko. To jeden wielki napad na bank, mówię ci.

Na końcu korytarza jest otwarta metalowa kłapa pokryta odrapaną farbą, przypomina wielką blaszaną książkę. Nad nią unosi się czerwona poświata, czerwony obłok. Niżej metalowe schody. Z dołu bije inna muzyka, inny puls.

– Schron przeciwbombowy. – Kurtka odpowiada na pytanie, którego chyba nie zadałam.

– Pierwsze słyszę, żeby w tych willach były schrony – mówię.

– W tym jest. Dyplomata tu jakiś mieszkał czy inny generał. Ktoś, kto potrzebował schronu.

Widzi, że się waham. Rusza pierwszy. Ściana muzyki za moimi plecami wchodzi w piszczące crescendo, chyba zaraz runie, zabijając wszystkich dookoła. Ale nie, bit wraca, jeszcze szybszy. Zaraz eksplodują im serca. Kucam, stawiam nogę na metalowym stopniu. Jeszcze raz, wdech. Zamknięte oczy. Nie wchodzi tam. Śmierć ma skórzaną maskę psa, brudne paznokcie i próchnicę. Śmierć nie patrzy, kogo dotyka, dla niej życie to darkroom. Lucek na prosektoryjnym stole. Jacek na lotnisku. Lucek i Jacek, jedna twarz zmienia się w drugą. Najgorszy był ten pocałunek. Nie, nie snułam o nas żadnych głupich planów. Po prostu chciałam, aby się uratował. Aby był dobry. Przynajmniej lepszy.

Ze środka jamy bije chłód, obcy i dziwny, czuć go w samym środku kości. Pierwszy krok, drugi.

Pocałował mnie, a potem kazał mi lecieć. Te trzy tygodnie na drugim końcu świata były snem. Spacer po mieście, wycieczki autobusem. Samotność w obcych miejscach to potrójna samotność. Potrójna pojedynczość w podwójnym łóżku. To puste krzesło naprzeciwko na

kawach, śniadaniach. Samotność to rozmowa z duchem. To schizofrenia. Codziennie do niego dzwoniłam i pisałam, pytałam, kiedy doleci. Nigdy nie odebrał ani nie odpisał. Skasował mi głowę i zniknął.

Lucek na prosektoryjnym stole otwiera oczy. Z kolei Jacek pod terminalem Okęcia je zamyka, a potem spada deszcz, czarny i tłusty jak ropa. Świat przykrywają czarne zasłony. Nie rozgoni ich żaden wiatr. Przez te trzy tygodnie w Argentynie wydawało mi się, że go kocham. To nawet nie była głupota.

Te trzy tygodnie w Argentynie – ostatnia ciepła rzecz, która mi się przytrafiła. Ostatnia, do której mogę się przytulić w myślach. Może nawet lepiej, że go tam nie było.

Na dole wszystko jest zalane czerwienią ciemni fotograficznej. Ktoś krzyczy, jakaś dziewczyna.

Podobno przyleciał do Argentyny, gdy ja już stamtąd wyjechałam, i tam został. Ktoś mi to powiedział, kto? Ta dziwna dziewczyna, Anastazja, która opowiadała ludziom swoje sny? Ktoś z miasta? Tak naprawdę to skąd oni mogli to wiedzieć? Każdy tylko wymyślał jakieś historie na jego temat.

Oprócz tego, co zrobił Beacie. To nie była wymyślona historia. To była prawda.

Kolega Jacek. Przyjaciel Jacek. Mężczyzna Jacek. Jacek jest w Warszawie.

– Idziesz czy nie? – pyta Kurtka.

Chcę krzyknąć: gdzie niby mam iść?

Nadzy faceci z tribalami na klatkach umięśnionych piersiowych, smród, śliska podłoga pokryta petami, kondomami, zakrętkami od popersów. I czerwień, czerwień ciemna jak wybuch słońca.

Trudno ogarnąć mi wzrokiem kształt pomieszczenia. Ludzkie twarze to rozpikslowane plamy.

– To było tutaj już przed covidem – mówi Kurtka.

Zerkam w telefon. Nieodebrane połączenie od Eweliny i dwie wiadomości: „Jestes juz w domu, mam nadzieje? Gdzie jestes?”, „????”

Odpisuję: „Saska”. Uruchamiam tryb samolotowy. Włączam dyktafon.

Za wyłomem czarna kanapa, wielki telewizor z bardzo brutalnym porno. Dziewczyna, która niby ma urodziny, i czterech facetów. Tu, gdzie jesteśmy, też jest ich czterech, z czego jeden pieprzy laskę opartą o ścianę. Drugi tak próbuje ustawić jej głowę, aby ją pieprzyć od drugiej strony, ale laska chce tylko tego z tyłu. Facet rezygnuje i siada. Na stole są małe

bonga, a w nich kryształ. W fotelu rozpiera się Łukasz Czego Szukasz, jego twarz wyłania się z bezładnej czerwieni, nabiera kształtu. Na klatce piersiowej ma wytatuowane pęknięte serce i odchodzące od niego płomienie. Obok Łukasza osoba trans w czarnej obcisłej mini, kompletnie zamroczona. Dotyka swoich umięśnionych nóg, jakby się upewniała, czy w ogóle je ma. Zaraz, ona wygląda znajomo. To przecież Michałka, idolka dzieciaków z Azylu. Łukasz sięga po bongo, zaciąga się crackiem.

– Fajnie się tu, mordki, wygłupiacie. Wysprzęgliło was jak golfa w poślizgu – rzuca Kurtka wesoło. Siada na kanapie obok Michałki.

Ta odwraca się w jego stronę.

– Siemasz – mówi Kurtka tonem, z którego trudno wywnioskować, czy się znają. – Mordo, wyrwało cię jak nigdy nikogo.

Michałka nie reaguje. Kurtka zwraca się do Łukasza:

– Ty, dobrze żeś najebał tego Krakena. Złomotałeś go jak ostatnią sukę.

Łukasz się uśmiecha. Lubi komplementy.

– Z frajerami tak się odbywa. Oliwa sprawiedliwa.

– Do wora, a wór do jeziora.

– Tak, Kurteczka, dokładnie tak, ja go zawiozłem... Ej, Śniady, jak się nazywa to najgłębsze jezioro na świecie, co nie?

– Sraka twojej starej.

– Śmiesznie, Śniady, no powiem ci, żarcik taki z francuskiego dworu.

Kurtka rechocze, głośno i sztucznie. Jeden z facetów odwraca się w jego stronę. Ma oczy jak zaszczute zwierzę. Kurtka pokazuje na mnie, szczyrzy się.

– Mam tu koleżankę, co was bardzo chciała poznać.

– Fanka? – pyta drugi facet. – Lubisz YouTube’a?

– Można tak powiedzieć – odpowiada za mnie Kurtka.

Jego też kojarzę. To Śniady, kolega z Instagrama. Odzyskiwacz długów. Kurtka odwraca się, chce stąd wyjść, zostawić mnie tutaj, ale Śniady wstaje i podchodzi do niego, szybko, łapie go za rękę.

– Już idziesz? A masz coś? – pyta.

Opieram się o brudną framugę. Łukasz Czego Szukasz ma otwarte usta i zamknięte oczy, wygląda, jakby zasnął w pociągu. Całe jego ciało lekko drży.

– Nie mam nic, musiałbym po to pojechać – mówi Kurtka.

Dźwięki robią się zniekształcone, dociążone przez echo. Głos Kurtki również.

– Nie, nie, na pewno coś masz. Siadaj. Siadaj – mówi Śniady. – Siadaj, kurwa. Siadaj, mówię ci.

– Nic nie mam, mordo. Jestem pusty jak łeb tiktokerki.

– E tam. Dramatyzujesz, Kurteczka. Siadaj, pogadamy.

Kurtka przez chwilę milczy.

– Gniewasz się jeszcze na niego? – Śniady pokazuje na Łukasza.

Kurtka staje się inny, sztywny. Napięty. Na twarzy ma coś, co zobaczyłam w nim wtedy, u niego w mieszkaniu, gdy dopytywał o Jacka, a ja mu odszczeknęłam, żeby poopowiadał o swoich dziewczynach.

– Gównu chodzi po ludziach, co nie? Chodzi i idzie dalej. A my musimy żyć, kumasz – ciągnie Śniady.

– Nie jesteś jego papuga, wiesz, o co chodzi – odpowiada Kurtka, pokazując na Łukasza.

– A nie mówił ci tego?

Kurtka wzrusza ramionami.

– Przykro, no ale widzisz, w jakim jest uderzeniu – tłumaczy go Śniady.

Jakby w odpowiedzi Łukasz Czego Szukasz drży mocniej, dostaje regularnych drgawek. Siedząca obok Michałka w ogóle nie reaguje, spauzowana w naćpanym półśnie. Łukasz telepie się, razi go niewidzialny prąd. Może to padaczka, może przedawkowanie. Nagle jego ciało się uspokaja. On szeroko otwiera oczy. Szczerzy zęby.

– KKKUUUUURWAAAAAAAAAAAAAAA!!! – ryczy.

Michałka podskakuje, w końcu wybudzona z letargu. Facet przy ścianie przestaje posuwać dziewczynę. Do pomieszczenia wpada niska i krągła blondynka w lateksowym komplecie, zaczyna wymiotować pod ścianą.

Michałka wstaje zde gustowana. Wychodzi. Stukot jej obcasów przebija się przez cały ten hałas, nadając mu nieoczekiwany rytm.

– Będę się zawijał. Jak coś, to wiecie, gdzie tarabanić – mówi Kurtka.

Łukasz nie rejestruje jego słów.

– Następnego już nie przeżyję, mordo. Mordo, serce mi wyjebało, mordo. Dzwon po pogotowie, szybko, teraz. Tylko powiedz im, że mi covid wybiegł z dupy i trzeba go złapać, bo inaczej nie przyjadą. Dzwon, morduchno, po Ghostbusters. – Gardło Łukasza w końcu się odetkało. Adrenalina zalała mózg, spaliła resztę tego, co racjonalne. Jest cały mokry od potu. Rozgląda się wokół oniemiały, wszystko, co widzi, jest ze światła i prądu.

Lateksowa blondynka wciąż tkwi zgięta w pół w rogu pomieszczenia, skąd dobiega kwaśny zapach rzygów, ale czuję go chyba tylko ja.

– Ej. Nie kochaj jej już. Zostaw ją, mordko. Zapal sobie, weź se zajaraj. Mówię ci. Weź sobie zażyj kochany chmurkę recepturkę – mówi Łukasz do kumpla pod ścianą, pokazując bongo.

– Łukasz – wymawiam jego imię.

Nie odpowiada, ale wiem, że mnie usłyszał. Czarna wata dźwięku przelewa się nad nami na podobieństwo głuchej, dalekiej burzy.

Powtarzam jego imię jeszcze kilka razy.

– Pani to co tu robi? – pyta. – Pani szanowna, to nie jest takie miejsce dla poważnych ludzi, my tu jesteśmy dosyć niepoważni, jak widać. My się tu wygłupiamy i bawimy. Mamy czas wolny, że tak powiem, ja pierdołę. Pani jest z Sanepidu? Pani nam teraz będzie grzyby sprawdzać? Zakażenia? Czy szczury tu biegają?

Blondynka obok przestaje wymiotować. Podnosi się, trącając mnie sztucznym biustem; gdy to robi, próbuję złapać jej spojrzenie. Nawet pomimo grubej warstwy pudru widać, że jest strasznie blada. Pytam ją, czy wszystko w porządku. Wykonuje nieokreślony gest.

– Łukasz. Ja jestem Marta. – Wyciągam do niego rękę.

Patrzy na mnie. Nie widać mu tęczy, pożały jej czarne źrenice. Szczerzy się, szeroko otwiera usta. Nie odwzajemnia uścisku.

– Powiedz, Marta, mam grzyba czy nie?

– Nie wiem. Wiem, że mam dla ciebie coś fajnego. Coś fajnego, co bardzo lubisz. Coś smacznego.

Kurtka obserwuje to, co się dzieje, uważnie jak kot. Jest gotów w każdej chwili stąd wybiec.

Improwizuję. Nie miałam żadnego planu. Może jest tak naćpany, że mi zaufa. Może zaufa mi na tyle, a ja będę na tyle sprytna, że coś od niego uzyskam. Cokolwiek, co się nagra. Chociaż słowo, chociaż sylabę.

– Co pani mówi, ja pani w ogóle nie rozumiem. Śniady, może ty ją zrozumiesz, pani mówi po francusku. – Łukasz sztucznie się śmieje.

– Mam fajne rzeczy i nie wbiję cię na minę jak Kamil. Jak ona. – Pokazuję na drzwi, w których zniknęła Michałka.

Koleś, który pieprzył dziewczynę, bierze ze stołu butelkę whisky, pociąga potężny łyk. Opiera się o ścianę.

– Tak chcesz rozmawiać – mówi Łukasz. Nagle jest spokojny, dziwnie trzeźwy.

Szuka czegoś w spodniach. Wyciąga torbę pełną brązowych kamyczków, przypominających grudki brązowego cukru albo bobki małego ssaka.

– Dobrze, że tu nie ma, mordo, dywanu, bobyście wszyscy teraz na czworakach detektywa odpierdalali – zauważa wesoło Kurtka.

– No to nie wiem. Numer może ci dam, to sobie pogadamy, co nie.

– Nikt cię nie będzie nagrywał. Uwierz mi, mam ładne stworki. Chcesz popatrzeć?

Wyciągam telefon. On się irytuje, w rozdygotany sposób. Mocno zaciska szczękę.

– Ty, Marta, tak? Zadzwoń do mnie, co? Mi się nie chce teraz z tobą gadać. W chuj mi się nie chce, powiem ci, kwiatuszku. Są rozmowy, które są fajne, i są takie, które nie są, i już teraz wiem, jaką prowadzimy, okej?

– Jesteś najmiłszy, Łukasz. Przyjemny jak Makłowicz. – Śniady gestem pokazuje koleśowi pod ścianą, żeby podał mu butelkę.

– Wiesz, ja rozumiem, że ludzie to szuje. Że można się czasami wkurwić. Stracić kontrolę.

Nie, raczej mi nie zaufa, chyba że naćpa się jeszcze bardziej. Ale może przynajmniej zobaczę to w jego oczach.

Krótki, ostry nóż otwiera się automatycznie, gdy Łukasz wyciąga go z kieszeni spodni. Ostrze przypomina hak. Przystawia mi go do nosa. Pokazuje fajkę z crackiem.

– Jestem bardzo miły, kotuniu. Jestem gościnnie, wiesz? Zobacz, Śniady. Ja jestem miły.

Łukasz podsuwa mi fajkę, wsuwając sam czubek noża do dziurki mojego nosa. Strach jest odczuciem czysto fizycznym. Bólem głowy, łomotaniem serca i zimną pięścią, która nagle ścisną żołądek.

– Zapal – mówi. – Proszę. Częstuj się. Zobacz, jaki jestem miły.

Wsuwa ostrze jeszcze głębiej i czuję bolesne ukłucie.

– Spróbuj sobie.

Przyciskam do ust gorzkie, brudne szkło. On wkłada parę kamyczków do cybucha, podpala. Silny zapach nafty wali mnie w nos, miesza się ze słonym smakiem krwi. I nagle jakby ktoś z całej siły uderzył mnie pięścią w krtań. Cuchnące pomieszczenie zamienia się w windę jadącą prosto w kosmos.

Podobno już wynaleziono takie windy. O Boże.

Podobno je przed nami ukrywają. O Boże, Boże.

Podobno słowo jest bardzo dziwne podobno. O Boże, Boże, Boże.

Podobno słowo podobno wymyślono w ogromnym, pozbawionym okien budynku który nazwano PODOBNO.

– Zajeście pięknie. – Głos Łukasza brzmi jak odległa pieśń, śpiewana przez kogoś, kto nie istnieje.

Podobno język jest bardzo niedoskonałym narzędziem i podobno mają dla nas już coś lepszego.

Twarz Łukasza wypełnia cały świat, a ja wiem, że jestem w stanie ją odgryźć. Mam nos pełen krwi. Jej zapach doprowadza mnie do szału. To szal, który czują wilki.

– To teraz powiedz, pani szanowna, skąd dokładnie wiesz to, co ci się wydaje, że wiesz.

– Myślisz, że nikt tego nie wie? – Głos Marty Pazińskiej dobiega spod podłogi. Marta jest uwięziona w szybie windy. Muszę się tam dostać i ją uratować.

Dźwięk nad nami cichnie. Już nie ma burzy, nie ma imprezy. Chyba jesteśmy strasznie wysoko, w okolicach stratosfery. Podejmuję ogromny wysiłek, przypominający podniesienie tysiąca ton, aby skrócić na dół, spróbować wylądować. Byłam dalej niż kiedykolwiek. Może wciąż jestem. Nie mam pojęcia, co jest teraz, a co było pięć sekund temu. Gdy zamykam oczy, widzę, czuję siebie wsysaną przez potężny odkurzacz, który wczepił mi się w klatkę piersiową. Widzę, czuję siebie, której wypada serce...

– Psy – mówi ktoś, kogo całkiem nieźle słyhać, ale kto przebywa na zupełnie innej planecie.

Łukasz nie rozumie. Jego twarz się oddala. Zaczynam potwornie kaszleć. Wszystkie narządy wewnętrzne mi się poluzowały i chcą się wydostać na zewnątrz przez usta.

– Psy, kurwa! – powtarza głos.

– No i chuj, co chwila podjeżdżają. – To Śniady, milion lat świetlnych ode mnie.

– Nie, tym razem wchodzą do środka.

Łomot. Rozmowy. Rozbite szkło. Krzyk. Burza nad nami naprawdę ucichła, to nie tak, że ja przestałam ją słyszeć.

Kurtka zrywa się pierwszy, wybiega na korytarz. Ja ląduję, wszystkie moje organy wewnętrzne uderzają z impetem o ziemię, a następnie, obolałe, wracają na swoje miejsce. Próbuje wstać. Coś zmieniło mnie w inną istotę, nieludzką. Składam się z innych pierwiastków. Jestem pełna potwornego

światła, które pozwala mi na wszystko, ale na razie nie umiem nad nim zapanować, więc rozrywa moje ciało, razi mnie prądem o potwornej mocy.

– No niesmaczne to jest, Śniady. Idziemy do Asłana.

– Od początku mieliśmy tam być.

– No właśnie. No właśnie. Dokładnie. Mielibyśmy być tam, a jesteśmy tu. Skubidubiduja, skubidubidu. Dobrze rapuję, Śniady? Dobrze, co nie? Każdy teraz rapuje, ale ja rapuję całkiem tego.

Powolne, spokojne kroki o miękkim brzmieniu. Może to ktoś włączył mi w głowie stary polski film, w którym dźwięk przyjemnie trzeszczy i klika. Jak wspaniale byłoby żyć w takim starym filmie, świat byłby taki pięknie stonowany, w jesiennej sepii, ludzie mieliby cudowne stroje i mówiliby z lwowskim akcentem zdania wielokrotnie złożone, i jakiś mężczyzna w palcie i kapeluszu, piękny mężczyzna, młody Jan Englert albo młody Jan Nowicki, albo trochę starszy, ale niewiele, Gustaw Holoubek, prowadziłby mnie za rękę i...

– Prosimy o spokojne przejście na górę i wychodzenie tylnym wyjściem. Mamy poważniejszą interwencję policji. Na wszelki wypadek załóżcie maseczki i przygotujcie dokumenty. Przypominam, że weszliście tutaj na własną odpowiedzialność. – To głos dziewczyny, która stała przy wejściu.

Śniady ładuje do sportowej torby z logo Power MMA bonga, kryształ, tackę, butelki. Rzucam się do wyjścia, ale Łukasz łapie mnie za nadgarstek.

– Poczekaj, kotuniu, a gdzie ci się tak śpieszy? Fajne rzeczy gadałaś, ciekawe, i tak się stleniasz po prostu?

Szarpie mnie, zmusza, abym się odwróciła. Moje serce pracuje w tempie wiertarki udarowej.

– Skoro wpadłaś, to sobie pogadajmy.

Próbuję się wyszarpać, ale trzyma mnie bardzo mocno.

– Dawaj, jedziemy na balety. Takie klasa balety, nie ten gruz jak tutaj. Widzę nas na parkiecie, poważka. Dokazujemy normalnie jak Egurrola i ta taka Iwona, wiesz która.

– Pysznic powinienes wziąć, Łukasz – mówi Śniady.

– Ja się pocę Tomem Fordem, byczulku.

Rura ogromnego odkurzacza przyssana do moich pleców. Za chwilę mnie połknie. Spadnę w nicość, zgnieciona w mięsną kulkę. Głosy dobiegają zza potrójnej szyby.

– Gdzie to jest? W Intercontinentalu?

– Nie, w Marriottcie.

– Policja – tłumaczę, bo może tego nie zarejestrował. – Na górze jest pełno policji.

Patrzy na mnie z oblesnym uśmiechem. Zwężają mu się źrenice. Przypomina starą, wielką hienę.

– To znaczy, że przyniosłaś nam pecha, lalka.

– Co ty gadasz, i tak długo im kurwom zajęło – komentuje Śniady.

– Nie, nie, ona przyniosła nam pecha. Ona jest pechowa. Ona ściąga policję.

Panika i paranoja ściskają mi płuca potężnymi pięściami. Tak, jasne, że ma rację. Ściągam policję. Gadam z policją. Jestem policją. Odwiedzam policjantów w domach. Policja zjawia się zawsze, gdy wychodzę na ulicę. Gdy idę obejrzyć przedstawienie w komunie teatralnej. Gdy jadę do swojego dilerka oddać mu niechciane narkotyki.

On ma rację, Pazina. On wszystko wie.

NIE, TO NIE JEST NIEPOROZUMIENIE.

Popycha mnie do przodu, w stronę zatłoczonych schodów. Na górze DJ-ka jest pusta, ale stroboskop wciąż pulsuje. Panika zatyka mi gardło, wysusza usta. Muszę się czegoś napić. Łukasz wjeżdża w spanikowany tłum taranem, wyrąbuje korytarz w żywej masie; kogoś przewraca, kogoś trafia w szczękę, ludzie zaczynają się tratować. On ma to w dupie, co chwila przeprasza, jakby sobie żartował z tej sytuacji.

On wszystko wie. Wiedział od początku.

Wszyscy ci ludzie wiedzą, kim jestem, co tu robię, wiedzą, jak się nazywam.

Oni wszyscy wiedzą, że policja jest tu przeze mnie. Wszyscy na mnie patrzą. Muszę iść naprzód, muszę stąd wyjść. Łukasz przebija się do schodów prowadzących na parter. Ktoś nas wyzywa, ktoś potrąca. Chyba ktoś na mnie pluje, jakiś wściekły facet. Łukasz odwraca się i uderza go w szczękę, mówiąc przy tym:

– Przepraszam bardzo.

Podnosi jakąś dziewczynę i zestawia ją ze stopnia jak kukłę. Słyszę chrupnięcie jej kości, słyszę krzyk.

– Co ty robisz, skurwysynu?! – wrzeszczy ktoś.

– Gdzie wy idziecie, chcecie iść do puchy? Wy nic o tym nie wiecie, ludzie. Nie wiecie nic o więzieniu – pokrzykuje Łukasz.

Przebicie się na parter to wynurzenie się na powierzchnię. Nikt nie jest w stanie zapanować nad ludźmi, którzy wychodzą na podwórko domu i próbują się wydostać z posesji, przeskakując przez ogrodzenie. Pomagają sobie nawzajem, podsadzają się. Pali się, moja panno. Od frontu policja, riot control w pełnym rynsztunku, z karabinkami. Nigdzie nie widzę Kurtki.

Łukasz znowu chwyta mnie za rękę. Myśli, że teraz jestem jego własnością.

Chaos. Drażniące zapachy, obce kolory. Potworna suchość w gardle. Ta winda, którą jechałam na sam czubek kosmosu, właśnie miała wypadek. Czyjeś ogromne dłonie wyzymają moje ciało jak szmatę. Pod czaszką gra trailer najsilniejszego bólu głowy, jakiego kiedykolwiek doświadczyłam. To dlatego ludzie palą to gównem cały czas. Żeby nigdy nie wylądować.

Najważniejsze – jednak nikt mnie nie zna, nie wie, kim jestem, nie łączy mnie z żadną policją. Nawet ten łysy łebek i jego panna awanturują się z policjantem. Chcą wyjść, nic złego nie zrobili. Nawet piękna dziewczyna w spodniach w krowie łaty, która płacze pod ścianą. Facet w rozpiętej białej koszuli, który nerwowo pali fajkę, tupiąc nogą.

Nie, nikt nic nie wie. Nikt mnie nie podejrzewa.

– Co robimy? – Łukasz Czego Szukasz odwraca się do Śniadego.

– Frontem, z drzwiami – huczy tamten.

– Czyli młodzieżowo – śmieje się Łukasz. Skręca, wbija się klinem pomiędzy policjantów zastawiających drzwi. – Wszystkich nas nie złapiecie! – krzyczy.

Policjant w kasku nawet nie może zareagować. Woła:

– Stój!

Łukasz wali z bara w drzwi, ciągnie mnie za sobą. Wypadamy na zewnątrz.

Przy furtce stoją następni, a ulicę blokują trzy policyjne samochody. Jezdnia i drzewa są na zmianę czerwone i niebieskie. Wszystko na chwilę się zatrzymuje, schładza, uspokaja. Nagle zdaję sobie sprawę, że zapomniałam o oddychaniu. Biorę wdech tak głęboki, że zaczynam się krztusić.

Poznaję gliniarza przy furtce. Długa broda, łagodne oczy. To Mateusz. On na początku mnie nie poznaje, skupia się na Łukaszu. Być może kojarzy go z YouTube'a. No tak, pewnie go obserwują.

Zaraz, zaraz. Ewelina tu jest, bo napisałam jej „Saska”. Winda z powrotem rusza do góry, jedzie coraz szybciej. Winda to rakieta zdolna

pokonać w kilka minut Układ Słoneczny. Pięćdziesiąte, setne piętro.

Tak, oni są tutaj z mojego powodu.

Co oznacza, że oni zaraz go zatrzymają.

Ulga to największy haj, niepowtarzalna jazda. Ulga – ciepły balsam oblewający wszystkie nerwy i mięśnie. Świadomość, że w pędzącej szybciej od światła rakiecie nic ci się nie stanie.

– Dokumenty proszę.

– Nie mam dokumentów, kochaniutki. Ja muszę do domku. Mi tu jest źle, ja naprawdę źle się czuję.

Aresztuj go. Skuj go, Mateusz. Po to tu jesteś. Po to tu przyjechałeś. Proszę, nie przeciągaj tego.

– Uczestniczył pan w nielegalnym wydarzeniu zbiorowym, jest to obecnie wykroczenie podlegające... – Mateusz zaczyna recytować formułkę. Ale Łukasz go nie słucha.

Teraz widzę: Ewelina i Kurtka, na końcu ulicy, przy radiowozie, kilkadziesiąt metrów od nas. Kurtka jest skuty. Odmawia wejścia do samochodu.

– Głupi byłem, kochaniutki, posłuchaj. Ja myślałem, że to jest domówka taka. To znaczy spotkanie na trzy osoby w mieszkaniu tak zwanym prywatnym. Ja, koleżanka i jeszcze jedna koleżanka. A ta koleżanka koleżanki wprowadziła mnie w błąd, rozumiesz? Ja tu wcale nie chciałem być. Ja myślałem, że będziemy mieli we trójkę fajny balet taki. – Łukasz bełkocze, a Mateusz przenosi wzrok na mnie. Może mnie rozpoznaje, trudno powiedzieć.

– Poproszę dowód osobisty. Od pani również.

Mateusz, SKUJ GO.

Widzę, że Kurtka w końcu pęka, schyla się i wsiada do radiowozu. Ewelina zamyka za nim drzwi. Chcę ją zawołać, ale jej imię więźnie mi w gardle.

Z domu dobiega przeciągły wrzask.

– Nie mam dowodu, kochaniutki. Nie noszę. Nazywam się Łukasz Maciejak, urodzony i wychowany dżungla miejska Bielany. Jestem sobie zwykłym kolegą, nie chcę z nikim zwady. Nic mnie nie obchodzi rozkminki i roszady. Pięknie, pięknie rymuję? Widzisz, kochaniutki, ja jestem artystą.

– Jak nie ma pan dokumentów, to pojedziemy na komendę – tłumaczy Mateusz.

Dobrze, Mateusz. Brawo Mateusz. Ale czemu tyle to trwa, Mateusz? Zaraz opuszczę Układ Słoneczny, Mateusz, nie mamy czasu.

– Kochaniutki, i wszystkich nas zabierzecie na komendę? Myślicie, że tu ktokolwiek ma jakieś dokumenty?

Mateusz kręci głową. Patrzy na mnie.

– Nie mam dowodu – mówię tak cicho i ochryple, że sama siebie nie słyszę. Ej, to ja, próbuję przekazać mu wzrokiem. To ja, poznajesz mnie, tępaku?

– Państwo są razem? – pyta Mateusz.

Mateusz, kurwa. Ten gnój go zabił. Popatrz na mnie. Przeczytaj to. Moje oczy są jak promptery, Mateusz. Jestem tak wysoko. Kurwa. On wziął Lucka z ulicy, wsadził do samochodu. Posłuchaj, Mateusz. Uśmiechał się do niego, strzelał seriami zabawnych zdań, od których kręci się w głowie, jak w tych swoich filmikach.

– Tak, razem państwo są i razem bez dowodu. – Łukasz się szczerzy. – Jesteśmy wszyscy ludźmi, po prostu, kochaniutki, zobacz. Nikt tu nic złego nie robił. Może wszyscy przyszli, bo myśleli, że tu zabawa jest, a tu nie było żadnej zabawy. Oszukali nas, może wszystkich nas po prostu oszukali, co?

– Kolega zostawi numer telefonu i się jakoś umówicie na ten mandat – rzuca Śniady z tyłu.

– Bardzo pan dowcipny – mówi Mateusz.

– Trzeba być dowcipnym, kochaniutki, życie to mordęga – odpowiada Łukasz Czego Szukasz.

Mateusz. Kurwa. BŁAGAM CIĘ. Lucek. Pomyśl o Lucku. Lucek był biedny i samotny. Lucek rzucał się na każdą serdeczność jak kot na światelko lasera. On zabrał go do jakiegoś apartamentu. Posłuchaj, Mateusz. Skup się. Nie zabrał go do hotelu, wyrzucili go przy Novotelu tylko dla zmylenia tropu. Zabrał go tam i kazał mu palić crack. A potem go bił. Gasił na nim papierosy. Sikał na niego, Mateusz. A potem zawinęli go w wykładzinę. Jak śmieć.

Skuj go, Mateusz, kurwa, wsadź go do celi i nigdy nie wypuść.

On zabił Lucka. Lucek lubił mangi i wszystko zmyślał. Z Luckiem mogłoby być wszystko w porządku. Bo ludzie reperowali w sobie gorsze pęknięcia niż te, które miał Lucek. On zabił Lucka, którego nikt nigdy nie pokochał. A Lucek byłby pokochany. Lucek byłby szczęśliwy.

Ewelina odwraca się w moją stronę. Daje znać koledze, aby pilnował auta, i rusza w naszym kierunku.

Chcę wykrzyczeć jej imię, ale zaczepia ją jakiś inny policjant, coś jej tłumaczy, ale ona cały czas wpatruje się we mnie, zmusza mnie spojrzeniem, abym utrzymywała z nią kontakt wzrokowy.

Znowu Jacek, nagłe wspomnienie wyraźniejsze niż rzeczywistość.

Patrzyliśmy na światła miasta przez okno jego apartamentu. Piłam wino, on wodę. Położyłam głowę na jego ramieniu.

– Są jakieś zasady tego, co robisz? – zapytałam go.

– Nigdy nie gadać z policją. Nigdy.

– Nawet jeśli coś ci się stanie?

– Oczywiście. To znaczy ty możesz. Ciebie policja chroni. Ty jesteś cywilem.

– Dobra, nie mam na was siły. – Mateusz otwiera furtkę, wypuszcza nas na zewnątrz.

Rakieta wraca. Winda spada.

Szybciej. Szybciej.

– Czyli co, oni mnie chronią? – zapytałam wtedy Jacka. – Naprawdę w to wierzysz?

Parsknął śmiechem, ale widziałam w jego oczach, że nie ma siły o tym rozmawiać.

– Oni tak myślą. Ale tak naprawdę nigdy ci nie pomogą. W niczym. Nikt ci nigdy w niczym nie pomoże, Pazina.

Ewelina w końcu się uwalnia, znowu rusza w naszym kierunku.

– Marta! – krzyczy.

Łukasz Czego Szukasz popycha mnie w stronę czarnego BMW 6. Wsiadamy.

– Widziałeś? Kurtkę kurwy zawinęły.

– Nic nie widziałem. Ja jestem ślepy, mordo, wiesz przecież – odpowiada Śniady i przekręca kluczyk w stacyjce.

– To jak prowadzisz auto, byczulku?

– Na słuch.

Rusza, skręca w prawo pomimo zakazu, na oczach tych wszystkich policjantów.

Winda znowu się rozbiła. Ale ja wciąż żyję. Oddycham, głęboko, powoli.

Ewelina biegnie za nami jeszcze przez chwilę. Widzę w tylnej szybie, jak zatrzymuje się i wyciąga telefon. Mój nadal jest w trybie samolotowym. Mój telefon cały czas ich nagrywa.

– To teraz, kotuniu wyliniały – Łukasz odwraca się do mnie – szykuj się na imprezkę życia.

8 PAŹDZIERNIKA 2020

Recepcjonista pokazuje palcem na odpowiednią windę. Na gładko ogolonej głowie widać kropelki potu, znad maseczki błyskają czujne, przestraszone oczy. Łukasz i Śniady też założyli maseczki, pogięte i przepocone, wygrzebane z kieszeni spodni.

– Z Saskiej przyjechaliście? Ja tu nie chcę psiarni.

– Nie, bracie. Nas puścili, bo jesteśmy piękni i młodzi, i bezproblemowi. Zobacz.

Recepcjonista patrzy na mnie długo i uważnie. W przeciwieństwie do Mateusza widzi, że coś tu nie gra. Jestem z innej bajki, a mój nadgarstek ginie w łapie Łukasza. Widzi to, ale o nic nie pyta. To nie jest w jego interesie. W jego interesie jest wziąć te pięć stów, które Łukasz przesuwa ku niemu po blacie, i schować je do kieszeni.

Gdy wsiadamy do windy, Łukasz gwizdże, udaje, że mnie nie widzi. Śniady za to patrzy mi w oczy, żując gumę. I nagle pojmuje coś, czego wcześniej nie rozumiał. Coś przeskakuje mu w oczach.

Winda zatrzymuje się na czterdziestym piętrze. Zapomniałam, co tu jest, ale teraz pamiętam – bar z widokiem na Warszawę, w którym przed covidem były drętwe dyskoteki. Trudno o dobrą imprezę, gdy drinki kosztują po pięćdziesiąt złotych; czasami co bardziej pomysłowi faceci zabierali tutaj swoje wygrane w Tindera. Ale teraz z końca przeszklonego korytarza dobiegają głośna muzyka, śmiechy, pokrzykiwania. Ta impreza nie jest drętwa. Tam bawią się ludzie, którzy czują się wolni i bezpieczni. Za oknami widać panoramę Warszawy. Otacza nas, podobna do potężnej, martwej galaktyki.

Na drzwiach z matowego szkła napis HORYZONT BAR MARRIOTT. Na straży kolejny cerber w hotelowym garniturze, również w maseczce, czarnej i jedwabnej. Ma hebanową skórę i prawie dwa metry wzrostu.

– Nie macie odpowiedniego stroju. – Dźwięk jego głosu jest jak ciepły, słodki sos.

– Co ty pierdolisz, żyrafo ty – śmieje się Łukasz Czego Szukasz.

Cerber wzrusza ramionami.

– Chcesz pięć stów kolejne? Tysiaka? Z kolegą się ugadałeś na dole, że tak będziecie ludzi golić?

– Po prostu się źle ubraliście. I przydałby się prysznic, panowie, nie ukrywam. – Cerber mówi to z satysfakcją i świadomością swojej nietykalności. Uśmiecha się pod maseczką, widać to.

Mogłabym uciec. W tej sekundzie odwrócić się, zerwać i dobiec do schodów ewakuacyjnych. Jeśli zrobiliby chociaż krok w moim kierunku, jeśli zaczęłabym krzyczeć, cerber na pewno by zareagował.

Upewniam się, że nie widzą, zajęci rozmową z cerberem, i sprawdzam, czy telefon wciąż nagrywa.

Matowe drzwi gwałtownie się otwierają. Fala hałasu bucha mi w twarz. Ostro umalowana i zoperowana kobieta koło czterdziestki wypada z sali jak kamień wystrzelony z procy. Chichocze, jakby łaskotały ją setki niewidzialnych dłoni. Nie zwraca uwagi na Łukasza, dopóki ten nie powie do niej błagalnie:

– Blania, kochanie, weź znajdź Asłana. Tu pan chce się bić, a my przecież jesteśmy hippisi.

Blania ledwo ogarnia pion i poziom. Musi wykonać rekalkibrację wzroku, aby zrozumieć, kto do niej mówi.

– Blania, złoto, proszę cię.

Blania posłusznie znika za drzwiami. Nie mija minuta i mężczyzna o imieniu Asłan wychodzi z sali. Mężczyzna o imieniu Asłan jest lwem, czarnym i silnym. Długie krucze włosy zaczesane do tyłu układają się w piękną falę. Ma idealnie przystrzyżoną brodę i rozpiętą, niewyprasowaną koszulkę polo. Mężczyzna o imieniu Asłan wygląda, jakby urodził się wściekły. Obok niego jest drugi facet, ogolony na łyso, szczupły, bystry i zdenerwowany. Też jest wściekły, ale jeszcze się hamuje. Jest ubrany w golf, na nosie ma drogie okulary w cienkich oprawkach. Wygląda jak główny łącznik tego całego towarzystwa z cywilizacją, legalnością, rozumem i godnością człowieka.

– Muszę pogadać, Asłan – mówi Łukasz. – Ja muszę z wami pogadać, panowie, bo, bo... bo tu jest mały problem.

Asłan obejmuje prawą dłońią lewą pięść, ściska. Strzelają knykcie.

– Nie musisz nic pogadać, Polaku, durniu durny – cedzi. Jego głos, nawet nałożony na łupaninę w sali przed nami, przypomina odległy grzmot.
– Pojutrze masz ważenie. Wiesz, co powinieneś robić? Powinni cię właśnie ściągać z bieżni, folię od ciebie odklejać, powinieneś mieć odparzenia od zapierdalania przez trzy godziny. Ty chcesz walczyć, to tobie, kurwa, piwa nie wolno wypić jednego.

Łukasz nerwowo przeciąga dłonią po spoconych włosach. Aślan gasi go jak peta samą swoją obecnością.

Drzwi znów się otwierają, widzę imprezę, kolorowe światła ślizgają się po parkiecie. Z sali wychodzi młoda blondynka w okularach i krótkiej kiecce podkreślającej umięśniony tyłek. Opiera się na Aślanie, ale ten odgania ją jak olbrzymią muchę.

– Ja... ja już się ogarniam. Już. Lodowa wanna, odpoczynek, po kroplówkę dzwonię. Od jutra suchutko. Ale chodzi o nią, Aślan. – Pokazuje na mnie i dopiero wtedy oni wszyscy spoglądają w moim kierunku.

– Kto to? – Łysy uważnie mnie lustruje.

– Przyczepiła się. I mówi nefajne rzeczy. Takie, rozumiecie panowie. Nieprawdziwe.

– Pani nazywa się...

– Marta. Marta Pazińska.

Facet ściska moją dłoń. Ten prosty gest wybija mnie z rytmu. Jest z zupełnie innego porządku.

– Ja nazywam się Andrzej Komczuk. Pani Marto, to nie jest dobry moment na załatwianie takich spraw.

– Też tak uważam, ale zostałam zmuszona, aby tu przyjechać.

Komczuk patrzy uważnie na Łukasza. Ten odwraca wzrok, kurczy się do rozmiarów krasnala. Boi się tego człowieka chyba jeszcze bardziej niż Aślana.

Za to Śniady jest dziwnie obojętny. Był już w takich sytuacjach. Stał przed takimi gośćmi. Znudzony rozgląda się po suficie. Ziewa.

– No dobrze. Ja to załatwię, panie Tugajew.

A więc Aślan to Tugajew, człowiek, o którym mówił Kurtka. Człowiek, który sam był potworem, a teraz je z ręki większemu potworowi, temu, który do mnie przyszedł. Potwór. Jacek. Czy Jacek gdzieś tu jest? Nie, Kurtka kłamał. Kurtka bredzi. Nerwica i jointy zjadły mu mózg.

– Ja to załatwię – powtarza łysy. – Proszę iść się bawić, panie Tugajew. Naprawdę, wszystko jest pod kontrolą. – Odwraca się do cerbera i wyciąga

dłoń. Cerber daje mu coś, co może być uniwersalną kartą do wszystkich pokoi na danym piętrze.

Z głębi korytarza dobiega cichy elektroniczny dzwonek przywołania windy. Cerber pokazuje, abyśmy poszli za nim, i rusza w głąb korytarza. Schodzimy piętro niżej po schodach ewakuacyjnych. Łukasz popycha mnie do przodu, potykam się, ale nie przewracam, Komczuk w ostatniej chwili podaje mi rękę. Korytarz jest długi, ma parę wyłomów, cerber w końcu znajduje odpowiedni pokój. Przystawia kartę do zamka. Psyk, piknięcie, otwiera drzwi, zapala światło. Nie wchodzi do środka. Muzyka jest teraz buczeniem w ścianach. Znowu ktoś wzywa windę.

– Co tu się dzieje, Łukasz? Co to, kurwa, za wygłupy? – Łysy jest naprawdę wściekły. – Ile dostałeś zaliczki za walkę? Co robi teraz twój trener?

– Poczekaj. Poczekaj, Andrzejku – zaczyna Łukasz. – Tu jest grubsza akcja trochę. Poważniejsza. Zwłaszcza właśnie biorąc... biorąc pod uwagę to, że niedługo kolejna gala, co nie? I rozumiem, że na kolejnej gali ja znowu się biję, skoro ostatnio miałem KO, prawda? I skoro mam być fajny, to trzeba załatwiać różne problemy, czy nie?

Łysy spogląda na Śniadego. Ten nie odpowiada, tylko wgapia się w telefon. Dopiero po chwili podnosi głowę.

– Tak, jest mały problem – potwierdza.

Komczuk patrzy z powrotem na Łukasza.

– Jeszcze raz. Od początku. Co ta pani tu robi?

– Ta, rozumiesz, kobita, zaczepia nas na imprezie i gada rzeczy na ten temat. Dziwne rzeczy, rozumiesz, nieprawdziwe. Że mnie jakieś ladyboye szantażowały. Że mi grozili, a ja jednego potłukłem.

Nie powiedziałam tego. Dotykam palcami telefonu w kieszeni. Nagrywaj się, proszę.

– Ty, no, i jestem naliczony przez chłopy przebrane za baby, rozumiesz? Naliczyła mnie, bracie. *Mazurska Noc Kabaretowa*. Ta pani tak twierdzi. Słyszałeś lepszą komedię?

Łysy lustruje mnie od góry do dołu.

– Ale skoro to nieprawda, to czemu się tym przejmujesz? Ta pani może mówić sobie, co chce. Jest wolność słowa. Ja nie jestem w stanie nic z tym zrobić.

Pięść Łukasza uderza w drzwi. W sklejce zostaje lekkie wgłębienie.

– Posłuchaj, Łukasz – ciągnie Komczuk – dlaczego tylu ludzi ogląda cię na YouTubie? Wiesz, dlaczego dzwoniли do ciebie z tego *Love Island*, żebyś pojawił się tam po gali? Dlaczego jest takie zainteresowanie współpracami z tobą? Nie dlatego, że jesteś jakiś przystojny i sympatyczny. Muszę cię rozczarować, chłopie. Ludzie cię lubią, bo jesteś inny. W sensie, trochę niedorozwinięty. Ludzie lubią patrzeć na głupków. Jest im wtedy wesoło. Czują się lepsi.

Po czole Łukasza spływają krople potu. To, że ludzie mają go za durnia, to jego najmniejszy problem.

– Ale skoro tak jest, to czemu w sumie ma trenować? – rzuca Śniady znad telefonu. – Dostanie raz w maskę i ludzie będą przeszczęśliwi, że niedorozwój dostał w łeb.

Ktoś na korytarzu monologuje, dźwięcznie i donośnie, jakby recytował wiersz. Trudno zrozumieć poszczególne słowa.

Łysy wciąż na mnie patrzy. Łysy nie jest patusem, jest racjonalnym człowiekiem.

– A co pani właściwie wie? – pyta.

– Co pan przez to rozumie?

Łysy robi krok w moją stronę.

– Po co naprawdę pani tu przyszła? Co pani ma mi do powiedzenia? Bo jeśli nasz zawodnik zrobił coś niezgodnego z prawem, muszę podjąć odpowiednie kroki. Rozumie pani? My jesteśmy szanowaną sportową federacją. Tak że bardzo prosiłbym o współpracę. – Komczuk uśmiecha się uśmiechem kogoś piśmiennego, kogoś, kto ma duszę.

– On zabił chłopaka.

– Proszę jaśniej, pani...

– Marto. Zabił Lucka. Mojego podopiecznego.

– Proszę jeszcze jaśniej, pani Marto.

Ściskam telefon, który trzymam w kieszeni. Komczuk myśli i czuje. Komczuk jest profesjonalistą. Najpierw mówię do niego, ale potem zaczynam się zwracać do Łukasza.

– Zabił chłopaka, z którym umówił się na seks za kasę. Jeździłeś po mieście i szukałeś młodych gejów albo trans chłopaków, takich bez opiekuna, bo ostatnim razem, gdy tego spróbowałeś, zaszantażował cię alfons. Byłeś w furii. Ale tak naprawdę byłeś wściekły, bo wciąż tego w sobie nie akceptujesz. Dlatego go pobiłeś. Waliłeś w niego pięściami, ale

tak naprawdę waliłeś w siebie. Powiedz to, Łukasz. Miej chociaż tyle godności.

Łukasz stoi zamrożony, z półotwartymi ustami.

– Niech pan sobie zgoogluje, Oskar Malinowski – mówię do Komczuka.

Z góry dobiega dziwny rumor. Głośne rozmowy przebijają się przez stłumiony, tępy hałas muzyki.

Komczuk googluje. Czyta uważnie.

– Ten Oskar... Kim on dla pani był?

– Moim podopiecznym.

– I był prostytutką.

– On... on był pogubiony. Ale tak, uprawiał seks za pie...

Żrenice Komczuka się zwężają, jego uśmiech znika. Jeszcze zanim się odezwie, w jego oczach widzę skalę swojego błędu. Jest większa niż ten hotel. Większa niż Warszawa, ta martwa galaktyka.

– Nie rozumiem. Mówisz o pedalskiej kurwie, że była twoim podpiecznym. Więc co ty, kurwo, robisz? Trzymasz bałagan z pedałami? Tak? Ja cię dobrze rozumiem?

Komczuk ma nowy głos. Niższy, brudniejszy. Głos kogoś, dla kogo przemoc jest czymś oczywistym. Dla kogo przemoc to branża.

Na krótki czas w pokoju robi się trochę ciemniej, słychać cichy bzyk elektryczności. Robi się ciemniej, spada napięcie.

– Chuj wie, kim ona właściwie jest – mówi Śniady.

Łysy łapie mnie za ramię, przyciąga do siebie.

– Ona też chce pieniędzy, tak jak tamci. Andrzej, ja już nie mogę. Ja nic złego nie robię, kurwa. Nic złego, chłopie. – Łukasz zaczyna szlochać. Płacze płaczem pięcioletniego chłopca. Kwili i pociera oczy pięściami.

– Spokojnie, Łukasz. Ja już wszystko wiem – mówi cicho Komczuk. Podchodzi do niego i lekko go obejmuje. Klepie go dłonią w plecy.

Koszulka Łukasza z logo Fire MMA jest przepocona jak po forsownym treningu.

– Usłyszałaś, że zabił go mój podopieczny – akcentuje to słowo. – Pewnie usłyszałaś to od zaufanych osób, które widziały to na własne oczy.

A potem go puszcza. Podchodzi do mnie na odległość wyciągniętej ręki.

– Pokaż dokument. Muszę wiedzieć, kim naprawdę jesteś.

– Nie jestem z policji.

Ściska mnie za bark.

– Pokaż dowód, kurwo.

Wyciągam z kieszeni portfel, z niego sfatygowany plastik. Ogląda go przez chwilę, chowa do kieszeni.

– Czyli jednak. Marta Pazińska.

– Oddaj to.

– Dawaj telefon, Marta Pazińska.

Robię krok do tyłu. Nie, nie oddam telefonu.

Śniady wstaje z łóżka.

Gaśnie muzyka. W miejscu buczenia pojawia się pustka, pustka wisi nad nami jak ogromny ciężar przyczepiony do nieba. Łukasz patrzy na swoje dłonie. Jakby nagle rozumiał, czego tak naprawdę się boi. Odwracam się w stronę drzwi, a Komczuk łapie mnie za twarz i przyciąga do siebie. Próbuję się wyrwać.

Nawet nie czuję tego uderzenia. Po prostu wszystko robi się czarne, kamera zjeżdża w dół. Czyli można klęknąć ze zdziwienia, myślę, a dopiero potem rejestruję ból policzka, rozlewający się na całą czaszkę.

Łukasz delikatnie potrząsa rozprostowaną dłonią. Komczuk znowu łapie mnie za ramię. Podrywa do góry.

– Telefon – powtarza.

Nie odpowiadam, a on zaczyna grzebać mi w kieszeniach. Znajduje aparat, patrzy na wyświetlacz.

Śniady bierze moją komórkę, zabiera ją do kibla. Strach jako emocja jest u mnie nierozszczepialny ze świadomością własnej głupoty.

To nie mogło się skończyć inaczej. Głupia Pazina. Zła Pazina. Trójka na szynach. Dwójka. Pała.

– Co z nią robimy? – pyta Łukasz.

Muzyka nie wraca. Śmiech, znowu. I jakby w odpowiedzi krzyk przestraszonej kobiety. Nie, nie mój. Ja jestem cicho. Ja po prostu zaczęłam płakać.

Ostatni raz, gdy ktoś mnie uderzył, też byłam cicho i płakałam.

Poczucie własnej głupoty jest nierozszczepialne z nienawiścią.

Łukasz obserwuje drzwi do pokoju, mrużąc oczy.

– Teraz pójdziesz stąd, Marta Pazińska, i zapomnisz o moim podopiecznym. Nie będziesz go już nigdy nachodzić. Nie będziesz się już nigdy nami interesować.

– On go zabił. – Idę w zaparte jak kretyńka.

– Farmazon jest nie tylko głupi, jest też groźny, Marta Pazińska.

Na korytarzu słyhać strzał. I znowu: krzyk, płacz, śmiech.

– O kurwa. – Bardziej chrząknięcie i szept niż przekleństwo. Komczuk sięga dłonią do małego pistoletu w kaburze przyczepionej do paska.

– Co mam z nią zrobić, ty? – pyta Łukasz.

– Co tylko chcesz. Później posprzątam. Siedź tutaj. – Komczuk otwiera drzwi i wybiega na korytarz.

Śniady otwiera sportową torbę Łukasza. Wyjmuje z niej broń, niewielki, kompaktowy pistolet, i też wypada na zewnątrz. Trzaskają drzwi. W drzwiach jest wgniecenie. Strach i nienawiść, dwie kulki zamknięte w tej samej grzechotce. Strach i nienawiść, słońce i woda.

Zdanie wypowiedziane głośno i mocno przebija się przez podłogę.

– Rucham was, kochani.

Znam ten głos. On tam jest. Demon. Żyletka. Jacek. Znam ten głos, a może on wciąż mi się śni. A może to wciąż crack.

Nie, to nie jest sen i to nie jest crack.

Jacek. Jacek tam jest. Jacek jest w Warszawie. Kolega Jacek. Przyjaciel Jacek. Demon Jacek.

Pomocy, Jacek.

Łukasz uśmiecha się tym samym uśmiechem, którym częstował tamtą dziennikarkę. Patrzy na mnie tym samym wzrokiem.

– Wiesz, co mi się wydaje, kotuniu? To było po prostu nieporozumienie.

Kolejny cios jest dużo silniejszy. Czuję, że moja czaszka to naczynie, które właśnie pękło w okolicach kości policzkowej.

– A ja znam fajną historię o nieporozumieniu.

Uderza jeszcze raz, w brzuch. Przewracam się na ziemię.

Ostatnie, co widzę, upadając, to woda w zlewie i pływający w niej telefon.

– Czasami w życiu zdarzają się różne nieporozumienia, co nie. Opowiadałem ci o moim koleźce, który miał pokój w Intercontinentalu?

Kopnięcie w brzuch, potworny ból, jakby pękła mi cała powieź. Pluję czymś słonym i żelazistym, i ciepłym.

Na korytarzu jeszcze jeden strzał. I kolejny. I głośne, bardzo głośne „kurwa”. Jedno, drugie, trzecie. A potem panika, tumult, tupot wielu nóg. Łukasz tego nie słyszy, naćpany przemocą i krwią.

– Ten mój kolega, zajebista mordka, siedział w tym Intercontinentalu i trzy dni walił żelki i koks, na zmianę. Pojebany, serce to mu chyba, słuchaj, uchem wyleciało.

Kopnięcie w brzuch. Kopnięcie w dłonie, które ochraniają głowę. Kopnięcie w krew i w oczy, i w pamięć, i w Lucka, który leży na stole w aureoli ze szmaragdowych kafelków, i kopnięcie w Wiktora i Besię, i w Ewę, i w Ewelinę, która za telefonem...

– Pornuchy oglądał i nic, aż zrobił sobie odparzenia. – Głos Łukasza dobiega z bardzo głębokiej studni.

Korytarz, on. Strzały, płacze. Tępy ból, który wszystko zabiera. Połyka każde wspomnienie, w które mogłabym uciec.

– Wiecie co, ja to najbardziej lubię, jak ludzie mnie widzą i słyszą i nie wiedzą, co zrobić, nie mają pojęcia, jak się do mnie odezwać. Lubię, gdy są zdezorientowani. Przyznajcie się, że też to was jara.

Ile Lucek miał racji. Jak bardzo mógł być mądry. Ile miał możliwości. Iluzja jest iluzją, jest iluzją. Mylimy kolejne łupiny ze środkiem cebuli, bierzemy nową warstwę farby za nagą ścianę.

Ale teraz środek się stopił.

Ześlizguję się w dół czarnego odpływu.

– Kotuniu, czasami zachodzą takie wielkie nieporozumienia.

Zapominam już, kto stoi nade mną, kto wypowiada to zdanie.

Jest tylko cień.

Pięść.

But.

Ból.

I znowu winda, z opętańczą prędkością, zerwana z lin, w sam środek nocy.

10 PAŹDZIERNIKA 2020

Stoją nade mną. Trudno powiedzieć, czy są komitetem powitalnym, czy raczej pożegnalnym. Wiktor. Besia. Ignac.

– Przemo czuje się lepiej – słyszę.

– Jest u twojej mamy – dodaje Wiktor.

Nie rozumiem. Dotykam palcami twarzy. Bandaż. Plaster. Na nadgarstku wenflon. Sprawdzam, czy mogę ruszyć ręką, nogą. Mogę. Ale czuję niewiele. Ktoś zawiął mnie w niewidzialną belę waty.

– Ile spałam? – pytam. Słowa bołą, nie mieszczą się w ustach. Całą czaszkę ścisła imadło bólu; gdy tylko lekko rozchyłam wargi, ból zwiększa

się dziesięciokrotnie.

– Budziłaś się do łazienki, ale rozumiem, że tego nie pamiętasz – odpowiada Wiktor.

– Nic nie pamiętam – stękam. To głos obcej osoby. Wiem, że powinno mnie boleć, ale nie boli. Chyba mówię to na głos.

– Morfina. – Moja matka. Jest tutaj, stoi w drzwiach. – Nie ruszaj się zbyt gwałtownie, bo ja nie wiem, czy ci dobrze ten wenflon założyli.

I wtedy rozumiem, że przecież nie mogę być w szpitalu. Nie byłoby tam dla mnie miejsca, poza tym wszyscy oni nie mogliby mi towarzyszyć. Gdzie wobec tego jestem? Wtedy ląduje na mnie mały, futrzany kształt, a wraz z nim wszystko staje się jasne.

– Był naprawdę wściekły – mówi Besia. – Wszystko ci podrapał.

– Już dawno wszystko mi podrapał. – Podnoszę ciężką, swoją, a jednak trochę cudzą, dłoń. Kładę ją na łebku Menela, który zaczyna mruzczyć. Najgorzej traktujemy tych, którym niewiele trzeba.

– Co... co wy tu robicie? Mamo, co ty tu robisz?

– Gdy cię tam znaleźli... – zaczyna i przerywa. Kręci głową. Słabo ją widzę, to w zasadzie sam zarys sylwetki. – Gdy cię tam znaleźli, zadzwonili do mnie. Załatwiłam ci...

– Nic nie musiałaś mi załatwiać.

– Załatwiłam ci zabieg na chirurgii oka, Marta. Pobił cię tak, że odkleiła ci się siatkówka.

To nie ja. Matka mówi o jakiejś obcej osobie, nie o mnie. Ja leżę zawinięta w watę. Ból jest w głowie, ale w reszcie ciała jest mi słodko i mdło. Nie umiem określić, na ile oczu teraz widzę ani ile oczu w ogóle mam. To nieważne.

– Kto mnie tam znalazł? – pytam.

Patrzą po sobie nawzajem, jakby migali się od odpowiedzi.

– Policja – mówi w końcu Besia.

– Co tam robiła policja?

Znowu cisza. Pod grubą warstwą waty narasta irytacja.

– Pazina, tam była przejebana strzelanina – odzywa się Ignac. – Iles trupów. W tym jeden pies. Wszyscy teraz o tym piszą. Ludzie mówią, że tam weszło regularne wojsko, że to było jak atak terrorystyczny. Jakaś masakra.

– Masakra – powtarzam. Masakra. Łukasz Czego Szukasz. Ból w policzku. Promieniujące na całe ciało uczucie pęknięcia.

– Dobrze, że ci się nic nie stało – dodaje Besia.

– Co ty właściwie tam robiłaś? – pyta Wiktor. Jest na mnie wściekły, słyszę to w jego głosie. Byłam na niego tak samo wściekła, gdy wyszło, że nie powiedział mi o Lucku i świetlikach.

Pod grubą warstwą waty wzbiera coś jeszcze. Lęk i to uczucie, które przy pierwszym uderzeniu wybuchło jak fajerwerk. To właściwe uczucie. Tak znajome, tak bliskie.

Menel zeskakuje na podłogę. Ma mnie dość. Dookoła jest za dużo ludzi.

– Pazina... – zaczyna Besia i zaraz urywa.

To właściwe uczucie. Najpierw trzeba je poczuć, a dopiero potem nazwać. Przesiąka przez watę, jakbym krwawiła. Może krwawię. Może mi na to pozwalają.

– Po prostu jej to pokażcie – mówi matka.

– Na pewno?

– Co się pytasz? Musi to zobaczyć. Pokaż jej.

Muszę się solidnie skupić, aby zrozumieć, co widzę na ekranie telefonu, który Wiktor przystawia mi do twarzy. Filmik, jacyś ludzie, to najpierw. Głosy. Teraz widzę. To Anioł Biznesu. Coś mu się stało. Jest inny i dziwny.

Schudł. Trochę posiwiał. Twarz ścieka mu w dół, przegrywa z grawitacją. Obok stoi Strobiński, nasz były przyjaciel.

Obaj są na naszym podwórku.

– Mogę powiedzieć, że się udało. – Anioł się uśmiecha, ale to uśmiech kogoś, komu schodzi znieczulenie po kanałowym.

Nie rozumiem do końca, co właściwie się udało.

– Pion zajmowano bezprawnie, umowa z miastem wygasła parę miesięcy temu – tłumaczy Strobiński. – Miejsce zwane „Azylem” nie miało żadnych legalnych podstaw, aby tu funkcjonować, w świetle prawa nie było placówką medyczną ani edukacyjną, jedynie prywatnym przedsięwzięciem hotelowym, bardzo mocno zadłużonym.

To uczucie, nie przykryje go żadna wata. Trwałe i pełne. Uczucie bycia szmatą, śmieciem. Zerem. Nie wiem nawet, jak to nazwać. Szmata była kiedyś czymś innym, była ubiorem. Śmieć był kiedyś czymś innym, był opakowaniem. Może zero to lepsze słowo. Zero nie było nigdy niczym innym. Prawdziwe, wieczne zero. Jedyna ocena, którą można dostać. Zero z minusem. Zero na szynach.

– Muszę wtrącić dwa słowa – Anioł Biznesu szczyrzy białe zęby – aby uprzedzić hejt, który wyleje się w internecie. Wiemy, że Azyl teoretycznie

miał pomagać zagubionej młodzieży LGBT. Nie jesteśmy, proszę państwa, żadnymi homofobami. Dobro młodych ludzi jest dla nas ważniejsze. Ale to miejsce, proszę państwa, zdecydowanie wyrządzało więcej krzywdy niż pożytku.

– Co do tych długów on kłamie. Mieliśmy nową zrzutkę odpaloną – mówi Wiktor. – Już było tam z dziesięć tysięcy, na prąd i na gaz starczyłoby...

– Poczekaj – proszę go.

To uczucie, długie i wstrętne, przechodzi przez każdy tunel i każdą skrytkę w ciele. Uczucie bycia gównem. Choć nawet gówno musiało być najpierw czymś, aby stać się gównem. Musiało być posiłkiem. Mieć w sobie wartość. Smak, zapach, białko, witaminy.

– Tu się działy straszne rzeczy i mam nadzieję, że policja zajmie się tym, co wyprawiała tutaj pani Pazińska. Zajmie się niewyjaśnioną śmiercią Oskara, jednej z ofiar tego miejsca, zajmie się zmuszaniem do prostytucji, zajmie się narkotykami... Bo te dzieciaki, często nieakceptowane, krzywdzone w swoich rodzinnych domach, trafiły z deszczu pod rynnę, delikatnie mówiąc.

Dopiero teraz widzę, że za Aniołem i Strobińskim stoją policjanci.

I że drzwi przecina biało-czerwona taśma.

Widzę też matkę Lucka. Od naszego spotkania posunęła się o dekadę, drastycznie wychudła. Robią jej miejsce przed kamerą.

– Dziękuję, że ktoś się w końcu tym zajął – mówi płacząco.

Bycie zbędnym. Bycie szkodnikiem. Do tego fałsz. Słaby kamuflaż. Udawanie światła. Udawanie dobra.

Miałam jedną robotę do wykonania. Jedną jedyną. Miałam zapewnić im bezpieczeństwo.

– Przepraszam – mówię.

W końcu, szczerze. Jak gówno. Jak gówno. Jak gówno.

Lucek w aureoli szmaragdowych kafelków. Lucek otwiera oczy. Lucek mówi mi, że mogłam w każdej chwili mu powiedzieć, że ma zostać. Zajrzeć do jego plecaka. Telefonu. Porozmawiać.

– Nie przepraszaj – to Besia.

Jasne. Nie przepraszaj. To w końcu wybuchnie, w końcu zaleje mnie całą.

– Na dziś już starczy – mówi cicho matka. – Przyjdźcie jutro.

Są zamazani, są tylko plamami. Matka do kogoś się nachyla, może okazuje mu czułość.

Jak zero. Zero minus. Jak gówno. Jak gówno. Jak gówno.

Wychodzą.

Matka stoi nade mną. Czeka, aż skończę płakać.

Dopiero gdy się uspokajam, łapie mnie za dłoń.

– Już? Spokojnie? – pyta.

Nie, nie już. Nigdy już. Ale spokojnie. Jak gówno.

– Jest tu jeszcze ta policjantka. Twierdzi, że cię zna i że to bardzo pilne. Więc teraz się uspokój, przynajmniej się postaraj. A ja ją zawołam.

JACEK

L'ordre règne à Varsovie

27 KWIEŚNIA 2020

Sogo przy rondzie de Gaulle'a. Lockdown wyłączył kluby go-go tak samo jak wszystko inne, ale on kazał otworzyć to miejsce specjalnie dla siebie. Nawet załatwili mu skądś dziewczynę.

W konsekwencji Sogo jest ani otwarte, ani zamknięte; ani puste, ani pełne. Staje się miejscem ze snu. To wrażenie podsycają wmontowane w bar halogeny, dyskretne fioletowo-różowe światła, pulsująca, ale przytłumiona muzyka i zawieszony nad barem lustro rozpraszające światła i kolory.

To był pierwszy klub, w którym sprzedawałem na stałe. Sypiałem z dziewczyną, która tańczyła tu na rurce. Rzuciła ASP, tak jak ja. W miesiąc zarobiłam tyle, ile moja matka przez rok, powiedziała. Jej mama była nauczycielką. Ja zarobiłem tyle samo w tydzień. To robiło na nas ogromne wrażenie, sprawiło, że zostaliśmy tym, kim zostaliśmy. Pamiętam ją wyraźnie. Jej szczupłe, umięśnione ciało. Lubiliśmy leżeć w łóżku i patrzeć na nasze pieniądze. Martyna, chyba. Nie wiem, co teraz się z nią dzieje.

To nie trwało długo. Gdy menedżer się dowiedział, że wpuściła mnie z towarem na własną rękę, wywalił ją z roboty, a na mnie nasłał dwóch chamów. Dałem im po dyszce towaru; w zamian przekopali mnie lekko, kontrolnie, nie skakali mi po głowie ani nie wybili mi zębów.

Dziewczyna, która tu tańczy, jest szersza, pełniejsza od Martyny, ma mniej umięśnione nogi. Nie radzi sobie z trudniejszymi pozycjami na rurce, bardziej przechadza się po scenie, pokazuje ciało. Ma długie kruczoczarne włosy. Oczy Romki albo Turczynki. Reszty nie widać. Nosi maseczkę.

Marek siedzi sam przy stoliku, pije wodę mineralną, pali iqosa. Na białą koszulę zarzucił kaburę z pistoletem. Oprócz jego i dziewczyny w Sogo jest

jeszcze tylko facet robiący za ochroniarza i barmana – widząc mnie, przechodzi za bar i pyta, co mi nalać. Chyba mnie poznaje, bo pyta:

– Wodę z lodem i cytryną?

– Nuda – odpowiadam.

– Whisky?

– Jakąkolwiek. Ale nie najtańszą.

Nalewa, nie widzę co. Biorę łyk. Tak naprawdę nie wiem, czy jest dobra, za rzadko ją piję. Ale jest to jednak jakaś przyjemność, ciężki alkohol, wysycony drewnem, błotem. Szlachetność czegoś martwego, zmumifikowanego w ziemi.

– Bardzo prawdopodobne, że ktoś od niego za mną jechał – zaczynam.

– On ci ufa – mówi Marek. – Poza tym jak na razie wystarczająco cię ukarał.

Wyciąga z kieszeni kilkaset złotych. Podnosi się, podchodzi do sceny, kładzie banknoty na jej brzegu. Dziewczyna staje na nich obcasem, chociaż nikt jej ich nie zabierze.

Wymieniamy uśmiechy i spojrzenia. Ma fajne, bystre oczy. Moglibyśmy się polubić. Spędzić krótki i miły czas – w jakiejś innej, równoległej rzeczywistości. Jednak wiemy obaj, że równoległe rzeczywistości nie istnieją. Dziewczyna chowa pieniądze za pasek stringów. Ja wracam na swoje miejsce.

– Może za mną nie jechał, ale wie, że rozmawiamy. – Odczekuję chwilę, zanim powiem jeszcze jedno zdanie: – On wie rzeczy, których nie powinien.

Malinowy Król.

– Gównu wie. Dlatego zgarnął cię Damian, który jest z Olsztyna. A on nigdy nawet nie był w Olsztynie. Może Starówkę był zwiedzić, skansen.

– Skansen jest w Olsztynku.

– Słuchaj, dla mnie jeden chuj. – Wzdycha ciężko i długo.

Chce mi pokazać, że go męczę, irytuję. Wyciąga kolejny banknot. Rozprostowuje w palcach. Kiwa głową w kierunku dziewczyny.

– Daj jej coś. Tylko jej nie potnij.

To chyba miał być żart. Wstaję, podchodzę do sceny, kładę na niej tysiaka. Dziewczyna się uśmiecha, smutno, jakby przez zamgloną szybę. Gdybym spróbował jej dotknąć, rozwiałyby się jak dym, palce trafiłyby w pustkę. Wracam do Marka.

– Miałeś rację. Nie dam rady zrobić tego sam.

Szczerzy się, jakbym wręczył mu prezent.

– Siedzi w opuszczonym przedwojennym szpitalu psychiatrycznym pod Otwockiem. Miejsce nazywa się Janówka, jest parę kilometrów w głąb lasu. Czy to jego jedyne miejsce i czy jest tam cały czas, tego już nie wiem.

Jest zdziwiony, i to mocno.

– To znane miejsce, ale tam ciągle ktoś się kręci. Małolaty, jacyś poszukiwacze duchów, zwykłe żule... plus zaraz obok mieszkają ludzie. – Spogląda na mnie. – Nie wierzę ci.

– Dla niego nie ma to znaczenia.

Zamierza powiedzieć coś jeszcze, ale się uspokaja. Nie chce mnie za bardzo wkurwić. Potrzebuje mnie.

– Ma co najmniej kilkunastu, jak nie kilkudziesięciu uzbrojonych najemników ze Wschodu. Nie wiem dokładnie, skąd są, ale to nie są zwykłe bandziory, to ludzie, którzy walczyli na wojnach. Prawdziwych wojnach, nie strzelaninach na CPN-ie w Legionowie w dziewięćdziesiątym trzecim. W tej Janówce przebił się do zamurowanej piwnicy. Podłączył prąd z generatora.

Od tamtej pory byłem tam jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem przyjeżdżał po mnie w środku nocy. Jechaliśmy jego range roverem, słuchając Radia Złote Przeboje. Znał teksty wszystkich piosenek. Zawsze towarzyszyła mu para uzbrojonych, milczących typów w spodniach moro. Dojeżdżaliśmy na miejsce, a potem szliśmy na krótki spacer. Uzbrojeni mężczyźni trzymali się dwa kroki za nami. On ciągle opowiadał o pieniądzach, zyskach, kapsułkach. Mówił ogólnie, nie zdradzał mi żadnych szczegółów. Skąd przyjeżdżają komponenty. Czy ma już hurtowników. Jaki jest break even. Jaki zysk z jednej kapsułki. Zadawałem mu te pytania, a on w odpowiedzi cmokał i paplał. Zaznaczałem, że nie chcę tego robić, bo mam swoje pieniądze, wystarczająco, aby do końca życia mieć co jeść i mieć gdzie mieszkać. A jeśli masz pieniądze, handlowanie narkotykami to głupi i zbędny wysiłek. Po jakimś czasie odbębnialiśmy tę powtarzającą się rozmowę jak rytuał. Sprawdzał mnie. Tak naprawdę nie chciał, abym był jego detalistą czy hurtownikiem.

– No dobrze, siedzi tam. Ale co on tam robi?

Wyciągam z kieszeni kapsułkę. Błyszczący w półmroku niczym coś żywego i obcego jednocześnie, owad z innej planety.

– To jakieś dragi? – pyta.

– Oksykodon z domieszką morfiny i fentanylu, do tego benzodiazepiny, chyba alprazolam. To skądś przyjeżdża, ale nie mam pojęcia skąd. Miesza to wszystko w tym szpitalu.

– Czyli leki.

– Narkotyki. Wiesz, co oksykodon zrobił w USA.

Podczas tych przechadzek powiedział jedną w miarę konkretną rzecz. Spróbowałeś pomarańczy, Jacunia, ale nie zjesz jej drugi raz. Nie zrobisz tego, bo jesteś mądry i widzisz, jakie to jest potężne. Nie możesz być śmieciem, Jacunia. Musisz być człowieczy, aż do końca.

Najpierw zmusił mnie, bym tego spróbował, a potem zabronił mi to brać.

Głos Marka sprawia, że wracam do rzeczywistości.

– Każdy ten narkotyk był kiedyś lekiem. A jeśli nie był, to prędzej czy później będzie. – Żakowski oddaje mi kapsułkę.

Zabronił mi, a ja i tak nie planowałem powtórki. Ale wystarczył jeden raz, aby wyłobić w mózgu głęboką bruzdę. Ten nagły, potężny spokój – to było uchylenie drzwi do nieba, krótki przeblysłk tego, co w środku. Genialny trailer. Ciało pragnie tej rozkoszy jeszcze raz i jeszcze raz. Teraz palce chcą włożyć kapsułkę do ust, jednak zamiast tego chowam ją do kieszeni, do plastikowej torebki.

– No i co, chce zalać tym rynek?

– Nie wiem, czego chce. Po prostu jeśli zamierzasz go dopaść, to zrób to teraz. Bo za miesiąc, dwa ci się to nie uda. Będzie miał za dużo ludzi, za dużo pieniędzy. Ze mną, beze mnie, nieważne.

– Jeśli nie dasz mi nic na papier, będę musiał czekać na jego pierwszy ruch – odpowiada.

Patrzę na niego. Myśli, że go nie rozumiem. Oczywiście, że go rozumiem.

– Jeszcze raz, ja nie mam...

– Nie masz podstaw. Wiem, Marek. Wiesz co, ja myślę, że to my zrobiliśmy was takimi frędzlami.

Zaczyna się denerwować. Próbuje zgrywać spokojnego, ale nie potrafi. Puka zaciśniętą pięścią o blat stolika.

– Nie wiecie, co to jest dochodzenie, nie słyszeliście o obserwacji. Zbieranie dowodów. Nie jesteście policjantami, jesteście skrybami znudzonych rozjebusów. Fajnie, że jest ustawa, możecie sobie billingi posprawdzać. Przychodzi co do czego, to nagle nic nie możecie. Stare baby

pod chałupą. Olaboga, wojna będzie, węgiel je we wiosce! Dziewięćdziesiąt procent wyroków w Polsce jest z pomówienia. Głupiego ze mnie robisz? Marek, skoro to, co ci mówię, to nie jest podstawa, to czemu mi zawracasz dupę?

– Spierdalaj – warczy.

– Sam spierdalaj – śmieję się w odpowiedzi.

Wybrzmiewa piosenka, jedna z tych, które ostatnio nucił Dario.

W domach z betonu

nie ma wolnej miłości [10](#).

– Zmuszę cię. Mogę cię zmusić. W więzieniu dadzą cię do wora pierwszego dnia.

Pokazuję mu przeguby, aby mnie skuł. Jeśli to zrobi, straci wszystko, na czym mu zależy.

W odpowiedzi s pluwa na ziemię.

Pięknie wymyślił się na nowo, ale wystarczy bardzo niewiele, aby spod spodu wylazł stary, dobry Marek.

Dziewczyna zdejmuje stanik, zaczyna się przechadzać po scenie. W mroku, na obrzeżach światła, coś się rusza, kłębi. Czeka. Jakby mówiło: też tu jestem, zapomniałeś o mnie. Dziewczyna jest zupełnie tego nieświadoma.

– Zależy ci na nim. Bardzo.

– To najniebezpieczniejszy człowiek w Polsce.

– A ty chcesz być najlepszym psem w Polsce.

– Człowiek albo robi w życiu coś sensownego, albo robi głupoty, które ma za coś sensownego.

– Wiesz, który wariant jest twój?

– Chłopie, nikt tego nie wie.

Ktoś zmienia piosenkę, chyba ochroniarz, w głośnikach eksploduje *Papierowy księżyc*. Mam już dość polskich wokalistek, ale Markowi utwór ewidentnie sprawia przyjemność. Odpręża się, uśmiecha. Wznosi toast mineralną, nie wiadomo za kogo – za dziewczynę, za mnie czy za kogoś, kogo widzi tylko on, zjawę zawieszoną za granicą światła.

Powiedziałem mu, że nie dam rady zrobić tego sam. Tak naprawdę – jest psem, a ja rzuciłem mu kość. Chyba wiem, dlaczego tu jestem: chcę go trzymać jako rezerwę, na wszelki wypadek.

Zrobię to sam, ale to potrwa długo. Miesiące, jak nic. Muszę wymyślić jakiś model współpracy, który pozornie będzie dobry i dla mnie, i dla niego. Poudawać negocjacje. Spróbować zostać jego współnikiem. Będę musiał zrozumieć, jak wyglądam w jego oczach. Przypatrzeć się tej postaci. Zmienić się w nią. Sprawić, że Dario zaufa mi bardziej, niż rozsądni mężczyźni ufają swoim żonom. I w końcu zostać z nim sam na sam. Z bronią w ręku, która do tej pory stanie się dla niego przezroczysta.

Zdziwić go. Strzelić. Uciekać jak najszybciej, w opracowanym kierunku. Zgubić pościg jego ludzi – to będzie najtrudniejsza część.

To wtedy Marek i jego psy mogą mi się przydać. Nie pokonają tych typów, to w końcu regularne ruskie wojsko, ale mogą ich spowolnić, popsuć im orientację. Dużo trudniej utrzymać uwagę na oddalającym się celu, odganiając się od os.

– Jeszcze raz: za chwilę będziecie spóźnieni. Będzie miał za dużo ludzi – powtarzam.

– Zawsze jesteście spóźnieni, bo zawsze najpierw jest jakieś przestępstwo. My tylko reagujemy. To jest zadanie policji. On był jednym z wielu, nawet nie najważniejszym. Był moment, taki jak z polityką: bandziory stały się legitne, było spokojnie i wierzyliśmy, że tak będzie zawsze. Nas też dotknął ten, jak to się mówi... koniec historii.

Dziewczyna schodzi ze sceny, Marek odprowadza ją spojrzeniem. Dopiero gdy znika, on odwraca się w moją stronę.

Próbuję się odprężyć. Palce znowu trafiają na torebkę z kapsułkami. Niech gada.

– Pomyślałem sobie pewnego wieczoru: no dobra, a jeśli nadciąga wielka burza? Kryzys, wojna, cokolwiek? Może to my jesteśmy ostatnią instancją, gdy wszystko inne idzie się jebać? Przecież na to w końcu przysięgaliśmy. Jak lekarze. Kumasze?

Dopijam whisky. Zamykam oczy. Słucham swojego oddechu. Postanawiam wkurwić go jeszcze raz, na sam koniec. To nie mają być przyjemne spotkania. Nigdy nie może mieć poczucia, że dostaje, czego chce. W przeciwieństwie do Daria. On musi w nim pływać. Pić je jak wodę z cukrem.

Każdemu co jego. Wtedy wszystko się uda.

– Marek, to niebywałe, jak ty pierdolisz. Jesteś teraz obrońcą świata? Przecież ty sam w Lustrach przywoziłeś towar na bramki. Naliczałeś dupy

po kawalerkach. Jesteś brudna świnia, która wpadła do jeziora i teraz się dziwi, bo nagle stała się umyta.

W różowawym półmroku, bez tańczących kobiet, bez wgapionych w nie facetów to miejsce przypomina porzucony plan filmowy. Wybudowaną w hali dekorację taniego filmu.

Nagle przypomina mi się mój stary sen. Dwóch chłopców stojących przed opuszczonym blokiem. Coś w rogu. Coś, co czeka. Kwaśny, siarczany smród. Napis na murze – ODDAWAJ KURWO CO ZABRAŁAŚ.

– Wyślij tam patrol. Dostałeś zgłoszenie, że coś tam. Wymyślisz coś. Puść tam drona, cokolwiek, zresztą nie jestem tu po to, aby ci doradzać. – Wstaję, a on łapie mnie za nadgarstek. Jest silny. Mógłbym się wyrwać, uderzyć go, ale to chyba nie byłoby najmądrzejsze. Ściąga mnie w dół, zmuszając, bym usiadł z powrotem.

– Będiesz przy nim dwa cztery na siedem – mówi. – Będiesz go obserwował. Znajdziesz ten moment. A potem dasz mi kody na ten gruby ruch. W zamian będziesz żył.

– Może mi wcale nie zależy, aby żyć, Marek.

Jego oczy błyszczą w ciemności. Czuje zwierzęcy głód i ćpa to uczucie. To go uwzniośla. Dodaje mu człowieczeństwa. Sprawia, że przestaje być śmieciem.

– Nie zależy ci, aby żyć. Co ty, kurwa, bredzisz. Ty masz ledwo czterdziestkę. Jesteś inteligentnym kolesiem. Ustawiłeś się już na całe życie. Możesz wyjść z tego bez odsiadki. Masz farta, jakiego nikt nigdy nie miał.

Rzeczywistość wokół mnie zamienia się w długi, gładki błysk. Czeka, co powie dalej.

– Gadałeś o mojej żonie. Moja żona zmarła na raka, dwa lata temu. Zawinęła się w trzy miesiące. Poszła na badania, w głowie jej się kręciło. Miała to już w mózgu. Przerzut z trzustki. Wyła, chłopie. Wyła jak pies. Dostawała fentanyl. To gówno, które jest w tych twoich kapsułkach, tylko czyste. Po tym też wyła. Ale ciszej. I nie cały czas.

Trzyma mnie spojrzeniem w miejscu. Próbuje wyszarpać rękę z jego uścisku.

– Dzieci?

Nie odpowiada. Dopiero po długiej jak miesiąc minucie puszcza mój przegub i mówi:

– Są u jej siostry. Za granicą.

– Przykro mi. – Mój własny głos również robi się wytłumiony, wyciszony. Dziewczyna prawie zupełnie znika. Mrok zlewa się ze światłem, podłoga staje się miękka jak kołdra. Jakbym wziął tabletkę, której jednak nie wziąłem.

– Dzwonź do mnie z tego telefonu. – Daje mi starego ericsona z klapką, w foliowej samarce razem z ładowarką.

Zostawiam Marka w ciemności i wychodzę w lepki kisiel z czerni, światła i gwiazd. Na zewnątrz jest prawie tak samo jak w środku i przez chwilę mam wrażenie, że dziewczyna dalej tańczy, na scenie przyczepionej do nieba.

1 MAJA 2020

Radio mówi: *w Polsce odnotowano dziś dwieście dwadzieścia osiem przypadków. Siedem zgonów. Zawieszenie krajowych i zagranicznych połączeń lotniczych zostaje przedłużone do odwołania.* W sklepach spożywczych wciąż obowiązują limity. Ludzie uwięzieni w zamkniętym kraju nie rozumieją, że wszystko i tak jest więzieniem. Niebo jest przekornie niebieskie, zupełnie czyste, nieskończenie otwarte. Każdemu na koniec jego własny dowcip.

Dario jest dzisiaj bardzo wesoły. Ubrał się w krótkie, wędkarskie bojówki, koszulkę z napisem TO PIWO UKSZTAŁTOWAŁO TO WSPANIAŁE CIAŁO oraz okulary przeciwsłoneczne do biegania. Na nogach ma skórzane sandały. Przypomina randomowego faceta z małego miasta, snującego się po festynie. Jest zwykły, lekko grubawy, obleśny, ale nie na tyle, aby nie budzić sympatii. Dopiero gdy przyjrzeć się jego zamazanym tatuażom, widać napisy po rosyjsku oraz coś, co chyba jest cwelonym cherubinkiem.

Koszulka, sandały, piosenki – wszystko to ma mi powiedzieć: to ja decyduję o tym, jak się czujesz. To ja decyduję, co o mnie myślisz.

Podsakuje za kierownicą range rovera, podekscytowany jak małe dziecko.

– Jedziemy dać ci prezent. Ale mam dla ciebie fajny prezent.

– Nie potrzebuję prezentów. Wszystko mam – mówię mu.

On nie słyszy. Wymawia słowo prezent jeszcze głośniej.

– PREZENT! PREZENT! PREZENT! – krzyczy.

Z samego rana zadzwonił domofonem. Kazał mi zejść na dół, wziąć ze sobą parę rzeczy, które uważam za najpotrzebniejsze. Poprosiłem go o pięć minut. Ułożyłem przed sobą komputer, telefony i ledger do sejf, wyrecytowałem z pamięci ciąg haseł do ledgera. Wziąłem bieliznę na zmianę, kosmetyki, pistolet. Wrzuciłem to wszystko do plecaka.

Zagaduję go, głównie po to, aby przestał krzyczeć w kółko: PREZENT! Pytam, czemu upozorował swoją śmierć. Czemu czekał tyle lat.

– Oj, bo oni by mnie dojechali wtedy jednak. Ja słabiutki byłem – odpowiada.

To wyświetla mi się w głowie samo. Bardzo próbuję wyłączyć ten obraz, ale nie mam na to wpływu. Moja siostra na poboczu, w trawie. Dario celuje jej w głowę. Może trzyma ją za włosy. Nie słyszę, co mówi, ale na pewno używa zdrobnień. Zdrobnień zatrutych śliną. Spokojnie. SPOKOJNIE. To potrwa bardzo długo.

– Ukręciłem trochę awantur, żeby sprawdzić, jak to wygląda. Wyczuć ich. Zobaczyć, co zrobią. Oj, wtedy jeszcze wszyscy byli bardzo czujni. Dużo ryzyka. Trafiliby mnie. Piotrek, cała reszta. Poznałem ciebie, to było najlepsze, co wtedy się stało. Ale nie byłem gotowy. Ty też nie byłeś. To jak z żoną, Jacunia. Poznajesz piękniutką żonę, gwiazda ci normalnie spada, ale to nie ten moment, by wesele robić. Musieliśmy poczekać, Jacunia, na dobrą okazję. Każdy czekał na swój sposób.

– Na jaką okazję?

– Aż wszyscy stracą czujność. Aż wszystkich do końca popsuje. No zobacz, nie jest tak?

Dojeżdżamy na miejsce. Jesteśmy w Wilanowie, na jednym z klockowatych osiedli prosto od dewelopera. Gdzieś w oddali widać groteskowy, półokrągły czepek Świątyni Opatrzności. Po ulicach spacerują sklonowane młode matki z wózkami, w legginsach La Mania i kurteczkach DKNY. Ich zagubieni, umięśnieni, brodaci faceci z wydziaranymi przedramionami, w koszulkach Polo albo Gant. Wszyscy porządni, wszyscy w maseczkach. Wszyscy z małymi psami, które można włożyć sobie pod pachę. Najgrzeczniejsi ludzie w Polsce. Będą cierpieć pierwsi. Boją się najbardziej.

– Zobacz, jacy są popsuci ze strachu. Wszyscy. Wszyściuteńcy. Sparaliżowani jak myszki. Cyk, i bierzesz wszystko, co do nich należy. A oni są szczęśliwi, że wciąż żyją.

W poprzednim życiu sprzedawałem tu bardzo dużo. Był boom, odbicie po 2008, korporacje zaczęły trzymać ludzi na smyczach dobrych pensji i tanich kredytów we franku, który zamrożony magicznym zaklęciem miał już nigdy nie zmienić kursu. Ludzie brali te mieszkania – sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt metrów kwadratowych po osiem, dziewięć tysięcy za metr. Robili kuchnie w drewnie na zamówienie. Kupowali do salonów odrestaurowane meble stylizowane na PRL. Włoskie kafelki do łazienek. Audi, BMW albo volvo w garażu, bezpieczne, z zamontowanymi kamerami i kontrolą trakcji, z czujnikami martwego pola w lusterkach. Siedzieli w tych mieszkaniach przerażeni, że zaraz je stracą. Znałem małżeństwo, które poznało się, gdy jeszcze pracowali w call center. Potem oboje dochrapali się dyrektorskich stanowisk. Opiekunka siedziała z ich dzieckiem praktycznie dwa cztery na siedem. Zapraszali znajomych „na wino”, w trzy pary potrafili przez wieczór przefurać dychę towaru, więcej niż największe miejskie upiory.

Wszyscy, którzy tu żyją, są przekonani, że koniec świata to kwestia kilku miesięcy. Furają, aby się nie bać; nafürani, z powrotem wierzą we własną wszechmoc. Kiedyś świat nagiął się do ich woli jak miękka stal. To im wszystko się należało, to oni ciężko pracowali, podejmowali ryzyko, łapali życie za mordę. Właśnie po to ich rodzice za Balcerowicza jedli ziemniaki i kamienie, trzymali studolarówki w skarpetach. Aby dać im szansę. W efekcie ci tutaj przebierali się za szczęśliwych ludzi, jakby codziennie było Halloween. Wszystko dobrze, tato, mamó, słuchaj, wszystko super, dojazd, szkoła, sklep, w pobliżu park, dobre knajpy, sushi, indyjskie, włoskie, meksykańskie, co chcesz. Biegi, joga, bio jedzenie, alarmy, ogrodzenia, chipy wszczepiane zwierzętom, pięknie zaprojektowane książeczki dla dzieci, diety sokowe, terapia. Bezpiecznie, spokojnie i tylko ten wiatr, który wślizguje się przez szczelne nowe okna. Który wpełza pod stopy stojące na włoskich kafelkach. Teraz ten wiatr wybił szyby. Wyrwał drzwi z zawiasów. Teraz ten wiatr nimi miota. Są bezwładni jak śmieci.

Wyglądamy z Dariem jak ojciec i syn. Syn wprowadził się tu niedawno, wciąż świeży w tym plemieniu awansował na dyrektorskie stanowisko. Ojciec przyjechał go odwiedzić, zobaczyć, jak ten sobie radzi. Sympatyczny facet z małej miejscowości. Konserwatywny, zasadniczy, ale bardzo miły, zwłaszcza dla kobiet.

– Przepraszam bardzo, przepraszam panią najpiękniejszą na tym świecie podłym – mówi, ocierając się barkiem o ramię młodej kobiety idącej za rękę z małym dzieckiem. – O jaka piękna dziewczynka. – Szczerzy się, kuca. Patrzy dziecku prosto w oczy. – Musi być bardzo mądra – zwraca się do kobiety.

– No, różnie z tym bywa – odpowiada matka z uśmiechem.

– Niech pani tak nie mówi. Trzeba im powtarzać, że są najmądrzejsze. Dzieciaczek każdy jest najmądrzejszy. To my jesteśmy głupi. – Jest tak miły, że można wybaczyć mu wszystko, nawet strój najebanego wędkarza.

Dziewczynka ma trzy, może cztery lata. Gdy Dario dotyka jej twarzy, cofa się o krok, wpija dłonie w nogi matki, przyciska się do nich. Widzi, kim on naprawdę jest. Widzi czarne robaki, które wypełzają mu z kącików oczu.

– Trzeba im tak mówić, bo potem zrobi się z nich coś takiego jak ze mnie. – Dario wstaje. Uśmiecha się.

– Teraz niech pan tak o sobie źle nie mówi, panie...

– Krzysiu. Nazywam się Krzysiek.

Odciągam go od kobiety. Gdy ją mija, wywala język, zaczyna chłeptać powietrze, pokazując, co by jej robił, gdyby tylko mógł. Ta wydaje się tak zdziwiona, że bierze to za halucynację, zniekształcenie spowodowane przez oślepiające słońce.

Dario otwiera drzwi na klatkę plastikową kartą. Tynk i świeża farba wałą w nozdrza. Na framugach okien jeszcze widać fabryczne naklejki. Winda jest wyłożona roboczym kartonem pomazanym markerami.

– Co to za prezent? – pytam.

– To połowa prezentu. Druga będzie później. – Podskakuje w miejscu, tak bardzo jest podniecony. Wychodzimy na klatkę. Zatrzymujemy się przed drzwiami, które otwiera tą samą kartą.

Mieszkanie urządzono pod klucz. Zupełnie bezstylowo, ale też bez żadnego niepotrzebnego gówna. Na pewno jest bardziej ludzkie niż moja nora na Gocławiu. W ścianie ogromny telewizor, w rogu pojedyncza roślina w doniczce. I tylko jeden dziwny szczegół, czerwona smuga na ścianie, jakby ktoś rozciął sobie kciuk do krwi i przejechał nim po tynku, robiąc grubą kreskę.

– Hop, hop! – woła Dario, wchodząc do środka.

Staje za ladą kuchenną, uderzając dłońmi o blat. Otwiera lodówkę. W środku butelka whisky, kilka jogurtów, owoce, niedojedzona dieta

pudełkowa. Dario patrzy na to z lekką odrazą. Wyciąga whisky, nalewa do szklanek, wznosi toast.

– O co chodzi? – pytam go.

– Teraz będziesz sobie tu mieszkał.

– Nie powiedziałem, że będę dla ciebie cokolwiek robił, Dario.

On nie słyszy tych zdań. Kładzie na stole niemiecki paszport. Otwieram go. W środku jest moje zdjęcie, obok imię i nazwisko – Thomas Anders.

Pytam, dlaczego Thomas i dlaczego Anders.

Znowu podniecony wyciąga swój. Twarz na zdjęciu wygląda dziwnie – tak, to on, ale pozbawiony wszystkiego, czym tak naprawdę jest. Jego paszport jest wystawiony na nazwisko Dieter Bohlen.

– Thomas Anders i Dieter Bohlen, czyli Modern Talking, Jacuńku. Najlepszy zespół zagraniczny, jeśli nie wiesz, to teraz już wiesz. Anders to był brunet, a Bohlen blondyn. – Klepie się po głowie. – Zobacz, jaki ze mnie piękny blondyn.

– Nie prosiłem cię o to.

– Jomaha, jomaso. Jesteś moim sercem, moją duszą też. Temu Bohlenowi w latach dziewięćdziesiątych pies odgryzł twarz.

– Więc to ja mam lepiej.

– Tak, Jacunia, bo ja zawsze oddam ci to lepsze. Największy kawałek ci ukroję.

– Jeszcze raz: nie prosiłem cię o to.

Wypija. Ja również. Whisky jest dobra, zalatuje jodyną, to jakiś single malt.

– Na tym właśnie polega prezencik, Jacuś. Że się o niego nie prosi.

Bierze paszport i zanim zdążę zareagować, sam wkłada mi go do kieszeni spodni.

Prowadzi mnie dalej.

Łazienka, granatowe kafelki. Na blacie kosmetyki, szczoteczka, perfumy, krem. Pojedyncza żyletka leżąca w małej plamce wody. Biorę ją w dwa palce, oglądam pod światło. Kilka brunatnych, drobnych kropek zaschłej krwi. Obok klitka, nieumeblowana, w intencji architekta pewnie pokój przeznaczony dla dziecka. No i sypialnia. Patryś, genialny chemik, leży na łóżku zwinięty w kłębek, przykryty prześcieradłem. To pewnie jego żarcie w lodówce, jego kosmetyki.

Wołam Daria, ten wpada do pokoju i podchodzi do Patrysia, gwałtownym ruchem zrzuca z niego prześcieradło. Chłopak ma na sobie

tylko bokserki, jest potwornie chudy. Ale... gdyby nabrał ciała, mięśni, gdyby postarzyć go o jakieś piętnaście lat, byłby bardzo podobny do mnie. Widzę to dopiero teraz.

Dario łapie chłopaka za nogę, ciągnie go w swoją stronę. Ten się budzi. Dario zaczyna się śmiać.

– Patryś – mówi – musisz już iść.

Chłopak patrzy na niego. Nic nie rozumie.

– Już cię nie lubię, Patryś – powtarza Dario, następnie chwytą go za ramię i szarpie, o mało nie wrywając go z barku.

Chcę go powstrzymać, ale to bez znaczenia. Chłopak spada z łóżka. W ostatniej chwili zasłania się prześcieradłem.

– Nikt cię nie potrzebuje, Patryś. Nikt cię nie kocha. Spierdalaj stąd, Patryś.

– Darku, ja... ja nie rozumiem. – Chłopak szuka okularów. Znajduje je na szafce nocnej. Zakłada. Wygląda jak czyste nieszczęście.

– Czego nie rozumiesz, Patryś? – Dario kopie go w żebro, bardzo mocno. Chłopak krzyczy z bólu. W miejscu kopnięcia kwitnie ciemnoszary siniak.

– Ja tu mieszkam, Darku, ja...

– Nic takiego nie mówiłem, Patryś. Chcesz mi powiedzieć, co mówiłem, a czego nie?

Robi to przedstawienie specjalnie dla mnie. Chce mi coś pokazać. Nie do końca rozumiem co.

– Bardzo tęskniłem za tobą, Jacunia, wiesz? Tak bardzo-bardzo. Tak serio-serio – mówi, posyłając mi długie spojrzenie.

Już rozumiem, odwracam się i wychodzę z pokoju. Ale on ryczy, potwornie głośno, nieludzko. Tym rykiem każe mi patrzeć.

Znowu kopie chłopaka. Teraz w twarz. Jego nos chrupie pod butem.

– Patryś, nigdzie nie mieszkasz. Jesteś kupą. Kupa nie mówi. Kupa mieszka w sraczu, Patryś.

Chce go kopnąć jeszcze raz, ale wsuwam się pomiędzy nich. Podnoszę chłopaka z ziemi za rękę.

Ktoś puka do drzwi. Popycham Patrysia na łóżko. Ze zmiążdżonego nosa spływa mu strumień krwi, ścieka po wąskiej, nagiej klatce piersiowej.

Podchodzę do wizjera z kopytem w rękę. Jeden z ludzi Daria stoi na wycieraczce. W rękach trzyma sejf z mojego mieszkania. Nie widziałem wcześniej tego człowieka, poznałbym go. Jest specyficzny, inny niż tamci.

Ma krótkie czarne włosy, wzrost koszykarza, tępawe spojrzenie mylnie sugerujące łagodność.

– Umar – przedstawia się mężczyzna. Stawia sejf na ziemi, aby wyciągnąć do mnie rękę.

Dario wychodzi z sypialni. Patryś wciąż tam jest. Płacze.

– Widzisz, jak on się śmiesznie nazywa? – rechocze Dario. – Umar. Umar Naraka, tak na niego mówię, rozumiesz, Jacunia? On się tak nie nazywa, ale to bardzo dowcipne i fajne. Wziął i umar na raka, no nie mogę z tego.

– Co to jest? – Pokazuję na sejf.

Umar wzrusza ramionami.

W mieszkaniu rozbrzmiewa muzyka. To Dario włączył coś z telewizora. *Wariacje Goldbergowskie*, wykonanie Goulda.

– Podobno to lubisz, Jacuś. – Szczerzy się, wykonuje w powietrzu idiotyczne gesty, jakby próbował dyrygować.

Umiem przesłuchać *Wariacje* w głowie od początku do końca. Z całym dodatkowym ambarasem Goulda – skrzypieniem krzesła, uderzaniem palców o klawisze, momentami, w których Gould bezwiednie nuci. Nie chcę teraz słyszeć tej muzyki. Dociera do mnie, że nie chcę jej słyszeć już nigdy.

– Czemu przywiozłeś tu moje rzeczy? – Próbuję przekrzyczeć nagranie, ale krzyczałbym również, gdyby go nie włączył.

– A po co mają tam leżeć? Nie będziesz już tam siedział. Wsadzimy tam chłopaków jakichś do tamtego mieszkania. Muszą mieć kogo, muszą mieć prysznic, Jacunia.

Biorę sejf. Wnoszę go do środka. Umar wciąż czeka na wycieraczkę. Podchodzę do głośnika, wyłączam go. Gould milknie. Otwieram sejf. W środku jest wszystko: gotówka, dokumenty, ledgery. Telefony, w tym ten od Marka. Zamykam drzwiczki, kucam przed sejfem, szybko zmieniam kombinację. Robiąc to, każę im wypierdalać.

Dario udaje, że się kaja. Zaczyna tańczyć swój dziwny taniec, podrygiwać w miejscu. Chłopak wciąż szlocha. Zerkam w jego stronę: próbuje zatamować dłonią krew, wepchnąć ją sobie z powrotem do nosa.

– Głupio wyszło może trochę, Jacunia. Ale tak, jak jest teraz, jest lepiej. Tu nikt się na razie nie wprowadzi, całe piętro puste stoi. Naprawdę jest tu fajnie, bardzo spokojnie. Możesz robić, co chcesz. Ruchać sobie, imprezki robić, kolegów zapraszać. Żaden pies tu nie przyjedzie. Zobaczysz, Jacunia.

Nienawiść to coś innego niż gniew, wściekłość. Jest pozornie łagodniejsza. Czasami nawet nie zwraca się na nią uwagi.

Nienawiść to bateria mojego ciała. Porusza płucami i sercem. Nienawiść każe mi bez przerwy myśleć, mówić, poruszać nogami.

Nienawiść to nie jest uczucie. Nienawiść to postawa.

Zemsta to pozbywanie się nienawiści. Odtruwanie organizmu. Zemsta to forma leczenia.

– Skoro to teraz moje mieszkanie, to wypierdalaj stąd – powtarzam ze spokojem.

Dario, patrząc na Umara, pokazuje palcem na chłopaka. Umar wchodzi do sypialni, podrywa go do góry, jakby Patryś nic nie ważył. Chłopak niezdarnie próbuje się zasłonić.

– Ja nic złego nie zrobiłem – mówi cicho. – Nic złego.

Dario pokazuje Umarowi gestem, co ma zrobić z chłopakiem. Umar nie reaguje. Dario szuka czegoś obok łóżka, w końcu znajduje. Spodnie. Rzuca je w kierunku Patrysia.

– Zakryj tego wstrętnego siura. Zakrywaj go, bo cię obrzygam. Nikt cię nie kocha. – Następnie zwraca się do mnie: – Tęskniłem za tobą tak, że śniłeś mi się po nocach.

Chłopak wyrywa się, próbuje uciec, ale jest powolny i niezdarny. Umar chwytą go za kark jak szczeniaka, zblazowanym ruchem. Wypycha na zewnątrz. Na moment zostajemy z Dariem sami. Zbyt krótki moment, abym mógł cokolwiek zrobić.

– Nigdy więcej nie dotykaj moich rzeczy. Nigdy więcej nie wchodzi do mojego domu bez pytania. Nigdy, kurwa, więcej.

Przybliżyła się do mnie na odległość wyciągniętej ręki. Dopiero teraz czuję, że lekko cuchnie potem.

– Chcesz cokolwiek ze mną podziałać? To jesteśmy współnikami. Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Inaczej jutro wracam do Argentyny. Nic mi nie zrobisz.

– Ja zrobię dla ciebie wszystko, Jacuniu. Dam ci cały świat i jeszcze Marsa. Wszystkie ciasta i pączki. I dżem z najśłodszej pipci.

– Pół na pół, Dario. Beze mnie powalisz się za rok, dwa. Albo ktoś cię w końcu załatwi. Potrzebujesz kogoś, kto ma mózg.

– Dowiemy się, kto skrzywdził Paulinkę i Bartusia. Pogadamy sobie z nimi. Będziemy się świetnie bawić, Jacunia, będziemy mieli imprezkę jak

cię proszę. Sierocki popuszcza przeboje z kompaktu. Italo disco. Falco, rozumiesz. Fancy, *Flames Of Love*.

Nienawiść to cząsteczki tlenu, nienawiść to czerwone krwinki, nienawiść to woda, sól, cukier.

– Pół na pół.

Dario zaczyna podrygiwać, nuci Modern Talking, klepie się po brzuchu. Poza wszystkim mam go po prostu dosyć.

– Mam nadzieję, że się jeszcze ucieszysz, Jacuś. A jeśli nie, to ja się będę cieszył za nas dwóch. – W proggu uśmiecha się do mnie, macha, udając dziecko.

Wchodzę do sypialni, siadam na łóżku. Niebo wciąż jest jasne, ale na północy widać pojedynczą czarną chmurę. Powoli wpływa na niebo, podobna do statku kosmicznego.

2 MAJA 2020

Ciężki, czarny sen. Nagle coś gwałtownie wypycha mnie na powierzchnię. Świadomość, że ktoś stoi pod drzwiami. Czuję ją w ciele jako ucisk w klatce piersiowej. Biorę broń. Patrzę przez wizjer. To znowu oni. Dario i ten wielki, Umar.

Uchylam drzwi na szerokość dwóch palców.

– Druga połowa prezentu, Jacuś.

– Wynoś się. Daj mi spać.

– Wielu ludzi byłoby bardzo szczęśliwych na twoim miejscu – odpowiada. Włożył spraną, dziurawą bluzę z logówkami reprezentacji Polski i Euro 2016. Za każdym razem, gdy go widzę, coraz bardziej przypomina menela.

– Szczęśliwych, bo?

– Z reguły ludzie, jak mnie spotykają, to mają potem kuku, Jacunia.

– Grozisz mi. To nic ci nie da.

– Ale przecież się boisz.

– To nie znaczy, że zrobię, co chcesz.

To przeciąganie liny trwa minutę, może dwie. Patrzymy na siebie. Jego oczy błyszczą w ciemności, oczy żarłocznego zwierzęcia, które żyje w ścianach.

– To nocny prezent, Jacuniu, a nie dzienny. Nie mogę wręczyć ci go w dzień. Tak się nie zgadza, nie pasuje.

Przynajmniej zmusiłem go, by jakoś się wytłumaczył.

Wkładam dres, buty, kurtkę North Face, kupioną jeszcze w Patagonii. Schodzimy do garażu. Pachnie świeżym tynkiem, woskiem do karoserii kilku zaparkowanych aut. Małymi sukcesami. Sztucznym bezpieczeństwem.

Range rover stoi na miejscu dla inwalidów. Z bagażnika dobiega przytłumiony dźwięk. Tępe, rytmiczne uderzenia. Głos próbujący się wydostać z zakneblowanych ust.

– Chcesz zobaczyć teraz czy na miejscu? – pyta Dario.

Panika atakuje głowę serią obrazów. Tak, to prezent. Pudełko z niespodzianką. Niespodzianka działa, gdy kryje w sobie mnogość opcji. W środku może być Pazina, w środku może być Beata. W środku może być mój ojciec.

– Jacunia. Odpakowujemy prezent teraz czy dopiero na miejscu?

Zło jest przeważnie prostackie. Porusza się przewidywalnymi torami chciwości i głupoty. Na końcu prawie każdego zła są pieniądze i czyjaś potrzeba władzy, bezpieczeństwa. On nie musi czuć się bezpiecznie. On nawet nie wie, co to znaczy.

Pokazuję na bagażnik. Niech mu będzie. Teraz.

W środku jest mężczyzna.

Mija parę długich sekund, zanim go rozpoznaję.

Może dlatego, że usta ma zaklejone taśmą. Może dlatego, że oczu tkwiących w zaczerwienionej twarzy nigdy nie widziałem wytrzeszczonych w przerażeniu. Dario splota w jedno z tych oczu. Fajkowski zaczyna kompulsywnie mrugać.

Kurwa mać.

– Zabierajcie go stąd. – Odwracam się od faceta w bagażniku. Nie chcę go widzieć. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Za parę godzin będzie go szukać cała stołeczna policja, o ile już tego nie robi. – Jesteś pierdolnięty – dodaję, chociaż słowo „pierdolnięty” jest w tej sytuacji nieporadne, puste.

– No, jest coś na rzeczy, Jacunia. Rzeczywiście, nie jestem najprostszym ołówkiem w piórniku. Tak mówiła moja świętej pamięci mamunia.

Próbuję patrzeć mu w oczy tak, jak patrzyłbym każdemu innemu człowiekowi. Przeważnie zło przypomina krótki odcinek na prostej linii.

Ale jego zło to nie linia, to obiekt. Jest trójwymiarowe, nigdy nie widać go w całości.

On doskonale wie, co ludzie o nim myślą, jak go sobie wyobrażają. Idzie za tym wyobrażeniem, wciela się w nie, i dopiero w ostatnim momencie zupełnie się zmienia. Wtedy człowieka paraliżuje zdziwienie, a on w ułamku sekundy przegryza mu gardło.

– To druga połowa niespodzianki.

– Pierdolę twoje niespodzianki.

Fajkowski wydaje z siebie bezkształtne wycie.

Dario zamyka klapę bagażnika. Spod bluzy Euro 2016 wyciąga broń. Gestem nakazuje mi wsiąść do auta.

– Jacuś, ja nie mam czasu na obrażalstwo. To bez sensu tak. Jakieś foszki, jakieś fukanie. Ja ci podaję wszystko na tacy, staram się, robię, co mogę, serio, tyram dzień i noc dla mojego dzidziusia Jacusia, a dzidzius Jacuś powinien przynajmniej powiedzieć: DZIĘKUJĘ, DARECZKU, DZIĘKUJĘ CI BARDZO, KURWA MAĆ, BO MOGĘ SOBIE ŻYĆ, A NIKT NIE WYCIĄŁ MI...

Kopię w błotnik, na karoserii zostaje wgniecenie. Przynajmniej Dario się zamyka.

– Znowu mnie straszysz. Przestań mnie straszyć. Mówiłem ci. – Zaciskam wszystkie mięśnie. Trzymam strach w środku.

– Mówiłem ci, że znajdziemy tego, kto zrobił krzywdę Paulince i Bartusiowi, tak? Mówisz i masz, Jacunia. Proszę cię bardzo, Jacunia. Zapraszam cię najsmaczniej.

Bredzi. Fajkowski mógł wjechać w człowieka na pasach, by potem, kompletnie schlany, bajdurzyć, że zrobił to celowo. Może rzeczywiście tak mu się wtedy wydawało, że podejmuje decyzję; może chwilowo przestała mu działać jakaś część mózgu. Fajkowski nie ma moralności, ale nie zleciłby morderstwa kobiety na oczach jej dziecka. Nie wiedziałby nawet, jak się do tego zabrać.

– Zobacz, jak go załatwiłeś fajnie. Nikt go nigdzie nie chce. Taki z niego teraz bogaty menel. Co z tego, że ma pieniądze, co je pozarabiał, jak nie zarobi nowych i ludzie mu w gębę plują, jak go widzą. Miał powody, by zrobić ci kuku.

– Nie załatwiłem go.

– Sprzedałeś mu to ćpanko, które tak go załatwiło.

Dario wie, że nie ma szans, abym kupił te bzdury. Nie, zaprasza mnie, abym zobaczył, o co mu naprawdę chodzi.

Chcesz pięćdziesiąt na pięćdziesiąt? To chodź. Wejdz w to. To jest właściwy prezent, to jest prawdziwa niespodzianka.

Wsiadam. Rusza z piskiem opon. Po paru minutach wypada na Wilanowską. Podkręca radio.

Jezioro ma twój zapach i smak [11](#).

Teraz prowadzi jak stary Dario. Sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt, sto siedemdziesiąt. Dwie paki. Wszystko dookoła ma się mu podporządkować. Nie ma innej możliwości. On łaskawie pozwala wszystkiemu przeżyć.

– Skąd go zgarnęliście?

– Z ulicy, normalnie – rzuca Umar z tylnego siedzenia. Mówi po polsku z mocnym akcentem.

– Z imprezki sobie wracał. Każdy lubi się zabawić. Po co się jakąś chorobą wymyśloną przejmować? Żyje się po to, aby umrzeć, Jaceńku. Więc w międzyczasie trzeba pić i jeść smacznie. Wyginać śmiało ciało. Zaraz jego wygniemy śmiało. Zobaczysz, jak ciekawie się noga zgina w drugą stronę.

Na miejscu, pod Janówką, Dario otwiera bagażnik, zdziera Fajkowskiemu taśmę z twarzy. Ten ma zarost, więc musi go boleć, ale ze strachu zapomina o bólu. Bierze głęboki wdech przez usta, jakby przez cały ten czas był pod wodą. Oko, w które napluł mu Dario, ma całe zaczerwienione.

– Panowie. Panowie. Poczekajcie. Porozumienie. Porozumienie jest najważniejsze, nie uważacie?

W ciemności krótkie błyski latarek, szczekaczki. Noc jest ciepła i ciężka. Do auta podchodzi kilku żołnierzy – maski, spodnie moro, plecaki, które wyglądają, jakby miały po pięćdziesiąt tysięcy kieszeni. Jeden z tych mężczyzn jest inny niż reszta. Niski, łysy, koło pięćdziesiątki, z czaszką pokrytą węzłami żył przypominających zamrożone robaki. Wszyscy są szerocy, ale ten jest jeszcze szerszy, wręcz karykaturalny, ludzik z kreskówki. Jednym ruchem wyciąga Fajkowskiego z bagażnika i rzuca go na ziemię, jakby Fajkowski ważył dwadzieścia kilo.

Dario klepie faceta po ramieniu.

– Nie ma za co – odpowiada tamten, zupełnie czystym polskim. Patrzy na mnie.

– Karaś. Karaśku. To jest Jacunia. Ten słynny Jacunia. A to jest Karaś, mój kapral. – Dario staje przy mnie, jakby chciał mnie przed nim obronić.

– Słynny Jacunia – powtarza Karaś. Nie rozumie, kim jestem ani co tutaj robię. Widać, że siedział w kryminale, ale widać też, że był w wojsku, może w Legii Cudzoziemskiej. Na pewno zabijał ludzi. Napięcie w ciele. Sztywne ruchy rąk. Drobne tiki, powieka, drapanie się po głowie.

Ma bardzo małe oczy, osadzone jakby po bokach czaszki. Ostry, szpiczasty nos. Szeroką szczękę, drobne i zepsute zęby. Klatkę piersiową opina mu ciasna sportowa koszulka.

Fajkowski nieruchomieje. Słyszczyć tylko jego ciężkie, chrapliwe wdechy przez zajechny koksem nos.

– Karaś to mój przyjaciel – tłumaczy Dario. – Jedyne, jakiego mam. Mój brat, braciszek. Ile my się znamy? – Patrzy na Karasia.

– Tysiąc żyć. – Karaś strzyka śliną prosto pod moje buty. Na dłoni ma zamazany gitowski tatuaż. Coś go swędzi, ciągle się drapie, drepcze w miejscu. Może się nawąchał.

– No dobra, dobra. Ja tu się muszę z Karasiem rozmówić. Dawno go nie było, a są różne sprawy – mówi Dario. Wyciąga coś z kieszeni, nóż do tapety, z plastikową rączką. Na odchodnym wciska mi go do ręki.

Biorę głęboki oddech. Wiem, że apelowanie do rozsądku Daria jest bezcelowe. Mimo to mówię mu:

– Posłuchaj. Będą go szukać, zaraz. Być może już go szukają. To człowiek o stuprocentowej rozpoznawalności.

Nie widzę go już, ale słyszę, jak się zatrzymuje.

– Może i będą, za jakiś czas. Ale nikt go nigdzie nie chce, Jacunia. Sikają na niego. Dla nich wszystkich będzie po prostu łatwiej, jak zniknie.

Fajkowski zaczyna się dusić. Na dzinsach wykwitła mu rozległa, ciemna plama. Zostałem z nim sam.

Jest cicho, ciemno. Słodki zapach butwiejących roślin. Pylista ziemia. Niebo jest przejrzyste, widać na nim pojedyncze gwiazdy i Marsa, jasnego jak lampka choinkowa.

– Myślałem, że... myślałem, że wyjechałeś z Polski. Tak mówili na mieście.

– Wyjechałem. Ale wróciłem.

Pomagam mu się podnieść do pozycji siedzącej. Potwornie chce mi się pić. Podchodzę do auta Daria, otwieram; na tylnym siedzeniu zgrzewka energetyków. Biorę dwie puszki, jedną dla niego, drugą dla siebie. Otwieram, wlewam mu trochę do ust. Pies, który leżał cały dzień w upale, nie piłby tak łapczywie.

Zaczyna mówić. Nie przerywam mu.

– Jacek, na Boga. Nie wiem, o co tu chodzi, nie mam pojęcia, co to za panowie, ale rozumiem, nie jest to Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Posłuchaj, Jacek. Milion dolców to tak mam od ręki. Potrzebuję tylko telefonu. – Próbuje negocjować. W oczach ma przerażenie i błaganie. – Zobacz zegarek. To patek. Ze sto koła euro. Trzeci raz go założyłem. Może czwarty. Weź go. Albo niech oni go wezmą. Autentyk, w sejfie w domu mam papiery.

Nie odpowiadam. Wstaję. To nie jest żaden prezent. To problem, który mam rozwiązać.

– Ten facet, Darek... mówił o twojej siostrze. Ja nic o tym nie wiem. Ja nawet nie wiedziałem, że miałaś siostrę. Nigdy nic...

– Coś jednak o mnie wiedziałaś, Mariusz. Beata dużo ci opowiedziała – przerywam mu, chociaż wierzę, że nie miał pojęcia, co mnie spotkało.

Dario specjalnie podał mu swoje imię. Specjalnie przywiózł go tutaj, do Janówki.

– Wiesz, co jej zrobiłem.

Pokazuję mu nóż do tapet. Otwiera oczy jeszcze szerzej, a do mnie dociera, że zna dramę z bliźną, ale nie skojarzył faktów.

– Słuchaj, ja nic nikomu nie powiem. Ten Dario gadał jak najęty... o tym, że robicie tu jakieś nowe dragi... kurwa, nic nikomu!

Oczywiście, że gadał jak najęty. Powiedział mu wszystko – abym nie mógł puścić go wolno. To nawet nie jest problem do rozwiązania. To rytuał przejścia.

Zamykam oczy. Jeszcze raz. Wyobrażam sobie siebie i Daria. Jesteśmy sami, we dwóch. On mi ufa, a ja mam broń. Strzelam.

Uciekam.

Albo nie, jeszcze lepiej. Dario siedzi na ziemi zamiast Fajkowskiego. Jesteśmy sami. On jest związany. Ja mam nóż i mam czas.

Na końcu świata czekają na mnie ciemność i pies.

Człowiek jest miękki, myślę nagle. Można otworzyć go równie łatwo co książkę. Przeczytać. Zwykłym nożem do otwierania paczek.

– Myślę, że dwa miliony dolarów...

– Nie chodzi o hajs.

– W końcu znajdziemy taki, o jaki chodzi. – Trzeba mu oddać, nawet w takiej sytuacji ma resztkę rezonu.

Wygląda młodziej niż sześć lat temu, bo się naciągnął. Skóra na policzkach jest napięta jak membrana bębna, podtrzymywana przez wszczepione pod nią struny. Zafarbował włosy, wyrzeźbił nos, zlikwidował zmarszczki. Biorę nóż. Uwalniam mu dłonie, rozcinając trytkę. Gdy wysuwam ostrze, jego oddech i tętno przyspieszają. Chowam – zwalnia. Są ludzie, którzy bardzo lubią taką zabawę, potrafią męczyć ofiary godzinami.

Opieram Fajkowskiego o samochód. Zaczyna rozmasowywać sobie nadgarstki. Zauważa, że całe ubranie – koszulę, spodnie Diesla, trampki Louis Vuitton – ma brudne od ziemi, pyłu i błota. Nawet w tej sytuacji jest to dla niego problem. Nienawidzi być brudny. Zawsze musi dobrze wyglądać. Zawsze ktoś na niego patrzy.

– Nie pozbierałeś się, Mariusz, prawda? Nie wróciłeś.

Kręci głową. Wypiera to, tak jak swój wiek i fakt, że kiedyś umrze. Robi z tego temat rozmowy.

– Nie, nie. To nie do końca tak. Mam fajne pasmo w radiu, wydaję zaraz autobiografię. Są fajne interesy, posłuchaj, możemy też coś wymyśleć razem. Jestem w negocjacjach... Wiesz, teraz pandemia. Ale jak to się przewali, szykujemy nowego Fajkowskiego. Powrót króla. Mówię ci.

Może naprawdę wierzy, że to kolejny występ, że wszystko jest telewizją. Kopię w karoserię obok jego głowy. Kolejne lekkie wgniecenie. Jest coś bardzo przyjemnego w kopaniu w cudzy drogi samochód.

– Okej, okej. Byłem w dupie. To znaczy, miałem za co żyć, i to dobrze. Ale... ludzie na ulicy pluli mi w twarz, Jacek. Telefon milczał, zupełnie. Przez dwa lata. Moja matka napisała mi SMS-a: „Wstydzę cię Ciebie”. Dostałeś kiedyś takiego SMS-a, Jacek?

– I nie przyszło ci do głowy, że to moja wina?

Kręci głową.

– Ja mam sześć dych, Jacek. To za mało czasu, aby zwałać winę na innych.

Jest mi zupełnie obojętny. Przez te lata w Argentynie pomyślałem o nim może raz. I Dario to wie. Z budynku dobiegają strzępy rozmów. Gdzieś w lesie szczekają psy.

– Widzisz, Mariusz, moja siostra i jej mąż to byli dobrzy, zwykli ludzie. Ktoś ich zamordował. I to ma związek ze mną. – Nie wiem, czemu mu to mówię. Może po prostu chcę usłyszeć swój głos, gdy wypowiadam te zdania.

Fajkowski próbuje się podnieść. Lekko naciskam butem jego klatkę piersiową.

– A nie sądzisz, że zrobili to na przykład twoi nowi koledzy? – pyta, kiwając głową w stronę ciemnej bryły budynku.

Zabić człowieka niewielkim nożem, to musi być wstrętne. Zwłaszcza gdy nie ma się wprawy. Trudne, długie, obrzydliwe. Staram się nie zamykać oczu na dłużej niż sekundę. Obrazy czekają, aby wybuchnąć. Czuję kapsułki w kieszeni. Z minuty na minutę są coraz cięższe.

– Rozumiem, że nowi, bo nie znałeś się na przykład z tym, który... który wyszedł teraz.

– To całkiem możliwe – odpowiadam w końcu. – Możesz mieć rację.

– Więc co ty tu w ogóle robisz, człowieku? – W jego głosie jest jakaś prawda, której nie było wcześniej. Desperacja, niedowierzenie, ale też coś w rodzaju troski. Może w poprzednim życiu był tak samotny, że miał mnie za swojego kolegę.

– Dario... Sam nie wiem o nim wszystkiego. Ale chyba zauważyłeś, że to nie jest nikt zwyczajny?

Fajkowski odwraca wzrok, patrzy w ciemność. Kiwa głową.

– Widzisz, Mariusz, normalna bandyterka jest prosta. To interesy, na które nie można podpisać umowy. Trzeba je zabezpieczyć inaczej. Od tego jest właśnie przemoc, Mariusz. Ktoś się nie wywiązuje ze swoich zobowiązań i zostaje dojechany. Łapiesz?

Kiwa głową. Łapie, oczywiście, że tak. Łapie do tego stopnia, że zaczyna się trząść. Najpierw ręce, potem głowa, w końcu całe ciało, jakby wrzucał coraz wyższe biegi strachu.

– Ale ten mój, jak to powiedziałeś, kolega... on ma gdzieś transakcje i umowy. On krzywdzi ludzi, bo ludzie do niego należą. Lubi coś ukraść, a potem zniszczyć. Jest jak Napoleon. Gdy Napoleon jechał na Moskwę, każda oberża, w której się zatrzymywał, była już potem jego oberżą. Gdy zjadł jakąś potrawę, od tamtej pory mówiono na nią jego imieniem. Rozumiesz, Mariusz?

Strach działa na niego jak crack. Fajkowski próbuje się podnieść. Daje mu znak, że ma siedzieć. Jeśli zrobi to jeszcze raz, kopnę go.

Ktoś wychodzi z Janówki, błyska latarką w moim kierunku. Zakrywam oczy. Nie widzę kto to, na wszelki wypadek podnoszę dłoń na znak, że wszystko w porządku. Biorę jakąś szmatkę z wnętrza auta, wciskam Fajkowskiemu w dłoń.

– Jesteś jego, Mariusz. Ja nie mam na nic wpływu.

Dario idzie w naszą stronę, prosto, ale z wysiłkiem. Poznaje go po krokach. Śmierdzi wódką. Omiata spojrzeniem Fajkowskiego i rozkłada ręce.

– Ile można tak siedzieć i gadać, no, ludziki, myślałem, że tu już coś żeście się pobawili.

Gdy Fajkowski zaczyna krzyczeć, kopię go w splot słoneczny. Zatyka go, traci oddech. Łapię go za przeszczepione włosy i walę jego łbem o drzwi auta. Kiedyś się nim brzydziłem. Teraz jest dla mnie obcym człowiekiem.

– Nie mam na nic wpływu – mówię do niego.

– Ale ty go, Jacunia, za nic nie przepraszasz.

– To nie on. On nie ma żadnego związku z moją siostrą – tłumaczę, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Jestem dobrym człowiekiem – chlipie Fajkowski jak okradzione dziecko.

– Dobrym człowiekiem to była pani Violetta Villas. Tylko trochę kuku na muniu miała – odpowiada Dario.

Kolejne kroki w ciemności. Umar nie ma broni, trzyma ręce w kieszeniach szarego dresu. Przebrał się i ogolił.

– Dario, Darek, tak? Pogadajmy. Mariusz. Jak się domyślasz, mogę dużo, i naprawdę mogę ci się przydać bardziej martwy, to znaczy żywy niż martwy... Tak, nie traktuj dosłownie, przejęzyczenie...

Ani Umar, ani Dario już nie patrzą w jego kierunku. Patrzą na mnie. Nóż do tapet, cały czas otwieram go i zamykam. To będzie wstrętne. Prawie niewykonalne. Kapsułki są w mojej kieszeni. Ważą tonę.

Co mam zrobić? Jak sobie to ułatwić? Znienawidzić go? Za co?

– Już? – pyta mnie Dario.

Nie odpowiadam. Nie już. Nigdy nie będzie już.

Dario wyciąga rękę w stronę Umara. Ten wkłada mu coś w dłoń. Dopiero teraz widać, że to kastet. Dario powoli wsuwa go sobie na palce.

– Może on rzeczywiście nic nie zrobił tej twojej siostrze – mówi i wbija Fajkowskiemu nos w czaszkę.

Głuche pęknięcie, jakby rozdeptać owoc. Fajkowski próbuje krzyknąć, ale krew zalewa mu gardło. Dario uderza jeszcze raz, i jeszcze raz.

I jeszcze raz.

Gdy kończy, Fajkowski nie przypomina ani siebie, ani żadnego innego człowieka. Przypomina trochę obraz, a trochę owoc. Coś, co nawet nie jest jękiem, wyfruwa mu z gardła.

Dario patrzy na mnie z dezaprobatą. Jest poirytowany poirytowaniem ojca, którego wezwano sprzed meczu w telewizorze do nagłej naprawy pralki.

Dario nie jest człowiekiem, jest zakłóceniem. Martwym punktem, w którym rzeczywistość zamienia się w hałas, kaszę uszkodzonych sygnałów. Jest jak ta częstotliwość radiowa na pustyni w Meksyku, na której automatyczny głos czyta przypadkowe ciągi cyfr.

Daria nie powinno być, jak bomby atomowej, jak nowotworu u dziecka.

– Bardziej już ci nie pomogę, Jacunia.

– Już raz to robiliśmy – przypominam.

Krzesło. Stryj. Głowa. Wybuch. Cisza.

– I będziemy musieli zrobić to jeszcze wiele razy. Takie jest życie.

Fajkowski wciąż jest przytomny. Kucam przy nim. Krew ze zmiążdżonego nosa wpływa mu do ust szerokim strumieniem; podnoszę jego głowę, żeby się nie udusił.

– Pamiętasz, jak byłem u ciebie w mieszkaniu ostatni raz? – pytam go.

Chyba potakuje, ale nie jestem pewien, czy to nie tik. Mimo to pytam go dalej.

– Pamiętasz, co powiedziałeś o tej kobiecie? Że widziałeś ją z daleka i wtedy przyśpieszyłeś.

Nie odpowiada, zamiast tego wypluwa kilka zębów. Zostają mu na koszuli, podobne do resztek zerwanego naszyjnika.

– Czemu to zrobiłeś? – pytam go. Pytam go, bo próbuję jakkolwiek sobie pomóc.

Wydusza z siebie jakiś niezrozumiały dźwięk, który dopiero po chwili układa się w zdanie.

– Bo... bo należała do mnie. Bo jestem Napoleon – charczy.

– *My ubili Napoleona pod Moskwą za pjat' minut* – to chyba Umar.

Wysuwam nóż.

Patrzę w niebo. Robi się ciemniej, gwiazdy są odrobinę wyraźniejsze. Tak jakby ktoś na moment zgasił Warszawę i wszystkie jej przyległości.

Kiwam głową.

Przynajmniej mi pomógł.

Pierwsze wejście jest lekkie. Ale już widać, że „obrzydliwe” to słowo, które nic nie znaczy. Wyraz-pudło, oszukany prezent. Samo opakowanie.

Odwracam się w stronę ciemności. Robię to, co muszę, po omacku.

Oni nic nikomu nie zrobili. To byli dobrzy ludzie.

– Zgoda, Jacuś. Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Niech ci będzie. Jesteśmy współnikami.

Próbuję przeciąć tętnicę. Próbuję ją znaleźć. Szukam pulsu. Tak, aby to trwało jak najkrócej. Spuścić krew, jak ze zwierzęcia.

On się broni, szarpie. Tuż obok głowy strzał, po którym nieruchomieje, ale wciąż żyje.

A potem dźwięki. Gulgotanie. Skrzek.

– Ale posłuchaj, Jacuś. Tak ładnie mówiłeś mu o zobowiązaniach, o gwarancjach. Zróbmy sobie zabezpieczenie. Zróbmy sobie gwarancję taką. Różni ludzie jeszcze żyją, co nie. Twoja koleżanka żyje, ta Martusia taka. Widziałem się z nią, jak byłeś na wycieczce. Pogadaliśmy sobie fajnie. Krótko, ale tak fajnie, wiesz. Mama i tata żyją. Ta Beatka też żyje. Też byś nie chciał, żeby jeszcze bardziej ją pociąć, prawda? No i gwiazdy największe. Słońca lśniące. Kacperek i Jagódka. Biedne te dzieciaczki. Też się już nacierpiały. Ale co do Kacperka, to wiesz, ten piłkarz jest taki polski, co też widział, jak jego mamę menel jakiś nożem pociachał. A jak pięknie bramki strzela. Jaki zuch z niego chłopak. Sytuacja Kacperka jest wbrew pozorom bardzo dynamiczna, Jacunia.

Nienawiść jest wszędzie. We włosach, w fałdach skóry, na tylnej części języka, pod paznokciami. Wszystko jest z nienawiści.

Chyba zacznę płakać. Nie, wcale nie jest łatwiej z każdym kolejnym razem. Teraz jest najgorzej. Ból i strach Fajkowskiego są większe od martwych planet. Tylko on zaraz przestanie je czuć, a ja z nimi zostanę.

– Przestań mi grozić, skurwysynu.

Fajkowski dygocze. Będzie tak dygotał długo, bardzo długo. Będzie stygł całymi godzinami. Siadam obok niego. Chciałbym się z nim zamienić. Płacę i nie mogę przestać, a powód, dla którego zrobiłem to, co zrobiłem, zupełnie zniknął. Zamieńmy się, proszę go w myślach.

Głos Daria rozbrzmiewa w środku mojej głowy i jest w nim tyle zadowolenia, jakby Dariowi ktoś właśnie obciągnął.

– Teraz sobie odpocznij, Jacuś. Teraz sobie pośpij. Chodź, tam jest kojo fajne.

Jego dłoń zawisa w ciemności. Nie ściskam jej. Jego dłoń zdejmuję zegarek z nadgarstka Fajkowskiego i wyciąga go w stronę Umara.

– Chcesz? Fajny taki. Zobacz sobie.

Umar zakłada zegarek na rękę. Czekam, aż sobie pójdą. Gdy w końcu znikają, po kilku długich latach, podnoszę z ziemi puszkę po energetyku. Chlupocze w niej jeszcze mały łyk. Płyn jest słodki, zmieszany z piaskiem.

Biorę świetlika do ust.

Zapijam. Połykam. Zamykam oczy.

Fajkowski coś mówi. O coś prosi. Zupełnie przestaję go słyszeć.

14-15 MAJA 2020

Na rynek trafiają pierwsze partie świetlików. To drobne, kontrolowane dropy, praktycznie darmowe sample. Podrzucamy je typom, z którymi ustawiałem się na rozkminki; na spotkania z nimi przyjeżdżam w asyście Umara. Rozmawiam z każdym trochę jak przedstawiciel handlowy. Udaję, że wciskam mu kit. Próbuję się uśmiechać, doskonale wiedząc, że nie umiem. Są nieufni, co jest oczywiste – z drugiej strony, teraz mają jakieś wytłumaczenie, dlaczego spotykałem się z nimi wcześniej. Twierdzą, że mało kto ćpa opio, jakieś porąbane dzieci. Nie podoba im się, że towar świeci w ciemności. To w ogóle słabe, że jest w kapsułce, do połknięcia, nie ma jak go samemu stestować. Komu mam to dać, psu? – pyta jeden z nich. Drugi twierdzi, że ma jakieś Białorusinki na bałaganach, dwie czy trzy są wjebane w opiaty. Miał się ich pozbyć, ale w sumie to sprawdzi na nich moc towaru. Tak naprawdę nie interesuje mnie, czy ci kolesie do nas wrócą. Potrzebujemy plotki, miejskiej legendy – opowieści, że na mieście jest nowy, dziwny towar.

Pewnego dnia Dario obwieszcza: za dwa miesiące mamy jechać do Czarnogóry. Spotkać się z kimś, kogo Dario nazywa „inwestorem”. Ten człowiek ma wpuścić nie gotówkę, ale ludzi. Więcej żołnierzy, więcej broni.

Nie wiem, co się stało z ciałem Fajkowskiego, zasnąłem na chwilę oparty o samochód; gdy się obudziłem, po prostu go nie było. Dario powiedział tylko, że nikt go nigdy nie znajdzie.

Dario dzwoni do mnie codziennie. Za każdym razem chce wspólnie pomarzyć o przyszłym triumfie, nie wie tylko, na czym miałby polegać ten triumf. Dalej nieskładnie opowiada o bogactwie, o biedakach, których będzie opłacał, aby na jego oczach gwałcili premiera i ministrów. O złotych samochodach, które będzie parkował w szybach wystawowych na sopockim Monciaku. O ostatnim gatunku zagrożonego ptaka, którego zje z frytkami w bułce z McDonalda. Jest bajzerm. Mówi dla samego mówienia. Tak naprawdę ma gdzieś pieniądze – po prostu wydaje mu się, że bandytom powinno chodzić o bogactwo. Interesuje go gięcie, zgniatanie, łamanie świata. Interesuje go moment, w którym coś, co jest całe, pęka. Zaczynam rozumieć, czemu mnie potrzebuje. Chce, abym nadał mu nowy kształt. Narysował mu drogę. Zmienił w człowieka.

Przez pierwsze trzy dni po Fajkowskim próbuję spać bez światełek. Dłonie pamiętają skórę i to, co pod nią. Pamiętają ciepły płyn i gasnący puls. Pamiętają drgawki ciała i dźwięki. Próbuję słuchać Bacha granego przez Goulda, ale po pięciu minutach wyciągam kompakt z odtwarzacza, łamię go na pół i wyrzucam do śmieci.

Po trzech dniach biorę światełka po raz trzeci. Zasypiam jak dziecko. Budzę się rano, po sześciu godzinach, a Fajkowski jest jak mijany na ulicy anonimowy nekrolog. Wspomnienie zostaje obudowane grubą szybą. Staje się wspomnieniem kogoś innego.

Jeden dziennie, wieczorem. Nie więcej.

Wyrzuciłem telefon, który dostałem od Marka. W Halach Banacha jest komis sprawdzonych i czystych telefonów, otwarty tylko w nocy. Sprzedaje je niemy Gruzin z palcami w sygnietach, ubrany zawsze w czerwony dres Lacoste. Tylko stare nokie, sagemy, samsungi. Kupuję dwadzieścia telefonów i dwa razy tyle kart SIM. Słupami są bezdomni, kręcący się pod praskim barem mlecznym. Zanim w końcu zadzwonię do Marka, mija tydzień. Jest wściekły, wrzeszczy, wyzywa mnie. To nie ma znaczenia. Nie wytłumaczę mu czegoś, czego nigdy nie zrozumie.

– Tamten numer jest spalony. Potrzebuję namiarów na tę twoją koleżankę blondynkę – mówię mu.

Dalej wrzeszczy – o jakiejś umowie, którą rzekomo zawarliśmy. Ciągłym wrzaskiem próbuje wyrwać ze mnie jakiejkolwiek informacje. Powodzenia. Jestem człowiekiem, który zabił w samoobronie amstaffa wyszkolonego, aby zagryzać ludzi. Jestem człowiekiem, który znalazł w ciemności puls innego, bezbronno człowieka. Który otworzył go

nożem do papieru. Krzycz na mnie, Marek. Możesz też obciąć mi kieszonkowe.

– Nie ma żadnej, kurwa, umowy. Daj mi ten numer albo gadamy ostatni raz – mówię mu w końcu.

Wysłała mi go po godzinie. Oddzwaniam, chcę, aby dał mi spokój na jakiś czas. Wspominam mu o pierwszych partiach świetlików na rynku. Mówię, że jeśli pójdzie ich tropem, to zatrzyma się na mnie.

– Coś jeszcze – rzuca. – To mało.

– Wszystko wiesz. Wysłałeś patrol do Janówki?

– Chuj cię to. Coś jeszcze.

– Jak tylko otworzą granice, mam jechać z nim do Czarnogóry. Wydaje mi się, że chce stamtąd ściągnąć jeszcze więcej ludzi.

– Jakich ludzi?

– Czeczenów, Azerów.

– Ja sobie myślałem ostatnio... Twierdzisz, że on ma taką armię. Armia trzeba umieć dowodzić.

– Ma swojego kaprała. Nazywa się Karaś. Mówi o nim jako o kumplu z dawnych czasów. Ewidentnie wojskowy, być może były komandos. Mają około trzydziestu ludzi. Z tej Czarnogóry mamy przywieźć dwa, trzy razy tyle.

– To wciąż nie jest armia. Raczej banda.

– Banda doskonale uzbrojonych ludzi wyszkolonych na prawdziwej wojnie.

Powiedziałem mu wszystko, więc bez pożegnania przerywam połączenie, z tej samej karty SIM piszę do Eweliny. Jest dwudziesta pierwsza, wiem, że najprawdopodobniej ma dzieci, mimo to wymuszam spotkanie. McDrive, rondo Radosława. Spóźnia się piętnaście minut, ja nie podchodzę, tylko stoję przy swoim aucie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, obserwując ją przez lornetkę. Czeka na mnie równe piętnaście minut, co chwila zerkając na zegarek. Dzwoni na numer, z którego do niej napisałem – raz, drugi, trzeci. Potem dzwoni do kogoś innego, długo rozmawia. Wyciągam z telefonu kartę SIM, topię ją w ciepłej coli. Ewelina wsiada do samochodu, odjeżdża, od razu ruszam za nią. Jedzie na drugą stronę Wisły. Praga Północ, Zamoyskiego. Parkuję kawałek dalej, czekam, aż wejdzie do bramy. Mam ją. Zasługuję na nagrodę. Połykam świetlika. Wystarczy pięć minut, aby powietrze zmieniło się w krem.

Następnego dnia wstaję wcześnie. Jem śniadanie, piję shake'a, robię pompki. Świetliki zostawiają we mnie ślad, lekkie spowolnienie, dyskomfort. Jakby ciała było za dużo, a skóra zrobiła się za ciasna.

Jeden dziennie. Wieczorem. Na sen. W nagrodę. Wiem, że zawsze tak to się zaczyna.

Ale nie można całe życie tylko bić się pięściami po twarzy i ciele, ciąć się nożem. Wyprawiać się na pustynię w samych klapkach.

Aby zrobić to, co chcę zrobić, muszę odpocząć. Przede wszystkim muszę spać. Przecież nie mogę iść do psychiatry, poprosić o leki psychotropowe. Zapisać się na terapię, jak grubas z *Rodziny Soprano*.

Ewelina wychodzi z domu ubrana w tak zwany psi cywil – skórzaną kurtkę, czapkę z daszkiem, biały podkoszulek. Jest z nią dwóch małych chłopców, próbują stawiać jej opór, gdy wpycha ich do samochodu. Jeden chwytą za drzwi auta i się zapiera, ona zaczyna łaskotać go pod pachą, aby puścić. Gdy odjeżdża, wchodzę na klatkę, szukam jej nazwiska na domofonie. Wcześniej znalazłem je na liście pracowników komendy. Staję przed drzwiami, pukam. Nikt nie otwiera. Jest samotną matką, przynajmniej tymczasowo.

Kręcę się po okolicy, szukając sklepu spożywczego. Kupuję red bulla, batoniki, gumę do żucia. Zastanawiam się nad papierosami. Przypominam sobie, jak Stryj o mało mnie nie pobił, gdy kazałem mu przestać palić w swoim samochodzie. Teraz mam w dupie, jak pachnie tapicerka. Wszystko to, co pozwala się skupić, jest w porządku.

Palę przy lekko otwartym oknie. Nic nie usunie tego zapachu. Słucham radia, głównie jakichś bezdennie głupich niby-rapowych kawałków.

Wraca wieczorem, razem z dziećmi, gdy już wypaliłem wszystkie papierosy i wysłuchałem całego radia. Czekam jeszcze godzinę. Biorę broń ze schowka. Dario dał mi tłumik. Ładny, brązowy, sto dziewięćdziesiąt siedem milimetrów. Nakładam go, chowam pistolet do przerobionej kabury pod kurtką. Na samym końcu zakładam maseczkę.

Wchodzę do bramy, jakiś facet wysiada z samochodu, ale nawet nie patrzy, rozmawia przez telefon o dzisiejszym zoomie. Wyciągam komórkę, udaję, że sprawdzam wiadomość. Czekam, aż mężczyzna wejdzie na klatkę, i dyskretnie wślizguję się za nim. Zostaję na dole, dopóki nie wejdzie do mieszkania.

Staję pod jej drzwiami. Słyszę telewizor. Wiadomości. Ustawiam się z boku, aby nie zobaczyła mnie przez wizjer.

– Wciąż nie wiadomo, co stało się z niegdysiejszą gwiazdą polskiej telewizji, Mariuszem Fajkowskim. Ostatnio był widziany dwa tygodnie temu, gdy nad ranem wychodził z nocnej restauracji Nietoperz. Widać na nagraniu z monitoringu, jak żegna się ze swoją towarzyszką. W roku dwa tysiące czternastym Fajkowski śmiertelnie potrącił na pasach kobietę, rzekomo będąc pod wpływem środków odurzających. Postępowanie umorzono, mówi się, że Fajkowski wypłacił zakulisowo rodzinie zmarłej ogromne odszkodowanie...

Dzwonię do drzwi.

Ewelina otwiera, nikogo nie widzi. Jest zdziwiona o parę sekund za długo. Szarpnię za klamkę, wpycham Ewelinę do środka własnym ciałem. Traci równowagę, w ostatniej chwili opiera się o ścianę. Zamykam drzwi. Jest przerażona. To dobrze.

– Moje dzieci śpią. – To informacja, ale też prośba.

Odchylam kurtkę. Pokazuję sprzęt. Swój odłożyła gdzieś w domu. Ma kapcie, umyte włosy zawinięte w turban z ręcznika, dresowy komplet z logo Wyższej Szkoły Policyjnej w Szczytnie. Bez mocnego makijażu wygląda nawet ładnie. Często kobiety po operacjach plastycznych, kiedy zmyją makijaż, przypominają kosmitów wybudzonych z hibernacji. Ona nie. Ma lekko spuchnięte usta, delikatnie naciągnięte policzki. Ale do tego w miarę naturalne brwi. Różowomleczną skórę. Ciemniejsze znamię pod prawym okiem.

– Zrobisz mi herbatę czy będziemy sobie tak stać w przedpokoju? – pytam.

Pokazuje mi gestem kuchnię. Nie, to ona ma iść pierwsza. Kuchnia to mała wnęka, w której ledwo mieszczą się dwie osoby. Okno wychodzi na puste podwórko wielkości klatki.

Rzeczywiście, wlewa wodę do czajnika, przygotowuje kubki i tak dalej. To nawet miłe.

– Gdzie jest twój mąż?

Patrzę na zdjęcie w ramce wiszące na ścianie. Ona, w brzydkiej wieczorowej sukience, obok wysoki facet, krótko obcięty, mięsisty kark, pod kołnierzykiem cienki złoty łańcuch. Może miastowy koleś, może zwykły łeb, cierp albo ochroniarz, który po prostu lubi tak wyglądać. Zresztą teraz wyglądają tak nawet koleś z korporacji. Na zdjęciu oboje próbują się uśmiechać.

– Czego chcesz? – pyta.

– Nie odpowiedziałaś, gdzie jest twój mąż.

– Po to tu przyszedłeś? Pytać o niego?

Kręcę głową.

– To dobrze, bo chuj cię to obchodzi.

Może rozumie, że nie strzełę, a może umie połknąć strach. Tak czy siak, jest wyraźna, ostra. Wycięta żyłką w powietrzu. Prawdziwa.

Podchodzę do niej.

– Ani, kurwa, kroku. – Bierze do ręki nóż leżący na stole.

Trudno powiedzieć, kto ma większe szanse w tak małym pomieszczeniu.

Próbuję zrobić krok w jej stronę, ale ona znowu sięga po nóż. To jest jak taniec. Jakiś bezkształtny śpiew z drugiego pokoju. Szuranie kapci. Kroki, człapanie. Mała, ciemna postać staje w progu. Ona momentalnie mnie wymija, przypada do dziecka.

– Piesek. Piesek coś tu jest. Piesku. Mamo, miałem takiego pieska złotego. Piesku, chodź tu, gdzie jesteś, piesku. – Chłopczyk wyrzuca z siebie pojedyncze wyrazy.

Ewelina bierze go na ręce, przechodzi z nim do pokoju.

– Już, cicho. Już, wszystko jest dobrze. Już. – Całuje chłopca w policzek.

Mały się budzi. Zaczyna płakać.

– Nie ma pieska, kochanie, nigdy nie mieliśmy żadnego pieska.

Wspomnienie, nagle. Miałem osiem lat, Paulina sześć. Rodzice pojechali na imprezę, nie wiedzieliśmy dokąd, ale liczyło się tylko to, że mogliśmy oglądać telewizję do oporu. Powiedzieli nam, że wrócą o dwudziestej trzeciej. Włączyliśmy *Akademii policyjną* na wideo. Znałem ten film na pamięć. Najbardziej śmieszył mnie gość, który naśladował wszystkie możliwe dźwięki.

– Był piesek, mamó, taki złoty. Miałem złotego pieska i go zgubiłem. – Chłopczyk płacze zza ściany, coraz ciszej.

Wyciągam broń. Kładę ją ostrożnie na blacie. Przykrywam dłonią.

– Mamo, niech oddadzą mi pieska. Mamo.

Mama się nie rusza, wujku.

Nie było ich o północy, o pierwszej, o drugiej. Byłem przekonany, że nie żyją, że zginęli w wypadku samochodowym. Nie znałem numeru telefonu do żadnych ich przyjaciół. Babcia już spała, nie mam pojęcia, dlaczego nas z nią nie zostawili. Strach był jak nóż, który co sekundę dźgał

mnie w inne miejsce. Tkwiałem przy oknie, obserwowałem samochody wjeżdżające na parking pod blokiem. Żaden nie należał do rodziców.

Paulina była spokojna. Trzymała mnie za rękę, przytulała. Byłem jej misiem. Do mojego lęku dochodził wyrzut sumienia. To ja miałem się nią opiekować, nie ona mną.

W końcu wrócili, o trzeciej. Paulina już dawno spała. Minęło dużo czasu, zanim zaufałem im z powrotem.

Kacper nie zaufa już nikomu. Optimus prime miał go bronić, a gdy przyszli mężczyźni w kominiarkach, okazał się plastikowym szmelcem. Może mówili po rosyjsku. A może jeden z nich używał zdrobnień, bo nie odpuściłby sobie takiej frajdy.

Ewelina wraca do kuchni z wycelowaną we mnie bronią. Odbezpiecza spust. Swoją odłożyłem na blat, więc ma nade mną parę sekund przewagi.

– Dawaj to. Już – mówi.

Rzucam jej pistolet pod nogi. Kopie go do tyłu, w głąb mieszkania. Dopiero teraz widzę, że założyła buty.

Podchodzi, przystawia mi lufę do twarzy.

– Myślisz, że nigdy nikogo nie zabiłam? Że jestem jakąś rurą bardaszaną?

– Miałem takie podejrzenia.

– To dobrze, że używasz czasu przeszłego.

Kuchnia jest bardzo wąska, gdybym rozpostarł ramiona, dotknąłbym palcami ścian. Stoję na wysokości lodówki. Na jej metalowych drzwiach widać przyczepione magnesami dziecięce obrazki. Roboty, wybuchy. Statki kosmiczne.

– Twój mąż cię zostawił, ale najpierw zrobił ci coś złego.

– Ale z ciebie mądrała, ja cię pierdolę.

– Myślałem, że był jakimś kotлетem z bramki. Ale nie, służył. Był gdzieś na misji.

– Zamknij się.

– Bił cię. To na pewno. Ale mógł też grozić dzieciom. Przecież miał pozwolenie na broń, prawda? Dwa kopyta w domu i codziennie jakaś gorzała, potworna kombinacja.

Drży. Opuszcza broń, dosłownie o centymetr. Tyle wystarczy, chwytam ją za nadgarstek i przyciągam do siebie, mocno. Wciąż może strzelić mi w stopę, ale to przeżyję. Wyrywa się, ale jestem silniejszy. Wącham ją. Pachnie potem, kosmetykami, pachnie strachem, pachnie płynem do

płukania tkanin, pachnie swoim ciałem, swoim prawdziwym zapachem. Być od kogoś silniejszym – to lepsze niż crack.

Wbijam mocno palec w wewnętrzną stronę jej przegubu, rozwiera palce. Broń z hałasem łąduje na ziemi.

– Będę wrzeszczeć.

– Tu co wieczór ktoś wrzeszczy.

Jej usta przy moim policzku. Moje usta przy jej uchu. Jej usta otwierają się szeroko, próbuje ugryźć mnie w policzek, w ostatniej chwili robię unik, w odpowiedzi lekko uderzam ją głową w twarz, aby jej pokazać, że ma tego nie robić.

Czuję wielki sprzeciw jej ciała. Zwalniam ucisk z jej dłoni.

– No dobra, przestańmy się wygłupiać.

Ciężko oddycha.

– I umówmy się, że nic sobie nie zrobimy.

Tępy ból odrzuca mnie na pół metra do tyłu. Uderzyła mnie z główki, prosto w nos. Ciepło, lekka utrata równowagi, smak krwi.

– Nic sobie nie zrobimy – powtarzam.

Słyszę jej dzieci. Wiercą się w łóżkach, mówią przez sen, zaraz znowu któreś wstanie. Ona kładzie palec na ustach. Czekamy tak chwilę w bezruchu; po jakimś czasie odgłosy cichną.

– Mam dla was pracować. Jeśli on się dowie, zabije mnie tak, że zrzygasz się na samą lekturę raportu, bez oglądania zdjęć. Widziałem, co potrafi zrobić.

– Ale wiesz, co dostaniesz w zamian.

– Jestem tu, bo mam do ciebie prośbę.

– Musisz poćwiczyć proszenie.

– To, że zabije mnie, to jedno. Ale pozabija resztę ludzi, których znam. Tak jak zrobił to z moją siostrą.

Przekrzywia lekko głowę. Próbuje odczytać, czy blefuję. Nie, nie blefuję.

– O rodziców, o dzieci siostry zadbam sam. Ty zadbaj o moją koleżankę. O Pazinę. Martę Pazińską.

Nie rozumie. Podnosi broń z ziemi. Ale już we mnie nie celuje, trzyma ją w ręce opuszczonej wzdłuż ciała.

– Jest w porządku. Ma dobre serce. Nigdy nie miała z tym nic wspólnego. Wiem, że już jej groził. Zaopiekuj się nią. To kobieta, tak jak ty.

Podaje mi listek ręcznika kuchennego. Przystawiam go do nosa. Zapalam papierosa, nawet nie pytając jej o zdanie. Częstuje ją. Częstuje się.

– Dlaczego ja?

– Twój szef tego nie zrobi.

Nie odpowiada. Ale przyznaje mi rację spojrzeniem.

– Kiedy ją ostatnio widziałeś? – pyta.

– Nieważne.

– Nie wiem, jak miałabym to zrobić. Nie ma w policji środków na coś takiego. Ona nie jest stroną w żadnej sprawie...

Odkręcam kran, gaszę papierosa. Chcę dotknąć jej twarzy. Ale jeśli to zrobię, strzeli.

– Pamiętaj o niej. I jeśli będzie potrzebować pomocy, jeśli przyjdzie na policję, to jej pomóż. O to cię proszę. O nic więcej.

– Musiałeś robić cały ten cyrk, kurwa? Nie mogłeś normalnie zapytać?

– Jestem bandytą, a ty policjantką.

– Jesteśmy ludźmi.

– Ciekawa zmiana poglądów.

Puls pod palcami. Mars na niebie, jasny jak srebrna moneta. Równy, cichy oddech dzieci.

– Nigdy nie była moją współpracowniczką. O niczym nie wiedziała.

– Akurat.

– Ona nie zasługuje na to wszystko.

– To na pewno.

Myśli jeszcze przez chwilę.

– Spróbuję. Dla niej. Nie dla ciebie. Ciebie pierdolę. Dla ciebie nikt nie powinien robić nic.

– To w końcu jestem człowiekiem czy nie?

Nie odpowiada. Wycofuję się do korytarza. Podnoszę broń. Odejmuję od nosa przesiąknięty krwią ręcznik. Cicho otwieram drzwi.

– Nie rób tego więcej. Zabiję cię – mówi.

– Może powinnaś.

Gdy w końcu wychodzę z mieszkania, są dwa miesiące później od momentu, gdy do niego wszedłem.

Miasto jest wyłączone. Gdzieś w oddali szczęk tramwaju – ducha, jadącego do zajezdni – czyścica. Marsa nie widać. Nie widać żadnych gwiazd. Niebo jest jak brudne mleko.

– Pyszniutki, no pyszniuteńkie. Takie to można jeść codziennie. To jest prawdziwy pokarm, a nie jakaś śruta dla świń. Skosztuj, Jacunia. Tak smakuje godność.

Szczerzy zęby. Całą gębę ma w rybim tłuszczu i mięsie.

Rybę je całą, razem z głową, zjadłby też ości, ale, jak uważa, te mogą przebić tętnice, dojść do serca i w ten sposób uśmiercić człowieka.

– Ja będę żył sto dwadzieścia lat – mówi.

Pytam go, czy sto dwadzieścia od teraz, czy łącznie. Odpowiada, że jestem zabawny. Zawsze tak odpowiada, gdy coś mu się we mnie podoba. Umar i Karaś dłubią widelcami w sałatkach szopskich, w których jest więcej sera niż warzyw. Ja i Dario jemy ryby. Ryba, chleb, wino. Posiłek Jezusa. Ryba jest ugotowana na parze, świeża, złowiona może godzinę temu. Wino – białe i bardzo cierpkie, mocno szczypie w język; jest tak zimne, że nie da się trzymać kieliszka w dłoni dłużej niż kilka sekund.

Miasto jest małe i piękne, całe ze starego kamienia, ciepłego od słońca. Wszędzie tłuste koty, spokojni strażnicy starych spraw. Lazur wody w Zatoce Kotorskiej oślepia. Najpiękniej wyglądała o wschodzie słońca, gdy przypominała płachtę miękkiego szarego metalu. Tak sprężystego, że gdyby na niego skoczyć, można byłoby się odbić i polecieć do nieba.

– Biedroneczko, leć do nieba, przynieś mi kawałek chleba – mówi Dario i ładuje sobie do ust kawałek bułki zanurzonej w oliwie.

Jesteśmy diabłami. Wszędzie, gdzie się pojawiaemy, po chwili wyrasta piekło. Ale tutaj na razie jest pięknie.

Śpimy w ogromnym betonowym kompleksie hotelowym pełnym turystów, głównie z Polski i Niemiec. Czarnogórcy stwierdzili, że śmierć na covid może być nieprzyjemna, ale jeszcze gorsza jest śmierć z głodu. Sam kraj przypomina opuszczone dziecko zostawione przy drodze. Przez jego środek biegnie urwana w połowie chińska autostrada.

W końcu miałem dla Daria coś, czego tak bardzo chciał. Coś, co mogło sprawić, że zdobyłbym jego zaufanie. Dobrą opowieść. Cel. Kształt.

Poprzedniego dnia siedzieliśmy we dwóch w jego pokoju hotelowym. Jak dziwni kumple, straszni współnicy. Paliliśmy papierosy, nie zwracając uwagi na czujniki. Światło słońca nadawało jego twarzy obcej, dziwnej łagodności, która z kolei czyniła go jeszcze bardziej potwornym.

Pokój był na piątym piętrze. Umar siedział za ścianą, słyszał całą naszą rozmowę.

– Mówiłem ci, że nie będę tym handlował – powiedziałem. – Że chcę być twoim wspólnikiem. A wspólnicy są od tego, aby mieć pomysły.

Wypita w słońcu butelka wina zadziałała jak ćwierć świetlika. Wciąż trzymałem się jednego wieczorem, ale jego działanie stawało się przezroczyście. Sen był coraz krótszy, bardziej rwany. Wspomnienia wracały w nagłych atakach. Przede wszystkim głos Kacpra, przez telefon, na końcu świata.

Teraz było dobrze. Czułem spokój. Słyszałem Umara za ścianą. Jeszcze będzie czas, powtarzałem sobie w myślach.

– Słucham cię, Jacunia.

– Dario, mamy wybór. Możemy zarobić wszystkie pieniądze, ale możemy też być durnymi kurwami.

– Już chyba dokonaliśmy tego wyboru, Jacunia.

– Tak, tylko posłuchaj. Wyobraź sobie miejsce, do którego uciekają tacy jak my. Ludzie, którzy mają pełno brudnej forsy. Wyobraź sobie azyl, kurort.

– Z dupeczkami fajnymi. Drinkami.

– Ze wszystkim. Jesteś w nim bezpieczny. Psy tam nie wjadą. Ale wszystko jest potwornie drogie. Jeden drink kosztuje pięć tysięcy dolców. Obiad dziesięć tysięcy. Masaż z happy endem sto koła. Rozumiesz? Masz mnóstwo pieniędzy, ale one się kiedyś skończą. A kiedy się skończą, no cóż. Możesz zostać w kurorcie i samemu robić lachę albo stamtąd wyjść. I znowu zarabiać, znowu kraść, znowu się chować.

– Chować? Ja się nie chowam, Jacunia.

– Nie zabijesz całej policji.

Pokiwał głową z wyraźnym smutkiem. Chyba uświadomiłem mu coś przykrego. Naprawdę brał do tej pory pod uwagę, że może zabić całą policję.

– Pomyśl przez chwilę, że świetlik nie jest narkotykiem – mówię. – Że to jest lek.

– Tak, Jacunia. To jest lekarstewko.

– Nie o to mi chodzi. To jest lek, który można sprzedawać w aptece. Lek przeciwbólowy. Dla ludzi z ciężkimi chorobami.

– Mów dalej.

– Zalegalizujemy to.

Otworzył szerzej oczy, by zaraz zmrużyć je przed słońcem. Wstałem i uchyliłem okno, aby wpuścić trochę bryzy znad morza. Nalałem sobie jeszcze wina.

– Będziemy mieli firmę. Będziemy produkować ten lek i będziemy mieli kliniki, w których będziemy go produkować. Będziemy płacić podatki, dotować sierocińce i kupować sztukę. Za pięć lat będziemy jeść kolacje z premierami. Oni sami będą nas prosić, abyśmy umówili ich z jakimś przystojnym bezdomnym.

Zaśmiał się i zamilkł. Otworzył usta, po czym nacisnął palcem swój srebrny ząb, jakby sprawdzał, czy przypadkiem go nie zgubił.

– W Polsce to niemożliwe.

– W Stanach jest to możliwe. OxyContin przepisywali na każdym rogu, w każdej budzie, przez całe dekady.

– To nie jest Ameryka, Jacunia. Ameryka jest duża i dziwna.

– Dobra. To będzie trudne, jasne. Normalnie, jeśli jesteś takim legalnym, wielkim producentem, to trwa całymi latami. No ale my nie jesteśmy legalni. My nie musimy tak myśleć.

– A jak mamy myśleć, Jacunia?

– Szeroko. – Pokazałem mu dłońmi jak szeroko. Zaśmiał się, biorąc to za dwuznaczny żart.

Sam nie wiedziałem, co właściwie oznacza „szeroko”. Proponowałem mu niemożliwe, procedury w Polsce i Unii były nie do przejścia. Zrobienie wymaganych badań i zdobycie rekomendacji trwało średnio dziesięć lat – pewnie po to, aby wykluczyć z rynku mniejszych producentów, a co dopiero bandytów, takich jak my. Giganci farmaceutyczni potrafili to obejść za pomocą lobbingu, siatek kontaktów budowanych przez długie dekady. Proponowałem mu, że zbudujemy platformę wiertniczą, używając do tego zszywacza, widelca i wiertarki.

To wszystko nie miało jednak znaczenia. On miał mi po prostu zaufać. Obniżyć gardę.

Mówiłem dalej. Pomysły i słowa spływały z ciepłego powietrza. Unosiły mnie w miękkiej wacie jak świetliki.

– Zobacz, wszystkim tym lekom, które są w świetlikach, minęła ochrona patentowa. Sprawdzalem to, możemy to produkować gdziekolwiek. I słuchaj dalej. Zalegalizujemy to, ale to dalej będzie częściowo na czarnym rynku. Przecież żaden lekarz nie przepisze ćpunowi tyle, ile ćpun będzie potrzebował. Ćpun zawsze chce więcej. Będziemy mieć podwójne zyski.

Co innego handlować narkotykami, co innego lekiem, który ćpają ludzie, przecież nie masz na to wpływu.

Miał w to uwierzyć. Następnym razem rozmawiać ze mną bez ochroniarza przed drzwiami.

Miał zrozumiałe opory. Nie do końca rozumiał. Nie był też głupi. Dlatego mówiłem dalej, długo. Opowiadałem mu rzeczy, o których czytałem, i rzeczy, które wymyśliłem. Mówiłem o Polsce lat dziewięćdziesiątych. O tym, że pęka stary porządek i znowu zaczyna się czas dzikości. Mówiłem długo i pięknie. Mówiłem tak, aby mu się podobało. I w końcu zaczęło mu się podobać. Zamknął oczy, poddał się temu, uśmiechał się, jakby słuchał tych swoich piosenek. Kiwał się, oblizywał. Podobała mu się nawet nie tyle treść tego, co mówię, ile rytm. Gadałem dalej, od początku to samo, kołyszając go do dziwnego półsnu.

– Dobrze bez tej szmaty na ryju izraelskiej, co nie, Darku? – zagaduje Karaś.

Karaś wciąż nie rozumie, co widzi we mnie Dario, chociaż wydaje się przyzwyczajając do mojej obecności. W jego mniemaniu jestem mutantem, zbyt dziwnym na cywila, albo, jak sam by to określił, zwyczajnego cwela. Karaś to zwykły drapieznik. Każdy słabszy osobnik jest dla niego potencjalną rezerwą kaloryczną.

Wczoraj w hotelowym barze wypił półtora litra wódki. Po prostu siedział, patrzył w ścianę i przełykał kieliszek za kieliszkiem, bez żadnego sprzęgła, jakby chodziło o jakiś dziwny zakład ze sobą samym. Ja nie piłem, nie mogłem sobie pozwolić na utratę kontroli. Umar z kolei jest muzulmaninem. Dwa razy dziennie kłania się Mekce. Wieczorem, gdy zrobił to przy nas, Karaś chciał kopnąć go w wypiętą dupę. Dario złapał go za rękę.

– Szacunek dla człowieka, gdy człowiek jest człowiekiem, Karaś. Inaczej ty przestajesz być człowieczy – powiedział, po czym pocałował go w czoło, prosto w jedną z grubych żył.

Niedługo potem zniknął, zostawił nas samych w hotelowym klubie. Karaś pił wódkę, ja obserwowałem przewalający się przez lobby tłum. Umar pisał do kogoś na WhatsAppie ciągi szybkich i krótkich wiadomości. Był podenerwowany, ale nie chciał i nie umiał o tym mówić. Miał kłopot z kimś, kogo kochał i kogo nie mógł zobaczyć. Może z dziewczyną, może z matką. Bar wychodził na czynny pomimo późnej pory niewielki hotelowy basen pod gołym niebem, gdzie odbywała się regularna impreza. Łomot

dance'owych przebojów rozrywał powietrze. Do wody co chwila wpadało domino z najebanych Polaków, ich dzieci gardłowały z rozkoszy, puszczone samopas, wolne. Ładne i zmęczone kelnerki w przykrótkich sukienkach próbowały nadażyć z zamówieniami, niosły na tacach całe pułki kolorowych drinków.

– Co my tu właściwie, kurwa, robimy? – zapytał Karaś, nawet na mnie nie patrząc.

– Spotykamy człowieka – odpowiedziałem mu.

– Jakiego człowieka? Nie można zadzwonić? Trzeba tu, kurwa, przyjeżdżać? – zachnął się.

– Nie lubisz podróżować? – zapytałem.

Długo szukał odpowiedniej reakcji, w końcu się poddał. Wódka jeszcze bardziej pompowała jego gniew.

– Słuchaj. Powiedz mi jedną rzecz. Jesteś pedałem? – zapytał po chwili, jakby szukał tematu do rozmowy.

– Powiem ci, że nie, a ty i tak mi nie uwierzysz.

– Tak myślałem – odparł, ale trudno było stwierdzić, co rzeczywiście myśli.

Wypił jeszcze jednego, dalej gapiąc się gdzieś przed siebie, i powiedział:

– Ten twój szef. Ten hurtownik. Piotrek. To ja go wyłączyłem.

Nie zareagowałem. Piotrek był mi w pewien sposób bliski. Nasza relacja zalepiła mi jakąś dziurę w sercu, kompensowała pewien brak. Ale tej dziury dawno już nie ma. Nie jestem nawet pewien co do serca.

– Zamknęliśmy go w tej saunie. Podkreściliśmy do stu stopni. Chyba z pięć godzin zdychał. Na zawał serca. To nie Dario, to ja to wymyśliłem. – Ewidentnie był z siebie dumny.

Chciał opowiadać dalej, ale dostał wiadomość i patrzył w ekran, zmarszczony, przez dłuższą chwilę. Żyły na jego głowie zrobiły się jeszcze grubsze, jakby miały zaraz pęknąć. Zapytałem go, co jest.

– Pod Janówkę podjechały psy – powiedział. – Pokręcili się, próbowali wejść. Chłopaki widziały ich ze środka.

– Weszli do budynku?

– Nie weszli. Ale okrążyli go ze trzy razy.

– Co mogli zobaczyć? Transformator? Kable?

– Wszystko jest zamaskowane. Może kable. Może antenę LTE. Nie wiem, kurwa.

Podkręcił tempo picia. Widać było, że intensywnie myśli, a nie jest do tego jakoś specjalnie przyzwyczajony. Ja z kolei byłem na siebie zły. Nie spodziewałem się tego, zapomniałem o tym.

– To było do przewidzenia. Ktoś zobaczył samochody, usłyszał hałas. Może właściciele...

– Właścicielem był dziewięćdziesięcioletni Żyd z Tel Awiwu, a teraz właścicielką jest moja dziewięćdziesięcioletnia ciotka. I nie, do kurwy psiej burej, nikt nie ma prawa usłyszeć żadnego hałasu.

Wódka go nakręcała. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale rozległ się wrzask:

– Karolek! Karolku! Karolek!

– Uspokój się – nakazałem mu.

– Nie mów mi, co mam robić, ruro – odpowiedział tak, jak się spodziewałem.

Stała pośrodku sali i krzyczała – niska, krępa kobieta w jednoczęściowym stroju kąpielowym i klapkach, z gumowymi rękawkami na ramionach. Jej mąż, grubawy, ogolony na łyso koleś z kozią bródką i paskudnymi tatuażami, stał obok. Dziewczyny z tackami omijały ich, jakby każde z nich było meblem.

– Karolek! Halo!

– Nie mów do mnie „ruro” – powiedziałem – i się uspokój.

W odpowiedzi ścisnął w dłoni pełny kieliszek. Wódka pociekła mu po palcach.

Kobieta podbiegła do jednej z kelnerek, ale ta nie rozumiała, o co chodzi, wyrwała się. Kobieta dopadła do niej jeszcze raz, szarpnęła ją za rękę; szklanki z napojami zsunęły się z tacki i pospadały na kafelki, tłukąc się z głośnym brzękiem. Podłogę pokryła lepka, kolorowa kałuża i mozaika ostrych kawałeczków szkła. Wściekła dziewczyna kucnęła, zaczęła je zbierać. Zaraz się skaleczyła, syknęła, włożyła palec do ust.

– Proszę państwa! Zginęło mi dziecko, pomocy! Proszę, zginęło mi dziecko!

Wyszedłem na zewnątrz. Przebiegłem przez ulicę, usiadłem na ławce we względnie cichym miejscu. Wyjąłem z kieszeni drugi telefon, zadzwoniłem do Marka.

– Rychło w czas – powiedziałem mu.

Zapytał, gdzie jestem. Odparłem, że to nie jego interes.

– Z zewnątrz nic tam nie ma. Drzwi zabite dechami. Nie mogłem wejść do środka, bo nie mam nakazu, a nie mam nakazu, bo muszę mieć od ciebie zeznania. – Mówiąc to, był dziwnie spokojny. Może cały dzień biegał, a może jednak się upił.

Czekałem, co powie dalej. Rozglądałem się, szukając wzrokiem Daria. Mógł być wszędzie, robić wszystko.

– Może ja cię po prostu zwinę z lotniska. – Zaśmiał się Marek. – Może wsadzę cię na izolatkę i ci wpierdolę. Tak fajnie. Z prądem. I będzie problem z głowy.

Zapaliłem papierosa, był gorzki i wstrętny. Pijackie ryki i muzyka dobiegające ze stojących przy szosie hoteli zamilkły, jakby robiąc nam przestrzeń.

– Tobie nie chodzi o żaden brak zeznań – powiedziałem. – Ty nie chcesz go tak po prostu zamknąć. Chcesz przyłapać go na czymś takim, przez co nigdy nie wyjdzie z pierdła.

– To nie ma znaczenia. On zginie w więzieniu. Obiecałem ci to.

– Przestań. Nie jestem dzieckiem. Nikt go nie zabije. Chcesz wsadzić go na dożywocie. Rozumiem to. Jesteś psem. Nie jesteś mordercą.

Słyszałem, jak przyśpiesza mu oddech. Podniecał się. Nie chciałem tego słuchać.

– Daj mi coś – powiedział głosem tak zachrypniętym, jakby dymał się przez kamerkę.

– Zobaczymy – odparłem i się rozłączyłem. Wyrzuciłem telefon do śmietnika.

Gdy wróciłem do hotelu, Dario stał na środku sali, trzymając za rękę małego chłopca. Musiał się zjawić chwilę przede mną. Imprezę przerwano, wszyscy patrzyli w jego stronę. Chłopiec miał na rękach identyczne rękawki do nurkowania jak jego matka, tylko odpowiednio mniejsze. Trząsł się od bezgłośnego płaczu, był siny ze strachu. Kobieta dopadła do dziecka jednym susem, od razu zaczęła na nie krzyczeć. Gdzie byłeś, zabrałam ci, mówiłam ci, i tak dalej, i tak dalej. Następnie spojrzała na Daria i powiedziała:

– Bardzo panu dziękuję.

– Ależ nie ma za co. To normalne pomóc komuś w opresji. – Dario popchnął łagodnie chłopczyka w stronę matki. Ta go przytuliła, ale chłopczyk wciąż był sztywny jak kij.

Karaś na ten widok strzyknął śliną na podłogę hotelu i wychylił dwa kieliszki wódki, jeden po drugim. Wypił już ponad litr i wciąż był w pełni przytomny. Miał w środku ogień nie do ugaszenia. Dario wrócił do naszego stolika, powoli i ostrożnie stawiając stopy, jakby nie chciał zdeptać jakichś kruchych skarbów, widocznych tylko dla niego.

– Ile tu jest fajnych mamunierek! Zobaczcie, chłopaki. Ile fajnych dziewczynek i chłopczyków. – Cmoknął, odprowadzając wzrokiem kobietę, która z chłopcem na rękach biegła w kierunku wind.

Karaś powiedział mu o policji. Dario odparł, że to nie ma znaczenia. Zaczęli razem pić. W sumie piją aż do tej pory, z krótką przerwą na sen. Ale dopiero teraz, w restauracji, Karaś zadaje mu pytanie:

– Co robiłeś z tym dzieciakiem, Darek?

Dario się najadł. Na jego talerzu zostało kilka pojedynczych ości. Teraz bawi się sygnetem, który kupił w jednym z tutejszych sklepów ze szmelcem.

– Co robiłeś z tym dzieciakiem? – powtarza pytanie Karaś. Patrząc na Daria, zamawia gestem jeszcze jedno piwo. Przeszedł na niższy woltaż, widocznie nawet on ma swój próg wytrzymałości.

– Pokazałem mu widok na zatokę. – Dario wskazuje palcem góry piętrzące się nad miastem.

– Wziąłeś czyjegoś dzieciaka, Darek, wieczorem, w góry, żeby pokazać mu jezioro? – pyta Karaś. Kelnerka przynosi mu piwo, on ściska kufel, jakby chciał go zmiażdżyć.

Dario zdejmuje sygnet, chowa do kieszeni. Przez chwilę przypatruje się swojej koszulce, spranej, dziurawej, reklamującej finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy z 2012 roku. Od czasu, gdy podarowałem mu pomysł na to, co dalej, jest zamyślony i dziwnie miękki. Oswaja się z nowym kształtem, z nową perspektywą.

– Powiedziałem ci jedną rzecz, Darek. Nie rób więcej tych obleśnych, kurwa, rzeczy – warczy Karaś.

Dario w odpowiedzi wysuwa język. Na początku myślę, że się wygłupia, ale nagle jego ręka opada bezwładnie wzdłuż ciała. Oczy zbiegają się ku sobie, w kąciку ust pojawia się biała piana. Głowa Daria zaczyna podskakiwać. Pierwszy reaguje Umar, błyskawicznie odkłada telefon, podrywa się z miejsca. Dario zsuwa się z drewnianej ławy na ziemię. Jego głowa uderza o beton.

– Dario. Darek. Darek! – Karaś przypada do niego.

Dario przegryza sobie język. W kąciu ust pojawia mu się cienka strużka krwi. Karaś nie rozumie, co się dzieje. Umar chwytą Daria za głowę, wie, że to atak padaczki.

– Włóż mu coś, włóż mu coś między zęby! – krzyczy przestraszony.

Dario podskakuje cały, jego ciało wariuje jak rażone prądem. Z knajpy wybiega kelnerka. Wyciąga telefon, dzwoni po karetkę. Próbuję jej wytłumaczyć, żeby tego nie robiła, ale nie zwraca na mnie uwagi. Za to Karaś wrzeszczy na nią:

– Przynieś coś! Kurwo, przynieś coś, patyk, cokolwiek! Już! Raus!

Ale dziewczyna nie rozumie ani słowa.

Staję nad Dariem.

Nie oddycha, patrzy prosto w słońce, cały jest w słońcu, jakby to od niego umierał. Jakby był wampirem. Na krótkich spodenkach widać powiększającą się plamę szczyń. Myślę: to nie może się skończyć tak dziwnie, tak głupio. To będzie niesprawiedliwe. W stosunku do mnie, do Kacpra.

Ale Dario nagle eksploduje rechotem; podnosi się do pozycji siedzącej i ryczy, ryczy ze śmiechu tak, że przerażona kelnerka umyka z powrotem do knajpy.

Karaś spogląda na niego z odrazą. Siada przy stole. Umar cofa się o parę kroków, wyraźnie zagubiony. A Dario się śmieje, wrzeszczy śmiechem, od tego śmiechu zaraz pęknie mu gardło. Śmieje się jak ktoś, kto właśnie się dowiedział, że będzie żył wiecznie.

Wstaje, otrzepuje się, pociera guza, którego nabił sobie, waląc głową o bruk. Łapie Karasia za barki, przyciąga do siebie. Potrząsa nim.

– Ja jestem dobry dla dzieci, dobry jak Pan Tik Tak. Jak ten ksiądz z programu *Ziarno*, Karaś. Ten, co grał na kontrabasie. Pamiętasz tego pafnuca śmiesznego? Jak międlil paluchami ten kontrabas i śpiewał, że widzi papieski samolot?

– Ja nie oglądałem żadnych programów dla dzieci, Darek. Ja grzałem, kurwa, puchę.

Dario wyciąga z kieszeni banknoty, rzuca na stół dwieście euro. Pieniądze są lekko wilgotne, zaszczął je, udając atak.

– Musisz zrozumieć, Karaś, że bez żartów to się nie da wytrzymać w tym szambie.

Karaś przez wiele godzin nie odezwie się ani słowem.

Po obiedzie wsiadamy do auta, jedziemy w głąb kraju, sto kilometrów na północ. Zatrzymujemy się w zatoczce, przy krętej szosie. Obok jest punkt widokowy – majestatyczna przepaść, zalesione zbocza, płynąca w dole nitka rzeki. Między punktem a jezdnią wznosi się bariera ze śmieci: zepsutych telewizorów i pralek, połamanych mebli. Upał poraża, zamienia czas w gorący syrop. Między śmieciami szwenda się zdychający z pragnienia, ranny pies. Umar wyciąga z samochodu butelkę wody, nalewa sobie trochę na dłoń, daje mu pić.

Po parunastu minutach podejżdżają dwa czarne BMW X5 z przyciemnianymi szybami. Jedno z aut mruga światłami na znak, że mamy jechać za nimi.

Kierujemy się w dół. Asfalt wkrótce się kończy, a my jesteśmy w położonej wzdłuż rzeki wiosce, składającej się z kilku ceglanych domów. Z aut wysiadają faceci przypominający kierowców ciężarówek: krępi, koszule wciśnięte w wyprasowane na kant spodnie, okulary przeciwsłoneczne, papierosy w zębach. Jeden z nich pokazuje dziurę w ogrodzeniu i biegnącą za nią skalistą, stromą ścieżkę w dół. Nie czekają na nas, ruszają pierwsi.

Po mniej więcej dwudziestu minutach marszu ściągam koszulę i owijam ją sobie wokół głowy. Przewodnicy nie reagują na upał, są na niego impregnowani, jakby mieli inny rodzaj skóry. Jeden z nich ma na sobie tanią skajową kurtkę. W takiej kurtce musi być jak we wnętrzu piekarnika. Nagle tracę równowagę, w ostatniej chwili chwytam pokryte kolcami drzewo. Kolce wbijają się w dłoń, syczę z bólu, ale przynajmniej jestem cały. Nikt nie reaguje, wszyscy powoli posuwają się do przodu. Dario ciężko chrapliwie oddycha. Nie zmienił zaszcanych spodni.

Im niżej, tym odrobinę chłodniej, drzewa rzucają cień, gleba jest wilgotna, to teren zalewowy. Wreszcie wchodzimy do zalesionej kotliny pokrytej mokradłem. Ciepła kołdra błota chlupie pod stopami. W zaroślach widzę przemykającego węża. Moje buty nadają się do wyrzucenia.

Ciało mam całe czerwone, gorące. Pot, który je pokrywa, krystalizuje się w sól. Jestem tak spragniony, że mógłbym wypić mocz.

Po paru minutach spomiędzy drzew wyłania się drżąca od upału, szara bryła. Przez chwilę myślę, że to złudzenie. Przyśpieszam kroku, stopy grzęzną mi w błocie. Wyprzedzam pozostałych. Zaczynam biec. Przewracam się, wstaję. Dario się śmieje. Biegnę dalej.

Dom jest w trakcie budowy, przynajmniej na to wskazują betoniarka i zafoliowane płachty styropianu. Siadam pod kamiennym zadaszeniem, wypluwając płuca. Karaś też jest cały czerwony, przypomina ugotowanego homara. Dario daje szerokie, niezgrabne kroki; gada przy tym do siebie, jakby był pijany. Za to Umar i trójka Czarnogórców są tylko lekko zasapani.

Z domu wychodzi mężczyzna. Potwornie chudy, zasuszony, w pociągłej twarzy tkwią wielkie oczy. Słońce i kamienie wypłyły z niego krew i limfę, przypomina wielką, dwunożną, chorą na raka jaszczurkę. Obrzuca mnie spojrzeniem, po czym bierze do ręki wąż ogrodowy, celuje we mnie jego końcówką i odkręca. Nagły chlust zimnej wody o mało nie przewraca mnie na ziemię. Następnie facet oblewa Daria, Umara, Karasia. Ulga sprawia, że prychemy jak świnie.

– Nazywam się Zachar – mówi po polsku z wyraźnym rosyjskim akcentem.

– Wiem, jak się nazywasz, przyjacielu Moskalu – odpowiada Dario.

Zachar prowadzi nas do budynku. Wnętrze jest w trakcie poważnego remontu. Pod ścianą stoją wiadra z farbami, wszystkie meble są przykryte płatami półprzezroczystej folii. Jest tu ciemno, chłodno, małe okna w grubych murach wpuszczają niewiele światła. Cały mokry momentalnie zaczynam się trząść.

Przechodzimy do salonu połączonego z kuchnią, najjaśniejszego pomieszczenia w całym domu – jedyne, które nie jest przygotowane do remontu. Mężczyźni, którzy nas tu przywieźli, czują się jak u siebie, jeden z nich wyciąga samowar spod kuchennego blatu. Zachar pokazuje, abyśmy usiedli przy stole. Stawia na nim butelkę z nieokreślonym płynem i rozdaje nam kieliszki. Polewa każdemu z osobna. Gdy to robi, trzęsą mu się ręce. Trzęsą się również, gdy przestaje. Nie próbuje tego ukryć, opuszcza dłonie wzdłuż ciała. Lekko telepią mu o nogi.

– Przede wszystkim bardzo ci dziękuję, mój przyjacielu – mówi Dario.

– Dobrze się nimi zajmujesz. To dobrzy ludzie.

– Wszyscy ludzie są do czegoś dobrzy. – Dario się szczerzy.

Pijemy. Trudno powiedzieć, co to właściwie jest – śmierdzi jak benzyna, ale smakuje owocami.

– Potrzebuję jeszcze – mówi Dario.

Zachar opiera się o ladę. Przypatruję mu się. Jego wygląd jest skrajnie oszczędny: zero biżuterii, biała koszula, rozpięta na klatce piersiowej,

i tylko tam coś charakterystycznego, stary, rozlany tusz na suchej skórze – okrągła wieża, wyglądająca jak wieża Kremla, i górna część prawosławnego krzyża, litery INRI oraz głowa Jezusa. Ten tatuaż musi pokrywać cały tors.

Mężczyźni, którzy nas tu przyprowadzili, na znak Zachara – lekkie kiwnięcie wciąż drżącej dłoni – biorą samowar i wychodzą z pomieszczenia.

– To zdanie mógłby wypowiedzieć każdy i wszędzie. „Potrzebuję jeszcze”. – Zachar się uśmiecha. – To zdanie mówi o człowieku wszystko.

Ma gorzki, wymuszony uśmiech; grymas twarzy kogoś z permanentnym bólem. Nie chcę patrzeć mu w oczy, więc skupiam wzrok na obrazach wiszących na ścianach. To brzydkie oleje malowane od sztancy, na nich konie ciągnące wozy przez przepastną biel, ułani, chłopcy z kosami. Nad drzwiami prowadzącymi do ogrodu wisi mała ikona. Do lodówki przyczepiono zdjęcia Putina, Stalina, patriarchy Cyryla.

– Ja potrzebuję więcej. Najwięcej ze wszystkich ludzi na świecie. – Śmieje się Dario i uderza otwartą dłonią o blat stołu.

– *Choroszo* – mówi Zachar. – Przekieruję następną grupę. Przyjadą przez Białoruś. Na tych samych warunkach. Tydzień, dwa, i będą u was.

– Szybko! I smacznie! Tanio i swojsko oferuje wojsko! – Dario spogląda na mnie, Karasia, Umara. – To co, dogadani? Wracamy do domku?

– O ile kraju znowu nie zamkną, ci faszyci izraelscy. – Karaś wzdycha.

Gospodarz nie zwraca na niego uwagi, za to odwraca się w moim kierunku. Patrzy mi w oczy. Zaczyna mnie studiować.

– Tak, jebać faszystów jak psy – mówi po rosyjsku.

– Widzisz, to są moi ludzie z Polski. To jest Karaś, ja z nim bardzo dużo rzeczy zrobiłem. Bardzo dużo, mamy, że tak powiem...

– Opyt – kończy Zachar.

– Tak, opyt – śmieje się Dario, a potem pokazuje na mnie. – To jest Jacuła.

Zachar kiwa głową. Imię nic mu nie mówi. Chwyta się mocno za nadgarstek, wydaje polecenie swojej dłoni, aby przestała się trząść. Patrzy mi w oczy, próbuje mnie przeczytać. Niech sobie czyta, co chce.

Zapada cisza.

– Zachara znam ze starych czasów, Jacuś. – Dario odwraca się do mnie.

– Bardzo starych i złych czasów. Dużo rezerwy mam do niego. Dużo

szacunku.

Jego zachowanie świadczy o czymś przeciwnym. Ani nie ma do Zachara szacunku, ani zbyt dobrze go nie zna. Patrzy na niego jak na krzyżówkę do rozwiązania.

Zachar pokazuje na mnie drżącym palcem.

– Po co ci on? – pyta.

– Ktoś musi myśleć, Zachar.

– Przecież ty myślisz.

– Trzeba mieć kogoś, kto myśli lepiej od ciebie.

– *Wot tolko z etimi bieda.*

– Jak ktoś naprawdę dobrze myśli, to wszystko rozumie i się nie wygłupia – odpowiada Dario.

Zachar siada przy stole. Polewa jeszcze kieliszek, tym razem tylko sobie.

– Porozmawiajmy o konkretach, Darek.

Dario pstryka knykciami.

– Dziesięć procent – mówi. – Jeden dolarek na dziesięć dolarków twój, Zachar.

– Dziesięć procent czego?

– Największej firmy farmaceutycznej w Europie, Zachar. A może w Eurazji. A może i na świecie, Zachar.

Zachar się zastanawia. Dario patrzy na mnie, błyszcza mu oczy. Jest zadowolony. Zbyt zadowolony. Nagle to rozumiem – nie mam już odwrotu. On w to uwierzył, dostał nową religię. Będę musiał nad tym pracować, posuwać to do przodu. Tłumaczyć, dlaczego to, co miało być szybkie, jest wolne. Będę musiał próbować zalegalizować świetliki. Do momentu, aż go zabiję.

Zachowałem się jak korporacyjny dureń, który proponuje szefowi pięćset procent normy tylko dlatego, by nie polecieć przy następnej redukcji.

– Czyli nie chcesz już być wor.

– Właśnie ja chcę być wor, taki prawdziwy, bo my nie jesteśmy żadne wory, my jesteśmy miękkie chujki. Wiesz, gdzie są prawdziwe bandziory? W spółczkach skarbu państwa, Zachar. W radach nadzorczych. To ci, co przychodzą do tych ciemniaków w sejmie i mówią: masz zrobić ustawę taką i taką, Zachar. Ci, którzy, jak potrzebują pieniędzy, to ich nie zarabiają, Zachar, nie kradną, tylko je robią. Znasz to, wiesz, o czym mówię.

Myśl. Szybko. Teraz, bo potem będzie za późno. Nie, może to nie jest głupie. Może, paradoksalnie, to ci pomoże. Może cała ta baśń zmusi mnie, aby zrobić to szybciej. Nie czekać na nieuważność, na cud. Opracować plany ucieczki.

Po dłuższej chwili Zachar prawie niezauważalnym skinieniem głowy przyznaje Dariowi rację. Ten spogląda na mnie, posyła mi uśmiech.

Wiem, że ten uśmiech to podziękowanie.

– Mam kontakt z taką firmą z Izraela – mówi Zachar. – Chłop służył w Mosadzie, szpiegostwo komputerowe. Opracowali program, który w sekundę tworzy sto tysięcy fałszywych profili na Facebook, Instagram, TikTok, co chcesz. I potem oni przychodzą do partii politycznych na całym świecie i mówią: dajcie pięćdziesiąt milionów dolarów, to wygracie wybory. I oni dają, i jeszcze całują w kutasa. – Upija drobny łyk. Patrzy na Daria. – I mówisz mi, Dariuszka, że to, co masz, jest lepsze. Firma farmaceutyczna, powiadasz. Co ty będziesz robił? Witaminy jakies?

Dario wyciąga z kieszeni plastikową torebkę z kilkudziesięcioma świetlikami. Zachar wyjmując jedną kapsułkę, bierze ją w dwa palce, ogląda, następnie łamie, wysypuje zawartość na wnętrze dłoni. Wącha, otrzepuje rękę.

– Część składników jest od ludzi, których znasz. Mieszmamy to na miejscu – wtrąca się Karaś.

– A jak to zalegalizujecie?

– Zmusimy ich – mówi Dario.

To ciekawe. Tak bardzo wkręcił się w moją baśń, że ma już jakieś własne pomysły.

Wymieniają spojrzenia. To w nich odbywa się właściwa rozmowa.

– Diesjat' niemnogo – informuje Zachar.

– *Niemnogo. Moim zdaniem mnogo. To skolko, Zachar?*

Alkohol, pewnie lokalny bimber, zaczyna palić mnie w gardło ze sporym opóźnieniem. Wstaję, chcę napić się wody, ale Zachar powstrzymuje mnie ruchem dłoni.

– Wody – mówię.

Pokazuje na flaszkę. Kręcę głową.

– *Ja nie dam tiebie wody. Ty dołžen pozwolit' swojemu gorłu goret'.*

W myślach wyzywam go od skurwysynów.

– *Skolko?* – dopytuje Dario.

– *Tridsat'.*

Zaczynają palić mnie mięśnie – rąk, nóg, pleców, lędźwi.

Powietrze jest gęste i zimne. Brudne, zmrożone błoto. Sok z martwego drzewa. Na zewnątrz słychać tylko owady, ciche unisono, bzyczenie i trzeszczenie dzikiego świata. I skrzywienie starego domu osadzającego się w ziemistym podłożu, powracającego do swojej pierwotnej formy, kupy kamieni.

– *Mnogo* – mówi Dario.

Spokojnie, myślę. Uda ci się. Idźmy jego śladem. Myślę o świetliku, którego zjem wieczorem. Jednym świetliku.

– *Mnogo*, ale ty bez moich ludzi nic nie zrobisz. Możesz sobie szukać Polaków jakichś. Moi ludzie byli w black ops. Grupa Wagnera. Syria, Afryka. Donbas.

– Potrzebujemy dwóch, trzech snajperów. Umiejących obsługiwać drony – wtrącam się.

Karaś i Dario patrzą na mnie, lekko zdziwieni.

– Ludzi umiejących patrolować – mówię dalej.

– Moi ludzie umieją wszystko. Moi ludzie umieją obsługiwać bombę wodorową. A wy, *Poljaki*, co? Obciągnęliście już wszystkie kutasy amerykańskie?

– *Poljaki* to wam w tysiąc dziewięćset osiemnastym dobrze wpierdolili. – Śmieje się Dario.

Zachar macha ręką. To wypadek przy pracy, zdaje się mówić. Odwraca się w stronę ogrodu.

– Trzydzieści procent to ten cały Tugajew ode mnie weźmie i normalnie sobie będę z nim rządził i dzielił – dodaje Dario. – Tylko, Zachar, ja nie chcę rządzić i dzielić.

– Ten Czeczen? To idź do niego, czemu nie, skoro bierze tyle samo. Ja jestem tutaj, a jego masz na miejscu.

– On weźmie trzydzieści, a następnego dnia będzie chciał wszystko – rzuca Karaś.

– A skąd wiecie, że ja nie będę chciał wszystkiego? – pyta Zachar.

– Bo ty *rozumnyj Ruski*.

– *Nie podlizywat'sja, Darek*.

Wstaję z krzesła, podchodzę do kranu, piję wodę. Mam go gdzieś. Piję, ale płomień w gardle słabnie tylko odrobinę.

– Posłuchaj, Dariuszka. Za dwa lata będzie wielka wojna na Ukrainie. A może i wszędzie. Będzie wojna, bo Ruskie umierają, rozumiesz?

– Chodzi ci o to, że ludzie się przestali ruchać.

– Tak. Mało dzieci, dużo staruchów. Obrzydliwych, takich jak my. I pełno pedałów, dzieci szatana.

– Ale co się mają pierdolić, jak u was każda baba, co nie wygląda jak Jelcyn, sprzedaje się na harem? – pyta Dario.

Cisza, która zapada, jest gęsta jak beton. Wreszcie Zachar pęka, zaczyna się śmiać. Wszyscy się śmieją, również Dario. Rechet jest donośny jak seria kościelnych dzwonów.

Wracam do stołu.

– Będzie wojna. Ukraina pójdzie w *pizdiet*, to ci gwarantuję. Mołdawia pójdzie w *pizdiet*. Litwa, na chuj komu ta Litwa. Kijów będzie się palił, aż spali się cały. I strącą ten pomnik obrzydliwy do rzeki. Ci faszyci, te psy, oddadzą nam to, co nasze. Ale posłuchaj, Dariuszka, ci wszyscy Ukraińcy, ci gangsterzy, myślisz, że co zrobią? Całe ich życie to wojna. To tu, to tam. Co ty myślisz, że oni zrobią? Ja ci powiem co. Oni przyjadą do was. Przyjadą do Warszawy. I zabiorą ci wszystko, co masz. Przemielą was w maszynie do mięsa. Kotlety z was zrobią. Te wasze polskie chłopaki, co umieją tylko szybko samochodami jeździć, nawet się nie zorientują, co się stało.

Tracę równowagę, Umar łapie mnie za rękę, pociąga, sadza z powrotem na krześle.

– I powiem ci coś jeszcze – ciągnie Zachar. – To będzie długa wojna. Potrwa lata, bo ci Ukraińcy to zajadłe skurwysyny. I jak część z nich przyjedzie do Polski, to ty z nimi nie *pogoworisz*, nie ubijesz targu. Przystawią ci pistolet do łba. Powiedzą: dawaj hasła do kont. Dawaj szyfry do sejfów. Dawaj akty notarialne, dawaj dokumenty. I żonę dawaj, i córkę. A potem strzelą. A potem cię oplują. Oplują twojego trupa. – Głos Zachara jest niski, chrapliwy, miękki. Jednostajny, jakby recytował wiersz albo czytał książkę. – Dlatego potrzebujesz moich ludzi, Dario. I dlatego ja chcę trzydzieści procent. Trzydzieści to nie pięćdziesiąt. A mogłoby być przecież pięćdziesiąt.

Dario jest rozbawiony i wcale się z tym nie kryje. Jego zdaniem Zachar opowiada dowcipy, odgrywa show – przecież do niego tak się nie mówi. Zachar odkręca butelkę, polewa dalej. Nie chcę już pić, ale Zachar nie znosi sprzeciwu. Trudno. Niech pali. Następną kolejkę wychylam na raz.

Jest mi zimno. Jestem zmęczony i brudny. Głowa mi pęka, czuję się, jakbym przebiegł maraton. Zachar to widzi. Mięknie, robi się gościnnie,

przyjazny. Teraz sam nalewa wody do szklanki, podaje mi. Biorę mały łyk.

– Może odpocznijcie – mówi. – A potem pogadamy sobie we dwóch. – Ogarnia ruchem ręki grube, zimne ściany. Małe okna, jak wycięte kwadraty słońca i zieleni. – Mój dom to wasz dom – kłamie.

*

Gdy się budzę, jest ciemno i zimno. Leżę pod kocem, chyba jestem nagi. Potrzebuję chwili, aby wzrok przyzwyczaił mi się do ciemności. Podnoszę się, zrzucam koc. Jestem na cienkim materacu, w pustym pomieszczeniu. Materace zajmują całą podłogę, na prowizorycznym wieszaku wisi odzież, pod ścianą równo ułożono buty. To tu muszą spać jego ludzie.

Zza ściany słysząc głosy. Wstaję, próbuję znaleźć swoje ubranie. Obok materaca leżą złożone koszula i spodnie, nie moje, ale pewnie przygotowane dla mnie. Cienkie płócienne spodnie są trochę za krótkie. Koszula pasuje. Moje stare ciuchy, przepocone i brudne, ktoś musiał zabrać do prania.

Przechodzę przez pustą kuchnię, idę na podwórko. Siedzą nad basenem na ustawionych w półokręgu krzesłach. Zachar, Dario, Umar. I trzy młode kobiety, pewnie z okolicznych wsi. Mocno umalowane, z ufarbowanymi na blond włosami, w bardzo krótkich sukienkach. Jedna głaszcze Daria po głowie. On w odpowiedzi czasami ujmuje jej dłoń, wsadza sobie mały palec do ust, ssie. Druga siedzi sama, kawałek dalej, wpatruje się w basen; na powierzchni wody dryfuje warstwa suchych liści. Trzecia siedzi obok Zachara, na samej krawędzi krzesła, gotowa w każdej chwili wstać i spełnić jakąś jego zachciankę.

– Śpiąca królewna wróciła. Pospałeś, Jacunia? Śniła ci się Meluzyna? – Dario rozkłada ręce na mój widok.

Siadam obok tej drugiej kobiety. Ta od razu się do mnie odwraca, częstuje wystudiowanym uśmiechem.

– Widzisz, ty poszedłeś spać, a my się dogadaliśmy, Jacula – mówi Dario.

– Widocznie musiałem iść spać, żebyście się dogadali.

Gdy to mówię, dziewczyna kładzie mi dłoń na przedramieniu. Ciepłą, lekko spoconą.

– Pięćdziesięciu chłopaków jeszcze przyjeżdża. Od dwudziestu do czterdziestu lat. Same zdrowe byki. Zachar już puścił wici. – Dario chyba się cieszy, trudno powiedzieć, jest pijany i zmęczony.

Dziewczyna przesuwa rękę w górę mojego przedramienia.

Ostrzyknięte usta i mocny makijaż dodają jej lat, ale tak naprawdę nie wiem, czy skończyła osiemnaście. Nie przeszkadza mi to. Jestem rozluźniony, może nawet trochę pijany. To, co twarde, jest trochę miękkie – jakbym zjadł świetlika, chociaż przecież wcale go nie zjadłem.

Czy na pewno?

– Chcesz coś poruchać, Jacuś? To dawaj, możesz też moją. Ja nie mam siły, powiem ci. Idę zaraz spać. Weźmiesz sobie dwie, jedna ci wyliże dupę, druga ci wydoi, będzie klawo.

Zachar pochyla się, naciska pilota, muzyka wybucha jak bomba rzucona w ciepłą ciemność. Pianino, syntezator, delikatny głos kobiety śpiewającej po rosyjsku.

– Pugaczowa. Pięknie ta kurwa śpiewała. Tylko ząbki miała strasznie zepsute – mówi Dario.

Zachar wstaje. Widać, że musi się mocno skupić, aby utrzymać równowagę.

– Ja was znam, Polaki – mówi. – W osiemdziesiątym dziewiątym do Polski przyjechałem. U nas Amerykanie zrobili pożogę. Wszystkie pieniądze ukradli. Na wsiach ludzie z głodu umierali, w miastach o ziemniaka jednego bili się do krwi, o kurze łapki. U was to jeszcze jako tako poszło. Jak się nazywał ten minister, agent amerykański...

– Balcerowicz. – Dario się ożywia. – O mnie mówią, że ja jestem bandyta. Ten to jest dopiero bandyta. Dnia skurwysyn nie odpierdział. Dajcie mi go pod celę, mówiłem. Dajcie mi go, to grzałkę połknie od czaju. Przecież na wioskach, tych, gdzie PGR-y były, to ludzie korę z drzew jedli.

Zachar kiwa głową. Oczy ma mętne, puste, jakby zamiast białek miał krochmal.

Siedząca obok niego dziewczyna wstaje, znika we wnętrzu domu. Dario się przeciąga, rozkłada nogi. Ma na sobie tylko krótkie spodenki. Dziewczyna bierze leżący obok siedzenia olejek, zaczyna wmasowywać mu go w skórę.

Zachar stoi jeszcze przez chwilę, siada z powrotem.

– W Polsce nie było najgorzej, Darek. U was Rumuni na ulicy woleli żebrać, niż u siebie siedzieć. A u nas... Słuchajcie, wy się, kurwa, módlcie,

Polaki. Módlcie się, bo jeśli Amerykanie czegoś nie skończyli, to wrócą to zrobić. Otworzą się pieczęcie. Wiesz, dlaczego w cerkwi nie czytają Apokalipsy na głos? Bo to prawda, Darek. Bo tak będzie, i tyle.

Dziewczyna wraca. Niesie taczkę, a na niej kieliszki, wiadro z lodem, w nim butelkę. Dłoń dziewczyny obok mnie schodzi niżej. Nie przeszkadzam jej. Pytam, jak ma na imię.

– Aria – odpowiada.

Piosenka się kończy, ale zaraz zaczyna jeszcze raz. *Million alyh roz.*

Zachar wstaje, bierze swoją towarzyszkę za rękę, zaczyna tańczyć. Dario przybliży głowę dziewczyny do swojego krocza. Dziewczyna ściąga mu spodenki. Odwracam głowę. Aria pyta łamanym angielskim, czy ma zrobić to samo.

Biorę ją za rękę, prowadzę do domu. Jej ciało jest ciepłe w chłodnym mroku kuchni. Przyciskam ją do siebie. Przez krótką chwilę boję się, że bez niej zamarznię na śmierć.

Na stole wciąż leży samara ze świetlikami. Wyjmuję jednego, pokazuję jej.

– Wiesz, co to jest?

Kręci głową.

– To sztuczka magiczna. Zamienia ból w ciepło.

Zaciekawiona patrzy. Przysuwam kapsułkę do jej ust. Wysuwa język. Biorę drugą, zapijam wódką. Ona też to robi. Przyciągam ją do siebie. Zapaść się w ciepło. Nie protestować. Pozwolić na zostanie zbawionym.

Ciepłe i miękkie usta, język wędrujący po języku. Ciało w dotyku jak kauczuk, momentami aż zbyt twarde. Słodki zapach, słony smak, pot, perfumy, krem.

Zaczyna ruszać biodrami. Znad basenu dobiega wciąż ta sama piosenka Ałły Pugaczowej, zapętlona, straszna, niesłuchalna. Przykrywa inne dźwięki jak brudna kołdra, spod której wystaje oddech któregoś z mężczyzn, chrapliwy i plugawy.

Przechodzimy do sypialni, ciskam dziewczynę na materac. Kładę się na niej, ale ona wyslizguje się spode mnie, siada na mnie. Rozpina mi spodnie.

Na ułamek sekundy wielki strach – nie uda mi się. Straciłem kontrolę. Zgwałcił mnie. Wypił mi duszę. Gdy pił, siorbał i mlaskał. Zrobi to jeszcze tysiącom osób.

Ale dziewczynie udaje się sprawić, że na moment przestaję myśleć. Ciemność jak syrop, jej ciało i głos, nagle niższy, bardziej zachrypły.

Wsusza mnie w siebie, bez gumy. Jakimś cudem jestem twardy. Ona jest ciasna. Za chwilę mogę eksplodować. Mam nadzieję, że jest zdrowa, ale zaraz przestaję o tym myśleć. Odzywa się w swoim języku, mimo to ją rozumiem.

– Dobrze – mówi.

Wkładam kciuk do jej ust, zaczyna go ssać.

– Najlepsze – odpowiadam.

Kilkadziesiąt powolnych ruchów. Jest mokra. Wkłada mi pierś do ust, a potem wsuwa palec między pośladki, ostrożnie. Znajduje prostatę, lekko muska ją palcem, a ja wybucham jak gwiazda.

A potem nicość, znowu.

Ciężka jak ołów.

Potrzebuję długich minut, by wrócić do rzeczywistości. Znajduję ręką nagie i ciepłe ciało, tuż obok, ciało, które miarowo oddycha.

Z zewnątrz nie dobiega już żadna piosenka. Cisza jest głucha i przytłaczająca. Musi być czwarta, piąta rano. Wstaję. Jestem nagi, słaby i ociężały. Szukam po omacku spodni, w końcu je wkładam, bez bielizny.

Dziwny dźwięk w ciemności. Gulgotanie, mlaskanie. Pierwsza myśl – do domu wlało jakieś zwierzę, buszuje w śmietniku. Próbuje znaleźć włącznik światła, ale tu ich nie ma, przynajmniej w tych miejscach, w których z reguły są włączniki. Przez małe okno wpada światło księżyca. Z ciemności wyłaniają się kształty. Macam się po kieszeniach. W jednej z nich jest telefon, a w nim latarka.

Przechodzę do kuchni. Kamienna posadzka jest potwornie zimna. Dźwięk narasta, jego źródło jest przy basenie. Nie powinienem iść w tamtą stronę. Ale ma w sobie coś zapraszającego, coś, co hipnotyzuje. Jest jak śpiew syreny.

Jego ciało jest nagie, srebrne światłem księżyca, odlane z lodowatego metalu. Oto golem, poruszona rzeźba. Drugie ciało, chude, żylaste, stare, leży na ziemi. Gdy on odwraca się w moją stronę, rozumiem, a on widzi moje rozumienie. Szczyrzy zęby. Zęby są czarne. Wbiegam do domu, aby nie zwymiotować wprost do basenu.

To, czego nigdy nie widziałem.

Teraz.

– Jacuś – mówi, a ciepły płyn wylewa mu się z ust – Jacuś.

Cały ten alkohol, jedzenie, o którym zapomniałem, smak ciała dziewczyny, wszystko wylatuje z mojego żołądka na ziemię.

Zrób to teraz.
Znajdź cokolwiek.
Jakiś przedmiot.
Zwykły przedmiot.
Nóż do tapet.
Zrób to teraz.

Staje w otwartych drzwiach, nagi srebrny potwór. To, czym był przedtem – robak. Teraz jest motylem.

Już nie mam czym wymiotować. Powoli podnoszę się znad zimnej posadzki.

– Popatrz na mnie! – ryczy. Echo tego ryku odbija się od ścian.

Patrzę. Nic nie jest tak wyraźne jak białka jego oczu.

Oto prawda o nim, gdy zrzuci wszystkie swoje przebrania, strój, skórę, język. Oto poruszające nim czarne światło.

Jest coś jeszcze. Coś zupełnie obcego. Zaufanie podobne do zaufania kobiety, która pierwszy raz rozbiera się przed mężczyzną.

– Składałem ci obietnice, Jacuś. Mamiłem cię jak rodzice dzieciaczka małego. Będziesz grzeczny, to dostaniesz kakałko. Będziesz fajniusi, dam ci sto złotych. Talon na balon. Cipuchę w szkatule. Nie, nie. Już tak nie będzie. Teraz jesteśmy razem, ja i ty. Jesteśmy równi. Zasłużyłeś na to.

Robi krok w moim kierunku. Czuje zapach mojego wstrętu i zjada go jak coś smacznego. Cudza krew wciąż spływa mu z ust.

– Jesteśmy całością. Ty wymyślasz, Jacunia. A ja, ja rzucam zaklęcia i robię to, co wymyślasz.

– My nie wyjdziemy żywi z tego domu, Darek.

Słowa ledwo przeciskają mi się przez gardło. On stoi ode mnie na wyciągnięcie ręki.

– Wyjdziemy żywi ze wszystkiego. Wszystko nam się uda, bo wszystko jest nasze.

Gdy krwi jest dużo i gdy zaczyna krzepnąć, cuchnie.

Jest taki obraz Muncha, *Morderca*. Postać idzie w stronę patrzącego zadrzewioną aleją, w jasny dzień, pod białym niebem. Postać nie ma twarzy, zamiast niej widnieje zielona plama z czerwonymi węgielkami oczu. Te oczy łapią twoje spojrzenie; twoje oczy stają się oczyma tej postaci już na zawsze.

Morderca jest prawdą, tym, co zostaje, gdy opada iluzja. Morderca idzie, aby w ciebie wejść. Morderca chowa twoje oczy do kieszeni jak

skradzione monety.

Dario dotyka mojej twarzy. Krew kapie mu z dłoni. Włożył tę dłoń do wnętrza jeszcze ciepłego ciała, aby sprawdzić, jak tam jest. Włożył ją po tym, jak zrobił coś, czego człowiek nie jest w stanie zrobić gołymi rękami.

Łapie mnie za rękę, jak dziecko, i ciągnie w głąb domu. Jego bose stopy mlaskają o posadzkę, zostawiając za sobą krwawe ślady. Na chwilę przystaje, coś wypluwa. Ząb.

Przechodzimy do garażu. Dario znajduje włącznik światła. Robi się jasno, potwornie. Ciało jednego z mężczyzn, którzy nas tutaj przyprowadzili, leży na ziemi z krwawą aureolą wokół głowy. Obok bezwładnej dłoni pistolet – mały czarny glock. W garażu są dwa czarne SUV-y, pełno narzędzi, stopy opon. I kanistry z benzyną. Dario zaczyna ją łać po samochodach, po sprzętach. Gdy to robi, podnoszę pistolet z ziemi. Chowam go za pasek spodni. Dario wciąż stoi do mnie tyłem.

– Weź kanistry – mówi.

Idziemy z powrotem w głąb domu. Przy wejściu znajduję swoje buty, brudne i podniszczone. Szybko je zakładam.

Dario zaczyna ryczeć:

– Nie wiem, gdzie będziesz ty, milion, milion białych róż!

Słyszę poruszenie w pomieszczeniu obok.

Wchodzę do środka. Aria jest zasnana, naga. Łapię ją za rękę, pociągam, próbując podnieść do pionu.

– Wynoś się stąd – mówię.

Teraz nie rozumie po polsku. Na ziemi znajduję jej ubranie, wciskam jej w ręce.

– Uciekaj. – Wypycham ją z pokoju. Protestuje, wyzywa mnie w swoim języku, uderza w twarz. Trudno. Dario polewa benzyną ściany, parkiet, meble.

– Zapalniczka. – Wyciąga rękę. Kątem oka widzę, jak dziewczyna wybiega na zewnątrz.

Ogień rozlewa się w zwolnionym tempie po wszystkim dookoła. Krwawa skorupa na ciele Daria ciemnieje.

– Będziemy mieć wszystko, Jacunia. To, co wcześniej w twoim życiu, to był żart. Książeczka z dowcipami. Teraz wszystko będzie na serio. – Dario odwraca się od ściany ognia i spokojnie rusza w głąb domu, jakby płomieni w ogóle nie było. Z kuchni bierze kolejną zapalniczkę, podpala benzynę rozlaną w garażu.

Wychodzimy razem w noc. On wciąż nagi, ja w samych spodniach i butach. Gdzieś w oddali widzę niewyraźną sylwetkę dziewczyny. Idziemy przed siebie. Dom za nami wypełnia się ogniem.

Wyciągam pistolet.

Teraz. Teraz jest ten moment.

Gdy to zrobię, będę musiał biec przez las. Długo. W ciemności. Pólnagi. Znaleźć drogę. Wskoczyć do jakiegoś auta. To możliwe.

Teraz.

Gotówka, nie mam żadnej. Podobnie jak karty. Ale w spodniach mam paszport. A w banku konto. Weź głęboki oddech. Masz tylko jeden plan ucieczki, ale to więcej niż zero. Podnoszę rękę. Celuję mu w tył głowy. Teraz.

Moja siostra nic nikomu nie zrobiła.

– Jacuś.

W ciemności zapalają się światła samochodu, nagle mnie oślepiając.

SUV, taki sam jak te w garażu, na czarnogórskich rejestracjach. Umar i Karaś stoją przed maską, ten drugi na widok Daria robi znak krzyża. Obchodzi, szuka czegoś w bagażniku. RzUCA Dariowi dresowe spodnie.

Dario nie wkłada ich, tylko wyciera się nimi z krwi.

– Ty jesteś, kurwa, plugawy – mówi mu Karaś.

Ale Dario zdaje się go nie widzieć.

Podchodzi do mnie, przejeżdża mi dłonią po twarzy.

– Lepiej być plugawy niż pusty, Jacula. Lepiej być zwierzęciem niż więźniem.

Całuje mnie w usta. Gdy przestaje, znowu wymiotuję.

Wsiada do auta, za kierownicę. Patrę przez chwilę na płonący dom. Podchodzę do bagażnika. Przebieram się w pierwsze ubranie, jakie wpadnie mi w ręce.

On przekręca kluczyk. Samochód zaczyna brnąć przez podmokłą ziemię.

– Zakopimy się – mówi Karaś.

– Nigdy i nigdzie się nie zakopimy, Karasiu! – krzyczy Dario.

Naciska pedał gazu. Auto walczy z podmokłą glebą, ale wciąż sunie do przodu, wkrótce mija płonący dom, rozświetlający ciemność jak umierająca gwiazda.

Wypełnia mnie ta sama pustka, którą w oczach miał Zachar. Pustka jak woda zagęszczona mąką. Sztuczna treść. Nienawiść gaśnie. Nie jestem

w stanie nawet unieść powiek.

Może mam jeszcze szansę. A może nigdy jej nie miałem.

– Rano będziemy w Warszawie. Tak chcę i tak będzie. Będzie tylko tak, jak chcę! – krzyczy Dario, a ja wiem, że mówi prawdę, jedyną prawdę na świecie, i każdy, kto chce żyć, musi się z tym pogodzić.

Jest zapatrzony na drogę, więc wykorzystuję to i dyskretnie sięgam do kieszeni. Czeka ją, w foliowej torebce. Jeden. Drugi. Trzeci.

Jakbym chciał się wyłączyć na zawsze.

20 WRZEŚNIA 2020

Świetliki. Chcą ich wszyscy. Wciąż jest ich tyle samo na rynku. Podaż jest ściśle kontrolowana. Ale teraz robią furorę. Ludzie rzucili się na nie, jakby przedłużały życie o pięćdziesiąt lat. Nie tylko narkomani i wykręty. Zwyczajni ludzie, warszawiacy.

Rzeczywistość trzeszczy jak stare łóżko, na którym gruby człowiek położył się, aby umrzeć. Twoje życie jest jak napięta struna.

Twoja mama potwornie kaszle, ale mówi ci, że wszystko w porządku. Twoja firma dostała tarczę kryzysową, ale ona i tak nie wystarcza na pokrycie podstawowych opłat. Zostałeś albo zaraz zostaniesz zwolniony, albo czekasz w domowym czyścicu, przykuty do komputera, pozorując pracę pisaniem mejli do swoich równie przerażonych kolegów i koleżanek. Twoje dziecko zaczęło potajemnie przejeżdżać sobie po skórze nożem do tapet. Albo – jesteś tym dzieckiem. Miałeś właśnie iść do liceum. Doświadczyć tych wszystkich świetnych rzeczy, które sobie wyobrażałeś. Miałeś iść na pierwszy rok studiów. Znaleźć przyjaciół, cieszyć się życiem. Tymczasem siedzisz zamknięty w małym mieszkaniu z mamą, której wszystko leci z rąk, ojcem, który od rana pije, i młodszym rodzeństwem, które najchętniej wypchnąłbyś przez okno albo wrzuciłbyś pod nadjeżdżający samochód.

Dookoła ciebie umierają ludzie. Śmierć jest zawsze w kącie twojego oka. Jest czarną plamą na horyzoncie. Skoro każdy, kogo znasz, zna kogoś, kto umarł na covid, to czy w mediach nie mówią nieprawdy? Sto śmierci dziennie? Niby jak? Niedługo ma się pojawić szczepionka, ale co ona zmieni? Czy rzeczywiście zadziała?

Coraz więcej ludzi twierdzi, że to spisek rządu. Że to wszystko dzieje się po to, aby zamienić świat w rok 1984. Ale jakie to ma właściwie znaczenie? Fakty są faktami niezależnie od swoich przyczyn.

Lecz zobacz. Jest wyjście z tego wszystkiego. Leży obok, świecąc w ciemności. Jedna tabletką i wszystko znika. Przestajesz się bać. Zaczynasz żyć. Świat staje się błogi i gładki. Wszystko przestaje cię boleć. Za dziesięć złotych za tabletkę.

Mogłyby kosztować trzy razy tyle, ale to bez sensu. Nałóg pojawia się szybko. Żłobi ślad w mózgu, zbyt głęboki, by go ominąć. Aby ograniczyć się przez parę miesięcy do jednej dziennie, tak jak ja, potrzeba ogromnej samokontroli. Ci przestraszeni chłopcy odbierający od nas towar mówią, że mają klientów łykających już po dziesięć, dwadzieścia świetlików dziennie.

Nie można zapomnieć smaku pomarańczy.

Ja na razie zatrzymałem się na trzech. Śniadanie, obiad, kolacja. Euforia trwa krótko, raptem kilkanaście minut. Potem jest sześć, siedem godzin normalnego funkcjonowania. Później zaczyna się ból.

Nie ma mocnych na ból i strach. Świat nie składa się z bohaterów i powstańców. Świetliki łykają ludzie z pierwszego i ostatniego szczebla korporacji. Ludzie z gastronomii, właściciele sklepów, właściciele firm. Nauczyciele i artyści. Ich rodzice i ich dzieci.

Dario chce zalać Warszawę świetlikami. Otworzyć wrota. Tłumaczę mu, że to niemądre. Musimy stworzyć ogromne zapotrzebowanie na produkt. Ludzie mają być zdesperowani, szukać go po całym mieście. Legendę buduje się przez niedobór. Już teraz zaczyna się resell świetlików. Ludzie odkupują kapsułki, by odsprzedawać je za pięćdziesiąt, sto złotych. Poza tym, aby mieć pełną kontrolę nad podażą, musimy przejąć ulicę. Aby to zrobić, musimy ją sterroryzować. To proste. Terror to nic innego jak dezorientacja. Zarządzanie uwagą.

To z drugiej strony żmudna praca – ale wciąż jedyna realna część tego planu. Jeżdżenie samochodem po mieście. Użeranie się z ćpunami. Zerkanie raz po raz w lusterka.

Na początku znajdujesz zwykłego siura, który biega w detalu po swoim kwadracie, może czasami wpuszczają go do klubu w centrum, to znaczy wpuszczali przed lockdownem.

Nic nie robisz, nawet nie wchodzisz do środka. Stoisz na wycieracze jak kurier, facet od liczników. Patrzysz na dzieciaka i mówisz mu, gdzie i o której mają być jego zwierzchnicy. Na Wiatraku, przy wylotówce na

Gdańsk, pod McDonaldem przy Arkadii. O drugiej, trzeciej w nocy, o piątej nad ranem.

Mam do wyboru kilkudziesięciu ludzi, część z nich jest w Janówce, część w Warszawie, ale najlepiej jeździ mi się z Umarem. Po Czarnogórze zaczęliśmy rozmawiać. Patrzenie w ciemność zbliża. Umar mówi po polsku niewiele, z mocnym akcentem; zna język bardzo dobrze, po prostu nie jest zbyt rozmowny. To mi odpowiada, sprawia, że go lubię; prawie każdy mówi więcej, niż ma do powiedzenia.

Poza tym potrzebuję kogoś, kto zawaha się chociaż na dwie sekundy, gdy będzie miał do mnie strzelić. Na ten ułamek chwili zobaczy we mnie człowieka.

Zwierzchnicy tych siurów to takie same łebki jak oni. Mieszkają w wynajętych kawalerkach albo jeszcze z rodzicami. Są zwyczajnie głupi. To, co mają, trzymają na chacie. A mają tyle, aby raz w tygodniu zrobić balet, palą skuna, crack, latają po flaszki na stację, wydzwanają jedną eskortkę na trzech. Są ledwo po dwudziestce. Niektórzy mają w mieszkaniach noże, gaz, ale to najzwyklejsze dzieci.

Na spotkaniach z nimi rozliczasz ich, a gdy szmal się zgadza (a zawsze się zgadza), dajesz im towar. Zawsze proszą o jeszcze. Deklarują, że w tydzień pogonią dziesięć razy więcej niż to, co dajesz im na miesiąc. Nie rozumieją, czemu nie chcesz tego zrobić, a ty im tego nie tłumaczysz, tylko na nich patrzysz. Oni odwracają wzrok.

Przypominam sobie początki pracy dla Piotrka, który nie chciał dać mi nawet gazu do obrony. Przypominam sobie, czego najbardziej się wtedy bałem. Teraz robię to wszystko.

Czasami ich bijemy. Udajemy, że nas to bawi. Niekiedy ich koledzy próbują interweniować. Umar się śmieje, ale gdy wsiadamy do auta, od razu milknie. Z reguły są goli, czasami nerwowo próbują ukryć jakiś sprzęt – noże, gaz, pałki teleskopowe, batony – ale my mamy broń półautomatyczną. Zawsze jesteśmy wyżej, zawsze patrzymy z góry. Jak w tym kawale o Rusku w tureckiej dyskotece.

Jeździmy różnymi autami. Czasami są nowe, czasami stare; czasami są to SUV-y, czasami limuzyny. Czasami jeździmy we dwójkę, czasami jest z nami dwóch chłopaków z ostatniego rzutu od Zachara.

Ci ludzie przyjechali do nas na pakach zwykłych tirów oznaczonych logówkami firmy spedycyjnej. Tiry zatrzymały się na awaryjnych na rondzie w środku Otwocka, o świcie. Kierowcy otworzyli naczepy, a ze

środką wyskoczyło kilkudziesięciu mężczyzn, głodnych, brudnych, przeważnie poniżej trzydziestki. W milczeniu przyjmowali wodę, papierosy i batoniki rozdawane im przez Umara z wielkiego worka na śmieci.

Dario wyprawił im imprezę w głębi lasu, kilkadziesiąt kilometrów za Otwockiem. Przywiózł skrzynki wódki, Umar i drugi chłopak ze starszej ekipy, Dmitrij, piekli na prowizorycznym ruszcie kotlety i steki. Wtedy nowi zaczęli gadać, śpiewać, niektórzy zaczęli się bić. Gdy byli pijani i najedzeni, Dario płynnym rosyjskim powiedział im, że Zachar nie żyje. Podkreślił, że zabił go własnoręcznie. Dał im do zrozumienia, że teraz podlegają jemu, bez możliwości sprzeciwu, ale nie pożąają tego. Będą najedzeni i ubrani. Będą spali pod dachem, w pościeli. Będą mieli co wysłać swoim rodzinom.

Zaczęli wznosić toasty na jego cześć. *Dawaj, zdrowie Dariuszki!* Dario nie pił, nie jadł. Stał i patrzył na nich jak na psy przed rozpoczęciem tresury.

I wkrótce razem z Karasiem zaczęli ich tresować. A my z Umarem zaczęliśmy przejmować Warszawę.

Teraz jesteśmy na Wiatraku. Stoimy w środku ronda, otoczeni pierścieniem pustych torów tramwajowych, pod małą chatką ZTM. Grupa łebków siedzi po drugiej stronie ronda, w białej skodzie wypożyczonej z aplikacji. Nasze auto jest za nami, zaparkowane przy ulicy. Poza nami, nimi i chłopakiem w zamkniętym kebabie nie ma tu nikogo.

Mamy bagażnik pełen świetlików. Każdy karton z kapsułkami jest oznaczony lokalizatorem GPS. Śledzimy go potem w aplikacji. Goście, którzy rozprawdzają to w detalu, mają wysłać mi imiona i nazwiska kupujących. Następnie sprawdzam tych ludzi w social mediach. Opłacony chłopak zbiera dane do kupy i robi mi badania grupy docelowej. Stąd wiem, kto ćpa świetliki. Stąd wiem, że wszyscy.

– Gdy przyjechałem do Polski, siedziałem w takim czymś – mówi Umar, pokazując budę palcem – z trzema innymi kolesiami.

Odpowiadam, że to niemożliwe. Przestrzeń w środku to maksymalnie dziesięć metrów kwadratowych. Umar odpowiada, że możliwe. Niech mu będzie. Pokazuję głową tym z tyłu, aby wysiedli z auta. Są młodzi, nagrzani, gotowi. Chcą się bić, strzelać, teraz, zaraz.

Ci w skodzie widzą, że jest nas czterech, i również wysiadają.

– No siemano – mówi chłopak na froncie, ogolony na krótko, w zielonej kominiarce i dresowym komplecie Nike.

Moda na kominiarki przyszła z Londynu, z rapu i drillu. Tam jest to zasadne: na każdym rogu są kamery. *No face, no case*, rapują w tych smutnych, ciężkich jak ołów kawałkach, których Umar słucha w kółko w aucie. W Polsce, jeśli są kamery, to i tak nikt potem nie ogląda nagrań, zresztą nic na nich nie widać. Polska to jeden wielki bal przebierańców.

Umar robi krok w stronę chłopaka. Mierzą się spojrzeniami. I nagle jeden z jego obstawy – wychudły łebek w pstrokatej kurtce, z fryzurą typu *Głupi i głupszy*, rzuca w moją stronę:

– Ty, ja cię znam, ryju, ja gadałem z tobą w klubie. Pomagałem ci ogarnąć kokosa na Smolnej. Wtedy cię nie rozpoznałem, mordo.

Patrzę na niego. Gość ma wyraz twarzy, jakby spotkał swojego ulubionego rapera. Wgapia we mnie wytrzeszczone oczy, pod którymi ma małe i brzydkie dziury. W tej swojej kurcie wygląda jak tropikalny ptak, zagrożony wyginięciem z powodu własnej głupoty.

– Ty, no, ty jesteś Duch, no jasne, że tak. Parę lat temu byłeś najlepszym chłopem w Warszawie. A potem pociąłeś twarz tej pannie. No przecież to ty, przecież cię widzę, mordo. Że ja cię wtedy nie rozkminiłem. Ale jakiś chudszy byłeś wtedy, mordko, nie w formie.

Chłopak mówi o wiele za głośno; jest albo porobiony, albo cofnięty w rozwoju, najpewniej jedno i drugie. Myśli, że życie to całodobowy melanż i że wszyscy są jego kolegami. Mama mówiła mu, że niewiele musi i że ludzie są raczej dobrzy.

Umar odwraca się do mnie i pyta wzrokiem, co ma robić. Kiwam głową temu w kominiarce.

– Ucisz kolegę – mówię.

– Cicho bądź – posłusznie rzuca do wytrzeszczonego.

– No ale, kurwa, nie można normalnie sobie pogadać, no co ty – upiera się wytrzeszczony.

– No zamknijże się, Bastek, błagam cię – powtarza tamten.

– Ale ja nic nie mówię, mordo. Ja po prostu mówię, że go poznałem, co, nie można powiedzieć, że się chłopą poznało, jak się go poznało, mordo?

Umar jest przy nim w sekundę, jednym szybkim uderzeniem łamie mu nos. Przygłup spływa na ziemię, wyłączony jak telewizor.

Jeden z moich chłopaków bierze głowę następnego z łebków i uderza nią o samochód. Nagła cisza, pęknięcie na szybie, plama krwi.

– Pieniądze – mówię temu w kominiarce.

Ten w odpowiedzi zaczyna chlipać. Podchodzę do niego, zrywam mu z szyi бага Lacoste, dobranego pod kolor kominiarki. Dwusetki spięte gumkami, łącznie jakieś dwadzieścia, trzydzieści koła, przeznaczone na zakup. Wyciągam pieniądze, chowam je do kieszeni. Rzucam torebkę na ziemię.

– Jutro w tym samym miejscu. O tej samej porze – mówię. – Masz ze sobą tyle samo. I wtedy dostajesz towar.

Ściągam mu kominiarkę. Świński blondynek, maks dwudziestoletni.

Jeden z moich chłopaków wyciąga pistolet, odbezpiecza i wciska mu w głowę. Tamtemu zaczynają lecieć smarki.

– To jest mandat za twojego upośledzonego kolegę. Więc, technicznie rzecz biorąc, to on ci to teraz leży.

Raczej na pewno nie będzie miał na jutro takiej forsy, chyba że pobiegnie po chwilówkę albo ma coś przykitrane. Może też spróbować kogoś okraść. Problemy młodych bandytów są zawsze zabawne, świetnie się je ogląda. Powinni zrobić o tym docusoap, jak ten o lombardzie. *Prawdziwe przypały. Te ciężkie rozkminy.*

Terroryzm to dezorientacja, ale też powodowanie pęknięć, drobnych uszkodzeń. Parę takich pęknięć w odpowiednich miejscach i struktura trzaska jak stary kręgosłup.

Odwracam się, idę do auta.

Strzał. Kula przelatuje tuż obok mnie.

Serce gubi rytm, żołądek podjeżdża do gardła.

To ten kretyn w pstrokatej kurtce, rajski ptak. Ściska w rękę broń, wciąż leżąc na ziemi. Nawet nie umie utrzymać prosto ręki. Nie wiem, czym jest bardziej przerażony – tym, co zrobił, czy tym, co się zaraz stanie.

Naciska spust jeszcze raz. To był ostatni nabój. Niefart.

To naturalne, że robi to, co każe mu ciało. Próbuje podnieść się z ziemi, uciec.

Umar strzela, trafia go w krtań. Szyja chłopaka eksploduje. Ten, z którego zdarłem kominiarkę, robi pod siebie.

– Spierdalajcie – mówię do reszty.

Nawet nie patrzą na swojego koleżkę. Wpadają z powrotem do auta, palą gumę, przejeżdżają na czerwonym. Podchodzę do budy z kebabem, przeskakuję przez ciało. Pukam w szybkę, chłopak w środku otwiera. Jedną ręką kładę na plastikowej tacce tysiąc złotych, drugą odbezpieczam broń.

– Nic nie widziałeś.

Typ to na oko szesnastolatek, ma gęste czarne włosy, brudną kurtkę i oczy jak rybka z *Gdzie jest Nemo*. Nic nikomu nie powie, nigdy.

– Allah jest wielki – dodaję i zamykam drzwi.

Wracam do auta. Siadam na fotelu pasażera, Umar za kierownicą. Wtedy dzwoni Dario.

– Jeden próbował mnie zabić – mówię mu, zdziwiony, jak zwyczajnie to brzmi.

– Najgorzej to się nudzić, Jacunia. Od nudy mózg pleśnieje.

– W każdym razie już rozumiem, o co chodzi. Musimy zebrać ich teraz w jednym miejscu, wytłumaczyć zasady.

Umar przekręca kluczyk, ruszamy. Na Grochowskiej otwieram okno i wyrzucam pieniądze na jezdnię. Odlatują w ciemność, bezwartościowe jak konfetti.

– Masz poważniejszą sprawę do załatwienia. Pojutrze – informuje Dario.

Biorę papierosa od Umara, zapalam. Zamykam oczy, wypuszczam dym nosem. Wylatuje za okno, aby dołączyć do wyrzuconych pieniędzy.

– Tylko ubierz się ładnie. Chociaż ty zawsze ubierasz się ładnie, Jacula.

– Ostatnio wcale – odpowiadam, strzepując popiół z dresu kupionego na argentyńskim lotnisku. Na tkaninie zostaje mokry ślad potu.

22 WRZEŚNIA 2020

Torwar. Gala niby odbywa się bez publiczności, ze względu na reżim sanitarny, ale tak naprawdę jest tutaj masa ludzi: techniczni, obsługa, dziennikarze, a także, poza zasięgiem kamer, rząd VIP. Widzę w nim ze dwóch polityków, którzy sami uchwalali pandemiczne obostrzenia i w przeprowadzanych za pośrednictwem Zooma wywiadach opowiadali o społecznej solidarności. Zauważam też lekko zmurszałą i napompowaną piosenkarkę, która wierzy w światowy rząd jaszczurów, plus kilku youtuberów – analfabetów, którzy parę lat temu streamowali granie w gierki i wyzywali przez telefon matki obcych ludzi. Ich koledzy występują na gali jako zawodnicy. Gdybym dalej robił w detalu, byłiby moimi nowymi klientami. Dobrymi i regularnymi, bo na pewno bawią się jak wściekli. Ćpają i ruchają nie po to, aby polatać. Sam fakt, że mogą wszystko, nie umiejąc zupełnie nic, wyprawia ich na orbitę. Ich życie z dnia

na dzień zaczęło przypominać hipermarket, w którym ładują do wózka, co tylko chcą, i płacą własną twarzą. Zarobienie w okolicach matury dwudziestu baniek na czymś, co robiło się w sumie dla jaj – to odcina głowę z precyzją samurajskiej katany. Plus niektórzy z nich mają elementarne uszkodzenia osobowości – dla donejtów pochlastaliby małego kota na streamie, gdyby mieli pewność, że YouTube nie zamknie im za to konta.

Halę wypełnia dudniąca muzyka, rapowy kawałek pełen słów typu „drip”, „trap”, „flame”. Innych nie da się zrozumieć, żadne nic nie znaczy, chyba że dla nastoletnich dzieci. Trudno powiedzieć, czy jest to grane na żywo, chociaż w oktagonie wije się pajac w workowatych kolorowych spodniach, z zielonymi włosami na sztorc i w okularach przeciwsłonecznych, które pewnie wypuściła Balenciaga w limitowanej edycji za pięć tysięcy euro, a które wyglądają jak okulary dla tiorowca za trzydzieści złotych.

Pajac kończy pajacować. Na ekranie eksploduje świetliste logo Power MMA. Do oktagonu wchodzi trzy dziewczyny w krótkich spodenkach i stanikach oraz konferansjer w przyciasnym błyszczącym garniturze. Pod nim widać koszulkę z przekreśloną liczbą 60.

Poznają go, gdy otwiera gębę.

– Siemano, mordki, tu Pe do er do o do ce a.k.a. Procent, dobry wieczór, dobry wieczór, drodzy państwo, się dzieje, się dzieje! Mamy wyjątkowe czasy, dziwne czasy, ale się nie poddajemy. Dla wszystkich, którzy oglądają nas w domach: nie dajemy się choróbsku, a przede wszystkim nie dajemy się tym, którzy nam tu próbują kajdanki zakładać, wiosłujemy, wiosłujemy! Nie ma wolności bez wolności, kochani. Podstawowe wartości, którym kibicuje federacja Power MMA, to przyjaźń, odpowiedzialność i wolność. Wol-ność, moi drodzy!

Odpowiadają mu rachityczne oklaski, on nisko się kłania.

– Pamiętajcie, niedługo będą chcieli nas kłuć, ale jedyna igła, jaką przyjmujemy, to ta od teścia, kochani. – Śmieje się i podnosi rękę, napinając mięsień.

Zamyśliłem się, stojąc w przejściu; łysy facet w okularach i czarnym golfie pokazuje mi gestem, abym usiadł. Szukam wzrokiem jednego z ludzi, z którym mam się spotkać. Widziałem go tylko na zdjęciu, trudno rozpoznać kogoś w tym półmroku, ale w końcu go dostrzegam. Po lewej i po prawej stronie ma wolne miejsca. Podchodzę, siadam po lewej.

– Dobry wieczór – mówię.

Ma jakieś pięćdziesiąt lat, rozpiętą koszulę, na szyi i nadgarstku pełno koralików, nitek, bibelotów. Długie włosy spiął w kucyk. Musi poświęcać bardzo dużo czasu nawet nie tyle wyglądowi, ile całemu projektowi swojej osoby. Wie, że mógłby się lepiej ubierać, ale chce sprawiać dokładnie takie wrażenie, jakie sprawia. Nie chce być brany do końca poważnie. Uzyskuje w ten sposób pewną przewagę.

Blondynka w sportowym staniku przynosi mi na tacy kieliszek szampana.

– Tomek Anders. – Wyciągam rękę.

– Krystian Sawicki. To mój asystent, Marcel. – Pokazuje na milczącego chłopaka w okularach siedzącego rząd za nim. – Rozumiem, że potrzebuje pan mojej pomocy.

– I to aż w dwóch sprawach – odpowiadam. Z kieszeni wyciągam świetlika, niepostrzeżenie wkładam go sobie do ust, lekko rozgryzam i zapijam kwaśnym szampanem. Nawet pasuje. To ten drugi. Obiadowy.

Do oktagonu wbiegają dwie dziewczyny z włosami splecionymi w warkoczyki. Na sygnał sędziego zaczynają z zapamiętaniem okładać się pięściami. Niższa jest lepsza, szybsza, potrafi wyprowadzić kopniaki na głowę, ale i tak obie są niezgrabne, leją się jak dzieci na przerwie.

– Niesamowite. Za dziesięć lat nikt nie będzie oglądał prawdziwych sportowców. No, chyba że w piłce nożnej – mówi Sawicki. – Postawili wszystko na głowie.

Nie komentuję. Nie interesuje mnie ani sport, ani filozofowanie na jego temat.

– Myślę, że ja, mój szef i pan możemy się dogadać.

– Czuję od pana niecierpliwą energię. To niedobrze. Musi się pan otworzyć na doświadczenie. Człowiek zaciśnięty, tak jak pan, nie otwiera się na nowe. Dlatego czuje się pan, jakby w kółko robił to samo.

– Nie czuję się tak, proszę mi wierzyć.

Oczywiście, że nie. Codziennie nienawidzę trochę inaczej. Coraz mocniej, pewniej, spokojniej.

Gdy jestem sam, ćwiczę jazdę samochodem. Na żywo, ale też w myślach. Jaką najwyższą prędkość mogę bezwypadkowo rozwinąć w zabudowanym. Jak długo mogę jechać obwodnicą pod prąd. Na które lotnisko najlepiej będzie uciec. Na którym najmniej będą się mnie spodziewać.

Walka się kończy, jedna z dziewczyn unieruchamia drugą w parterze. Ta druga przez chwilę się nie rusza, jednak po dziesięciu długich sekundach odklepuje. Sędzia podbiega, rozdziela je, podnosi rękę zwycięzcy. Ta wypluwa ochraniacz, opiera się o sędziego, jakby miała zaraz zemdleć. Wybucho muzyka, Procent wraca na scenę, jeszcze bardziej energiczny. Pomógł sobie w przerwie białą kawą.

– Kochani, a teraz pierwszy highlight dzisiejszego wieczoru. Można powiedzieć starcie tytanów. Kraken, wiem, że masz do wyrównania różne porachunki z tym jegomościem. Oj, to będzie gorąca walka. Kraken i Łukasz Czego Szukasz! Łukaszku, coś trenowałeś czy tylko jak zwykle panie, wino i pianino?

Sawicki znowu mówi do mnie tym głosem, którym mogłaby mówić podgrzewana podłoga w łazience w burdelu:

- Bądźmy na ty, okej? Jestem Krystian.
- Jestem Tomek.
- Cześć, Tomek.

Drobna, szczupła kobieta z lekko szalonym uśmiechem przeciska się w stronę Sawickiego. Wygląda na czterdzieści kilka lat. Na twarzy ma tatuaż z henny; włosy spięte w skomplikowany warkocz. Na dłoniach pełno bransolet. Siada po prawej stronie. Wyciąga telefon i zaczyna pisać do kogoś wiadomość. Paznokcie stukają o ekran jak odnóża insekta.

– To Mitali – przedstawia towarzyszkę Sawicki. Ta pomimo imienia i stylizacji nie ma w sobie zupełnie nic z Hinduski. – Mitali znaczy „przyjazna”.

Przyjazna nawet nie odwraca się w moim kierunku.

Pierwszy zawodnik to pospolity bandzior udający przystojniaka, tępak spuchnięty od koksu i teścia. Wciąż jest silny, chociaż ciało zaczyna odmawiać mu posłuszeństwa. Balet go rozchybotał, poluzował śrubki. Jeszcze trochę wygłupów i zaliczy ostrą kontuzję albo zawał. Procent przedstawia go jako Łukasza Czego Szukasz, gwiazdę polskiego YouTube’a. Z tego, co zdążyłem zauważyć, polski YouTube to gigantyczny labirynt zbudowany z przepełnionych toi-toiów.

Drugi ma krótsze ręce, jest niższy i na pewno słabszy, ale za to młodszy i zdrowszy, co daje mu pewne szanse.

Łukaszowi kibicuje paru podobnych do niego chamów, poubieranych w obcisłe koszulki z logo federacji.

Nagle znajoma morda. Ukłucie długiej igły.

Kadry z poprzedniego życia, ostre, wyraźne. Tylne siedzenie. Wybuch bomby. Kołdra zbitego szkła. Wystawki. Długi. Upokorzenie. Lęk.

Śniady niewiele się zmienił, może tak jak Procent lekko przytył, może się bardziej opalił. Przewiercam go spojrzeniem. Nie wiem, czy mnie zauważył – z miejsca, w którym stoi, słabo widać publiczność, ale coś poczuł, coś go ukłuło. Nieokreślony niepokój gasi mu uśmiech, każe rozglądać się dookoła.

Zobaczyłem cię pierwszy, szmato. Tak właśnie jest się niewidzialnym – zauważając wszystko pierwszemu.

Zawodnicy wchodzą do oktagonu. Stają naprzeciwko siebie.

– Sprawa jest prosta. Potrzebujemy kilku lokali, dużych, na kliniki medyczne. Możemy je wynająć, ale wolimy je kupić – mówię.

– Jakie kliniki medyczne? – pyta Anioł.

– Normalne kliniki. Przepisujące leki.

– Nie o to mi chodzi. To kwestia pomieszczeń. Czy potrzebne jest dużo sprzętu diagnostycznego, czy w klinice będą przeprowadzane operacje...

– Nie, to proste gabinety przyjęć – przerywam mu.

– Aaaa, marihuana? Jeśli tak, to wystarczą wam zwykłe mieszkania. Wsadzacie po lekarzu do pokoju, przychodzi ćpun, lekarz wypisuje receptę, wystarczy.

– Nie, to coś innego. – Kręcę głową.

– Ale chodzi o proste, małe gabinety, nie muszę zmieścić tam stołów operacyjnych, tomografów? – próbuje doprecyzować.

Łukasz bardzo szybko się męczy. Przeciwnik zapędza go do narożnika, okłada pięściami i sprowadza do parteru, kończy serię w dosiadzie. Łukasz się broni, tłucze Krakena po żebrach i brzuchu, ale nie jest w stanie go z siebie zrzucić. Pojedyncze okrzyki z publiczności:

– Dawaj, Łukasz, jedziesz z kurwą!

– Jebać sześćdziesiątkę!

Nie mam pojęcia, czy ten chłopak jest sześćdziesiątką. W sumie każdy bandyta, który trafia na policję, prędzej czy później nią zostanie. Dzisiaj nikt nie chce siedzieć. Kryminał to śmierć za życia. Git-ludzie mieli sens za komuny, kiedy w więzieniu było praktycznie tak samo jak na zewnątrz.

Mitali nagle się wybudza, patrzy na ring. Przenosi na Anioła nieprzytomne spojrzenie.

– Przemoc zawsze odstręcza, ale jest w niej też coś pięknego. Zobacz, oni wchodzą w kontakt z absolutem. Tańczą, synchronizują swoje aury.

Sawicki w odpowiedzi całuje ją w czoło.

– Potrzebujemy dużo gabinetów. Po dziesięć na klinikę – mówię.

– Dużo gabinetów oznacza dużo pacjentów.

– Myślę, że mnóstwo. – Patrzę mu w oczy.

– Po co panu w ogóle tyle gabinetów, skoro teraz wszystko jest w sieci?

– Cała ta pandemia zaraz się skończy.

– Oj, nie byłbym taki pewien.

– Skończy się, bo ludzie za szybko się oswajają. A przecież muszą się bać. Oni będą musieli wymyślić coś nowego. Na przykład wojnę.

Teraz patrzy na mnie inaczej. Ze zdziwieniem, podziwem, ale też nagłą nadzieją, że jesteśmy po tej samej stronie. Uśmiecham się do tej nadziei. Oczywiście, że jesteśmy.

Druga runda. Łukasz Czego Szukasz wstaje, otrząsa się. Teraz jest wściekły, złapał szwung. Wjeżdża w tego Krakena, zaczyna wypłacać mu zamaszyste, chaotyczne ciosy. Leje go, jakby starli się na ulicy, pod klubem. Tamten nie jest na to gotowy, próbuje robić uniki, chwieje się na lewo i prawo.

– Zobacz. Jego kundalini lśni. Nosi w sobie szafir – wzdycha kobieta. Sprawia wrażenie, jakby chwilę temu zaaplikowano jej sedację.

– A co takiego będziecie przepisywać? – pyta Sawicki.

Pokazuję mu kapsułkę. On mruży oczy. Bierze ją do ręki.

– Opiaty? Benzodiazepiny? – pyta.

– Będziemy leczyć ten straszny lęk. – Przysuwam sobie kapsułkę do oka. Widziany przez nią świat staje się niewyraźny, zielony.

Trzecią, kolacyjną, połknę dopiero, gdy stąd wyjdę.

– Lęk i ból – dodaję. – Ale to w sumie to samo.

Czy mógłbym je odstawić? Mógłbym. Ale nie mam czasu na dwa tygodnie potu, bólu, drgawek, halucynacji. Nie mogę pozwolić sobie na dwa tygodnie bezbronności.

Odstawię, gdy go zabiję. Odstawię na końcu świata.

– I ktoś wam na to pozwoli?

– To będzie legalne jak ibuprom – odpowiadam, chowając kapsułkę do kieszeni.

Patrzy na mnie jak na wariata. Sam patrzę tak na siebie codziennie rano, myjąc zęby. Ale też powoli, na krótkie i dziwne momenty w ciągu dnia, zaczynam wierzyć w tę baśń. Fantastyka rodzi fantastykę, sny potrafią

plenić się jak pleśń, aż w końcu przychodzi sen, w którym jest coś prawdziwego. Coś, co pozwala złapać jakiekolwiek oparcie.

Dario uważa, że fantastyka nie istnieje. Dla niego chęć jest równoznaczna z możliwością. Pod jego dłońmi wszystko staje się plasteliną. Prawo, przepisy, zależności, uczucia. Ciało – mięśnie, kości.

Ma pełno pieniędzy, do których nie mam jeszcze dostępu. Zarobił je lub ukradł przez ten czas, kiedy byłem w Argentynie. Nie mam pojęcia jak. Były mu potrzebne, więc wziął je sobie z powietrza. Narysował je zaczarowanym ołówkiem.

Aby zaufał mi w stu procentach, muszę myśleć tak samo jak on.

– Spotkam się z ministrem Kunickim i coś mu zaoferuję.

Sawicki parska śmiechem.

– Okej, zawsze szanuję brawurę. To nie lata dziewięćdziesiąte, po pierwsze. Po drugie, on w nic takiego nie wejdzie. Kunicki to ideowiec, Klub Inteligencji Katolickiej, on jako student do Afryki jeździł na wolontariaty. A jeszcze teraz ta afera z maseczkami... prześwietlają ich od stóp do głów. Po trzecie, najważniejsze: nic od niego nie zależy. To pion.

– Jest ministrem zdrowia.

– Minister zdrowia nie ma wpływu na dopuszczanie leków do obrotu, z tego co...

– Nie ma wpływu. Ma wpływ szef URPL. Mianuje go premier.

– To może idź i złóż propozycję premierowi?

– Mnie nie posłucha. Ale posłucha ministra zdrowia.

Wszystko jest plasteliną, jeśli znaleźć odpowiedni punkt nacisku. Nic nie jest fantastyką, jeśli znaleźć okrusz prawdy.

– Przecież wiesz, jak to działa.

Kręci głową. Jest pod wrażeniem, mimo to uważa, że jestem szalony.

– Myślę, że chcesz wejść z buta w sektor gospodarki, który jest obwarowany prawie tak jak wojskowość.

– Połowa światowej wojskowości kupuje rakiety w Korei Północnej. Jadą tam i wybierają je sobie z zalaminowanego menu, takiego jak w chińskiej knajpie.

– Polska to nie Korea Północna.

– Polska to wciąż dobre tylne wejście do wielu różnych sektorów.

– Ale Polska to nie Ukraina w dziewięćdziesiątym piątym. Nawet teraz, przy całym tym pierdolniku.

Uśmiecham się do niego. Nie zmuszam się do tego. Naprawdę dobrze mi się z nim rozmawia.

On w odpowiedzi również się uśmiecha, a ja dostaję nagłej ochoty, aby wybić mu te białe, lśniące zęby.

– Posłuchaj. Popatrz na to jeszcze inaczej, prozaicznie. Z Wiejską po prostu nie da się gadać. To jest burdel pełen małp. Ja działam skromnie. Rozmawiam z Warszawą. Tu rządzą normalni ludzie. Namysłowski jest normalny. Jego wice jest normalna. Tu się rozmawia, robi, normalnie zarabia.

– No i widzisz. Docieramy do meritum. My nie chcemy nikogo okradać. Chcemy się dzielić. – Nachylam się do niego, szepczę mu do ucha, jakbym chciał wyznać mu sekret: – Ci oni to tacy sami ludzie jak my. Tylko czczą szatana, który nie istnieje.

Zaczyna się śmiać.

Łukasz miażdży Krakena, jakby ten nagle zamienił się w jego śmiertelnego wroga. Chłopak osuwa się na ziemię. Łukasz chce go dosiąść, ale sędzia go odpycha.

– Widzę ich ogień. Zobacz. – Przyjazna wyciąga obciążony ogromnym pierścieniem palec w stronę czegoś dostrzegalnego tylko dla siebie.

– No dobra. Przyjmijmy, że wiesz, co robisz. Mam na przykład takie miejsce na Pradze, obiecane od miasta – mówi Sawicki – ale to też nie jest bezproblemowe.

– Nic nie jest bezproblemowe.

Kraken leży nieruchomo. Łukasz chodzi w kółko po oktagonie, parska jak wielkie zwierzę. Uruchomił w sobie coś, czego nie potrafi zatrzymać.

– Jest tam jakaś pomocowa historia... ale tak naprawdę miasto jej nie chce. Kryje to jeden radny. Taki ideowiec.

– Powiedz Przyjaznej, aby objęła to dobrymi myślami – radzę.

– Czy my znamy się na tyle dobrze, abyś sobie ze mnie żartował? – pyta Anioł.

– Gdybyśmy się dobrze znali, ty na pewno byś nie żartował ze mnie – odpowiadam.

Walka oficjalnie się kończy. Widzowie wstają, klaszczą. Dźwięk wybuchu, ekran eksploduje światłem, pojawia się na nim ogromne logo Power MMA. Z głośników zaczyna dudnić stara dance'owa piosenka.

– Chciałbym poznać gospodarza – mówię Sawickiemu.

– Teraz?

- Tak. Asłana Tugajewa.
- Anioł się spina, ledwie zauważalnie.
- Na pewno go znasz – dodają.
- Sprzedałem mu mieszkanie.
- No właśnie.

Anioł sonduje mnie wzrokiem – może ocenia, czy rzeczywiście jestem tym, za kogo mnie ma. Zadawanie się z ezo-wariatkami wyrobiło w nim przekonanie, że ma szósty zmysł, intuicję. Poślizgnie się na tym. Wybije sobie wszystkie białe zęby.

Pokazuje mi, abym szedł za nim. Ja, on, Przyjazna i Marcel opuszczamy trybuny, mijamy zaplecze techniczne – kamery, okablowanie; wychodzimy z sali gdzieś po lewej stronie, na jeden z korytarzy.

Anioł wyprzedza mnie, skręca za załom. Na podwójnych drzwiach widzę przyklejone logo Power MMA i kartkę z napisem GARDEROBA. Białe wnętrza, zero wystroju, napoje i odżywki rozstawione na stolikach z Ikei, krzesła. Długi rząd luster do charakteryzacji, znudzone dziewczyny siedzące przed bateriami kosmetyków. Pod ścianą facet w kombinezonie medyka wpatruje się w telefon. Obok dwóch młodych łebków z kamerą, szerokie bluzy, pofarbowane włosy, dziury na twarzach i szyjach.

- Przepraszam, Asłan... – odzywa się Anioł.

Nikt mu nie odpowiada, ale za jego plecami otwierają się drzwi. Odwraca się. Do środka wchodzi wielki, chmurny mężczyzna z fryzurą, którą moja babcia nazwałaby lwią grzywą. Patek na nadgarstku szerokim jak moja łydka. Koszula, która mogłaby mieć numer więcej w kołnierzyku, trzeszczy na potężnych łapach. Za nim dwóch podchujaszczych, brodatych i wysokich. Wyglądają jak moi ludzie. Pewnie są z tego samego kraju. Może nawet się znają.

Asłan i Anioł witają się mocnym uściskiem dłoni. Wiem o nim tyle, ile trzeba. Przeżył obie wojny w Czeczenii. Podczas pierwszej zabito jego ojca i młodsze rodzeństwo, podczas drugiej zginął jego brat, który walczył w batalionach Basajewa. Ruscy obdarli go żywcem ze skóry, powiesili do góry nogami na drzewie.

Przyjechał do Polski w 2003 roku. Kradł samochody, przewoził trawę z Holandii. Z upływem lat szedł wyżej, otaczał się coraz ważniejszymi ludźmi. Nawiązał kontakt z czeczeńską bratwą, która trzymała część portu w Hamburgu. Zaczęli przywozić do Polski heroinę, w drugą stronę przetrzucali do burdeli Ukrainki i Białorusinki. To trwało lata. Asłan wciąż

się wspinał i zjadał innych, teraz dotyka szklanego sufitu. Pilnuje się. Nie pije, nie ćpa, pewnie nie śpi. Rozgląda się dookoła, walczy.

Przyjazna próbuje go pocałować w policzek. Asłan się odsuwa. Nie wita się w ten sposób z obcymi kobietami.

Anioł pokazuje na mnie ręką.

– To pan Anders. Chciał cię poznać.

Patrzy na mnie, w oczach ma ostre nożyki, próbuje mnie nimi rozkroić, by zobaczyć, co jest w środku.

– To wy. – Dotyka mnie palcem w splot słoneczny.

– Jestem tu sam.

– To wy robicie taki szum w mieście.

Nie do końca jestem pewien, czy to wie, czy tylko mnie testuje. Ale udawanie nie ma żadnego sensu.

Tacy ludzie jak on po prostu widzą, kim są inni.

– Ktoś musi – odpowiadam. Staram się uśmiechnąć, najszczerzej, jak potrafię. Ludzie w pomieszczeniu udają, że nie zwracają na nas uwagi, dyskretnie zerkają znad telefonów.

– Może pogadajcie sobie sami, panowie? W bardziej cywilizowany sposób? – pyta Anioł, nagle zmieniając się w arbitra.

To głupie. Widać, że Asłan nie uznaje żadnych arbitrów i nie ma czasu na rozmowy na osobności. Poza tym świadkowie są mu potrzebni, bo każda chwila jest dobra, aby pokazać, kto tu rządzi.

– Napadacie na chłopaków. Straszycie ich, naliczacie. Z drugiej strony im sprzedajecie jakieś gówno, kapsułki jakieś. Co to jest, co to ma być?! – pokrzykuje.

Anioł zerka w stronę drzwi.

– Nawet nie wiesz, czy oni są „twoi” – mówię.

Przyjazna zaczyna się niepokoić. Nachyla się do Sawickiego, szepcze mu coś na ucho. Asłan zaciska pięści na znak, że zaraz będzie jeszcze ostrzej.

– Chcemy współpracować – ciągnę. – Mamy bardzo dobry produkt. Możemy się nim podzielić. Potrzebujemy inwestora w całkowicie legalny interes. Ten interes wygeneruje największe pieniądze w historii tego kraju.

– Taki jesteś wilk, tak dobry masz produkt, to po co kaleczysz chłopaków na ulicy? – pyta Tugajew.

– Żeby wiedzieli, że tu jesteśmy. Żebyś ty to wiedział – odpowiadam mu zgodnie z prawdą.

Zaczyna oddychać głęboko i szybko, jakby demonstrował wściekłość na pokaz. Dwóch kamerzystów próbuje się wyslizgnąć z pomieszczenia, ale przeszkadzają im nagle otwierające się z trzaskiem drzwi. Do środka wpada Łukasz Czego Szukasz w obstawie medyka i trenera. Jest cały we krwi, zamiast uszu ma spłaszczone, krwawe pierogi. Podekscytowany, jakby spalił sagan cracku. Nie jest zwyczajnym zawodnikiem, należy do ekipy. Lubią jego żarty, sami zrobili z niego gwiazdę, kupili mu pierwsze wyświetlenia na YouTube. Teraz przyszedł się pochwalić.

Przyjazna wykorzystuje okazję, wybiega z garderoby. Ma rację. Tu nie ma magicznych szafirów ani dobrej energii.

– Posprzątałem go, Asłanik, zgasilem jak peta, po to są te igrzyska, kochany, po to one są, żeby gasić potwierdzaczy.

Śniady wchodzi jako ostatni, zamyka drzwi. Teraz mam okazję popatrzeć mu w oczy. Poznaje mnie od razu. Momentalnie tężeje, jakby zobaczył trupa.

Asłan cały czas się zastanawia, co ma zrobić. Ogląda swoje dłonie pod światło. Na zmianę otwiera i zaciska pięści. Na zbyt ciasnym kołnierzyku pojawia się cienka kreska potu.

– Zabieraj go raz. I idź mi stąd – mówi w końcu do Anioła.

– Spokojnie, Asłan. Ja nic nie wiedziałem. Rozmawialiśmy o lokalach do wynajęcia. – Anioł przepraszająco błyszczy licówkami.

– Paszoł won – warczy na niego Asłan.

Anioł się słucha, ucieka na korytarz. Asłan zamyka drzwi. Staje przed nimi, zamyka oczy. Musi coś zrobić. Tylko wciąż nie wie co.

Śniady nie spuszcza ze mnie spojrzenia. Chce coś powiedzieć, ale się boi – może Asłana, może mnie. Uśmiecham się do niego.

– Tak, to ja. Musimy iść na kawkę. Pogadać.

Zdziwienie zamienia się w agresję. Jego ciało chce zrobić krok w moją stronę, od razu się mnie pozbyć.

Łukasz Czego Szukasz nie zwraca na to uwagi, podchodzi do medyka. Pokazuje krew na czole.

– Powinieneś zobaczyć tego drugiego – cieszy się.

– Ten drugi to nie wiadomo, czy dycha, Łukasz – rzuca ktoś z jego obstawy.

Asłan otwiera oczy. Jest trochę zdziwiony, że wciąż mnie widzi. Każdy inny człowiek na moim miejscu już dawno by stąd wyszedł.

– Widzieliśmy się niedawno z Zacharem. Pozdrawia cię.

Na pewno słyszał, co się stało, ale nie sprawia wrażenia przestraszonego. Tylko wścieka się jeszcze bardziej. Myśli, że jest najsilniejszy i niezniszczalny. To dobrze, tym łatwiej będzie go wyciąć z planszy.

– Skurwysynu Polaku, ja, gdy miałem szesnaście lat, czołgałem się po ziemi, szukałem min sprężynowych. Ty myślisz, że ty mi będziesz rozwał, co moje?! – wrzeszczy jak kretyn.

– Chłopaki, nie kłóćcie się, noż kurwa, taki dzień jest przyjemny. – Łukasz Czego Szukasz stoi pod ścianą, trzymając przy głowie paczkę żelu chłodzącego.

Nikt go nie słucha.

Gdy Tugajew wali mnie pięścią w brzuch, czuję, jak mój żołądek odrywa się od powięzi, uderza w kręgosłup, odbija się od niego i wraca na miejsce. Stary lew jest silniejszy od wszystkich, którzy biją się na tych jego galach.

– To są zawody sportowe, szmaciarzu. W pełni legalna impreza. Nie chcę tu narkotyków, nie chcę twojego brudu i smrodu.

– Brud, smród i narkotyki to całe twoje życie, nieważne, ile par butów Balenciagi sobie kupisz.

Chce uderzyć mnie ponownie, ale się uchylam. Trafia w powietrze, traci energię, wali jeszcze raz. Znowu przyjmuję cios. Staram się zacisnąć wszystkie mięśnie brzucha.

Do środka wpada jeszcze jeden facet, łysy i szczupły, w okularach, czarnym golfie i džinsach. Jest przezroczysty, ale gdyby mu się przyjrzeć, zdradziłyby go detale. Zegarek to pewnie Audemars, oprawki – Matsuda. Problem-solver Tugajewa. Jedyne doradca, jakiego akceptuje. Na pewno Polak.

– Co tu się dzieje? Kim pan jest? – Dopada do mnie, staje pomiędzy mną a Asłanem.

– Właśnie kończymy. Składam panu Tugajewowi propozycję współpracy. – Wymijam łysego, który próbuje mnie powstrzymać, zbliżam się do Tugajewa.

– Jak jeszcze raz cię zobaczę, zakopię cię. Zakopię was wszystkich razem, w jednej jamie – mówi.

– Do zobaczenia, Asłan. Mogłeś zarobić mnóstwo pieniędzy.

Wszystko jest plasteliną. Ale niektóre rzeczy – ludzie, obiekty – są zbyt trudne, zbyt czasochłonne do przekształcenia. Łatwiej jest je po prostu

obejść albo wyrzucić.

Aślan mówi coś jeszcze, co nie ma znaczenia.

Teraz już może się wydarzyć tylko jedno, i tak jest dobrze, tak jest najprościej.

Wymijam ich, Śniadego na końcu. Kładę mu dłoń na ramieniu. Jeszcze raz się do niego uśmiecham jak do najlepszego kolegi. Wychodzę, zanim zdąży cokolwiek powiedzieć.

Anioł czeka na korytarzu razem ze swoją kochanką. Oprzytomniała, strach wyostrzył jej spojrzenie, zdjął z niej maskę idiotki. Sawicki jest po prostu zdziwiony; był pewien, że mnie stamtąd wyniosą.

Zza drzwi słychać, jak Tugajew wrzeszczy, teraz już po rosyjsku. Zepsułem mu wieczór i galę. Trudno. Za chwilę zepsuję mu wszystko inne.

– Weźmiemy ten lokal na Pradze. I znajdziesz nam jeszcze pięć takich – mówię Aniołowi, poprawiając płaszcz. Wkładam mu w dłoń torbę z kapsułkami.

– Ja... ja chyba nie chcę z wami współpracować.

Śmieję mu się w twarz.

– Ale już współpracujesz, Krystian. Nie odwrócimy tego. Przykro mi.

Potrzebuje chwili, by zrozumieć. To normalne.

– Ten radny, o którym mówiłeś. Znajdziesz na niego haki, zastraszysz go. My damy ci pieniądze. Na wszystko mamy pieniądze. Nawet na Kunickiego. Nawet na Aślana. O nic się nie bój.

Pokazuję mu ekran telefonu, zrobione za dnia zdjęcie. Są na nim oboje, Anioł i Przyjazna, plus starsza kobieta, jego albo jej mama. Wychodzą z jego apartamentu, wsiadają do czarnego BMW 6. Ona ma okulary przeciwsłoneczne, on otwiera drzwi samochodu. Nic nadzwyczajnego. Dzień jak co dzień. Złapani w połowie przemazanego gestu.

Po jakichś dziesięciu sekundach, pewny, że się napatrzył, chowam telefon do kieszeni.

– Ja nie chcę z wami współpracować – powtarza, teraz już głosem bezradnego dziecka, a ja idę do wyjścia, nawet na niego nie patrząc.

3 PAŹDZIERNIKA 2020

Spotkałem się z nim koło północy na Orlenie, przy wylotówce na Gdańsk. Sprzedawczyni robiła remanent, ale on siedział w środku, żarł dwa

hot dogi naraz, siorbał kawę. Czytał gazetę, ale nie mógł skupić się na tekście.

– Podobno jakiegoś ruskiego grubasa w Czarnogórze zagryzł wilk przy jego własnym basenie. Akurat gdy byłeś sobie na wakacjach.

Nie odpowiedziałem. Wziąłem kawę. Usiadłem naprzeciwko niego.

– Miałeś, kurwa, nie wyjeżdżać z kraju.

– Nic takiego nie mówiłeś.

– A gdy wróciłeś, podobno jakiś srył dostał czapę na Wiatraku. Znaleźli przy nim trochę tych twoich kapsułek.

– A skąd to wszystko wiesz?

– Z łączenia faktów. Coś jeszcze mi się przypomniało. Rodzina Fajkowskiego, matka, była żona, wciąż nie chcą uznać go za martwego. Jest niewyobrażalne ciśnienie, aby go znaleźć. A on się przecież na ciebie rozjebał, gdy go zawinęli po tym wypadku.

– Ale ja nie mam do niego żalu. Przecież to cywil, co miał zrobić?

Czekał, co powiem dalej. Bezgłośnie, prawie niezauważalnie ruszał ustami. Może klepał *Zdrowaśki* o opanowanie.

– Obywatel Rosji zabity na terenie Czarnogóry to tutaj żadna sprawa. Tym bardziej że nie było nas tam. Możesz sobie pooglądać kamery z autostrad i nas poszukać przez szyby. Możesz zadzwonić do Czarnogórców, ale nie udowodnisz mi, że dane nazwisko stoi w moim paszporcie. Fajkowski: musiałbyś chyba znaleźć ciało, żeby wykazać, że on faktycznie nie żyje. A zabity chłopak, no przykra sprawa, kondolencje dla rodziny. Ale nikt nic nie wie, prawda? Nikt nie chce gadać, no bardzo dziwne, powiem ci. A zawsze byli tacy gadatliwi, debile jebane. No cóż. Ważne, że łączysz fakty. Dobry z ciebie pies.

Walnął dłonią o blat stołu. Kobieta za ladą odwróciła się w jego stronę, po czym cicho przeklęła – rozproszyła się, musiała teraz liczyć gotówkę od początku.

– Tracę cierpliwość.

Naprawdę jest dobrym gliną, pomyślałem. Ale nie zdoła mi pomóc. Nie powstrzyma człowieka, który stał nagi w świetle księżyca, cały we krwi. Spojrzałem na niego jeszcze raz. Było mi go szkoda. Żył i chodził po świecie w niewidzialnej klatce. Mógł mi tylko przeszkadzać, a ja mogłem go tylko zniechęcić.

– Byliście w Czarnogórze po ludzi, co? Więcej rąk do pracy?

– Jesteś głupi jak polityk. Mówię ci cały czas jedno i to samo. A ty chcesz, żeby to jedno i to samo zmieniło się cudownie w coś, co ci odpowiada. To już stu mężczyzn. Każdy z nich umie strzelać.

Tyle wiedzy mu wystarczy.

Ten nowy nabór został zmieszany ze starym, a wszystkich podzielono na trzy grupy.

Pierwsza, najmniejsza, odpowiada za transporty oksykodonu i domieszek. Kieruje nią Karaś, który przejął kontakty z dostawcami Daria. Razem ze swoimi ludźmi kursuje między Otwockiem, Gdańskiem a Lwowem. Druga przede wszystkim wykonuje najgorszą robotę, czyli miesza składniki i sypie je do kapsułek. Kapsułki produkuje jakaś fabryka farmaceutyczna na Ukrainie. Przyjeżdżają osobnym transportem. Ci drudzy zajmują się też dalszą renowacją Janówki. Przystosowali praktycznie całą piwnicę do mieszkania. Założyli prąd i zrobili ogrzewanie z generatora, zainstalowali okna i ocieplili ściany, nie mam pojęcia jak, ale wydrążyli studnię. Trzecia, najliczniejsza grupa trenuje jak regularne wojsko. Przewodzi nią Umar.

Skład pierwszej i drugiej grupy jest płynny, poszczególni członkowie przechodzą z jednej do drugiej. Trzecia jest niezmienna. Tworzą ją ludzie z doświadczeniem bojowym, wyszkoleni żołnierze.

Zgniółł papierki po hot dogach. Oblizwał palce.

– Do jebanej... Słuchaj. Możesz mi podać nazwiska i pesele każdego z tych ogrów, ale mi to jest niepotrzebne, ja muszę wiedzieć, po co mu ci wszyscy ludzie. Jaki jest, kurwa, gryplan. Przez ostatnie lata zabijał warszawskich gangusów, systematycznie, po kolei. Teraz ukróciliście jakiegoś Ruska. O co wam chodzi? Co chcecie zrobić? Te wasze pigułki po prostu można wpuścić w rynek, jak każde inne gówno.

Patrzyłem mu w oczy i czułem się jak żona patrząca na męża po dwudziestu latach małżeństwa. Jak facet wstający pewnego dnia do tej samej, parszywej roboty. On mnie zmusił do tej szopki, a ja, aby zachować jakąś godność, wmówiłem sobie, że mogę go do czegoś użyć.

Nie mogę go do niczego użyć. Nie mam nad nim żadnej kontroli. A Dario to wyłącznie moja sprawa.

– Kto będzie następny? Kiedy to zrobicie? Data. Godzina. Miejsce. Tego, kurwa, od ciebie chcę. Na piśmie.

– Po co ci papier, skoro mnie nagrywasz? – zapytałem.

W odpowiedzi tylko chrząknął, jakby się zmieszał.

– Posłuchaj, Marek. Ja nie chcę, żeby on siedział. Żeby był aresztowany, żeby miał proces. Żeby był znowu Stalinem wśród gitów, jak opowiadałeś.

– Chłopie, on zabił twoją rodzinę.

– Zabił mnóstwo ludzi. Więc czemu ma żyć dalej?

– Mówiłem już, nie będzie żył. Obiecuję ci to.

Ta obietnica nie miała żadnego pokrycia. Wziąłem łyk kawy. Nie wiedzieć czemu, może ze zmęczenia, powiedziałem mu jedno zdanie prawdy:

– On musi mi bardziej zaufać.

Myślę o tym, aby dać sobie limit. Trzy miesiące, pół roku. Wyznaczyć jakąś granicę. Kupić bilet lotniczy. Na razie wynająłem mieszkanie w Kłajpedzie, blisko lotniska. To dziwne, dobre miejsce. Samoloty stamtąd latają po całej Europie. Wystarczy tam dojechać. Wsiąść w pierwszy lepszy.

– Nie zaufa ci bardziej, niż ufa ci teraz.

– Nie powiem ci więcej, niż mówię ci teraz.

Nachylił się do mnie. Robił wszystko, aby mnie jakkolwiek przerazić.

– Jesteś mój, kurwa.

– To nie działa, Marek. Przykro mi.

Mówiłem do niego spokojnie i smutno, jakby był dziewczyną z Tindera, która coś poczuła, a której dziękuję za krótką współpracę. Jakby był Klarą. Tylko on nie dostanie żadnego prezentu na pożegnanie. I tak dostał już za dużo.

Może chciałem go jeszcze bardziej zirytować. Nie wiem, tak naprawdę nie miałem czasu.

– Jesteś mój – powtórzył, wstając. A potem powtórzył to jeszcze parę razy, wrzeszcząc coraz głośniej.

Dziewczyna, która liczyła pieniądze, schowała się na zapleczu. Ja po prostu wyszedłem i wsiadłem do samochodu.

Teraz jest trzecia nad ranem. Niewielkie wewnętrzne podwórko, na środku kamienna fontanna. Oparci o jej ogrodzenie, studiujemy kolorową mozaikę na ścianie, wyklejoną z tysięcy drobnych płytek. Przedstawia klif nad brzegiem oceanu w słoneczny dzień. Na brzegu klifu rosną kolorowe kwiaty.

– Mógłbym mieć taką w łazience – wzdycha Karaś i kręci głową. Pierwszy raz widzę u niego jakiegokolwiek estetyczne wzruszenie.

To ja wymyśliłem to miejsce. Można powiedzieć, że jestem dyrektorem kreatywnym kartelu narkotykowego.

Podwórko przynależy do ambasady Korei Północnej. To majestatyczny betonowy pałacyk przy Beethovena, odlegle przypominający pagodę. Ambasada zajmuje połowę budynku, druga połowa jest wynajmowana na biura, ale teraz biura są nieczynne, nikt nie kwapi się ich otwierać. Podobno robią tu nielegalne imprezy rave, przynajmniej tak było w wakacje. Jest jeden facet, który to ogarnia, jakiś cywil spoza miasta, właściciel dyskoteki pod Małkinią. Wynajął tę ambasadę i wielki dom na Saskiej Kępie. Opowiadał nam to zarządca budynku. Za imprezę typ płacił kilkadziesiąt koła, ale przychodziło tylu ludzi, że mu się opłacało. My byliśmy tańsi. Powiedzieliśmy Koreańczykowi, że organizujemy konferencję. Tak, to świetne miejsce na konferencję, znakomite! – przyklasnął. Cisza, spokój, dobre wytłumienie. Parking. Wszystko się uda, będziecie mieli bardzo dobre spotkanie. Gdy zapytał, dlaczego o trzeciej nad ranem, powiedziałem, że konferencja dotyczy alternatywnych metod leczenia covidu i musi się odbywać w dyskrecji. Nie jest to mile widziane, wiadomo przez kogo. Puściłem oko. On się zaśmiał, ale chyba nic nie zrozumiał.

Kunicki, minister zdrowia, podczas swoich telewizyjnych wystąpień próbował być dzielny, ale sprawiał wrażenie kogoś, kto w krótkich przerwach od dwudziestogodzinnego dnia pracy pochował całą swoją rodzinę. Codziennie w Janówce oglądaliśmy jego wystąpienia, jak starsze kobiety popołudniową telenowelę.

Był blady, miał pot na skroniach. Zrozumiałem, że czuje się winny. Że ma jakiś psychologiczny deficyt. Że traktuje całą tę katastrofę osobiście. Przypomniało mi się, co mówił Anioł o jego wolontariatach w Afryce. Oto facet z ogromnym, wspawanym w duszę poczuciem winy, próbujący naprawiać zło, którego nie popełnił.

– To będzie wszystko bardzo trudne, Jacunia, ja wiem. To nie jest słodka bułka, nikt nie wykręcił jeszcze takiego numeru. Ale dlatego mi się podoba. Co mamy robić dalej? Jeszcze więcej tych gangusów położyć do piachu. Żaden wysiłek, Jacunia. Żadne wyzwanie. Piach przyjmie wszystko.

Powiedział mi to zupełnie niepytany. Nie ponaglał mnie, nie odpytywał. Działo się coś całkiem odwrotnego. Był mną zachwycony. Zaczynał we mnie wierzyć, jak ojciec w zdolnego syna. Był pewien, że mu to dowiozę. Ale wciąż, rozmawiając ze mną, miał przy sobie broń albo obstawę.

– Musimy go zლობować.

– Co zrobić?

– Zლობować. To taka korupcja, tylko z przyjaźnią.

Dario wykrzywił usta jak zawsze, gdy słyszał o czymś dziwnym i zbędnym.

– Nie, Jacunia. Po co te wygłupy? Złamiemy go. – Pokazał na Kunickiego palcem.

– Przekupimy – powtórzyłem.

– Szkoda na niego pieniędzy. Co on z tymi pieniędzmi robi? Da na kościół, na chore dzieciaczki. Albo się powiesi, jeszcze wcześniej. Dla takiego ciecica dziwnego pieniądze to jest wyrok, Jacunia. Nie ten człowiek. Nie ta dusza.

Oczy mu błyszczały, jakby patrzył na pożar. Widziałem, że miał pomysł, który zdążył już pokochać – pomysł jeszcze bardziej niedorzeczny niż mój. Ale miał rację. Lepiej wiedział, w którym miejscu naciska się rzeczywistość, aby zmiękała. Zaczynałem w to wierzyć – że jest czarownikiem, że widzi ukrytą strukturę rzeczy, ich prawdziwy rysunek.

Zaczynaliśmy wierzyć w siebie nawzajem.

A może on tak naprawdę chce, żebym go zabił, pomyślałem. Może spełniam jego życzenie. Może dlatego umarła Paulina... nie, zgasilem te myśli. Nie były mi potrzebne. Mogłem od nich oszaleć.

– Gamoń, który rządzi tą całą Koreą. To jakiś dzieciak, prawda? – pyta teraz, wpatrując się w mozaikę.

– Na pewno jest przed czterdziestką.

– No to dzieciak jeszcze. A widzisz, jak daleko zaszedł – śmieje się.

– Stary go ustawił – odpowiadam.

Teraz śmiejemy się obaj.

– À propos skośniaków, Darek – rzuca Karaś. – Czemu wjeżdżamy w Asłana, a nie na przykład w Wólkę? Tam jest co brać. Oni mają worki hajsu.

Karaś zadawał już to pytanie. Boi się Asłana, bo boi się Ruskich. Zdrowo, jak każdy normalny Polak.

Dario nie słucha, wpatruje się w mozaikę i bezgłośnie porusza ustami, jakby liczył kafelki. Odpowiadam za niego.

– Po pierwsze, Asłan jest łapczywy. Ma kupę legalnych interesów, mimo to wciąż trzyma narkotyki. Nie lubi oddawać kontroli. To jego słabość. A my musimy zalać miasto świetlikami. Wietnamczycy natomiast handlują ciuchami, nas nie interesują ciuchy. Może trochę kręcą heroiną, ale świetliki uzależniają szybciej od heroiny, więc ten ich towar umrze śmiercią naturalną. Nie wiem, czy będą chcieli coś z tym robić. Raczej spróbują się

układać. Rozumieją wolny rynek. Po trzecie, cholera wie, jakie właściwie mają zasoby, kto tam jest i co robi. Mogą być bezbronni, a mogą mieć pięć razy tyle ludzi, ile my, pochowanych po mieście. Na pewno robią outsourcing różnych rzeczy wśród Polaków. Ale to są raczej rzeczy, nazwijmy to, księgowo.

– Nie ciebie pytałem – odpowiada krótko Karaś.

– Ale ja odpowiadam.

Chce się odgryźć, ale wtedy rozlegają się kroki.

Schodzą się powoli. Wychodzimy im naprzeciw, do holu wyłożonego marmurami. Stoją na posadzce, wpatrują się w ozdobne białe rozety na suficie. Łącznie jest ich trzydziestu paru, może czterdziestu. Młodzi kolesie, modnie ostrzyżeni, wąskie spodnie, puchowe kurtki. Złote łańcuszki, sneakersy. Nie wyglądają jak bandyci. To dziś ulica chce wyglądać jak DJ-e, gwiazdy rapu, a nie odwrotnie. Oprócz nich tak zwana ciemniejsza strefa, mutanty i anabole w dresach Legii, szpetnych bluzach z napisami SZTYWNIUTKO i ŚMIERĆ FRAJEROM. Ci z kolei myślą, że wciąż tworzą ekipy, grupy, gangi. Że kontynuują tradycje poszczególnych dzielnic czy podwarszawskich miejscowości. No cóż, nie kontynuują niczego, są zwykłymi łbami.

Rozpoznaję ludzi w obu tych grupach. Rozmawiałem z nimi, gdy przyjechałem do Warszawy, i później, kiedy zaczynaliśmy wpuszczać świetliki na rynek.

– Czy to wszyscy? – pyta Karaś.

– A skąd mamy wiedzieć? Jakaś lista była? – rzuca ktoś z tłumu.

– Jest was tyłu, ilu trzeba – mówi Dario.

Do środka wchodzi jeszcze jeden typ, spóźniony; ostentacyjnie ubrany na biało, jak w starym dowcipie. Włosy ma uplecione w fantazyjne warkoczyki, na łuku brwiowym wytatuowany nieczytelny napis. Towarzyszy mu ostro umalowana dziewczyna z doczepionymi włosami i napompowanymi ustami, w krótkiej sukience i puchowej kurtce.

– Fajnie, ale panna wraca do domu – informuje go Karaś.

– Co?

– Świnia wraca do domu.

– Co ty powiedziałeś? – pyta koleś, robiąc krok w stronę Karasia.

– To, co powiedziałem.

Jeszcze krok.

– To przeproś, mordo.

– Nie jestem mordą. Nie mam mordy. Mam twarz. Jak cię wołają?

– Deluks – odpowiada typ. Rozpina kurtkę. Teraz widać, że prawie całą szyję zajmuje mu tatuaż, zrobiony gotykiem napis TAX FREE.

Niektórzy, słysząc jego ksywę, parszają śmiechem. Karaś również się uśmiecha.

– Słuchaj, Deluks, to nie jest, proszę ja ciebie, premiera kinowa komedii romantycznej. Świnia wraca do domu albo będzie tu robiona, i nie będzie robiona jak kobieta, to ci gwarantuję.

Ciało Deluksa w jakiś sposób reaguje na słowa Karasia, ale ta reakcja jest zbyt powolna, Karaś uderza go czołem w nos; chłopak wydaje z siebie dźwięk przypominający głośnie czknięcie. Dziewczyna zaczyna wrzeszczeć. Karaś łapie chłopaka za poły kurtki, poprawia z główki, jego biała bluza jest teraz cała w czerwonych rozbryzgach. Śmieszna myśl – wciąż mogliby ją sprzedawać w Vitkacu, teraz nawet drożej. Karaś łapie dziewczynę za włosy, wyrzuca ją za drzwi. Panna przewraca się na schody. Nikt nie reaguje. Deluks próbuje się podnieść z ziemi, ale Karaś nadeptuje mu na brzuch. Chłopak momentalnie puszcza pawia, Karaś przewraca go na bok, aby się nie udusił. Wszyscy milczą.

Karaś wywleka go na zewnątrz, kładzie na schodach, wraca do środka, zamyka drzwi na klucz.

– Oddajcie broń. – To Umar.

Nie ruszają się.

– Broń. Na ziemię. Zabierzecie ją przy wyjściu.

Wciąż nie reagują.

Umar kiwa głową do naszych chłopaków. Rozumieją go bez słowa. Jedzą, śpią i modlą się na jego sygnał. Teraz na jego polecenie niektórzy kładą na ziemi swoje pistolety. Dopiero wtedy tamci reagują. W sumie to dziwne, jak niewielu przyszło pod kopytem, zaledwie parę osób. Cała ta kryminalna Warszawa to żart, subkultura. Ostatni odkłada broń – niewielkiego czarnego glocka – krótko ostrzyżony chłopak w kurtce Moncler założonej na biały podkoszulek. Nasze spojrzenia się spotykają. On jest inny, widać to od razu. Cwańszy, szybszy. Inny, tak jak Ewelina jest inna od reszty psów. Tak jak Pazina była inna od swojego klubowo-modowo-reklamowego towarzystwa. Tak jak ja byłem inny od typowych bandytów. Śmieszna myśl – inni ludzie są wszędzie. Ukrywają się, zamiast poznajdywać się nawzajem i jakoś zorganizować.

Karaś ręką daje znak przybyłym, aby szli za nami.

Wchodzimy do sali konferencyjnej. Są tu ekran, rzutnik, flipchart, automat na wodę w rogu pomieszczenia. Podchodzę do tego automatu, nalewam sobie pół kubka. Oni zajmują swoje miejsca, karnie jak w szkole. Siadają z tyłu, zostawiają dwa przednie rzędy puste. Nie widzą stolika schowanego w głębi pomieszczenia, przykrytego płachtą materiału. Przy tym stoliku staje trzech naszych chłopaków, reszta obstawia wyjście.

Wychodzę na podwyższenie. Klaszczę w dłonie. Czas wejść w rolę. Jestem już parę godzin po trzecim świetliku. Dla bezpieczeństwa wziąłem czwartego.

– Panowie. Niektórzy z was mnie kojarzą sprzed lat. Kiedyś tak jak wy byłem bliżej towaru. A to są – pokazuję na Daria, Karasia i Umara – moi współnicy. Zakładam, że wszyscy mieliście już do czynienia z naszym produktem. Braliście go od nas w, nazwijmy to, półhurdie, do rozprawiania na terenie Warszawy.

Jeden z chłopaków podnosi rękę.

– No, ja przyjechałem z Gdańska. Wszyscy chcą siekać te kapsuły.

– A ja z Poznania – mówi drugi. – Jest to samo.

– Ja z Łodzi. Kurwa, tam ludzie na Piotrkowskiej stoją z kartkami ZROBIĘ WSZYSTKO ZA ŚWIETLIKI.

– Pandemia wcale nie jest dla nas taką tragedią, co? – pytam.

Niektórzy kręcą głowami, już łapią się na tę konwencję. Co więcej, zaczynają czuć się bezpiecznie. Co może się wydarzyć w takiej sytuacji? To jak wykład na uczelni. Odprężają się, siadają szerzej, ręce opadają im wzdłuż ciała.

– Rozumiem też, że oprócz naszego produktu rozprawiacie to, co zwykle. Wład, kryształ, emka, mefa. Skun: hiszpan, kalifornia. Koks. Co kto lubi i jaki jest popyt. Tak czy nie?

Niektórzy kiwają głowami. Inni asekurancko milczą. Dario obserwuje ich z nieobecny grymasem. Wyjmuje z kieszeni samarkę, wciąga trochę. Nie umyka to ich uwadze, niektórzy parszczą śmiechem. Atmosfera jeszcze bardziej się rozluźnia. Zapominają o swoim ziomalu, który być może wciąż leży na schodach, o tym, że musieli położyć broń na podłodze.

Wszystkim zaczyna być wesoło.

Prawie wszystkim.

– Zaraz, zaraz, przepraszam, ale panowie, no kurwa mać – pada z sali. To ten w kurtce Moncler. Wstaje, odwraca się do reszty. Kiwa w stronę typa z Łodzi.

– Mordy, ja rozumiem, że wy tu przyjechaliście z Pabianic do stolicy i jest fajnie, bo są jakieś nowe draże, ale my jesteśmy w Warszawie i jeśli jeszcze nie widzicie, co tu się dzieje, to wam wytłumaczę: to, co tu się dzieje, to jest cyrk pierdolony. Ja, mordy, jestem stąd i ja się w cyrku nie śmieję. – Odwraca się w moją stronę i patrzy mi w oczy. – Ty, Duch, nie świruj Fajkowskiego, my wszystko wiemy, wiesz, o co chodzi. Co to jest, mordo, autokar do Częstochowy? Magiczne garnki na żyłaki chcesz nam pogonić?

– Jak masz na imię? – pytam.

Zgrywa pewnego siebie, ale się boi. Boi się, jak dawno się nie bał. Dłonie kręcą młynka, lewa noga tupie w tempie blackmetalowego bębniarza. Nie jest głupi. Ma pomysły i przeczucia, właśnie spełniają mu się te najgorsze.

– Możesz mówić na mnie Kurtka, mordko.

– No to posłuchaj, Kurtka. Ja niczego nie reklamuję ani nie gonię. Ja informuję. Będziecie sprzedawać tylko nasz produkt. My będziemy wypłacać wam stałe pensje. Będą oczywiście pewne progi, od których przyznamy premie, ale od teraz kończą się głupoty, balety, setki koła zostawione w Vitkacu tylko po to, żeby ABW zawijała was w nowych ciuchach jeszcze z Jeruzolimskich. Rozumiesz, Kurtka? Wszystko zostaje uporządkowane. *L'ordre règne à Varsovie*.

Atmosfera luzu znika szybciej, niż się pojawiła. Chłopaki otwierają szeroko gęby, jakby wpadające do ust powietrze miało schładzać mózg przegrzany od procesowania.

– A założmy, że ja i obecni tu koledzy powiemy, że chuj z wami. Co wtedy?

– Odwróć się, Kurtka.

Odwraca się.

Gdy on miał swoją przemowę, trzech chłopaków przy stoliku ściągnęło z niego płachtę. Na blacie leżała broń – pistolety, karabinki półautomatyczne. Wzięli ją do rąk tak cicho, że tamci, wpatrzeni w nas, nawet tego nie zauważyli. Ktoś przeklina, ktoś wzdycha. Ktoś kuli się jak dziecko, ktoś zaczyna się bezgłośnie modlić.

– Dziękuję za uwagę. Razem z moimi partnerami myśleliśmy o pensjach rzędu piętnaście tysięcy. Do tego oferujemy wam opiekę prawną, medyczną, logistyczną. Jak każdy porządny zakład pracy. Oczywiście jest tutaj haczyk, każdy z was będzie dostawał co miesiąc określoną ilość

produktu. Jeśli nie sprzeda całości, nie dostanie pensji. Jeśli sprzeda całość przed połową miesiąca, dostanie drugie tyle i bonus. To naprawdę bardzo prosty układ. Uczciwy i przejrzysty.

Nagle pełne uderzenie świetlika. Oczy łzawią z rozkoszy, która idzie przez ciało jak płomień, krew gęstnieje, płynie wolniej, znowu widzę inaczej, wszystko robi się miękkie i lśniące, złote, powolne.

– I co, odpalicie nas jak Bastka? – Jeden z prawilniaków zrywa się z krzesła.

Tego akurat nie znam. Szerokie bary i szeroka twarz, przypominająca wielki zaschnięty chleb. Placek zaczesanych na bok włosów i czarna broda wyrównana żyłką. Małe oczy jak u pitbulla. Tatuaze na dłoniach układają się w napis HOMO SUM.

Za nim wstaje drugi i trzeci. To pewnie jego ekipa – robią w badeje, ale nie chcą, by potem miał ich za lamusów.

– On sam próbował strzelać? Ja mam w to uwierzyć?

– Nie obchodzi nas, w co wierzycie. Jeszcze raz: to nie jest dyskusja. To informacja. Ogłoszenia parafialne, jak na koniec mszy. Chodźcie do kościoła, prawda, chłopaki?

Szczęk przeładowywanej broni sygnalizuje gotowość. Dario stoi z zamkniętymi oczyma, słucha tego wszystkiego jak muzyki.

– Wiecie, jaki jest główny problem z kryminalistami? Jesteście bezbronni. Nikt was nie chroni. Nie możecie iść do sądu. Nie możecie zadzwonić po policję. W świetle prawa nie można was okraść, bo tego, co posiadacie, nie można nawet posiadać. Nie macie nic. Nic nie możecie. Jeden na dziesięciu z was za parę lat zupełnym fartem otworzy jakąś siłownię, sklep, kupi mieszkanie pod wynajem krótkoterminowy. Ale to żebrak z Centralnego posiada więcej niż wy. Wy macie nielegalny towar, brudne pieniądze, jakieś szmaty, łańcuchy i zegarki, których nikt od was nie kupi, bo są noszone i porysowane.

– Ty już chyba powiedziałeś, co wiedziałeś. – Homo Sum wychodzi przed rząd krzesel. Staje pod podwyższeniem.

Patrzę mu w oczy.

– Rafi, uspokój się typie – prosi go ktoś, kto rozumie powagę sytuacji.

– Tu mnie zastrzelisz? To dawaj.

Gdy zamknę oczy, widzę przelewające się kształty, metaliczne chmury, rzekę zmrożonej lawy. Na powierzchni skóry czuję lekko szczypiące ciepło. Moje serce pompuje słodkie złoto.

– No dawaj. Mówię ci.

– Posłuchaj – odzywam się ze spokojem. – Możecie porywać, bić, obcinać palce, jasne. Niektórzy z was umieją to robić. Może akurat ty, Rafi. Ale to działa tylko do momentu, w którym traficie na takich, którzy są w stanie zrobić więcej. Zabijać, a nie porywać. Torturować, a nie bić. Obcinać genitalia, a nie palce. Podpalać domy, nie pod nimi wystawać.

Łebek, Rafi, rusza na mnie, wybija się, aby wskoczyć na podwyższenie.

Strzał w nogę podcina go jak faul w polu karnym.

W tym samym momencie jeden z wystrojonych chłopaków podbiega w stronę drzwi. Dario daje znak ręką, niczym cesarz na arenie Koloseum. Któryś z naszych podchodzi do niego, strzela mu w głowę.

Chłopak nie żyje. Ale Rafi żyje, i wyje jak podpalony wóz strażacki.

Czubki palców mam zdrętwiałe i zimne. Wyobrażam sobie, że są diamentami.

– Jeśli ktoś przetrzyma produkt, aby sprzedać go na boku, zginie. Jeśli ktoś będzie handlował czymś innym niż produkt, zginie. Są na mieście ludzie, którzy będą to gonić, ale to nie będziecie wy. Jeśli ktoś się pomyli w rozliczeniach, zginie. Jeśli uznamy, że lepiej będzie dla was, abyście mieszkali w innej części miasta, przeprowadzicie się. Jeśli uznamy, że wasze auto zwraca zbyt dużą uwagę, oddacie nam je. Jeśli wasze ciuchy będą zbyt krzykliwe, spalicie je albo oddacie bezdomnym. Jeśli uznamy, że wasze kobiety robią nam problemy, zerwiecie z nimi albo je sobie weźmiemy. – Wciągam głęboko powietrze. – Od tej pory jesteście naszą własnością.

Jestem miękką chmurą, w której środku ukrywa się ogromne słońce.

Dario staje obok mnie, kładzie mi rękę na ramieniu.

– Chciałem powiedzieć, że to bydło, Jacunia, ale bydło to potrzebne istoty są, ważne i dobre – mówi cicho. – Dają mleczko, mięsko. A te tu kondony popękane na słupki na parkingach się nie nadają, tak ci powiem.

Co do większości z nich ma rację. Ale nie co do wszystkich.

Ten typek, Kurtka, wciąż patrzy mi prosto w oczy. Zostali skruszeni i wydymani, tylko on jeden widzi to inaczej. Dla niego honor to abstrakcyjna głupota. Liczy się przetrwanie. Po cholere martwemu honor? Może się przydać innym, by szyli sobie w głowie jakieś swoje bajki. Ale o nikim, kto jest w tej sali, nie powstanie żadna bajka. Trzeba żyć, tylko tyle. On to wie. Mówi mi samym spojrzeniem, że jeszcze się spotkamy i że następne spotkanie będzie wyglądać inaczej.

Zobaczymy.

– A skoro już wszystko rozumiecie, panowie, to teraz podacie naszym przemiłym kolegom telefony i dokumenty. W zamian dostaniecie z powrotem waszą broń.

Po długiej chwili zbiorowego bezruchu wstają i ustawiają się karnie w kolejce. Nasi ludzie traktują ich jak bydło. Szturchają, wyszarpują dokumenty z rąk. Ktoś dostaje liścia. Komuś plują w twarz. Tak im kazaliśmy.

Odwracam się do Daria. Fala rozkoszy opada. Zaczynają boleć mnie mięśnie. Zanim pomyślę, że muszę usiąść, kłapię tyłkiem na stopień. Dwóch koleżków podchodzi do Rafiego, z trudem podnoszą go i powoli prowadzą w stronę wyjścia. Ciągnie się za nim struga krwi z przestrelonej nogi.

Wyciągam telefon z kieszeni. Kilkadziesiąt nieodebranych od mamy.

Dario kuca przy mnie, kładzie mi głowę na ramieniu, jakby był moją dziewczyną.

– Jesteś świetny gość, Jacuś – mówi, po czym mokro i głośno całuje mnie w policzek.

Nie odpowiadam. Poza serią połączeń jest SMS. „Kacper zaczął mówić. Twierdzi, że musi powiedzieć ci coś ważnego, ale tylko tobie. Przyjedź jak najszybciej”.

*

Ruszam jeszcze spod ambasady. Nie mówię nikomu, gdzie jadę, nikt też o to nie pyta. Dario i Karaś wracają do Janówki. Chłopaki, które zostały na miejscu, sprzątają, czyli owijają ciało warstwami folii, piorą wykładzinę. Pewnie zrobią z nim to samo, co z Fajkowskim. Zmieniają mu stan skupienia, a potem wyleją gdzieś na końcu Polski.

Te cztery ostatnie świetliki – jakbym w ogóle ich nie połknął. Ciało jest niespokojne, mięśniami szarpie tępy ból. Dookoła głowy krąży mały drapieżny ptak, czekając na dogodny moment, by wyłupać mi oko. Ten ptak to głód.

Na trasie przyspieszam do dwóch pak. Nie, nie zjem następnej pigułki. Nie chcę się zabić. Nie dzisiaj. Muszę być przytomny.

Mama się nie rusza, wujku.

Nic nikomu nie zrobili. Ani Paulina, ani Bartek, ani dzieci. Żadne z nich.

Już niedługo znikniesz, wyjdiesz z rogu pokoju, kurwo. Już niedługo. Już mnie kochasz jak syna. Jeszcze trochę.

Zadam mu ból, krótki, ale bardzo mocny. A potem go zgaszę jak psa.

Zgaszę go i wsiądę do auta. Będę jechał tak jak teraz. Marek będzie na miejscu, zanim Karaś i reszta znajdą ciało.

Mieszkanie. Prysznic. Samolot. Tyle.

Z Warszawy pod blok rodziców dojeżdżam w godzinę trzydzieści. Wchodzę bez pukania. Orientuję się, że widzę ich po raz pierwszy od prawie roku. Ale to nie jest żaden temat do rozmowy.

Mama, wciąż ubrana na czarno, wygląda na starszą o piętnaście lat. Wydaje z siebie pojedynczą sylabę. Ojciec siedzi w fotelu. W rękę trzyma jakąś książkę, chyba tylko po to, aby dociążyć dłonie. Rodzice Bartka są bardziej przytomni, witają się ze mną mocnymi uściskami dłoni.

– Szybko przyjechałeś – zauważa mój ojciec.

Nie wiem, czy wyraża w ten sposób pretensje, czy stwierdza fakt. Cóż, on też nie zadzwonił do mnie od pogrzebu. Poza tym rozmowa z człowiekiem, który zmienił się w ścianę bólu, jest bez sensu.

– Potrzebowaliście mnie, więc jestem – mówię.

– Mógłbyś... – urywa i już nie kończy.

Próbuję objąć matkę, ale zasłania się ramionami. Jest tak zaciśnięta, tak zamknięta, że łatwiej byłoby przytulić głaz. Być może inna rodzina spróbowałaby się oczyścić. Wywrzeszczyć cały ból, a potem jakoś, jakkolwiek naprawić relacje. Być może jakiś inny, lepszy syn wszedłby do środka i powiedział: hej, rozumiem, cierpienie was zabiło; od roku wegetujecie, nie potraficie nawet mówić, ale ja, ja wciąż tu jestem i żyję. Możemy przez to przejść razem. Nie jesteśmy pierwsi. Ludzie tracą innych ludzi. Ludzie cierpią, a gdy mija czas cierpienia, żyją dalej.

Ale nic takiego się nie stanie. Jestem i będę dla nich obcy, bo to, czym się zajmuję, byłoby z ich punktu widzenia gorsze niż śmierć Pauliny. Zresztą, może się domyślają.

– Jest w pokoju – informuje mama Bartka. – Psycholożka powiedziała, aby jeszcze ktoś...

– Po prostu chodźmy – mówię.

Kacper siedzi na ochlapanej farbą kanapie, w ciepłym świetle zapalonej lampki. Na sztaludze stoi obraz namalowany przez mamę. Płótno jest

jednolicie czarne, ale gdy podejść bliżej, maźnięcia pędzla układają się w kształt. To portret. Twarz mojej siostry.

Kacper trzyma w ręku optimusa prime. Ściska go mocno. Na mój widok podnosi głowę, otwiera oczy.

– Wujek.

– Gdzie jest jego siostra? – pytam mamę Bartka.

– Jagódka... w ośrodku. Jagódka to chyba stracona sprawa. Tak twierdzą lekarze. Ale Kacper zaczął mówić i...

– To zmień tych lekarzy, na droższych i lepszych. Dam ci pieniądze. – Patrzę na nią tak, jak patrzę na chama na ulicy.

Kobieta natychmiast gaśnie. Dopada ją lęk, którego chyba do końca nie rozumie. Ale przynajmniej rozumie, że powinna się zamknąć.

– Ja chcę zostać z wujkiem sam – mówi Kacper.

Kobieta wychodzi z pokoju z widoczną ulgą. Zostajemy sami, ja i chłopiec. Głaszczę go po głowie. Ma bardzo miękkie, cienkie włosy. Orientuję się, że dotykam go po raz pierwszy od czasu, gdy byłem tu przed wylotem do Argentyny i dano mi go na ręce.

Przez moment w tym świetle wydaje się podobny do mnie. Nie, to moja głupia życzeniowość. Siadam obok niego.

– Wujku, czy masz jeszcze tego Kolegę?

Dopiero po chwili rozumiem, że pyta o psa.

– Został za granicą. Ale niedługo jadę go odebrać – odpowiadam.

– Będę mógł go poznać?

– Jasne, że tak – kłamię.

Patrzę mu w oczy. Widzę w nich tamten koszmar jak w malutkich monitorach. Noc, deszcz, pole. Wawer. Kominiarki.

– To fajnie – mówi. Schyla głowę. Nachylam się do niego.

– Co chciałeś mi powiedzieć, Kacper?

– A, nic takiego – odpowiada. I równocześnie kładzie mi łapkę na kolanie. Próbuje się przytulić. Obejmuję go, dość niezgrabnie, ale jemu to nie przeszkadza. Wciska głowę w moją klatkę piersiową. Pociąga nosem, nie wiem, czy płacze, czy po prostu ma katar. A może to ja zwyczajnie śmierdzę: potem, prochem i cudzą krwią. – Kocham cię, wujku.

Nie ma za co mnie kochać. Widział mnie parę razy w życiu. Paulina mówiła mu jakieś rzeczy, z których ulepił sobie w głowie mój obraz. Powinienem przyjechać do niego wcześniej.

– Słyszałem rozmowę, wujku – mówi szeptem.

Chciałbym wywabić z jego oczu to, co zobaczył. Zabrać mu to wspomnienie, zamienić w swoje własne. Jestem straconą sprawą. Mogę nieść w głowie widok jeszcze jednej śmierci. Jestem trwale zepsuty.

– Mama rozmawiała z tatą, a potem z panem przez telefon. Ja nikomu nie powiedziałem. Mówię ci teraz, wujku.

– Ale czemu mówisz to mnie? – pytam go, równie cicho.

Nagle dociera do mnie, że oni wszyscy stoją pod drzwiami. Podśluchują. Na pewno mama Bartka. Może moja też.

– Bo oni chcą cię złapać, wujku. Ci sami źli w kominiarkach. Oni chcą cię zamknąć w więzieniu. A potem do ciebie strzelić.

– Zamknąć w więzieniu? – upewniam się, czy dobrze usłyszałem.

Znowu się spina. Boi się, czy dobrze zrobił. Nie wie, co powinien mówić, a czego nie. To tylko dzieciak, który widział, jak zabijają jego matkę i ojca. Głaszczę go po głowie. Długo, powoli. Oddychaj. Spokojnie. Równo.

– Co słyszałeś, Kacper?

– Najpierw na lotnisku. Mama z tatą. Kłócili się. Byliśmy w Starbucksie. My nie pijemy kawy, bo jesteśmy za mali, ja i Jagódka. Kupili mi sok. Jagódce też. I pankejki na pół. Rozmawiali cicho, kazali mi nie słuchać. Trochę odeszli, ale ja i tak słyszałem. Ja wszystko słyszę. Czy ja mam mojego brata wydać policji? Tak powiedziała mama.

Zanim mózg przyswoi to, co powiedział dzieciak, ciało chwytą to pierwsze. Ciało chce się zerwać i wybiec z tego mieszkania razem z drzwiami. Ciało chce rozsadzić ten budynek albo złożyć go w dłoniach jak harmonijkę. Ciało ma sto metrów wysokości. Ciało waży wiele ton. Mimo to ciało chce jakoś zmieścić się do samochodu. Zjeść trzy kapsułki, cztery, pięć. A potem jechać dwieście, dwieście pięćdziesiąt, trzysta na godzinę.

– Tata powiedział mamie, że tak trzeba. Tak usłyszałem. A mama zapytała, czy nie możemy zrobić tego jutro. Albo później. Dlaczego mamy to zrobić w środku nocy, tak mówiła.

Czasami wszystko robi się tak wyraźne, że można od tego umrzeć.

– Jesteś tego pewien, Kacper? Że usłyszałeś dokładnie to? To jest bardzo ważne.

– Ja pamiętam wszystkie rozmowy, wujku. Wszystkie. Jak pokazywałeś mi psa, mama powiedziała, że Kolega to nie jest imię. Ale ty powiedziałeś,

że to świetne imię. I miałeś rację. Jak będę miał swojego psa, też go tak nazwę. Wiesz dlaczego? Bo fajnie jest mieć kolegę.

Odsuwam się delikatnie, schylam głowę, aby mieć oczy na linii jego wzroku. Próbuję go nie spłoszyć. Całą siłą mięśni trzymam w środku to, czego nawet nie potrafię nazwać.

– Co było dalej, Kacperku? Po tej rozmowie w Starbucksie?

– Potem lecieliśmy. Długo. Jagódka płakała. Wsiedliśmy do auta. Mama była zła. Nie chciała jechać. A tata zadzwonił do tego pana i rozmawiał z nim, czy możemy spotkać się jutro, a potem ten pan powiedział chyba, że nie, więc powiedział do mamy: to jest policja i skoro tak uważają, to znaczy, że... No tutaj nie pamiętam dokładnie, jakie to słowo było. Ale sobie przypomnę, wujku.

– Dokładne słowo nie jest ważne, Kacper. Ważne, o co chodziło.

– No chodziło o to po prostu, że musimy tam jechać. A ja wtedy zapytałem taty, czy ty pójdziesz do więzienia, a mama zapytała taty, czy on widzi, co się dzieje, a tata powiedział, że nikt nie pójdzie do więzienia i że mam iść spać.

Ściska mocniej zabawkę.

– A potem przyszli ci w kominiarkach?

– Nie przyszli. Czekali. Tata się zdziwił, że mają kominiarki. Powiedział, to znaczy zapytał mamy: o co im chodzi? To ostatnie, co powiedział. Potem było... Potem... potem było. Było.

Nie płacze. Nawet nie mruga. Mówi prawie bezgłośnie, po prostu rusza ustami. Przytulam go, bardzo mocno. Nigdy nikogo tak mocno nie przytuliłem. I to ja zaczynam płakać. Płacę całym światem. Ciało chce stąd wyjść. Mózg zaczyna rozumieć, ale od razu wypiera. To niemożliwe, mówi mózg, chociaż ciało już wie. To zbyt niedorzeczne. Mózg musi się upewnić. Ciało chce robić krzywdę innym ludziom. Ciało już dobrze wie którym.

Uspokój się. Oddechy. Uspokój się. Wytrzymaj twarz.

– Kacper, mówiłeś to jeszcze komuś?

– Nie, wujku. Nikt inny mi nie uwierzy.

Całuję go w głowę. Jego włosy to miękka, słodka słoma. Pierwszy raz w życiu całuję w głowę małe dziecko. To ciężkie, potwornie. Być ojcem to musi być cięższe niż zabijanie ludzi.

– Wujku, ja pamiętam coś jeszcze. Pamiętam, co mama powiedziała przy jednej rozmowie. Powiedziała do ciebie, że może kiedyś będziemy

mogli być prawdziwą rodziną.

Może pamiętam. Może. Wciąż próbuję nie wydawać żadnych dźwięków. Płacę wodą z lodowca, wodą niezdolną ugasić pragnienie. Płacę i trzymam w sobie sztorm, który rozrywa mnie od środka. To brzydkie, złe zwierzę, które mieszkało w klatce żeber – teraz rozszarpuje je wiatr.

– Wujku, ja myślę, że tylko ty i ja jesteśmy prawdziwi. Jesteśmy sobie w takim wspólnym śnie.

– Tak, chyba tak. Muszę już iść.

– Nie idź, wujku.

– Muszę, misiu.

– Nie idź.

– Wrócę do ciebie.

– Obiecuj.

– Obiecuję.

Kurwa.

KURWA MAĆ.

Nie pamiętam momentu otwierania drzwi. Oczywiście, stoi za nimi. Słyszała wszystko. Teraz patrzy na mnie kompletnie przerażona.

– Dzieciak ma mieć najlepszego terapeutę od traum. Dostaniesz jutro pieniądze. Masz wysłać paragony.

Mówię jej to, bo jestem pewien, że za to, co dostała do tej pory, kupiła nowe auto. Kiwa głową, spuszcza wzrok.

Za to moja matka stoi pod ścianą, nieruchoma jak trup. Obok niej rząd ciasno poustawianych obrazów. Matka bezwiednie wodzi palcami po płótnie. Wszystkie obrazy są zupełnie czarne, tak jak ten w pracowni.

– Ja też to słyszałam, co mówił Kacperek. Mówił tak cicho, ale to słyszałam – oznajmia moja matka.

Nie odpowiadam.

– Czyli to wszystko przez ciebie. Od samego początku. Zabiłeś ją, Jacek.

– Zamknij się, mamo.

– Zabiłeś ją.

– Zamknij się.

Odwracam się do ojca. Pytam go, czy czegoś potrzebują. Nie odpowiada. Tu nie ma nic do dodania. Nic tu po mnie. Wychodzę.

Zamykam drzwi. Głucho, mocno. Dzieciak. Dzieciak musi być bezpieczny. Cokolwiek o mnie myśla, kochają go.

Czarny range rover stoi obok mojego BMW. Na mój widok pyka awaryjnymi. Dario wychodzi z auta, przeciąga się. Zapala cienkiego papierosa.

Jest trzeźwy, dziwnie spokojny. Nie ma najmniejszego sensu pytać go, co tu robi. Robi to samo, co wszędzie.

Nie wiem, co miałbym mu powiedzieć. Mózg jeszcze nic nie wie. Ciało wszystko rozumie. Ciało chce robić to, co on zrobił w Czarnogórze. Gryźć, jeść i pić. Zadawać niepoliczalny ból. Ciało chce zrobić z innego ciała piekło. Namalować obraz, cały czarny. Dario patrzy mi w oczy.

– Teraz jestem sam, Jacunia. Rączki są tutaj. Możesz mnie zabić, proszę. Taki miałeś plan. Zobacz, jak ci ufam. Zaufanie, co nie?

– Skoro jesteś tutaj, to znaczy mi nie ufasz.

– Jacunia. Posłuchaj, kochanie. Mogłeś mnie zabić już wtedy w Rembertowie, w moim domku po babuni. Dałem ci zabawkę, żebyś strzelił do tego złodzieja. Mogłeś strzelić też do mnie. Nic ci nie przeszkadzało. Ale jednak tego nie zrobiłeś.

– Miałem pistolet przy głowie. To mi przeszkadzało.

– Ze mną zawsze masz pistolet przy głowie, Jacunia. Przyzwyczaj się.

Odwracam się w stronę okien mieszkania. Są ciemne i puste, jakby w środku nie było nikogo.

Dario podciąga koszulkę z logo zespołu Varius Manx. Wyciąga kopyto, wkłada mi je w dłoń.

– Masz, Jacuś. Pocałuj noc.

Na jego komendę dookoła nas wyrasta zwykły dzień. Ludzie wychodzą z bloków. Idą do pracy i sklepów. Rozszczekują się psy. Wszystko się uruchamia, jakby Dario nacisnął ogromne, niewidzialne „play” wiszące nad Olsztynem.

Delikatnie wyciąga mi broń z ręki, chowa ją z powrotem za spodnie.

– Albo wiesz co, zrobmy inaczej. Idź, dowiedz się wszystkiego do końca. A potem przyjdiesz i powiesz: przepraszam cię, Darek. No nie było to mądre jednak tak myśleć.

Dopala papierosa, odchodzi kawałek, gasi go grzecznie w koszu na śmieci, mimo że na trawniku leży pełno kiepów.

Wraca do auta, otwiera drzwi.

Zanim ruszy, kiwa głową w stronę domu.

– Dzieciakowi nic się nie stanie, Jacunia. Mamie i tacie też nic. Chyba że zrobisz coś bardzo brzydkiego. Na przykład zepsujesz nasz interes. Albo sprzedasz mnie pieskom. No, ale chyba nie będziesz się tak wygłupiać, skoro wiesz to, co wiesz?

Mózg mówi: to tylko sen. Sen Kacpra, do którego cię zawołał jak do każdego innego.

Ale ciało wie swoje.

I ciało jedzie po swoje.

Ciało jedzie zabijać.

Światlik. Jeden. Drugi. Trzeci.

4 PAŹDZIERNIKA 2020

Nie spałem. Światlik – czwarty, szósty. Do tego koks, trochę. Do tego wypilem kawę, chyba dla żartu. Ona jest jeszcze w domu. Przyrządza dzieciom śniadanie i próbuje nad nimi zapanować. Czekam, starając się być jak najciszej. Piętro niżej ktoś wychodzi z mieszkania, na schodach łapie go ostry kaszel. Odpluwa, przeklina, idzie dalej.

W końcu drzwi się otwierają. Dzieci wychodzą na klatkę pierwsze. Jeden z chłopców, ten mniejszy, zauważył mnie, jest bardziej zdziwiony niż przestraszony. Pokazuję mu gestem, że ma być cicho.

– Ja mam już dość. Remik, gdzie masz czapkę? Sekundę temu ci ją zakładałam. – Nie widzi mnie, bo patrzy w dół, na dziecko. Gdy podnosi głowę, jest za późno.

Popycham ją, traci równowagę i wpada do środka. Zatrzasnęłam drzwi, przekręcam zamek. Dzieci zostają na wycieraczce. Nie mija pięć sekund, jak zaczynają płakać.

Drugi raz dała się zrobić na ten numer. Myślała, że mamy umowę.

Chce się na mnie rzucić, odpycham ją jeszcze raz. Odbija się od ściany, rusza z powrotem na mnie, ale ja w tym czasie wyciągam i odbezpieczam broń.

– Ja pytam, ty odpowiadasz i nie kłamiesz albo one usłyszą zza drzwi, jak strzelam ci w łeb.

Włosy opadły jej na oczy, próbuje zdmuchnąć je z twarzy. Opiera się o ziemię rozczapierzonymi dłońmi, przypominającymi dwa pająki.

– To i tak lepiej niż dzieci mojej siostry. One to widziały. Twoje tylko usłyszą.

Jej synowie walą w drzwi. Mamo, otwórz, mammo, obronimy cię, mammo! Zostaw mamę, mówi chyba ten młodszy.

Widzę, jak próbuje przebić wzrokiem drzwi, zobaczyć ich po drugiej stronie.

– Chociaż może je tu wpuszczę? Jak sądzisz?

– Już.

Podnosi głowę. Kładzie dłonie na udach. Słyszę bicie jej serca.

– Już. Nie będę kłamać.

– Moja siostra i jej mąż. Wylądowali w Warszawie, bo mieli się spotkać z policją. W mojej sprawie. Policja kazała im prosto z lotniska jechać na Wawer. O czwartej nad ranem. Zgadza się?

Kiwa głową. Z lewego oka ścieka jej pojedyncza łza, rozmazując makijaż.

– Mamo, proszę cię, otwórz. – Uderzają w drzwi pięściami. Kopia. To mógłby być Kacper. Ale nie jest.

– Mamy mały problem. Ale zaraz wyjdę! – woła ona.

– Kto dokładnie kazał im tam jechać?

– Jeszcze chwila! Jeszcze chwila, zaraz wychodzę! – wrzeszczy do synów. – Przestańcie kopać w drzwi, zaraz do was wychodzę i idziemy do babci!

– Kto ich zabił? – Ciało bardzo, ale to bardzo chce ją skrzywdzić. Sztorm uderza w płuca, wątrobę, serce.

Odpowiada mi samym spojrzeniem. Opuszczam na chwilę broń. Jeśli tego nie zrobię, strzelę. Jeśli nie wziąłbym kilku świetlików, już by nie żyła.

– Czemu?

Pod grubą warstwą makijażu jest szklana, przezroczysta. Pod szklaną skórą kłębi się czysty strach. Gdyby mogła, rozszarpałaby mnie żywcem.

– Nie. Nie, Jacek. Nie. On jest policjantem. Nie. – Zaciska oczy jak małe dziecko, które chce zlikwidować rzeczywistość samą siłą woli. Ale gdy je otwiera, jest odrobinę spokojniejsza. – Mogę wstać? – Podnosi ręce na wysokość twarzy.

Kiwam głową. Chłopcy na korytarzu zamienili się już w dwie syreny alarmowe. Ona wstaje, powoli i ostrożnie, zerkając na drzwi. Opiera się o ścianę. Na krótki moment zerka w prawo. Gdzieś tam zostawiła pistolet.

A więc chciała zawieźć dzieci i po niego wrócić. Nie wchodzić z bronią do matki.

– Marek kazał im przyjechać, ale... ale to nie on, on nie zrobił tego. Ktoś ich śledził. Dario ich śledził. Dlatego tak bardzo chce go dorwać.

– Dario zabiłby ich wszystkich.

– To jednak coś, zabić policjanta.

– Nie. To zupełnie nic.

Podnoszę broń. Spluwam na podłogę.

– Zobacz, tylko tyle.

– Maaamooo!!! – Nie ma limitu głośności dla ich wrzasku. Ktoś zaraz tu przyjdzie, to kwestia sekund.

– Przestań kłamać.

Znowu panikuje. Zerka na mnie, na drzwi, na broń, z powrotem na mnie. Cały czas mierzy odległość, kalkuluje czas. Wie, że nie ma szans, ale musi to robić.

– Słuchaj, on... On przestał pić i grać, poszedł na terapię. Psy tego nie robią, to się prawie nie zdarza... A Marek ćwiczył, naprawdę się zmienił. Codziennie jeździł na te mitingi AA. W międzyczasie miał zawał, bo siedział na komendzie czwartą noc z rzędu. Odratowali go. Wsadzili mu stenty. Chciał zostać najlepszym psem w Polsce. To była jego pokuta. Robił wszystko, żeby wrócić do żony.

– Miała dużo pieniędzy. Lekarska rodzina, dom na Żoliborzu.

– Chciał, żeby mu wybaczyła.

Słyszę, jak ktoś dorosły zaczyna rozmawiać z dziećmi, bardzo cicho. Ona zbiera się do krzyku, otwiera usta, ja przypominam jej o broni.

Jest głupia i ślepa. Tak jak wszyscy, nie chce stracić poczucia sensu. Może nie lubi Żakowskiego. Może uważa go za złego szefa. Ale myśl, że mógłby zabić niewinnych ludzi na oczach ich dzieci – nie, to detonuje jej rzeczywistość. Zabiera pień świata. Miesza pion z poziomem.

– Chłopcy, spokojnie. – Za drzwiami głos. To starsza kobieta, pewnie sąsiadka. Puka do drzwi.

– Robił, co mógł, ale ona dwa lata temu popełniła samobójstwo – mówi ciszej Ewelina. – Przyjechała specjalnie do niego do domu.

– On powiedział mi, że to był rak trzustki.

– Nie. To były spaliny z rury.

Pukanie do drzwi.

– Pani Kotlewska?

Ona bierze głęboki wdech. Szklą jej się oczy.

– Samobójstwo rozszerzone. Ja nigdy, kurwa, nie rozumiałam tego terminu. Jak można go w ogóle używać?

– Co masz na myśli?

– W samochodzie były też dzieci – mówi po chwili, ciszej.

Czasami coś staje się tak wyraźne, tak ostre, że zaczyna cię przecinać.

– Napisała list. Że upokorzył ją i zniszczył jej życie. Że nie może dalej żyć z tym wstydem, że on jest ćpunem, hazardzistą, że bierze hajs od przestępców. Jej ojciec był za Wałęsy wiceministrem sprawiedliwości. Ale tak naprawdę... To, że zabiła też dzieci... Ona była po prostu chora.

Tracę siłę, broń waży tonę. Opuszczam ją. Ciężko oddycham, jakbym miał dziewięćdziesiąt lat. Ona mogłaby mnie teraz zaatakować, ale nie robi tego.

– Dowiedziała się, gdy przyszedłem do nich do domu. Parę lat temu, w Wigilię – mówię głucho.

– Ona była ciężko chora.

– On myśli, że to moja wina.

Ale nie chodziło tylko o zemstę. Chodziło o to, żeby tu wrócić. Żebym myślał, że to Dario. Żebym mu go dał.

– To dobry człowiek. – Zaczyna płakać.

Sztorm mnie oczyścił. Nie mam już w sobie nic, żadnego balastu. Same puste, wychłodzone miejsca. Być miotanym. Bezwładnym jak śmieć.

– Najlepszy na świecie – odpowiadam.

Chowam pistolet. Zapinam płaszcz. Oglądam swoje dłonie w świetle korytarza.

Prawda ma swój specyficzny odór. Oszalał, drapie, truje. Wypala gardło, jakby napić się benzyny, kwasu.

Widzę go, jak stoi przed przednią szybą samochodu mojej siostry. Jestem moją siostrą. Słyszę dzieci, płaczące na tylnym siedzeniu. Widzę Marka, jak dotyka blachy zawieszanej na szyi. Jak przejeżdża dłonią po głowie, odruchowo – lubi dotyk świeżo ogolonej skóry, zapomina, że teraz nosi kominiarkę. Widzę go na krześle, w mroku Sogo, wpatzonego w dziewczynę na scenie tańczącą specjalnie dla niego.

Nie obchodzi mnie, czy oszalał po śmierci żony, czy może zawsze miał w sobie szaleństwo i został psem, żeby je w sobie zwalczyć. Nie obchodzi mnie, jak zbudował dookoła siebie rzeczywistość, która mu na to pozwoliła.

Obchodzi mnie, co mu zrobię. I kiedy.

I co zrobię potem.

Otwieram drzwi. Dzieci wpadają do środka, doskakują do matki, a ona przyciska je do siebie. Stara kobieta zastygła na wycieraczkę, szeroko otwierając umalowane usta.

Odwracam się do Eweliny. Skoro ona gra fair, to ja też powinienem.

– Posłuchaj mnie uważnie. To się stanie niedługo. Gdzieś w Warszawie. Być może w paru miejscach naraz. To miasto jest teraz niewinne, zupełnie odsłonięte. Tak jak ty. Skaleczymy je, mocno. A potem zaczniemy nim rządzić. Nie jak w filmie o gangsterach. Rządzić legalnie. Nie masz pojęcia, kim potrafimy być. Nie masz pojęcia, jaka może być rzeczywistość. – I dodaje: – Nie mogę ci obiecać, że to przeżyjesz.

Jej ciało blokuje się na sekundę, traci oddech, krztusi się połykanym powietrzem. Staruszka kompletnie nie rozumie tego, co widzi.

Schodzę po schodach powoli, trzymając się poręczy.

Świat na zewnątrz jest tandetny. Grzybica nieporadnie pociągnięta warstwą pasteli. Czas rodzi materię i zmienia ją w szmelc. Gardłowanie barytonem w operze, stare malarstwo, filozofia są tylko po to, aby wmówić nam, że istnieją sprawy poważne. Że godność łysej mały jest większa niż zimny kosmos.

Świat to granda. Smutne popisy nietrwałego białka. Popatrz, połowa ludzi na świecie to niewolnicy drugiej połowy. Sam masz niewolników. Twój telefon jest stworzony z surowców wydobytych przez niepiśmiennych ludzi, wyciągających gołymi łapami rakotwórczą skałę przez dwadzieścia godzin na dobę. Pilnują ich inni niepiśmienni ludzie z karabinami, a ty wypisujesz na tym telefonie jakieś pierdoły o równouprawnieniu, o zdrowiu psychicznym, o szacunku, pomocy innym, o wierze w sens i naukę. O prawach człowieka. O etycznym jedzeniu i etycznej modzie. Połowa tego świata umiera z niedożywienia, a ty myślisz, że go ratujesz, bo kupiłaś w sklepie mleko migdałowe.

Świat to niekończący się pozór, pod którym jest ziemia, skała, krew.

Możesz iść na milion terapii. Otworzyć serce. Posłuchać przyrody. Gdzieś jakaś kobieta weźmie swoje dzieci i zagazuje je w samochodzie. W garażu willi wartą parę milionów dolarów. Jej mąż w odpowiedzi zabije inną rodzinę, bo jedyne, czego można w życiu tak naprawdę chcieć, to zabić człowieka.

Przemoc jest uczciwa. Dla każdego zwierzęcia przemoc to życie, codzienność. Zwierzęta żyją po to, aby się wzajemnie zżerać, piszcząc przy

tym z czystej grozy.

Dario ma rację.

Śmierć to wszystko.

Trzeba dać się porwać przez wiatr. Być miotanym. Bezwładnym jak śmieć.

8 PAŹDZIERNIKA 2020

Tej nocy jest inny. Cichy, rzeczowy. Nie papla zdrobnieniami, nie szczerzy zębów. Nie ekscytuje się niczym, nawet samym sobą. Można byłoby pomyśleć, że wziął ciężkie leki uspokajające. Ale on po prostu czuje powagę sytuacji.

– Pamiętasz, jak pierwszy raz cię zobaczyłem? Jak powiedziałem ci, że nie podobasz mi się? Przypomnij sobie, Jacunia.

– To było w tym klubie z sziszą – odzywam się.

– Kłamałem wtedy, Jacunia. Podobasz mi się od początku. Wykluwałeś się, fakt, ale teraz już się wyklułeś. Byłeś robał, teraz jesteś motyl piękny.

– Chciałem cię zabić – mówię mu.

– Mnie to nie dziwi, Jacunia, że ludzie czasami chcą mnie zabić. Sam bym chciał siebie zabić, gdybym siebie spotkał. Nienawidzisz go, skurwysyna, prawda? – Potrząsa mną, jakby chciał powiedzieć: wyrzuć tę nienawiść, ona nie jest ci do niczego potrzebna. Sprawia, że jesteś słabszy. To ludzie nienawidzą, a ty już nie jesteś człowiekiem. Zrób krok dalej. – Teraz już rozumiesz, że ja zawsze byłem twoim przyjacielem?

Po drugiej stronie ulicy świeci bryła Centralnego. Znow to wspomnienie, ja i ojciec wychodzący na Emilii Plater, przed ogrom Pałacu Kultury. Uczucie wpływania na nieznaną i bezkresną wodę, dryfowania po powierzchni, pod którą kryją się nieskończone ilości spraw, sekretów, skarbów. Trochę dobra, mnóstwo zła.

Nagle ogromna chęć, aby przyznać się do wszystkiego. Powiedzieć, że byłem w pałacu Mostowskich. Wytłumaczyć, że mnie osaczyli, że nie zostawili mi wyboru. Wspomnieć o wieczorze w Sogo, o innych spotkaniach. O odwróconych rolach. O tym, że kiedyś to Marek podawał mi różne informacje, a teraz ja podawałem je jemu.

Chcę mu powiedzieć o ostatnim spotkaniu z nimi. Zadzwoił do mnie Damian. Mój kolega z Olsztyna. Fajny Damian. Dobry Damian

w trampkach New Balance.

Umówiłem się z nim w chińskim barze w Wólce Kosowskiej. Chciałem się dowiedzieć. Sprawdzić, czy to on. Nieopodal rozciągały się ogromne hale targowiska, wielki blaszany poligon służący do robienia pieniędzy z bawełny i skaju, oświetlony bladym światłem. Damian siedział nad nietkniętą zupą pho, w której pływały kawałki wołowiny. Wyławiał je pałeczkami i wrzucał z powrotem do zupy. Ja za to jadłem z apetytem. Aż zamówiłem dokładkę.

Przez bardzo długie dziesięć minut patrzyłem na niego bez słowa i jadłem. Zapytałem go tylko, jak bardzo Marek chce dopaść Daria. Co jego zdaniem mógłby zrobić, aby to osiągnąć.

– On chce... być najlepszym psem w Warszawie, to na pewno.

– Bo chce, aby żona mu wybaczyła. Aby oddała mu martwe dzieci. To straszna historia, Damian. To musi być ciężkie, wykonywać polecenia kogoś, kto przeżył coś takiego. Ufać jego decyzjom.

Powiedziałem to i popatrzyłem mu w oczy, a on zrozumiał, że wkrótce może być martwy. Chciał to skomentować, wytłumaczyć się albo upewnić – ale usłyszałem tylko pojedynczą sylabę. Zostawiłem go nad nietkniętą zupą.

Powinienem powiedzieć o wszystkim Dariowi. Naraziłem go. Rozjebałem się.

– Jacula, rozumiesz?

Powiem mu. Gdy będę pewien, że dzieciak jest bezpieczny.

Karaś wychodzi z czarnego range rovera zaparkowanego pod hotelem. Zniecierpliwiony zapala papierosa i otwiera czwartą dzisiaj puszkę monstera. Żyły na jego czaszce są dwa razy wyraźniejsze. Przypomina postać ze *Star Treka*.

– Jak chcecie się poruchać, to weźcie sobie pokój. – Wskazuje palcem na bryłę hotelu.

– Karaś, nie mów tak brzydko.

– Jesteśmy na zegarze. Pół godziny to jest maks.

Impreza w świetle prawa jest nielegalna, łamie zakaz zgromadzeń. Jednak bawią się tam grube ryby, więc policja została pouczone, aby tu nie zaglądać. Przyjadą dopiero, gdy dostaną zgłoszenie. Dostaną je dość szybko.

– Spokojnie, mamy plan, Karaś.

– I ten plan już zaczyna się jebać.

– Karasiu, masz chałupkę nową fajną, wszystko masz nowe fajne, no co ty jesteś taki zdenerwowany?

Karaś, Umar i paru chłopaków z pierwszego rzutu dostali nowe mieszkania. Niektórzy z obecnych na konferencji zostali po czasie odwiedzeni i poproszeni o klucze. Na przykład koleżka w kurtce Moncler. Typ, który dostał kulę w nogę, po prostu chciał podrzeć mordę. Ale ten cały Kurtka – czuć było, że chłopak nigdy nie klęka. Czasami ucieka, ale nigdy nie klęka.

Dario bierze moją dłoń, przykładła sobie do serca. W środku nic nie bije. Jego klatka piersiowa jest pusta, tak samo jak moja.

– Przepraszam cię – mówię mu.

Klepie mnie w twarz pieszczotliwie. Wyszczera zęby jak głodny rekin. Kładzie dłonie na moich ramionach i mocno ściska.

– Nie ma za co – odpowiada.

Teraz coś uderza mu w ciele. Głucho. Schowane bardzo małe serce.

Gdzieś daleko, po drugiej stronie Pałacu Kultury, mój ojciec niesie małego mnie na rękach.

Niesie i nagle puszcza.

Spadam do podziemnej rzeki.

– Jacek i Darek. Taki zespół był discopolowy, wiesz? Mieli taką piosenkę:

*Selawi. Myślałem, że uniesiesz mnie do gwiazd
i w dalszą drogę popłyniemy razem już... [12](#)*

Gdzieś w przeszłości, w domu moich rodziców, moja siostra stoi w drzwiach pustego pokoju. Uśmiecha się.

Chcę jej powiedzieć, że staną się kolejne złe rzeczy, ale ona znika.

Dario pokazuje głową wejście do hotelu. Mówi, że już czas.

Z samochodu wysiada chłopak w spodniach moro i polarowej kurtce. Nazywa się Roman, chyba, i przyjechał z Mińska. Wchodzimy we cztery do lobby. Reszta razem z Umarem czeka od paru godzin w podziemnym garażu.

Zakładamy czapki z daszkiem, maseczki. Na czapce Daria jest napisane MAKE WARSAW GREAT AGAIN. Można było takie kupić w sklepie z pamiątkami na Starówce.

W recepcji siedzi tylko jeden chłopak. Pamiętam go ze starych czasów, gdy pracował w Intercontinentalu, dał mi tam wejście. Nie wiem, czy mnie poznaje po samych oczach. Jeśli tak, wcale się z tym nie zdradza.

Jest zupełnie cicho, ale jeśli się wsłuchać, gdzieś z góry dobiega głucho echo muzyki, takiej na granicy słyszalności. Dario podchodzi do recepcji, opiera się dłońmi o blat.

– Które piętro? – pyta.

– Przepraszam, ale to prywatna impreza – odpowiada chłopak.

Roman i Karaś wyciągają broń. Karaś podchodzi bliżej, wciska mu ją w głowę.

– Czterdzieste. Sky Bar – odpowiada recepcjonista prawie bezgłośnie. Zapomniał, jak się mruga. To pierwszy i być może ostatni raz, gdy ktoś mierzy do niego z pistoletu. Życzę mu tego. Był w porządku.

Dario nachyla się do niego jeszcze bliżej.

– Wyłącz kamery.

Chłopak kiwa głową. Robi to paroma roztrzęsionymi ruchami.

– A teraz sio – rozkazuje mu Dario.

Chłopak wybiega z hotelu, by nigdy tu już nie wrócić.

Aślan miał zareagować na spotkanie ze mną tak, jak zareagował. Nigdy nie zakładaliśmy jakichkolwiek negocjacji, to nie miała być żadna propozycja. Miał się wściec, poczuć, że traci kontrolę. A gdy wszystko się dokona – czyli za jakieś pół godziny – zrozumieć, że nigdy nic od niego nie zależało. Dla ludzi takich jak on to największe upokorzenie.

Po lobby kręci się jeszcze jeden ochroniarz, facet grubo po sześćdziesiątce. Dostaje rękojęścią pistoletu w łeb. W czasach sztucznego pokoju ochrona to robota dla emerytów.

Wsiadamy do windy. Karaś jest zdenerwowany, nawet się z tym nie kryje. To gruba akcja, jedna z najgrubszych, w jakich brał udział. Wyciąga z kieszeni bojówek małpkę, wypija zawartość, ociera gębę.

– Wróciły dziewięćdziesiąte – mówi – ale dżez, ja cię sunę.

– Życie to wesele, Karaś.

– Ty, Darek, wiesz co, ja spokojnie mogłem w Hiszpanii siedzieć. Kurs na masażystę miałem zrobiony. Ciepło, dupy fajne. Pieniądz jakiś był – pieprzy tak, tupiąc nerwowo o podłogę.

Ale zaraz się zamyka, bo winda staje i drzwi rozsuwają się z cichym zgrzytem. To, co było cichutkim echem, teraz jest hałasem. Hałas to stara, okropna piosenka, *Macarena*.

Za przeszklonymi ścianami korytarza widać Warszawę. Nie umiem uwierzyć w prawdziwość tej panoramy, jest zbyt wyraźna, zbyt martwa. Przypomina wizualizację, kadr z nakręconego z helikoptera filmu. Ściany w rzeczywistości są ekranami. Można to sprawdzić. Nie trzeba nawet w nie strzelać. Wystarczy nacisnąć w odpowiednim punkcie.

– Piękna ta stara kurwa Warszawa – cmoka Dario, patrząc na budynki dworca i Pałacu Kultury, na lejący się szklany dach Żółtych Tarasów.

Karaś nie reaguje. Warszawa go nie obchodzi. Jest skupiony, nakręcony. Chce mieć to za sobą.

Na bramce stoi młody, znudzony czarnoskóry chłopak. Dużo trenuje – muskularna sylwetka wypycha paskudny czerwony garnitur. Podejrzewam, że zaraz ma walczyć w federacji Asłana.

Na początku jesteśmy dla niego kolejnymi muchami, od których musi się odgonić.

– To prywatna impreza. Panowie są na liście?

– Jedyna lista to lista Boga – odpowiada Dario.

– Panowie Jehowi? – pyta chłopak.

– Jak masz na imię, koleżkowcu? – Dario podchodzi do niego.

Chłopak jest niewzruszony. Wciąż nie wiadomo, czy już zaczął się bać.

– Myślę, że nie chce mi się z panem rozmawiać.

– No dobra, to inaczej, chłopaczku. Musisz coś zrobić. Musisz pobiec teraz do domeczku i przytulić się mocno do tej białej polskiej dupci, którą łupiesz sobie swoim czarnym kilofem, i powiedziec jej: bardzo cię kocham, biała polska dupciu, właśnie miałem największego farta w swoim młodym życiu. Weź otwórz szeroko buzię i połknij mojego węża, proszę cię, bo czuję, że żyję, jak nigdy.

Roman wyciąga pistolet. *Macarena* się kończy, DJ wrzaskliwie zapowiada następny utwór, piosenkę Lady Gagi. Chłopak zaczyna tracić rezon.

– Wypierdalaj. Sio. Już – niecierpliwi się Karaś.

Chłopak nie jest głupi. Nie będzie umierał za ochłapy od dzianych łajz. Zrzuca czerwoną marynarkę, idzie szybkim krokiem w stronę windy.

– Ej! – woła za nim Dario.

Chłopak się odwraca. Dario podchodzi do niego, wyciąga z kieszeni kilka zgniecionych banknotów i wciska mu w dłoń.

– Zabierz tę dupkę gdzieś. Pojedźcie sobie.

Gdy do nas wraca, rozchyła przeszklone drzwi, jakby wprowadzał nas do własnego teatru. Wchodzimy za nim. W środku, w podłużnej sali jest pełno ludzi, co najmniej dwieście osób. Część z nich siedzi przy stolikach, patrząc na panoramę Warszawy. Inni stoją stłoczeni przy długim, podświetlonym barze. Na końcu sali widać DJ-kę, obok niej niewielki parkiet. Ma zielony, fluorescencyjny kolor.

To ekskluzywny bankiet, który powoli przeistacza się w polskie wesele. Wszyscy są mocno pijani, zabiegani kelnerzy w czerwonych garniturach donoszą na stoły wódkę w wiaderkach z lodem oraz rozpalone szisze. Kobiety tańczą z determinacją, jakby brały udział w konkursie. Faceci opierają się o siebie, obściskują, przy okazji się obwąchując.

Na sali obowiązuje podział kastowy. Ci przy samych drzwiach to jakiś plankton. Paru piłkarzy, właściciele większych firm, kilku prawników, choć nie z pierwszej ligi. Kojarzę ich z miasta, zawsze gdzieś tam dryfowali na powierzchni nocy. Przy stolikach głębiej – paru radnych, deweloperka, między innymi Anioł; chyba rozpoznaję siedzącego z nimi jednego pośła lewicy, łysawego, prężnego na Instagramie koleżkę, który jeszcze niedawno głosował za ustawą chroniącą lokatorów mieszkań komunalnych. W Argentynie czasami oglądałem polskie wiadomości na laptopie. Pamiętam go z programu Olejnik – opowiadał, że musi kontynuować piękne dziedzictwo Jacka Kuronia. Jeden z kolegów Anioła sypie mu szczura. Nie wiem, czy Kuroń wachał. W sumie umarł dość młodo, na serce, ale to były chyba temperament i papierosy.

Kojarzę ich wszystkich bardziej niż mgliście – produkcja filmowa, budowa hal i magazynów, spółki stawiające wieżowce w centrum i kupujące grunty pod elektrownie jądrowe. Ze trzech Wietnamczyków z żonami – eleganckich, dystyngowanych. Pewnie chcą przeprać tę górę forsy z podróbek w jakiejś nieruchomości w centrum. Gospodarze siedzą na samym końcu sali, schowani w cieniu, w czymś w rodzaju łoży VIP. Tugajew, obok niego Drażek – nie wiem, czy wciąż współwłaściciel Legii – oraz Kurpiński, szef jednej z większych kancelarii, która broniła pruszkowskich jeszcze w latach dziewięćdziesiątych.

Co chwila zerkają na miasto. Z tej perspektywy wydaje im się, że jest czymś, co mają pod pełną kontrolą. Trójwymiarową planszą do *Monopoly*. Placem zabaw udającym plac bitwy. Wielką kuchnią, w której ci na szczycie, pozorując konflikty, odgrywając role polityków, tak naprawdę gotują razem wspólny tłusty sos.

Dzisiaj nikt nie jest po prostu bandytą.

Oprócz nas. Jesteśmy starą szkołą, jak metalowcy z Katowic.

Ich chamy widzą nas pierwsze. Jest ich raptem kilku, stoją pod ścianą, bez wątpienia są pod kopytem. Karaś strzyka śliną, ostatecznie odpluwa zdenerwowanie, przeciąga się i wypina klatkę piersiową.

Podchodzą do nas, na razie dwóch. Zwykle łby z wykrojnika. Większość ludzi dalej nie zwraca na nas uwagi, część wychodzi na korytarz, mijając nas przy tym, jakbyśmy byli powietrzem. Roman ma na sobie spodnie moro i kamizelkę kuloodporną – ale dla pijanej, porobionej i szczęśliwej wyjściem z domu osoby po prostu jest mirażem.

– Panowie do kogo? – pyta jeden z chamów.

– Czasy się zmieniają! – przekrzykuje muzykę Dario.

Cham nachyla się do niego, próbuje zrozumieć.

– Trzeba być kulturalnym, ja doceniam kulturę – mówi Dario.

Tamten wciąż nie rozumie.

Drzwi za nami się otwierają, powoli. Odwracam się, aby na nich popatrzeć. To nasi ludzie. Jest ich dwudziestu, w pełnym rynsztunku. Gogle, kominiarki, odzież taktyczna. Wojsko zgrane jak balet. Mają karabiny M16 z laserowymi celownikami. Obserwowałem ich o świcie na prowizorycznym poligonie za Janówką, robiących podchody, tropiących się nawzajem, zastawiających na siebie pułapki. Stałem w lesie, wdychałem zimne powietrze, krew gęstniała mi od świetlików, grzała od środka.

W sekundę ustawiają się w szyk.

– Proszę nie panikować. Proszę państwa, proszę nie panikować! – krzyczy ktoś najbardziej spanikowany.

Muzyka w końcu cichnie. W zapalonym świetle zgromadzeni wyglądają jak wybudzone wampiry. Na nasz widok truchleją, ich twarze stają się pyskami przerażonych zwierząt.

– Nie bójcie się, wy moje kochane kurwy jebane! – woła Dario. – To tylko miś. Miś po miodek przyszedł dziś. – Mlascze. – Opowiem wam historię. Spokojnie. Mamy chwilkę, co nie? Nie śpieszy nam się. Moja babulka zaprowadziła mnie na pole i kazała włożyć mi rękę w spuchłe brzuch martwej krowy. Powiedziała: zobacz, Daruś, tak śmierć wygląda. Jak to śmierdziało, nic tak nie śmierdzi, powiem wam. Potem miałem dwa tygodnie gorączkę. I wciąż ją mam. Mam gorączkę na sprawiedliwość. Moja sprawiedliwość jest prosta. Sprawiedliwie jest, gdy ja mam. Gdy nie mam, jest niesprawiedliwie. Teraz wy macie, a ja nie mam.

Jakiś spanikowany facet sięga po portfel. Dario to widzi. Wyraźnie go to bawi.

– Schowaj to, chłopinko. Ja was nie okradam, kochane moje kurewki. Ja robię to z wami, co się robi z kurwami. Rucham was.

Dokładnie gdy kończy, Roman strzela stojącemu naprzeciwko nas ochroniarzowi w głowę.

Dario kuca, ja też. Odwraca się do mnie. Uśmiecha. Nasi strzelają krótkimi, precyzyjnymi seriami, a każda z nich ogłusza jak jadący po głowie pociąg. Ochroniarze mają kamizelki, ale naboje z M16 przecinają je jak skalpel skórę. Naboje przecinają również inne rzeczy. Szklanki. Klosze lamp. Butelki z wódką. Naczynia z jedzeniem. Elementy wystroju wnętrza. Doniczki. Płyny, pył, ostre drobiny szkła tańczą w powietrzu, ogłupiałe nagłym wyzwoleniem ze swoich form. Rzeczywistość traci ramy, staje się bzdurą. Ten proces jest piękny – nikt go nie docenia, wszyscy są zajęci paniką, ale najlepsze słowo, aby to opisać, to PRZEDSTAWIENIE. Nie jesteśmy jego twórcami ani reżyserami. Ono już czekało, gotowe. My tylko daliśmy sygnał. Nacisnęliśmy „play”.

Część pocisków trafia w zbrojone, kuloodporne szyby. Patrząc zafascynowany, jak dworzec, Pałac Kultury, wieżowce, ulicę Emilii Plater pokrywa siatka tysięcy drobnych pęknięć. Te pęknięcia nie znikną, nawet jeśli ktoś wymieni szyby. Przebija przez nie próżnia. Za zasłoną jest zimny ocean pod czarnym niebem. Jedyne dźwięk, to jej śpiew.

Gdzieś tam w dole, w ciemności, mały Jacek idzie za rękę z przestraszonym ojcem.

Ludzie zaczynają wrzeszczeć, mogą jednak biec tylko do wyjścia, w stronę plutonu egzekucyjnego. To wąskie pomieszczenie, więc zaczynają się przewracać, tratować. Oszczędzamy cywili. Część wybiega na zewnątrz, taranując ciałem szklane drzwi. Wśród biegnących widzę Anioła. Jego partnerka, Przyjazna, próbuje go dogonić, ale jest tak przerażony, że pędzi na oślep, zostawia ją w tyle.

Setki godzin prób owocują idealną synchronizacją. Każda sekunda jest czysta, pozbawiona fałszu. W końcu serie z karabinów cichną. Pułk rusza w głąb pomieszczenia, omiatając lufami tych, którym strach odebrał możliwość ruchu. Kilku chłopaków zostaje przy drzwiach, zabezpiecza korytarz. Widzę łącznie trzy trupy: oprócz tego, który wyszedł nam na powitanie, jeden pod ścianą i jeden na parkiecie. To wszystko mężczyźni, ochrona. Dystyngowany Wietnamczyk łapie się za serce, może mieć zawał.

Kobieta – około czterdziestoletnia, szczupła i umięśniona blondynka – zaczyna wrzeszczeć. Jest tak przerażona, że słowa prawie zlewają się w jeden nieprzerwany wrzask.

– Ludzie, błagam, zostawcie nas w spokoju, ludzie, my nic złego nie zrobiliśmy, ludzie, kurwa!

– Blania, zamknij się! Cicho bądź – ucisza ją ktoś.

Widzę Tugajewa, on widzi mnie, jego spojrzenie przecina półmrok sali, strach, pył i dym. To, co miało zostać powiedziane, zostało w końcu powiedziane.

Nagle ten starszy Wietnamczyk wstaje. Ktoś próbuje go powstrzymać, ale on idzie przed siebie, prosto w moim kierunku. Człapie jak oszalały pingwin, prosto w ciemność. Podbiegam do niego i go popycham, ale on rewanzuje się tym samym. Jego przerażone, głupie ciało chce się bić. Jestem silniejszy. Przewracam go na ziemię, przygniatam piętą.

– Chcesz żyć, to leż – mówię.

Dario wstaje. Klaszcze. Złudzenie, jakby z nieznanego źródła padał na niego snop światła.

Ktoś zaczyna płakać. Mężczyzna kucający pod barem woła panicznie swojego ojca. Niedaleko mnie facet koło pięćdziesiątki, schowany za filarem, trzęsącą się dłonią trzyma się za serce, drugą próbuje wykręcić numer alarmowy. Jest przekonany, że go nie widać.

– Asłan, przyjacielu. Poznajmy się w końcu. Tyle o sobie słyszeliśmy – mówi Dario.

Ludzie Asłana usiłują go zatrzymać, ale on się nie boi, wychodzi na środek parkietu. Ma powolne ruchy przerośniętego, starego lwa. Zamiast lęku niesie w sobie gniew. Światło z punktowego reflektora barwi mu twarz na czerwono.

– Asłanku, Asłanku. Powiem ci tak. Zawsze jak chcę kogoś poznać, to go poznaję. No i teraz ciebie poznaję. Mam do ciebie dużo szacunku. Na dobre śruby cię skręcili. Dlatego chciałem ci powiedzieć, że witam cię serdecznie w moim mieście, pięknej Warszawie.

– *Sobaka trachniła twoju mat' szliuku.* – Asłan splotuwa na ziemię.

Dario kręci głową, udaje rozczarowanie.

– Stara propozycja była dobra, Asłanik, ale ją odrzuciłeś i już jej nie ma. Teraz jest nowa, posłuchaj. Dziesięć procent mam z tych twoich paraolimpiad. Trzydzieści mam z twojej ulicy. Twoi ludzie odpowiadają przede mną. A ja mam monopol na zielone kapsułki.

Zza Asłana wynurza się jeszcze jeden mężczyzna. To ten jego problem-solver. Ubrany tak samo jak wtedy, w nienaganny golf i zwyczajne jasne dżinsy. Myśli, że pomoże rozwiązać tę sytuację. Tacy ludzie potrzebują zwykle dużo czasu, aby zaakceptować swoją bezradność; on niestety nie ma go zbyt wiele.

– Powiem ci tak, Asłanik: w geście dobrej woli płacę pół miliona dolarów za każdego trupa dzisiaj. Na przykład za niego. – Dario wyciąga broń i strzela problem-solverowi w klatkę piersiową.

Krzyk, wrzask masakrujący uszy jak ultraszybkie wiertło. Asłan nawet nie odwraca się w stronę upadającego ciała. Nawet nie mruga.

Pluje Dariowi pod buty.

Dario się uśmiecha.

– *Sztoby swini sjeli twoju mat' szliuku.* Za to, co dziś zrobiliście, wasze matki i wasze dzieci będą grzebane żywcem. W jednych dołach. Na waszych oczach.

Dario przymyka powieki i robi głęboki wdech. Takie gadanie tylko go męczy. Cierpienie jest jego powietrzem.

– Jadą tu moi ludzie. Całe wojsko. Chciałeś się pokaleczyć, co masz. Przyszedłeś z zabawkami na wojnę atomową – grzmi dalej Asłan. To ciągle gadanie go skraca, pozbawia majestatyczności, którą tak bardzo chce emanować.

Na korytarzu pojawia się jeszcze kilku uzbrojonych chamów, ale na widok ciał od razu tracą rezon. Jeden z nich to Śniady. Podoba mi się, że tu jest. Pasuje tutaj. Będę miał z tego coś dla siebie, mały bonus, prezent.

Mrugam do niego jak do dziewczyny.

– Asłanik, Asłanik. Oni myślą, że ty jesteś zwierzaczek egzotyczny. A ty jesteś głupi, bracie, że aż przykro patrzeć. Myślisz, że tu są jakieś zasady, Unia Europejska. Ty myślisz, że uciekłeś na jakiś Zachód.

Asłan robi dwa kroki w tył, teraz stoi obok ciała problem-solvera.

– Posłuchaj mnie, Asłanik. Jest taki czas, kiedy wszyscy myślą, że są bezpieczni, pływają sobie w jeziorze ciepłej głupoty. Kiedy na podjęcie jednej decyzji potrzeba zgody tysiąca łbów, które nawet nie znają się nawzajem. Kiedy potrzeba tysiąc firm, aby wyprodukować i sprzedać jedną rzecz, soczek, klocek, wtyczkę do dupy. Wszyscy myślą, że tak będzie już zawsze. I wtedy przychodzą tacy jak ja.

– Zarznię cię jak psa.

W odpowiedzi Dario podnosi ręce jak dyrygent.

Jedna sekunda, zanim rozlegnie się terkot broni.

Adrenalina to potężny narkotyk. Powiększa mózg, zabiera go w gwiazdy. Olśnienie – to właśnie ja jestem złym snem większości ludzi. To ja jestem chaosem, z którego wyrodi się nowe. Muszę przeżyć chaos, wytrzymać go, by nadać kształt nowemu. To może być coś pięknego, jak symfonia.

Jak Wariacje Goldbergowskie.

Ale teraz – otworzyć oczy. Wrócić na ziemię. Jeden z naszych leży na podłodze, ktoś z ludzi Tugajewa trafił go w szyję. Panika, znowu. Ludzie biegają po sali, przewracają się, strzelcy zajmują pozycje za filarami. Kolejne pociski odrywają od baru i DJ-ki fragmenty ścian ze sklejki i z kartongipsu. Ktoś otworzył schowane za DJ-ką wyjście ewakuacyjne prowadzące na klatkę schodową. Ludzie biegną w tamtą stronę, natychmiast klinując wąskie przejście. W przerwie pomiędzy strzałami słyhać rumor, krzyk – ktoś właśnie spadł na półpiętro.

Kucam za DJ-ką. Grubawy facet po trzydziestce, w obcisłej koszulce i z nażelowanymi włosami, kiwa się w przód i w tył, wciskając dłońmi słuchawki w czaszkę. Po nogawce jasnych džinsów cieknie mu struga moczu.

Odbezpieczam pistolet. Nic nie widać, unoszący się w powietrzu pył formuje się w krwawe chmury. Nasi ludzie są kształtami, duchami, które trzymają pozycje. Ostrzeliwiają tych przy wejściu. Karaś, schowany za filarem, przyciska do siebie tę blondynkę, której ktoś kazał się zamknąć. Prawie wszyscy cywile wybiegli już na schody ewakuacyjne, ci, którzy zostali, są tak przerażeni, że nie mogą się ruszyć.

– *Uże! Dostatoczno ich!* – krzyczy ktoś, chyba Umar.

Strzały cichną. Opada kurz.

Karaś wychodzi zza filaru, zabezpieczając się zapłakaną kobietą.

– No i tak się sprawy mają – mówi Dario.

Prawie pusta sala. Kilka nowych ciał. Warszawa pękła na drobne kawałki, zamieniła się w biały szum. Jeszcze chwila, jeden strzał, i te szyby pękną, na małego Jacka i jego tatę spadnie deszcz ostrych szklanych drobin. Wszystko się skończy. Już nigdy nie dojdą na Ursus.

I nagle widzę, jak Śniady zrywa się od wejścia i na oślep biegnie wzdłuż korytarza, w stronę windy. Jeden z naszych znowu podnosi karabin, chce go odstrzelić. Śniady zatrzymuje się, podnosi ręce nad głowę.

– Nie! Kurwa, nie! – krzyczy z głębi korytarza.

– Odwrót! – komenderuje Umar i dodaje, odwracając się do Daria: – Zaraz tu będą.

– Darek?! – woła Karaś. Kobieta, którą trzyma, wierzga mimo broni przystawionej do głowy.

– Puść ją! – krzyczy Asłan.

– I co teraz, Asłanik? – pyta Dario.

– Darek, zaraz będą. – Karaś ściska szyję kobiety. Przemoc go uspokaja.

– No, co się stanie? Polubisz mnie, Asłanik, jak fajnego kolegę?

Asłan w odpowiedzi wyciąga broń, dopiero teraz. Wszyscy nasi ludzie przekierowują karabiny w jego stronę. Nie miał tej broni jeszcze chwilę temu, nie miał nawet gdzie jej schować. Ktoś musiał mu ją podać. Celuje w Daria. Dario rozkłada przed nim ręce, jakby zachęcając go do strzału.

Śniady zrywa się do biegu. Przecinam salę tak szybko, że nikt nie zdąży nawet do mnie krzyknąć. Zresztą i tak wszyscy patrzą na Daria i Asłana.

Olśnienie zamienia się w ekstazę. Jakbym został Bogiem, a potem się zakochał do szaleństwa, sam w sobie. Śniady zbacza w boczny korytarz, biegnie w stronę drzwi z napisem WYJŚCIE EWAKUACYJNE. Pędzę za nim, dopadam do drzwi. Śniady zeskakuje po trzy stopnie, cudem nie traci równowagi. Zatrzymuję się, celuję. Jego sylwetka maleje. Wdech. Wydech. Strzelam mu pod nogi. Przewraca się od razu, leci pół kondygnacji w dół, krzyczy.

Zbiegam w swoim tempie. Śniady leży ze skrzyżowaną nogą, próbuje się podeprzeć i wstać, drugą ręką bezradnie mierzy do mnie z broni. Strzela na oślep. Kula trafia w ścianę, dobry metr ode mnie.

Strzał mnie nie zatrzymuje. Śniady jest zdziwiony, o sekundę za długo. Próbuje wstać. Strzelam mu w kolano. Wrzeszczy, osuwa się na ziemię, broń wypada mu z ręki. Kopniakiem strącam ją na półpiętro.

Słyszę, że winda się zatrzymuje. Drzwi się rozsuwają, ktoś wypada na zewnątrz, uzbrojeni ludzie. Stać! Ręce do góry! Na ziemię! Ci ludzie to policja.

W odpowiedzi na komendy strzały – jeden, drugi, trzeci. Po strzałach wrzaski. Po wrzaskach znów komendy. Ktoś wykrzykuje imię Asłana. Ktoś wydaje z siebie przeciągły, zwierzęcy ryk. Ktoś bardzo głośno odmawia różaniec.

Mieliśmy plan budynku. Wiedzieliśmy, w jakich godzinach zmienia się ochrona. Wiedzieliśmy, że gdy w końcu wpadną tu policjanci, przebijemy się przez nich, zbiegniemy schodami ewakuacyjnymi na sam dół. Reszta

naszych ludzi będzie czekać w autach zaparkowanych tuż przy wyjściu na parking podziemny. Policjanci nie zrobią blokady, nie mają pojęcia, ilu nas tu jest. Od razu się rozdzielimy, każde auto pojedzie w innym kierunku. Spotkamy się w nowym miejscu dopiero nad ranem.

Spokojny, olśniony, szczęśliwy. Załatwię wszystkie sprawy. Zbuduję nowy świat. Dzieciak, dzieciak dostanie wszystko, czego chce. I będzie bezpieczny.

Złapałem Boga za twarz i trzymam kurczowo. Adrenalina jest niesamowita. Crack przy niej to herbata z torebki. Będę potrzebował dziesięciu światełek, by zejść z tego stanu chociaż o stopień niżej.

– Śniady, to ja, ten frajer i pedał, jak mnie wielokrotnie nazywałeś.

Ból robi mu nową gębę, zmienia rysy twarzy. Śniady się poci jak w stustopniowej saunie. Ale musi grać rolę gita, do samego końca.

– Na weselu Piotrka miałeś, kurwa, farta.

Już nie słyszać strzałów. Nasi musieli zbiec na dół. Słyszać za to policjantów komunikujących się przez szczekaczki.

Śniady przestaje być śniady. Śniady zaczyna być biały jak płótno.

– Jesteś eunuch, Nitecki.

Parskam śmiechem.

– Znasz ciekawe słowa, Śniady. Powiedz mi, czy widzisz, co właśnie się stało?

Słyszę głos policjantki otwierającej drzwi do kolejnych pokoi. Może to Ewelina, ale ściana i odległość zniekształcają głos.

– Tu jest jakaś kobieta – mówi ktoś niewyraźnie.

Śniady zaciska zęby, tak mocno, że zaraz mu pękną. Wokół przestrelonej nogi zebrała się kałuża krwi. Mimo to się uśmiecha. Pytam go, co jest takie zabawne.

– Świat jest mały.

– Może twój.

Syczy z bólu. Ktoś krzyczy, aby wezwać karetkę. Nie, dwie karetki, trzy, poprawia się. Jakie karetki, odpowiada mu ktoś inny, skąd ci wezmę, kurwa, karetkę. W tym mieście nie ma żadnych karetek.

– Ty, ta ziomalka taka. Zupełnie o niej zapomniałem. Twoja ziomalka. Cały czas była w pokoju. Łukasz się z nią zabawił. W sensie nie kutasem. Zabawił się z nią jak z chłopem.

Haj nagle pryska jak bańka. Ustępuje miejsca czemuś innemu, dławiącemu, krępującemu ruchy. Troska. Znowu. Kacper. Pocałunek

w głowę. Pocałunek na lotnisku. Czarny deszcz. Ale nie, nie teraz. Nie odpuszczaj, Jacek. Trzymasz Boga za brzydką, przestraszoną gębę. Bóg jest frajerem, jak Damian z Olsztyna. Bóg siedzi w wietnamskiej budzie i gapi się w zimną zupę, przerażony jak dziecko.

– Naszła nas dzisiaj na balecie. Ktoś za mocno pobił jakiegoś transa, a ta podkręcała, że to Łukasz, no to Łukasz się wkurwił... A chuj w to, ty. Ważne, że tam jest teraz i nie ma za bardzo twarzy, powiem ci.

Ktoś na górze krzyczy, że sprawdza wyjścia ewakuacyjne.

– Ogólnie to stara i brzydka, ale cyce fajne.

Nic. Nikomu. Nie. Zrobili.

Kiedyś mnie upokorzył i wydymał. Ale teraz zabrał mi największy haj życia. Zabrał mi jasność. Teraz rozjuszył mnie naprawdę.

Trzask drzwi. Ktoś krzyczy:

– Stać!

– Nie umiesz zabijać, kondonie.

– Ale pilnie się uczyć – odpowiadam.

– Stać!

Odwracam się. Znam tego psa. Udawany twardziel z brodą, śmieszny crossfitowiec, był w pałacu Mostowskich. Stoi z uniesioną spluwą, wyprężony jak struna, ale tak naprawdę we mnie nie celuje, tylko stara się wygrać internetowy konkurs na najlepiej wyglądającego koleśka z bronią.

Strzelam, trafiam tuż obok jego głowy. Od razu traci równowagę.

Odwracam się i strzelam. Twarz Śniadego przestaje istnieć.

I jeszcze raz w stronę gliniarza, teraz gdzieś z dala od niego, po prostu aby usłyszał strzał.

Spokój, który przychodzi, tak naprawdę jest pustką. Zimnym oceanem. Czarnym niebem. Znajomym śpiewem.

I tak jest dobrze.

– Nie jesteś zły, co ty pierdolisz – powiedziała Pazina kiedyś, gdzieś, nie pamiętam, w jakich okolicznościach.

Pazina. Miała jej pilnować, ta Ewelina. Stop. Później. Dowiem się wszystkiego. Jeśli cokolwiek jej zrobili, zabiję też tego drugiego. Zabiję Ewelinę. Zabiję wszystkich.

Bzyczy telefon. W wiadomości współrzędne GPS. Według planu mam dwie godziny, by tam dotrzeć.

Wsadzam do ust dwa świetliki i je rozgryzam, chociaż nie mam czym ich zapić.

Gliniarz chce znowu podnieść broń.
– Za trzecim razem trafię – ostrzegam.
Zbiegam szybciej od samobójcy, ledwo trafiam stopami w schody.
Jeden skok to prawie całe półpiętro.

KURTKA

Domestos haze

8 PAŹDZIERNIKA 2020

Że wszystko musi się ukreć na lewiznę, to wiadomo. No ale żeby aż tak? Spokojnie, wdech, wydech i się odkuwamy. Wiosłujemy. Nie dać się zjeść emocjom, najważniejsza sprawa. Nie dość, że ten Babilon wybuchł, to teraz jeszcze to. Afera jak w trzydziestym dziewiątym. Najpierw tracisz hajs. Potem ludzi. Na końcu klawisz. I to dlatego, że paru wariatów wkręciło sobie, że są Hitlerami. Niby nie można brać wszystkiego do siebie, ale ja jestem jak Tomek Jarzębowski, co sezon to kontuzja. Jak Roberto Baggio. Jak jakiś, kurwa, Hiob, wiesz, o co chodzi.

Niby jeszcze nie jest źle. Żyję, oddycham, widzę, chodzę. O Bastku czy o tym modnisiu ze Śródmieścia już nie można tego powiedzieć.

Oczywiście masz rację, mordo, wszystko ma dwie strony. Druga strona jest taka, że siedzę w suce. Psy szczęśliwe, pierwszy raz w covidzie trafili taki łup. Balet na dobre pięćset osób, nie zawiną ich wszystkich, nie ma opcji. Ledwo ich widzę przez tę zarzyganą szybę, ale jest ich tam od chuja i ciut, ciut. Z tysiąc osób przyszło dziś na Saską, jak nie lepiej. Komedia, jak ten film *Projekt X*, ten, co karła zamknęli w piekarniku, a temu typowi, co miał serce i go wypuścił, karzeł wyjechał strzała na jajca. Tak to jest z dobrymi uczynkami.

Ludzie przestraszeni, ale typy bardziej niż dupy – stoją, filozofują, wykłady robią, a te dupy tylko poirytowane, że zawsze coś. Co oni im zrobią? Nawet mandatów im wszystkim nie dadzą. Dajcie wy im spokój, na melanż ludzie poszli. Zapomnieć o tym, że im firmę kazali zamknąć. Hitlerowcy byli lepsi. Cały świat poszedł pod celę, macie, co chcecie, jaszczury.

Spokojnie, myślę. Oddech. Sprawdzam бага, w środku dycha zipa, ale mądrze, w słoiku plastikowym po medyczniaku, plus recepta w laminacie.

Chce mi się tak, że mógłbym teraz palca zrolować tu przy tej kurwie, co siedzi na pasażera.

Wstrętne mają te szyby, wybacz im, Boże. Rozumiem, że oni są puści w ryj i zarabiają po dwa koła na miecha, ale nie ma jakichś specjalnych myjni dla psów? Chyba że zjeżdżają na bazę i robią se turniej, kto się lepiej zrzyga?

Ten szon, co wpakował mnie do auta, pofrunął do przodu w stronę Paziny i Łukasza. O Łukaszu nie ma co gadać. Gdyby nie Aslan, oprawiliby go na filety. Pazina to dla mnie kosmitka, przyfrunęła tu z innego wymiaru, chodzi na głowie i wspak, mówi od tyłu. Rozumiem, żeby to były jakby jej dzieci, rodzina. Ale to są duzi ludzie, do tego ćpuny jakieś. Ten typek, co go zajechali, no trudno. Sam się prosił. Każdy eskort ma jakiegoś chłopca. Każdy jeden. Jak nie ma, to jest cofnięty w rozwoju. Może panny, co robią tylko masaże i lachę w kaloszu, nie mają, chociaż też nie sądzę. Chciał iść sam, trudno, mógł rozkminić taką podstawową rzecz, że poza wszystkim typowi sto razy łatwiej obić ryja niż dupie. Nie kumam tej Paziny, ale tak w chuj nie kumam, mogłaby przecież próbować żyć normalnie. Jakkolwiek, jak ludzie żyją. Chata w kredo, dziecko, pies, COŚ. Chłop jakiś by ją ogarnął, zwykły taki, lekki przychlast, wiesz, o co chodzi, chude łapy, broda z piździkłaków, chujowe dziaby, czapka z płaskim daszkiem, bluza Patagonia. Taki, co grafikę na komputerze robi i dużo jeździ na rowerze. Taki, co się go bierze na czopka po jakimś wariacie, co ją przetyrał, i ten czopek tak już zostaje, bo jest fajny chłopak. Na jednego strzała, ale serce dobre. Psa do weterynarza zawiezie nawet w środku nocy. Ritalin dostał od lekarza, to mu się łatwiej skupić. Głosuje na lewicę, bo taki jest, kurwa, głupi, że osiemdziesiąt procent podatku chce płacić powyżej czterdziestu koła rocznie, bo trzeba pomagać dynksom walić, kurwa, dynks.

Z drugiej strony, już chyba nie ma czegoś takiego jak normalne życie, i więcej już nigdy nie będzie. Gotuj się, mordo, bo jest posprzątane. Jest nowy porządek światowy. Zaraz pykną wojenkę jakąś do kompletu, żebyś w ogóle ze strachu na wszystko się zgodził.

Wiesz, o co chodzi.

Nie, byku, ty nie masz najmniejszego pojęcia, o co chodzi.

Pić mi się chce.

– Ej. Coś masz się napić? – pytam psa.

Nie odpowiada. Nie jest jakiś zbyt lotny. Jakby nie był psem, toby codziennie rano wsiadał do tramwaju z gazetą i do wieczora tak sobie

jeździł, od pętli do pętli. Najśmieszniej to by mu było klasnąć mukę w łeb. Ale by się spulił, wyjechałoby mu procedury. Robić psom system error, najśmieszniejsza rzecz na świecie.

– Ty, mordko, a mogę się tu zjulać? I tak jebie, to co za różnica? – pytam go.

No i już się na mnie gapi we wstecznym, jakbym się zmienił w chińskiego mandaryna, balas jebany.

Dobra, podstawa to teraz nie dać im się wjechać na cztery osiem. Będą piłować i wciskać białko w ryj. Ja jestem gotów. Okoliczności są wyjątkowe.

Po prawdzie, to są wyjątkowe od jakiegoś czasu.

Teraz pomyślałem sobie takie jedno zdanie, jakbym był porobiony, a ktoś by mi je powiedział, tobym się do rana śmiał, wiesz, o co chodzi. Zdanie brzmi: „Myślę, że taki Bytom to jest rozsądna opcja”. Śmiesznie, nie? A teraz tak, skumaj: po pierwsze, w Bytomiu nikt mnie nie będzie szukał, ten Hannibal Lecter z Parzęczewa i jego ludzie w sensie. Co ja go obchodzę? Chciał zrobić terror, to zrobił. Jakby nie chodziło o terror, toby nas wtedy w tej ambasadzie wszystkich odpalił, a nie tego jednego Waclawa. Oddał mi broń. Że mu jedna torba świetlików zniknie? A co on, każdą pigułkę liczy? A dajże spokój. Po drugie, klawisz w Bytomiu wynająłem na słupa za śmieszny pieniądz. I po trzecie, w Bytomiu jest przejebane. Serio przejebane. Nikt tam nie ma roboty. Byłem tam raz u kuzyna, tam jest jak w tej gierce *The Last Of Us*, wiesz, o czym mówię. Ludzie chodzą ujebani węglem, w popękanych domach szamią breję z kurzych łapek. Szamy szukają na śmietnikach i nie dlatego, że jest teraz taka zjebana moda. Weź egzystuj w tym koszmarze. Pójdzie tam ten towar na pniu. Przykro będzie tam siedzieć, ale trudno. Lepszy Bytom niż dziura w ziemi w Lesie Młocińskim. Poza tym nawet w takim Bytomiu musi być jedna fajna dupka, którą klaśniesz przy Netfliksie. Córka górnika.

Najlepiej to by było do Pendolino wsiąść, pytanie, czy jeszcze jeździ. Jak nie, cierpuch dostanie dwa koła i pojedzie. Jak zapyta, czy na bombie, to usłyszysz, że sam jest bomba. A jak zapyta drugi raz, to złapie na czambuł.

Przypomina mi się ta ambasada. Trzy dni potem nie spałem. Kula w łeb, na żywo, przy tobie – coś straciłem. Jakbym zapomniał jedną literę i przestał umieć ją czytać. Wszystkie pozostałe git, ale tej jednej nie widzę, obcy znaczek. Poszedłem po tym w takiego świra jak za małolata, gdy skakałem po balkonach albo brałem trzydzieści ekstaz, zalewałem

spirytusem i lepiałem z tego taką kulę, i gryzłem sobie po trochu. Ja pierdołę, to cud, że ja jeszcze żyję. Życie cudem jest, jak w tej piosnce, co zawsze w radiu w cierpówie leci.

Ten szon wraca do fury. Nie dogoniła ich, trudno. Ona jest taka nawet do zapiekowania, trzeba przyznać. Jakbym ją przyciął w klubie w cywilu, tobym się do niej coś odezwał. Zrobiona, wszystko git. Pewnie ma na imię Violetta, ale mogłaby mieć Pamela.

Siada za kierownicą, ja otwieram gębę, ale ta widzi we wstecznym, że otwieram gębę, i pyta pierwsza:

– Gdzie oni pojechali?

– Zawieziecie mnie na chatę? – pytam.

– Nie wkurwiał mnie lepiej – mówi.

– To od pani zależy, ile pani ma w życiu nerwów. Książkę mam taką o tym. *Tajemnica podświadomości*, zajebista – mówię jej po przyjacielsku.

– Byłeś z nimi! – krzyczy.

– No, ale już nie jestem, jestem tutaj, więc skąd mam wiedzieć, gdzie oni są? To jest logiczne twoim zdaniem? – pytam.

– Bierzemy go na huki.

– Już się boję.

– Jeszcze się przestraszysz.

– Takie życie, nieustająca próba.

Rusza z dwójki, przygazowuje. Co oni mają, te tępaki, ogarnąć, jak oni jeżdżą kiami silnik jeden cztery. Ona sama siebie nie dogoni.

– Masz, wybieraj jej numer. – Szon podaje przygłupowi telefon.

No to jedziemy na pałac. Na miejscu idzie szybko. Kajdan, odciski, na korytarz, pół godzinki czekania. Najgorsze, że cały czas w tej maseczce jebanej. Wielkie mi huki, kurwa. Tyle że pić się chce i do kibla iść nie dali. Trudno, ja tam nie mam problemu zlać się w pory, pojedę na klawisz, to się przebiorę, to im będzie niesmacznie ze mną siedzieć. Papierów na razie nikt nie daje.

Pamela siada naprzeciwno. Chyba mnie lubi. Pod bluzą z kapturem widać dobre cyce. Tapety to ma więcej niż Castorama. Normalnie imprezowa dziewczyna. Niech ona mi tu nie udaje kogoś, kim nie jest.

– Aleksander Rogala, pseudonim Kurtka.

– Tak, to ja.

– Od jakichś pięciu lat dystrybucja nielegalnych środków odurzających, wyłudzenia numerów kart kredytowych, nielegalny hazard, obrót

kradzionymi dobrami.

– No, nie no, to ten drugi Aleksander Rogala. Ten z Grodziska, co mu pękła miska.

Kręci głową. Patrzy na mnie jak na typa w klubie, co ją za mocno szarpie. To dobrze.

– Nie mam siły na to gównno. Serio.

– Ale macie coś na mnie czy nie? Możesz mi klawisz strzepać, adres znasz. Na konsoli możecie sobie pograć.

Na tej mikrokawalerce podnajętej z Airbnb to mam szczotkę do zębów, perfumy i badeje. Do mojego właściwego klawisza wjechali o piątej nad ranem i dali dwie godziny na wyprowadzkę, bo tak. Więc niech ona teraz sama tam wbija i niech trafi na tego Czeceńca i tego wariata z łbem użyłonym jak kiełbasa na pornosie. Niech z nimi porozmawia, niech ich spróbuje przetrzepać. Zobaczy, co się tu szykuje za cyrk. Nie płakałem, żeby nie było, to było wynajęte, niech oni się teraz z tym pierdolą. Ale z drugiej strony co to jest? Ktoś wbija ci na klawisz i każe wypierdalać. A Pigmeja, z tego, co słyszałem, wyrzucili z chaty, którą dostał po babci. To jest rewolucja październikowa, a nawet gorzej. A najgorszy w tym wszystkim nawet nie jest ten Dario. Najgorszy jest Duch. Wtedy, w ambasadzie, jak zgrywał Ibisza, popatrzyłem mu w oczy. Tam już nic nie ma. Ktoś pstryknął i wyłączył w nim człowieka, została sama schizofrenia. Tamci są źli, źli w chuj, ale Duch ma w sobie demona, wiesz, o co chodzi.

– Znalazłabym wystarczająco. Ze dwie paki i pięćset złotych i masz wpierdoloną intencję dystrybucji. A jeszcze jakiś scyzoryk, o ho, ho. Dorzucimy twoje dwie najgłupsze mordki i wyjdzie z tego piękna grupa przestępcza o charakterze zbrojnym.

Siorbie kawkę, odchyła się na krześle. Myśli, że wygrała i jest zajebiście.

– Czyli nic nie macie, nikt się na mnie nie rozpruł.

Dalej siorbie tę kawkę.

– To co ja tu robię? Kochasz mnie bardzo? Masz do mnie uczucia? Czemu nie, w sumie dobra jesteś. Tylko pewnie trochę niespójna, z oczu ci patrzy lekkim borderlajnem. Ale ja mam doświadczenie. Jak się wahasz, to ci puszczę fotki sprzętu. Nie jest źle. Krótszy, ale gruby jak serdel, wjeżdża na punkt G bez pucy. Popatrzysz sobie na luzie i zdecydujesz, wiesz, o co chodzi.

Podejrzewam, że mam teraz od chłopaków ze dwadzieścia nieodebranych. Siedzą na Bukowińskiej, przerażeni jak maniury w *Krzyku*. Trudno, nie mogę odpowiadać za pełnoletnich ludzi. Krzyż im na drogę, jak zniknę i ich zostawię bez szamy, połowa się pójdzie porozpierdalać, a druga połowa będzie robiła, jak chce ten psychopata, tyrała na ulicznej pensji. To już do Amazona lepiej iść, podobno klopsy w bufecie dobre. Weź za bardzo uwieś się na innych ludziach, to zaraz zostaniesz sam jak mały palec, człowiek z blizną, Paul Gascoigne.

– Gdzie on ją zabrał? – pyta.

– Skąd ja mam wiedzieć? Po co ci ona jest potrzebna? Aaaa, już rozumiem. Wszystko kumam.

No tak, pewnie się tam trochę dotknęły, wybrała je miłość. Ja to nawet rozumiem. Jak tak zrobić jeden wielki krok do tyłu i popatrzeć na to z odległości, to chłopcy są rzeczywiście złe. Całe to pierdolenie tych debili typu Andrew Tate, że baby są toksyczne. Ty jesteś, kurwa, toksyczny. Matka obcięła ci jajca, ubierała cię w sukienki, wpychała ci agresję z powrotem do gardła. Widzisz cipę i krzyczysz z przerażenia. Kij ci na imię, kryptogeju.

No, ale Pamela nie musi znać moich prawdziwych przemyśleń.

– Jeden żart o lesbijkach i idziesz do piwnicy na solo z pastuchem.

– Co ty myślisz, że nigdy nie miałem przyjemności? – Śmieję się.

– Przeprowadziłeś ją tam. Widzieli cię.

Tracę cierpliwość, już nie mogę się gapić, jak ona się męczy sama ze sobą. Trzeba było iść do drogerii robić, przynajmniej jakieś zniżki byś miała i inne sample. Rozglądam się po tej graciarni. Niby wszystko ładne i nowe, ale komputer identyko jak w gimbie w pracowni informatycznej, pełno papierów, co ona sama nie wie, co tam jest, dzbanek elektryczny porośnięty kamieniem. Jakaś drukarka z faksem, wielka jak prądnicą, węgla pewnie trzeba do niej sypać. Ja tobym się na kłamce wyhuśtał, jakbym tu wylądował, przysięgam. Myślała, że będzie łapać bandytów jak w serialu, a wychodzi na to, że ma siedzieć i pilnować eksponatów w muzeum techniki, pliki klikać w MS DOS. Do tego ona ma tu podwójnie przejebane, wiesz, o co chodzi. Te wszystkie chłopcy chcą ją kłuć, a każdy wygląda jak żul, z kniapy wali mu jak z kontenera na biodpady, bo zęby to ostatnio leczył, jak się w Smoleńsku rozbili, plus co wieczór odpala stare Turnieje Czterech Skoczni i wali wódę do odcinki lub sypie sobie szczury ze skonfiskowanego. Na chacie pewnie ma podobnego śmiecia, co drze

morde, że w lodówce światło niezgaszone. Naprawdę nic dziwnego, że uczuć nabrała do drugiej kobiety.

Wszystko przepięknie, ale ja się muszę zawijać, i to sznela. Pojechać do tej cioci-kłoci, którą naruchała Pazina i u której zostawiłem szpeje. Trzeba tylko zakombinować, żeby mnie wpuściła. No, ale wpuści. Stare baby są bardziej kruche od dzieci. Swoją drogą, props dla Paziny. Nie musiała. Ciche okrucieństwo tego świata: dobrym ludziom nie odpłacasz dobrem, tylko trzymasz ich przy sobie, bo się przydają, jak scyzoryk jakiś.

– Przeprowadziłem ją tam, bo chciałem jej pomóc.

– Pomóc w czym?

– Wiem tyle, że szuka typa, co pobił na śmierć tego ciotkę młodego. Ale ty też to już wiesz. – Nachyłam się do niej.

– Nie bądź za mądry.

– Nie jestem za mądry. Jestem odpowiednio mądry, tyle, ile potrzebuję. Co, ty prowadzisz tę sprawę? Nieee. No pewnie, że nie, kto by przydzielił środki na kurwiszona, i to jeszcze męskiego.

Coś ją ubodło.

– Prowadzę tę sprawę – mówi, chce coś podkreślić, ale brzmi to bardziej, jakby rozlutował jej się slot.

– Tak, prowadzisz tę sprawę jak Inspektor Gadżet, tu jest coś jeszcze, co ty myślisz, że ja głupi jestem? – Ojoj, zrzuciłem jej z planszy ze dwa piony i chyba nawet królowka wyszła na bicie. System error, drugi raz dziś wieczorem.

– Skąd ją znasz?

– Koleżanka.

– No ciekawe. Ze żłobka się znacie?

– Was to zawsze dziwi, że się ludzie znają. Hint: z wami nikt się nie chce kolegować, bo robicie na psiarni. Może spróbujcie z kanarami? Oni też są samotni.

Oj, chyba znowu trafiłem cię w czuły punkt. Odwraca się na sekundę. Głęboki wdech, głęboki wydech. Nie wkurwiał się tak, lalka. Wszystko płynie, a raczej spływa w wielki klozet.

– Ty się o nią nie bój. Łukasz jest wariat, ale nie aż taki.

– Co to znaczy, że nie aż taki?

– Że może być tak, że trochę ją nastraszy, a potem ją wypuści.

– Może tak być.

– Ale nie musi.

– Czyli Łukasz lubi straszyć, ale nie tylko straszyć?

– Jak masz na imię?

– Nie obchodzi cię to. – Patrzy w papier, znajduje moje imię. –

Aleksander.

– Ela? Eliza? Dla mnie jesteś Pamela.

– Łukasz.

– Łukasz jest różny.

– A w seksie też jest różny?

– Homofobia tak pytać, co nie?

– Czyli to prawda?

– To raczej nie jest z nim największy problem, to, że łyka chuja – mówię cicho i bardzo ostrożnie.

Mordo, spokojnie, nic ci się nie stanie. Od dzieciaka szponciłeś sam i nagle łapią cię opory, chcesz być wielki harcerz. Nie, nie jesteś żaden harcerz. Sprawa jest prosta. Są dwa powody, dla których musisz to zrobić. Po pierwsze, ci się rozkręcili na grubo i szykują na mieście ciężki festyn. A ty siedzisz w wodzie, która jest na razie tylko ciepła, ale garnek stoi na gazie. Najdalej nad ranem powinieneś siedzieć w furze i spierdalać na ten Bytom ze wszystkim, co masz. Po drugie, ta kurwa Łukasz na to zasłużył. To znaczy zasłużył na rwaniu paznokci obcęgami i łykanie kwasu, ale tak jest sprytniej.

A po trzecie, czasami trzeba kogoś sprzedać. Trudno. Okoliczności są wyjątkowe.

Nie bądź za odważny. Nie bądź pyskaty. Masz wykorzystane wszystkie życia.

– Czyli Łukasz mógłby... – zaczyna.

– Ej, ja naprawdę nie mam dwóch lat, Pamela. Bez kitu, takie ruchy to nie ze mną. Mógłby, co to znaczy, mógłby? Mógłby też zostać papieżem, jakby poszedł do seminarium i miał dobre oceny, wiesz, o co chodzi.

– Chcesz, żeby to nie szło w papier, cwaniaczku.

– Wiesz, co robią Czeczeni, jak ktoś ich sprzeda – przypominam jej.

Oczywiście, Czeczeni od Asłana to żaden problem. Za moment ich nie będzie. Ale ona nie musi dowiadywać się wszystkiego ode mnie.

Ktoś puka do drzwi. To ten pies z brodą, co też był na Saskiej. Crossfitowiec. Jeden z tych, co prowadzą takie instagramy, fajny policjant. Nie zapomnij dać łapki i suba. Tysiąc donejtów, a pokażemy wam, jak dobrze złamać rękę chłopu, co jebnął batona z Żabki.

Pamela daje mu znać gestem, że zaraz. On nie ustępuje.

– Słuchaj, jest jeszcze jedna nielegalna impreza w Warszawie. Grubasy, skybar w Marriotcie. Nie mieliśmy jej zgłoszonej, bo jest nad nią no-fly zone.

– W sensie?

– W sensie jest tam trochę ratusza i my się nie wpierdalamy.

– Jakie grubasy?

– Trochę garniturów, ktoś z Wiejskiej, biznesmeni, nie mam pewności.

Ona od razu zrywa się z krzesła.

– Czyli ruszamy.

– Poczekaj. Jeszcze idę do Żakowskiego. Generalnie to antyterrorka powinna tam jechać.

– Musimy jechać, teraz!

– Muszę iść do Żakowskiego. Minuta. Bądź na stendbaju.

Słucham sobie. Bardzo to wszystko ciekawe.

– Oni tam wjadą, Mati. Właśnie tam – mówi Pamela.

Pies dopiero teraz mnie zauważa. Macham do niego na przywitanie. Nie odpowiada. Wstaję, tak na próbę. Chcę sobie wyciągnąć gumę do żucia z бага, ale trafiam w próżnię. Kurwa, niech on mi odda tego бага lepiej z depozytu. Zajebisty, Gucci, piątkę kosztował, wiesz, o co chodzi.

– Mogę się odlać? – pytam jeszcze raz. – Bo serio puszcę na podłogę?

– Zapierdalaj – mówi Pamela.

No to idę, na wesoło, jak szef, bez kajdan, normalnie zaraz zapukam do kogoś do pokoju i zapytam, jak leci. Kibel, szybko, nawet nie jebie, coś zaczęli sprzątać. Siku, potem picie, normalnie zaraz cały kran wypiję. Grzecznie otwieram drzwi, wracam, słyszę teraz, jak gadają. Zatrzymuję się za wyłomem i słucham.

Ten pierwszy pies już się stenił, Pamela gada z następnym. To chyba ten Żakowski. Zmarszczony, żyłasty, brzydki jak stary rodzyn. Zamienił wódę na maratony, od razu widać.

– Marek. To tam. Jestem pewna. To jest oczywiste.

– Ty naprawdę mu wierzysz?

– Skoro mam mu nie wierzyć, to po co w ogóle go mamy?

– Właśnie nie wiem, czy wciąż go mamy.

Ale to jest ciekawe. Normalnie Mario Puzo, wiesz, o co chodzi.

– A myślisz że co, zaatakują supermarket?

– Słuchaj, od kilku dni jeździmy i sprawdzamy nielegalne imprezy. Fajnie, można sobie powystawiać mandaty, nastraszyć narkomana, ale to jest jedna wielka strata środków. Dziś już jedną rozbiliśmy, no pięknie. Ale mam nagle zignorować polecenie komendanta? Wjechać, kurwa, na balangę dla VIP-ów? Jeśli to zrobię, a oni się tam nie pojawią, to ja idę w zwyczajny chuj. A ty ze mną.

– Aha. Więc to jest tylko o tym.

Rodzyn marszczy się jeszcze bardziej. Oj, dostał od niej na jajca. Ogólnie dialog mistrzostwo świata, uczy, bawi, przestrasza.

– Mówiłam ci raz, drugi, dziesiąty, żeby go zawinąć. Nie, bo chciałeś się nim bawić. Chciałeś mieć własną rozjebundę. To teraz masz rozjebundę, która robi, co chce.

– To nie moja wina.

– Twoja. Mówiłam: zawinąć go, od razu. I całą resztę, póki granice są zamknięte. Na co czekałeś, Marek? Aż Nitecki przyjdzie do mnie do domu? Przyszedł. Wyciągnął broń przy moich dzieciach. Tak, ja też nie wiem, czy wciąż go mamy.

Nitecki. Który to Nitecki? Zaraz.

Kurwa.

No przecież.

Nitecki to Duch.

Duch jest rozjebundą.

Ale fart, normalnie jak Moussa Yahaya, wiesz, o co chodzi.

– Przyjdzie zgłoszenie, to pojedziemy.

– Przyjdzie, to będzie za późno.

Okej, nie mogę za długo tu stać, bo ona zaraz zacznie się interesować. Pójdzie do kibla sprawdzić, co mi się stało, czy nie połykam jakichś przykitranych leków albo nie przeciskam się przez okno. Po co mi to. Trzeba być grzecznym od początku do końca.

Wychodzę z za wyłomu, pokazuję kulturalnie, że rączki są tutaj.

Pies patrzy na Pamelę, potem na mnie.

– Kto to?

Pamela macha w moją stronę, chce mu wytłumaczyć, ale rezygnuje. Nie ma na mnie słów. Uśmiecham się szeroko, pokazuję, jakie mam piękne licówki. Wakacje w Turcji nie poszły na marne.

– A. Zwykły debil. Dawaj go na cztery osiem.

– Poczekajcie sekundę, co tak gorąco, ty, bo się zaraz wszyscy poparzymy – mówię mu. Znowu oddech, obliczenia. Jak skleją, że ich usłyszałem, pójdę na celę do wydobywczego. Ale jak dam do zrozumienia, że słyszałem część i wiem to i owo, to wyjdę na swoje. Ryzyk-fizyk.

– Coś tam słyszałem z waszej rozmowy, że jest dyskoteka w Marriotcie.
– Patrzę tylko na Pamelę, na tego drugiego pokazowo nie.

– Zaraz cię oduczę, kurwo, podsłuchiwać – mówi tamten, ale nie ma opcji, gościu, jesteś przezroczyty, a Pamela to mój człowiek.

– Tę imprezkę to z tego, co wiem, Asłan robi. Taki balet nieformalny dla przyjaciół. A on ma wielu przyjaciół, bo jest przyjacielski.

Pamela i psiur znowu mierzą się spojrzeniami. Pewnie na filmie to podejrzeli, że pies z psem na rozkminie muszą popatrzeć sobie głęboko w oczy, wysłać sobie tajny sygnał psiurskiego bractwa.

– A skoro to imprezka Asłana, a Łukasz lubi balety, to sobie dodaj dwa do dwóch. Na bank zabrał tam twoją koleżankę.

– Naszą koleżankę.

– Jak tam uważasz. On nie patrzy za bardzo, czy bije w chłopca, czy w babę. Jak się za bardzo najara, wypierdala mu kortyzol. Psiaka kopnie, jak się psiak nawinie. To zły człowiek.

Czasami trzeba kogoś podać.

Czasami ktoś musi mieć karę nie za to, co zrobił, tylko za coś innego, niekoniecznie prawdziwego.

Ważne, żeby nie był bezkarny.

Okoliczności są wyjątkowe.

– Dajesz mi go. Tak po prostu.

– Ale na papierze nic nie ma. – Wzruszam ramionami.

– To musi być. To jest morderstwo.

– Zastanowię się.

– Ja cię mogę zmusić bardzo prosto.

– Nie zrobisz tego.

– Bo?

– Bo nie umiesz walić w chuja, Pamela.

Pies patrzy na Pamelę. Chuj powszedni go to interesuje.

– Czekamy na zgłoszenie – przypomina jej i idzie korytarzem, zostawiając nas samych.

Ona patrzy na mnie jak na gówno. Znam takie spojrzenia od wczesnego małolata. Gdyby nie one, pewnie byłbym teraz jakimś lekarzem albo

dyrektorem. No ale jestem sobą i przynajmniej znam prawdę, jak Igor Sypniewski, wiesz, o co chodzi.

– Kupuje u ciebie zioło, co nie?

– Nikt u mnie nic nie kupuje. Żartujesz chyba.

– I jest tak samotna i naiwna, że ma cię za swojego ziomka?

Co za wredna z niej suka.

– Jest w porządku – odpowiadam.

– I jak się czujesz z tym, że wystawiłeś pojebowi kogoś, kto jest dla ciebie w porządku?

Na moment gniew, taki, w którym kaleczy się ludzi. Oddech, byku. Wyobraź sobie, że to matrix, gierka taka. Musisz tylko wybrać odpowiednie opcje dialogowe i pyk, przechodzisz i wychodzisz.

– Ona tego chciała. To kolejna rzecz, której nie rozumiecie. Że ludzie chcą rzeczy – mówię jej.

I wtedy przybiega korytarzem ten pierwszy pies, crossfitowiec. Zdyszany, czerwony, podniecony, jakby po roku starań sam rozpykał *Sto panoramicznych*.

– Marriott. Strzały.

Pamela jest nagle zamrożona.

– Teraz, zgłoszenie, w tym momencie. Broń automatyczna, podobno ofiary. Coś jak atak terrorystyczny.

Coś jak atak terrorystyczny. Chłopie, jeszcze raz, to jest rewolucja październikowa, oni będą tutaj Charlie Hebdo robić codziennie.

Ale nic tu po mnie, zaraz sami zrozumiecie, kim są te chłopcy i co tu się rzeczywiście odbywa.

– Uważaj na siebie, Pamela. Serio! – krzyczę za nią, gdy biegnie korytarzem.

Nie słyszy. Przestałem dla niej istnieć, no i git. Znaczący się ciutką szkoda, w łóżku byłby poważny prąd, wiesz, o co chodzi. Ale jest, jak jest.

Na depozycie oddają mi бага, pytam się z uśmiechem, czy można płacić kartą, chociaż trochę przestało mi być śmiechowo. Spierdalam stąd, sprintem. W telefonie od pizdy nieodebranych, trudno, chłopaki, musicie się trochę uspokoić, na razie szybki uber do najbliższego maca. Nie można jeść na miejscu, ale można iść do kibla. Ale mnie wyspręgliło, o matko, jakbym zajeżał cztery dni miejskiego cardio. Szybka instalka w klopie, kręcę pecynę, bo naprawdę oszaleję. Na suto, palce lepią się od grudy. I na spokojnie, aby był ładny. Dobra, wyjazd z kibla, dawaj wieśmaca

w rozszerzonym, skoro już tu jestem. Dalej – tyły, bloki, ławka, murek. Nawet nie wiem, w jakiej jestem dzielnicy. Pacyna i szama, na zmianę, szama i pacyna. Tłuszcz i skun na gębie, cola na sprzęgło. W końcu względny spokój. Zawsze dopiero po fakcie, gdy w końcu trochę odpuszcza, czuję, jak naprawdę mnie wypierdoliło.

Najlepiej byłoby teraz wbić po torbę do staruchy, potem na stary klawisz po resztę i w siną dal. Ale wciąż jest za wcześnie. Przede wszystkim z piętnaście nieodebranych od Rafiego. Czego on chce? Ktoś zobaczył, jak zawijają mnie psy? Normalnie to on nic ze mną nie gada. Zamiast do niego dzwonię do jednego, który do mnie nie tarabanił, bo jest normalny.

– Siemasz, Wróbel.

– No co jest?

– Ty, czego Rafi chce?

– Ty lepiej powiedz, co się działo.

– Jak to, co się działo, w sam środek afery się wbiłem i ledwo się ukręciłem. Kurtka zawsze na farcie.

– No nie gadaj, ty.

– Kurtka nigdy nie kłamie.

– Dobra, Rafi dzwoni po wszystkich i mówi, że na rozkminę tam u niego trzeba jechać.

– Niechże on się pogodzi z losem.

– Coś chyba próbuje, wiesz, się postawić.

– Mordko, oni właśnie do Marriotta wbili jak Al-Kaida, co on się chce stawiać, on nie widzi, co tam się dzieje? On normalny jest? Ja wiem, że sam im przygadałem tam w tej ambasadzie, ale nie wiem, czy pamiętasz, że oni zaraz wyciągnęli, mordo, karabiny. Nawet nie kopyta. Ka-ra-bi-ny.

– Mnie tam nie było, co nie.

– Żałuj, Wróbel, melanż życia.

Na drugiej nagle Michałka.

– Ty, no dobra, muszę kończyć, zatarabanię za pół godziny.

Wróbel jeszcze coś tam gada, ale go odbijam. Daj mi troszeczkę tu pożycz, weź, chociaż sekundę. Powieki zamieniają mi się w metalowe kotary. Sklep się zamyka. Żeby tak się zamknął na dziesięć godzin, daj mi to. A przynajmniej daj mi taki moment, minutę, przez którą nie ma znaczenia, co się zaraz wydarzy. Najlepiej byłoby łyknąć małe benzo. A jeszcze lepiej świetlika. Ale nie, to wykręca ludzi na drugą stronę,

zamienia ich w zombie. Kto raz łyknie to gówno, tego już nie ma, ukręca się za życia. Ja też to goniłem, jasne, ale jeszcze raz – ludzie chcą rzeczy. Nie dasz im ich ty, da kto inny, koniec gadki.

Oddzwaniam do Michałki. No i oczywiście jest naćpana tym gównem, wstrząśnięta niez mieszana. Mówi woouooooooooo.

– Kurtka? – pyta.

– Ty no, ty lepiej idź po prostu spać – mówię jej.

– Kurtka, kurwa... ja to właśnie robię. Właśnie go rozliczam. Klik, i jest.

– Idź spać, wariacie.

Rozłączam się. Co mnie obchodzi, że jest rozpląnięta. Jak jest za grubo, niech po pogotowie dzwoni. Może przyjadą.

Wyrzucam śmieci do śmieci, jeszcze raz telefon do Wróbla, jadę do ciebie, byku, siedź, gdzie siedzisz. Dobra, chuj, pojedziemy do tego Rafiego, niech mu będzie. Nic z tego nie wyjdzie. Nic nigdy nie wyszło z tego, jak ulica próbowała kombinować coś razem. To zawsze była komedia. Żeby ludzie razem się na coś dogadali, to większość musi być uczciwa, normalna, mieć normalnych rodziców, którzy mówili: tak się nie robi, to jest dobre, a to jest złe.

Ale niech mu będzie. Niech pokrzyczy. Sprawa jest stracona. Może sobie krzyczeć, przyjdzie Hitler i dostanie kulę w łeb.

Kolejny uber. Trochę za mocno sklepał mnie ten jarunek, powietrze lekko zgęstniało, ciężko się idzie; gorzej widzę, gdy w końcu podjeżdża, muszę się postarać, żeby przeczytać blachy. W środku dureń, nie umie autem jeździć, trąbią na niego. Staram się nie zwracać uwagi. Staram się nie myśleć.

Tylko à propos Hitlera pytanie – czy powiedzieć Rafiemu, że Duch to prujdupa? No co ty, odpowiadam sam sobie. To za dobre info jak na Rafiego. Daj analfabecie wzór na bombę atomową. Nie, nie, to jest mój asik. Czarny Piotruś. Get out of przypał free card. Get out of trumna free card.

Znowu Michałka. Miałem wcisnąć czerwoną słuchawkę. Odruch. Ja pierdołę.

– Tu Kamil.

To ten niepotrzebny nikomu aktorzyzna, co robi po mieście za alfonsa, a tak naprawdę Michałka i reszta dają mu na bułkę i browar, i trzymają go

przy sobie jak takiego pieska pudelka. Normalnie niedobrze mi, jak tylko go słyszę. Niżej nie można upaść.

– Słuchaj, jest tutaj mały problem, i prośba, abyś tu przyjechał.

– Tu, czyli gdzie?

– Do Michałki.

– Ja nie mam czasu, byku, do was teraz przyjeżdżać.

– Ale ja cię bardzo proszę o pomoc.

– Ja wam już wystarczająco pomagam.

– Nie za darmo.

– Ty, co ty mi, chujozo, grozisz? – Znowu ten gniew, za dużo go dzisiaj. Jeszcze się przez niego poślizgnę. Znowu mówię sobie: spokojnie, typie. Zamknij na sekundę sklep, wdech, wydech, a dopiero potem gadaj.

– Ja ci, kolego, nie grożę. Ja tylko mówię, że potrzebuję twojej pomocy, tak jak ty kiedyś potrzebowałeś naszej.

– Ale co ja muszę zrobić?

– Przemówić jej do rozsądku, bo inaczej będzie kłopot i dla mnie, i dla ciebie.

Kurwa mać.

– Ty, jedziemy gdzie indziej – mówię przygłupowi za kółkiem.

Ale on oczywiście nie mówi zbyt dobrze pewnie nawet po swojemu, skądkolwiek go tu przywiało. Zmieniam adres w aplikacji, tak, akceptuj nową cenę. Ten patrzy na mnie we wstecznym, uśmiech, pokazuje kciuk do góry, przy okazji o mało co nie wjeżdża w dupę babie, co stoi na światłach.

– Zajebisty jesteś – mówię mu.

Cieszy się, jakby zrozumiał, że poważnie jest zajebisty. Do końca drogi ma już ten banan na ryju. Szkoda mi na niego krzyczeć, może rzeczywiście jest jakiś inny. Daję mu dwie dychy, tego tipa z aplikacji i tak Uber bierze.

– Dobra, mordko, tylko dup nie macaj zezwallowanych, bo będzie przypał – radzę mu, szczerze i w dobrej wierze. Senkju, senkju, odpowiada i kiwa łbem jak papuga. Przypał to go nazwali, jak się rodził w tej jakiejś wsi u podnóża Himalajów.

Nie wiem w sumie, ile Michałka płaci za ten klawisz, ale moim zdaniem piętnastaka LEKKO. Mokotowska, w połowie drogi od Trzech Krzyży. Ze sto dwadzieścia metrów klawisz. Ogromny salon, kanapa, na której wesele byś normalnie zrobił, wiszą ciężkie czerwone sztory, trochę *Twin Peaks*, a trochę burdel bardziej dziwnego typu. Bo tym w sumie jest ten klawisz, bałaganem. W łazience włoski marmur, płytki na zamówienie ściągane

z jakiegoś pałacu na Sycylii, tak mi tłumaczyła, dumna, jakby sama je układała. Sypialnia zrobiona na zamówienie, cała w dębie, do sufitu przyczepiona skórzana huśtawka do jebania, w rogu stół do masażu z dziurą na kutasa, w łóżku wielka szuflada, w której Michałka trzyma uprząże, kneble, strapony, dilda, hitachi – co tylko chcesz, mordko. Pokazywała mi to kiedyś, dumna jak mój dziadek z kolekcji monet. Twierdzi, że wynajmuje tę chatę od Fajkowskiego i wielokrotnie go tutaj jebała, przez chwilę nie musiała płacić mu czynszu, ale potem się wkurwił. Nie wiem, czy jej wierzyć.

Nic dziwnego, że musi robić te wszystkie numery, żeby to ogarnąć. Ten śpiewak, którego podkrećali, podobno zajechał jej prawie bańkę za to, żeby nie puszczała następnych filmów. Widziałem jeden – jak klęczy na ziemi, liże jej stopy i dosłownie płacze ze szczęścia, smaruje jak dzieciak i mówi do niej: „mamusiu, jestem twoim syneczkiem, proszę, będę grzeczny, mamusiu”, a z dupy wystaje mu takie dildo, że odlew to chyba z konia robili. Musiał mieć trening przedtem, rozrabiaka, bo normalnie do szpitala by pojechał. Pies jednak srał na ten milion złotych, wiesz, o co chodzi, jak pospłacała stare długi i użyźniła nosa, to może jej z dwieście koła zostało. Pieniądz lubi grubo, grubo lubi pieniądz, a jak już tama puści, to powódź idzie, wiesz, o co chodzi.

Tak więc siedzą i knują we czwórkę, wypierdoleni na orbitę. Na wielkim telewizorze leci *Wyspa miłości*, jakiś dzik mówi właśnie manieurce, że z chęcią by jej pomasaował plecy, ona na to, że czemu tylko plecy – chociaż oczywiście bez wsadzanego, bo ona niby jest z jakimś Adrianem.

Na kanapie Michałka, Kamil, Sandra – taka inna transka – plus jakiś szon, chudy i tak poćpany, że patrzy na mnie, jakby zamiast mnie widziała cały ten boysband koreański, co go teraz słuchają wszystkie dzieci. Tę ostatnią to w ogóle skądś kojarzę, jakieś kluby, coś, gdzieś, ktoś ją młócił, no, ale nieważne, statystka. Na stoliku pełno koko, furają pewnie od rana, plus prosecco, aby zwilżać gardziel, z dziesięć butelek, puste i półpełne.

Siadam naprzeciwko nich. Czas na jeszcze jednego pecyniarza, bo inaczej serio nie zdzierzę z nimi.

– No i co się dzieje? – pytam. – Bo ja, kurwa, nie mam na was czasu.

Nikt mi nic nie mówi. Kamil jest strapony jak święty na obrazie, patrzy na Michałkę, a ta nawet nie podniosła głowy od momentu, jak tu wszedłem, nakurwia w telefon, jakby jutra miało nie być, kręci z pięć dram naraz, zaraz jej oczy wypadną. Cały czas jest w tej kiece, w której była na

Saskiej. Makijaż rozmazany, czarne kudły opadają jej na gębę, cycek prawie wystaje spod stanika. Serio dama w opałach. Nie czai zupełnie nic.

– Michałka – mówi Kamil.

– Posyp – odpowiada Michałka.

– No to macie super. Ja już cię dziś widziałem, Michałka, ale pewnie nie kleisz.

– O tym właśnie jest rozmowa – rzuca Kamil.

– Szybko w ogóle do domu dotarłaś. Psy cię nie miały?

– Ja po nią pojechałam – odzywa się ta Sandra.

Trzeba przyznać, że jest nawet ładna, dużo lepiej zrobiona niż Michałka, może u lepszego chirurga się poprawiała, nieważne, wygląda po prostu jak fajna dupa. Można byłoby się skusić w sumie, chociaż nie mój styl, ja to lubię pojeść cipę. Ale dużo więcej typów lubi sobie pobroić z trans dupkami, niż się komukolwiek wydaje; kręci ich ta kombinacja, chuj i cycki, włosy zrobione i makijaż, i ten głos, niby kobiecy, ale zawsze ciutkę niższy. Pamiętam, jak dwóch typów wspominało, jak byli w Malezji czy gdzieś tam. Dwa takie alfa małpiszony, nie z ulicy, rzeźbili coś w korpo, przynajmniej przed covidem tak było. Poza pracą tylko siłownia i jebanie. Byli w tym nieustraszeni – sześć treningów w tygodniu, teść co dwa dni, a w tygodniu balet na talerzach i wtedy tylko dupki, Tinder, kluby, eskorty, wszystko. Byli młodzi, to jeszcze pikawa nie świrowała. No i w tej Malezji na jakiejś delegacji ogarnęli sobie pannę w hotelu, i sobie pomyśleli, że wezmą ją we dwóch, to w ten sposób przypieczętują swoją zajebistą przyjaźń. No i w pokoju okazało się, że u koleżanki w majtach kabanos niespodzianka. Pytam ich, co oni na to, a oni: oczywiście, że ją palnęliśmy, a co, mieliśmy ją pobić? Zajebicie było, mówili. Moim zdaniem prawda jest taka, że od początku wiedzieli, co jest cięte. To zawsze trochę widać.

Dobra, pacuch skręcony. Miałem trochę zmiksowane w tym słoiku, trochę medycznik indica, a trochę cookiez, dlatego tak dziwnie mi się wgryzło na początku. Dobra, odpalam. Kurwa, kocham ten smród jak nic innego na tym świecie, diesel z ziemią, cipa z chlebem, wszystko naraz. Mówiłem, mógłbym być kiperem tego gówna. Nikt mi nie wierzy, ale ja naprawdę poznaję strainy po zapachu.

– Fajnie, dobra z ciebie kumpela – mówię do Sandry.

– No i zablokował mnie, kurwa! – Michałka podskakuje w miejscu jak ukłuta w dupę.

– Michałka, spokojnie, proszę – upomina Kamil.
– I będziesz tak do rana siedział i mówił „spokojnie”, ja pierdolę! – wścieka się ta chuda lalka i podkręca sobie jeszcze szczura.
– Ej! – Pstrykam palcami. – Ej. Michałka. Co tu się wyrabia?
– Ona ma film z Łukaszem. Udało jej się go nagrać – informuje Kamil.
– I chce go teraz wpuścić na Pornhub.

Michałka w końcu odkłada telefon i patrzy mi w oczy. Jest daleko stąd, macha mi z Marsa. Może już tak płynąć od paru dni. Wstaję. Nic tu po mnie, to nie są normalni ludzie, to jest kult śmierci. Przygaszam pacynę palcem.

– Mordki, to ja dobrego wieczoru i miłego samobójstwa. Michałka, przyniosę ci na grób zdjęcie Wiolki Villas, wiesz, o co chodzi.

– No właśnie o to chodzi, Kurtka! Chodzi o to, abyś jej wytłumaczył! – Kamil wskazuje na Michałkę.

– Ja mam jej wytłumaczyć? Po to żeś, kurwa, ściągnął mnie na ten wasz bałagan, żebym jej WYTŁUMACZYŁ? Może jej weź korepetycje u kogoś z niezabijania się, wiesz, o co chodzi!

– Kurtka.

– Mordo, ja tu tylko przywoziłem towar. Ja nie jestem częścią żadnych waszych spraw.

– Nie tylko towar i tak, jesteś częścią.

Ja pierdolę, potrzebuję tego wszystkiego teraz jak Jehowych przy furtce. Wrażenie, jakbym lekko tracił orient, tak fizycznie, świruje mi błędnik, rzeczy są trochę dalej albo bliżej, niż powinny. To nie skun, skun tak nie działa. Po prostu jest za mocno i takie są fakty. Bajeruję wszystkich dookoła, ale bajeruję też sam siebie.

– Co, już nie pamiętasz jak ich przyprowadzałeś? – cieszy się pajac, że udało mu się mnie przyszpilić. No gratulacje, Kamil. Dwa razy na dobę zepsuty zegar wiadomo co.

– To było z pięć lat temu, mordo. Więc nieważne.

– Powstanie warszawskie było sto lat temu, i co, też nieważne? – Michałka gapi się na mnie wściekle. To nie jest czcze gapienie się, ona potrafi zajebać w łeb, nieraz to pokazywała, nawet chwaliła się na TikToku, podchodziła centralnie do jakichś wieśków, co się z niej podśmiewywali, jak szła ulicą, i bach ich na ryj, nieważne, że chłop z rodziną w ogródku na Nowym Świecie siedział, a może właśnie dlatego.

– Powstanie warszawskie było siedemdziesiąt sześć lat temu.

– No mądry jesteś, kurwa, mądry, może idź wykładać na uczelni i zrób doktorat, naprawdę masz predyspozycje intelektualne! – Michałka zaczyna drzeć na mnie mordę i nie podoba mi się to w opór. Odgarnia włosy i dopiero teraz widać tę sztukę abstrakcyjną, którą ma na gębie. Ktoś się musiał naprawdę postarać, żeby jej tak to wszystko rozmazać.

Niech im będzie. Siadam naprzeciwko niej. Podaję jej palca, żeby ciut pojarąła i się uspokoiła. Bierze bucha, jest w takim locie, że cokolwiek by jej podać, toby zżarła, szkło z trutką na szczury.

– Ty dziś na Saskiej nawet nie skleiałaś, że to ja? – pytam.

Nie odpowiada.

– No widzisz, a ja cię skleilem od razu, bo zawsze cię poznam, tylko, kurwa, myślałem, że poszłaś w taki piec, że nawet nie wiesz, z kim siedzisz. Od razu tak to sobie wytłumaczyłem, na logikę. Bo że jesteś aż tak głupia, to tego się nie spodziewałem.

– Mam go nagranego, jak mi obciąża. Łyka aż po kule – chwali się z wyraźną dumą.

– Aż tak był naćpany, że z tobą poszedł?

– Po prostu poszłam tam, gdzie był, i kazałam sobie obciągnąć, co ty myślisz? – To zdanie wypowiada ciszej, podgrywa je jak w teatrze. – Ty zaraz to zrobisz, jak będę chciała.

– No na bank. Dawaj, Michałka. Lecimy z tematem.

– Łukasz nie wiedział, że Michałka jest ze mną – tłumaczy Kamil. – Miał kontakt tylko ze mną i Śliwką. Ja mu przywiozłem Śliwkę do domu.

Te niebezpieczne związki to zaraz z lektorem trzeba będzie oglądać, wiesz, o co chodzi.

– No i co teraz? – próbuję z nią na spokojnie.

Jednemu typkowi na melanżu, co mówił do niej w rodzaju męskim, uszkodziła pazurem oko. Koleżka miał potem operację, przyklejanie siatkówki. W sumie to miała rację. Mówisz do ludzi tak, jak tego chcą. Jak tego nie robisz, to ich cwelisz.

– Wrzucę to. Zaraz będzie wszędzie w necie. Za to, co skurwiel zrobił Śliwce. Wszędzie to będzie.

Niektórzy ludzie są głupszy od zwierząt. I to nie że od kotów, małą czy świń, bo to generalnie są mądre zwierzęta. Są ludzie głupszy od much, od pluskiew. I niektórzy mają tak cały czas, a niektórzy epizodycznie, na przykład Michałka, która generalnie jest mocno niegłupia, ale sama to sobie zabiera.

- Ty przecież sama mu tę Śliwkę wystawiłaś.
- Mógł zadzwonić po psy, jak mu nie pasowało filmowanie. Ale nie musiał jej masakrować.
- Tak, Michałka, chłop, co ma odjebaną dychę po czterech różnych kryminalach, będzie dzwonił po psy, ty antymózgu. Chłop, co robi za największego dupcyngiera w Polsce, będzie opowiadał psom, że go trans lalka próbowała nagrać, gdy ten był nawąchany.
- Połyka furie, ale widać para bije jej w garnek. Zaciska pięści, zgrzyta zębami. Trudno, jak będzie trzeba, pójdziemy na ostro.
- Cała historia ze Śliwką to jest wasze wspólne dzieło. Kurwa, każdy, kto choć raz go widział na YouTube, wie, że to świr. A wyście jej nawet gazu nie dali do obrony.
- Ale ona trenowała kiedyś aikido.
- Taką bekę to ja nie wiem, kiedy miałem, krztuszę się ze śmiechu tak, że zapluwam stolik, oczy zaraz mi pękną. Trenowała aikido. Trzymajcie mnie. Aikido, kurwa. Może jeszcze *Psi Patrol* w telefonie jako numer alarmowy. To jest niewyobrażalne, co się tu dzieje.
- Wypuścisz ten filmik, to będą cię tu jutro Czeczeny filetować i żadne aikido ci nie pomoże.
- Albo jego będą filetować, bo dla nich gej to dzieło szatana.
- Nie sądzę. On jest chroniony.
- On ma rację – przytakuje mi Kamil.
- Do faktów nie trzeba racji.
- Muszę pokazać, jakim jest gnojem! – ta znowu piłuje ryja, chociaż zjarała mi całego jointa.
- Ale on nie jest gnojem dlatego, że robi lachę. On jest gnojem, bo zniszczył twoją koleżankę. Jakbyś to miała nagrane, to co innego. Co z nią w ogóle, z tą Śliwką?
- Masz jej numer. Możesz zadzwonić – mówi Sandra.
- Jest późno w nocy, mordko, możesz mi odpowiedzieć, jak cię pytam.
- Jakoś. Uzbierała na operację na Zrzutce.
- To nie jest dla pieniędzy! Ja obracam homofobię przeciwko homofobom! – drze się Michałka.
- Ja cię bardzo lubię, Michałka, ale ta, jak jej tam, profesor Środa to ty nie jesteś – odpowiadam jej.
- Szybki rzut oka na sikor. Daję im jeszcze dziesięć minut. Aby szybciej minęło, zaczynam kręcić następnego. Od tego wszystkiego strasznie

zaschło mi w gardle.

– Przynieś mi coli – rzucam do tej chudej.

– Nie ma coli – mówi.

– To chociaż wody z kranu.

Wstaje, normalnie jakbym kazał jej iść truskawki z pola zbierać.

– Widzisz? Ja to próbowałem załatwić i zobacz, co zrobili – teraz to Kamil się rozkręca, napierdala Michałce do ucha.

– Co próbowałeś załatwić? – pytam, a ten nagle się marszczy, opada mu łeb. Przypomina psa, którego przyłapano na sraniu do kanapy.

Michałka chrząka. W jednej ręce wciąż ma gwizdek od mojego jointa, drugą wali szczura. Robiąc to, wydaje dźwięk, jakby jej nogę piłowali.

– Ten tu obecny geniusz, nasz wielki opiekun, słuchaj, próbował zdobyć od tego troglodyty kasę na operację dla Śliwki, ale okazało się, że wynajął do tego jego najlepszego kolegę, niejakiego Śniadego, jeszcze większego szympansa od Łukasza. I ci dwaj troglodycy zrobili go na szaro.

Kamil jakby mógł, toby wybił łbem dziurę w podłodze i skoczył do mieszkania poniżej. Ja już nie mogę, nie mam siły nawet się śmiać.

– Tak więc wzięłam sprawę w swoje ręce.

Chuda przynosi mi wodę, wypijam duszkiem. Mało, ale nie chce mi się iść po więcej.

Michałka bębni pazurami po popękanej szybce telefonu. Gapi się we mnie, studiuje mnie jak zoolog dziwną małpę.

– A co ty tam w ogóle robiłeś?

– Moja sprawa.

– Polemizowałabym.

– O chuj ci chodzi, Michałka?

– On też cię pokaleczył, co nie? Słyszałam. Przykra sprawa – mówi Sandra.

Sondują mnie obie, wampiry. Teraz to mnie podskakuje gul. Walę z płaskiej w stół, aż jedna z butelek spada na ziemię, usypany proch rozwiewa się po całym blacie. Dość tego, nie po to siedzę w tym kabarecie, żeby mi robiły kisiel z mózgu.

– Bo co innego tam robiłeś? – pyta dalej Michałka. – Knuleś na niego. I nie byłeś tam sam. Co ty myślisz, że ja nie pamiętam? Co to była za kobieta?

Wstaję, chowam skreconego packa do samary, nic tu po mnie. Michałka znowu aktorzy, zarzuca grzywą, podnosi łapy.

– No przepraszam, przepraszam! A co ty jesteś taki nadwrażliwy? Może meliski się napij? Terapia pomaga na takie obrażalstwo.

Piszę do Wróbla, że zmiana planów, jednak do niego nie przyjadę. Niech sam wsiada do tej swojej niebieskiej panamery i mnie stąd zawija. Wystarczy tego przedstawienia.

– Siadaj – mówi Michałka.

Nie siadam. Stoję nad nimi i patrzę im w oczy, najpierw Kamilowi, potem Michałce. Jeszcze dzisiaj im się uda, ale jutro albo pojutrze polecą na sam dół, zrobią skok na bungee bez liny i tyle ich będą widzieli. Przychodzi taki dzień, w którym traci się zdrowy rozsądek. Powinni byli się skupić, pomyśleć, odtajać, posiedzieć cicho, ale przegapili ten moment, on był jakieś dziesięć stacji temu.

– Nic nie musicie robić. Zostaw se ten filmik na miłą pamiątkę. Se popatrzysz na niego, jak ci się smutno kiedyś robi.

W końcu ma jakieś zdziwienie w spojrzeniu. W końcu czegoś nie rozumie, w końcu nie drze mordy.

– No co się tak gapisz? Nic nie musicie już robić. Jest po chłopie.

– I ty to niby zorganizowałeś? Ten jego upadek?

– To już nie twoja sprawa, Michałka.

– Co to była za babka?

– Na razie, Michałka.

– Co zrobiłeś?

– Zrobiłem, co zrobiłem. Jest lepiej, niż chcieliście.

– Po co z nią tam przylazłeś? – Wstaje.

Znowu zapalam. Niby marnowanie towaru, bo mocniej nie będzie, ale jebać to, naprawdę. Muszę być w formie, spokojny i skupiony jak Tomáš Pekhart przed załadowaniem karnego. Nie mogę zgubić tego skupienia aż do jutrzejszego wieczoru. Jeszcze łyk wody, jeszcze dwa.

– Widzicie, wasza koleżanka chociaż żyje, nie? A na przykład taki inny łebek nie żyje.

Przez gębę przebiega jej ciężkie zwanie, wygląda, jakby dostała mikrowylewu.

– Jaki łebek? – pyta Sandra.

Rozglądam się dookoła. Naprawdę fajna chata, luksus zrobiona, ale nie można się oprzeć wrażeniu, że wykończona specjalnie pod zwyrodniałe sprawy.

– Po prostu. Łebek, co osiemnastu lat nie miał. Chciał dawać dupy, żeby coś zarobić. – Wzruszam ramionami. – Co wy, nie wiecie, o co chodzi?

Sandra mówi, ciszej, jakoś tak ostrożnie:

– Ja chyba wiem, o co chodzi. To był jakiś ćpun.

– No a wy jesteście zakonnice.

– Chodzi mi wiesz, o co. O te zielone kapsułki. Nikt tutaj tego nie tyka.

– Wasza sprawa. I może i był ćpun. No ale już nie jest, bo nie żyje, co nie.

Zostawiam je, dziwnie zdziwione, ale w sumie jak człowiek wywęchał i wyjarał tyle gówna, to może być dziwnie zdziwiony.

Kamil zrywa się, biegnie za mną.

– Ta dziewczyna. Ona się nazywa Pazińska? Kurtka.

Nawet się nie odwracam, otwieram drzwi i wychodzę na klatkę. On próbuje złapać mnie za rękę, więc wypłacam mu lekkiego lepca. Może nie takiego lekkiego – traci równowagę, chwytą się framugi, żeby się nie złożyć. Nie robi to na nim wrażenia. Jakby był przyzwyczajony, że regularnie dostaje z płaskiego.

– Ja ją znam, to moja koleżanka z dawnych czasów. Widziałem się z nią. Szukała kogoś, kto zabił tego chłopaka. Chciała się dostać do Łukasza. Rozumiem, że się znacie, i poprosiła cię o pomoc – mówi cicho, pewnie dlatego, żeby nie usłyszały go te zmory.

– A po co pytasz?

– Chcę to sobie poukładać.

– No to masz, kurwa, poukładane. Ale nawet im tego nie powiesz, co nie? Boisz się ich. Boisz się Michałki, że ci tak wpierdoli, że w szpitalu wylądujesz, prawda?

Nie odpowiada. Pewnie, że się boi. Koleś jest normalnie specjalnej troski, powinien rentę brać. Nie mam na niego czasu.

– Kasuj mój numer. Idź do sklepu pracować czy coś. Do biblioteki książki z kurzu czyścić. Kasuj mój numer, Kamil.

Tyle, tak go zostawiam.

Wróbel czeka w skodzie na dole. Ja pierdolę, to jest dopiero akcja ten jego gruchot. Siadam z przodu, wali w tej karecie, jakby żul w niej kimał od miesiąca. Odgaszam palca, wsuwam sobie za ucho. A miało być tak pięknie, miało być jeżdżone rendżem, miał być karnet VIP na Legię i zgrabny klawisz w Śródmieściu, miało być opalanie resora pod palmą w jakimś Dubaju, ze świnią i ziomkami. Może jeszcze kiedyś, a może tak

naprawdę wcale tego nie chcę, może mi się podoba tak knuć i szurać nocą po Wuwua, wciąż na bombie, z gulem w gardle, cichy jak szczur.

– Ty, Wróbel, kup sobie drzewko na stacji. Osiem złotych kosztuje.

– Jest grubo.

– Z drzewkami? No może teraz są po dziewięć, fakt.

– Podobno Aslan nie żyje.

Patrzę na zegarek. Druga nad ranem. I wtedy, jak komentarz do słów Wróbla, odgłos bomby, gdzieś daleko w tle.

– Wróbel, ja mówiłem od trzech dni, że tak będzie.

Nie odpowiada. Trzyma kurczowo kierownicę, jakby egzamin na prawko zdawał. Rozgląda się, patrzy do góry. Nie wiem, czego szuka, dronów?

– Wróbel. Aslan nie chciał z nimi iść i koniec tematu. Może nie zawsze jest tak, jak mówię, ale teraz jest.

Jeszcze mocniej zaciska łapy na kierownicy. Zbiera się, jakby chciał mi wyznać jakiś swój sekret, że nie wiem, marszczył sobie z ukrycia do przebierającej się siorki i do dzisiaj sobie to wkręca. Ale zamiast to powiedzieć, zaczyna kasłać; rzezi normalnie, jakby miał gruźlicę, zaraz wypluje płuca.

– Zahamuj, typie – mówię mu i wciskam awaryjne.

Hamujemy na przystanku. Temu zaraz grdyka pęknie, jak nie odpuści.

– Masz tu jakąś wodę? Wróbel, kurwa. Ja rozumiem, że to nie jest ferrari, ale byku, każde auto można posprzątać.

Rozglądam się po podłodze, normalnie tylko kloca brakuje i zużytej gumy. Znajduję jakąś butelkę wody, daję mu łyka. Na chwilę się uspokaja.

– Co ci jest? Ty nie masz tej zarazy przypadkiem? – pytam go.

Kręci głową.

– Ty, Wróbel, jak mnie zarazisz, to przyjadę cię dobiję, wiesz?

– Wszystko jest git – odpowiada.

Przykładam mu łapę do łba. Nie jest git. Jebany normalnie ma gorączkę. Pije dalej wodę, całą butelkę, jakbym go po trzydniówce obudził.

– Mięśnie trochę bolą. Jak po treningu po prostu. Tak to jest git.

– Jedziemy do Rafiego?

– Tak, jedziemy do Rafiego.

– Chcesz, żebym prowadził?

Chwilę się waha. Rozgląda się dookoła, czy nikt nas nie rozkminia, i kiwa głową. Zamieniamy się siedzeniami, Wróbel ładuje się na pasażera.

Daję mu palca, żeby sobie pojechał, i mówię, żeby wziął do końca, mi już styka, no i nie chcę tej zarazy w prezencie. Dopiero gdy ruszam, czuję, jaki jestem zbuchany.

– Dobrze na wszystko – mówi, bierze macha i znowu zaczyna rzeźić jak zaraza.

– Ty, naprawdę cię nie odwieźć? – pytam.

Kręci głową.

– Typie, nie musisz zawsze być sto procent sprawny, ale jak tam sobie wolisz.

On uchyla okno, rzeźi i jara, jara i rzeźi. Szuka jeszcze jakiejś piciówki na podłodze, w końcu znajduje cały aloes. Proponuje mi, ale nie chcę, nie lubię tych kalabraków żelowych pływających.

– Skąd wiesz o Asłanie?

– W radiu mówili.

– Co mówili?

– Że dostał kulę w łeb i paru jego ludzi też. Że byli tam jacyś radni, ale spierdolili. Ogólnie, że cywile cali.

– Na pewno?

– Na bank. Nie, że prawdopodobnie i nie potwierdzamy. Na bank, w strzelaninie zginął Asłan Tugajew. Przedsiębiorca, tak o nim powiedzieli.

– Mówili kto?

– Mówią tak, jakby to porachunki Ruskich były. I że świadkowie gadali, że wszyscy napastnicy mówili po rusku. Ale że był też jakiś gangster z Sopotu, choć nie są pewni.

– No tak, on z Sopotu jest. Chyba. Chuj wie, skąd on jest. Z piekła jest. Zginęły jakieś psy?

– Nie. Chyba nie.

– A mówili coś o jakiejś pannie?

Wróbel patrzy na mnie zdziwiony. Powtarzam pytanie.

– Czy o jakiejś pannie coś mówili? Kobiecie?

– Nie, nic nie mówili. Źle skręciłeś.

– Co?

– Mordo, ty przecież prosto miałeś jechać na most, a odbiłeś na Ochotę.

Jedziemy, ten dalej jara i kaszle, nieustępliwy jak obrona Stalingradu, w końcu wyrzuca gwizdek przez okno. Wyjeżdżamy na pętlę tramwajową na Starej Ochocie. To nie pierwszy raz, kiedy przyjechałem tu na autopilocie, nie dziesiąty, nie piętnasty. Staję na awaryjnych. Tramwaje

również stoją, puste. Ale rozświetlone, chyba ktoś je właśnie sprząta. W pojedynczych oknach pali się światło.

Ja nie jestem zepsuty od paru dni, od miesiąca. To trwa już trzeci rok.

Weź daj mi krótką sekundę, w której będę miał to w dupie, w której pikawa nie będzie terkotać jak młot pneumatyczny, w której język nie będzie suchą kłodą. Daj mi chwilę zwykłej odcinki, bo przysięgam, że rozkminiam to nawet przez sen. I nic nie pomaga, benzo nie pomaga, wóda nie pomaga, tritico nie pomaga. Skun, hajs, nic. Może ten syf zielony by pomógł. Chyba trzeba będzie pogryźć te tabletki, skoro nie ma innego wyjścia.

To znaczy jest inne wyjście. Mogę zadzwonić domofonem, przedstawić się jako kurier czy facet od liczników. Wejść po schodach, przytrzymać drzwi, aby nie zamknęła mi ich przed pyskiem. Powiedzieć jej to, co powiedziałem Michałce. Proszę pani, jest po nim, przysięgam. Chłop już nie wstanie. To całe życie, które mu zostało, to jakiś ochłap. Jest dojechany, zajechany, jest amen.

Tylko co z tego, skoro ona jest przekonana, że to byłem ja. Ona nawet nie wie, kim jest jakiś Łukasz Czego Szukasz; ona nie wie, co to YouTube. Jej to nic nie obchodzi. To mnie znała. To ja byłem tam z Roksana, brałem za nią odpowiedzialność. Nawet wiem, co mi powie, jak mnie zobaczy; to, co powiedziała na pogrzebie. **BARDZO CHCIAŁA BYĆ WETERYNARZEM. KOCHAŁA KONIE I INNE ZWIERZĘTA.** No pewnie, że tak. Mało to razy czekałem na nią, stojąc w słomie jak koł, kiedy ona jeździła na tym czarnym koniu. Ziomki się śmiały, że jestem kukold. Raz wystarczyło powiedzieć – Roksana jeździ na takim czarnym koniu, i posprzątane, beka do końca życia. Koń nazywał się Tupak, żeby było jeszcze śmieszniej.

I oczywiście, że widzę teraz to okno na ostatnim piętrze. Specjalnie tak zaparkowałem, żeby je widzieć. Nie pali się światło, pewnie śpią.

Wróbel pokazuje mi wiadomość od Rafiego: „Dobra, ostatnia szansa, kto nie będzie za pół godziny, ten do wora”.

– Popisuje się i tyle. Daj spokój.

– No dobrze, mordo. Ale wiesz, jak jest.

Wróbel nie wie, czemu akurat tu jesteśmy. Myśli, że po prostu źle pojechałem, bo jestem zbuchany. Zna tę historię tak ogólnie, bez szczegółów. Poznałem go już po fakcie. Inne moje ziomki znają ją lepiej, były przy mnie wtedy. Tylko tych ziomków już nie ma. Tak naprawdę, gdy

zostałem sam, to zostałem sam. Musiałem odciąć się od wszystkiego, bo wszystko mi o niej przypominało. Wyrosła mi dodatkowa skóra, gruba i twarda, kombinezon z gumy. Nie przepuszcza powietrza, ale nie pocę się w nim, mordko, bo nie przepuszcza też temperatury. Albo grubo, albo wcale, wiesz, o co chodzi. Bez półśrodków.

Nie ma żadnego spokoju. Nie ma wdechu i wydechu. Nic się nie odkujemy. Nigdzie nie dopłyniemy. Będzie, jak będzie, ale na pewno nie będzie lepiej. Moja matka mówiła: poznasz kogoś. Po co, odpowiadałem jej, mama, po co, aby znowu wydarzyło się to samo? A to jego wina w takim razie czy twoja, może się zdecydować, mówiła.

Z nią też nie gadałem na pewno zbyt długo.

Ruszam z piskiem w stronę mostu. Depnąłem może za mocno, Wróblowy bolid dostaje parkinsona, jak weźmiesz nim więcej niż pakę. Ja daję sto trzydzieści. Widać, że Wróbla prędkość stresuje; raz, że auto może się rozpaść, dwa, że psy. Wiadomo że nikt tak nie przestrzega przepisów jak chłopcy z towarem. Ale pomimo tego stresu jesteśmy na Gocławiu po pięciu minutach, przez które ani ja, ani Wróbel nic nie gadamy; Wróbel się boi, a ja nic nie mówię, bo co tu jest jeszcze, kurwa, do dodania.

No pięknie i to Rafi wymyślił. Zamiast wleźć do kogoś na chawir, ustawili się na parkingu pod Promenadą. Jest ich tam z trzydziestu, połowa tego, co była w ambasadzie. Brakuje im tylko metalowej beczki, żeby sobie ogień w środku rozpalili, jak na teledysku z lat dziewięćdziesiątych. I jeszcze przez mikrofon powinien gadać, tak żeby go na całym osiedlu słyszeli. No debil, no.

Pokazuję, że jestem. Jego już tak ciśnie na wielką przemowę, że mu zaraz żyłka w dupie pęknie. Stoi o kulach, nogę ma całą zagipsowaną. Na smyczy trzyma konkretnego amstaffa, czarny cały skurwysyn, kłapy jak koparka. Widzi mnie i zaczyna warczeć.

– Pedro, spokój. – Rafi próbuje utrzymać psa, balansując na jednej nodze.

Nie wiadomo, czy będzie jeszcze kiedyś normalnie chodził.

Poza Rafim i jego psem wszyscy zasznurowali cipy. Niektórzy coś jarają, popijają, ale super imprezki tu za bardzo nie ma. Widzę po ryjach, że już ich wszystkich przekonał; pytanie tylko do czego.

– Co, nie można szybciej przyjechać? – pyta.

– No widocznie nie można. – Podchodzę, zbijam z nim grabę. Taka sobie ta graba, poprawna politycznie.

– Słyszałeś? – To Pigmej, dopiero teraz go widzę. Ale Pigmej tak właśnie ma, że wtapia się w otoczenie. Widzisz go dopiero, jak się odezwie, a i tak widzisz wtedy tylko ten jego kinol wielki.

– No słyszałem. A wy co, zdziwieni jesteście? Co wy myśleliście, że tak zawsze już będzie sympatycznie? – pytam ich.

Rafi robi krok w moją stronę, chce się pomierzyć.

– Ja nie jestem zdziwiony, Kurtka, ja jestem wkurwiony.

– To idź na tory, mordo, kamieniami w pociągi porzucać.

A, no dobra, dopiero teraz kumam, dlaczego zebrał ich w tym miejscu, oczy już nie działają mi od bucha. Na murku naprzeciwno ktoś wyczarował konkretny mural z kolorową mordą Bastka, normalnie jak ten Notorious na Brooklynie. Obok portretu napis RIPBASTEK. Nie wiem, czy łebek, który w życiu dokonał tyle, że go odpalili, zasługuje na jakiś mural, ale kumam, że Rafi to zlecił i w ten sposób pokazuje swoją gotowość na zwarcie. Choć równie dobrze może wypowiedzieć wojnę przybyszom z Plejad, wiesz, o co chodzi.

– Może powinieneś zostać tam, gdzie byłeś, mordo. Może nie powinieneś tu przyjeżdżać – mówi.

Gapi się na mnie, jakbym go w jakiejś kwestii rozczarował, ale to jest jego problem i jego przekminy, nic mi do tego. On nie jest mój ojciec. Jestem tu tylko ze względu na Wróbla. Tylko że Wróbel jest tak nietęgi, że zaraz rozplynie się na chodniku jak kałuża; minę ma jak Wasilewski, gdy miał złamanie otwarte w meczu z Anderlechtem.

– Słuchajcie, i ty też słuchaj, Kurtka. Na moje to Warszawa w tym momencie jest pod atakiem – twierdzi Rafi. – Na moje to jest próba okupacji.

Mocne słowa, ale Rafi lubi te husarskie klimaty, lubi pyknąć sobie racą jedenastego listopada, lubi ciuszki z orłami i cały ten szmelc, Bóg Honor Ojczyzna, czterdziesty czwarty pamiętamy. No nie wiem, co tak naprawdę pamiętamy, nie wiem też, czy powstańcy trzymali krychę i mefedron w starej pralce w piwnicy, wiesz, o co chodzi.

– Dobra, Rafi, co chcesz robić? Iść na nich? No to idziemy, dawaj, mordula. Weź jakieś tu kije, butelki. Noże kuchenne weźcie z chaty. Najlepiej ząbkowane takie. Gaz weź i idziemy na nich. Stu chłopą z Kaukazu pod bronią automatyczną. Dawaj, lecim na Szczecin.

– Stu chłopą, powiedziałeś.

– Stu chłopą lekko.

Pociera sobie brodę na znak, że kmini, a potem podnosi łeb i rozgląda się po wszystkich, powoli, pilnuje, żeby prawie każdemu popatrzeć w oczy. W sumie z Rafiego jest polityk. Kiedyś, pamiętam, bardzo chciał być zapiewajką na Legii, to było jego największe marzenie.

– Stu ludzi. No dobra. My, jak się dogadamy, może być nas dwustu albo i trzystu. Albo i pięciuset. I tysiąc. Możemy zaangażować do tego wszystkie, kurwa, dzielnice Warszawy. Wszystkich chłopaków. To jest niemożliwe, mordy? Naprawdę? Mordy, za komuny dwadzieścia baniek luda się zorganizowało.

– Za komuny nie było co zryć, Rafi. Mogłeś se co najwyżej ocet w sklepie kupić.

– I zaraz znowu tak będzie. Tylko zamiast octu żel i maseczki.

– Myślę, mordko, że pewne lekcje zostały odrobione, wiesz, o co chodzi.

– Ludzie chcą wolności.

– Rafi, może chcą, ale ty nie jesteś, mordko, Andrzej Gwiazda, ty, kurwa, gonisz chemola dzieciom, chłopie no.

Mordy nic nie gadają, mordy nie mają za bardzo innego wyjścia, zresztą mordy chyba już nie wiedzą, o czym mowa, nasza, że tak powiem, debata weszła na zbyt aktywny intelektualnie poziom. Te ćmoki będą albo tu stać i słuchać Rafiego, albo biegać dla Daria za wypłatę, chować się po chatach, bić konia i grać w *FIF-ę*, i raz dziennie wychodzić do Żabki po hot dogi.

Ulica to generalnie nie jest Mensa, ale niektórzy są bez kitu gorzej niż niepiśmienni.

– To chamisko myśli, że wjedzie tu sobie jak do siebie. Że wszystkich po kolei rozpyka i zastraszy. Możemy mu pokazać, panowie, że trzymamy się, kurwa, razem. Że nie ma tak, że on będzie tu sobie biegał z jakimiś Ruskami, czy skąd to bydło przyjechało. No mordy, no kurwa. To jest przecież atak terrorystyczny na podstawowe wartości.

Oho, „podstawowe wartości”, musiał jakiś artykuł o pedałach przeczytać w „Naszej Legii”. Prawda jest taka, że dwa miesiące temu trzeba było coś zrobić, wjechać w nich na ostro przy pierwszej dziwnej akcji. Teraz to można przemawiać. Ci sataniści ewidentnie przygotowywali się do tego przez parę miesięcy albo i lat, takich akcji nie wymyśla się w jeden wieczór. I to jest w tym wszystkim najgorsze – nie ma jak nawet sobie wyobrazić tego, co wymyślili dalej.

– Ty, Rafi, ja myślę, że możemy porobić na nich pułapki, mordo. – Jeden się odzywa jakiś mądry, nie wiem nawet, jaką ma ksywę, kojarzę go, jak oświadczał się jakiejś randomowej dupie na Garażowej i w trakcie narzygał jej na buty.

– A ja słyszałem – mówi inny – że oni zajmują nielegalnie jakiś opuszczony psychiatryk w Otwocku. Że prąd sobie doprowadzili, strzelają po lasach, a psy tam nie wjeżdżają, bo się zwyczajnie boją.

– Psy to się wszystkiego boją, kiedy ty widziałeś psy ostatnio?

Kurnik się z tego robi. Jak już jeden zacznie gadać, to chwila i wszyscy gdaczą jeden przez drugiego. Tymczasem Wróbel siada na chodniku, nie ma siły stać, wkłada łeb w ramiona. Źle to wygląda.

– Tam były psy w Marriotcie – dodaje ktoś inny. – Podobno paru zginęło.

– Nikt nie zginął, już było po temacie, jak przyjechali.

– A ja słyszałem, że jakaś babka zginęła. Taka, co w ogóle była tam przypadkiem.

Patrzę na tego arcyszpiega. To chyba ten od pułapek, a może jakiś inny, w sumie odróżnić ich od siebie to zabawa w znajdź dziesięć różnic, wiesz, o co chodzi. Rafi się wyróżnia, bo ma brodę na króla pustyni i jest od nich trochę większy, po prostu.

– Co słyszałeś? – pytam go. – Jaka babka?

Nie wiem w sumie, po co go pytam, co on w ogóle wie.

– Cicho, kurwa! – huczy Rafi. – Posłuchajcie mnie teraz uważnie.

Nudzi mi się, nie mam na to czasu. Podchodzę do Wróbla, sprawdzam, czy typ w ogóle jeszcze dycha. Łeb ma tak gorący, że normalnie można na nim jajka usmażyć.

– Co wy, naprawdę chcecie pracować dla chłopca, co wam będzie jakąś pensję płacić? Do roboty chcecie chodzić? Dawać się dymać? Normalnie być jak ci, no, ajenci Żabki? Tak to ma wyglądać? Myśmy po to wybrali to życie, ten przypał, te jazdy wszystkie, to łożenie w kółko po chacie, gapienie się w wizjer, żeby zarabiać tyle samo, ile ten cham z Ukrainy, który worki nosi? Tak, panowie? Poważnie?

Zostawiam Wróbla jeszcze na chwilę. Coś bym popalił, ale nie mam nawet już siły skręcać.

– Panowie, to jest w tym momencie najazd, najazd zbrojny. To jest wojna, kurwa. I musimy być razem, wszystkie ekipy. Jak to się skończy,

będzie po staremu, ci będą tam, tamci tu, jedni będą trzymać to, drudzy tamto.

Nakręcili się jak siemasz. Biją pięściami o otwarte dłonie, kolebią się na piętach. Patrzą w oczy niewidocznych wrogów, w wyobraźni zaraz będą się z nimi boksować. Tymczasem wystarczy pierwszemu powiedzieć coś głośniejsze, mówić, patrząc innym w oczy, i już, załatwione, zrobi najgorszą głupotę. Najprostsze, ordynarne numery.

Rafi dostał od nich prądu i odlatuje, jakby zabuchał cracku. Oczy ma dwukrotnie większe, odgania się łapami od niewidocznych szerszeni. Drze mordę, jakby rzeczywiście stał na Legii.

– I my musimy być, panowie, jak ci powstańcy. Musimy walczyć z doskoku, doraźnie. Jak pójdziemy na nich frontem, to wiadomo że nas skasują. Ale będziemy ich szukać, wyłapywać. Odpalać jednego po drugim. Trzeba będzie działać, jak działali starzy rozkminiace, jak robił Pruszków. Bomba w aucie. Akcje na otwartej przestrzeni, przy ludziach. Najostrzej, jak się da, ale inaczej tego nie odeprzemy, panowie.

Biorę Wróbla pod pachy, podnoszę go z ziemi. Chłopak powoli robi się skasowany.

– Ty, zawiozę cię na chawir – mówię mu.

Kiwa głową, nawet nie ma siły gęby otworzyć.

Te ich plany, przymiarki – równie dobrze mogą się ustawić na Poniatowskim z plecakami pełnymi cegieł i skakać na hejnał.

– Ty, Kurtka, a ty gdzie?

– Nigdzie.

– Czyli ty chcesz, Kurtka, biegać z brudem za piętnastaka miesięcznie? Dawać się naliczać jak jakaś eskortka?

Odwracam się do niego. Nie muszę mu się z niczego tłumaczyć. Tego, jakim jest idiotą, nie zrozumie nawet pod sam koniec, w bagaju, z workiem na śmieci na łbie. Ale niech mu będzie. Chcesz, to masz, byku. Posłuchaj jeszcze przekazu. Kurtka nigdy nie kłamie.

– Mordo, za co ty chcesz umierać? Za ten mefedron, co go zombiakom gonisz za pięć dyszek za wora? Za te dresy Armani? Za te rozkminy, kto komu babę rucha, a kto ile na rulecie spalił? Ty, za to? To jakieś piękne życie jest, cudowne lata? Dzieci są z ciebie dumne? Mama się cieszy, że się w życiu ustawiłeś?

Napręża się na te słowa, jakby miał zaraz poderwać dwieście w martwym. Połyka zniewagę, połyka nawet ten tekst o matce. Bierze to na

honor.

– Za bycie człowiekiem. Za to chcę umierać.

– Każdy człowiek jest człowiekiem, mordo, no niestety. Wiesz, o co chodzi.

Wsadzam Wróbla do auta, na pasażera. I wtedy coś mnie łapie za głowę, zgniata, jakby ta niewidzialna siła chciała wcisnąć mi łeb do tułowia. Jakaś dziwna przekmina, nie wiem, świadomość. Stan rzeczy – z jednej strony zamglony i niewyraźny, ale z drugiej wszystko robi się zgrane i spójne. Jakby cały ten los, to wszystko było filmem, no i mówiąc szczerze, nie za dobry ten film, włączcie coś innego, przecież wiadomo, jak to się skończy. Nie dość, że to wszystko jest z góry przekminione, to jeszcze toksyczne, chujowe, podrobione jak *domestos haze* z Ursynowa, którego ktoś pogonił ci jako kwiata z Kali. Stop, muszę szybko odegnąć tę zmorę. Bo jeśli ma rację, to w sumie najlepiej tu zostać, pod Promenadą, zamienić się w słup soli, nie ruszać się aż do samego zdechnięcia.

– Jeszcze będziesz dzwonił, Kurtka. Może i nawet dzisiaj. Pomyśl, lepiej mieć zero procent szans czy jeden procent szans?

Może i będę dzwonił. Ale na razie nadal mam wybór. Gdy wsiadam do auta, kątem oka widzę, że Rafi chara na ziemię.

– Stary, ja cię do matki odwiozę – mówię Wróblowi.

Kręci głową.

– Ja cię nie pytam o zdanie, ja cię informuję.

Ty, no, a jeśli rzeczywiście to możliwe umrzeć na tę zarazę? Tylko teraz zobacz, co się dzieje. Chińczyki wypuszczają tego wirusa w porozumieniu z rządem i bankiem światowym. Na początku sami sobie nakładają kondona; przecież najpierw wstrzymali loty krajowe, a międzynarodowe furały aż miło. To po to, żeby się wszystko ładnie rozprzestrzeniło, a nie eksplodowało u nich. Wirusek się roznosi, pyk, pyk, trwa to parę tygodni, no i teraz wjeżdżają na grubo, dogadani z iluminatami. Poświęcą w ofierze tak z dziesięć procent społeczeństwa, żeby resztą można było sterować jak padem w gierce, poostrzykiwać i powszczepiać, porobić skany siatkówki, co chcesz. Jest posprzątane. Rafi to dureń. Nie potrafi popatrzeć dalej niż za Wisłę. Dla niego cała ta akcja to jakaś chwilowa przerwa w transmisji, najwyżej dodatkowy zarobek – ludzie są już tak wystrzeleni od tej izolacji, że nie wiedzą, jak mają na nazwisko, i muszą zaćpać cokolwiek, żeby nie zżerał ich ten strach.

I tak jadę i kminię to wszystko. W sumie chyba lepiej kminić właśnie to niż swoje własne, dość kulawe położenie. Ale nagle rozumiem coś jeszcze. Prawda oślepia mnie fleszem przystawionym do gęby. Już kumam, czemu ten diabeł idzie tak szeroko, po co mu cały ten terror. Nie, on nie chce walczyć z systemem, być nielegalny. On przez zastraszenie konkretnych ludzi chce odgryźć swój kawałek tortu. Zmusić, żeby zaczęli z nim handlować. On chce być, skurwysyn, legitny, tak jak Putin jest legitny. Chce płacić podatki. Widzi, co się dzieje, i chce wystrzelać sobie nietykalność.

Wzbiera mnie, normalnie jakbym się nawąchał. Mam ochotę wstać w tym aucie, przebić się przez sufit i odlecieć. Zamiast tego zatrzymuję się w zatoce, włączam awaryjne. Muszę ochłonać. Pierwszy odruch – zająrać kolejny palec, ale nie, lepiej już nie jarać. Oszaleję, jak się jeszcze bardziej zbucham. Diabeł i Duch, oni chcą być częścią iluminackiego systemu. Liczą na to, że ci pomyślą: no dobra, jesteście tak pojebani, że weźmiemy was do spóły. Inaczej sprawicie nam za dużo problemów.

To jest tak chore, że aż genialne. To nawet nie jest chad move, to są ruchy w stylu Zdenka Zemana, gdy ten trenował AS Roma. Ciągła ofensywa, żadnego kroku do tyłu, aż powiedzą ci: ty, jednak masz rację, już rozumiemy. Po prostu jesteś wariat bez hamulca, dopiero ściana cię zatrzyma. Albo będzie po twojemu, albo zabierzesz wszystkich ze sobą.

Tylko że jeśli tak jest, to on nie będzie trzymał sobie ulicy w Warszawie na jakichś tam pensjach. Po co mu banda flinstonów, która nie umie nawet czytać, umie tylko się pruć. Po co mu taki Rafi, który będzie chciał się zemścić, a przynajmniej zeżreć swoje. Po co mu taki Kurtka.

Nie, on dopnie swego, nie wiem jak, ale dopnie, pewnie będzie te świetliki legalnie sprzedawał. A gdy już sobie wszystko poukłada jak trzeba, to weźmie ich do lasu i zrobi im Katyń. Dosłownie Katyń – kula w łeb, do wspólnego dołu, na to wapno i tyle w temacie. Znajdzie każdego, kto był wtedy w ambasadzie, w końcu wziął nasze dowody. Gdy to zrobi, ci iluminaci, miasto i policja tylko mu podziękują za to, że posprzątał.

No, ale jeśli tak jest, to ja nie mogę jechać jak kretyn do jakiegoś Bytomia, co jest chwilę stąd.

Ja muszę pojechać dalej.

Pytanie tylko gdzie. Niemcy nie, tam nie wpuszczają, trzeba jakąś kwarantannę zrobić. Jebać, chyba u Czechów nie trzeba. Przez Czechy może jeszcze dalej na dół. Bułgaria, nie wiem, kurwa. Rumunia jakaś. Albo

w ogóle na Wschód, na Ukrainie na bank nic nie sprawdzają, tam jest burdel na kółkach. Gdziekolwiek, byle zaszyć się na jakimś końcu świata. Wtopić się w tłum.

Gonić te świetliki jakimś dzieciakom, tabletką po tabletkę.

Byłe byłoby na chatę, mydło, zupę.

Tryb minimum, na doktora Wilczura.

Dobra, oddałem im dowód, ale mam jeszcze paszport.

Dam radę.

– Ty, Wróbel. Ja muszę wziąć twoją furę, mordó.

Wróbel kima. Wybudza się dopiero, gdy nim potrząsam, w sensie otwiera pół oka. Jest rozpląnięty jak po ketaminie. Klepię go lekko w głowę, raz, drugi, trzeci. Teraz chyba się ocknął.

– Mordó, ja muszę wziąć sobie to auto, w sensie tak na stałe.

Nie, jednak nie kuma. Jeszcze raz lekki liść, bardzo lekki. Z czułością.

– Dam ci za to, nie wiem, piątkę. To i tak więcej, niż jest warte.

Chyba kuma. Kiwa głową.

– Dobra? Przywiozę ci nad ranem becel. Teraz jestem pusty w ryj. Ale zawiozę cię do matki, dobra?

Jak mówię, tak robię. Jego matka mieszka przy Polu Mokotowskim. Chwilę to trwa, nie pamiętam numeru bloku. Byłem u niego raz czy dwa, klimat jak dwadzieścia lat temu, normalnie jakbym przyszedł do kolegi na komputer, a jego matka bez słowa wchodzi do pokoju i zupę daje. Trochę dziwnie, ale tak to jest, jak koleś ma tylko matkę, a ojciec gdzieś się powinał: stara wczepia się w typa pazurami i nie puści, choćby świat miał się kończyć.

Wlokę go pod klatkę, pytam, jaki ma numer mieszkania. Jakoś tam odczytuję odpowiedź z ruchu ust. Naciskam domofon.

– Halo.

– Proszę pani, tu Olek, kolega Janka.

– Co się dzieje?

– Jest chory.

– Co to znaczy, że jest chory?

– Chcesz zobaczyć, to mnie wpuść.

W końcu bzczy domofonem. No brawo, dzięki wielkie. To twój syn, kozo. Gdy wjeżdżamy na piętro, ta stoi w drzwiach, przerażona jak siemasz. Opatuliła się kobiecina w jakiś podarty szlafrok z darów, włosy pod foliowym workiem, na mordzie maseczka, w ręku wielkie opakowanie

żelu do dezynfekcji. Mózg se zdezynfekuj. Wpycham Wróbla do środka, on traci równowagę i się na starą przewraca, ta w ostatniej chwili łapie się klamki, bo też by się wyjebała na ziemię, komedia. Stoi prosto, Wróbel spływa na podłogę.

– On nie jest chory, ty go naćpałeś, łobuzie.

– To mu gorączkę zmierz.

Krzyczy coś jeszcze, ale ja nie mam czasu.

– Daj mu leki. Ja za dwie godziny będę, pieniądze mu przywiozę.

– Jakie pieniądze?

– Za samochód, kurwa. – Sam zamykam drzwi, już nie mogę na nią patrzeć.

Zbiegam na dół. Rozumiem, że jak każda chciałaby mieć syna senatora albo supergwiazdę piłki nożnej. Z drugiej strony, pewnie nawet matka Lewandowskiego się do niego przypierdała, że mu Anka do żarcia samą śrutę daje i by raz oszamał zrazy, toby jeszcze mocniej te bramki wpierdała.

Ja ze swoją matką nieszczególnie rozmawiam. W sensie, tak parę razy do roku. Kochamy się, żeby nie było. To mądra kobieta, najmądrzejsza nawet. Zawsze była obrotna, tu miała sklep w Arkadii, tam robiła księgowość, sram flipy na mieszkaniach. Nic nie musiałem kombinować. Ja chciałem kombinować, bo ludzie po prostu chcą pewnych rzeczy. No i powiedziała mi jakiś czas temu: robisz, co chcesz, twoja sprawa, ale ja ci nigdy nie pomogę; na głowie stawałam, żebyś nie zajmował się tym, czym się zajmujesz. Żeby było jasne, nigdy cię nie podam. Jak po ciebie znowu przyjdą, powiem, że z tego, co wiem, tulipany zrywasz w Beneluksie. Jesteś moim synem, ale dlatego też nigdy nie będę z tego dumna. I nigdy mi się to nie spodoba.

Uczciwie, mamó, powiedziałem jej. Na czysto. Tak powinno być zawsze.

I przeprosiłem ją za wszystkie łyzy. Te, co były, i te, co jeszcze będą.

Dobra, jedziemy po torbę. Przekręcam kluczyk, skoda dusi się, ale nie zaskakuje. Tylko teraz mi się nie wygłupiaj, gangreno przerdzewiała. Jak się uda, wyjadę z Warszawy jeszcze przed świtem. Byleby ten rzęch miał w sobie jeszcze z tysiaka, dwa tysiące kilometrów, daj Boże.

Gdzie ta baba mieszkała, czekaj, sfotografowałem to sobie. Dobra, Sady Żoliborskie. Więcej zrobię dziś po mieście, niż jadąc tam, dokąd mam jechać, gdziekolwiek to jest. Po drodze mijam kawalkadę suk na sygnale.

Zastanawiam się, czy to dalej ta zadyma w Marriottcie, i zastanawiam się, czy odezwać się do Paziny. Przypomina mi się, co powiedział ten łeb pod Promenadą: że niby trafili jakąś babkę. No dobra, tam było pełno babek. A nawet jeśli, to sama się tam pchała. Nie bądź dobry, czyli nie bądź głupi.

Jestem na miejscu. Tylko weź wejdź teraz na klatkę. Patrzę, gdzie pali się światło. Dobra, coś tam klimacą na trzecim piętrze, słycać jakąś nutę, jakaś cipa rzy jak stajnia na Służewcu. Próbuję policzyć, które to mieszkanie. Trafiam, odbierają, przez szczekaczkę słycać szum melanzu.

– To ja – mówię.

Otwierają drzwi, debile. Wbiegam po schodach, daję po trzy stopnie. Ona mieszkała na ostatnim piętrze, w sensie ostatnim przed strychem. Dochodzę do drzwi, tak, to tutaj – na farbie nalepka z jakimś hinduskim bóstwem, pamiętam, że babeczka była trochę ezo. Najpierw pukam. Zero reakcji. Pukam głośniej, tak samo. No dobra, pierwszy but, lekki. Coś tam miauczy i się przewala po drugiej stronie. Zapala się światło. Słyszę, jak baba podchodzi do drzwi i się zatrzymuje. Gapi się przez wizjer.

– Moja torba – mówię jej. – Dajesz mi ją, i już mnie nie ma.

Nic, zero reakcji.

– Biorę torbę i znikam. Przysięgam.

– Nie znam cię. Torbę zostawiła Marta i dam ją tylko Marcie.

– Marta nie chce tej torby tak samo jak ty, ona nie ma z tym nic wspólnego.

Znowu ją zatyka. Matko święta, kolejna królowa intelektu, niektórzy ludzie nawet jako fabryka gazów się nie sprawdzają.

– Jak mi jej nie dasz, będzie kłopot.

– To twój kłopot, nie mój.

– Słuchaj ty, co ty w ogóle za występ robisz? W tej torbie jest piętnaście lat puchy, chcesz to dalej trzymać? Ty aż taka natchniona jesteś?

– Gdzie jest Marta? Co się z nią dzieje?

– Nie wiem, gdzie jest Marta. To nie jest jej torba.

– Dzwonię po policję.

– To se dzwoń, ja już byłem dziś aresztowany. Jak przyjadą, powiem im, że to twoje. Pięć kilo tabletek opio. Proszę cię bardzo.

– Popatrzą na nas oboje i na pewno ci uwierzą.

– Ale jesteśmy u ciebie, co nie? Dawaj, na co czekasz. Herbatę wstaw, żeby się napili.

Ona jest niemożliwa, w jakimś kabarecie moralnego niepokoju ją wymyślili. Może całe życie miała nudne, a teraz ma przygodę i się podnieca. No, ale to nie jest *Indiana Jones*, wiesz, o co chodzi.

– Ty, dam ci pięć tysięcy. Może być?

Sam nie wiem, ile kwitu jest w tej torbie. Załadowałem do niej wszystko, co miałem, głównie świetliki, trochę skuna, sikor, ledger do krypto; hajsu, ile było pod ręką.

– Może być? – pytam jeszcze raz.

Przekręca zamek, w końcu.

– Co, kapucha zawsze się przyda?

– Jesteś bardzo pogubionym młodym człowiekiem.

– Może się kiedyś odnajdę.

Patrzę na nią. Sięga mi mniej więcej do cyców, a nie jestem koszykarzem. Wygląda i gada jak Kaplińska, baba, co mnie uczyła chemii w technikum. Mój ziomek, Borówa, trochę cofnięty w rozwoju, raz wziął i założył jej kosz na łeb.

– Dawaj ten klucz.

– Czy Marta jest bezpieczna?

Najłatwiej byłoby ją okłamać, jak każdego po drodze. Ale nagle jakoś nie mogę, znowu ta świadomość, że tak naprawdę to nie ma sensu nawet ruszyć nogą. I dyskomfort w gardle, jakbym połknął sprężynkę od długopisu.

– Nie wiem.

– Jeśli coś jej się stanie...

– To jej się stanie. Zabili jakiegoś dzieciaka i doszła do wniosku, że znajdzie go pierwsza.

Wiedziała o tym. Odwraca się, ściąga pęk kluczy z drewnianego wieszaka. Taka społecznikara jak ona to musi mieć klucze normalnie do każdego klawisza w tym bloku.

– Długo się znacie? – pytam, gdy człapię za nią po schodach.

– Ja nie będę się z tobą teraz kolegowała.

Niech jej będzie. Drzwi na strych są ciężkie jak od schronu, zapiera się, ciągnie je do siebie, bez skutku. Żeby jej pomóc, muszę ją ciutkę odepchnąć. Prycha, ale w końcu pozwala. Zapala światło. Ja nie mogę, jakie gratowisko. Cudze szpeje poustawiane w rzędach robią tutaj normalnie labirynt Minotaura. Rzeczywiście, Pazina dobrze to przekminiła.

Torba mogłaby tu leżeć ze sto lat, i nikt by jej nie znalazł. Tylko teraz problem, bo ja tu z Paziną nie wchodziłem. Weź tu cokolwiek to znajdź.

– Baw się dobrze – mówi pigmejowa. – Masz dziesięć minut.

– Chyba cię parzy – odpowiadam, starając się być delikatny.

– Masz dziesięć minut, a ja dzwonię po policję. Jak skończysz, przynieś mi klucze.

Wyciągam je z zamka i chowam do kieszeni, żeby nic głupiego nie przyszło jej do głowy, na przykład mnie tu zamknąć. Ale ona powiedziała już swoje i teraz człapie na dół. Fantastycznie, nie ma co. Zaczynam chodzić po tym pierdolniku, ostrożnie, żeby niczego nie przewrócić. Najprościej byłoby zadzwonić do Paziny i zapytać, gdzie wepchnęła torbę. W sumie, czemu nie. Jeśli jest zdrowa, to przecież odbierze. Ale Pazina nie odbiera. Ma wyłączony telefon. Jeszcze raz staje mi przed oczyma ten kasztan pod Promenadą, co podobno słyszał o jakiejś babce. Mam ochotę tam pojechać i mu zwyczajnie nakłaść garści na łeb. Chociaż w sumie nic takiego nie zrobił. Coś usłyszał, to powiedział.

Rozglądam się. No miejcie litość. Jest tu wszystko, tylko nie to, czego trzeba. Stare narty, magnetowidy, sprzęt kuchenny, jakieś blendery, kurwa, jest nawet zestaw małego chemika. Można by tu cały traphouse zorganizować. Dobra, pomyśl logicznie. Skup się. Ona nie świruje z tymi dziesięcioma minutami, ona siedzi tam u siebie w chacie, ustawiła sobie stoper na komórce i jak będzie równo dziesięć minut, to zadzwoni na psy.

Telefon. Mam nadzieję, że to Pazina. No rychło w czas. Wyciągam telefon z kieszeni. Nie, to znowu Michałka. Bluzgów mi nawet na nią szkoda. Nie, nie trać teraz czasu na pierdoły.

Myśl. Gdzie byś to wepchnął, gdybyś był Paziną, gdybyś wiedział, że w środku tej samary jest tak naprawdę jeden wielki problem? No pewnie na samym końcu tego burdelu, tam, gdzie najtrudniej dotrzeć. No raczej, że tak. Patrzę na sikor. Zostało mi sześć minut.

Zapach szmelcu włazi mi do nosa, pieką mnie oczy, zaczynam kichać. Wszyscy ci ludzie, do których należało to tałatajstwo, muszą już nie żyć. Ile tu musi być grzyba i innego syfu, matko jedyna.

Część tego gówna poustawiano na drewnianych regałach. Jeden z nich zakręca i tworzy taki jakby korytarz. Sprawdźmy. Jest tam tak ciasno, że muszę iść bokiem, a jeszcze to gówno zaczyna się chybotać. Ostatecznie kucam. Pełno kartonów, w nich jakieś zdjęcia, stare książki. To w sumie

beka, jak ludzie zbierają całe życie różne szpeje i myślą, że są im potrzebne tak samo jak nerki i dziura w dupie.

Pod koniec już się przedzieram przez szmelc jak przez chaszczę, no, ale gówno. Nic tu nie ma. Trzy minuty i gruba dzwoni po psy. Chyba że zejść na dół i zajebię jej na arbuz. Nie, nie funduj sobie na sam koniec, mordeczko, paragrafu 281. Nie ma to sensu. Jeszcze raz patrzę, spokojnie i uważnie. Co tu jest, stare gówniane radio, moja babcia miała takie w kuchni. Książki, dzieła zebrane Jaruzelskiego, gówno jakieś najgorsze. Jedna fajna rzecz – proporczyk Legii z lat sześćdziesiątych. Zielony taki, z pięćdziesiątką w środku. Można kupić taki na Różyckiego za jabola, ale i tak fajowy. Wyciągam go z kartonu, biorę do ręki. O ty spryčiuło, tam to upchnęłaś. Wyciągam ten karton w cholerę. Proporczyk chowam do kieszeni. Torba jest cała. Otwieram, patrzę, co jest w środku. Niby wszystko git. Kamień leci z serca, ważę dwadzieścia kilo mniej. Jeszcze raz dzwoni Michałka. Niech jej będzie, odbieram. No nie, to znowu ten kondon.

– Czego ty znowu chcesz? – pytam go.

– Miałeś rację.

– Ja często, kurwa, mam rację.

– Zawinęli go. Z tej strzelaniny w hotelu. Był tam, ale chował się w pokoju.

Wyjmuję z torby sikor, wsuwam na rękę. Wyciągam plik kwitu, szybko odliczam piątkę, chowam do kieszeni. Słyszę, jak ktoś wchodzi po schodach. To pewnie karakanica. Biorę torbę, przewieszam przez ramię, wybiegam z tej trupiarni najszybciej, jak mogę.

– Kogo? Łukasza?

– To nie jest informacja oficjalna, ale...

– Poczekaj chwilę, Kamil.

Karakanica staje przede mną, w łapie ma wyciągnięty telefon jak jakąś odznakę. Na telefonie widać połączenie z psiarnią, trwa już dobre pół minuty.

– Halo, jest pani tam? – słyszę cichy głos psiury.

Pokazuję na torbę i daję babie jej klucz i piątkę w zgniecionych banknotach. Patrzy na ten hajs, jakby się brzydziła. Ale koniec końców się nie brzydzi.

– Ty jesteś nieprawdopodobna mała – mówię jej i ją mijam, jakby była powietrzem.

– No, jesteś? To nie jest informacja oficjalna, ale piszą to na forach. Całą strzelaninę przesiedział w pokoju, paląc crack. Był w stanie przedzawałowym. Wyciągnęli go w kajdankach. Razem z nim była Pazińska.

– W jakim jest stanie? – pytam, wybiegam na dwór, dobiegam do skody. Ładuję torbę na siedzenie pasażera.

– Podobno ledwo żywa.

Wsiadam za kółko. Oddech, Kurtka, kurwa. Oddech. Ledwo żywa to nie martwa. Tyle powinno cię obchodzić.

– W sumie to bardzo ci dziękujemy, Kurtka.

Otwieram torbę, sprawdzam jeszcze raz, po kolei. Tabletki – są. Kasa – jest. Cała, niecała, już nieważne. USB do krypto – jest. Zabawka – nabita. Wszystko jest. Wszystko działa. Nie, czekaj.

– Za co mi dziękujesz?

– To już nieważne. Bardzo nam pomogłeś, tak naprawdę. Pewnie nawet nie wiesz w czym.

– Nie wiem, o czym ty gadasz.

Jest wszystko oprócz paszportu. Szukam jeszcze raz. Boczne kieszenie, pod tabletkami. Macam. Nie ma.

– No i trudno, nieważne. Dzięki, Kurtka.

Zbijam go.

Muszę jechać na stary klawisz. Zostawiłem go tam, przyklejony z tyłu sejfu. Tylko pewnie oni tam są. Żylasty i ten Czeczen. A jeśli nie oni, to ktoś inny. Trudno, nie mam wyjścia. Jak dobrze pójdzie, za godzinę będę już za Warszawą.

Czekaj, czekaj. Oddech, kalkulacja. Jeszcze raz, pomyśl. Biorę kopyto do ręki, oglądam je pod światło, jakbym z niego wróżył, szukał w nim jakiejś odpowiedzi. W Schengen jaszczury biorą na kwarantannę, ale może wystarczy dowód. Z drugiej strony, trzeba będzie być może spierdalać w drugą mańkę, na przykład na Ukrainę. Paszport jest legitny, ja jestem niekarany. A goście, którzy prędzej czy później będą chcieli wrzucić mnie do dołu z wapnem, będą mieli mój dokument.

Znowu z pierwszej strony – bo przecież, kurwa, nie ma trzech stron – jeśli tam wejdę i oni tam będą, to co wtedy zrobię? Powiem, że tak po prostu przyszedłem sobie poklimać, zapytać się, co słyhać? Chłopaki, słyshałem, żeście na grubo pojechali tam w Marriotcie. Fajnie, fajnie. Co, dalej kminicie, robicie wjazd do Sejmu, Kaczyniakowi na chatę? A może od

razu porwiecie ze dwa rajanery i wpierdolicie się nimi w Parlament Europejski? Super, jaram się, kozak akcja, powodzonka i z fartem, ale czy mogę przy okazji wziąć swój paszport?

Ściskam sobie łeb z całej siły przez pięć minut, które trwają chyba z pięćdziesiąt lat. Mam tętno, jakbym przebiegł maraton boso po śniegu.

Dobra, chuj w to. Żyje się raz i czasami jest to trudne. Skoda odpala, to najważniejsze. Jadę.

Lubiłem ten klawisz. Wynająłem go już po Roksanie, więc nie było w nim żadnych wspomnień, przekmin. Wszystko czyste, nowe, świeże. Łeb, który mi go wynajął, niczym się nie interesowałem. Nigdy do niego nie dzwoniłem, nawet jak coś się zjebało. Miałem święty spokój. Sąsiedzi trochę się cisnęli o zapach skuna na klatce, ale zamiast się awanturować, robiłem im drobne prezenty. Przepraszam bardzo, tutaj winko, a tu dzieciaczek lego sobie ułoży, i git.

Nie lubiłem być tam sam, drzwi były raczej otwarte. Ktoś musiał ze mną siedzieć, nawet trochę obcy. Dupki, ziomale, ziomale z dupkami. Nie że cały czas balet, ale żeby ktoś chodził po chacie, oddychał, nawet coś przeszkadzał. Z drugiej strony, nie chciałem się wiązać, być na stałe. Po Roksanie to byłoby baaardzo dziwne. Tak dziwne, jakbym nagle, bo ja wiem, poszedł do Biedronki pracować na kasę. Hardkorowe rzeczy rysują okrąg dookoła ciebie, pokazują ci granicę, chyba tak właśnie jest. Jakbym się wybrał do jakiegoś konowała od głowy, pewnie powiedziałyby mi, że się boję przeżyć drugi raz to samo. A może sobie to tylko wyobrażam.

I oczywiście, że miałem gula, gdy zapukali i kazali mi wypierdalać. Najpierw to byli sami Czeceńcy, żyłasty przyjechał dopiero później. Dali mi dwadzieścia cztery godziny. Pokazali kilka chat do wyboru. Podziękowałem, powiedziałem, że sam sobie poradzę. Wzruszyli tylko ramionami, zdziwiło mnie to – myślałem, że skoro tak to wygląda, to będą chcieli wiedzieć, gdzie jestem.

Na razie nie chcieli.

Niby wybrałem ten przypał, wiesz, o co chodzi. Niby od początku miałem wliczone w kosza, że ktoś zapuka do mnie nad ranem. Nie powinienem być zdziwiony, jak Tomek Hajto. Mimo wszystko, gdyby to były psy, to byłoby, nie wiem, łatwiejsze do ugryzienia. Nawet z puchą w pakiecie. Może byłem naiwny jak dziecko, może myślałem jak ten cymbał Rafi, że wszyscy jesteśmy jak jedna rodzina, jak w tej discopolowej nucie.

Nic to. Parkuję obok Panoramy. To miejsce jest kotem, uwielbiałem je. Kapsuła czasu. Kiedyś opłacałem jednego dziadka, który stał tam na bramce, i kitrałem koko w kiblach na dole. Dogadaliśmy się, bo to stary wariat był, twierdził, że miał pięć mieszkań w Warszawie, w każdym po kurwinie, i wszystko poszło z dymem na rulecie. Potem dziadek się stamtąd ukręcił, powiedzieli mi, że po prostu umarł na serce. Znalazłem jego córkę, dałem jej parę koła na pogrzeb, bo podobno odziedziczyła po chłopie same długi. Potem już nie kitrałem towaru, ale przychodziłem na pacynę do chłopaków, którzy pieką chleb w starej pizzerii na dole. Dobry tam był klimat. A najlepszy, jak kiedyś z Wróblem weszliśmy tam o trzeciej nad ranem i zajaraliśmy DMT. Człowieku, co się działo. Najpierw przenieśliśmy się do takiego starego serialu polskiego, typu *W labiryncie*, normalnie byliśmy postaciami i waliliśmy dialogi, ja byłem babką, co ją chyba Kaśka Dowbor grała, a on chłopem cierpem. A potem serial się rozpadł, weszliśmy w kontakt z reżyserem, który tak naprawdę był Bogiem, ale takim złym Bogiem, sztuczną inteligencją. Ta sztuczna inteligencja kazała Wróblowi strzelić klocka do fontanny.

Wysiadam z auta, kopyto ładuję za spodnie. Wyciągam z torby zapasowe klucze. Niby światło jest zgaszone, ale chuj wie. Powinienem się umyć i przebrać, daje ode mnie jak z szatni po wuefie. Na dresie jakieś plamy, tylko kurtka jakoś wygląda. Kurwa, zostawiłem też tam wszystkie swoje kurtki. Miałem konkretną kolekcję. Jak można się łatwo domyśleć, zawsze lubiłem kurtki, nawet latem chodzę w kurtce, na podkoszulek. Nie lubię być odsłonięty, wiesz, o co chodzi.

Wchodzę na klatkę. Jest cicho. Tak cicho, że słyszę swój oddech. Idę do windy. Wjeżdżam na swoje piętro. Jeszcze raz mówię sobie: uspokój się, wycisz. Wyluzuj. Stąpam na samych palcach, normalnie jak dzieciak, który przemyka w nocy do kompa, pornuchy sobie pooglądać, jak starzy śpią. Naciskam kławkę. Zamknięte. Przystawiam ucho do drzwi. Nic nie słychać, nawet najmniejszego dźwięku. Słyszę tylko sam siebie, jak sapię. Jestem cały mokry. Wracaj na parking, czekaj, wrzeszczy do mnie mój własny zdrowy rozsądek. Odpowiadam mu, aby się pierdolił.

Jestem Kurtka, chłopak ze Śródmieścia. Nie jestem tu po to, aby kitrać się po krzakach.

W jednej dłoni ściskam zabawkę, w drugiej klucze. Wsuwam je do zamka. Przekręcam, otwieram drzwi. Bardzo cicho. Nic, nikogo nie ma. Zapalam światło. Pusto. Sypialnia. Pusto. Kibel. Pusto. Zaraz serce

wypadnie mi przez uszy. Łapię się za cyc jak stara babka, co lezie rowerową i ją hulajnoga mija o milimetr. Matko święta.

Nie zapalam światła, przecież oni mogą być na parkingu. Świecę sobie telefonem. Niewiele tu pozmieniali, w sumie to nic. Mój telewizor, moja konsola, moje szpeje w kuchni. Moje kurtki zrzucone z wieszaka, ciśnięte w róg pokoju. Pewnie je przymierzali, tylko na nikogo nie pasowały. Na stoliku przed kanapą wyjarana szysza i parę butelek po wódce, jakieś kartony soku. Ja nie znoszę gorzały. Gorzała jest po to, żeby zamienić cię w bydło, trzymać cię w oborze. Pecyna jest po to, żebyś widział, co się dzieje, tak jak grzybki czy papier. Dlatego pecyna jest nielegalna, a gorzałę dostaniesz wszędzie.

Dobra, nie zawieszaj się, nie wpatruj. Obchodzi cię tylko to, po co przyjechałeś. Sypialnia, otwieram szafę. Sejf – gdy przyszli, nic już w nim nie było, opróżniłem go od razu po akcji w ambasadzie. Wkładam łapę, macam. Jest, nie jorgnęli się. Powoli odklejam taśmę, biorę paszport, chowam do kieszeni. Dobra nasza. Teraz spierdalaj, szybko. Nie, poczekaj. To nie może tak być. Wyciągam fujarę i leję na łóżko, długo, nazbierało się przez ostatnie parę godzin. Przykrywam płamę kołdrą, wychodzę z sypialni. Jeszcze jeden rzut oka na kurtki. Podchodzę do nich, biorę trzy ulubione: jednego monclera, gucci i polo, taki bezrękawnik. Nie dam tej Al-Kaidzie zabrać sobie wszystkiego.

Wychodzę. Zamykam drzwi. Nasłuchuję. Znowu mam serce pod gardłem. Zbiegam schodami na sam dół, wylatuję z klatki jak wystrzelony z procy. Podchodzę do skody, otwieram drzwi. Ładuję kurtki na tylne siedzenie. Głęboki wdech, głęboki wydech. Może to wszystko się uda, kurwa mać i Jezu Chryste. Może ich okiwam, może strzelę tę bramkę. Już widać chłopca na budzie, widać okno. Lewy dolny róg, masz miejsce, Kurtka, za tobą jest luz. Wyprzedziłeś ich. Strzelaj. Teraz.

Wyjeżdżam na Bobrowiecką, cofam się do Chełmskiej. Jadę spokojnie, przepisowo. Przed siebie, na południe. Droga jest prosta. Droga zawsze będzie prosta. Aby się skupić, włączam radio.

– To potworna noc dla Warszawy, będziemy ją długo wspominać – gada spikerka. – Tragiczny w skutkach wieczór w Marriocie, strzelanina na nielegalnej imprezie.

Aha, NIELEGALNEJ, tak to ograją – nie róbcie melanży, nie spotykajcie się z ludźmi, chodźcie na smyczki i w maseczkach, bo nawet

jeśli nie zachorujecie, to wpadną jakieś pojeby z kałachami i będą pruć do was jak do kaczek. Słuchajcie się, siedźcie w domu. Sprytnie.

– Siedem ofiar śmiertelnych, kilku rannych – mówi spikerka, podkreślona, jakby się nawąchała.

Jakby naprawdę wiedziała, co się dzieje, wystrzeliłoby ją w kosmos. Impuls, żeby jeszcze raz zadzwonić do Paziny. Nie, olać to. Jedź dalej. Skoro żyje, to żyje. Skoro ledwo żyje, to znaczy, że za jakiś czas będzie żyć bardziej.

Skup się. Masz czas. Jest dobrze. Zanim się skleją, będę pod Krakowem. Cuchnę, ale pies to gonił. Ciuchy na zmianę kupię w jakimś innym mieście, w pierwszym lepszym sklepie, cokolwiek. Umyję się na stacji benzynowej. Nie ma czasu już jechać na nowy klawisz. Nie ma czasu na nic. Niby niebo jest zwyczajne, takie jak co dzień, szare i zachmurzone, ale ja widzę na nim jeźdźców apokalipsy. Są tuż za mną. Udało się, Kurtka. Nie spierdol tego.

Spikerka gada dalej.

– To nie koniec tragicznych wiadomości. – Jasne, że nie, tragiczne wiadomości nigdy się nie kończą, mordko, wiesz, o co chodzi. – Pod Warszawą, w lasach nieopodal Otwocka, znaleziono ciało znanego dziennikarza i prezentera telewizyjnego Mariusza Fajkowskiego. Z ekspertyzy policji wynika, że w śmierci mężczyzny brały udział osoby trzecie. Wedle naszych informacji ciało było straszliwie okaleczone. Policja prowadzi śledztwo w tej sprawie.

Wyłączam radio.

Jestem na miejscu.

Ja jebię.

Oczywiście jeśli będę to komuś potem opowiadał, to powiem, że samochód sam skręcił w stronę Ochoty, znowu na tę pętlę tramwajową. Będę tak opowiadał, żeby się wytłumaczyć w sumie cholera wie z czego. Po prostu zrobiłem, jak zrobiłem. Historii tego swetra i tak nie zrozumiesz, ha, ha. Iks de. No to żeśmy się pośmiali.

Otwieram torbę jeszcze raz. Przeciagam ręką po szpejach, jakbym psa głaskał. Jaka to wszystko jest bzdura, to ja nawet nie wiem. Wyciągam cały ten hajs, kładę sobie na kolanach. Gapię się na niego, na chwilę zapominam, co to w ogóle jest i do czego służy. Normalnie jestem jaskiniowcem, pieniądze to dla mnie obce przedmioty z innego świata.

W końcu biorę jedną kanapkę, w złotówkach, pozostałe dwie chowam do torby, i zaczynam ryczeć jak Ronaldo po każdej przegranej.

Nie wiem, czy strzelę tego gola. Raczej nie, właśnie zbiegłem z boiska, wiesz, o co chodzi.

Ryczę dobre dziesięć minut, nie mogę się powstrzymać. A potem wychodzę z fury.

Niech to wszystko się skończy.

Kolejna klatka. Kolejne schody. Kolejne drzwi. Nie byłem tu od tak dawna. Ostatni raz tamtego wieczoru, przed tym melanżem. Odbierałem ją z chaty. Naprawdę starałem się być elegancki, nowy dres, wypachniony. Roksana kochała mnie do szaleństwa. Zrobiłaby dla mnie cokolwiek. Naprawdę, zabiłaby dla mnie, bez kitu. Mogłem powiedzieć jej wszystko, wiesz, o co chodzi. Mówiłem jej rzeczy, o których nie wiedziałem, że się je mówi. Robiłem jej w łóżku rzeczy, o których nie wiedziałem, że się je robi. Jej matka mnie nienawidziła. Jej ojciec nie zwracał uwagi. Pompowali w nią hajs jak Chińczycy w Afrykę. Miała być najlepszą córeczką, miała dla nich zdobyć cały świat, rozpykać Oksford, wbić w tej grze platynę. Ale ona wolała wsiąść ze mną do fury i pomknąć w noc.

Opieram się o poręcz. Co ja tu w ogóle robię, kto mnie tu wysterował? W ręce trzymam ten plik hajsu, zaraz będzie bezużyteczny, tak go przepocę. Co ja mam im właściwie powiedzieć? Czy już nie powiedziałem im wszystkiego?

Ludzie po prostu chcą rzeczy, i ja to kumam. Ale to, że ludzie MUSZĄ rzeczy – to już jest, kurwa, zagadka.

Tamten wieczór dwa lata temu. Wrzesień 2018. Jeszcze było ciepło jak latem. Poszliśmy na melanż do Baletu na Nowogrodzkiej, to były pierwsze miesiące po otwarciu, wszyscy mieli lot na ten klub. Formalnie miały to jakieś pajace z YouTube'a, a tak naprawdę chłopaki jakieś z Mokotowa, co trzymali też maszyny w Wólce Kosowskiej. Była z tego kupa szmalu, swoją drogą, największe fortuny na tym porobili – ci Wietnamczycy połowę tego, co zarobili, wrzucali w maszynę, jeden jednoręki bandyta potrafił połknąć po sto koła dziennie. Stop, nieważne. O wszystkim bym myślał, tylko nie o tym.

Najpierw zjedliśmy po grochu i robiliśmy to na masce auta, nie pamiętam gdzie. Czasami tak się zapominaliśmy, że mogliśmy to robić przy ludziach, w biały dzień. Miała najlepszą dupę, jak Rihanna, kształt jak klepsydra. Idealne cycki, małe sutki, płaski brzuch, ciemną skórę. Czarne

oczy, czarne włosy. Miała piękną, najlepszą cipę. Gdy przystawiała mi ją do twarzy, potrafiłem skończyć sam z siebie, bez żadnego dotykania kutasa, po prostu wybuchnąć.

Tamtego wieczoru chciała się wytańczyć, spotkać jakieś swoje psiapsie. Nie kumałem tych dup, ale nie musiałem ich kumać. One jej coś tam pierdoliły – on jest groźny, zły. Wzruszała ramionami, wiedziała swoje. Wpadali raperzy, robili na spontanie wykony do tego, co miksowali DJ-e. Po drugiej, trzeciej dupy pokazywały cycki na barze. Szampan, sztuczne ognie. Wszyscy na emce, to był szczyt tego lotu. I wtedy też na dobre wjechały gale, nie KSW, tylko właśnie te dla idiotów. Power MMA, MMA Fire, Max League. Chłopaki, co walczyli, zaczęli tam przychodzić, rozpierdalać zarobiony hajs, byli gwiazdami, jak youtuberzy i raperzy. Sypali i lali za czterech. Ja wtedy gonilem najwięcej, a oni najwięcej brali. Pokumałem się z nimi, z Ralczykiem, Bodoksem, innymi. Niektórzy byli dobrymi mordami, inni zwyrodnialcami. Jeszcze inni byli bardzo weseli, ale dziwni, tak jak Łukasz. Łukasz kochał crack i dupy. Przedstawiał się jako elegancki człowiek, bajerzył, że leżał tu w tym kryminale, tu w tamtym. Non stop bajerował, morda mu się nie zamykała, sprawiał wrażenie, jakby miał ciągle tętno sto pięćdziesiąt. Tego wieczoru zaprosił mnie na łożę. Wypatrzył Roksanę w tłumie, jak tańczyła z psiapsiami. Byłem zmęczony, pogonilem wszystko, chciałem jechać. On powiedział: weź je tutaj, mordko, te sarenki, zaproś na VIP-a, ja nie chcę tu klubu pederasty, tylko dobrą zabawę. Ta brunetka to moja kobieta, powiedziałem od razu. No i zajebicie, mordko, dawaj je tutaj, koleżanki chyba nie są twoje. Byli całą ekipą, ja byłem sam, nie było jak się z nimi kłócić. Dopiero się rozgrzewali, chcieli coś poruchać; ja z kolei miałem kieszenie pełne hajsu i moją zabójczynię, ostatnie czego chciałem, to siedzieć na łoży z bandą downów. Śniady tam był, Kraken tam był. Śniady był rozgorączkowany, bo właśnie odjebali Piotra, nie wiadomo w sumie kto. Zamknęli go w saunie i przekręcili grzanie na maks. Potworna śmierć, nawet nie wiedziałem, co o tym myśleć. Dziś to jasne, kto to zrobił. Tak czy siak. One przyszły na tego VIP-a. Roxy siadła przy mnie, nie było opcji, żeby usiadła gdzieś indziej, byliśmy jak jedność zawsze i wszędzie. Łukasz od razu zaczął bajerować jej kumpele, Rokse też, ale ona na niego szczała, dawała mu do zrozumienia, że jest dla niej jak stara kalarepa. Tak to trwało i trwało. Wierciłem się, dość miałem melanży. Ona jednak chciała się

wytańczyć. Nagle zaczęli mnie wydzwaniać, musiałem wyjść na zewnątrz, nie dało się gadać.

Zostawiłem ją z nimi, bo byłem o nią spokojny. Ufałem jej. Jak nikomu nigdy.

Wróciłem po półgodzinie. Od razu sklepiłem, że coś jest nie tak. Roksana spływała z siedzenia, oczy miała takie, że trudno powiedzieć, czy otwarte, czy zamknięte. Uśmiechała się głupio. Nigdy nie była taka, zawsze trzymała pion. Zapytałem, co jest. Łukasz się zaśmiał. Inne dziewczyny też były trafione. W sumie wszyscy byli trafieni, ale Roksana najmocniej. Objąłem ją, lała się przez łapy jak ciasto. Co jest, kurwa? A nic, odparł, trochę żeśmy posypali se krychy, no chyba wiesz, o co chodzi. Zapytałem ją, czy tego chciała. Wzruszyła ramionami, porobiona jak nigdy. Była już po grochu, plus zajechaliśmy przed wejściem jakiegoś kontrolnego pasa, ale Łukasz musiał jej nasypać z pół kubka. Zamiast muzy, zacząłem słyszeć tylko własne serce. Własny strach. Pamiętam, co po kolei gadali. No trochę to była niespodzianka, powiedział Śniady. Ty, no wyluzuj, Kurtka, jest balecik i tyle. Wyciągnął samarę, miał normalnie z pięć dych kryształu w torbie, ten kryształ wyglądał jak niezmienny od miesiąca silikonowy żwirek dla kota. Zapytał, czy też chcę. Byłem zły, bardzo. Chciałem mu najebać, ale ja byłem sam, a ich była piątka albo szóstka, wszystko typy napierdalające się w klatkach za pieniądze. Ty, no sorry, głupie pomysły to dobra zabawa, zaśmiał się Łukasz. Wtedy Roksane odcięło. Padła twarzą na stolik we własnego drinka. Rozbiła głową szklanke, rozcięła sobie twarz.

Pamiętam, że on dalej się śmiał, dla niego wciąż było bekowo.

Ile stoję już przed tymi drzwiami, godzinę, dwie godziny? Zatrzymuję grabę w powietrzu. Jestem filmem, ale ktoś nacisnął pauzę, wiesz, o co chodzi. Nie przeprosisz za coś takiego, nie zadoścuczynisz. A przede wszystkim, mordo, nie przeprosisz, kurwa, nie ma takiej opcji, obiecuję ci – nie przeprosisz za coś, czego nie zrobiłeś.

Jak przyjechała karetka, to już było po frytkach. Pół godziny robili jej reanimację. Stałem tam jak kamień, mordo. Stałem tam jak kamień i zamieniałem się w nic. Rozpuszczałem się jak tabletki w szklance wody, wiesz, o co chodzi. Te jej panny ryczały, wszyscy ryczeli. Nikt nie miał odwagi do mnie podejść. Przyjechali jej rodzice, a ja wciąż stałem jak koł. Tamci – Łukasz i reszta – gdzieś się stlenili, jeszcze zanim było wiadomo. Chociaż może już przy stoliku było wiadomo.

Potem zrobili jej sekcję. I powiedzieli, że miała ukrytą wadę serca. Ubytek przegrody międzyprzedsionkowej. Nie powinna nigdy nawet szybciej biegać. Mi najpierw poszło w maks hejt na tych rodziców – taką mieliście zajebistą córeczkę jedyną, a jej nie przebadaliście. Potem na siebie, że wyszedłem na dwór. A na końcu wiadomo.

Chuj mu na imię.

Długo szukałem okazji. Planowałem go nawet sam odpalić. Kombinowałem, wariowałem. Z czasem jednak ostygłem. To, co było we mnie ludzkie, zamieniło się w beton. Przestałem wierzyć w cokolwiek. Tylko hajs i buch. Śledziłem jego ruchy, oglądałem jego kanał. Codziennie kładłem się na kojo i rozkminiałem, co mu robię, wiesz, o co chodzi. Oglądałem o tym tutoriala. Znajdziesz takie rzeczy na darkwebie, jak spalić człowieka kwasem tak, żeby żył jak najdłużej. Ale okazja napatoczyła się sama. Pazina przylazła i powiedziała, że szuka kogoś, kto zabił tego geja. Proszę bardzo. To przecież nawet mógł być on.

Co to za kara dla niego dwadzieścia lat w kryminale. On już tam był. Wie, o co chodzi. Z drugiej strony, nie dało się inaczej.

Tyle można było zrobić.

I tak wszystko przestało mieć znaczenie wtedy, na Nowogrodzkiej. Czy teraz jestem zadowolony? Mordo, ja zapomniałem, co to znaczy być zadowolony.

Chowam rękę do kieszeni. Wiem, o co chodzi. Zawsze wiedziałem, o co chodzi. Rzucam ten hajs na wycieraczkę. Wygląda jak gówno, jakbym się na tę wycieraczkę złamał. Schodzę po schodach. Ocknij się, proszę sam siebie, mordo, przestań śnić. Jedyne, co jeszcze możesz zrobić, to przeżyć.

– Siemano. – Najpierw słyszę.

No dobra.

Na początek podcinają mi nogi. Przewracam się na ziemię, tuż pod klatką. Następny leci kop na żebra. Mordo, o kurwa. Chyba jedno pękło. Próbuję otworzyć oczy, ale wszystko jest czerwone. Jeszcze jeden kop, i jeszcze jeden, i nadeptują mi na palce, O KURWA MAĆ, wrzask wypada mi z gęby i niesie się przez ulicę.

– Co ty sobie wyobrażasz, pajacu? – Żylasty przybliżyła głowę do mojej. – Co ty myślisz? Że to jest klubik maluszka?

Morda pełna juchy, część odpluwam na ziemię, kop na mordę wyłącza światło, ale jeszcze nie wyłącza mózgu. Najlepiej być obok bólu, mówił mi kiedyś trener brazylijskiego ju-jitsu. Najlepiej go obserwować.

– Gdzie masz szpeje, kurwo?

– W aucie.

– Które to?

Otwieram oczy. Widzę jeszcze mniej, wszystko jest jeszcze czerwiejsze. Próbuję pokazać palcem, gdzie stoi auto. Otwieram gębę i wypluwam trzy zęby.

– Ta skoda tam. Ta niebieska.

– Kluczyki.

Kolejny kop, w bark. Ból jest długą igłą nagle wbitą w łapę. Ta ręka nie trafia do kieszeni, ta ręka nagle nie chce trafić gdziekolwiek. Jeden z nich obsługuje się sam, wsadza mi łapę w gacie.

– Było mówione. Po polsku. To, co twoje, jest teraz nasze.

Jeszcze raz. W brzuch. Nagle mam w mordzie tamten zestaw z maca, miesza się z krwią, wyżera przełyk.

– Siedzisz w Warszawie. Jesteś pod celą.

I znowu w brzuch. Żółć podjeżdża do przełyku.

– Macie kojo, macie michę, macie pensję. Macie telefony. Ale nie. I tak wszystko źle.

Jeszcze raz. Zasłaniam gębę. Te zęby to chyba dwójka, trójka i czwórka z prawej. Ból przestaje mnie obchodzić.

– Wiesz co, szmaciarzu, ja cię chyba jednak zwyczajnie oprawię. Nitecki kazał cię zostawić. Ale chuj w niego.

Słyszę go, kurwa, jakby stał osiedle dalej. Ale słyszę też, że on bardzo nie lubi Niteckiego.

To taki moment, w którym trzeba podjąć decyzję, czy dalej żyć, wiesz, o co chodzi.

No, ale wiadomo, jaką decyzję się podejmuje, za każdym razem.

Czasami trzeba kogoś podać.

Okoliczności są wyjątkowe.

– Nitecki rozpierdala się na was psom. – To jest to, co chcę powiedzieć, ale z gęby wylatuje mi paplanina rozmiękczona juchą i bełtem, brzmię jak żul, który zre szamę.

Raczej czuję, niż widzę, że żyłasty się do mnie nachyla.

– Co? – pyta.

Zbieram siły, otwieram gębę szerzej, jak boli, kurwa.

– Nitecki rozpierdala się na was psom.

Przez chwilę nic nie gada.

– Nitecki się na was rozpierała. Psy się was boją, ale wszystko wiedzą. Zawinęli mnie dzisiaj. Rozpierała się kryminalnej. Śpiewa tam, kurwa.

Nie mam siły mówić nic więcej. Niech robi, co chce. O coś pyta, nie wiem, czy mnie, czy któregoś ze swoich ziomków. Próbuję się podnieść. Nie mam siły.

– Przysięgam.

– Na co?

– Na matkę.

Czekają chwilę.

– Jak kłamiesz, to mamy chłopca, co był medykiem polowym w Kosowie. Wyjmie ci śledzionę bez narkozy i pokaże, jak wygląda.

– Kurtka nie kłamie.

Odchodzą. Próbuję się podnieść. Raz, drugi, piąty. W końcu jakoś udaje mi się usiąść.

Dzwoni telefon. Działającą ręką przystawiam ekran bardzo blisko oczu. Potrzebuję chwili, żeby przeczytać cztery litery: RAFI.

Odbieram.

– Dzwonię, bo mimo wszystko cię lubię.

Że wszystko musi się ukreść na lewiznę, to wiadomo. Spokojnie, wdech, wydech i się odkuwamy. Nie dać się zjeść emocjom, najważniejsza sprawa. Najpierw tracisz hajs.

Potem ludzi.

Na końcu klawisz.

Niby nie można brać wszystkiego do siebie, ale ja jestem jak Tomek Jarzębowski, co sezon, to kontuzja.

Jak Roberto Baggio.

Jak jakiś Hiob, wiesz, o co chodzi.

JACEK

Nowa Aleksandria

12 PAŹDZIERNIKA 2020

Nie pamiętam, kiedy wybiegłem z Marriottu, nie pamiętam drogi na wyznaczone miejsce – jedno z wielu mazowieckich pustkowi. Praktycznie nie rozmawialiśmy, policzyliśmy głowy. Daria ani Karasia nie było wśród nas, pojechali nie wiedzieć gdzie. To było dziwne, ale w tamtej chwili zupełnie nieistotne. Adrenalina paliła mnie od środka. Było mi na zmianę potwornie gorąco i zimno. Zgrzytałem zębami, tak mocno, że czułem smak ścieranych plomb; gryzłem do krwi usta i palce.

Umar pokazał mi nagranie z telefonu. Aślan stał przed Dariem naprężony jak struna. Dario mówił do niego matowym głosem starego szansonisty. Tak właśnie się to skończyło.

– Widziałeś krew i zło, Aślanu. Ile ty widziałeś. Kobity rozerwane, jakby rodziły drut żyletkowy. Dzieciaczki małe, Ruscy je żywcem podpalali. Bomby, miny. Spaliło ci to duszę. Ale jest jedna rzecz, którą ja widzę. Rzecz, która zabiera ci sen. Najgorsza rzecz. Jak twój brat starszy tego pieska wziął. Twojego kolegę pieska, co go wyjąłeś z gruzu.

– *Szto ty lżesz, diaboł* – odpowiedział Aślan.

– Suka była, ze szczeniaczkami. W dżem ją zmieliło. Ale jeden maluch przeżył. Wziąłeś go, schowałeś do kieszeni. Trzy dni mu dawałeś jeść. Psiaczek maluśki. Nazwałeś go Malczik. Miałeś koncentrat mleka w tubce, cała twoja szama, i oddawałeś mu. Ty nie jadłeś, ale on jadł. Psiaczek twój. Oni rozrywali kobiety. Deptali dzieci. A ty trzymałeś psiaczka przy serduszku, Aślanik. I twój brat wziął go do ręki. I mu urwał głowę, jak się od jabłka ogonek odrywa. Jednym ruchem. Zrobił to, bo nie chciał, żebyś był pedałem. Widzisz, udało mu się. Nie jesteś pedałem. Tyle dobrze.

– *Szto ty lżesz* – powiedział jeszcze raz, trochę ciszej.

Skończyło się bardzo prosto.

Aslan podniósł ręce, bezwiednie.

Dario strzelił mu prosto w głowę, i Aslan nie myślał już więcej o psiaczku Malcziku.

Pozegnaliśmy się. Dochodził świt. Pojechałem pod Janówkę; ubrany w kurtkę moro obserwowałem przez lornetkę podjeżdżające pod budynek CBS. Kilkanaście radiowozów blokujących leśną drogę dojazdową. Z dwóch opancerzonych pojazdów wypadła antyterrorarka. Byli dzielni i prężni, bo wiedzieli, że zastaną pusty budynek. Wyważali drzwi, zerkając w kamerę. W środku była tylko instalacja elektryczna, odłączona od generatora.

Marek krążył między nimi w kamizelce kuloodpornej i z blachą dumnie dyndającą na łańcuchu. Cały czas mówił coś do krótkofalówki. Miał elektryczne, puste oczy. Grał w swoim własnym filmie, którego zakończenie miało go bardzo zaskoczyć.

– Tak, do Warszawy wróciła zorganizowana zbrodnia, taka, jaką znamy z najciemniejszych lat dziewięćdziesiątych. Niestety, ci ludzie nie rozumieją, że żyjemy w innej epoce. Jesteśmy w Unii, NATO. Nasza policja jest dzielna i nieprzekupna, nasze państwo jest silne i zorganizowane. Obiecuję wszystkim zebranym, że...

Przestałem go słuchać. Wróciłem do mieszkania, zjadłem trzy świetliki. Poszedłem spać na dziesięć godzin. Przyśnił mi się pies. Mógł być Malczikiem. Mógł być też Kolegą. Tak czy siak, szedł za mną. Zrozumiałem, że pójdzie za mną wszędzie. Próbowałem go odgonić, bezskutecznie. Nic dla niego nie miałem poza zdradą.

Ale teraz już nie mam snów. Jest tylko czerń, tłusta jak diesel, w równych porcjach odmierzanych przez głód. Co noc, około czwartej nad ranem, wybudza mnie swędzenie pustych żył. Tortura, jakby świerzb zżerał szpik. Sprawdzam, czy mogę otworzyć oczy. Sprawdzam, czy zęby nie chyboczą się w dziąsłach. Sprawdzam, czy paznokcie jeszcze trzymają się palców. Świetlik. Po półgodzinie następny. Około szóstej mogę zasnąć z powrotem na jeszcze dwie godziny.

To zaczyna być nieznośne. Może świetliki powinny mieć zmienioną recepturę – sama kapsułka powinna być pokryta warstwą powodującą przedłużone uwalnianie. Okno działania u osoby uzależnionej zawęża się do jakichś dwóch godzin. Oksykodon używany do ich produkcji to podróbki, najpewniej wytwarzane w Azji, w tych samych fabrykach co generyczny xanax. Sam oksykodon w tabletkach ma przedłużone

uwalnianie, ale my kruszymy te tabletki i mieszamy je z innymi, aby napełnić nimi nową kapsułkę i stworzyć świetlika, więc efekt przepada.

Może powinniśmy kontrolować każdy element tego procesu. Może powinniśmy kupić pola makowe, gdzieś na drugim końcu świata. Zatrudnić bioinżyniera, który wyhoduje jeszcze mocniejsze, jeszcze bardziej uzależniające odmiany.

Spokojnie. To tylko sny. Dziwna gorączka. Prawdziwe jest za to mieszkanie – pusta, obleśna kawalerka. Na wyposażeniu tylko kibel, zlew, materac, dzbanek elektryczny. Poprzednie mieszkania są już spalone. A w kontekście tego, co ma się wydarzyć, i tak nie mają żadnej wartości.

Prawdziwe jest to, że musimy sprzedawać więcej świetlików, niż możemy produkować. Inaczej za trzy miesiące będziemy bez pieniędzy. Nie jesteśmy firmą. Nie możemy wziąć pożyczki, kredytu, wypuścić akcji. Jesteśmy zgrają bandytów, która parę dni temu kupiła całą wieś.

Znalazłem to miejsce zaraz po powrocie z Czarnogóry. Wieś nazywa się Nowa Wieś, jak trzydzieści innych wsi w województwie. Nabyłem sześć położonych obok siebie gospodarstw. Sprzedającym był facet, który wykupił je w latach dziewięćdziesiątych, a teraz zbankrutował. Łącznie dziesięć hektarów Natychmiast zleciłem lokalnej firmie otoczenie ich metalowym ogrodzeniem.

Oficjalnie kupiła je spółka zarejestrowana na Malcie – Modern Talking Company. Gdy Dario dał mi dostęp do gotówki, okazało się, że są to zwykłe konta w białoruskich i polskich bankach, pozakładane na fałszywe dowody osobiste. Musiałem wyprowadzić te pieniądze, założyć konta na Cyprze, na Kajmanach. Przełać środki do tamtejszych funduszy inwestycyjnych. Założyć spółki. Nauczyłem się tego wszystkiego sam, od zera.

To nie kończyło listy problemów, raczej ją otwierało. Musiałem doprowadzić do legalizacji świetlików, zrealizować plan, który był bardziej szalony niż wszystko, co Dario mógłby wymyślić. Nie musiałem już go rozmiękczać, wzbudzać jego zaufania. Gdy wierzyłem, że to on zabił Paulinę, gdy planowałem zemstę – paradoksalnie byliśmy na równi, trzymaliśmy się nawzajem w szachu. Teraz znowu byłem jego niewolnikiem. Musiał dostać to, co mu obiecałem. Ja musiałem chronić dzieciaki, Pazinę, rodziców.

Nasz plan, mający rozwiązać te problemy, był kolejnym zakładem z rzeczywistością. Obstawiałem, że chaos i desperacja osiągną

niespotykany dotąd poziom. Że rozpadająca się rzeczywistość jest bardziej plastyczna, przerażeni ludzie – bardziej sterowalni.

Dario na razie był zadowolony. Przechadzał się po nowych włościach, gwizdząc i podśpiewując.

– Nowa Wieś. No ładnie. Było kiedyś takie miasto, Nowa Aleksandria. A teraz nazywa się tak paskudnie, Puławy. W Nowej Aleksandrii mieszkają bogowie Olimpu. A Puławy to coś, co cieknie starej babie w kroku.

Marek – oglądałem w telewizji materiał z Janówki i wyobrażałem sobie, jak go torturuję. Torturowanie jest dużo trudniejsze od zabijania, trwa, jest rozciągnięte w czasie. W myślach robiłem mu to samo co Fajkowskiemu. Z tym, że nie byłem tym przerażony. Cała ta uciekająca z niego energia wchodziła teraz w moje ciało. Wyobrażałem sobie, że jestem wampirem, przystawiam usta do ciała otwartego niczym książka i piję jego krew.

Staliśmy się niemymi bohaterami telewizji, ja i Dario. Po materiale z Janówki wyemitowano materiał o samych świetlikach. Nikt na razie nie łączył ich z Janówką i strzelaniną w Marriocie – to musiała być decyzja Marka, aby wydzielać dziennikarzom informacje. Na coś liczył, nie rozumiałem na co. Myślał, że mnie sprowokuje? Chciał dać mi do zrozumienia, że ma nas na widelcu, ale daje mi jeszcze szansę?

Z drugiej strony, analizowanie go było stratą czasu. Nie interesowało mnie, jaką wymyślił sobie religię, aby robić to, co robił. Był śmieciem.

Wszystko było przesądzone.

Wszystko smakowało jego krwią.

Jakaś kobieta z zamazaną twarzą mówiła o swoim nieletnim synu, którego na imprezie znaleziono martwego w wannie. Przejęty kamerą pies dukał z promptera tekst, że odnotowano pierwsze rozboje i kradzieże dokonywane po to, aby zdobyć pieniądze na „zielone kapsułki”. Następnie wypowiadali się terapeuta uzależnień z setką tysięcy followersów na TikToku i psycholożka recytująca banały z żarem kaznodziei. Znowu pies, jakiś inny – mają związane ręce, ta konkretna mieszanka nie została jeszcze dopisana do listy nielegalnych substancji. I kolejna kobieta, tym razem bez zamazanej twarzy. Przeżyła coś nieodwracalnego, co zakonserwowało ją w nienawiści. Będzie miała ten grymas już do końca życia. Tej kobiecie również zmarło dziecko. Chłopak miał na imię Oskar. Pokazują jego zdjęcie – chudy emo dzieciak z ufarbowanymi włosami.

– *Mój syn nie uzależnił się sam. Uzależniła go kobieta, która prowadziła burdel z nieletnimi pod przykrywką hostelu dla gejów i lesbijek, rozumie*

pani? Syn chciał uciec i wtedy zginął. Czy pani rozumie, co ja mówię? Czy pani widzi, jaka jest prawda o tęczącej propagandzie? Co oni chcą robić waszym dzieciom?

Na Reddicie znalazłem grupę Świetlikowcy. Członkowie, głównie matki, błagali o pomoc. Jakaś kobieta opisywała, jak zamknęła swoją córkę w pokoju, aby ta się odtruła. Dziewczyna wydrapała sobie brudnymi pazurami takie rany, że o mało nie dostała sepsy. Inny mężczyzna napisał, że od świetlików uzależniona jest cała jego rodzina. Dzieci ćpały w tajemnicy przed nim i jego żoną. On ćpał w tajemnicy przed dziećmi. Żona zaczęła ostatnia. Ktoś polecił jej to na bóle kręgosłupa. Moglibyśmy to reklamować w telewizji, gdyby było legalne, pisze.

Grupa miała sto dwadzieścia tysięcy członków.

Na profilu jednego z brukowców znalazłem zdjęcie Paziny z czarnym prostokątem zamiast oczu. Artykuł próbował potwierdzić słowa matki zmarłego Oskara. Opisana w nim Pazina była potworem. Stręczyła dzieci, uzależniała je od opiatów. Gdy jedno spróbowało uciec, zabiła je.

Paru polityków podparło się sprawą Paziny, aby napisać projekt ustawy zakazującej „propagandy LGBT”. Podobny projekt wprowadzono niedawno w Rosji. To było rządzenie strachem, napuszczanie jednych ludzi na drugich, zastraszanie społeczeństwa samym sobą w obliczu braku zewnętrznych wrogów.

Dario miał rację. To nie my byliśmy prawdziwymi bandytami.

Wciąż myślałem o Śniadym, konkretnie o tym, co powiedział na temat Paziny, zanim zabrałem mu twarz. Próbowałem sprawdzić, czy rzeczywiście tam była, czy została pobita. Nie znalazłem choćby pół wzmianki. Na pewno żyła – gdyby umarła, brukowce opublikowałyby odpowiedni nekrolog.

Chciałem do niej napisać. Był moment, w którym palec zatrzymał się milimetr od ekranu. Wiadomość miała być prosta: „Czy wszystko w porządku?”.

Wmawiałem sobie, że mam czyste sumienie, bo próbowałem ją ochronić, że zrobiłem, co mogłem. Że jeśli cokolwiek jej się stało, to jest to wina tej policjantki, Eweliny.

Po prostu za nią tęskniłem. Zwyczajnie, chciałem porozmawiać z kimś, kto nikogo nie zabił ani nikogo nie stracił. Dopiero wczoraj w biurze Anioła zrozumiałem, dlaczego nie mogę do niej napisać.

Na spotkanie z nim umówiłem się przez recepcję, jak zwyczajny klient. Przedtem poszedłem do barbera, kupiłem sobie dobry garnitur. Od strzelaniny w Marriotcie minęło tylko parę dni, ale Anioł był chyba z dziesięć kilo chudszy, bardziej posiwiały. W Marriotcie zrozumiał, kim naprawdę jesteśmy. Być może zrozumiał za dużo.

Gdy mnie zobaczył, od razu zaczął błagać. Wysikał w spodnie całą swoją godność. Zapomniał zasady gry, w którą grał całe życie. Teraz chciał przeżyć, tylko tyle.

– Była u mnie policja. Powiedziałem, że mnie tam nie było. Że nie chodzę na żadne imprezy, bo jest pandemia i lockdown, a ja nie łamię prawa.

Jego sekretarka, niczego nieświadoma, przyniosła kawę. Uśmiechnąłem się do niej, wziąłem łyk, powiedziałem, że pyszna. Ona odwzajemniła uśmiech. Byłem miłym i przystojnym mężczyzną, który miał pieniądze. Gdy wyszła, Anioł błagał dalej:

– Macie tę kamienicę. Jest wasza i pusta. Nie ma już żadnego schronu dla elgiebetów, ta kobieta została zupełnie skompromitowana. Tak samo radny, który jej pomagał.

– Jaka kobieta? – zapytałem, ale już wszystko było jasne. Najtrudniej jest połączyć ze sobą oczywistości. Właśnie dlatego wszyscy ludzie są głupi. Bo czasami przestają umieć dodać dwa do dwóch.

W jego obecności wyciągnąłem telefon i zacząłem googlować. Może to przypadek. Może chodzi o podobne miejsce. Nie, jedyny hostel interwencyjny dla dzieciaków LGBT w historii prawego brzegu Wisły powstał z inicjatywy Paziny.

Miejscami świat jest wielki. Byłem w paru takich miejscach. Gdy jedzie się autobusem przez Patagonię, patrząc, jak zmierzch połyka niekończący się step, świat wydaje się potężny. Ale są też miejsca, w których świat kurczy się do rozmiarów mikrokawalerki.

To dowód, że rzeczywistość ma dość podłe poczucie humoru.

Okazało się, że zabrałem Pazinie wszystko, nawet o tym nie wiedząc. Włożyłem ją na minę. Nie mogłem się tak po prostu do niej odezwać. Zapytać jej, co słyszc. Ale musiałem to jakoś naprawić.

Anioł tymczasem próbował mówić dalej, ale był tak przerażony, że gubił słowa.

– Co więcej, zrobiliśmy krok w stronę legalnego przetargu. Tylko jeszcze raz... wasz produkt...

– To w ogóle nie jest twój problem.

Tak naprawdę nie pytał o to, jak zamierzam zmienić świetliki w legalny lek. Nie chciał znać szczegółów. Chciał się tylko upewnić, jak bardzo powinien się bać. Nie rozumiał jednak, że doszedł do ściany; jeszcze odrobina lęku rozsadziłaby mu serce.

– Pewnie chcesz teraz usłyszeć, że nic ci się nie stanie – powiedziałem. Pokiwał głową jak karczone dziecko.

Gdy go o tym zapewniłem, po prostu się rozplakał. Za jego plecami wisiał plakat z organizowanej przez niego konferencji. Stał na nim uśmiechnięty, zdrowszy, z zaciśniętymi pięściami. **BĄDŹ LWEM! KRYSTIAN „ANIOŁ” SAWICKI ZAPRASZA CIĘ NA WARSZTATY Z ODWAGI.**

– Nie bój się. To ci pomoże – dodałem i położyłem na jego biurku kilka świetlików.

Gdy wróciłem do mieszkania, grupa Świetlikowcy miała o dziesięć tysięcy członków więcej.

Teraz jest kolejny wieczór. Zwiększam dawkę świetlików o jeszcze dwa. Pomaga. Mięśnie stygną i miękną. Piszę do jakiejś dziewczyny z OnlyFans, że zapłacę jej pięć tysięcy za noc, jeśli tu przyjedzie. Prosi mnie o adres. Oprócz wydłużonego czasu działania nasz produkt można czymś doprawić. Można robić różne świetliki, w różnych wariantach kolorystycznych. Różowe, z domieszką ketaminy albo emki. Czerwone, ze spidami. Czarne, z fentanyllem. Różne smaki. Limitowane edycje. Znajduję trochę koksu, tak, to nawet pasuje. Świetliki z syntetycznym ekwiwalentem koksu, parę zmienionych doznań. Może wystarczy metylofenidat, ten lek na ADHD? Tak, to doskonałe połączenie. Świetnie się myśli, oddycha, gada do siebie. Dziwne uczucie lekkości. Małutka wszechmoc. Może to się uda. Zrobić to wszystko, a potem wrócić do prawdziwego domu.

Zaczynam chodzić po mieszkaniu, włączam muzykę. Żadna mi nie odpowiada, więc wyśpiewuję swoją własną. Pazina na lotnisku. Pazina. Przynajmniej miała fajne wakacje. Kto? O kim myślę?

Gubię się. Mam kupę pracy. Mnóstwo zajęć. Potykam się o laptop, przewracam na ziemię, ląduję na łokciach. Ktoś stoi w rogu pokoju. **KTOŚ STOI W ROGU POKOJU.** W rogu pokoju jest **PEŁNO ISTOT.** Były tam od zawsze, mieszkają na granicy pola widzenia. Istoty mówią, śpiewają i szczekają.

Telefon. Dario. Może to sen.

- Przyjedź do mnie.
- Do mnie, czyli gdzie?
- Podaje mi adres. Frascati.
- Czyli jesteście w Warszawie.
- Na wsi śmierdzi. Krowy śmierdzą. Gnój śmierdzi.
- Podobało ci się.
- Wtedy nie śmierdziało. A teraz śmierdzi.

Nie jest wesoły. Nie jest śmiesznie. Nawet nie używa zdrobnień? Może to sen. Kacper. Kurwa.

- Masz pół godziny.

Rozłącza się. Muszę się skupić. Ubrany czy nie? Ubrany. Czy mam skarpetki na nogach? Czy mogę założyć buty? Świat rozmieszano wielkim pędzlem. Sam to zrobiłem. Ale gdzie jest pędzel? Uber, zamówić. Ale co jest na ekranie? Kto jest w rogu pokoju? Pełno ludzi.

To wyłączeni ludzie, zgaszeni.

W zabiciu człowieka jest coś potężnego.

Może chwilę poczekam. Nie widzę ekranu, po prostu mniej więcej pamiętam, w które miejsca nacisnąć, aby oddzwonić.

- Słucham cię.

– Słuchaj, ja... ja jestem trochę nie w formie, ja... może być za dwie godziny?

– Nie. Nie może być za dwie godziny, nie może być za godzinę i nie może być za pół.

Powinien dodać „Jacunia”. Ale nie dodaje.

Koks, więcej. Lęk. Świetlik. Jakaś butelka. Gdzieś. Nie, tutaj. Pod ścianą. Koks. Wciąż lęk, ale mniej. Do łazienki, próbuję wydostać się z ubrania. Bezskutecznie. W ubraniu. Prysznic, zimny, długo. Serce najpierw wybucha, potem się uspokaja. ODDYCHAJ. Minuta. Dwie. Trzy. W końcu świat nabiera pozornej ostrości. Woda jest zimna i cierpliwa. Muszę się przebrać. Przynajmniej teraz widzę litery, ikonki aplikacji.

Ktoś dzwoni do drzwi. Dziewczyna. Młodziutka. Nosi pluszowe królicze uszy. To ona? Może. Nie pamiętam.

- Przepraszam, ale jednak muszę wyjść.

- Przynajmniej oddaj mi za ubera.

Pieniądze – jakieś są chyba w reklamówce w łazience. Pieniędzy jest tyle, że tak naprawdę nic nie znaczą. Nie mam siły liczyć, daję jej plik stów.

Po grubości sądząc, to mniej więcej piątka. A może siódemka. Przepraszam ją za fatygę. Chowa hajs do torebki, nic nie mówiąc.

Pieniądze. Pazina. Muszę jej to wynagrodzić. Zabrałem jej wszystko. Powinienem teraz wszystko jej oddać.

Po drodze przysypiam. Kierowca mnie budzi. Trudno powiedzieć, czy jestem przytomniejszy.

Mieszkanie ma metraż księstwa – sam salon z kuchnią to jakieś pięćdziesiąt metrów. Za szklanymi drzwiami ogromny balkon. Kojarzę to miejsce, parę lat temu było na sprzedaż jako najbardziej wyjątkowy apartament w mieście. Kosztowało wtedy cztery miliony. Teraz może kosztować dziesięć.

Na podstawie wystroju domyślam się, że to mieszkanie Asłana. Gruby, wzorzysty dywan, na nim poduszki, niski drewniany stolik. Szisza. W kuchni kafelki z arabskimi inskrypcjami. Oprócz tego ślady obecności Daria – skłębione i porzucane po ziemi ubrania, kajdanki na blacie w kuchni. Zestaw skalpeli, narzędzi chirurgicznych. Proporczyk zawieszony na ścianie, upamiętniający pierwszą pielgrzymkę papieża do Polski. Stare, zabrudzone monidło – na nim twarze dwojga ludzi, czarno-białe, podmalowane trupie maski. Mężczyzna jest w mundurze.

– Mama i tata. – Dario pokazuje ich palcem. Coś jest nie tak.

Boję się.

Pod monidłem jeszcze jedno zdjęcie, przyklejone do ściany, wydrukowane na domowej drukarce. Na nim zwykła młoda dziewczyna, jeszcze dziecko, na oko ma jakieś piętnaście lat. Przechodzi przez furtkę. Długie włosy, džinsy, bluza, plecak.

– Kto to? – pytam go.

Nie odpowiada. Pstryka palcami, drapie się po ciele. Jest smutny i trzeźwy.

– Dzwonili dziś do mnie Czeczeni z Hamburga. Oni uważają, że wszyscy są rodziną, bo każdy z każdym obracał tę samą kozę.

– Zabiliśmy jednego z nich.

– Jednego z nich, co to za bzdury są. Co to znaczy: jednego z nich?

– Co im obiecałeś?

– Dziesięć milionów dolarów.

– Nie mamy tyle.

Dario przechodzi do kuchennej części salonu. Wyciąga z lodówki butelkę mleka. Pije długo i łapczywie, biały płyn ścieka mu po brodzie.

Gdy kończy, pyta, patrząc na mnie:

– Nie mamy, Jacunia?

– Nie mamy.

– A dlaczego nie mamy?

– Zrobiliśmy ogromne inwestycje, Darek.

– Nie darkuj mnie. Nie darkuj mnie, kurwi kurwieńcu!

Spluwa na podłogę. Podnoszę ręce w geście pojednania, robię krok w tył. Patrzę mu w oczy. Próbuję w ten sposób przekonać go, że jego złość zaszkodzi tej sytuacji. Że możemy rozpykać ją inaczej.

Odwraca się w stronę zdjęcia dziewczynki. Puka w nie palcem, w ten sposób odpowiadając na moje pytanie. Nagle dociera do mnie, kim ona jest.

– To miała być jego żona, nie córka. Taki był plan. Taki miałem pomysł – mówię.

– To nie był dobry pomysł.

– Bo?

– Bo żony kocha się mniej niż dzieci. Wszystko kocha się mniej niż dzieci. – Patrzy na mnie. Wie, co myślę, i wie, co czuję. Zjada to. Smakuje mu.

Staram się zadać to pytanie jak najspokojniej i jak najostrożniej:

– Czy możesz mi wyjaśnić, o co ci chodzi?

Chyba chce mi odpowiedzieć, ale słychać szcęk klucza w zamku. Ktoś wchodzi do środka. Dario spodziewa się tej wizyty.

– Darek. – Głos Karasia dobiega z przedpokoju.

Karaś ma na sobie strój moro i terenowe buty. Pachnie słomą i ziemią. Jest z nim dwójka ludzi, Roman z Mińska i jakiś drugi typ.

– No – mówi, patrząc na mnie, i spluwa na ziemię.

Dario opiera się o ścianę. Ostrożnie zdejmuje z niej zdjęcie dziewczynki, bierze je w dwa palce. Ogląda pod światło.

– Powiedz, co masz do powiedzenia, Karaś, bo ja też mam coś do powiedzenia. – Nie odrywa wzroku od zdjęcia.

– My chyba razem mamy coś mu do powiedzenia, Darek.

– Tak. Ale ty pierwszy.

Karaś kiwa głową, podchodzi do mnie. Wyciąga broń. Przystawia mi ją do głowy. Odbezpiecza.

Dario wciąż patrzy na zdjęcie.

– Jest takie wyrażenie: „chuj ci w dupę”. I ono niby nic dziś nie znaczy. Starsze panie mówią tak do małych dzieci. Ale tak naprawdę wciąż znaczy

bardzo dużo – mówi Karaś.

Mięśnie się napinają, przed oczyma nagły rozbłysk bieli. Strach zalewa mnie od środka. Przestaję nad nim panować. Jeśli zabiją mnie teraz, to Kacper...

– I co ty na to? – pyta Karaś.

Odwracam się w stronę Daria.

– Kto ci to powiedział?

– Prawda ma to do siebie, że nieważne, kto ją mówi, Jacunia. Prawda to prawda. Prawda to piękne drzwi.

– Kto ci to powiedział?

– Koleżka, co też był na komendzie.

– I ty mu wierzysz?

– Bardziej niż tobie.

Cały podkoszulek mam mokry od potu. Pot jest zimny. Wraz z odwodnieniem i zimnem znów pojawia się głód. Moje kości są suchymi gałęziami, od środka zjadają je termyty, kawałek po kawałku, nerw po nerwie. Ciało wrzeszczy o kolejne świetliki. Głowa wyobraża sobie całą ich garść włożoną do ust. Ohydną w smaku ulgę, która wsiąka w śluzówki.

– Ty, Darek, on ma rację, że nic nie gada, po co w sumie prujdupy słuchać?

Dario milczy. Bierze wydrukowane zdjęcie, zgniatą je w kulkę i wsadza sobie do ust. Patrzy na mnie.

– Darek. Posłuchaj. Wiesz, że byłem pewien, że to ty zabiłeś moją siostrę. Zapowiedziałeś mi to przez telefon. I kiedy to się stało, byłem pewien, że to ty.

– I dlatego poszedłeś sobie na psy. Bo byłeś, kurwa, pewien – wtrąca się Karaś.

– Rozkminili mnie od razu, zaraz gdy wylądowałem w Polsce.

Dario kończy przeżuwać papier, połyka. Dziewczynka jest teraz w jego brzuchu. On podchodzi z powrotem do lodówki, wypija jeszcze trochę mleka. Szuka czegoś po kieszeniach, ale nie może znaleźć. Wskazuje palcem na moją kieszeń, w której są papierosy. Podchodzi, wyciąga je, zapala. Zaciąga się tak głęboko, że jednym wdechem spala pół fajki.

– Co mówią przyjaciele? – pyta.

– Darek, kurwa. – Karaś opuszcza broń, zniecierpliwiony. – Od czterech dni nad tym myślisz, jakby było nad czym.

Dlatego ich nie było. Dlatego się nie odzywali.

– Tracimy cenny czas. Chłopaki oprawią go po kaukasku, Darek.

Dario nie odpowiada. Patrzy na mnie. W tym momencie Karaś dla niego nie istnieje.

– Darek, kurwa. Namysliłeś się?

W końcu Dario się odzywa. Zadaje mi pytanie:

– Co mówią przyjaciele, gdy są przyjaciółmi?

Muszę rodzić słowa przez zaciśnięte gardło, jedno za drugim. Zaczynam być niewiarygodny, pewnie irytujący.

– Ambasada. Marriott. Wieś. Nic z tego by się nie udało, gdybym się spruł. Pomyśl logicznie.

– I pomnik szlachetnej prujdupy chcesz za to, pizdolizie? – Karaś nie wie, co zrobić z trzymaną w ręku bronią. Gdyby mógł, zabiłby mnie już dziesięć razy.

– Przyjaciele, gdy są przyjaciółmi, Jacunia, mówią sobie: to jest ważna sprawa. Ale ta sprawa jest ciutkę mniej ważna.

Wyciągam z kieszeni świetlika. Nie trafiam w usta, kapsułka spada na ziemię. I wtedy Dario uderza mnie w twarz.

Moja żuchwa wydaje dźwięk, jakby ktoś wskoczył na rolkę folii bąbelkowej. Czuję ból, który kojarzy się z przystawionym do twarzy żelazkiem. Wypluwam kawałek zęba.

– To jest ta ważna sprawa, Jacunia.

Jego głos dobiega z bardzo daleka.

– Te wygłupy z psami są tak naprawdę bez znaczenia. Ale to, to ma znaczenie. Te kapsułki, to chujostwo wstrętne.

– To chujostwo to twój produkt, który sam wymyśliłeś.

– To chujostwo jest wstrętne.

Karaś patrzy na Daria i nie rozumie, taki brak zrozumienia przejawiają tylko szczeniaki i noworodki.

– Wszyscy to wiemy. Nie ma się co oszukiwać, chłopcy. To chujostwo jest plugawe. – Dario opiera się o ścianę. Bierze głęboki wdech. – Nie zabiję cię.

– Darek. Co ty opowiadasz? Poczekaj. – Głos Karasia jest śmieszny, o ile cokolwiek teraz jest śmieszne. Nagle drżący, wysoki, głupio dramatyczny. Karaś zaczyna piszczeć.

– Jacunia, wiesz, dlaczego ludzie się mnie boją? Nie dlatego, że umiem kaleczyć i że dziwnie mówię. Nie, Jacunia. Ludzie się mnie boją, bo dotrzymuję umów. Wszystkich umów.

– Darek, to jest prujdupa. Darek. Co ty robisz, chłopie?

– Nie zabiję cię, Jacunia. Ale jeśli nie odstawisz tego gówna, jeśli nie przestaniesz rozpierdalać naszego interesu, zrobię straszliwe rzeczy. Dzieciaczkom. Mamie. Tacie. Koleżance. Taka jest umowa.

Dario podchodzi do Karasia, przewierca go spojrzeniem. Karaś przegląda się w jego oczach, widzi w nich swój straszny sekret, czymkolwiek on jest. Próbuje to wytrzymać, ale w końcu odpuszcza.

– Darek i Darek. Ty tak wymawiasz moje imię, że przestaję je lubić, Karaś. Mów do mnie jakoś ciekawiej. Mów do mnie Darius. Tak łacińsko fajnie. Albo Dariuszka, po rosyjsku. Jakoś tak miło do mnie mów, Karaś.

Nagle nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Uderzam dupą o ziemię. Robi mi się dziwnie wstyd.

– Dlaczego nie mamy dziesięciu milionów dolarów dla Czeczenów? Właśnie dlatego, Jacunia. Nie dlatego, że kupiłeś jakieś domki ceglane.

Dopiero teraz czuję, że usta wypełniły mi się krwią. Odpluwam ją na podłogę.

– Dlaczego zaczynasz mieć złe pomysły? Bo jesz to chujostwo. Ile dziennie? Osiem? Dwanaście? Co, takie to straszne wszystko? Takie potworności dzieją się biednemu Jacuni? Że musiał świat trochę posprzątać? A jak będziemy iść po tego psa, co ci siostrę zamordował, to ile planowałeś zjeść? Dwadzieścia? Sto?

Odwraca się, rusza z powrotem w stronę lodówki. Wyciąga z niej nowy karton mleka i wylewa go sobie w całości na głowę. Coś z siebie zmywa.

– Ja wszystko od początku wiedziałem o tych psiurach kurwinach. Ale ja wiedziałem też, Jacunia, że sobie z nimi poradzisz. Byłem pewny tego. To nie był żaden temat dla mnie, oni są na nas ciągle, jak muchy na krowach. A muchy można ignorować, odganiać albo rozgnieść. Najważniejsze, żeby cię nie przewróciły, bo odpowiednio dużo much przewróci krowę, Jacunia. Ja nie potrzebuję kretyna jakiegoś, co będzie chodził i się prężył. Ja potrzebuję kogoś, kto myśli. A od tego chujostwa się nie myśli. Ja potrzebuję kogoś, kto uważa. A od tego chujostwa się nie uważa. Ja potrzebuję kogoś, kto żyje. A od tego chujostwa się umiera.

Stoi naprzeciwko mnie i Karasia, chyba tak samo zdziwionych, cały mokry od mleka. Mleko schnie i ciemnieje, zamienia się w krew. Jest znowu tym, czym stał się w Czarnogórze. Małą czarną dziurą. Antymateria o kształcie człowieka.

– Odstawisz to gównu wstrętne. Przyjdiesz do mnie czysty. Wtedy się zajmimy psami. Zrobimy to powoli, powolutku. Będą długo śpiewać. Wszystko będzie jeszcze bardziej fajnie. Pychotka wszystko będzie. Wszystkie nasze marzenia, Jacunia, ogród zielony. Ale jeśli ja zobaczę, że bierzesz to jeszcze chociaż raz... Jest taki ból, którego dzieci i panie nie powinny nigdy doświadczać. No, ale ja go umiem zadawać. Niestety.

Podnoszę się z podłogi. Opieram o ścianę.

Teraz Karaś, zrezygnowany, siada na ziemi. Rozumiem, co najbardziej go łamie – to, że nie ma teraz nic do powiedzenia.

– A teraz spierdalaj, Jacunia, jak nigdy jeszcze nie spierdalałeś – mówi mi Dario.

Chcę mu powiedzieć, że nie mam gotówki i mam rozładowany telefon, ale wtedy dodaje:

– Pójdiesz se na piechotę. Wytrzeźwiejesz.

13–16 PAŹDZIERNIKA 2020

Pierwsze dwa dni są lekcją. Uczą mnie, że słowo „piekło” to kolejne z zupełnie pustych słów.

Dostaję czterdziestu stopni gorączki. Nie jestem w stanie podnieść się z łóżka. Szczam pod siebie. Dostaję odparzeń. Próbuję pić wodę. Nie mogę przełykać. Nie działają żadne środki przeciwbólowe, które mam w domu. Reszką sił wyrzucam przez okno wszystkie świetliki. Przez kilkanaście minut leżą na trawniku pod blokiem, kilkaset sztuk. Gdy następnym razem czołgam się do okna, są wybierane co do jednego. Ciało upiornie swędzi. Próbuję medytować, aby uciec od tego uczucia. Powstrzymuje mnie tylko to, że jeśli zacznę się drapać, będzie jeszcze gorzej, w końcu wezmę nóż i poranię się do kości.

Co jakiś czas zapadam się w sen, który zdaje się długi jak śmierć, ale po obudzeniu okazuje się, że minęło dziesięć minut. W snach są Pazina, Kacper, Śniady, Beata, Stryj, Maluch.

WSZYSCY STOJĄ W ROGU POKOJU. WSZYSCY MNIE WIDZĄ. WSZYSCY ŚPIEWAJĄ. WSZYSCY KLASZCZĄ.

Gdy mija pierwsza doba, jestem pewien, że zaraz umrę. Telepię się z zimna. Próbuję pić wódkę i od razu nią wymiotuję. Czołgam się do łazienki. Po drodze mdleję.

Aby móc połknąć świetlika, zjadłbym surowe i zepsute mięso. Albo czyjeś oko. Albo własną dłoń. Mógłbym skrzywdzić wiele osób, tylko paru nie. Ta lista jest coraz krótsza. Powtarzam ją sobie w myślach jak różaniec. Te osoby – dzieciak, Pazina, mama – stoją nade mną, plują na mnie, oddają na mnie mocz. Ich ślina i siki są żrące, przepalają skórę i mięśnie.

Wieczorem drugiej doby mam czterdzieści jeden i pół stopnia. Co parę minut tracę przytomność. Korowody ludzi skaczą po mnie i depczą. Beata przychodzi na kolanach, wszystkie otwory w jej ciele są zarośnięte. Nóż wyrasta jej bezpośrednio z dłoni i tym nożem zdziera mi skalp. Raz po raz pokrywa mnie nowa warstwa lodowatego potu. Ból ma wiele warstw. Ból zastępuje mi imię. Bola mnie części ciała, których nigdy przedtem nie czułem. Wątroba. Trzustka. Nerki. Mogę określić ich rozpalony kształt.

Gdy wszystko zanika, człowiek wciąż jest czymś.

Trzeciego dnia rano mam mniejszą gorączkę. Mogę się ruszać. Leżę przy wannie, cały w gównie, ale udaje mi się podnieść, umyć, wyrzucić ubranie. Wziąć prysznic.

Przez aplikację zamawiam kroplówkę. Wypijam trochę alkoholu. Zaczynam się czuć odrobinę lepiej, jak człowiek z ciężkim zapaleniem płuc.

Leżę cały dzień w zimnej wodzie. W wannie razem ze mną jest Paulina. Paulina zaczyna rodzić.

Dziecko, które z niej wychodzi, ma moją twarz.

Oboje umierają. Ona z upływu krwi, dziecko się topi.

Wszystko jest namacalne, wyraźne jak film oglądany w Imaksie.

Dzisiaj jest dzisiaj. Mam tylko lekki stan podgorączkowy. Halucynacje mijają. Jest mi potwornie zimno. Wkładam sweter i kurtkę. Siedzę przy kaloryferze, piję wrzątek, kubek za kubkiem. Mam poparzone usta i język. Nie zwracam na to uwagi.

Zamawiam z Uber Eats cztery różne zupy. Zjadam każdej po trochu.

Dzwonię do Daria. Mówię mu, że żyję. Jest oschły, każe mi porozmawiać przez Zooma z Czezeńcem z Hamburga.

Facet wygląda jak prawnik z londyńskiego City – ulizane włosy, świetna marynarka. Pyta, czy wszystko ze mną w porządku. Odpowiadam, że przechodzę covid. Facet chce ustalić szczegóły przelewu, który obiecał mu Dario, proponuje skorzystać z kilku kont, mówi też, że możemy załatwić sprawę w krypto. Informuję go, że prędzej Bin Laden zmartwychwstanie i mi obciągnie, niż zapłacimy mu te dziesięć milionów. Facet milknie. Ja

dodaję, że to oni mogą zainwestować swoje dziesięć milionów w nasz interes. Może też czekać, aż przyjedziemy po nich do Berlina. Facet wyzywa mnie od szaleńców. Wzruszam ramionami, rozłączam się.

Dzwonię do Daria i zdaję mu relację. Zaśmiewa się do rozpuku.

– Jeszcze będą z ciebie ludzie, Jacunia. Jeszcze nie jest tak źle.

Wieczorem każe mi przyjechać do Nowej Wsi. Jadę bardzo wolno – jestem słaby, kiepsko widzę. Piję red bulle, jednego za drugim. Mam wrażenie, że jeśli nie będę cały czas dostarczał sobie cukru i kofeiny, dostanę zapaści. Od energetyków potwornie boli mnie żołądek. To dobrze. To sprawia, że nie zasypiam za kółkiem.

„Jesteśmy w oborze”, pisze do mnie Karaś.

Pięć minut później stoję nad Eweliną, leżącą na klepisku boksu w samej bieliźnie. Na razie poza upokorzeniem nikt jej nie skrzywdził.

Obora to spory budynek, mieścił kilkadziesiąt krów. Zwierząt nie było tu od lat, ale wciąż czuć ich zapach wżarty w ściany – woń laktozy, sierści i gówna. Dach tonie w ciemności, tak jak reszta rozległej przestrzeni. W tej ciemności są poustawiane długie metalowe stoły przykryte folią. Na stołach są próbki, wagi, odczynniki. Kwas solny, woda utleniona w dużych plastikowych butelkach. Dookoła tony sprasowanego proszku zawiniętego w folię. Całe tiry proszku. Zaspokoją zapotrzebowanie Warszawy może na tydzień. Mnie wystarczyłaby tylko chwila, myślę, a potem gryzę się w rękę, do krwi, i wszyscy to widzą.

Poszczególne części ciała umówiły się, że będą boleć mnie na zmianę, żebym nie stracił przytomności. Brzuch odpuszcza, za to zaczyna łupać głowa. Ból jest migrenowy, czuję go w całej czaszce. Jakby mózg zaczął nagle rosnąć, puchnąć, rozsadzać ją od środka.

– Jeśli mam ci wierzyć, muszę mieć dowód – mówi Karaś.

Wzruszam ramionami na znak, że teraz gramy do jednej bramki.

Karaś kuca przy Ewelinie, odrywa taśmę z jej ust. Wstaje. Ewelina gwałtownie połyka powietrze.

Karaś bierze do rąk długą plastikową tyczkę zakończoną czerwonym rozwidleniem. Na końcu każdego z rogów jest metalowy przewodnik. To poganiacz do bydła, właściciel go tutaj zostawił. Odwracam się. Karaś demonstruje na Ewelinie działanie urządzenia. Momentalnie zaczyna cuchnąć spaloną skórą i moczem.

Patrzę Dariowi w oczy. Czytam w jego spojrzeniu: nie uciekaj od tego.

Teraz ja przy niej kucam. Bardzo próbowała nie płakać, ale teraz to już niemożliwe. Głaszczę ją po głowie. To głaskanie może być dla niej najgorsze. Robię to z premedytacją.

Wrzeszczy. W miejscu porażenia prądem, na brzuchu, kwitnie ciemnogrnatowy kwiat.

– Nie powiedziałaś mi wszystkiego. Do ostatniej chwili próbowałaś ich bronić. Rozumiem, to twoje plemię.

Wrzeszczy i przeklina, próbuje się wyrwać. Tego, co właśnie przeżywa, nikt nie powinien oglądać.

Jacek na pewno chciałby to powstrzymać, może próbowałby ją uwolnić. Ale Jacka tu nie ma.

Karaś jeszcze raz chce użyć poganiacza. Kręce głową.

– Dzieciom nic nie jest, na razie – mówi. – Ale wystarczy, że chłop od nas dostanie SMS-a.

Uspokaja się. Jest rozsądna. Patrząc na Daria, zwracam się do niej:

– Po prostu zadam ci pytania, a ty odpowiadaj.

Kiwa głową.

– Czy byłaś z nimi tamtej nocy?

Kręci głową.

– Czy oprócz Marka i Damiana był tam ktoś jeszcze?

Kręci głową.

– Czy wiedziałaś, że tam jada?

Kiwa głową.

– Czy wiedziałaś, że chcą mi zabić siostrę?

Kręci głową.

– Czy potem dowiedziałaś się, że to zrobili?

Kiwa głową.

– Jak?

– Pić – mówi bardzo cicho.

Znajduję kran, ale nie mam do czego nalać wody. W końcu zauważam gdzieś pod ścianą brudne plastikowe wiadro. Płuczę je, napełniam. To przypomina mi o pragnieniu, gardło jest suche, jakbym od tygodnia jadł piasek. Biorę kilka łyków. Woda nie daje ulgi. Jest żelazista, słona.

Biorę głowę Eweliny i wsadzam do wiadra tak, aby się napiła, ale nie podtopiła. Z trudem mi się to udaje, jej ciało automatycznie reaguje na mój dotyk gwałtownym szarpnięciem. Pije. Część zwraca.

– Damian mi opowiedział, jak się upił. Nie wytrzymał. To było po tym, jak cię zwerbowałem.

Wypowiadając słowo „zwerbowałem”, patrzy na Daria i Karasia. Liczy na to, że jakkolwiek zareagują. Reaguje Dario. Mówi jej:

– Zwerbowałaś to sobie miły wieczór, koleżaneczko.

Oczy rozszerza jej przerażenie. Zasłaniam jej Daria, zasłaniam jej wszystko.

– Co dokładnie ci opowiedział?

– Że chcieli ich przesłuchać. Że mąż twojej siostry...

– Bartek.

– Bartek wpadł w szal, stawiał opór, miał broń. A twoja siostra go zasłoniła.

– Bartek nigdy nie miał pistoletu w ręku. Był najzwyklejszym cywilem.

– Damian twierdził inaczej.

– Jak mieli stawiać opór i się zasłaniać, wciąż siedząc w samochodzie?

– Mówię ci, Damian twierdził inaczej.

– I ty mu uwierzyłaś.

– To mój kolega.

Damian na jakiejś imprezie w liceum, kompletnie pijany, udaje, że jest świnią. Głośno charczy. Zachęca innych, by na nim jeździli. Damian stoi na cmentarzu i oplakuje moją siostrę. Damian zgarnia mnie spod domu Beaty.

– Zapytałam, czemu tego nie zgłosili. Powiedział, że zostaliby zawieszeni w obowiązkach, to na początek. A przecież są priorytety.

– Priorytety?

– Wy.

Teraz nie kłamie. Biorę do ręki poganiacz. Jej ciało się spina i wzdryga. Po chwili rzucam go w kąt, uderza o ziemię z głośnym, metalicznym dźwiękiem.

– Muszę usłyszeć od ciebie, że Damian kłamie.

– Nie wiem, nie wiem, czy on kłamie. Nie mam pojęcia.

– Przysięgam, że zabiję twoje dzieci.

Nie odpowiada. Rzucam kolejnymi przedmiotami, o ściany uderza jakiś metal, jakiś plastik. I dopiero gdy kończą mi się rzeczy do rzucania, ona szepcze:

– On kłamie. Nie zabezpieczyli żadnej broni. Żadnej nie było na miejscu zbrodni.

– A jeśli dzieciak zacząłby mówić? – pytam.

- Ja miałabym spisywać zeznania.
- Czyli chcieli cię w to wkręcić.
- W najgorszym razie planowali mi zapłacić. Z tego, co po was przejmą. Dario cmoka, z uznaniem kręci głową.
- No, dobrze to wszystko jest wymyślone. Tak w moim stylu.

Muszę się odwrócić. Ciało bardzo nie chce tu być. Ciało chce się rozpaść. Ciało chce zjeść kilka tysięcy światełek i cicho zgasnąć, spowolnić do zera. Ciało modli się o łagodne wejście w dobrą noc. Ciało zaczyna chodzić w kółko i wydawać dziwne dźwięki, bo ciało wie, co stoi pod ścianami tej obory. To góry rozkoszy. Wystarczy wziąć szczyptę z jednej z tych gór, która wystarczyłaby mi na wieczność.

Zauważam to kątem oka, w ostatniej chwili – Karaś celuje Ewelinie w głowę.

- Zostaw ją.
- Co?
- Przestań.
- Nie wydajesz mi poleceń, cwelu.
- Wydaję ci polecenia. Nie jestem cwelem.
- Co?
- Zostaw ją. Nie zabijesz dzieciom matki. Powiedziała, co chciałem.
- To jest ważne, co ty chcesz, prujdupo?
- Prujdupo – powtarzam.

Podbiegam do ściany, podnoszę poganiacz. Zanim Karaś pojmuje, co się dzieje, w głowę kopie go sześć tysięcy wolt. Momentalnie pada na ziemię. Nogą posyłam broń pod ścianę. Rażę go jeszcze raz, i jeszcze raz. Za pierwszym razem krzyczy, potem już nie. Moczy spodnie. Trudno. Jeśli mu się poszczęści, przeżyje.

– Rozumiesz, że jeśli jakkolwiek ich ostrzeżesz, twoje dzieci umrą? – pytam ją.

- Kiwa głową.
- Kobieta. Pazińska. Co jej jest? – pytam na koniec. Otwiera usta, ale nie ma siły mówić.
- Co jej jest? – pytam jeszcze raz.
- Jest pobita, ale żyje. Wyleczy się – szepcze.

Rzucam poganiaczem o ścianę. Uderza o nią z głośnym, metalicznym dźwiękiem.

– Ubierz ją, daj jej jeść. Zawieź ją do domu. Daj jej spokój – zwracam się do Umara.

Karaś kwili. Jest zwyczajnie skrzywdzony. Wszystko, czym był, przysło. Będzie żył. Przynajmniej na razie.

– Jestem dumny z ciebie jak z syneczka mojego – mówi Dario.

Nie mam już siły powiedzieć mu, żeby się pierdolił. Podchodzę do Karasia. Kopię go w żołądek.

– Od tej pory mówisz do mnie Jacek.

18 PAŹDZIERNIKA 2020

„Przecież wiem, że to ty.

Ej, debilu.

Kiedy wróciłeś?

Jestem zła.

Zła i smutna.

Zła na Ciebie. Smutna przez Ciebie.

Jesteś inteligentny i rozumiesz, że Smutna to nie jest takie sobie słowo”.

To ona napisała do mnie.

Pierwsza reakcja – ukłucie lęku. Skąd wie, że ten profil to ja?

Wszystkie moje profile wyglądają jak założone przez indonezyjskie boty. Nie mam żadnych swoich zdjęć, nazwy to bezładne ciągi znaków i cyfr. Może to był błąd, może powinienem poświęcić na kamuflaż więcej czasu.

A może po prostu ją przywołałem. Może jakoś poczuła, że potwornie mi jej brakowało.

Ale teraz nie jest najważniejsza. Teraz ważny jest ten grubawy, łysy chłop po sześćdziesiątce, z koszulą w kratę włożoną w dzinsy. Na biurku trzyma zdjęcie żony. Obok komputer, na którym ma obraz z monitoringu. Pyta mnie z za monitora:

– Czyim pan jest rodzicem?

– Kasi.

– Musi pan powiedzieć, jakiej Kasi, wie pan. Tu jest szesnaście klas w tym liceum.

– Kasi Nowak. Druga C. Na bank zostawiła telefon w szafce. Po prostu chodźmy zobaczyć.

– Zorientowała się dopiero teraz?

Chyba mi nie ufa.

– Proszę pana, zorientowała się od razu. Tylko ja wczoraj jeździłem po całej Warszawie, aby go znaleźć. Dobrze, że pan tu jest, pomimo niedzieli.

– Robota jest robota.

Na ścianie wisi wystawka brzydkich prac plastycznych pod hasłem DZIEŃ ZIEMI 2020. Obok plakaty – koncert szkolnego zespołu, spotkanie z psychiatrą o młodzieżowej depresji, połowinki.

W jakimś innym, abstrakcyjnym życiu codziennie przyjeżdżałbym spod miasta do podobnej szkoły dużym, rodzinnym autem, klnąc na korki. Czekałbym, aż ze środka wytarabani się dwoje wkurwionych nastolatków. Próbował zapamiętać nazwiska nauczycieli. Starał się nadażyć za tym, co mówi mi na temat szkoły moja żona.

Parę razy do roku brałbym te dzieci i wraz z żoną wiozł je do dziadków. Paulina brałaby swoje. Siedzielibyśmy wszyscy przy stole. Naszymi problemami byłyby: jedyńki, piątki, ucieczki z lekcji, zapach fajek na ubraniach, późne powroty po imprezach. Złe wyniki babci. Zmiana stóp procentowych. Wybory, te, które były, i te, które będą. Wy życie w lepszym kraju niż my, ale w jakim będą żyć oni? Daj spokój, tato. Każdy będzie żył gdzieś.

Cieć otwiera szufladę. Zaczyna szukać kluczy. Ciało wciąż mnie boli, ale nie tak intensywnie. I są momenty, gdy czuję się – chyba – normalnie. Gdy nie boli mnie zupełnie nic.

– Niedługo pewnie zacznie się znowu zdalne? – zagaduję go.

– No pewnie tak, wie pan. Gadają, że niby już za tydzień. Ja uważam, że to głupota straszna. Dzieciaki powariują, już kompletnie utopiają się w tych komputerach. Nawet teraz jest inaczej, inaczej, niż gdy pan był młody, nie mówiąc o mnie. Każdy ma teraz taki mur dookoła siebie, proszę pana. To te ekrany to zrobiły.

Pazina. Prędzej czy później musiałbym się z nią spotkać. Może lepiej teraz niż później. Może tak będzie prościej, efektywniej – stanę się od tego wolny.

– Jaka klasa, jeszcze raz?

Kładę na biurku pistolet. Obok kładę pięćdziesiąt tysięcy w dwustuzłotówkach, spięte gumkami. Na pieniądzach – dwa opakowania leku. Lek to generyczny substytut Lemtrady, sprowadzany z Chin. Działa

całkiem nieźle na stwardnienie rozsiane. Zatrzymuje rozwój objawów w siedemdziesięciu procentach przypadków.

– Bramka numer jeden. – Pokazuję na pistolet.

Nie reaguje.

– Taki sam ma człowiek, który stoi pod twoim domem na Baranowskiej. A to jest bramka numer dwa. – Pokazuję na hajs i leki.

Uczył w tej szkole różnych przedmiotów, wszystkich najgłupszych – muzyki, etyki, przysposobienia obronnego. Teraz dorabia do emerytury, ciecując. Daję mu minutę. Mówi, że nie rozumie.

– Twoja żona. Bez tego leku umrze zaraz. Z tym lekiem umrze dopiero za kilka lat.

Patrzy na spluwę. Patrzy na leki.

– Więc nie ma bramki numer trzy – mówi.

– Mądry z pana człowiek.

Wyjmuję z kieszeni zdjęcie dziewczynki. Przesuwam na biurku.

– Jej plan lekcji.

Jest mądry. Wierzy mi. Nie dyskutuje. Oddycha głęboko, nie chce dostać zawału. Ma wyobraźnię i jej oczyma widzi konsekwencje. Włącza plan lekcji i pokazuje mi go na monitorze.

– Religia. – Pukam w trzecią poniedziałkową godzinę. – Chodzi?

– No co ma nie chodzić. Wie pan, kim ojciec jest – mówi bardzo cicho.

– Ma jakieś okienko?

– Nie mają wuefu.

– I muszą siedzieć w szkole?

– Muszą, ale wychodzą do sklepu naprzeciwko.

– I ty ich puszczasz?

Nie odpowiada. Zerkam na paczkę marlboro, którą schował sobie za monitorem.

– Puszczasz, jak przyniosą ci fajki. – Śmieję się. W liceum też mieliśmy takiego pocieszego zgrede.

Zabieram pistolet z biurka.

– No to tym razem ona ci pójdzie po fajki. Poprosisz specjalnie ją.

Mam dla niego jeszcze jeden prezent, klucz USB.

– Włóżysz do komputera. Nic nie musisz robić. Potem wyjmiesz. Nie zostanie ślad. To będzie tak, jakby monitoring się zepsuł.

USB kupiłem przez darkweb. Kosztowało dziesięć tysięcy euro.

– Nie wiem, nie wiem, czy dam radę... – zaczyna, ale patrzy na mnie i chyba rozumie, że owszem, da radę. Mówi więc: – Nie róbcie dziecku krzywdy.

Zakładam kaptur bluzy, wychodzę z budynku.

Karaś czeka na mnie w aucie. Nic nie mówi, bo od wczoraj nie ma w moim towarzystwie żadnego sensownego dźwięku do wydania. Może dalej bez sensu walczyć o pozycję w tym stadzie, a może się zamknąć i do końca życia liczyć pieniądze. To prosty wybór.

Bezwiednie otwieram telefon. Wchodzę w DM-y.

„Zła i smutna, bo poleciałas sama?”.

Odpisuje od razu, jakby czekała przy telefonie:

„Zła i smutna, bo jesteś głupim chujem”.

Szkoła. Korytarz. Gdzieś był ten wybór. Stół w kuchni moich rodziców. Dzieci bawiące się pod stołem. Resztki jedzenia na talerzach. Ciasto. Kawa. Jestem na diecie. Telewizja, *Kropka na i*. O, znowu to bydlę, przecież on powinien siedzieć. Daj spokój, tato. Pazina łapie mnie za rękę, patrzy na moją mamę, uspokaja jedno z naszych dzieci i mówi:

– Powinniśmy razem pojechać na wakacje.

„Moge spotkac sie nawet teraz. Jesli tylko chcesz.

Jestem ci winien wyjaśnienia”.

Tym razem chwila, zanim odpisze.

„Jestes mi winien DUŻO.

A może zupełnie nic.

A może jedno i drugie”.

– Wyrzuć mnie w mieście – mówię Karasiowi.

– Gdzie w mieście? – To pierwsze zdanie, jakie wypowiada przy mnie od wczoraj.

– W Centrum. Pod Kongresową.

Z ulgą zatrzymuje się na przystanku. Wysiadam. Kompletnie nie wiem, gdzie iść.

„Za ile mozesz byc w Centrum?”.

Dała mi dużo i nie dostała nic w zamian. Może trochę brudnych pieniędzy, za które mogła się zabawić. Te pieniądze nie zmieniają faktu, że wyrzuciłem ją do śmieci. Miałem swoje powody, ale dla niej te powody będą zupełnie niezrozumiałe.

Jestem dla niej obcy, mimo to muszę jej podziękować. Spłacić dług. Plus dopilnować jej bezpieczeństwa, skoro nie umiała tego zrobić ta

policjantka.

Przechodzę obok Pałacu Kultury. Mijam zamknięte kino, knajpę. Nie byłem w knajpie od powrotu z Argentyny. W kinie – kiedyś, w poprzednim życiu, z Paziną. Nie wiem, czy w ogóle przejechałem się drugą linią metra. Żyję w tym mieście, w ogóle w nim nie żyjąc. Nawiedzam je. Jak duchy z Muranowa.

Jak zareaguje? Może po prostu dam jej pieniądze, bez żadnych rozmów? Wcisnę je jej w dłonie? Pieniądze na nowe miejsce, w którym będą świetne warunki, w którym zmieści się więcej dzieciaków, w którym będzie mogła zatrudnić psychologa na pełny etat. Może, jeśli nic jej nie powiem, wzrosną szanse, że je przyjmie.

Ma ten swój honor, bardzo głupi.

„Nie musisz nic robić – odpisuje, jakby czytała mi w myślach. – Za pol godziny pod Pałacem Kultury”.

Obchodzę pałac dookoła, nie umiem tak po prostu stać i czekać. Nie, nie muszę jej niczego wyjaśniać. To po prostu ostatni etap pożegnania.

Woda z plastikowej butelki. Papieros. Po kwadransie chodzenia zaczyna boleć mnie kręgosłup. Powinienem ćwiczyć, mam potwornie słabą kondycję, sflaczałe mięśnie. Świetlik uciąłby każdy ból w kilka sekund. Nie, nie chcę świetlika. Próbuję wychodzić ten głód.

Czy tak naprawdę powinienem to robić? Szwendać się jak idiota po centrum miasta? Zabiłem tam człowieka. Porwałem i torturowałem oficera policji. Jestem hurtownikiem narkotyków.

Policja już mnie nie potrzebuje. Policja mnie ściga, na całego.

Odpowiedź: oczywiście, że mogę to robić. Duchy są niewidzialne. Pamiętaj – po prostu trzeba być krok przed tymi, którzy cię szukają. Zauważać ich z wyprzedzeniem.

Pojawia się po kilkunastu okrążeniach. Stoi pod wejściem do Teatralnej. Pali. Podnosi rękę, ja robię to samo. Na głowie ma pomarańczową, jaskrawą czapkę. Z oddali przypomina płonąca zapałkę.

Najpierw stajemy naprzeciwko siebie. Obserwujemy się. Jej oczy się zmieniły. Są stare. Zaczerwienione, jakby miała zapalenie spojówek. Ściągamy maseczki. Więcej zmarszczek na twarzy, więcej drobnych uszkodzeń, małych blizn. U niej, na pewno u mnie też.

Coś zmieniło się w jej posturze, opadły jej barki, jest jakby wbita w ziemię. Poddała się. Pali coś, co wygląda i śmierdzi jak mocny blant.

Albo ma w dupie policję, albo zapomniała, że policja istnieje. Przez chwilę myślę, żeby kazać jej to zgasić. Ale przecież nie mam prawa.

– Jak ty wyglądasz, ja pierdolę, Jacek.

– Jak?

– Jak ktoś chory na sto raków.

Schudłem, to na pewno. Trochę posiwiąłem. Odrucie o mało mnie nie zabiło. Kurtka North Face, ta kupiona w Argentynie, wisi na mnie jak worek. Czarne spodnie, brudne buty. Drżące ręce.

Jej widok na mnie działa. Wraca ból w skroniach, suchość w ustach. Trochę kręci mi się w głowie, odruchowo rozstawiam szerzej nogi, aby się nie przewrócić. Ona oczywiście to widzi.

– Pazina, to Pesel, po prostu.

– Jak masz tak pieprzyć, to ja idę do domu.

– Jestem poszukiwany przez policję, to trochę stresuje.

– Fajnie. Gratuluję serdecznie. Będziemy tu tak stać czy mamy gdzieś się schować?

Tego się bałem najbardziej. Że przestawimy się na bycie sobą sprzed sześciu lat. Że wystarczy jej jedna odpowiedź, jedna złośliwość. Stoję nieruchomo. Bronię się przed tym, żeby ją objąć.

– Chcemy w ogóle tego spotkania? Czy może jednak uznajemy, że to zbyt awkward, i rozchodzimy się grzecznie do domów? – pyta.

Coś przychodzi mi do głowy. Pokazuję jej, aby poszła za mną. Robi to bez zadawania pytań. Może chce mi dać szansę. Może też chce to zamknąć.

Prowadzę ją do głównego wejścia, wchodzimy do holu. Dopiero tutaj widać całe jej zmęczenie. Najbardziej wyczerpuje ją ukrywanie tego, że trzeba jej pomóc. Grube, tłuste plamy pudru odcinają się od jej skóry. Dostrzegam siniaki. Zadrapania. Pęknięcie wargi. Ma trochę inny kształt nosa. Niesymetryczne policzki. Widzi, że to widzę.

– Później – mówi. – Teraz nieważne.

Taras jest do dwudziestej, ale cieć drzemie z oczami zasłoniętymi maseczką. Nie budzi go nawet dzwonek uruchamianej windy.

– Nie wiem, czy to kiedykolwiek zrobiłam, jak mam być szczerą – odzywa się, gdy jedziemy na górę.

– Ja raz, na wycieczce szkolnej.

– No tak, bo wy przyjeżdżaliście do Warszawy na wycieczki.

– Wy, czyli kto?

– Ludzie spoza Warszawy, wyluzuj, nie chciałam powiedzieć niczego złego.

Nocne miasto z tej perspektywy jest abstrakcyjną, geometryczną konstelacją światel rozciągających się po horyzont, obojętną i niemą. Wyjęty z czasu, przypięty do nieba zbiór miejsc, klaster przypadkowych zderzeń.

Ona znowu zapala to, co paliła pod knajpą.

– Co u ciebie? – pytam. Te pytania, które trzeba zadać, aby pójść dalej, zawsze brzmią głupio.

Wyciąga rękę w stronę widoku, jakby chciała go rozgonić.

– Nie jest okej. Już chyba nigdy nie będzie.

– Bo?

– Bo już nigdy nie wyjedziemy do Argentyny, nigdy nie wyjedziemy z Polski. Nigdy nie zrobimy tych wszystkich prozaicznych rzeczy, nie pójdziemy do kina, na koncert... kurwa mać. Nigdy już nie będziemy ludźmi.

Nie umiem wejść w to, co mówi. Nie robię tych prozaicznych rzeczy już od dawna.

– Straciłaś nadzieję?

Patrzy na mnie zdziwiona.

– Typie, ty nigdy nie lubiłeś takich dużych słów. Nadzieja. Wiara. Powiedz jeszcze „miłość” albo „Bóg”, a przestanę wierzyć, że to ty.

– To ja – mówię i biorę ją za rękę.

Tkwimy tak chwilę, dość niezdarnie. Gdy wyjmuję dłoń z mojej, chyba oboje czujemy ulgę.

– Przepraszam.

– Nie zasłużyłam na tak chujowe traktowanie. – Odwraca się. Godność każe jej połknąć płacz. – Ale po prostu coś nam się przyśniło – dodaje po chwili.

– Coś, czyli co?

Wiatr gasi jej jointa. Zapalniczka nie działa. Zirytowana wpycha go w oczko siatki. Od razu porywa go wiatr.

– Ja nie mam pretensji, że poleciałam tam sama. Było fajnie i bez ciebie, naprawdę. Poznałam kolesia, zobaczyłam z nim parę miejsc. Spędziłam z nim sylwestra. Nawet chciałam tam zostać, no, ale wiesz, jak jest. W każdym razie od tamtej pory już nie miałam takich wakacji. To mam na

myśli. No i szmal... dzięki. Przydał się. Ale skoro już się wyświeciłeś, to chyba spróbuję ci go oddać.

– Nie musisz.

– To było dwadzieścia tysięcy dolarów. Plus inflacja.

– Dla mnie to nic. Jeszcze raz, nie musisz.

Krótką chwilą ciszy, długa i ciężka jak dekada.

– Pozbyłem się ciebie.

– Tak. To właśnie zrobiłeś.

Przez chwilę nie mamy pomysłu, co powiedzieć sobie dalej. Ona uważnie mnie lustruje, studiuje kurtkę, spodnie, ogoloną głowę.

– Jeszcze raz: co to znaczy, że jesteś poszukiwany przez policję?

– To znaczy, że nie zmieniłem zawodu.

– I tam, w Argentynie, też to robiłeś?

– Czasami tak. Czasami nie.

Staję do niej przodem.

– Najśmieszniejsze, że teraz wszystko się zmieniło, dokładnie w tym momencie.

Za samą możliwość połknięcia świetlika wbiłbym sobie gwóźdź w stopę.

– Co się zmieniło?

– Wszystko pękło.

– Wiesz co, nawet te najbardziej rozegzaltowane młode osoby w moim schronisku tak nie pieprzą. Ja zasługuję na konkrety.

Biorę głęboki wdech.

– Najpotworniejszy człowiek, jakiego poznałem, okazał się...

Długo szukam słowa. Chcę powiedzieć „kolega”, ale kolega to Kolega. Kolega czeka na mnie w Argentynie.

– Partnerem – decyduję w końcu.

– Partnerem – powtarza ten wyraz tak, jakby wiedziała, o kogo chodzi. – To wciąż nie jest konkret – dodaje.

– Pazina, ty naprawdę nie chcesz znać tego konkretnego. – Kładę jej dłoń na ramieniu. Nie protestuje. Zastanawiam się, czy to dobry moment. Powiedzieć jej wszystko. Obiecać poprawę. Może jednak nie.

– Ej, pamiętasz, jak robiliśmy sobie różne turnieje? Kto szybciej zje. Kto ma bardziej wstydlivą historię z dzieciństwa. Kto pierwszy się zaśmieje. Kto pierwszy mrugnie? – pyta.

Kiwam głową. Jasne, że pamiętam.

– To teraz moglibyśmy zrobić sobie turniej, kto bardziej przegrał życie.

Przytula mnie. Niezgrabnie, z rezerwą. Jak dziecko. Jestem zaciśnięty, tak samo jak moja mama. Jestem takim samym kamieniem.

Odwracam się w stronę Warszawy. Ktoś powiedział, że w dużym mieście można przeżyć bardzo wiele żyć. Niektóre mogą trwać po kilka, kilkanaście lat, inne zaledwie tygodnie. No tak, niby można. Ale każde kolejne jest gorszym sequelem poprzedniego.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że ją okłamałem. Jednak zmieniłem zawód. W porównaniu z tym, czym zajmuję się teraz, jeżdżenie po mieście z towarem było jak rozdawanie ulotek.

– Przyjaźniłam się z tobą, bo byłeś w porządku – mówi ona.

– Co to w ogóle znaczy: być w porządku?

– Być szczerym.

Jesteśmy tacy zmęczeni, bardziej od umierających starców. Pachniemy kurzem, filcem, zapachami ludzi byłych, wyeksmitowanych z teraźniejszości.

– Nie jestem szczerzy, Pazina. To ostatnie, co można o mnie powiedzieć.

– Mówię, jaki byłeś. Nie mam pojęcia, jaki jesteś teraz.

Przytulam, a raczej przyciskam ją do siebie.

– To dobrze – odzywam się.

Wciska we mnie głowę, wciska głowę w tego starego Jacka. Śmiesznego chłopaka, który umiał robić dobre wrażenie. Chłopaka, który umarł w dziwny sposób na przedmieściach Ushuaia. A może umarł parę lat wcześniej, przed budynkiem Okęcia. A może jeszcze wcześniej, w piwnicy domu w Rembertowie.

Ten kontakt nie przynosi mi ulgi. Jej ciało jest gorące, wrogie, obce. Wszystkie jej mięśnie są napięte. To, co właśnie się wydarza, jest tylko przypomnieniem, co roztrwoniliśmy.

– To dobrze, że nie masz pojęcia – powtarzam.

19 PAŹDZIERNIKA 2020

Oczywiście, że ten biedny chłopina z recepcji mógł zadzwonić na policję. Mógł się okazać ciekawym przypadkiem głupiego bohatera, który stawia wyżej dobro cudzego dziecka niż dobro własnej rodziny. Ale okazał się rozsądny.

Dziewczynka stoi przede mną i Umarem w kolejce w Żabce. Wyklóca się ze sprzedawczynią, aby ta sprzedała jej papierosa. Jest ubrana prawie identycznie jak dziewczyny, z którymi chodziłem do liceum, w potargane dżinsy i martensy.

– Ale proszę pani, to dla pana Jurka ze szkoły.

– To niech pan Jurek przyjdzie i kupi. Mnie powiedzieli, że mnie wyrzucą, jak wam będę dalej fajki sprzedawała.

– Ja zapłacę.

– Dziecku pan papierosa kupuje?

– Nie, kupuję sobie.

Oczy dziewczynki się śmieją. Oczy sprzedawczyni już nie. Poza papierosami kupuję colę i gumę do żucia.

Nie jest podobna do ojca. Na swoje szczęście. Jej ojciec przypomina bohatera Dostojewskiego, jakiejś jego najmroczniejszej książki, której nigdy nie wydano, bo rękopis zjadły szczury w carskiej celi. Ludzie robią z niego memy, ale wszystkie są nieudane. Sama jego twarz jest tak tragiczna, że jest memem. Podpisy tylko niepotrzebnie ją psują.

W końcu dziewczynka wychodzi ze sklepu. Idziemy za nią. Widzi nas monitoring, ale mamy czapki i maseczki, poza tym i tak jutro zostanie nadpisany. Daję jej paczkę.

– Wie pan, one naprawdę są dla woźnego w szkole – zapewnia. Ściąga maseczkę. Na jej twarzy tańczy kilka sprzecznych uczuć. Ciekawość, lęk, wdzięczność.

– Spoko. Nie wyglądasz na kogoś, kto kłamie.

– Dziękuję.

– Też miałem kiedyś takie buty.

– Na początku strasznie obcierają.

– Ale zajebiście wyglądają. I w pewnym sensie są też bronią.

– Bronią?

– Kopnij nimi kogoś w głowę, to zobaczysz. – Uśmiecham się.

Ona też się uśmiecha.

Jestem dla niej fajnym dorosłym, który wiele rozumie, ale nie wykorzystywał tego przeciwko niej. A ona jest ufna ufnością kogoś, kto tak naprawdę nigdy nie był w jakiegokolwiek sytuacji zagrożenia.

Wyciągam papierosa. Częstuje ją. Uśmiecha się szerzej, ale odmawia.

– Ktoś mnie zobaczy.

– Dalej ścigają za palenie?

– Mnie tak. Jestem córką... no, powiedzmy, że mam przechlapane. Poza tym to nie jest tak, że ja jakoś strasznie lubię to robić.

– Palić?

– To śmierdzi.

– Jak się pali, to mniej czuć.

Znów się uśmiecha. Umar staje za nią. Na tyle blisko, aby ją chwycić, na tyle daleko, aby nie zwróciła na to uwagi.

– Masz na imię Julia, prawda?

Rozumie, że sama się wystawiła. Czuje, że popełniła błąd.

Odruchowo robi krok do tyłu i wtedy Umar wbija jej broń w plecy.

– Przepraszam cię, Julia – dodaje.

Paczka papierosów, którą trzymała w dłoni, upada na ziemię.

– Jeśli zaczniesz krzyczeć albo uciekać, on do ciebie strzeli. To nie jest prank. Nikt tego nie nagrywa. To się dzieje naprawdę.

Jej ciało sztywnieje. Twarz nie wie, jaki przybrać wyraz. Taka nagła, potężna fala adrenaliny w połączeniu z poczuciem zupełnej bezbronności to coś potwornego. Jest mi przykro.

– Jeśli będziesz robić dokładnie to, co mówię, wszystko skończy się dobrze.

Ktoś idzie ulicą w naszym kierunku, być może ktoś, kto mógłby zareagować. Ale to chłopak ze Wschodu w kurierskiej kurtce. Umar szczerka do niego coś po rosyjsku i chłopak przyśpiesza. Wystarczyłoby bardzo niewiele, aby nam przeszkodzić. Ale nikt tego nie robi. Nikt nikomu nie pomaga.

Kiedyś w Olsztynie szedłem sam przez Zatorze na korepetycje. Miałem może trzynaście lat. To było nieopodal starych koszar. Nawet nie zauważyłem, skąd wyszła grupa chłopaków. Jeden wyjął nóż motylkowy. Miałem przy sobie kupę pieniędzy, aby zapłacić z góry za miesiąc lekcji. Byłem przerażony. Uratował mnie obcy facet, który nagle zatrzymał się przy nas samochodem. Opuścił szybę i zaczął na mnie wrzeszczeć, udając mojego ojca. Gdzie się szwendasz, matole, mówiliśmy ci z matką, że masz być w domu. Otworzył drzwi i wciągnął mnie do samochodu. Tamte łebki były jeszcze bardziej zdziwione niż ja. Do dziś pamiętam wnętrze tego auta, wygląd faceta. Różaniec zawieszony na lusterku. Grającą w środku kasetę disco polo. Dżinsową, wytartą kurtkę. Dławiący zapach nikotyny wżarty w tapicerkę.

Dobrzy ludzie są głęboko schowani w świecie. Są w każdej grupie społecznej. Po prostu jest ich bardzo niewiele. Trzeba mieć farta, aby na nich trafić.

Dziewczynka panicznie rozgląda się dookoła, szukając drogi ucieczki, ale strach zatrzymał ją w miejscu. Nikt nigdy jej nie powiedział: gdy to się stanie, biegnij. Kop, gryź. Pluj. Krzycz najgłośniej, jak się da. Kop między nogi, drap po oczach. Nikt nigdy nie zakładał, że to się stanie.

Wystarczy delikatnie ją popchnąć, aby wsiadła na tylne siedzenie, a następnie zamknąć drzwi. Zaczyna krzyczeć dopiero w aucie.

– To jakaś pomyłka. Proszę, proszę mnie puścić. Ja nie wiem, o co może chodzić.

Otwieram puszkę coli, wrzucam do niej tabletkę GHB oraz świetlika. Impuls, aby włożyć go sobie do ust, przesywa mi ciało. Ona widzi, co zrobiłem. Blednie, oblewa się potem, jej oddech robi się rwany, krótki. Uderza się dłonią o klatkę piersiową. Łzy ciekną jej po policzkach.

Zaczynam rozumieć, o czym teraz myśli. Dzieciaki w jej wieku mają obsesję na punkcie dokumentów o seryjnych mordercach, ćpają bezpieczny strach serwowany im z za szyby. Historie o zwyrodnialcach to nowe opowieści o duchach, bajki braci Grimm.

– Nie jesteśmy sadystami, Julia. Nie zamierzamy cię dręczyć dla przyjemności. Jeśli będziesz robić to, co ci każę, nie będziemy cię dręczyć w ogóle. Nikt cię nie skaleczy, nikt cię nie zgwałci. Obiecuję ci to.

Potrzebuje chwili, aby to do niej dotarło.

– Więc chodzi o mojego tatę.

– Tak, Julia. Chodzi o twojego tatę.

– On nie robi nic złego. Ludzie go nienawidzą, ale on po prostu wykonuje swoją pracę. Proszę. Proszę mnie puścić.

Wykonuję puszką delikatne okrężne ruchy. Umar jedzie bardzo powoli. Odwracam się, podaję dziewczynce napój.

– Nikt tu nie twierdzi, że robi coś złego. – Biorę pistolet Umara. Celuję w nią. – Oddaj mi swój telefon i podaj kod.

Wyjmuje iPhone'a z kurtki. Wysuwa go w moim kierunku. Podaje cyfry, ja je sprawdzam i zapamiętuję. Na tapecie ma zdjęcie grubawego białego kota z oklapniętymi uszami i zezem; albo to taka rasa, albo zwierzak ma jakieś kocie upośledzenie.

– Ładny. Śmieszny – mówię jej.

– Nazywa się Papuś.

Jest tak niewinna, że nawet w takiej sytuacji automatycznie przestrasza się na tryb zwykłej rozmowy. Wystarczy powiedzieć coś ludzkiego, spokojnym głosem.

– Pasuje.

Chowam telefon do kieszeni. Podaję jej puszkę coli.

– Wypij to.

– Nie.

Widać, że ta odmowa dziwi ją samą.

– Myślę, że nie muszę ci tłumaczyć, że nie masz wyjścia.

– Coś tam wrzuciłeś.

– Po prostu pójdziesz spać.

– Nie – powtarza machinalnie, ale sama wie, że się poddała.

Przejeżdżamy przez most, wyjeżdżamy na siódemkę. W końcu się łamie, grzecznie bierze puszkę. Upija łyk i następny.

– Do końca proszę.

Oddaje mi puszkę. Odkręcam okno, wyrzucam ją na zewnątrz. Z cichym stuknięciem trafia w ekran akustyczny.

– Najpierw poczujesz się dziwnie, a potem urwie ci się film. Obiecuję, że nikt cię przez ten czas nie dotknie, oprócz tego, że będziemy musieli wyjąć cię z samochodu i gdzieś położyć. Będziesz dostawać jedzenie i picie.

Zaczyna płakać.

– Bardzo chciałbym, abyś jak najszybciej wróciła do domu.

Wyje jak małe dziecko, głośno i przeciągle. To potworny dźwięk, budzący skrajną agresję. Próbuje liczyć oddechy. Zapalam papierosa. Patrzą na nią w lusterku wstecznym. Światlik ścina ją szybko. Najpierw przestaje płakać. Zdziwiona mruga oczyma. Walczy z tym, próbuje zachować przytomność. Bezskutecznie. Nagle wyłączona głowa opada, strużka śliny ciągnie się z półotwartych ust. W szparach oczu białe kreski białek.

– Dobrze wymierzyłeś? – pyta Umar. Gdy stajemy na światłach, odwraca się i bada ją spojrzeniem. To spojrzenie kogoś, kto się przejmuje; kto chce wiedzieć, czy wszystko w porządku.

Daleko stąd, w trudnym i gorszym świecie, jest ktoś, kogo Umar kocha i o kogo dba. Być może Umar jest tutaj, bo tylko w ten sposób jest w stanie zadbać o tę osobę, pomóc jej.

– Robiłeś to kiedyś? – pytam go.

Kiwa głową.

– To poważniejsza sprawa niż strzelić do jakiegoś łba, prawda?

Znowu tylko kiwa głową, ale przyśpiesza, wjeżdża na lewy. Coś mu się przypomina. Może ma siostrę w jej wieku. Może nawet córkę. Każę mu zwolnić i pilnować drogi.

– Był kilka lat temu taki facet, co uciekł do Berlina. Gruzin – mówi powoli, starannie. – Poszło, że mamy go znaleźć. W Gruzji był dziennikarzem, ale w Niemczech pracował w markecie. Zrobił się jednak duży w internecie niemieckim. Filmiki nagrywał na YouTube. Gadał tam na Putina, na Kadyrowa. Coś wiedział, trochę więcej niż normalnie ludzie wiedzą. Stare rzeczy, ale wiedział.

– I co, porwaliście go?

Umar kręci głową.

– Nie jego.

W końcu zwalnia. Zjeżdża na prawy. Wypuszcza powietrze. Zerka na dziewczynkę we wstecznym.

– Była dużo młodsza od niej.

Samochód podskakuje na wyboju. Dziewczynka w reakcji gwałtownie się krztusi, rzygowiny tryskają jej na kurtkę. Każę mu zjechać na pobocze, stajemy na awaryjnych. Odpinam pasy, przechylam się przez siedzenie, kieruję jej głowę w dół.

Umar patrzy w lusterko wsteczne.

Wkładam małej dwa palce do gardła. Dziewczynka podskakuje, targają nią konwulsje. Łapię się na tym, że mówię do niej spokojnym głosem.

Zaczyna cuchnąć, będziemy jechać w tym smrodzie aż do końca, ale pieprzyć to. Pieprzyć tapicerkę. Pieprzyć to auto.

Umar ma rację, ona nie dokonała jeszcze żadnego wyboru. Stoi przed światem zupełnie odsłonięta, a my kradniemy jej życie. Cokolwiek przeżyje, zawsze będzie pamiętać, co jej zrobiliśmy.

Wszystko, co miała w żołądku, wylądowało na jej martensach i dywaniku. Opuszczam szybę. Zapach wyżera nos. Biorę chusteczkę, wycieram małej usta.

– Mówiłeś, że sprawdzałeś jej kartę u lekarza. Jacek.

– Po tym się wymiotuje, to normalne.

– Ona nie może...

– Będzie dobrze – zapewniam go, chociaż nie mam zielonego pojęcia, jak będzie.

Delikatnie opieram jej głowę o zagłówek. Ruszamy dalej. Umar jest zdenerwowany, wraca na trasę, ale o mało nie uderza w auto, które było w martwym polu. Kobieta w środku wali w klakson.

– Skup się, kurwa – proszę go.

Po godzinie jesteśmy w Nowej Wsi. Dario i Karaś czekają na nas pod jednym z domów. Chyba zrobili sobie imprezę. Dario jest czerwony, nerwowo wyciera ręce o brudny dres. Na nogach ma ubłocone buty. Karaś jest kamienny, sztywny.

Umar wyciąga dziewczynkę z auta, bierze ją na ręce. Jest bezwładna, ręce opadają jej prostopadle do ciała.

– Gdzie? – pytam.

Karaś pokazuje głową oborę.

– Nie ma takiej opcji – informuję.

Dario mlaszcze, rozsmarowuje językiem po podniebieniu coś, co przed chwilą zeżarł. Pokazuję Umarowi jeden z domów. Wiem, że jest w nim wolny pokój.

Pokój to klitka, która śmierdziałaby starością i pleśnią, nawet gdyby skuć tu tynk, zerwać podłogę i położyć wszystko od nowa. Na łóżku – ważącym tonę tapczanie z puszczającymi sprężynami – zwinięta w rulon brudna kołdra. Tapeta odłazi ze ścian, na podłodze gumolit. Wielki, okopcony sadzą obraz z rozmodlonym Jezusem. Ciężka szafa z jednym skrzydłem drzwi wyrwanym z zawiasów.

Umar kładzie dziewczynkę na tapczanie. Przykuwam ją kajdankami do kaloryfera, ostrożnie.

– Posprzątaj tu – mówię. – Wypierz tę pościel. I znajdź klucz do tych drzwi.

Kuchnia to gruzowisko – dziura w drewnianej podłodze, pełen sadzy opalany węglem piec z lat pięćdziesiątych. Na ścianach czarne plamy grzyba, kalendarz na 2010 rok reklamujący firmę produkującą dachówki. Uwalany sadzą portret Wojtyły. Bateria plastikowych butelek pod ścianą, pełnych nieokreślonego brązowego płynu. W drugim pokoju żołnierskie łóżka i czterech chłopaków. Dwóch gra w karty, pozostałych dwóch sprawdza coś na telefonach.

– Co się, kurwa, gapicie? – mówię do nich po polsku.

W lodówce piwo, wódka, cola, red bulle. Biorę puszkę coli, z łazienki przynoszę plastikową miskę. Stawiam przy łóżku dziewczynki. Ostrożnie

ściągam jej buty, pokryte zaschłymi plamami rzygowin. Stawiam je przy ścianie.

Muszę pojechać do Warszawy, kupić jej jakieś ubranie. Zapas jedzenia. Lekarstwa. Podpaski, kosmetyki. Nikt inny tego nie dopilnuje.

Idę przez podwórko, wdeptuję w stare, zaschłe gówno. Przez stalową ścianę chmur na moment przebija słońce. Z oddali dobiega szczekanie psów.

Drugi dom, najbliżej obory. Karaś wybrał ten w najlepszym stanie na centrum dowodzenia. Najlepszy stan oznacza wstawione kilka lat temu plastikowe okna, w miarę czystą wykładzinę, mniej grzyba na ścianie. Karaś, Dario i kilku chłopaków siedzą na kanapie i oglądają telewizję. Przed nimi parę butelek po wódce, plastikowa miska pełna kotletów. Dario i Karaś trzymają po jednym w palcach. Gdy wchodzę, Karaś pyta, co tak śmierdzi. Nie odpowiadam. Może to rzygi dziewczynki, może ten dom, może to mój pot, wciąż zatruty świetlikami.

– Częstuj się, kobiecinka ze wsi nasmażyła – mówi Dario.

– Zastraszyłeś ją? – pytam.

– Nie, Jacunia. Zapłaciłem jej. Bardzo się ucieszyła.

Wiadomości w telewizji akurat pokazują Kunickiego na korytarzu sejmowym. Mówi, że nie zanoszą się na to, aby restrykcje zostały zniesione przed świętami.

– *To naprawdę jest dla państwa bezpieczeństwa* – przekonuje tonem człowieka, który jest tak zmęczony, że odpocznie dopiero po śmierci.

– Jeszcze nic nie wie – zauważam.

– No nic nie wie, kurwa, bo dopiero o dziesiątej zauważy, że jej nie ma. To znaczy, on zauważy, służba mu powie, chujowi. – Karasia bardzo drażnią bogaci ludzie. Pozabijałby ich, zabrałby im wszystko, a potem nikomu tego nie oddał. Jak wzorcowy, prawdziwy komunista.

– Karaś, oni nie mają żadnej służby, to paparuchy są. Ja ich znałem. W dziewięćdziesiątych też żeśmy z nimi robili numery. No przecież wszystko się dało z nimi zrobić, zwłaszcza z tymi swetrami kościelnymi. Wystarczyło, że go na lokal wzięłeś, kotlecinę zjadł, troszeńkę pizdy zobaczył, już wszystko robił, co chciałeś. – Dario jest cały w tłuszczu. Bierze łyk wódki z gwinta, poprawia prochem z leżącej przed nim samarki.

– To czemu go nie przekupiłeś, Darek, czemu mu nie dałeś dolarów, a nie się wygłupiasz, córkę mu zabierasz?

Dopiero teraz widzę, jak bardzo świetliki czynią świat niewyraźnym. Przykrywają wszystko dymem, kołdrą z mgły. Niewyraźny obraz ciągle drży od tego uspokajającego ciepła, które pojawia się w środku. Powierzchnie są miękkie, twarze zamazane. Ich szczegóły toną w kaszy z pikseli. Dopiero teraz, po tygodniu na czysto, wszystko staje się ostrzejsze, z kilkakrotnie mocniejszym kontrastem.

Teraz widzę, jak bardzo są wstrętnei. Zaślinieni. Niedomyci. Przaśni. Są puszczone od tyłu kawałkiem disco polo, imprezą komunijną na DMT. Nie można ich sparodiować. Są bardziej rusczy od Rusków. Rżą gorzej od zwierząt. Wszystko, co mówią, jest błotem.

– Zrobiłem to, bo na takiego cwela szkoda pięciu groszy, Karaś.

– Nie, ty tego nie zrobiłeś. Ja to zrobiłem – przypominam mu i wychodzę, zanim zdąży odpowiedzieć.

Za oborą jest jeszcze budynek gospodarczy, prawdopodobnie chlew. Ma ciężkie, metalowe drzwi. To składzik na pieniądze. Gotówka z handlu świetlikami cały czas spływa i pozornie wciąż jest jej dużo. W środku piętrzą się stosy kanapek banknotów; widok jak z dokumentu o meksykańskim kartelu.

Tak naprawdę to wcale nie jest dużo pieniędzy. Dwa, może trzy miliony dolarów. Ponad połowa pójdzie na komponenty, benzynę, prąd, pensje. Karaś twierdzi, że po prostu nie możemy przywieźć więcej towaru. Nie ma więcej chętnych kierowców, nie ma ciężarówek. Nie ma więcej półproduktów, benzo, oxy. I tak musimy kombinować. Nie wszystkie świetliki działają tak samo. Jedne są za słabe. Inne, co gorsza, za mocne. Produkt zaczyna się psuć.

Część forsy będzie można odłożyć, ale facet z Genewy, który kupuje za franki wschodnioeuropejską gotówkę w dużych ilościach, bierze dwadzieścia procent fee. Drugi, który wpłaca tę gotówkę na konta, bierze kolejne dziesięć procent. To nie jest dużo, a my uderzyliśmy w szklany sufit. Mamy stały dochód, którego nie możemy zwiększyć, jeśli nie przejdziemy na produkcję w fabryce.

Teraz, jeśli uda nam się zaszantażować Kunickiego, wydatki dopiero się zaczną. Będziemy potrzebowali dziesiątków milionów dolarów.

Ten biznes działa na styk. A nikt nie wie, na czym polega prawdziwa korzyść.

Grupa Świetlikowcy miała dzisiaj sto dziewięćdziesiąt tysięcy członków. Na jednym z portali znalazłem artykuł: *Czy zielone kapsułki to*

prawdziwa pandemia?

Widzę Umara, jak wchodzi do małego pomieszczenia gospodarczego obok tego z forszą. Idę za nim. W środku kilka pralek i suszarek stojących na gołym betonie, przywiezionych jeszcze z Janówki. Opieram się o brudną ścianę. Zapalam papierosa. Pragnę świetlika, ale próbuję zamiast tego zapragnąć alkoholu.

– Umar, co chcesz?

Nie rozumie pytania. Wyciąga z pralki mokrą pościel i przekłada ją do suszarki.

– Co chcesz z tego wszystkiego?

Daję mu fajkę. Włącza suszarkę, opiera się o urządzenie. Zastanawia się przez chwilę.

– Wrócisz tam do siebie? – pytam. – Myślisz, że cię wpuszczą?

Rozkłada ręce. Chyba chce powiedzieć tym gestem, że interesuje go to, co każdego innego normalnego człowieka. Dobre życie jego bliskich. I własne, przy okazji.

– Chcę, żeby miała inaczej, bo do tej pory miała strasznie – odpowiada. Może mówi o matce, może o siostrze, może o żonie. To bez znaczenia.

– Wszyscy mieliście strasznie.

Spluwa. Kiwa głową. Ta prawda jest tak oczywista, że szkoda na nią nawet jednego słowa. Lustruje mnie od stóp do głów, jakby dopiero teraz przyglądał mi się po raz pierwszy.

– A ty?

– Wiesz co... Teraz nie mam nic innego do roboty.

Śmieje się tak głośno, jakby właśnie usłyszał najlepszy kawał. Wali z otwartej dłoni o blachę urządzenia. Wypowiada jakieś rosyjskie słowo, którego nie rozumiem.

Podchodzi do mnie.

– Ja bym zabił stu chłopów, żeby być tobą. A jakbym już został tobą, to wyszedłbym stąd i nie wrócił. Przecież możesz uciec wszędzie, nawet na koniec świata. – Pokazuje na dom, w którym jest Dario. – Tam, gdzie cię nie znajdzie.

Patrzę mu w oczy. To człowiek z najporządniejszej gliny. Może za sprawą religii, a może miał mądrą matkę albo babcię. Może po prostu czasami tacy się rodzą.

– Ale ja byłem na końcu świata, Umar. Nic tam nie ma.

– Wszędzie coś jest. To w tobie nic nie ma. Ty musisz w sobie coś włożyć. Może tak, ale to trudne. Może i trudniejsze niż zabicie człowieka. – Kopie lekko w suszarkę, chyba po to, aby podkreślić własne słowa jakimkolwiek gestem.

– To ciebie nie powinno tu być, Umar.

Mówię to, a wtedy krzyk dziewczynki przecina powietrze na pół.

– Klucz, kurwa, miałeś znaleźć klucz!

Gwałtownie obmacuje kieszenie, w końcu go wyciąga. Zapomniał.

Przebiegamy przez podwórko, ślizgam się na błocie, tracę równowagę, w ostatniej chwili Umar łapie mnie za rękę, podnosi. Drzwi do domu prawie pękają, gdy uderzam nimi o ścianę. Dario w środku. Karaś w korytarzu. Najebanie wyłączyło mu błędnik, więc opiera się o ścianę, z każdym oddechem zsuwając się niżej. Dario klęczy przy dziewczynce. Jedną ręką głaszcze ją po twarzy, drugą ściska jej rękę.

– Ciii. Ciiiiiiiiiiii – szepcze.

Dziewczynka wrzeszczy, szarpie ręką w kajdankach, kopie brudną kołdrę leżącą na łóżku. Panika zamienia ją w przerażone zwierzę.

– Zostaw ją!

On nie słyszy, tylko delektuje się tym, co się z nią dzieje. Smakuje to, napęnia się tym. To jest jego narkotyk. To są jego świetliki. Wstrętny skurwysyn. Zgniła dusza.

– Posłuchaj. Puszczę ci piosenkę. Te piosenki, co wy słuchacie, są straszne, najgorsze są. Posłuchaj tej. To jest dobra melodia. Prawdziwa.

Wstaje, wyciąga telefon z kieszeni. Musi oddalić go od oczu na długość ręki, aby cokolwiek zobaczyć.

– Wypierdalaj stąd, Dario.

Ignoruje mnie. Włącza, potwornie głośno, starość z lat osiemdziesiątych. Zwykły kawałek, ale teraz brzmi jak czysta śmierć.

Słońce to my, ciemne chmury to my.

Klęcząc, zaczyna podrygiwać i klaskać. Dziewczynka wrzeszczy.

– Śpiewaj ze mną. Śpiewaj ze mną, kurwieszonku.

Łebki, które zajmują ten dom, tłoczą się w drzwiach. Umar ich przegania. Ale poza tym nie wie, co robić.

Dario znów chwyta dziewczynkę za rękę, przyciąga ją do siebie, o mało nie wyrywając jej ramienia ze stawu. Mała płacze. Błaga, aby ją zostawić.

Suche wyżej to my, mokre niżej.

Taki deszcz, że ulewa aż śpiewa [13](#).

– Gdzie jest kluczyk, kurwa? Gdzie jest kluczyk, chcę zatańczyć sobie z tym ślicznym kurwiszonkiem.

Wpadam do kuchni. Ci kolesie na pryzkach, nasi ludzie – faceci, którzy od wczesnej młodości strzelali, zastraszaali, zabijali, aby utrzymać swoje rodziny – siedzą przestraszeni, przypominając dzieci słuchające kłótni rodziców.

Jedna z butelek z brązowym płynem. Dario drze mordę. Chce przekrzyczeć piosenkę, przekrzyczeć cały świat.

– KURWISZONIE, TAŃCZ Z PANEM DARKIEM. PAN DAREK JEST SAM. PAN DAREK NIE CHCE BYĆ SAM. PAN DAREK BYŁ SAM ZBYT DŁUGO.

Bez światełek wszystko jest tak wyraźne, tak prześwietlone, że samo patrzenie staje się nie do wytrzymania. Flaki rzeczywistości są na wierzchu, to światełki pokrywały je sztuczną powierzchnią, farbą, skórą, cegłą.

Zwierzę porwane jakiś czas temu przez wiatr wróciło do ciała. Wrzeszczy mi do ucha: zrób to, teraz.

Co z tego, że to nie on zabił mi siostrę.

Co z tego, że nie zabił akurat jej. Zabił, zamęczył mnóstwo innych ludzi. Zabił Stryja. Zabił Piotrka. Zabił, być może, również mnie.

– Nikt nie będzie z tobą tańczył – mówię mu.

Uśmiecha się. Podnosi głowę, zamyka oczy.

– Jesteś sam, bo jesteś wstrętny.

– TERAZ PAN DAREK JEST W DOMU. PAN DAREK JEST W NOWEJ ALEKSANDRII.

Nie jest nikim strasznym. Nie jest żadnym demonem. Jest obrzydliwym, pedofilskim dziadem i można zrobić z nim, cokolwiek się chce, wystarczy znaleźć punkt nacisku. To w pewnym sensie mój obowiązek. To kwestia smaku.

Można go wykastrować. Wyciąć mu płat czołowy. Można go zredukować do roli pajaca, uwięzić na łańcuchu, wykąpać w chlorze i kwasie. Można wszystko. On mnie tego nauczył.

– A gdy jest się w domu, to można chodzić na golaska – mówi, jakby kończąc za mnie myśl, i zaczyna rozpinać spodnie. Wkłada sobie rękę w gacie.

Widzę każdą zmarszczkę na jego twarzy, każdy por. Pokryte brązowym nalotem zęby. Pojedyncze włosy w nosie. Drobne blizny, których nie sposób dostrzec na pierwszy rzut oka, a które pokrywają mu całą twarz, jakby dostał się kiedyś w chmurę opiłków, na przykład w wyniku wybuchu.

– Można śpiewać i tańczyć, śpiewać i tańczyć! – wykrzykuje i wyciąga fiuta.

Gdy rozbijam mu na głowie butelkę, milknie, wytrzeszcza oczy. W końcu coś go zaskoczyło.

Płyn cuchnie, momentalnie miesza się z krwią ze świeżej rany. Dario upada tyłkiem na ziemię. Puszczą rękę dziewczynki. Spodnie ma na wysokości kolan.

– Wciągnij gacie.

Umar wypycha na zewnątrz Karasia, który wtoczył się do środka. Karaś jest wyłączony, za drzwiami przewraca się na ziemię.

Wyciągam broń, celuję Dariowi w twarz.

– Włóż, kurwa, gacie. Ubierz się, zwyrodnialcu.

Dziewczynka wrzeszczy. Dario zaczyna rozumieć, próbuje się podnieść, ale kopię go w serce. Traci oddech. Wiotczeje. W końcu wciąga gacie.

– Nie no, Jacunia. To jest przemoc domowa.

Wstrętny płyn ścieka mu po twarzy. Zbiera go palcem, wkłada do ust. Cmoka.

– Pyszne. Jak herbatka z cukrem. Bez cytrynki.

Umar wciska mi w dłoń klucz do pokoju i znika w głębi domu. Nie chce na to patrzeć, ale daje mi znać gestem, że w razie czego mam go zawołać.

Dario zaczyna skamleć, mazać się jak mały chłopiec. Był już przede mną prawie wszystkim – ale jeszcze nigdy nie był żaloszny.

– Ja nic złego nie zrobiłem, ja chciałem zatańczyć z dziewczynką. Ja chciałem zatańczyć z dziewczynką, mamusiu. Nie bij mnie, mamusiu.

Nie wiem, czy jest tak pijany, czy tylko udaje. Podnoszę go, wyrzucam z pokoju, sam też wychodzę. Zamykam za sobą drzwi i przekręcam klucz. Ze środka wciąż słychać wrzask.

– Ja chciałem zatańczyć z dziewczynką, bo są jej urodzinki. Mamusiu, schowaj ten kabel. Mamusiu, nie kablem. Mamusiu.

Udaje, że płacze, ale z oczu lecą mu prawdziwe łzy. To syf z butelki drażni mu spojówki.

Uderzam jego głową o ścianę. Jeszcze raz, i znowu.

– Wiesz, co się stanie, jak cię zabiję? Wiesz, co się stanie?

Jego źrenice nikną, zmieniają się w czarne szpilki. Oblizuje wargi.

– Oni zaczną słuchać MNIE. A ja będę TOBĄ.

Nie odpowiada. Ociera oczy, wykrzywia usta w głupim uśmiechu.

– Nie dotykasz jej – dodaje. – Nie wchodzisz tutaj.

Łapię oddech. Czuję, że spada mi tętno. On patrzy na mnie i dociera do niego, że nie ma we mnie strachu. Że widzę go zbyt wyraźnie, aby się bać.

– Starzejesz się. Jesteś chory. Beze mnie zabije cię CBS.

Znowu coś się zmieniło. Wyrównało. Nie jestem już jego niewolnikiem i on to wie. Rozumie, że gdybym był niewolnikiem, jak Patryś, musiałby mnie w końcu zabić. Nie może mnie zabić. Musi to zaakceptować. Inaczej nie dostanie tego, na czym mu zależy.

– Dobrze. Dobrze, kurwa. Masz, Jacunia. Masz, co chcesz.

Poddaje się, wciąż patrząc mi w oczy.

I w końcu przestaje się uśmiechać.

Odwraca się, wycofuje. Człapie korytarzem. To człapanie to znowu jego marne aktorstwo. Udawał dziecko, a teraz udaje starca.

Wołam Umara, od razu pojawia się obok. Wskazuję na Daria.

– Znajdź tego po szkole medycznej, niech mu zszyje ranę i da jakiś antybiotyk. A dla małej znajdź jakieś świeże ubranie w jak najmniejszym rozmiarze. Zrób jej jedzenie i picie. Nikt poza tobą i mną nie ma prawa wejść do tego pokoju.

Wykrzywia wargi, trudno powiedzieć, czy w zdziwieniu, czy w podziwie, to zresztą nieistotne. Wchodzę do pokoju dziewczynki, uwalniam ją z kajdanek. Jest wyczerpana płaczem. Niedługo potem Umar puka i wchodzi do środka, trzyma szary komplet dresowy, kilka batoników i napój.

– Chłopaki gotują zupę. Potem jej przyniosę.

Biorę przedmioty, pokazuję mu gestem, aby wyszedł.

– Chcesz skorzystać z łazienki? – pytam.

Mała kiwa głową. Delikatnie ją podnoszę, jest sztywna, strach zamroził ją w przykurczu. Tłumaczę jej, co się stanie, głosem, jakbym czytał jej bajkę na dobranoc.

– Pójdziemy do łazienki, umyjesz się i przebierzesz. Jutro kupię ci bieliznę, skarpetki, kosmetyki. Powiesz mi, czego potrzebujesz. Jeśli masz ochotę na coś konkretnego do jedzenia, jeśli potrzebujesz lekarstw, też mi to powiesz. To już się więcej nie powtórzy. Nikt cię nie dotknie. Niedługo wrócisz do domu.

Próbuje cokolwiek powiedzieć, ale strach zacisnął jej gardło.

– A jeśli wam się nie uda? Jeśli mój ojciec nie da wam tego, czego chcecie? – pyta po chwili.

Podaję jej dłoń. Wstaje z łóżka.

– Wrócisz do domu – powtarzam i otwieram przed nią drzwi.

*

Pazina wierci się na siedzeniu pasażera jak za starych czasów. Różnica jest taka, że tym razem pozwalam jej palić. Robi to z lubością. Kółka z dymu ulatują przez uchylone okno.

Wyciągam rękę, aby podała mi jointa. Dym jest intensywny i gęsty, jakby paliła czysty olej. Nienawidzę marihuany.

Pyta, czy słyszałem o świetlikach. Odpowiadam paroma ogólnikami.

– Nie mam z tym nic wspólnego – kłamię, a gdy to robię, ona skanuje mnie wzrokiem.

Dojeżdżamy do Lasu Kabackiego. Zatrzymuję auto obok parkingu, przy zabudowaniach pętli metra. Opuszczam szybę. Powietrze jest ciężkie od wilgoci, ale dziwnie czyste, na pewno czystsze niż w naszej wsi.

Pazina patrzy tępo przez szybę. Wyczerpanie ją zubożyło. Ma na sobie różową bluzę z kapturem, na niej haft pioruna i zaciśniętą pięść. Pomalowała paznokcie na krwistoczerwony kolor. Nigdy nie zwracałem uwagi, czy Pazina maluje paznokcie. Dogasza blanta, wyrzuca go za okno.

– Czemu w ogóle pytasz?

Odwraca się w moją stronę rozkojarzona. Wyciągnąłem ją z jakiejś studni myśli, w którą wpadła. Nie dziwię jej się.

– Czemu pytasz o świetliki? – powtarzam.

– Bo to horror, Jacek. To nawet nie jest narkotyk. To jest masowe morderstwo. Zbrodnia przeciw, kurwa, ludzkości. A ty sprzedajesz narkotyki, więc ja chcę wiedzieć.

Odruchowo chcę jej powiedzieć, aby nie przesadzała. To nie jest strychnina ani cyklon B. To lek. Mówię za to coś innego:

– Heroina zawsze mnie brzydziła.

Przypominam jej siebie z przeszłości. Może to łyka. Może nie. Powinna.

– O heroinie ludzie nie piszą trollerskich komentarzy, że można po niej normalnie funkcjonować. Jacek, ludzie piszą na Twitterze, że prowadzą po

tym samochód, jeszcze raz ci to powiem, jeśli nie usłyszałeś. Prowadzą po tym, kurwa, samochód.

Wykupiłem przez ostatni miesiąc trzy takie trollerskie kampanie. Znalazłem tych ludzi przez darkweb. Pisali poprawną, zgrabną polszczyzną, ale niektóre zdania były trochę uszkodzone, o pokracczym szyku, wyłączył z nich translator. Zażądali zapłaty przez blockchain, jak wszyscy w darkwebie. Nie byli jakoś szczególnie drodzy, za to okazali się potwornie efektywni. Wysłałem im link do grupy Świetlikowcy. Odpisali, że są w stanie przejąć ją w trzy dni, a następnie skasować. Kazałem im się ograniczyć do trollingu. Do podważania wiarygodności ludzi piszących o największych tragediach.

Zrobiłem to, chociaż nie mogłem zwiększyć produkcji. Ale wciąż zakładałem, że mi się uda.

– Więc co, dalej koks? – pyta.

– Koks. Ziolo. Wszystkiego po trochu. Ale ja tego nie sprzedaję. Nawet tego nie przywożę.

Ogarnia mnie wrażenie, jakby z lasu dobiegał rytmiczny dźwięk – powolne, miękkie bicie zaszytego w ziemi gigantycznego serca. Odwracam się w jego stronę. Znajomy pomysł – po prostu iść w ciemność i tam zostać.

Powinienem powiedzieć temu „tak” i ją tu zostawić. Zwyczywać ją, zmusić, aby pobiegła w drugą stronę, w stronę miasta i swojego domu.

Ruszam w stronę lasu. Idzie za mną. W ciemności bierze mnie za rękę. Milczy. Chce o coś zapytać. Zajmuje jej chwilę, aby się zebrać.

– Gdybym spotkała tego, kto to robi...

– To co byś mu zrobiła? – Trochę się z niej nabijam. – Zabiłabyś?

Wchodzimy pomiędzy drzewa. Nie jest zupełnie ciemno, niebo jest skażone miejskim światłem. Widać drogę, kontury drzew. Mija nas małe światełko, rowerzysta w kasku i czołówce.

– Myślisz, że nie byłabym w stanie?

Puszczą moją rękę. Dłoń wciąż się dziwi, ze zdziwienia lekko drętwieje.

– W Argentynie... ja chciałem się zabić – mówię.

Zatrzymuje się. Nie widzę jej twarzy, ale słyszę oddech. Wielkie podziemne serce bije teraz trochę głośniej.

– Jacek.

– Pomyślałem, że jestem przeklęty. Jak bohater w bajce.

– Jacek. – Znowu bierze mnie za rękę.

Mówię dalej. To mogę jej powiedzieć. Chociaż trochę prawdy.

– Nie zrobiłem tego, bo...

Zawieszam głos. Rozlewa się we mnie coś duszącego i żrącego, i gdybym zjadł teraz świetlika, toby wyschło, zostawiło po sobie tylko skrzep. Ale nie mam świetlika. To coś płynie dalej, podtapia wszystkie następne słowa, które planowałem powiedzieć.

– Nie zrobiłem tylko dlatego, bo miałem psa.

Pazina przytula się do mnie. Serce, które bije w lesie, to jej serce.

– Nie chciałem, aby został sam.

Chwyta mnie za nadgarstki. Obejmuje je dłońmi. Boję się, że nie zdołam tego przyjąć, drugiego człowieka tak blisko. Jego troski. Przyjaźni. Dobrej woli. Nagle to rozumiem, w krótkim przeblysku: ja miałem nadzieję, że ona również mnie skreśliła. Ja zrobiłem to wszystko specjalnie.

– Myślałam o tym setki razy. Praktycznie codziennie. Może po to był mi Azyl, po to byli oni, żebym się nie zabiła. I wiesz co, ja myślę, że wszyscy tego chcą. Po prostu niektórzy tego nie robią.

– Może depresja to mechanizm depopulacyjny, jak covid, jak AIDS. Natura próbuje z różnych stron.

Ona się śmieje śmiechem Paziny sprzed sześciu lat.

– Masz najgorsze żarty. Zawsze miałeś.

Zaciska pięści, uderza mnie nimi w klatkę piersiową. Odrobinę mocniej, niż gdyby robiła to w żartach.

Serce bije coraz głośniej. Blisko mnie i gdzieś w głębi lasu.

– Do czego jestem ci potrzebny?

– To chyba ja powinnam zadać to pytanie.

– To ty się odezwałaś pierwsza.

– Chciałam, żebyś mnie przeprosił.

– Niczego takiego nie chciałaś.

Całuję ją. Ma suche wargi. Smakuje liśćmi i skunem. Ona całuje mnie. Gryzie mnie w usta. Gryzie mnie w szyję i uszy. Jest łapczywa jak wampir. Ja z kolei wychodzę z ciała, staję obok. Daję się jej porwać. Rozpina mi kurtkę, gwałtownie chce się dostać do tego, co pod spodem. Popycham ją do przodu, aby zeszła z drogi. Wchodzimy w głąb lasu, tej zimnej i mokrej sypialni.

Kładę się na ziemi. Pazina siada na mnie. Mech jest miękki, ale biegną przez niego żyły korzeni, wbijają się w plecy. Pazina rozpina spodnie, mnie i sobie. Podnosi się, aby je opuścić. Dyszy słowa, których nie rozumiem, zbyt szybkie, zbyt liczne, zbyt ciche. Rozpinam jej kurtkę, ona podciąga

sweter. Jest zimno, ręce szorują po odsłoniętych miejscach, próbując je wygładzić i rozgrzać. Pod spodem pachnie inaczej, olejem i kremem. Wącham jej szyję, usta, uszy. W każdym miejscu pachnie inaczej. Czuję jej puls. Całuję ją w tętnicę szyjną.

Kładzie mi ręce na piersiach, dużo większych, niż zawsze mi się wydawało. Nigdy tak naprawdę nie podobała mi się fizycznie. Ale teraz to nie ma znaczenia.

Próbujemy skończyć coś, co zaczęliśmy kiedyś. To pierwszy i ostatni raz. Jestem w niej. Ocierają mnie spodnie i bielizna. Korzenie, szyszki, kamienie wciskają mi się w plecy. Z tym bólem jest lepiej. Ból daje spokój. Gniew spływa w dół ciała. Ona napiera na mnie biodrami, bardzo mocno. Oddech ma wolny i głęboki. Gryzie mnie w ucho. Odwdzięczam się jej tym samym. Nasze usta znowu się spotykają, gryziemy się, lekko do krwi.

– Nie dotykaj mojej twarzy – słyszę.

Gniew ucieka. Kończę nagle i szybko, przez kilka sekund mam wrażenie, że jest jej to obojętne. Dopiero po chwili się podnosi. Jest pełna mnie, ale po prostu zapina spodnie. Wstając, przytrzymuje się drzewa.

– Odwieź mnie do domu.

Nie czekając, aż wstanę, wychodzi na ścieżkę. Obmacuję kieszenie, sprawdzam, czy mam przy sobie kluczyki i telefon. Ruszam za nią. Idzie parę metrów przede mną.

W samochodzie wyciąga blanta z popielniczki. Zapala, nie otwiera okna. Ten wstrętny dym mnie uspokaja. W milczeniu dojeżdżamy pod stary dom z ogrodem na Bielanach; chyba mieszka tu jej matka.

– Nie wiem, czy to dobrze, czy źle – rzuca, otwierając drzwi.

– To bez znaczenia?

– Fajnie by było, gdyby to było bez znaczenia.

Rozczarowanie, które ma na twarzy, zostanie z nią do końca. Nic go nie wywabi. Rozczarowanie mną, rozczarowanie światem.

– Jesteśmy smutni. Nie o to chodzi, że czujemy smutek. Jesteśmy smutnymi figurami, Jacek – mówiąc to, chyba chce, żebym zaprotestował. Gasi jointa, tym razem na dobre.

– Gdzie oni teraz są? Twoje małolaty? – pytam.

– Moje osoby.

– Osoby małolackie?

– Nie kpij z tego.

Nagle odzyskuje czujność.

– Czemu w ogóle pytasz?

Uchyła drzwi, próbuje wypędzić dłonią dym na zewnątrz.

– No, podobno wyrzucono was z tego lokalu – tłumaczę.

– Skąd wiesz?

– Z internetu.

Spoglądam w dół. Mam wciąż rozpięty rozporek. I małą zaschłą plamę siebie na spodniach.

– Czyli czytałeś o mnie. Czytałeś o mnie, ale się nie odezwałeś.

– Bałem się.

– Ty się bałeś?

Sama ogląda swoje spodnie. Może właśnie to zamknęliśmy. W ten dziwny, gwałtowny sposób. To miałyby sens.

– Mogę wam pomóc – mówię nagle, zaskakując samego z siebie. – Mogę sprawić, że to, co robisz, nabierze rozmachu.

Na jej twarzy pojawia się niesmak.

– Chcesz wyprać forszę?

– Nie. W ogóle nie. Chcę pomóc.

– Chcesz mi pomóc, to przestań kłamać.

Nie rozumiem, o co jej chodzi. Nie rozumiem, ale czuję coś nowego, dziwny rodzaj lęku. Jakbym zobaczył przyszłość w formie jednej bardzo zamazanej klatki.

Pazina znika w drzwiach domu. Ból wraca. Wszystkie stawy mam przebite przez długie i ostre gwoździe. Otwieram schowek, w środku leżą luzem dwa świetliki. Patrzą na mnie jak para obcych oczu. Biorę je do ręki. Patrzę w te oczy. Nic w nich nie ma. Otwieram okno i wyrzucam je na zewnątrz, i dopiero wtedy czuję pierwszą stratę tej nocy.

20 PAŹDZIERNIKA 2020

Prysznic, zimny. Mleko sojowe z trzema łyżkami białka i łyżką glukozy, zestaw witamin. Kawa. Jeszcze jeden prysznic. Trochę pseudoefedryny. Moje plecy w lustrze, gęsta mapa otarć i siniaków. Gołę głowę. Wkładam świeży dres i trampki. Ubranie jest bardzo luźne.

Odrucie wciąż trwa. Dalej czuję się, jakbym był ciężko chory. Ciało boli mnie, jakbym przez ostatni miesiąc pracował w kopani odkrywkowej.

Mam gorączkę, suche usta. W nocy budzi mnie straszliwy ból. Moje ciało błaga o kapsułki.

Uczę się nie zwracać na to uwagi. Skupiać się na czymś innym.

Gdy uczucie staje się nie do wytrzymania, robię sto pompek. Zaczynam biec. Albo wypijam szklanekę spirytusu. Albo biorę koks. Pomaga, na chwilę.

Najpierw jadę pod szkołę. Pod budynkiem radiowóz, dwa znudzone psy w środku. Woźny jest pewnie na cztery osiem. Muszą cisnąć go jak cytrynę.

Kunicki mieszka na Saskiej, w modernistycznym domu przy Zakopiańskiej. Tam dużo więcej radiowozów. BOR w cywilu, łącznie kilkanaście osób. Zamknęli ulicę. Przytomni, czujni. Piją kawę, gadają, wiszą na telefonach. Ktoś przyniósł kanapki z Subwaya, dostaje oklaski. Liczą, że spadnę im z nieba, ale nawet mnie nie widzą, chowam się w ciemności na końcu ulicy.

Prywatny numer Kunickiego kosztował dziesięć tysięcy złotych. Chłopaka, który który był jednym z jego asystentów w ministerstwie, zwolnili za znaczek z tęczą w klapie marynarki. Koleżka skończył London School of Economics, a teraz od rana do wieczora pali zioło, mieszka u matki w piwnicy. Za dziesięć koła kupi sobie mnóstwo skuna, plus może dorzuci się do rachunków.

„Za dwadzieścia minut wyjdiesz z domu. Powiesz, że musisz się przebiec, bo inaczej zwariujesz”.

Odpisuje samą kropką.

„Powiesz, że musisz być sam. Narodowy, bede obok wyjścia numer osiem”.

Kolejna kropka. Musi być posłuszny. Nie ma innego wyjścia.

„Jeśli pokazesz komukolwiek tę wiadomość, ona dostanie zastrzyk”.

Musiał wyjść z domu szybciej, bo gdy docieram pod Narodowy, on już tam jest.

Na twarzy mam maseczkę, na głowie czapkę z daszkiem. Założyłem soczewki kontaktowe. On paraduje w czerwonym dresowym komplecie reprezentacji Polski i wygląda jak kretyn. Widać, że nie uprawia żadnego sportu – jest sflaczały, z chudego ciała sterczy brzuch. Do tego jest zarośnięty, nieświeży, zmęczony. Może być alkoholikiem. Tak jak wszyscy jego partyjni koledzy w dzieciństwie musiał chodzić do kościoła i przeniósł ten zwyczaj w dorosłe życie. Teraz jednak towarzyszy mu prosta intuicja, którą ma każdy człowiek – gdyby Bóg istniał, nie dopuściłby do paru spraw

w mikro- i makroskali. Tyle że nie umie się jej poddać. Nie wie, jak zaakceptować otchłań. Myśli, że pustka jest czarna, nie rozumie, że oznacza brak jakiegokolwiek barwy. Tacy jak on żyją w trwałym cierpieniu, w którym nie ma nic szlachetnego. W rezultacie piją lub zatracają się w nieporadnych dewiacjach, a przede wszystkim próbują niszczyć życie ludziom, którzy w przeciwieństwie do nich o pustce myślą z respektem, ale bez oszałamiającego lęku.

To typ człowieka, od którego wolę nawet Daria, nawet samego siebie.

Tak czy siak, jako kardiolog na pewno powinien bardziej o siebie dbać.

– To czysto biznesowa propozycja.

– Propozycja?! – wykrzykuje to słowo piskliwie.

– Propozycja w takim sensie, że zawsze masz wybór. Nawet jeśli tak tego nie traktujesz.

– Jaki wybór, gnoju, o czym ty mówisz? – Teraz warczy i piszczy jednocześnie. Trzęsie się z gniewu i wyczerpania.

Kiwam głową w stronę stadionu.

– Widział pan tu jakiś niezły koncert ostatnio? Albo mecz? Pewnie często dostajecie darmowe bilety, prawda? Podobno Sting był fajny.

– Skurwysynu.

Nawet nie umie dobrze wymawiać przekleństw. Nie mieszczą mu się w ustach. Najchętniej rzuciłby się na mnie z pięściami. Może zmusza się do wściekłości po to, aby się nie rozsypać. Do lutego 2020 roku żył ułożonym życiem, które miało sens, coś robił, był odpowiedzialny za ludzi. Wkładał ręce do ich ciał, ratował ich. Nawet w największym napięciu opierał się o solidną ścianę. W covidzie ściana zaczęła pękać. To jedna rzecz, przegrać z materią czyjegoś ciała, nie uruchomić z powrotem czyjegoś serca. Przeszczepić takie, którego ciało nie chce. Ale tłumaczyć się przed całym krajem z katastrof, na które nie ma się wpływu, robić za kukłę do plucia – to coś zupełnie innego.

Ktoś postawił go na szafocie, aby recytował tam wiersze.

– Wiesz, że zaraz cię zdejmą. Miałeś uspokoić ludzi, a ty jeszcze bardziej ich przerażasz. Żeby stłumić ten strach, śmieją się z ciebie. Ale zanim odejdiesz, zrobisz jedną rzecz.

– Julka. Julka ma... Moja córka ma wrócić do domu.

– Jeśli się dogadamy, nikt jej nawet nie dotknie.

– A jeśli nie będę mógł...

Kręcę głową.

– Widzisz, dlatego się nie nadajesz do tej roboty. Już na wstępie zakładasz, że nie będziesz czegoś mógł.

Jego wyczerpanie daje mi siłę. Świat odzyskuje dobrą rozdzielczość, staje się bezpiecznym tunelem o długich ścianach. To proste. Jestem w pracy. Wykonuję zadanie.

– Umówmy się, że o czymś ci powiem, a ty dojdiesz do wniosku, że jednak będziesz mógł.

Kładę dłonie na jego wąskich ramionach. Jest cały spocony, a mimo to trzęsie się z zimna, którego nawet nie czuje. Wyciągam z kieszeni świetlika. Pokazuję mu z bliska. Chcę, żeby się skupił.

– To. To ma być w aptekach. W sejfie. Na recepty. Jak medyczna marihuana. Nie każdy lekarz musi to przepisywać. Wystarczą nasi lekarze.

Bierze głęboki oddech.

– To jest to opiatowe świństwo? Żartujesz sobie?

– Bynajmniej.

– Ja mam raport z komisji uzależnień na temat... Ludzie mi mówią, że tu jest potrzebny sztab kryzysowy, a wy...

– Ludzie w chronicznym bólu myślą o tym inaczej. Ale nie gadajmy o etyce, bo się nie dogadamy.

– My... my nie będziemy legalizować heroiny.

– To jest mocniejsze niż heroina. Lepiej działa.

– Jesteście szaleni, ludzie. To jest szaleństwo. Już nawet nie o to chodzi. To mogłyby być witaminy. Rzecz w tym, że cały proces trwa kilka do kilkunastu lat.

– Wiem.

– Wiesz?

Oczywiście, że wiem. Dlatego to, co chcemy zrobić, jest niemożliwe.

– Znam cały proces na pamięć. Trzy fazy badań klinicznych, najpierw zwierzęta, potem ludzie. Musisz mieć zgodę komisji bioetycznej, zgodę prezesa Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych. Mogę pójść też obok, prosić Komisję Europejską. No, ale już porwałem twoją córkę.

– Człowieku, to jakbyś mi ten samochód, co tam stoi, kazał zjeść.

– I go zjesz.

Wyciągam telefon, pokazuję mu zdjęcie. Dziewczynka jest w samej bieliźnie, przykuta do kaloryfera, twarz obwiązana ma taśmą. Tapczan, obok plastikowa miska. Byłem delikatny. Ona była posłuszna. Potem ją przeprosiłem.

– Zjesz go, a ja ci przyniosę sztucce, masło i serwetki. Możesz to zrobić na kilka podejść. Masz czas.

Mięknie, cofa się o krok. Twarz łamie mu się w grymasie, który będzie do niego wracał w tikach, we wspomnieniach, który postarzy go dwukrotnie szybciej.

Pokazuję mu następne zdjęcie. W kadrze jest moja dłoń, w dłoni wysuwany nóż do tapet.

– Nie pierdol mi o prerogatywach. Tak wszystko ustawiliście w dwa tysiące piętnastym, żeby wszystko było wasze.

Trzęsie się. To nie on ustawiał. On nie chce wszystkiego. On jest naiwnym durniem.

– Na służbę zdrowia ktoś właśnie zrzucił bombę atomową. Nie jesteśmy jedyni, którzy chcą zarobić. Przyniosę ci wyniki badań, całą dokumentację. Zrobią mi je w Chinach, ale ty je zaakceptujesz. Będzie w nich, co tylko chcesz. Na przykład, że to pomaga leczyć covid. Że cofa uszkodzenia układu nerwowego. Komisje, prezesi: dasz mi listę ludzi, powiesz mi, ile kosztują. Dasz temu prezesowi swoją prywatną rekomendację. Nie przyjmiesz, wyjebią go z roboty. Zrobisz to. I będziesz bogaty. Będziesz tak bogaty, że w końcu wykopiesz jakąś studnię w Afryce. A nawet jeśli ci się nie uda, kupisz każdemu w Afryce plastikowy różaniec.

Chce coś powiedzieć, coś oczywistego, typu: zgnijecie w więzieniu. Ale nawet on rozumie słabość oklepanych kwestii. Poza tym strach o dziecko jest silniejszy niż jakiegokolwiek oburzenie. Jest silniejszy niż godność.

– Ja cię proszę.

– Myślisz, że jestem bandytą. Ale skąd się wziąłem?

– Proszę. Nie krzywdź jej. Proszę.

– Skąd się wziąłem? Powiedz mi, byłbym tutaj, gdybyście nie zamienili tego wszystkiego w żart? Gdybyście nie zamknęli całego kraju, udałoby mi się to?

On w odpowiedzi klęka i chwyta mnie za spodnie. Tak go, biedaka, wytresowali jeszcze w dzieciństwie. Najważniejsze w życiu to klękać i płakać.

– Nie bądź żalosny. Wracaj do domu. Szybko. Masz dużo roboty.

Narodowy wciąż miga kolorami. To barwy spłowiełej elewacji, znaku drogowego, który każdy ma gdzieś. Siłą podnoszę Kunickiego z powrotem do pionu.

– Jeśli ktokolwiek będzie za mną jechał, ona zginie. Jeśli spóźnię się chociaż pięć minut do miejsca, w którym mam być, ona zginie. Policja w Trójmieście dostała dziś zgłoszenie, że widziano ją, jak wychodziła z dyskoteki. Mam typa, który wkleił jej twarz w nagranie z kamery. Media już mają to nagranie. Nikt się nie połapie. A jeśli powiesz komukolwiek, że to błędny trop, ona zginie.

Przebiega przez jezdnię jak lunatyk, nie rozejrzawszy się ani razu. Ktoś daje po hamulcach, trąbi. On przeprosza bezradnym gestem, odbiega w noc. Ściągam maskę, czapkę, kurtkę, wyrzucam do kosza na śmieci. W następnym koszu leży plecak z inną kurtką i czapką. Zakładam je i biegnę w stronę samochodu.

*

Matka Bartka jest zdziwiona i przestraszona. Chyba ją obudziłem. Trudno. Pytam, jak Kacper. Odpowiada, że dobrze. Codziennie ma terapię, załatwili mu nauczanie indywidualne. W domu prawie w ogóle się nie odzywa, tylko odpowiada na pytania półsłówkami. Rzadziej moczy łóżko. Pytam ją o rodziców. Przez chwilę milczy. Wreszcie odpowiada powoli, ważąc słowa:

– Są... spokojni. Pogodzili się. Albo próbują się pogodzić.

Chciałaby coś dodać, ale się boi. Upewniam ją, że nic jej nie zrobię. Mówi, że znajoma ze zwyrodnieniowym bólem kręgosłupa przyniosła im takie jasnozielone kapsułki. Teraz biorą po jednej dziennie. Tydzień temu po raz pierwszy wyszli z domu. Mama namalowała pierwszy obraz, który choć w większości czarny, przedstawiał też skrawek niebieskiego nieba.

Procesuję te słowa. Trwa to na tyle długo, że kobieta upewnia się, czy jestem po drugiej stronie. Tak, jestem po drugiej stronie. Może tak jest lepiej, myślę przez chwilę. Może ta rozpacz zabiłaby ich jeszcze szybciej. Mówię jej, żeby dała mi znać, gdy zacznie się problem. Na przykład, gdy zaczną potrzebować więcej kapsułek. Gdy zaczną z tego powodu robić jakieś głupie rzeczy.

Rozłączam się, ale po chwili dzwonię do niej jeszcze raz. Dostanie mejlem zdjęcie psa. Pies nazywa się Kolega. Ma rzucić wszystko, znaleźć możliwie najbardziej podobnego szczeniaka i dać go Kacprowi. Pokryje koszty plus zapłacę jej dziesięć tysięcy za fatygę.

Wchodzę do domu. Dario, z opatrunkiem na głowie, gapi się w telewizor, pijąc herbatę z wielkiego kubka. Pewnie jak zawsze wsypał do niej siedem łyżeczek cukru. Umar jest przy dziewczynce. Gdzie jest Karaś, nie wiem.

NTV24 najpierw podaje liczby. Osiem tysięcy pięćset zakażeń. Czterdzieści dziewięć zgonów. Na konferencji prasowej zamiast Kunickiego pojawia się jakiś młody chłopak, który wygląda, jakby przebrał się za Harry'ego Pottera. Jest tak spięty, że nie potrafi czytać.

– *Sytuacja jest ustabilizowana.*

– Nigdy nic nie było tak ustabilizowane, koleżko fajniusi – komentuje Dario i zmienia kanał. W państwowej telewizji tym razem dają informacje, które nas interesują.

– *Zaginęła córka ministra zdrowia, Julia Kunicka. Ostatni raz widziano ją w Trójmieście...*

Dario znowu zmienia kanał, kładzie pilota na stoliku. Trafia na – jakże by inaczej – stary polski kawałek. *Odkryjemy miłość nieznaną.*

– Oglądałem tamto – mówię mu.

Nie odpowiada. Zmieniam kanał na poprzedni. Ulany, zdezorientowany gliniarz z Gdańska zapewnia, że badają trop. Dario wyrywa mi pilota z ręki, z powrotem włącza kanał ze starymi przebojami.

– Aż takie z ciebie dziecko? – pytam.

Nie odpowiada. Zamiast tego rzuca:

– Wysłałem chłopaków.

Na początku nie rozumiem, o co mu chodzi.

– Czekają tam – ciągnie.

– Tam, czyli gdzie?

– I tu, i tam, Jacunia.

Gdy w końcu pojmuję, dopada mnie wyczerpanie, jakby ktoś wyssał mi całą krew. Ciało zamienia się w ołów. Wyżarta w kościach pustka swędzi jak pierwszego dnia po odstawieniu. Muszę się oprzeć o ścianę. Muszę pooddychać. Zacisnąć pięści i wbić paznokcie we wnętrza dłoni, do krwi.

Powinienem się czuć zupełnie odwrotnie.

Za to Dario jest z siebie bardzo zadowolony. Może nawet dumny.

– Jeden z dzieciaczkiem w ogrodzie się bawi właśnie, ten z Olsztyna. Sobie coś tam lepią, co nie. Fajny tatuś z niego. Karaś dzwonił dziesięć minut temu, wszystko mi opowiada. A ten drugi, ten warszawski, to pobiegł

sobie na siłownię, ale pocałował klamkę, bo siłownie znowu zamknięte. Więc pobiegł do Lasu Kabackiego. Też dobrze. Zdrówko najważniejsze.

Powinienem znowu palić się żywcem od adrenaliny, świat powinien się zawęzić do tunelu wąskiego jak ucho igły. Wszystko powinno wskoczyć na swoje miejsce, idealnie zadziałać. Powinienem czuć, jak nienawiść alchemicznie przemienia się w rozkosz.

Nic takiego się nie dzieje. Jestem wyczerpany. Chcę zasnąć. Wyłączyć światło, spać kilkadziesiąt godzin. To nie ma sensu. Paulina i Bartek wciąż będą martwi. Dzieci dalej będą trwale poranione. Moi rodzice dalej będą żywymi trupami. A ja – ja na dobre utkwię tu, gdzie jestem. W krainie śmierci.

Poza tym to przecież miał być Dario. Moja pusta, krwawa, samobójcza misja miała się okazać szlachetna i elegancka.

Dario puka palcem w tarczę zegarka.

– Jakież pół godziny mamy, Jacunia. Trzeba się śpieszyć.

Wstaje, zbliża się do mnie, kładzie mi dłonie na policzkach. Mocno ściska.

– Cieszysz się? – pyta. I zaraz dodaje: – Bo ja się cieszę bardzo!

Wyrzuca ręce w powietrze, jak klaun. Tak, można go zamienić w żywy mem, w bohatera tiktoków. Można wpuścić go do internetu jak wirus, zarazić nim ludzi. Ograć go na milion sposobów. Wszystko, co mówi, to okrutny żart. Ludzie kochają okrucieństwo i kochają żarty. Można zarobić na nim tyle samo, ile na świetlikach.

– Może ty chcesz zostać gwiazdą, Darek? Może chcesz, aby wszyscy cię rozpoznawali?

– Nie umiem ładnie śpiewać, Jacunia. – Kręci głową.

– Nie trzeba umieć śpiewać. Już od dawna.

Zanim ruszymy, zaglądam do dziewczynki. Śpi. Obok łóżka talerz, na nim pusty kubek po jogurcie, niedojedzona kanapka ze stacji benzynowej. Umar siedzi na podłodze, ma półprzymknięte oczy. Trącam go w ramię. Otrząsa się, wyjmując z kieszeni blister hydroksyzyny. Mówi, że dał jej cztery tabletki pół godziny temu. Powinna spać do wieczora.

Dziękuję mu bez słowa. On kiwa głową, podnosi się, wychodzi. Siadam na chwilę przy dziewczynce i ostrożnie kładę dłoń na jej głowie. Wiadomość od Paziny: „Nie wiem, czy chciałabym zrobić to jeszcze raz. Ale nie jest też tak, że jakos strasznie zaluje”.

Zwinięta w kulkę, dziewczynka śpi jak kot. Oddycha regularnie, płytko. Wszystko rozumiem. To koniec świata. Może będzie potem jakiś nowy świat, ale to nie ma znaczenia. Ja jestem częścią końca. Ja jestem tym, czego boją się ludzie.

Następna wiadomość: „Może po prostu wszystko jest obojętne”.

Wstaję, wychodzę, zamykam drzwi na klucz, chowam go do kieszeni.

– Już – mówię sam do siebie, bo nikogo innego tu nie ma.

*

Jedziemy brudnym białym mercedesem sprinterem. Nie wiem, skąd się wzięło to auto, może Karaś kupił je od kogoś ze wsi. Ktoś musiał wieźć w nim warzywa, charakterystyczny gryzący zapach wsiąkł w tapicerkę. Dario i Umar są z przodu, ja siedzę na pace z trzema naszymi chłopakami. Noszą imiona Cefer, Gleb i Olgierd.

Obracam w rękę pistolet. Ten sam, który dostałem od Marka. Strzelałem już z niego parę razy, ale wciąż jest dla mnie zabawką.

Wszyscy jesteśmy ubrani w znoszone dresy, stare kurtki, czapki z daszkiem z używanej odzieży. Wyglądamy jak goście, którzy jadą na budowę. Jeden z chłopaków czyta wygnieciony egzemplarz jakiejś książki science fiction, nie znam autora, zresztą nie chce mi się odcyfrowywać bukw.

– *Choroszo?* – pytam, pukając palcem w okładkę.

– *Skuchnyj* – odpowiada, wzruszając ramionami.

Myślę o Kacprze i próbuję obudzić w sobie nienawiść. Wywabić to zwierzę mieszkające za żebrami. Usilnie wyobrażam sobie tamtą noc. Przerażone twarze za szybą samochodu. Strzały. Potworny lęk dzieci.

Skupiam się na tym obrazku ze wszystkich sił. Przypominam sobie, jak pojechałem tam i leżałem pośród śmieci. Uświadamiam sobie, że Paulina i Bartek umarli, nie wiedząc, czy ich dzieci przeżyją, i dopiero teraz zaczynam czuć cokolwiek. Podnoszę głowę. Gleb pije red bulla. Macham ręką, aby podał mi puszkę. Osuszam ją do dna. Wypiłbym jeszcze takich pięć.

– Nasz chłopak sobie za nim truchta – informuje Dario. – No mam nadzieję, że ma kondycję... ten, jak no on się nazywa?

– Alek. W Rosji biegał maratony – mówi Umar.

Dario pokazuje mi ekran telefonu. Na mapie mała kropka sunie po zielonej plamie, która jest Lasem Kabackim. Wzruszam ramionami.

– Nie miej dość, Jacunia. Jeszcze odpoczniemy. Przypomnij sobie, jak pachnie krew.

Wyciąga papierosy w moją stronę. Biorę jednego, zapalam.

– Poczuj tę pustkę. Tę dziurkę małą. Tam, gdzie było to cacuszko, które ci ukradli.

Być może nie było żadnego cacuszka, żadnego kryptonitu. Jeśli zdejmiesz ze mnie skórę i mięśnie, w środku nie znajdziesz żadnego słabego punktu, żarzącej się lampki. Ta dziura, w którą niby można wlewać swoje nowe imiona, twarze, swoje nowe osoby, zawsze była pusta.

Dario znowu patrzy na telefon. Uśmiecha się.

– Karaś już jedzie. Ten drugi podobno strasznie płacze i prosi. Zarzeka się, że to nie on, że go tam nie było.

Dojeżdżamy na miejsce. Byłem z Paziną niedaleko stąd, ale dzień zmienił to miejsce w inną planetę. Zatrzymujemy auto jak najbliżej lasu. Nie jesteśmy tu sami, dookoła przemykają biegacze, rowerzyści. Niebo jest jednolicie szare, szarością zepsutego ekranu.

Zakładam maseczkę. Rozglądam się.

– Musimy poczekać, aż będzie nas mijał. Nie będziemy go przecież zawijać przy cywilach.

– Ty nic się nie bój, Jacunia. Pójdzie szybciotko, jak z maturzystą w burdelu.

Ja, Dario i Umar wychodzimy na zewnątrz. Pozostała trójka siedzi w aucie. Opieramy się o karoserię, zapalamy papierosy. Jakbyśmy mieli fajrant. Dario podaje mi telefon. Kropka zmierza mniej więcej w naszym kierunku.

– Dzień dobry, panowie.

Stają przy nas. Przyglądają nam się z zaciekawieniem. To zwykle krawężniki, oboje w mundurach. Nie mają o niczym pojęcia. Ona jest niska, z głupkowskim uśmiechem przyklejonym do twarzy, jakby ciągle trenowała pozowanie do zdjęć. On ma pucołowate, niezdrowo zaczerwienione policzki. Przypomina knura.

– Co panowie tu robią?

Kropka przyśpiesza. Dario lustruje policjantów, kręci głową i parska śmiechem. Wkłada lewą dłoń do kieszeni kurtki. Pod kurtką ma broń. Jak każdy z nas.

– Inhaluję chlorofil, skarbenku. Połykam owady.

– A mogę prosić jakieś dokumenty?

Kropka jest czterysta, pięćset metrów od nas.

– Nikt nie ma dokumentów, bo nikt nie jest pierdolnięty.

Trzysta, czterysta metrów. Trudno powiedzieć. Blisko. Coraz bliżej.

– Ale niech się pani nie obraża. To z piosenki rapowej. Ja generalnie nie przepadam...

– Ja się nie znam na muzyce.

– To się nie trzeba znać, droga pani, to trzeba czuć.

Umar żuje gumę. Niebo nagle opada parę metrów niżej, jakby popsuły się podtrzymujące je liny. Mam wrażenie, że słyszę towarzyszący temu głuchy dźwięk.

– To zakładając, że nie są panowie, za przeproszeniem, pierdolnięci, proszę o dokumenty.

Czy zanim strzelił, odwróciła się w stronę dzieci? Popatrzyła na nie po raz ostatni?

Czy coś do niej powiedział?

Kropka – sto, dwieście metrów.

– Wie pani, że w dżungli, nie wiem gdzie... dżungli Ura-Bura, co nie, są takie roślinki, które człowiekowi tak mieszają w głowie, że ten człowiek po prostu się kładzie na ziemi i przestaje ruszać. A te roślinki zaczynają go sobie porastać. On umiera, a rośliny go zjadają. W dżungli wszystko strasznie szybko rośnie.

– Pokazuj, człowieku, ten dowód – niecierpliwi się knur.

Za nimi na drodze w oddali. To on. Marek. Poznają go po sylwetce, po sposobie poruszania się. Nie mam pojęcia, co zrobi, jeśli nas rozpozna. Nie mam pojęcia, co zrobi Dario, który wciąż trzyma dłoń w kieszeni.

– Wszyscy jesteśmy człowiekami. Tylko psy są psami.

Apokalipsy zawsze zaczynają się od kompletnych głupot. Od durnego uporu. Od chwilowych zaćmień.

– A pan musi się tak ciągle gapić w ten telefon? – Słyszę głos policjantki.

Ignoruję ją. Wchodzę w kontakty w telefonie. Wyczerpanie ustępuje miejsca lekkiej panice. Panika jest lepsza, trzeba ją tylko poskromić. Osadzić się w tu i teraz. Oddychać. Ścisnąć mocniej to, co trzyma się w dłoniach, aby nie upadło na ziemię. Telefon. Broń.

– Proszę pana, powiedziałam coś do pana.

Szukam Alka w kontaktach. Nie ma takiego imienia. Kropka zwalnia, ale wciąż posuwa się do przodu. Nie wiem, czy Dario w ogóle rozumie sytuację. Umar tak. Próbuje dać mu znak ręką, jak najdyskretniej. Chowam telefon do kieszeni. Odwracam się do Daria.

– Skończ świrować, Darek, i pokaż pani dowód.

I zanim zrobi cokolwiek, podaję jej swój paszport, ten na nazwisko Thomas Anders, po czym ruszam do przodu.

– Proszę pana – mówi.

Marek nie rozpoznaje mnie z tej odległości. Mam nadzieję, że Alek mnie zobaczy.

– Pan Thomas Anders? – Słyszę za swoimi plecami.

– Tak, to ja – odpowiadam.

– Modern Talking. Zna pani taki zespół?

Marek zatrzymuje się, aby złapać oddech. Schyla się, kładzie sobie dłonie na udach, s pluwa. Odkręca trzymaną w dłoni butelkę wody. Ktoś go wyprzedza, młody, krępy chłopak w przymalym dresie. Podnoszę rękę. Nie mam pojęcia, czy to Alek, a jeśli tak, to czy zrozumie ten gest.

– Czy może pan zdjąć maseczkę?

Odwracam się. Podnoszę maseczkę na wysokość czoła. Mruga, jakby dostrzegła we mnie kogoś znajomego. Knur wyciąga rękę po szczekaczkę. I wtedy słyhać z oddali krótki, rwany krzyk. Oboje odwracają głowy. Dario wciąż trzyma dłoń w kieszeni.

Alek – jeśli to Alek – leży na ziemi. Marek odwraca się, idzie w jego kierunku. Policjanci ruszają w jego stronę. Nie wiem, czy ma jakieś dobre dokumenty, nie wiem, czy Alkowi w ogóle można ufać. Przyjechał już po śmierci Zachara, nie był obecny na akcji w Marriotcie. Z tego, co kojarzę, to facet, który sprząta i gotuje.

Dziś dowiedziałem się, że biega.

Dario wyciąga rękę po swój telefon. Podając mu go, widzę na wyświetlaczu wiadomość od Karasia. „Czekamy na miejscu. Chuj placze ze odda mi swój dom”.

Niebo wydaje z siebie krótką serię trzasków.

„Ale chujowy ten jego dom. Maly”.

Tych dwoje podchodzi do Marka. Marek klęczy nad Alkiem, obmacuje mu nogę, próbuje pomóc. Alek wyje bardzo przekonująco, musiał się nasłuchać takiego wycia.

– Normalnie *Gang Olsena* – rechochce Dario – pamiętasz *Gang Olsena*, Jacuś? To był dopiero śmieszniutki film.

Umar każe wyjść Olgierdowi na zewnątrz. Gdy ten wykonuje polecenie, wkłada mu coś w dłoń i pokazuje gestem, abyśmy ja i Dario wsiedli do samochodu. Siada za kierownicą, włącza silnik, zwalnia ręczny.

Marek podnosi się z ziemi. Marek, który strzelił mojej siostrze i jej mężowi w twarz na oczach ich dzieci, kucnął, aby pomóc facetowi, który skręcił kostkę.

Powoli zaczyna biec w naszą stronę. Po kilkunastu sekundach jest przy mercedesie. Policjanci podnoszą Alka z wysiłkiem i ruszają w naszym kierunku.

Olgierd wyciąga rękę, trafia Marka paralizatorem w skroń. Ten momentalnie robi się bezwładny. Wciągamy go do środka, zatrzasujemy drzwi. Umar rusza na wstecznym. Tylne koła rwą miękką ziemię. Parka policjantów biegnie ku nam, widzę ich w lusterku. Nie mam pojęcia, czy widzieli, co się stało. Marek, wciąż nieprzytomny, dostaje w gębę, raz, drugi, trzeci.

Wypadamy na aleję KEN, Umar przejeżdża na czerwonym. Odbija w pierwszą w prawo, zaczyna kluczyć uliczkami. Nie są tak głupi, aby za nami jechać. Ale mogli zapamiętać blachy i podać je dalej.

– Musimy zmienić samochód – mówię do Daria.

– Spokojnie, Jacuś. – Podkręca radio.

*I słońce, co rozlepia mi
na twarzy piegi trzysta trzy ¹⁴.*

Marek próbuje się podnieść. Dostał w łuk brwiowy, krew zalewa mu oczy. Ściera ją i się rozgląda.

Przystawiam mu do twarzy pistolet. Masz. Patrz.

– Wszystko wiem.

W odpowiedzi próbuje się poderwać, ale Gleb, Olgierd i Cefer przytrzymują go w miejscu. Bezsilny zaczyna się wrywać, warczeć, wyć jak zwierzę.

Jego pysk zamienia się w twarz Pauliny, płynnie, jakby za pomocą efektu specjalnego. Paulina, ledwo widoczna przez przednią szybę, zza zapalonych świateł. Oddalona, niewyraźna. Twarz ducha.

Siostra Ducha też musi być Duchem. Wszyscy, którzy otaczają Ducha, muszą być Duchami. Duchy mogą żyć tylko w swoich martwych królestwach.

– Mogłeś mnie po prostu zamknąć i dać sobie spokój.

Krzyczy, piekli się, pomstuje. Z pewnością brał to pod uwagę. Ale myślał, że jest tak dobry, tak silny, że to się nie wydarzy.

– Mogłeś mnie zabić, gdy przyszedłem do ciebie do domu.

Samochód podskakuje na wybojach. Nawet nie wiem, dokąd wiezie nas Umar. Nie odrywam wzroku od Marka. Przepalam go tym wzrokiem. Nie mrugam. On zaciska oczy, jakby próbował się wybudzić z koszmaru. Robi się cały czerwony. Pryska na mnie śliną. Uderzam go ręką w głowę. Wypluwa dwa zęby.

Siadam, opieram się o ścianę auta. Wyczerpanie minęło. Jestem silny, silniejszy z każdą sekundą. Mógłbym zerwać dach tego samochodu. Mógłbym go podnieść i rzucić nim jak zabawką.

– Powiedzieliście Ewelinie, że stawiali opór? Małżeństwo z dwójką dzieci?

Wyje i klnie jeszcze przez minutę, w końcu przestaje. Celuję w niego, niedbale, miękką ręką. W końcu kładę broń na podłodze.

– Myślałeś, że to ja zabiłem ci żonę. Chciałeś się zemścić. Chciałeś mnie ukarać.

Auto znowu podskakuje na wybojach. On uderza tyłem głowy o metalową podłogę.

Mógłbym go złamać jak patyk. Mimo to mówię powoli, bardzo spokojnie:

– Ale to nie ja, Marek. To ty ją zabiłeś.

Podejmuje jeszcze jedną próbę. Spina mięśnie, uruchamia całą swoją siłę, którą hodował przez ostatnie lata we wszystkich crossfitach Warszawy. Nie udaje się. Siła naszych chłopaków była hodowana gdzieś indziej.

Przysuwam się do niego.

– Byłeś kiedyś w kościele, prawda?

Chrząka. Chce mnie opluć, ale nie ma czym.

– „Moja bardzo wielka wina”. Powtarzasz to chyba trzy razy, co, Marek? Chodziliście do kościoła, co nie? Żona była katoliczką? Musiała strasznie cierpieć, przecież zabić się samemu to grzech śmiertelny. Chcieli ją w ogóle pochować?

Znowu się podrywa. Ma jeszcze zapas, cały ukryty bak furii. Dostrzegam wysiłek na twarzach chłopaków. Robią się czerwoni, drżą im ręce.

– Ale skoro była katoliczką, to czemu nie wzięła twojego nazwiska? Wstydziła się ciebie? Wolała dalej być w swojej prawdziwej rodzinie?

Spokojnie. Furia szybko się kończy. Zostawia człowieka martwego, spalonego na popiół. Mnie wypełnia coś innego. Jestem pełen nienawiści. Nienawiść to siła i spokój.

– Wiesz co, myślę, że nikt nigdy tak naprawdę nie pomyślał: to moja wina. Kwestia biologii. Nikt tak na serio nie umie się przyznać do błędu. Nie mamy tej części w mózgu, bo bylibyśmy wtedy nieefektywni, Marek.

Uderzam go jeszcze raz w twarz, kolbą pistoletu. Na chwilę się poddaje. Chłopaki wykorzystują ten moment, aby odpocząć chociaż przez sekundę.

– Dlatego gdy mówisz w kościele: moja bardzo wielka wina, to jest prawdziwa, kurwa, religia, Marek. Przekraczasz siebie, swój mózg. Bo co to za problem zjeść wafelek?

– Żałuję – odpowiada.

Patrzę mu w oczy. Są tak nabiegłe krwią, lękiem i wściekłością, że zaraz pękną. Ale pewnie moje oczy wyglądają tak samo.

Nienawiść jest czysta i piękna. Nienawiść to postawa. Prawdziwa nienawiść jest jak oświecenie, kasuje przeszłość i przyszłość.

Tylko gdzieś pod nienawiścią, głęboko, ciało krzyczy o ulgę. Swędzenie, którego nie da się złagodzić nawet bólem.

– Żałuję, że nie zabiłem jeszcze tych dzieci. Bylibyśmy kwita.

Adrenalina wycieka ze mnie razem z potem, wypala skórę jak kwas.

– Bo teraz już wiesz. Wiesz, kurwa, jak to jest zdać sobie sprawę, że ktoś cię bardzo kochał, że nie byłeś sam. Zdać sobie z tego sprawę nad jego grobem – mówi.

Biorę pistolet do ręki. On szczyrzy zęby. W ustach ma krwawą plamę, ale wciąż mówi wyraźnie:

– Nie zapomnisz, nie pozbędziesz się tego uczucia. NIE MA CHUJA. Będziesz z nim żył do śmierci. A ja zaraz będę wolny.

Kolba, w twarz. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Jeszcze raz.

– Jacunia, spokojniutko.

Jeszcze raz.

– Jacunia, jesteśmy na miejscu.

Umar otwiera pakę, musi złapać mnie pod pachami i poderwać do góry, aby mnie ściągnąć z Marka. Potrzebuję chwili, żeby zrozumieć, gdzie jesteśmy. Droga jest niewyafaltowana, pokryta żwirem. Dalej płaska, brunatna ziemia. Pole. Jesienna trawa koloru skrzepłej krwi. Na horyzoncie majaczą jakieś silosy, magazyny, wielkie, kanciaste domy jednorodzinne. Butwieje trawa. W powietrzu cuchnie węglem i paloną gumą. Niebo ma kolor jasnego grafitu. Jest czubkiem ogromnego pióra, które zaraz się wypisze. Odległa rzeka oplata nas jak pierścień.

– Co to za miejsce? – pytam.

– Bug – odpowiada Dario. – To piękna rzeka Bug.

Wyprowadzają go z auta, skuwają kajdankami. Jeden z chłopaków fachowo kopie go w pęciny, zmuszając, aby klęknął, drugi trzyma go za głowę. Po minucie na drodze pojawiają się jeszcze dwa auta, czarne range rovery. Pierwszy wysiada Karaś. Spluwa na ziemię, otwiera drzwi. Poznają Damiana po trampkach New Balance. Na głowie ma czarny worek.

Dwaj kolejni goście go przytrzymują. Jeden z nich to Roman. Damian nic nie mówi, nie wydaje dźwięków. Na jego jasnych džinsach widać ogromną plamę.

– MAAAREEEK! – drze się, gdy zdzierają mu worek ze łba.

Ale to niczego nie zmieni.

Logika. Jeśli nikt nie umie się przyznać do winy, dobro i zło to tylko program operacyjny. Dobro to my. Zło to wy. My byliśmy szybsi, wy byliście głupi. Popełniście błąd, my jeszcze nie.

Już nie ma znaczenia, że zabili moją rodzinę. Ważne jest tylko tutaj i teraz. Ważne jest to, że my stoimy, a wy klęczycie.

Ktoś napada, ktoś się broni. Ktoś ma umrzeć, a ktoś strzelić. Ludzie odbierają wagę zabijaniu, przypisując sobie lub komuś moralność, jakąś rację. Tymczasem po prostu wybierają stronę. Kierują się w tym wyborze opłacalnością i bezpieczeństwem. To nie jest dobre ani złe. Tak jest. Jednak w celowym odebraniu życia drugiemu człowiekowi tkwi coś potężnego. To za każdym razem koniec wszechświata. Koniec wszystkich kosmosów. Spacer na Antarktydę.

– MAAAREEEK, KURWAAAA. MAAAREEEK.

– Zostańcie przy autach, chłopaki, idziemy we czterech. Ja, Karaś, Umar i Jacunia.

Nic nie mówią. Rozkaz to rozkaz. Zobacz, jak nisko jest niebo.

Będziemy szli tą łąką kilometr.

A potem po prostu to zakończymy. Dokona się. My będziemy żyć dalej, a oni nie.

Pamiętasz, jak czekaliśmy na rodziców, Paulina? Nie pamiętasz, bo spałaś. Ja płakałem przerażony, przyklejony do szyby, wypatrując auta na parkingu. Nałykałem się wtedy strachu jak tonący wody. Nigdy mnie nie opuścił. Aby przestać czuć strach, trzeba zacząć wzbudzać go u innych.

Włosy dziecka były jak miękka słoma.

Zostawiłem w tobie wtedy całą swoją miłość.

– Jacunia?

– Zróbmy to szybko.

– Oj, na pewno?

Damian spogląda w ziemię. Marek patrzy mi w oczy. Patrz sobie. To nic nie zmieni.

– Szkoda czasu i narzędzi – mówię i spluwam.

Co się zaczęło, już się nie zakończy.

*

Nie wiem, jak trafiam do jej mieszkania.

Nie wiem, czy się na to zgodziła.

Była jakaś korespondencja, ale nie umiałem jej odczytać. Znowu wszystko zrobiło się zamglone. Ból, swędzenie. Wydrążone kości. Jakbym znowu odtruwał się ze świetlików. Może tym razem odtruwam się z tego, co się stało. Z adrenaliny, z nienawiści.

W jej mieszkaniu jest dzieciak nieokreślonej płci. Niski, chyba zaraz po dwudziestce; powiedziałbym, że to dziewczyna, ale przedstawił się jako Wiktor. Posłał mi nieufne spojrzenie. Myślę, że patrzy tak na każdego dorosłego mężczyznę.

Pazina mówi z dumą w głosie:

– Wiesz, że Wiktor jest przestępcą?

– To łatwe.

Oboje ignorują mój komentarz.

– Razem z koleżanką zdemolowali ciężarówkę antyaborcyjną.

Wiktor nie wygląda jak ktoś zdolny do zdemolowania czegokolwiek. Oczywiście pozory mylą.

Pytam ich, co to ciężarówka antyaborcyjna. Nie do końca rozumiem odpowiedź, może dlatego, że w ogóle mnie nie interesuje.

Potem pytam ją, czy ma zioło. Może zioło uspokoi swędzenie, zabierze ból. Może zaspokoi głód, chociaż odrobinę.

– Poczekaj chwilę. Możesz docenić odwagę Wiktora?

Zmusza mnie do wysiłku, którego nie chcę. Nie interesuje mnie odwaga tego dzieciaka. Miało go tu nie być. Miałem tu odpocząć. Może chciałem, aby znowu mnie objęła. Abyśmy znowu uprawiali seks, aby ona znowu mnie naprawiła.

– Gratuluję ci, Wiktor.

Myszę, że Wiktor powinien opuścić to mieszkanie w ciągu dziesięciu sekund. Nie jestem towarzystwem dla kruchych ludzi. Przywołuję sobą przemoc, której oni nigdy nie widzieli. Prawdziwą przemoc, a nie kopanie w samochody, nawet te antyaborcyjne.

Wiktor chyba to rozumie, bo szybko rusza do wyjścia.

– Uważaj na siebie – mówi Pazina, dobitnie i głośno. Przyciąga go do siebie, całuje go w czoło.

Dzieciak zaczyna się lekko wyrywać.

To chyba dobrze, że ona nie ma dzieci. Byłaby potworną matką.

Gdy za młodym zamykają się drzwi, podaje mi jointa. Dym wypełnia mi płuca, zaczynam kaszleć tak, jakby coś w nich pękło. Nie przynosi żadnej ulgi. Jest zwykłym podrażnieniem.

– Zabijacie ludzi – stwierdza znienacka.

Wiem, co ma na myśli. I zupełnie nie wiem, co jej powiedzieć. Udaję, że nie rozumiem.

– Słuchaj, ja nigdy nie zajmowałem się słodyczami. A cukier też zabija ludzi, Pazina.

– Nie jesteś aż tak głupi, żeby odpowiadać mi w ten sposób.

– Może jestem.

Na ścianie wisi wielki plakat ze starego polskiego filmu. Na nim tytuł, *Szamanka*, i wstrętne czerwony napis, MIŁOŚĆ TO SKANDAL. Im dłużej na niego patrzę, tym bardziej litery oddalają się od siebie, przestają tworzyć wspólny sens. Wypełniająca je czerwień zaczyna się poruszać, płynąć. Litery nabrzmiewają. Zlewają się w jedno.

Pazina widzi, w co się wpatruję.

– To superfilm. Wszyscy uważają, że jest chujowy, a był wspaniały.

– Być może.

– Ta laska była doskonała. Iwona Petry. Potem już nic nie zrobiła, nigdzie nie zagrała. Porwało ją w obłąd, ale tak konkretnie. Na końcu filmu zjada Lindzie mózg. Pamiętasz?

– A to nie było w *Sarze*?

Nawet się uśmiecha. Z tym, że ja nie żartuję. Wszystkie filmy to jeden i ten sam film.

Po chwili przypomina sobie, o czym rozmawialiśmy. Uśmiech znika.

– Świetliki. To wy.

– Kto ci powiedział?

– Nie jestem głupia – odpowiada szybko. O sekundę za szybko. Jakby bardzo nie chciała się zawahać. W każdym razie nie sprawdzała mnie. Była pewna.

No cóż, wciąż zna pełno ludzi z miasta. Ktoś powiedział jej o ambasadzie. Albo rozmawiała z policją, zaraz po Marriotcie. W sumie mogła się tego dowiedzieć na tysiąc sposobów.

Wyjmuję jointa spomiędzy jej palców. Połykam ogromną chmurę.

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało jak usprawiedliwianie ciebie – mówi ona. – Ale jest też taka sprawa: po prostu nie wie się, że jest się złym. Nie widzi się tego. Widzi się inne sprawy. Ktoś musi ci to pokazać.

– I co? Chcesz mi to teraz pokazać? – pytam.

Litery na plakacie zlały się w jedną pulsującą całość. Może serce, może mózg.

– Ja wiem, kim jestem – dodaję.

– Podobno źli ludzie robią złe rzeczy dla władzy albo forsy. Ja myślę, że to jest za proste. Myślę, że ludzie robią złe rzeczy z poczucia sprawiedliwości.

– To ciekawe – stwierdzam.

Oddaję jej jointa. Nie pomógł mi, wprost przeciwnie. Sprawia tylko, że jeszcze bardziej skupiam się na swędzeniu, głodzie, bólu. Nie powinienem tego robić. Jak można to, kurwa, palić. Czerwień wyłazi z plakatu, spełza po ścianie, wpływa na podłogę.

– I ja myślę, że są dwa sposoby tego wymierzania sprawiedliwości. Pierwszy jest prosty: robisz to, co zrobiono kiedyś tobie, bo chcesz wyrównać rachunki. Krzywdzisz, bo ciebie krzywdzono, bijesz, bo ciebie bito i tak dalej. Uważasz, że tylko to cię wyleczy. Drugi jest bardziej złożony. Ideologiczny. Robisz coś ludziom, bo uważasz, że na nic innego nie zasługują. Jesteś przekonany, że dana grupa jest gorsza od reszty. Dałeś

się nabrać, ktoś ci to wmówił. Może ktoś z tej grupy kiedyś cię skrzywdził, nieważne. Albo w ogóle uważasz, że wszyscy ludzie to gówna.

Kałuża czerwieni pokrywa całą podłogę. Podpływa do moich butów.

Pazina podchodzi do mnie, kuca. Kolana będzie miała całe we krwi, ale nie zwraca na to uwagi. Kładzie mi ręce na udach.

– Likwidacja życia niewartego życia. – Ona tego nie słyszy, po prostu ruszam ustami w kształt tych słów.

Gdy zamykam i otwieram oczy, litery znowu wyglądają normalnie. Czerwień zniknęła. MIŁOŚĆ TO SKANDAL, krzyczy stary plakat. Nie wiem, kto mógł wymyślić tak głupie zdanie.

– Trochę zgubiłem powód – mówię jej.

Nie pyta, jaki powód, a ja nie mogę i nie umiem jej tego wytłumaczyć.

Przysuwa się do mnie. Przez chwilę myślę, że chce mnie pocałować, i nachylam się do niej, nieporadnie kładę dłoń obok jej piersi. Ona mnie odtrąca.

– To naprawdę nikogo nie obchodzi.

Odsuwam się, robi mi się głupio. Ona mi się przygląda, chce we mnie coś zobaczyć.

Wyobrażam sobie, że naciskam palcami kolejne punkty na jej twarzy, ranę na ustach, przestawiony nos, wciąż przypuchnięte oko. Wszystko można zmienić, uplastyczyć, jeśli znajdzie się punkt nacisku. Ale może ona jest wyjątkiem.

Worek zioła, który wyciąga z szafki przy łóżku, jest rozmiarów poduszki. Sama zawartość przypomina coś ożywionego, a jednocześnie apetycznego. Za bardzo się rozkładałam. Zresztą już się rozłożyłam. Straciłam umiejętność dostrojenia się, wyregulowania. Łykam lekarstwa na poprzednie trucizny. Próbuję wyrównać paznokcie, w rezultacie obcinając wszystkie do krwi. Mogę zjeść wszystkie świetliki świata, to niczego nie zmieni. Chyba nawet mnie nie zabije.

Pazina sprawnie skręca jointa, wstaje, idzie do lodówki. Przynosi karton mleka roślinnego, nalewa sobie do szklanki. Proponuje mi. Odmawiam.

Nagle widzę ją taką, jaką jest. Dojrzałą kobietę, zmęczoną i sfrustrowaną. Żyjącą w poczuciu, że skręciła nie w ten zjazd, co trzeba. Spała się. Nie umie odpoczywać. Nie umie się cieszyć. Po kolei rozczarowywali ją znajomi, przyjaciele. Przestała wierzyć w ludzi, i to jest chyba najgorsze, co ją spotkało.

Ale mimo wszystko – żyje.

– Mogłabym wybaczyć ci wszystko. Nawet to, co zrobiłeś tej całej Beacie. Ale teraz jest już za późno.

– Ja zawsze byłem taki.

– Nie, kurwa, nie byłeś.

Zaczyna płakać, a ja nie wiem, co z tym zrobić. Nie wiem, czego ode mnie oczekuje.

Dwie potwornie ciężkie niewidzialne dłonie leżą na mojej klatce piersiowej i wciskają mnie w fotel. Wyswabdam się. Podnoszę się do pionu. Siadam obok niej.

– Jesteś dobra, Pazina.

– Co? – Patrzy na mnie, jakby nie rozumiała.

– Jesteś najlepszym człowiekiem. Ostatnią ważną osobą.

Chcę dotknąć jej policzka, ale odtrąca moją rękę. Otwiera dłoń. Gasi jointa dokładnie w tym białym, bladym punkcie w środku. Syczy jej skóra.

– Ej! – wołam.

Próbuję jej przeszkodzić, ale mi nie pozwala. Gdy podnosi głowę, gdy na mnie patrzy, ma oczy kogoś, kto zupełnie stracił kontrolę. Upływa długa chwila, zanim mówi:

– Jesteś mordercą, ale ja też nie jestem jakaś znakomita, Jacek.

Odsuwa się ode mnie, rzuca jointa na ziemię. Podbiega do niego kot, zaczyna go obwąchiwać. Odtrąca nogą i kota, i jointa.

Próbuję za nią nadążyć, ale się nie da. Spudłuję, cokolwiek powiem. Ale może nie chodzi o to, aby trafić.

– Ten dzieciak jest tysiąckrotnie od nas lepszy. Ode mnie i od ciebie.

– Może. Może tak.

Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczymy. To wszystko, co między nami, było bardzo smutne, niezgrabne, źle zagrane. Jak każda rzecz zrobiona z desperackiej nadziei na ponowne rozpoczęcie już skończonego.

– Pomogę ci. Dam ci pieniądze.

– Już dałeś mi pieniądze, Jacek. Nie pamiętasz?

– Mogę pomóc ci otworzyć jeszcze jedno takie miejsce. Lepsze, większe. Możemy otworzyć sto takich Azylów. To żaden problem, Pazina.

Nie odpowiada.

– Już dałeś mi pieniądze. Wystarczy.

– To były grosze.

– Dla kogo grosze, dla tego grosze. Wystarczy.

Powinienem jej jeszcze powiedzieć: poświęciłem naprawdę dużo czasu i energii, aby zadeptać wszystko, czym jesteś. I robiąc to, nawet o tobie nie myślałem. Ludzie zasługują tylko na uśpienie, tak. Nawet ci, którzy coś umieją.

– Pamiętasz, co powiedziałaś mi na lotnisku? Że wszyscy jesteśmy bandytami?

– Idź stąd – mówi, patrząc w podłogę.

W tym poleceniu jest coś nieodwracalnego.

Podnoszę się, wychodzę. Zostawiam ją samą. Zostawiam siebie samego.

W samochodzie otwieram schowek. Dwa świetliki patrzą na mnie jak małe oczy. Mam wrażenie, że do mnie mrugają.

Połykam oba, od razu. Rozkosz zalewa mnie nagle, jak sztorm stulecia.

21 PAŹDZIERNIKA 2020

– Naprawdę mnie zdziwiłeś – mówi Karaś.

– Czym?

– Że strzeliłeś. Że miałeś jaja.

– Czyli nie jestem pedałem?

– Pedał to tylko słowo. Byłeś prawdziwy.

– A kiedy byłem nieprawdziwy, Karaś?

Pali czerwone marlboro, sączy trzeciego już red bulla. Z wyglądu, gestów, gadki niczym nie różni się od tirowca odpoczywającego na postoju.

– Wtedy, kiedy jej broniełeś. Kiedy walnąłeś Daria w głowę butelką. Wtedy udawałeś.

– Nie rozumiem.

– I kiedy mnie poraziłeś tym pierdolonym, kurwa, prądem, za co teraz powinienem strzelić ci w łeb, też udawałeś. Ja pierdołę.

– Myślę, że jesteśmy kwita.

W spojrzeniu ma coś w rodzaju szacunku – tyle, ile jest w stanie poczuć albo okazać. Po kilku sekundach odwraca się gwałtownie, jakby zrozumiał, że przesadził. Zgniatą puszkę, rzuca przed siebie w ciemność, przeciąga się. Jego ciało pstryka jak nadepnięta płachta folii bąbelkowej.

– Ile już razy ja powinienem cię odpalić, chłopie, to ja nie wiem.

– Dzięki za darowanie życia. Elo, Karaś.

– Chłopie, zrozum, że ty po prostu konfident jesteś. Gdyby nie Darek... Kurwa, wiesz dlaczego jedzie się z konfidentami?

– Bo wysyłają cię do więzienia.

– No właśnie. Byłeś kiedyś w puszcze? Wiesz, jak tam jest?

– Nie. Nikt przeze mnie nie poszedł do więzienia. I nikt by nie poszedł.

– Bo?

– Bo ci policjanci po prostu by was pozabijali.

Nie mam siły z nim dyskutować. Tutaj, przy leśnej drodze za Legionowem, pod zamkniętą knajpą, między toi-toiem, pryzmą opon a ciśniętą w błoto starą pralką.

Ulotne wrażenie, że ktoś jest w tym opuszczonym budynku, że ze środka dobiegają ciche, przytłumione kroki.

Światła pojedynczego samochodu. Przez chwilę myślę, że to on, ale auto jedzie dalej. Gdy w końcu znika, wraca cisza. Gdzieś w oddali, w lesie, za granicą światła latarni, słychać pęknięcie gałęzi, chrzęst poszycia.

– Ale z Darkiem, jak sobie coś ujebie, to nie ma żadnej gadki. Ujebał sobie, że jesteś geniusz jak Bill Gates. No i tyle.

– A co sobie ujebał na twój temat?

Karaś nie odpowiada, patrzy na swoje dłonie. Ma grube, twarde palce i trwale brudne paznokcie, jakby większość życia przepracował fizycznie za marne pieniądze. Nie lubi ich. Chciałby mieć inne palce. Wreszcie, jakby zdał sobie sprawę, że nie zmieni ich siłą woli, chowa je do kieszeni.

– Mieliśmy po dwadzieścia lat. To był stan wojenny. Zawinęli go po raz pierwszy. Esbek coś tam chciał od niego. Zbierali takich ludzi, wiesz, zbójów, żeby się wmieszali w Solidarność. Spenetrowali struktury i robili gnój. Chcieli zdyskredytować, wiesz, Wałęsę i tych innych. Spenetrować to ja mogę swoją żonę, tak mu powiedział Darek na przesłuchaniu. Nie wiem, co mu wtedy zrobili. Potem trzy miesiące nie mówił. Nic, zupełnie. Nawet jednego słowa nie powiedział. I poszedłem do jego matki, co nie. On w pokoju leżał, bez słowa, jego matka płakała, załamywała ręce. Lamentowała, bracie, jakby go już pochowali. Próbowałem ją pocieszyć, mówiłem: niech się pani uspokoi, Darek dojdzie do siebie. To była biedna kobiecina, samotna zupełnie. Ojca to w ogóle nie wiem, czy on znał.

– Mówił mi kiedyś, że jego ojciec był wojskowym. Że go dręczył, kazał mu jeść klej, modele samolotów.

Karaś przewraca oczami.

– Nie ma chuja. Nie było żadnego ojca. Jego matkę po prostu ktoś gdzieś kiedyś. Może to był gwałt, może się puściła za rajstopy. On cały czas wymyśla jakieś bzdury o sobie, co pięć minut nową. W każdym razie ona tak lamentuje, lamentuje, a ja dalej: będzie dobrze, będzie dobrze, pani Renatko. Tak, bo ona chyba Renatka była.

Światła zwalniającego auta. Kierunkowskaz. Biorę broń do ręki.

– A ona na to: ja płaczę, Karaś, bo oni go mogli, diabła skurwysyna, zatłuc na dobre, a tego nie zrobili. O swoim synu to powiedziała.

Nie umiałby tego wymyślić.

Auto wciąż czeka na wjeździe, migając kierunkowskazem. Jakby ten, kto jest w środku, wciąż się wahał, podtrzymywał iluzję wyboru.

– Czyli tym dla niego właśnie jesteś – mówię. – Kimś, kto go za dobrze zna.

– Nie, jego zdaniem jestem zbyt głupi, by go zdradzić. Jestem narzędziem. Jak młotek. Ty też jesteś dla niego narzędziem, tylko bardziej jak komputer.

– Ja go zdradziłem.

– On myśli, że tkwiła w tym jakaś twoja mądrość. Dlatego żyjesz.

Auto w końcu wjeżdża, powoli, omijając dziury w ziemi. Zatrzymuje się. Kierowca włącza długie światła, przez chwilę nas oślepiając.

– Myślisz, że on skrzywdził tego dzieciaka, tam, w Czarnogórze? W hotelu?

Odpala papierosa od poprzedniego. Gdy się zaciąga, coś w nim cicho świszczy. Psują mu się płuca.

– Zależy, co znaczy skrzywdził.

– Wiesz, co znaczy.

– On chyba nigdy z dziećmi... Ale wystarczy, że mu coś powiedział, temu chłopcu. Tak dla zabawy. Coś, nie wiem, twoja mama cię nie kocha, ma raka, umrze za rok. On takie rzeczy robi subtelnie. Wie, że tak jest najgorzej.

Kunicki wysiada z samochodu. Jest sam. Byłem pewien, że przyjedzie z kimś z ochrony. Staje obok samochodu, jakby czekał na nasz ruch.

– Moja córka. – Próbuje być stanowczy. Jednocześnie boi się do nas podejść.

Podchodzimy więc my. Pokazujemy broń. Daję mu znać ręką, aby poszedł ze mną do naszego auta. Okrążamy budynek, czarny range rover

stoi na jego tyłach. Restauracja jest w trakcie przebudowy – pod ścianą piętrzą się worki z cementem, płachty styropianu.

– Moja córka. – Kunicki ma drżący głos kiepskiego aktora.

– Przestań, chłopie, występować, to nie teatr telewizyj. – Karaś też to zauważa.

Otwieram bagażnik. Dziewczyna leży na kocu, w pozycji embrionalnej. Śpi. Kunicki na jej widok wydaje z siebie głuchy krzyk. Karaś przystawia mu broń do głowy.

– Jest cała. Nikt jej nie skrzywdził. Dostaje jedzenie i picie. Śpi w czystej pościeli.

– Juleczka, Julciu! – krzyczy Kunicki, nachyla się, chce ją dotknąć.

– Nie obudzi się – tłumaczę. – Dopiero za kilka godzin. – Biorę jego rękę, przystawiam do jej szyi, aby poczuł puls.

Kunicki zaczyna płakać.

Zabieram jego palce, zatrzasnę bagażnik. Kunicki wykrzykuje imię córki, uderza dłońmi o szybę. Odciągam go, chwytam za ramiona. Nawet niewyspany, zaćpany, rozwalony jestem od niego dużo silniejszy.

– Wróci, gdy wniosek będzie rozpatrzony.

Patrzy na mnie wzrokiem człowieka po wylewie, który ledwo potrafi nazwać podstawowe przedmioty.

– Mówiłeś o połowie roku. Chcesz mi ją oddać za pół roku? Za PÓŁ ROKU?! – wrzeszczy.

Dostaje w ryj, lekko. Przestaje.

– Dokumentacja badań klinicznych będzie gotowa za dwa tygodnie.

Nie wiem, czy rzeczywiście potrwa to dwa tygodnie, ale przez darkweb znalazłem faceta ze Szwecji, który zakontraktuje mi fabrykę w Chinach. Ta sama fabryka jest w stanie przygotować od ręki dokumentację badawczą. Trzeba ją tylko przetłumaczyć, no i zapłacić. Tak jak się bałem, facet chce potężne pieniądze. Jedna godzina rozmowy z nim to pięć tysięcy dolarów.

Tymczasem ciało Kunickiego nie wie, co ma zrobić – czy mnie zaatakować, czy trząść się i płakać, spróbować się wyrwać i rzucić w stronę samochodu. Gdy w dziwnym, niekoniecznie świadomym odruchu desperacji decyduje się na to ostatnie, Karaś podcina mu nogi. Kunicki pada na kolana. Chwytam go za ramiona, podnoszę.

– Spokojnie. Weź głęboki oddech. Jest, jak jest. Nie wygłupiaj się, kurwa.

Nieznacznie kiwa głową.

– Wciąż czekam na nazwiska ludzi, których mam opłacić.
– Komisja... jest taka komisja na Uniwersytecie Gdańskim. Tam badają... badają leki przeciwbólowe...

– Świetnie. Nazwiska. Numery telefonów. Adresy. Jutro rano.

Zastyga, nie reaguje. Zawiesił się. Aby go zresetować, pokazuję mu filmik. Nagraliśmy go w mieszkaniu tego koleżki z głupim odzieżowym przezwiskiem. Na stoliku zaimprovizowane resztki imprezy, kilka butelek, worek jointów, głośnik JBL. Dziewczynka zagrała nawet niezłe. Pomogły jej dwa piwa, które w połączeniu z lekami nasennymi kompletnie ją upiły. Przez pół nocy wymiotowała do miski. Następnego dnia dałem jej zupełną elektrolity w kroplówce.

– Pokażesz to policji. Powiesz, że wszystko jest w porządku.

– Tato, jestem u koleżanki w Gdańsku... i nie wiem, kiedy wrócę, nie wiem, czy w ogóle wrócę. Jesteś... jesteś taki głupi, tato. Tak bardzo nic nie widzisz. Jakbyś był ciągle naćpany. Wszystko jest czymś innym, niż ci się wydaje. Każda jedna rzecz. Czasami myślę, że ty chyba widzisz niebieską trawę i zielone niebo. A nad tym wszystkim wielkiego papieża. Żółty głupi ryj. A ja? Ty nie masz o mnie pojęcia. Ty tylko znasz moje imię i wiesz, jak wyglądam. Głupi kutasie.

Sama to wymyśliła, z tym papieżem. Niezłe. Wiedziała, że się wścieknie.

Wyłączam telefon. Kunicki próbuje się wyklócać, jakbyśmy właśnie mieli stłuczkę i próbowali ustalić, z czyjej winy.

– Ja, ja... A jeśli oni mi nie uwierzą, to ja... – Zaczyna się krztusić.

– Będziesz musiał ich przekonać.

Chce powiedzieć coś jeszcze, ale Karaś popycha go w stronę samochodu. Na pożegnanie kopie go w dupę. Kunicki potyka się, w ostatniej chwili łapie równowagę. Karaś znowu się śmieje, jakby oglądał film z Jasiem Fasolą. Czekamy, aż odjedzie, i wsiadamy do auta.

– Ty wciąż mnie nienawidzisz, Karaś. Gdybyś tylko mógł, kazałbyś mi tam klęczeć razem z tymi psami – odzywam się.

Karaś znowu zapala papierosa. Zaczynam myśleć o dziewczynce w bagażniku, o tym, że jest zupełnie sama. Założę się, że powiedziała do telefonu to, co naprawdę myśli. Nie umiałyby tego zagrać. Piwo i leki po prostu z niej to wyjęły.

Nagła senność ściska mi głowę, pozbawia wzroku. Wszystko się rozszczelnia, chyba, że przez dziury w świecie wpada znajomy wiatr. To

dziwne. Wziąłem świetlika, pamiętam. Powinienem czuć się normalnie.

– Może. Ale jesteśmy w tym razem – mówi.

– Jak w więzieniu – odpowiadam i już nie rejestruję jego dalszych słów.

*

Dario patrzy na lekko pobrudzoną tęczową flagę z odbitą z szablonu, nasprayowaną pięścią. W odpowiedzi podnosi własną. Studiuje chmurę napisów pokrywających ścianę. Najbardziej czytelny brzmi: ZANIM UMREŃ, ZABIORĘ WSZYSTKICH ZE SOBĄ. W pomieszczeniu jest ciemno i zimno, jedyne światło wpada przez otwarte okno. W budynku odłączono prąd i ogrzewanie.

– Nie lubię komunistów. Ty lubisz komunistów, Jacunia?

– Myślę, że od dawna nie ma już komunistów.

– Oj, mylisz się. – Kręci głową. – Jest ich mnóstwo. Podłych, złodziejskich komunistów. Kto wymyślił policję, Jacunia? Sądy, więzienia i podatki? No, kto to wszystko wymyślił? Oczywiście, że komuniści.

Po Pazinie i dzieciakach zostały meble – odrapany stół, kanapa, piłkarzyki w rogu pokoju. Na podłodze plastikowe butelki po napojach, niedopałki. W rogu otwarta szafa, widać zwinięte koce, nieobleczone kołdry.

Jakaś część mojego mózgu wyobraża sobie Pazinę. Zawiadującą tymi dziećmi, słuchającą ich. Jedzącą z nimi obiady, palącą szlugi. Jakaś część mojego mózgu wyobraża sobie ciepło i wspólnotę. Jak śpiące na pryzmie, ogrzewające się nawzajem zwierzęta.

Wyłączam tę część. Nie potrzebuję jej.

– Nie zdążyliśmy się tego pozbyć. Przepraszamy.

Anioł stracił pewność siebie. Na widok Daria wysiadającego z samochodu dostał potężnego ataku kaszlu. Zaraz umrze ze strachu przed śmiercią. Internet twierdzi, że jego dziewczyna, Przyjazna, wylądowała ostatnio w szpitalu. Podobno przedawkowała świetliki.

Zaczynam chodzić w kółko, gestykulować, udawać, że mam wizję i plan. Daria to i tak nie obchodzi, a oni łykną wszystko.

– Idź stąd. – Słyszę głos Paziny, tak wyraźny, jakby stała tuż obok.

Odganiam ją. Ogarniam się. Świetliki działają, ale trochę inaczej. Jakby to działanie było podrobione. Jakby tabletki były zepsute. A może się na nie

uodpornielem. Wytworzyłem w sobie nowy ból, którego nie potrafią uśmierzyć.

– Tu zrobimy recepcję. Zobacz, Dario. Telewizory, miła muzyka. Białe ściany, jakieś rośliny. Ładni ludzie za kontuarem. Wszystko minimalistyczne, nowoczesne. Szwedzkie.

Dario kiwa głową. Lekko wysuwa język. Pewnie wyobraził sobie ładnych ludzi.

– Mamy też do dyspozycji spore, nawet stu pięćdziesięciometrowe lokale na parterach bloków mieszkalnych – wtrąca się asystent. – Świetne lokalizacje, na przykład Wila...

– Nie, to miejsce jest idealne – mówię.

Pazina dostanie coś lepszego. Cały dom, dwa domy, trzy. Dostanie Nową Aleksandrię. Zmieści tam tyle dzieciaków, ile będzie chciała, zostanie mamą małej armii.

Na razie się wzbrania. Gra swoją godnością, wmawiając sobie, że nadal ją ma. Ale jeszcze chwila, zaraz zrozumie. Nie jest głupia. Nigdy nie była. Inaczej nie bylibyśmy przyjaciółmi.

– Tylko trzeba będzie wszystko odkazić po tych komunistach. – Dario cmoka z niesmakiem.

– Jasne, Darek. Nie bój się. Odkazimy. Wszystko będzie okej.

Anioł nie jest najbardziej przerażoną osobą w tym pomieszczeniu. Najbardziej przerażony jest facet w przyciasnej marynarce stojący pod ścianą. Jego gładka, tłusta twarz i skierowane ku dołowi zewnętrzne kąciaki oczu upodabniają go do jakiegoś morskiego ssaka. Przedstawił się jako radny o nazwisku Strobiński. Domyślam się, że to ten radny, którego miał zastraszyć Anioł. Chyba mu się udało.

Zadaję mu wzrokiem pytanie, co właściwie tu robi. Rozumie ten sygnał – jest przestraszony, ale nie nieprzytomny.

– Odpowiadam za miejskie lokale w tej dzielnicy – odzywa się. – Tak, miasto pewnie byłoby chętne do różnych transakcji, dzielnica ma deficyt budżetowy, no i...

Dario traci cierpliwość. Fizycznie nie umie tego słuchać. Nigdy nie zrozumie, dlaczego trzeba podpisywać umowy, dlaczego w ogóle trzeba używać jakichś zadrukowanych papierów. Co to znaczy negocjować, pytać o zgodę i liczyć się z tym, że ktoś jednak nie zdecyduje się dać nam, czego chcemy. Zapamiętać na przyszłość: muszę mieć asystenta. Kogoś cywilizowanego. Dario nie może uczestniczyć w takich rozmowach.

On może być gębą. Memem. Sadystą celebrytą. Muszę znaleźć dla niego jakieś zastosowanie – inaczej będę musiał go zabić.

Jednak...

Ta myśl na moment zatrzymuje mnie w miejscu. Karaś, w nocy na parkingu za Legionowem: po prostu jesteśmy jego narzędziami, młotkiem i komputerem. Jak zareaguje na pytanie: a czemu właściwie musimy być narzędziami, Karaś? We dwóch, we trzech z Umarem, to będzie dziecinnie proste.

Przecież i tak miałem to zrobić.

– No i sam nie mogę wydać takiej decyzji...

– Słuchaj, Aniołek, skąd ty zorganizowałeś tego fafluna? – pyta Dario, wskazując na Strobińskiego.

Strobiński kuli się pod napisem NIGDY NIE BĘDZIESZ SZEDŁ SAM, SZŁA SAMA, SZŁO SAMO. W tym momencie idzie zupełnie sam, ledwo człapie przez ciemną pustynię.

– Ty siusiaku z ciasta, zakalcu, faflunie jeden, jak nie możesz wydać żadnej decyzji, to czemu żeś tu się w ogóle przyczepił?

– No wie pan... nie sądzi pan, że na takie spotkanie przyprowadzimy burmistrza dzielnicy – zaczyna asystent. Nie rozumie, z kim ma do czynienia.

Dario mlaszcze. Mruży oczy.

– Ja myślę, że ty mi tu zaraz przyprowadzisz prezydenta Warszawy. Kto jest teraz prezydentem Warszawy?

Strobiński nerwowo się śmieje. Marcel nawet nie mruga. Twarz Anioła zdaje się w milczeniu prosić: weźcie mnie po prostu zabijcie.

– Konrad Namysłowski – odpowiada Marcel tonem, jakby walczył o udział w finale *Jednego z dziesięciu*.

Potrzebuję chwili, by skleić to imię i nazwisko z konkretną twarzą. Już mam: przed pięćdziesiątką, przystojny, sylwetka maratończyka. Umie się odpowiednio uśmiechnąć i wie, że urazy po upadkach w mediach społecznościowych są nieuleczalne. Jest przeciwieństwem rozdygotanego tchórza Kunickiego. Nie boi się Boga ani śmierci, no, może czasami, po złym dniu, tuż przed zaśnięciem. Nie interesują go bzdury. Ideologia jest ważna, tylko jeśli pozwala piękniej mówić. Myśli o innych ludziach jak o roślinie, którą się hoduje w odpowiedni sposób, aby potem ją sprzedać.

– No i o ile decyzja należy do burmistrza, i to jestem w stanie jakoś tam załatwić, no to o ile planują panowie dalsze inwestycje, w innych częściach

miasta... no to byłoby dobrze jakoś bliżej Ratusza, żeby panowie jednak...

– Nie byli obcy – kończę za niego.

– Tak, właśnie. Nie byli obcy. Pan Sawicki mówił, że panowie są w trakcie rejestracji nowego leku... Jak to wygląda, bo to chyba długi proces?

Mógłbym odpowiedzieć, że gównu go to obchodzi. Ale odpowiadam dyplomatycznie:

– Pandemia znacznie skraca te procesy.

– Czyli ten lek będzie stosowany w kuracji covidu? Dobrze pana rozumiem?

Przedziwny człowiek. Głupota i wścibstwo są u niego silniejsze niż instynkt samozachowawczy.

– Ten lek będzie miał wszechstronne zastosowanie. Jesteśmy na finiszu. Tylko jaki jest powód tych pytań? Bo odpowiadam na nie z czystej grzeczności.

– Pytam, bo nie możemy też panom zagwarantować, jak długo będziemy dla was trzymać ten lokal. To dobre miejsce.

Może jest w spektrum. Nie ma instynktu samozachowawczego, nie rozumie podstawowych rzeczy.

– Dobre miejsce to ty miałeś w portkach. Ale pobrudziłeś je trochę. Sfafluniłeś się w gaciory. – Śmieje się Dario.

Nieważne, jaki strach by wzbudzał, w takich sytuacjach się kurczy. Nie rozumie języka, którym się mówi. Zamienia się w zwykłego chama, wariata. Przeszkadza.

– Pan Darek ma na myśli to, że nie powinien pan podchodzić do sprawy tak asekurancko.

Strobiński pod spojrzeniem Anioła zgniata się w kulkę. Jego z jakiegoś powodu się boi. Wie, co Anioł mógłby mu zrobić. Nie życzę mu, aby się dowiedział, co możemy my.

– Po to tu jesteś, aby coś zaproponować – mówi mu Anioł.

– Możemy... możemy poczekać pół roku...

– Nie musicie czekać. Umowę podpiszemy dzisiaj. Prace remontowe zaczniemy zaraz. A kiedy uruchomimy klinikę, to nasza sprawa.

Nagle muszę usiąść. Pot. Brak tchu. Serce, dużo szybciej. Ktoś wyłącza światło, zamiast ludzkich sylwetek niewyraźne kontury. Kurwa. Nie, to nie powinno tak wyglądać. Nie powinienem mieć objawów odstawienia opiatów, biorąc opiaty.

– Jacunia. – Dario kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Jest okej, dziękuję – mówię.

Wraca mi oddech, płuca powoli napełniają się powietrzem. Serce robi redukcję. Muszę wyglądać źle, bo Marcel pyta, czy ma zadzwonić do lekarza. Kręcę głową. Wychodzę poszukać łazienki, znajduję ją na końcu korytarza. Piję wodę z kranu, zimną, o smaku rdzy. W lustrze widzę człowieka białego i mętnego, jak ulepiony z mąki bałwan. Mam wrażenie, że widzę go po raz pierwszy w życiu.

Może to wcale nie są objawy odstawienia. Może to w ogóle nie są świetliki. Może to coś innego, trwałego, nieodwracalne uszkodzenie.

Dario wchodzi za mną.

– Jacunia, wiem, że ci ciężko bez tego plugastwa. Ale jestem z ciebie dumny. Jak tata z synka. To w końcu przestanie boleć. Pamiętam gitów, co z kompotu się odtruwali. Niejeden szedł na sznur. Ale byli tacy, co dali radę. Byli silni, Jacuś. A ty jesteś jeszcze silniejszy.

Odwracam się. Pomimo świetlików pozostaje wyraźny. Obłeśny. Brudny. Brzydki. Przygłupi.

– Daję radę. Dzięki.

Trzyma coś w dłoni.

– Zobacz, co znalazłem. Na ziemi leżało.

Polaroid, oblepiony brudem.

– To ta twoja przyjaciółeczka, prawda?

Pazina, razem z nieznanym mi dzieciakiem. Chłopak – czarne półdługie włosy, różowe pasemka. Zdjęcie jest zrobione tutaj, pod ścianą z tęczową flagą. Obejmują się. Pazina się uśmiecha, chłopak próbuje. Ma w sobie coś głęboko smutnego. Jakby nie dostał czegoś oczywistego, czegoś, co dostali wszyscy inni.

– Ona tu sobie mieszkała, razem z tymi komunistami? – pyta.

Chcę wyjść, ale Dario zastawia mi przejście. Podtyka mi zdjęcie prawie pod sam nos. Biorę je w dwa palce.

Chłopak – to ten, który nie żyje. Na zdjęciach z internetu był dużo młodszy i wyglądał zwyczajnie. Ale to on, bez wątpienia.

– Fajna dziewczyna. Bardzo taka życiowa. Myślisz, że mogłaby coś dla nas zrobić? Ja myślę, że tak. Myślę, że taka dziewczyna to skarb – mówi. Widząc mój wzrok, dodaje: – Nie dotknąłem jej, Jacunia. Nic z tych rzeczy.

– Wiem.

– A, spotkałeś się z nią. Fajnie. Siorbnęła ci siusiaczka?

– Przestań.

Rzucam zdjęcie na podłogę.

Chcę odsunąć Daria, ale łapie mnie za nadgarstki. Ściska. Daje mi do zrozumienia, że gdy bronilem przed nim dziewczynki, on pozwolił się zaatakować.

– Jacuś, ile razy ja mam ci powtarzać, że jestem twoim kumplem, przyjacielem? Robimy razem królestwo. Wszystkich posyłamy do piachu. Jak tych psów potwornych, co zabrali ci siostrę. I mało ci, Jacuś? Wciąż ci mało?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Co ja mam jeszcze zrobić, Jacunia, żebyś mnie w końcu polubił?

Popycham go, ale stoi twardo w miejscu, nie rusza się ani o milimetr, jakby jego mięśnie nagle zamieniły się w beton.

– Lubię cię. Po prostu się odpiardol – mówię, kompletnie nieprzekonująco.

– Jacunia, jeśli ty mnie lubisz i tak na mnie patrzysz, to znaczy, że ty nie wiesz, co znaczy lubić. To znaczy, że ty psychopata jesteś.

Robi krok w bok, pokazuje mi, że mogę wyjść. Ruszam do drzwi, ale wtedy jeszcze na moment mnie zatrzymuje, samym gestem.

– Podnieś to zdjęcie – mówi. – Przecież to twoja koleżanka. Nie można tak.

Robię, co każe, chowam zdjęcie do kieszeni. Wracam na korytarz. Oni cierpliwie czekają. Słyszę koniec rozmowy – Strobiński cicho i szybko mówi coś o życiu w ciągłym strachu. Nie wiem, co ma na myśli, ale widzę po nim, że w końcu zrozumiał, z kim ma do czynienia. Anioł musiał mu coś opowiedzieć.

– Faflunie! – wykrzykuje Dario w stronę Strobińskiego.

Ten machinalnie się odsuwa. Gdy podchodzę do niego bliżej, zauważam, że płakał. Anioł może się rozpadł, ale gdy ma obok kogoś słabszego, wciąż jest niezły. Znalazł w nim czuły punkt i dobrze wycelował.

– Coś wymyśliłeś, grubasku? – pyta Dario. Ujmuje go za brodę, podnosi jego głowę.

– Ja... jest... jest takie wydarzenie w Teatrze Polskim. Dwudziestego piątego. Taka gala... głównie dla miasta, trochę takich zaprzyjaźnionych... zaprzyjaźnionych osób, rozumie pan. Warszawa Jutra Dwa Tysiące Dwadzieścia.

– Mamy lockdown – przypominam.
– No i co z tego? Wy chcecie w pół roku wpuścić ciężki narkotyk do aptek – rzuca nagle Anioł. Wyraźnie nabrał animuszu.
Dario mruga w jego stronę.
– On jest niezły jednak. On nie jest taki faflun. Tego lubię.
Anioł momentalnie traci rezon. Nie chce sympatii Daria, nie chce niczyjej sympatii; chciałby teraz być niewidzialny.
– To taka... trochę tajna gala – tłumaczy Strobiński. – Będą robić testy na wejściu. Prezydent podobno chce dać taki pokaz mocy, przypomnieć, kto rządzi... Zebrać wokół siebie ludzi. Za rok wybory samorządowe... W każdym razie będziemy tam. Przedstawimy was komu trzeba.
Dario poklepuje Strobińskiego po policzku.
– Tylko... tylko, panowie. W waszym interesie. Normalniej. W sensie z rozmową. Nie rozmawiajcie tam tak, jak rozmawiacie tu.
Powiedzenie tego kosztowało go kilka lat życia i dobry litr krwi. Nawet zaczynam go szanować.
Zdjęcie, które znalazł Dario. Pazina i ten chłopak wyglądają na nim, jak ulepione z popiołu kukły. Podchodzę do flagi, dotykam jej palcami. Jest zakurzona i tłusta.
– Ja i pan Darek będziemy z wami w kontakcie – mówię i wychodzę na korytarz. Na schodach słyszę, że Strobiński znowu zaczyna płakać. Anioł pyta go, czy teraz rozumie.

22 PAŹDZIERNIKA 2020

Chemik ze Szwecji. Kolejna godzina zooma za pięć tysięcy dolców. Facet mówi z dziwnym akcentem, jakby trzymał na języku płaski kawałek metalu. Ma krótkie włosy, zapadłą twarz anorektyka, spraną koszulkę zespołu blackmetalowego. Co chwilę odwraca się w stronę drzwi. Połączenie jest zaszyfrowane. Próbuję skupić się na własnych słowach, ale to trudne. W nocy nie zmrużyłem oka, chociaż zjadłem tyle tabletek, że gdybym zasnął, mógłbym się nie obudzić. Świetliki, ale też tritico, clonazepam, zolpic.

Coś nie pozwalało mi się wyłączyć. Coś głębszego niż wyrzut sumienia, niż lęk przed śmiercią, coś mocniejszego niż żal. Nie umiałem tego złapać, nazwać. Jakaś świadomość. Czyjaś obecność.

Nad ranem zrozumiałem, że tam, w rogu pokoju, to nigdy nie był Dario.

I dopiero wtedy przyszła godzina lekkiego, płytkiego snu, który właściwie tylko pogorszył sprawę.

Nie mamy gotowego produktu. Nie mamy pozwoleń. Nie mamy nic, a powinniśmy mieć już identyfikację wizualną, porobione focusy. Powinienem mieć legalną firmę w KRS-ie, zatrudnionych ludzi od PR-u, przedstawicieli handlowych.

– Facet od badań chce pół miliona dolarów ekstra. Ktoś umarł mu na próbie.

– To nie miała być żadna próba. To miało być...

– Pewnych rzeczy nie napiszesz przy biurku. Chcesz zrobić w kilka miesięcy coś, co normalnie trwa dziesięć lat, więc ktoś musi umrzeć, bo są dużo większe rozstrzały dawek, a ty musisz zapłacić. – Jego twarz nie wyraża żadnych emocji. – Rozumiem, że jesteście blisko waszego rządu, tak?

– Powiedzmy – odpowiadam.

– Pytam z czystej ciekawości. Wiesz, mamy tego typu zlecenia. Ale to głównie Afryka... i to wszystko nielegalny rynek. A wy chcecie wprowadzić lekarstwo do powszechnego obiegu w Unii Europejskiej. Hm.

Facet z komisji bioetycznej przy Uniwersytecie Gdańskim, na którego dał namiar Kunicki, zaśpiewał sobie milion dolarów. Mądrze, jak sprzedawać się bandytom, to raz a dobrze. Tylko już widzę, że potrzebuję dziesięć, piętnaście razy więcej pieniędzy, niż mam, na cito. A nie mogę porywać kolejnych córek.

– Jestem dobrej myśli. Cała para idzie w szczepionki. System trzeszczy, łatwiej jest obejść regulacje.

– System trzeszczy albo jest zatkany. Mogą was odrzucić i przekierować rozpatrzenie na po pandemii.

– Albo mogą to zrobić dużo szybciej.

– No dobrze, widzę, że jesteś przekonany. Zresztą to i tak twój problem, nie mój. Ja biorę pieniądze z góry.

Jasne, że bierzesz.

Znów odwraca się w stronę drzwi. Ktoś w nich stoi. Chemik wstaje, znika na chwilę z kadru. Gdy wraca, ma na ręku małego, brzydkiego i starego psa z naderwanym uchem. Całuje zwierzę w głowę, stawia je na ziemi.

– Znow się zeszczał. Później posprzątam. Jestem z nim sam, ktoś wyrzucił go z samochodu.

Nagle pamiętam – z tą godziną wątlej drzemki przyszedł też sen. Kolega stał na końcu świata i czekał na mnie. Ktoś go wygnał i zdradził. Może ta kobieta, u której go zostawiłem. Okłamałem go, że wrócę.

Szwed o coś pyta. Nie usłyszałem go. Proszę, aby powtórzył.

– O jak masowej produkcji mówimy, gdzie chcecie to zrobić?

Słabość znowu przychodzi, muszę zamknąć oczy, zmuszam się, aby rozmawiać z nim dalej. W kieszeni ciche drgnięcie telefonu.

– Przecież po to z tobą rozmawiam, aby się tego dowiedzieć – przypominam mu.

Telefon wibruje.

– W Azji jest dużo fabryk, które pracują w trybie zleceń. Filipiny na przykład specjalizują się w masowym podrabianiu benzodiazepin. Chińczycy z kolei specjalizują się w opiatkach. Na wzorze, który mi wysłałeś, widać połączenie jednego z drugim. Ale rozumiem, że w tym, co trafia na ulicę, proporcje są dużo luźniejsze.

Kiwam głową. Atak wyczerpania, znowu. Łomotanie serca. Powietrze nagle staje się czarną, gęstą wodą. Próbuje udawać, że wszystko jest w porządku, ale zużywam na to całą swoją energię.

Nie, to nie ma żadnego związku ze świetlikami. To coś zupełnie innego.

– Pewnie robią to laicy, każda transza działa inaczej, każda wywołuje inną reakcję, jest dużo przedawkowań...

Kiwam głową jeszcze raz. Zbieram się w sobie, wypływam na powierzchnię. Jestem. Nie odetnie mnie. Biorę głęboki wdech. Momentalnie oblewam się potem.

– W każdym razie gotowy produkt ma być produktem z prezentacji, którą dostałem?

Potakuję. Muszę się natychmiast położyć. Położyć plus naćpać albo...

– Wszystko w porządku? – pyta chemik, chociaż wcale nie wygląda na zatroskanego.

– Tak, jasne. – Zapalam papierosa. Papierosy przypominają o oddechu, regulują go.

Chemik mówi dalej:

– Bo jeśli mamy ściśle trzymać się prezentacji, to pojawia się dużo problemów. Największym jest chyba niestabilna receptura. Pamiętaj, to mieszane komponenty. Przed wami długa droga, leków nie robi się tak, że

mieszają się dwa inne leki, bo te w zależności od wielu czynników interferują ze sobą na różne sposoby. Możesz wziąć na przykład ibuprofen i dodać do niego trochę kodeiny, żeby pomogła ci zasnąć, gdy masz gorączkę, ale to sprawdza się tylko przy bardzo małych domieszkach i niegroźnych lekach. A nie tak jak tutaj, gdy mamy proporcję opiatów do benzo mniej więcej cztery do jednego.

– Chyba chińska fabryka sobie z tym poradzi – zauważam.

– Fabryka będzie produkować to, co wymyśli wasz chemik. Potrzebujecie nowej receptury. Przystosowanej do masowej produkcji.

– Nasz chemik... – Chrząkam. – Nasz chemik zrezygnował ze współpracy.

Patryś, zalany krwią. Zdezorientowany i goły.

– No to znajdźcie nowego, ASAP. Nowego i lepszego. Faceci, którzy projektują takie rzeczy... jest ich niewielu. Niektórzy są pobookowani praktycznie do końca życia.

– W Polsce mamy dobrych chemików – odpowiadam.

Znowu telefon. Przepraszam chemika, patrzę na wyświetlacz. Pazina. Po wyjściu z kamienicy na Pradze napisałem do niej z pytaniem, czy chce pójść ze mną na galę Warszawa Jutra jako osoba towarzysząca. Mam nadzieję, że oddzwania nie po to, aby mnie zwyzywać, tylko dlatego, że coś rozumiała; że może sobie w ten sposób tylko pomóc.

– Czyli w pewnym sensie dajesz mi wolną rękę? – upewnia się Szwed.

Tak, daję mu wolną rękę, oczywiście. Pazina znowu dzwoni. Odbijam ją.

– Ja szedłbym w podróbkę oxycontin, ze zmienionymi wiązaniami. To nie przejdzie, ten dodatek benzodiazepin. Od tego właśnie masz przedawkowania albo samobójstwa, bo po jakimś czasie regularnego brania interferencja idzie tam często w bardzo silny zjazd dopaminowy.

– To połączenie to sedno tego produktu – przypominam.

Kiwa głową. Jakiś cień emocji miga przelotnie na jego twarzy.

– Musicie zrozumieć, że to nie będzie ten sam produkt.

Pazina, znowu. Przepraszam chemika i wstaję od komputera. Wychodzę na podwórko. Powietrze jest zimne i rześkie, ale nie stawia mnie do pionu. Przeływa obok, dotyczy kogoś innego, nie jest moim powietrzem. Na niebie widać gwiazdy. Z sąsiedniego domu dobiega czyjś kaszel. To chyba Julia. Zapomniałem o niej. Muszę iść zobaczyć, jak się czuje. Dwóch

chłopaków ma objawy covidu, przenieśliśmy ich do osobnego domu, na szczęście żaden nie miał z nią kontaktu.

– Chcesz mnie serio przeprosić? Chcesz za to wszystko tak naprawdę zapłacić? Tak naprawdę, a nie zapraszać mnie na przedstawienia?

Ma słaby zasięg, ledwo ją rozumiem, mimo że prawie krzyczy.

– Czyli dalej ze sobą rozmawiamy?

– Chyba że wystarczy ci twój partner.

Szantażuje mnie. Oczywiście, że łykam szantaż. Dam jej wszystko, czego zechce. Ona i dzieciak. Ostatnie części serca.

– Czego dokładnie chcesz?

– Żebyś przestał produkować i sprzedawać to gówno. I pomógł mojemu koledze.

– To drugie na początek jest prostsze. Jakiemu twojemu koledze?

– Chcesz czy nie?

Przepraszam chemika. Oddzwonię do niego za dwie godziny. Jest poirytowany, to pierwsza prawdziwa emocja, z którą się zdradza. Licznik czasu pokazuje, że zoom trwa godzinę i pięć minut. Zapewniam, że zapłacę mu łącznie za cztery. Irytacja znika, facet z powrotem ma twarz mumii.

Jadę z trudem. Czuję się strasznie, są momenty, gdy wyłącza mi się wzrok. Ściskam kierownicę, aby nie stracić kontroli. W pewnym momencie bardzo ostro hamuję, mam wrażenie, że ktoś wybiegł na jezdnię, szara postać z popiołu o znajomej twarzy. Ale przede mną nikogo nie ma.

Może powinienem iść do lekarza. Do szpitala. Na odwyk, tym razem prawdziwy odwyk. Z lekarstwami. Terapią. Przetaczaniem krwi.

Nie, nie na odwyk. Po prostu do szpitala. Coś jest nie tak. Coś nie działa.

Pazina czeka pod domem. Jest skulona, zastygnięta. Pali cienkiego papierosa.

Otwieram jej drzwi, powoli wsiada do środka. Jeszcze zanim ruszę, obejmuje się ramionami i mocno ściska, jednocześnie pochylając się do przodu.

– Co się stało?

– Mój kolega... ma kłopoty. Bardzo poważne. Ma je przez ciebie.

Czuję się zbyt słabo, aby się wściec czy choćby zaśmiać.

– Jaki twój kolega?

– Kumpel, od którego kupowałam jointy.

– Kupowałaś od niego jointy. Tak przypadkiem miał kilka na sprzedaż, poza tym jest zupełnie normalnym gościem, pracuje w IT na Wola Parku.

Momentalnie otwiera drzwi, chce wysiadać. Łapię ją za ubranie.

– Poczekaj!

Patrzy na mnie z wściekłością oszukanego dziecka. Odwracam wzrok.

– Naliczyliście go i zabraliście mu wszystko, co miał. Wyrzuciliście go z domu. Tylko problem jest taki, że miał już dług u kogoś innego. Jeszcze raz, mój kolega. Dobry człowiek. – Gdy mówi, klekoczą jej zęby. – No, jedź.

Mija chwila, nim dociera do mnie, co właściwie powiedziała.

– Posłuchaj – zaczynam najspokojniej, jak umiem. – Mówiłem ci to lata temu i powiem ci to teraz. Nie dotyczy cię to.

– On ma dla ciebie ofertę.

– Jaką ofertę? O czym ty mówisz?

– Pogadaj z nim, kurwa. Jesteś mi to winien. Zabiłeś chłopaka z mojego ośrodka. Nie tylko jego.

Walę dłonią o deskę rozdzielczą.

– Nie zabiłem, kurwa, żadnego chłopaka! I jeszcze raz: nie dotyczy cię to. Jesteś cywilem. Zawsze byłeś. Zawsze będziesz. Nie masz pojęcia...

– Jestem, kim chcę!

Zaczyna płakać. Zaraz się uspokaja, ścisza głos. Miga mi wewnątrz jej dłoni, czerwony ślad po oparzeniu.

– To po prostu przysługa.

Chciałbym dalej na nią wrzeszczeć, ale coś nagle odłącza mnie od ciała. Nic nie widzę. Pazina jest konturem lekko jaśniejszej ciemności. Klucie w sercu. Ręce i nogi ważą po kilka ton. Nie mogę złapać oddechu, coś pokryło mi płuca szczelną folią. Słyszę, jak Pazina wypowiada moje imię. Nawołuje mnie z odległości kilkuset kilometrów.

Jak.

Syrena.

– Jacek, kurwa! Uważaj!

Przez mgłę widzę, jak chwyta kierownicę. Wciskam hamulec. Zapalam awaryjne.

Płuca nagle się otwierają, eksplodując bólem. Kaszlę długo, ciężko. To nie jest mój kaszel, to kaszel chorego starca z dziurami w płucach.

– Jacek – głos Paziny, tuż obok. Jacek. To moje imię.

– Ty jesteś chory. Myślę, że masz covid.

Może. Może to covid. Ale czy to cokolwiek zmienia? Flesze bólu błyskają po całym ciele w przypadkowych miejscach. Odruchowo sięgam po świetlika – ale jeśli połknę jednego przy niej, stracę szansę na zadośćuczynienie, nie weźmie ode mnie ani złotówki.

– Możemy się przesiąść? – pytam jej. – Czy możesz poprowadzić?

– Czy to znaczy, że z nim pogadasz?

– Nie będę z nim negocjował.

– Ale przynajmniej go wysłuchasz?

Wysiadam, zamieniamy się miejscami.

Kładę dłoń na klatce piersiowej. Sprawdzam, czy serce bije za szybko, czy za wolno, czy jeszcze w ogóle bije. Nie słyszę go. Jeszcze unoszę się na powierzchni, ale tracę siły.

Sam to sobie zrobiłem. Dawno temu. Dziesięć lat temu. Piętnaście, nie wiem kiedy. Czarny deszcz kapie mi na twarz, chociaż siedzę w aucie.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Mój głos dobiega z bardzo daleka. Niektórzy twierdzą, że ten sam głos może brzmieć inaczej pod różnymi szerokościami geograficznymi. Niby zależy to od temperatury, od gęstości powietrza.

Mój głos brzmi, jakbym był z powrotem w Ushuaia.

– To miejsce, Azyl. Straciłaś je przeze mnie. – Oddech, serce. Uspokoily się, uspokajają się dalej. Gasną. – Nie powiedziałem ci tego, bo się bałem, że znienawidzisz mnie do końca.

– To dla ciebie w ogóle ważne? Czy ja cię nienawidzę, czy nie? – pyta.

– Chyba tak.

– Bo?

Odpowiedź przychodzi po bardzo długiej chwili.

– Nie jestem człowiekiem, Pazina.

– Nie można przestać być człowiekiem, Jacek.

– Nawet jeśli zabija się innych ludzi?

– Chyba tak – odpowiada po chwili.

Może ma rację. Może słowo „człowiek” jest niepotrzebnie nacechowane czymś wyższym, szlachetnym. Człowiek to po prostu gatunek zwierzęcia. Każdy człowiek jest człowiekiem, nawet gdy idzie samotnie w klapkach na zimną pustynię. Tnie ludziom twarze. Wiąże ich. Razi prądem. Strzela im w twarz, strzela im w tył głowy.

Słyszę, że zaczynam mówić:

– Nie wiedziałem, przysięgam. Potrzebowaliśmy lokalu w mieście. Wymusiliśmy go od Anioła. Zaproponował nam ten, bo chciał się ciebie pozbyć.

Nie odpowiada. Patrzy na jezdnię.

– A gdybyś wiedział, zrobiłbyś to?

– Nie wiem, Pazina. Nie mam pojęcia. Może nie. Może tak.

Dłonie znajdują coś, co może być koksem. Nad ranem ludzie z grupy Karasia przywieźli tego kilogram, razem z ostatnią dostawą benzo. Ćpają to cały czas, rekreacyjnie. To chyba nawet nie jest koks, tylko jakaś zwykła ściera.

– O Matko Boska – mówi ona, gdy widzi, że wciągam zawartość worka.

– Ty serio chcesz się zabić?

Nie wiem, co jej odpowiedzieć. Przynajmniej nie jest to kolejny świetlik.

Mijamy Okęcie, uderza mnie wspomnienie sprzed sześciu lat. Pierwsza próba wylotu do Argentyny. Ostatnia droga w ciemności na lotnisko. Białe motocykle jadące w trójkątnej formacji, mknąca przez miasto kawaleria duchów. Musiałem znowu zadać jej pytanie, bo odpowiada:

– Nie, jedziemy dalej.

Wyjeżdżamy z Warszawy, kierujemy się wciąż na południe. Droga otwiera się przed nami serią zielonych świateł.

Miejscowości, przez które przejeżdżamy, są znajome, ale zapominam ich nazwy. Zlewają się w długą, szarą bryłę.

– To dokąd mnie zabierasz?

– Do Wólki Kosowskiej.

To, co wciągnąłem, daje złudzenie koła ratunkowego. Pozwala dryfować po powierzchni czarnej wody jeszcze przez chwilę. Zdaję sobie sprawę, że nie mam przy sobie broni. Otwieram schowek, jest pusty. Musiałem położyć ją przy komputerze podczas rozmowy z chemikiem. W Nowej Wsi broń stawała się niewidoczna. Zawsze była jakaś w zasięgu ręki. Podnosiło się ją i kładło obok, gdziekolwiek, jak kubki i telefony.

– Czemu akurat tam?

– Bo mój kolega się tam ukrywa.

– Przed kim? Przed nami?

– Przed swoim wierzycielem.

„Wierzyciel”. Dopiero po dwóch sekundach dociera do mnie, co znaczy to słowo.

– Jeśli jego wierzyciel jest z miasta, to należy do mnie. Musimy zawrócić, Pazina.

Nie słucha mnie. Nawet na mnie nie patrzy. Przejżdża na czerwonym, potem jeszcze przyśpiesza. Jedzie źle, wbrew przepisom. Znosi ją na środkowy pas, ktoś jadący z naprzeciwka na nas trąbi.

– Musimy zawrócić, Pazina. Muszę zabrać broń.

– On ci nic nie robi.

– Nie możesz mi tego obiecać. Musimy zawrócić.

– To mój kolega.

– Nawet nie wiem, jak twój kolega się nazywa.

– Olek.

– Nie znam żadnego Olka, Pazina.

Zamiast odpowiedzieć, przyśpiesza jeszcze bardziej. Jedzie dziewięćdziesiąt w zabudowanym.

– Zaufaj mi. Ja tam będę. Odwiozę cię z powrotem.

– Jeśli będzie tam ktoś jeszcze, wychodzę.

Wjeżdżamy do Wólki. Byłem tu niedawno, ale potrzebuję chwili, aby sobie przypomnieć po co. Już pamiętam. Damian. Barak. Zupa.

Potężne hangary handlowe stojące wzdłuż wąskiej drogi nocą wyglądają jak ślady po starej cywilizacji. W ciemności łopoczą flagi Polski, Chin, Wietnamu, a także takie zupełnie abstrakcyjne. Wielkie billboardy reklamują nieistniejące marki odzieżowe. Siła, która ściąga mnie pod powierzchnię wody, tak naprawdę chce cofnąć mnie w czasie. Wyrzucić na drugim końcu świata. Na jednym z hangarów przez krótki moment widać czarne litery – BETLE EM.

Pazina skręca w boczną ulicę, parkuje pod bramą jednego z domów jednorodzinnych. Wyciąga telefon. Pisze wiadomość.

Brama się otwiera, Pazina chce wjechać, ale wysiadam z auta. Świeże powietrze pozwala lekko oprzytomnieć. Willa, która wyrasta przed nami, jest wielkim, betonowym klokiem. Pazina pokazuje, abym szedł za nią. Mija główne wejście do budynku, kieruje się na tyły. Wszystkie okna od frontu są zasłonięte roletami antywłamaniowymi.

To puste miejsce, wyprodukowane w całości w chińskiej fabryce, dostarczone tu w modułach statkami. Gdyby zderzyć ze ścianą część elewacji, zobaczyłoby się surowiec – brudne dziesięcio- i dwudziestozłotówki, śmierdzące nieświeżą bawełną, sprasowane w twarde brykiet.

Z tyłu domu są małe drzwi prowadzące do sutereny. Z zakratowanych okienek na wysokości kolan bije bladoniebieskie światło.

– Pazina.

Odwraca się dopiero po dłuższej chwili, jakby postanowiła na mnie nie patrzeć.

– Pazina, jeszcze raz. Pomogę ci z nowym miejscem. Wynagrodzę ci to. Pomogę ci otworzyć dziesiątki takich miejsc. Dlatego chciałem, żebyś poszła ze mną... do tego teatru. Tam będzie prezydent. Tam będą ludzie, którzy... którym możesz...

Brakuje mi słów. Gubię je, jak głupi Jasio w bajce gubi ziarno przez dziurawą kieszeń.

Powiadomienie. Mejl. Zdjęcie wysłane z mejla mojej mamy. Kacper i piesek, bardzo podobny do Kolegi, tylko z białą plamką na czole. Siedzą na balkonie mieszkania rodziców. Świeci słońce. Kacper się uśmiecha. „Dziękuję, wujek, bardzo cię Kocham. Kolega to mój najlepszy przyjaciel. Przyjedź do mnie niedługo”.

Pod całym tym bólem mała ulga, słabe światło. Jakby coś się udało, jedna rzecz.

– Pazina, posłuchaj. Zrealizujemy każdy twój pomysł. I nikt nigdy nie skojarzy cię ze mną.

W jej oczach widzę smutek, troskę i coś jeszcze, czego nie potrafię nazwać.

– Możemy zbudować sieć hosteli, klinik odwykowych, placówek rehabilitacyjnych, co tylko chcesz. Co tylko chcesz – powtarzam.

Jakbym z nią negocjował, błagał ją o coś, o czym sam jeszcze nie wiem. Ktoś do niej pisze, ona od razu nerwowo odpisuje. Wymawiam jej imię. Raz, drugi. Podnosi głowę za trzecim.

– Zgadzasz się na to czy nie? Mamy umowę?

Nie reaguje.

– Możesz cokolwiek powiedzieć, Pazina?

– To najbardziej cyniczna rzecz, jaką, kurwa, słyszałam.

– Nie rozumiem.

– Jasne, że nie rozumiesz. Pomagać ludziom za pieniądze z ich zabijania?

– To chyba zawsze tak działa, czy nie?

Płacze. I zaraz przestaje.

– Nie, to tak nie działa.

Drzwi się otwierają. Wypada z nich wielki czarny pies, amstaff. Ujada. Pazina połyka okrzyk strachu. Robię krok w tył. Przed oczyma film z przeszłości, wyraźny, może nawet wyraźniejszy od tego, co tutaj – stary dom w Argentynie, zła starucha, trzech faceci. BETLE EM, niekompletny napis szwabską czcionką. I jeszcze wcześniej, Maluch. Klub. Koks. Desperacja, jej wyraźny zapach. Pies biegnący na mnie z siłą wystrzelonego pocisku. Ale tego psa ktoś chwyta za obrozę, w porę, mocno.

– Pedro! – woła.

Nie kojarzę typu. Średniego wzrostu, łysawy, w czarnym, błyszczącym dresie Prady. Nie pamiętam, abym z nim rozmawiał, widział go gdziekolwiek, naliczał go. Może straciłem orientację. Może oni wszyscy są po prostu identyczni.

– To jest twój kolega? – Patrzę na Pazinę.

Potakuje.

– Jak masz na imię? – pytam go.

Nie odpowiada. Próbuje utrzymać psa, używa do tego całej swojej siły. Pedro, powtarza, ale ten nie reaguje. To nie jest jego pies.

– Jak masz na imię? To takie, kurwa, trudne pytanie?

– Olek – odpowiada po chwili.

– Olek – powtarzam. Patrzę na Pazinę.

Ona potwierdza skinieniem głowy.

– Czego chcesz? Masz pięć minut.

– Może wejdźmy do środka, normalnie pogadać. – Pokazuje małe drzwi.

Dom znowu zmienia się w inny dom, ogrodzenie w inne ogrodzenie. Śmieci na ziemi, całe sterty. Białe obmurowanie. Klatki z głodnymi psami. Ale zaraz znów jestem tutaj, w Wólce. Znowu zacznę kasłać.

– Gadamy tutaj – mówię mu.

– Jacek.

W końcu wypowiedziała moje imię. Jestem na nią wściekły. Ona nic nie wie, kompletnie nic nie rozumie. Władowała mnie na minę. To skończy się tak, że będę musiał zrobić temu gówniarzowi krzywdę, jutro albo pojutrze.

– Gadamy tutaj, Olek, albo nie gadamy wcale.

Pies ujada coraz głośniejsze. Światło w jednym z okien gaśnie. Nie jesteśmy w Ushuaia. Jesteśmy w Polsce. Olek i pies nie są tutaj sami.

– Na razie. – Odwracam się i ruszam przed siebie. Jeszcze nie wiem, co z nią zrobię.

Pierwszy cios łąduje na głowie, na uchu. Następny trafia w brzuch. Zginam się. Idą kolejne. Kolanem. W twarz. Gdzieś jeszcze. Znowu brzuch? Tracę równowagę. Smak krwi, okruchy zębów. Ból jak prąd. Głośny i bezkształtny dźwięk – może jest głosem Paziny, a może nie. Wszystko czarne, znowu. Popycha mnie do przodu. Upadam na plecy, ból brzucha trwale zgina mnie wpool.

Stoi nade mną. Poznaje go, oczywiście. Czarna puchowa kurtka Moncler. Cwany, bystry pysek. Łańcuch na szyi. Sygnet na palcu, stąd w ustach kawałki zębów.

– Lipton, mordko, nie? – mówi.

Próbuję wygonić ból z ciała, ale nie umiem. Czuję, jak się po nim rozlewa, pulsuje.

– Albo raczej Saga, bo Lipton jest dla zarządu, wiesz, o co chodzi.

Ten dźwięk, który wydała Pazina, to była jego ksywa.

– Kurtka.

Kurtka celuje we mnie z broni.

– Dobra akcja, powiem ci.

– Co jest dobre? – pytam go cicho.

– Że twój sugar daddy dowiedział się, że jesteś rozjebundą, a ty wciąż żyjesz.

– No widzisz. Nie zawsze się wszystko udaje.

– Czasami się udaje, wiesz, o co chodzi.

Próbuję się odwrócić do Paziny. Chcę zobaczyć jej twarz.

– Tak czy srak, teraz masz przejebane jak Andrés Escobar.

Ona wciąż płacze. Rozumiem, dlaczego tak. Rozumiem, czemu to zrobiła. Tak naprawdę nie jestem na nią zły.

Po prostu miałaś być cywilem, Pazina.

– Pazińska, spierdalaj stąd.

Próbuję się podnieść. But na twarz. Ból zabiera mi oddech. Kwas trafia do płuc.

– Idź stąd.

– Nie. Kurtka, to nie...

– Idź stąd, bo spuszczę tę kurwę psa!

Nie widzę, nie słyszę. Nawet nie wiem, czy oczy mam otwarte, czy zamknięte. Pamiętam siebie z kiedyś, wyprowadzającego kolejne uderzenia w obcego mężczyznę. W wątrobę, w szczękę. Pamiętam siebie silnego. Pamiętam, jak zabiłem psa, który biegł ku mnie z prędkością samochodu,

i pamiętam, jak kochałem psa, którego przygarnąłem, i pamiętam, jak zabiłem psa, który zabił moją rodzinę.

To wszystko teraz byłoby niemożliwe.

– Patrz na mnie. Patrz.

Otwarcie oczu towarzyszy ogromny wysiłek. Wszystko pokrywa gruba warstwa czerwonego filtru, czerwień i ból stają się jednym. Jaka dziwna synestezja.

– Teraz wstawaj, serio.

Popycha mnie do wejścia do domu. Obmacuje mi kieszenie, znajduje telefon. Gdy próbuje mi go wyciągnąć, biorę zamach, by trafić go łokciem w twarz. Jest szybszy, wyczuwa ruch, odsuwa się, uderza mnie z płaskiej dłoni w ucho. Ból jeszcze inny. Kolorowy. Ma barwę rdzy. Barwę wiśni. Barwę krwi tętnicznej. Barwę torfu i smoły. Chyba się nie boję. Jeśli rzeczywiście się nie boję, to jest to śmieszne. Kurtka zabiera mi telefon. Chowa go do kieszeni. Wpycha mnie do budynku.

W przedpokoju drewniana półka z ułożonymi równo butami. Na ścianie mozaika w drewnianej ramie, podobna do tej na ścianie ambasady.

Polaroid na podłodze. Pazina i chłopak z różowymi pasemkami. Jego matka zatrzymana w cierpieniu na ekranie telewizora. Moja matka zatrzymana w cierpieniu w swoim mieszkaniu.

Martwi ludzie i ich czarne portrety. Gdyby patrzeć w nie zbyt długo, umrze się samemu.

Miejsce, w którym miał być strach, wypełnia śpiew.

Korytarz jest wąski. Ręce Kurtki popychają mnie do przodu. Znow trzęcę równowagę, muszę się złapać framugi.

Idę poboczem, dookoła jest ciemność. Na nogach mam klapki. Kto słyszy ten śpiew, jest zgubiony.

W spodniach kilka świetlików, jeszcze. Wkładam rękę do kieszeni.

– Wyciągaj tę łapę, bo rozjebię ci łeb.

Nie mogła nawet na mnie spojrzeć. Rozumiem ją. Ostatni kawałek serca.

– Do przodu.

Pokój po prawej. To z niego bije niebieskie światło.

Zabrałem jej wszystko.

Rozumiem ją.

I wtedy znowu żrący gaz wlewa się w płuca. Kaszlę tak mocno, że muszę uklęknąć.

– To on?

Nie wiem, kto komu zadaje to pytanie. Nikt nie odpowiada, więc pytanie pada jeszcze raz. Przede mną mężczyzna, Azjata, zapewne Wietnamczyk. Jest niski, lekko otyły, ma kruczoczarne włosy ułożone w falę i białą koszulę. Pamiętam go. Pamiętam, jak chwycił się za serce w Marriotcie.

Pokój jest niewielki, zupełnie pozbawiony mebli. I zatłoczony. Poza Kurtką, Wietnamczykiem, chłopakiem, który trzyma psa, jest ich jeszcze czterech. Stoją w głębi pokoju. Co najmniej dwóch ma broń.

Cała podłoga jest wyłożona folią.

Więc tak.

– To on? – pyta Wietnamczyka wytatuowany koleś w czarnym dresie. Koleś ma nogę w gipsie. Też go poznaję. Ambasada. Wyzwiska, wściekłość. Strzał w nogę.

– Ty, Rafi, wiesz, że to on, no kurwa.

Głośne, dziwne czknięcie, które chyba jest potwierdzeniem.

– On musi być pewien. Musimy być z nimi na czysto. Wszystko musi być potwierdzone i dogadane.

– Jest dogadne, Rafi.

Rafi jest nawciągany. Mówi szybko, głośno. Jego słowa rozsypują się jak kamienie. Jego słowa nie mają znaczenia. Znaczenie ma za to maczeta, którą trzyma w dłoni. Znaczenie ma folia na podłodze. Gruba i półprzezroczysta.

Wietnamczyk kiwa głową. Wychodzi z pokoju, zamyka drzwi. Zostaje ich sześciu.

– No i co, kurwo? Taki jesteś prężny, co? – pyta Rafi.

– Rafi, tylko weź bez przemów. Wiesz, o co chodzi.

– Nie, nie jestem prężny – odpowiadam.

– Co ty tam mówiłeś? Że jesteśmy bezbronni? Że nic tak naprawdę nie mamy? Nikt nas nie chroni? Tak? Ty, powiedz to teraz. No weź, mordo.

Mogłem jej pomóc. Chciałem jej pomóc. Chciałem dać jej wszystko.

– Zobacz, jaki jestem bezbronny. Popatrz się na mnie.

– Jesteś bezbronny. Wszyscy jesteśmy – tłumaczę mu, chociaż i tak nie zrozumie.

Pies ujada. Rafi jedną ręką ściska kulę, na której opiera ciało, trzymana w drugiej maczeta tańczy w powietrzu.

W Ushuaia udało mi się uciec. Wyrwać się im, pokonać ich, wstać i wyjść. Wziąć ich samochód. Zdążyć na samolot. Ale – może – tak naprawdę wcale mi się nie udało.

– Byliście kiedyś w Ziemi Ognistej? – pytam ich.

– Co ty tam trujesz?

– Pytam, czy byliście kiedyś w Argentynie. Piękne miejsce. Dopiero tam można wszystko zrozumieć.

Od zawsze była tylko ona. Pazina.

Ostatni kawałek serca.

Stoję sam, na końcu świata. Wpatruję się w migające na horyzoncie światło stacji benzynowej. Telefon od Pauliny. Nie powinno go być, tego telefonu.

Przecież tu nie ma zasięgu.

– Nie byliście. No trudno. Pojedźcie kiedyś.

Jeden z gości, którzy stali pod ścianą, podchodzi i staje obok Rafiego.

– Bastek. Ten małolat, którego odpaliliście. Widziałem wczoraj jego matkę, wiesz?

– Znam takiego chłopca, który już nie ma matki.

Cios zwala mnie z nóg. Ktoś kopie mnie w twarz. I znowu.

– Ale przynajmniej ten chłopiec ma psa – tłumaczę.

– Co on pierdoli? – pyta ktoś.

To pytanie pozostanie bez odpowiedzi.

Jeszcze cios, i jeszcze jeden. Przestaję je liczyć. Mają boleć, ale nie pozbawiać mnie przytomności. Ten, który je zadaje, umie bić.

Wszystko rozgrywa się w ich oddechach. Sapią. Są nakręceni, zmęczeni, naćpani sami sobą. Trochę przestraszeni, bo to, co chcą zrobić, to potężna sprawa. To nie jest byle co wyłączyć cały wszechświat.

Ktoś zaczyna mówić. Jego głos jest gdzieś pode mną, w otchłani wody.

– Posłuchaj, gadzie jebany. Warszawa jest wielka i silna. Nie da się jej pokonać. Nigdy się nie dało. To miasto zburzono do zera, rozsmarowano na ziemi, a ono odrosło. Zawsze będzie odrastać, kumas? Nie, Warszawa nie będzie należeć do jednego pajaca. Hitler nie zniszczył Warszawy, Stalin jej nie zniszczył, a wy myśleliście, że to wam się to uda. Beka z was, kurwy, i tyle w temacie.

Coś mokrego na twarzy.

Chcę mu powiedzieć:

– Piękne przemówienie.

Jesteś bardzo daleko od domu.

Tam, w rogu pokoju, to zawsze byłem ja.

Chcę mu powiedzieć:

– Ale tu nigdy nie chodziło o Warszawę. Tu chodziło o was. Byliście przez chwilę potrzebni. Jak narzędzia, jak młotki. Jak bydło.

I chyba mówię to na głos, bo on odpowiada:

– To patrz, jak to bydło cię zdeptuje.

Wszystkie te pieniądze, które sobie wymarzyliśmy. Wszystkie te dziwne sny. Pazina. Kacper. Kolega. Bratnie dusze. Każda dusza, do której naprawdę wyciągniesz dłoń, jest bratnia.

Przepraszam was.

Cios, cios, a potem coś innego, dużo potężniejszego, fala ognia, która wydestaje się przez usta wrzaskiem, i ciało, które się zmienia, otwiera tam, gdzie powinno być zamknięte. Bardzo szeroko. I ciepło, życie uciekające z –

–

–

Ushuaia.

Paulina.

Telefon, którego nie powinno być.

Przecież tam nie było zasięgu. Na samym końcu świata? Jak?

Mimo to dzwoni.

Wiem, kto tak naprawdę będzie po drugiej stronie, gdy odbiorę.

Wiem, co powie mi Kacper.

Wszystko, ale to wszystko wiadomo.

Nie odbieram.

Wyrzucam telefon.

Małe, drobne kroki. Ciepła sierść ociera się o gołe nogi. Cześć, Kolego. Kucam przed nim. Pozwalam, żeby polizał mi twarz. Bardzo tęskniłem.

Idziemy dalej we dwóch. Szalony pingwin z filmu Herzoga i jego wierny pies.

Na nogach mam klapki. W kieszeni spodenek pięćdziesiąt tabletek benzo, na wszelki wypadek. Wodę. Papierosy, ale nie wiem, czy odpalę na takim wietrze.

Wiatr jest tu wszystkim. Wieje wszędzie, nawet pod ziemią.

– W razie czego wróc do miasta – mówię do Kolegi.

Dochodzimy nad brzeg. Wtedy widzę ją po raz pierwszy. Stoi na klifie, poniżej rozpościera się granatowoszare morze. Jest piękna, jest potworem, jest też zupełnie zwykła. Nie ma ogona, ma ludzkie nogi, tylko pokryte łuską. Bezzębne usta. Martwe, rybnie oczy. Tłuste włosy, w które wplątały się algi, śmieci, plastik. Otwiera ręce, szczęśliwa, że w końcu nas widzi.

Światło ostatniej stacji zostaje daleko za mną, aż w końcu zupełnie znika.

PAZINA

Perła

1 STYCZNIA 2015

A jednak takie miejsca są prawdziwe i można w nich przebywać. Gdy od pięciu lat nie wyjeżdża się z Warszawy, można o tym zupełnie zapomnieć – o domach na wzgórzach otoczonych dżunglą, z widokiem na ocean i patio wielkości polskiego województwa. Domach, po których ogrodach chodzą dzikie koty i iguany, w których trzeba patrzeć pod nogi, uważając na węże. I w których zdarzają się takie noce, pozornie ciche, ale gdy się wsłuchać, puls życia staje się ogłuszający. Insekty, cykady, płazy, gady. Ptaki i małpy.

Świeża woda kokosowa z lodem i rumem – każdy kolejny łyk wydaje się pierwszy. Wypiłam ich już z dziesięć i jestem pijana w sposób, który jest niemożliwy w Polsce. Tam alkohol to filcowa zbroja zabezpieczająca przed światem. Tutaj – drzwi do prawdziwego świata. Zmniejsza wagę. Zamienia szpik w powietrze. Rozkazuje ci tańczyć. Wysyca ciepłem. Okej, to nie tylko alkohol, to też połknięta pół godziny temu ekstazka.

Jestem gościem Ariany, chudej blondynki z kwiatami we włosach, Brytyjki, która przeprowadziła się tutaj z Londynu. Krąży między gośćmi, fruwa między nimi jak motyl, częstuje jedzeniem, piciem, narkotykami, pocałunkami. Ktoś mówi, że jest dziedziczką wielkiej fortuny. Ktoś inny, że aktorką porno, wystarczy ją wyszukać pod takim a takim pseudonimem.

Przyjechałam tu wczoraj. Rzeczy zostawiłam w hotelu w Buenos Aires, mam przy sobie tylko paszport i trochę gotówki w wewnętrznej kieszeni spodni. Liczę, że te spodnie są wciąż w pokoju, w którym spałam. Teraz mam na sobie dwuczęściowy kostium kąpielowy, na biodrach zawiązałam kolorową chustę. Ale nawet jeśli zgubiłam paszport i pieniądze, to i tak sobie poradzę. Wszystko będzie w porządku, cokolwiek się zdarzy.

To przeświadczenie to nie tylko efekt piguł i alkoholu. To coś, co wyrosło we mnie parę dni temu i teraz noszę to ze sobą, małą perlę schowaną w sercu. Nigdy wcześniej tego nie miałam. Nawet nie wiedziałam, że tak można.

Szczęśliwego Nowego Roku, krzyczeliśmy dziesięć minut temu, kilkadziesiąt osób z całego świata. Wszyscy są dla siebie przyjaciółmi, bo w każdym człowieku mieszka jakiś przyjaciel. Nowy Rok nie musi być szczęśliwy. „Szczęśliwy” oznacza tak naprawdę „niemożliwy”. „Szczęśliwy” oznacza „zawsze taki, jak teraz”. Zapragnąć tego to potem bardzo cierpieć. Wystarczy, że będzie w porządku. Że będzie znośny. To i tak bardzo dużo.

Chłopak nazywa się Silva. Wyświetlił się w klubie w Buenos Aires, jego uśmiech oślepił mnie jak słońce. W tym słońcu zrobiłam się bezwstydną. Powiedział, żebyśmy przyjechali na sylwestra do „jego miejsca”. Jego miejscem okazało się Miramar, miasto surferów. Cały dzień mnie przekonywał, żebym też spróbowała. Odpowiadałam, że boję się utonięcia. Tak naprawdę boję się bycia bezwładną, jak niesiony wiatrem kawałek papieru.

– Daj spokój. Spróbuj. To proste. *Es fácil*.

– Wszystko jest proste, jeśli umie się to robić.

On po prostu to robił. Panował nad powietrzem i wodą, nie zdobywał ich przemocą, tylko się do nich dostrajał, darzył je szacunkiem, a przez to wyczuwał ich prąd i kierunek. Panował nad nimi, bo panował nad sobą.

To było bardzo ładne. Nawet trochę piękne.

Tańczę, a gdy mi się odechciewa, siadam i zamykam oczy. Jeszcze łyk, mały. Zimny, słodki nektar. Silva dosiada się do mnie. Chce się kochać. Bardzo proszę, ale daj mi chwilę, mówię mu.

– *Eres hermosa, como una ola* ¹⁵.

Lekko go odtrącam, wstaję i wychodzę na patio. Miasto, brzeg oceanu odcina się na tle potężnej granatowo-czarnej ściany. Nade mną fajerwerki, niekończąca się eksplozja zaczarowanych gwiazd, rosnących kwiatów, smoków ziejących ogniem. Jakby Bóg bazgrał palcem po niebie, chcąc zawstydzić zwykłe gwiazdy. To dziwne, że wszyscy są w środku, że nikt nie chce ich oglądać. Może są specjalnie dla mnie. Taka nagroda za to, że jednak jestem w porządku. Siadam na drewnie, obok stawiam szklanę. Nikt mnie nie widzi.

Silva, znowu. Siada obok mnie, całuje w szyję. Chce być moim chłopakiem. Niech mu będzie, dzisiaj. Pyta, czy w Polsce też są fajerwerki. Wszędzie są fajerwerki, odpowiadam. Silva zadaje kolejne pytania, chce rozmawiać, chce się dowiadywać. Odpycham go łagodnie, pieszczotliwie zamykam mu usta. Na niebie wykwita eksplodująca galaktyka. Zapamiętam ją na zawsze. Silva znowu całuje mnie w szyję. Wylewam mu na twarz trochę drinka. Przewracam go na ziemię, a on łapie mnie za biodra. Siadam na nim. Jego skóra ma smak karmelu i piasku. Jest twardy. Oddycha szybko. Jego puls jest odrobinę szybszy niż mój. Wkładam mu pierś do ust, on w odpowiedzi posyła w nią lekki prąd, który płynie przeze mnie aż do czubka głowy. Świat się przewraca, i jeszcze raz. Szczęśliwego Nowego Roku. Nie, to wcale nie będzie tak wyglądać. Podnosi mnie, prowadzi za rękę do środka.

W domu fruują motyle, niebieskie i żółte. Niektórzy śpią. Niektórzy tańczą. Niektórzy się kochają. Dom jest wielki jak planeta. Mały pokój, do którego idziemy, jest z kolei jak azyl. Nie wiem, czy spałam dziś właśnie tutaj, i nie ma to znaczenia.

Cieszę się uśmiechem i ciałem Silvy, bo przecież zaraz znikną. Staram się zapamiętać jego smak. Fakturę pościeli. Ten moment, w którym po prostu się komuś podobam. Języki. Uszy. Knykcie. Sutki. Pachwiny. Pięty i kolana. Dostępne dla dłoni i ust. Fajerwerki. Komplementarne. Zaraz ich nie będzie, rozpuszczą się w próżni.

Pyta, dlaczego przyjechałam tu sama. Już ci mówiłam, Silva. Po prostu tak podróżuję. Myślę, że kłamiesz. Myślę, że miałaś tu przyjechać z kimś, ale ten ktoś cię wystawił, w ostatniej chwili.

Kładę się na nim, bawię się jego włosami. Mówię do niego po angielsku. Rozumie, ale odpowiada po hiszpańsku, hiszpański czyni go bardziej Silvą. Rozświetla go od środka.

- Jak się domyśliłeś?
- Bo jesteś smutna, po prostu.
- Już nie jestem.
- A kim on jest?

Gdy zamykam oczy, widzę jego płaszcz i zarost, i torbę, którą wpycha mi w rękę. Jego troskę i lęk. Ciągłe napięcie. Być może nie ma w sobie nic innego. Być może taka jest prawda o ludziach, którzy bez przerwy grają.

- Bandytą, Silva.

Aż podskakuje na łożku. *Bandido*, powtarza. Jaki bandyta? Taki, który zabija? Porywa dla okupu? Handluje kokainą?

– Bandytą, czyli człowiekiem, który mieszka w ciemności. Który pozostał tam z wyboru.

Głupek, nie rozumie. Naciska dalej. Powiedz mi, Marta, no powiedz. Uspokój się, proszę go, ale on nie słucha. Chce to zamienić w wielki dowcip. To jego podniecenie coś mi zabiera. Niewielką, ale wystarczającą część spokoju, który miałam w sobie. Wystarczy, aby świat odwrócił się na drugą, spraną stronę. On to widzi, przyciąga mnie do siebie, przeprasza.

Za późno. Woda kokosowa z rumem nabiera mdłego smaku mydlin. Fajerwerki się kończą. Silva otworzył małe drzwiczki, za którymi jest perła. Ta wypada na podłogę i bezpowrotnie znika w jednej ze szczelin.

12 PAŹDZIERNIKA 2020

– Marta.

Próbuję złapać oddech, nie mogę oddychać przez zapchany watą nos. Gdy w końcu to robię, powietrze kłuje mnie w płuca. Do ciała powoli dociera, co się wydarzyło. Ciało jest na mnie wściekłe. Jak mogłaś do tego doprowadzić, pyta serią ukłuc i napięć.

– Marta. – Ewelina stoi nade mną, opiera się o stół. – Pytałam, czy chcesz z cukrem.

Nie, nie chcę. Cukier na pewno pomógłby w przełknięciu tej ciepłej brązowej wody udającej kawę, ale jej wyjście po cukier to moje dwie minuty więcej w tym miejscu. Półmrok, jedna z sal pałacu Mostowskich. Ja i cała grupa funkcjonariuszy w cywilnych ubraniach. Studiują mnie, jakbym była obiektem badawczym. W ich spojrzeniach jest dziwna uważność i wielkie zmęczenie.

Ewelina siada naprzeciwko, splata ręce na piersiach. Zmieniła się. Coś się stało. Jest słabsza, bardziej odsłonięta. Ma mniej makijażu, nieumyte włosy. Opuściła rzeczy, które przedtem były dla niej naturalne.

W pomieszczeniu jest też Jacek, patrzy na mnie ze zdjęcia przytwierdzonego do wielkiej tablicy korkowej. Jego twarz jest skierowana en face do obiektywu, przez to naga i rozplaszczona, odarta z tajemnicy. Twarz zwykłego, obcego mężczyzny.

Obok są inne fotografie, mężczyzn o twarzach jakby wyciętych z kamienia. Wąskie usta, mocne szczęki, małe oczy, krótkie ciemne włosy, postępujące zakola.

Jacek odcina się na tym tle. Wygląda jak schwytyany ptak. Ale to mój film. Jacek nie jest ptakiem i nikt go nie schwytał.

Jest jeszcze jedno zdjęcie, łysego faceta w okularach. Na kartce pod zdjęciem – „Dario”, w cudzysłowie. Dario. Ten człowiek jest bardziej niż nierzeczywisty. Wydaje się, że tacy jak on nigdy się nie rodzą, są tylko wymyślani i odgrywani. A jednak. Dario istnieje. Istnieje z taką siłą, że rozsadza swoje własne zdjęcie.

Ktoś wchodzi do sali, mężczyzna. Przystaje w rogu. Jest obcięty na bardzo krótko, ale po bokach głowy odrastają mu rudawe włosy. Obserwuje Ewelinę. Ewelina obserwuje mnie. Zaczyna mówić, powoli i ostrożnie.

– Na początek muszę ci coś wyjaśnić, Marta. Chciałam ci to powiedzieć, gdy przysłam do ciebie do domu po strzelaninie, ale... chyba nie byłaś gotowa.

Policjant, który właśnie wszedł, chrząka.

– Ten chłopiec, Lucek, nigdy nie był przedmiotem naszego śledztwa – mówi Ewelina.

Powoli trawię te słowa. Szukam w jej oczach jakiegoś „przepraszam”. Ale może nie umiem już dobrze patrzeć ludziom w oczy.

– To nie jest priorytetowa sprawa. Od początku interesowałam nas tylko jako koleżanka Jacka Niteckiego. A Jacek Nitecki był jedynym, który mógł nas doprowadzić do niego.

Odwraca głowę w stronę zdjęcia łysego mężczyzny. W stronę Daria.

– Więc kiedy przyjechałaś do Azylu...

To nie był przypadek.

Piję dalej tę lurę, małymi łykami, tylko po to, aby cokolwiek zrobić z dłońmi.

– Po prostu niektórzy nie są ważni.

Moja twarz wybucha bólem, jakbym włożyła ją do ogniska.

– Tu chodzi o życie tysięcy dziewczyn i chłopaków – mówi Ewelina. Dopiero teraz odwraca się w stronę policjanta, który wszedł do pokoju. Widzę, że jest dla niej problemem. Widzę, że coś ją boli od samego spoglądania w jego stronę. Wstaje. Odwraca się do tablicy.

– I żeby było jasne, Marta, przepraszam cię za to, co ci się stało. To idzie na nasze konto. To my zjebaliśmy.

– My zjebaliśmy? Ciekawe – stwierdza facet, który wchodzi do sali. Robi krok w jej stronę. Ma dzinsową koszulę i blachę zawieszoną na łańcuchu. Jest w nim coś bardzo nienaturalnego. Od razu widać, że żyje swoim wyobrażeniem policjanta, które nie do końca umie zrealizować. – Ty nawet nie chciałaś tam jechać – dodaje.

Ewelina jest wyraźnie zdziwiona. Rozgląda się po reszcie zebranych.

– Było odwrotnie, Marek.

Mężczyzna, Marek, parska śmiechem. Zastanawiam się, czy tylko ja widzę ten straszny fałsz.

– Powiedziałaś mi na korytarzu: po co właściwie mam jeździć po tych wszystkich imprezach? Szukać igły w stogu siana?

Teraz nie jest zdziwiona, jest wściekła. Marek kłamie. Wstaje, próbuje się z nim zrównać. Robiąc to, bezwiednie zaciska i rozprostowuje pięść.

– Marek, Nitecki był u mnie w domu. Groził moim dzieciom.

Uklucie, w środku. Próbuję złapać jej spojrzenie, zmusić ją wzrokiem, aby powiedziała coś więcej, ale bezskutecznie. Ewelina nie odrywa od niego wzroku. Mocno zgrzyta zębami. Nienawidzi go za kłamstwo i za coś, o czym nie może nikomu powiedzieć.

– Słuchaj, chcesz tracić na to czas? Gdybyśmy zrobili to po twojemu, ona by nie żyła. – Celuje we mnie palcem. Pokazuje jej, że ma usiąść. Przejmuje dowodzenie.

Reszta patrzy na niego z pokorą i uznaniem. Może oprócz typa stojącego w rogu. Bielszego od ściany, o którą się opiera. Jego czoło lśni od potu. Próbuję uwięzić rozbiegane dłonie w kieszeniach.

– Młodszy inspektor Marek Żakowski, jestem oficerem Centralnego Biura Śledczego i dowodzę tą operacją.

Mogłabym odpowiedzieć, że jest mi miło, ale nie jest. I za bardzo boli mnie szczęka. Mimo to inspektor Żakowski kiwa głową, jakbym jednak to powiedziała. Bez słowa bierze kubek z pseudokawą i wylewa ją do śmieci. Rzuca do jednego z policjantów:

– Przynieście jej coś pijalnego.

Wyciąga paczkę gum i wsadza sobie do ust trzy drażetki. Zaczyna mocno żuć. Proponuje mi, odmawiam.

– Dostałem sporą szansę od losu, wie pani, pani Marto? – Przeciąga się. Spogląda na tablicę. – Parę lat temu byłem na dnie. Sprzedawałem informacje bandziorom. W tym twojemu koledze Jackowi. Byłem dziwką, chlałem, ćpałem, grałem. Dymałem prostytutki. Pomógł mi... tak, wiem,

dla osoby takiej jak pani to musi być śmieszne. Ale pomógł mi Jezus. Oczywiście wystawił mnie na potworne próby. Dał mi potrzymać ten krzyż, na chwilę, ale wystarczyło. Pokazał mi, że zawsze ponosi się konsekwencje. Ale dał mi też szansę. Zajebistą szansę.

Czeka na moją reakcję. Niech czeka. Nie ma znaczenia, kto mu pomógł i czy naprawdę to zrobił. Każdemu jego dowcip. Czy jakoś tak.

– Cieszę się – mówię.

On puka w zdjęcie faceta w okularach.

– Dariusz Kinski, znany jako Dario albo Pan Darek. Co pani o nim wie?

– Jest przestępcą?

Moja odpowiedź i tak go nie interesuje.

– Urodził się w sześćdziesiątym drugim w Sopocie. Ojciec nieznan, od dzieciństwa patologiczne środowisko. Matka niestabilna psychicznie, patologia, denaturat, prostytutka. Odnotowano, że znęcał się nad zwierzętami, nad innymi dziećmi. Chyba w czwartej klasie zawieszono go w prawach ucznia, skreślono z listy. Sam dyrektor podobno próbował wsadzić go do szpitala psychiatrycznego albo poprawczaka. Bezskutecznie, był za mały. Terroryzował innych uczniów i nauczycieli. Zmusił jakiegoś chłopca, by zjadł swoje odchody. Dziewczynkę zepchnął ze schodów tak, że uderzyła skronią o stopień i zapadła w śpiączkę. W końcu, w wieku trzynastu lat doczekał się przyjęcia do poprawczaka. Psychiatra stwierdził osobowość sadystyczną. Od osiemdziesiątego roku z przerwami w zakładach karnych pod różnymi zarzutami. Rozboje, kradzieże, podejrzenie gwałtu na maturzystce, dziewczyna wycofała potem zarzuty. W Wałczu uczestniczy w buncie osadzonych. Wychodzi na wolność w osiemdziesiątym ósmym, dołącza do sopockiego gangu waluciarzy, ale musi uciekać z Trójmiasta, do dzisiaj nie wiemy dlaczego. Przyjeżdża do Warszawy na początku lat dziewięćdziesiątych i zaczyna pracować dla grupy ożarowskiej. Ta staje się częścią...

– Czyli jest gangsterem, tak jak mówiłam – przerywam mu.

– ...pruszkowskich – kończy Żakowski. Mrozi mnie spojrzeniem. Nienawidzi, gdy mu się przerywa.

Policjant wysłany po kawę wraca, bez słowa stawia przede mną kubek z gorącym, ciemnym napojem. Biorę ostrożny łyk. Tym razem to prawdziwa kawa. Gorzka, podłego gatunku, ale mocna jak ropa. Smakuje jak stara skóra. Smakuje dobrze.

– Pruszkowscy zatrudniają go, ale uznają za nieobliczalnego. Dario nie wykonuje poleceń. Nie rozumie podstawowej zasady: przemoc jest gwarancją biznesową, używa się jej jako rękojmi. Tymczasem on pastwi się nad ludźmi, zastrasza ich. Wierchuszka, na przykład Perszing i Barabasz, chcą robić interesy, przyjaźnić się z politykami: Sekuła, Dębski, wiadomo. On chce oprawiać ludzi dla zabawy. Jest samotny, traktują go jak trędowatego. Jego stronę trzyma paru chłopaków, w tym Leszek Karaś, który wychowywał się z nim w jednej dzielnicy. – Puka w kolejne zdjęcie.

Z fotografii spogląda facet z gniewem wciśniętym w twarz i żylastą, kwadratową głową. Znam go, dociera do mnie po chwili. Był w mieszkaniu Kurtki, gdy przyszedłem do niego z torbą.

– W dziewięćdziesiątym ósmym Dario zabija przedsiębiorcę, który opłacał się pruszkowskim, konkretnie Słowikowi. Facet ma zwirownię za Radomiem. Dario ma go po prostu nastraszyć, ale torturuje go na oczach rodziny, każe jego żonie i dzieciom śpiewać swoje ulubione piosenki. Urszula, Budka Suflera. Za każdą pomyłkę w tekście facet traci palec – mówiąc to, patrzy mi w oczy. – Gdy traci wszystkie palce, rodzina dalej się myli, i facet traci genitalia.

Żrenice mężczyzny na zdjęciu to ciasne korytarze. Na końcu korytarza są drzwi, a za drzwiami złe miejsce.

– On mnie znalazł parę lat temu – mówię zgodnie z prawdą. – Chciał wiedzieć, gdzie jest Jacek.

– Widzi pani, bo pani przyjaciel Jacek jest teraz jego współnikiem. Specjalnie po to wrócił z Argentyny – informuje z nieskrywaną satysfakcją.

– Wrócił, bo Dario zabił jego siostrę – wtrąca Ewelina. Rytmicznie zaciska i rozwiera dłoń. Na szyi, tak bladej jak nieprzyciemniona podkładem twarz, pulsuje jej gruba żyła.

– Tak. Jacek Nitecki zostaje współnikiem mordercy własnej siostry. Jacek Nitecki... albo Thomas Anders, bo pod takim nazwiskiem teraz funkcjonuje, jest właśnie takim człowiekiem. Wrócił, aby sprzedawać nowy, bardzo silny narkotyk. Mówią na niego świetliki. To szybko uzależniający, zabójczy opiat z domieszką benzodiazepin. – Inspektor Żakowski odwraca się w stronę zdjęć. – Wiem, że miała pani do czynienia ze świetlikami, pani Marto. Wiem, że ten zmarły chłopak z pani ośrodka je ćpał. Tak jak inne dzieciaki z tej pani komuny.

Jacek. Świetliki. Lucek. Przemo.

W głowie mam ścianę transmitujących Jacka ekranów. Mieszają się, zamazują. Zlewają w wielokolorową plamę. Plama wypełnia głowę, chwilowo wyłącza błędnik. Ewelina przybliżyła się do mnie, na wszelki wypadek. Nie wiem, jak wyglądam, ale muszę być biała jak papier.

Nagle łapię się na tym, że nie potrafię myśleć o Jacku jako o kimś, kto wciąż żyje. Nie chodzi tylko o to, że był mirażem, oszustwem, że projektowałam na niego własne wyobrażenie. Chodzi o to, że nie umiem uwierzyć, że Jacek żyje fizycznie.

Widzę, jak plecy inspektora Żakowskiego robią się większe, gdy bierze głęboki wdech. Ewelina nie spuszcza ze mnie wzroku, chyba oczekując, że coś powiem. Ale ja mówię tylko:

– Nie rozmawiałam z nim od sześciu lat.

– Jest w Warszawie od dziesięciu miesięcy – informuje mnie Ewelina.

– No to skoro jest w Warszawie od dziesięciu miesięcy i się do mnie nie odezwał, to chyba znaczy, że jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi, prawda? – Dopiero teraz: mocne ukłucie zdrady. – Nawet nie pamiętałam, że miał siostrę – dodaję.

Marek przeszywa mnie spojrzeniem. Nie wierzy mi. Nie wierzy w nic, co mówię.

– Wracając do Daria, pruszkowscy go wykluczają. Są rozsądni, nie potrzebują szaleńca. Słowik chce go zabić, ale reszta decyduje, aby w ramach swoistego barteru wystawić go policji. Na zasadzie: damy wam kogoś takiego problematycznego, a wy dacie nam spokój z taką czy inną kwestią. No i nasz Dario idzie siedzieć na wuzetkę, a potem na sztywną celę, bez pleców. Mimo to w więzieniu zostaje podniesiony. Ma status gita, chociaż nie grypsuje. Podobno tak dręczy psychicznie największego bandytę, że ten popełnia samobójstwo. Wychodzi po jedenastu latach.

– Za zabójstwo na oczach rodziny? – pytam.

– Tamten facet umiera dopiero miesiąc później, i nie bezpośrednio w wyniku obrażeń. Sąd podważa zeznania żony, która leczyła się psychiatrycznie. Mamy teorię, że były tutaj naciski na biegłych, interwencje z zewnątrz.

Jeden z policjantów pyta, jakie interwencje. Nieśmiało, jakby zgłaszał się do odpowiedzi.

Po bokach tablicy, nad głową Daria są białe kartki. I tylko jedno zdjęcie – bardzo szczupłego mężczyzny koło sześćdziesiątki, o ptasiej twarzy – przekreślone grubą czerwoną kreską.

– Dario od zawsze miał jakieś wschodnie kontakty. Oczywiście wciąż bazujemy na przypuszczeniach, początek lat dziewięćdziesiątych to pełno dziur w jego życiorysie. Miał wizę do ZSRR, a potem do Rosji. Wiemy tyle, że pół roku temu zabił w Czarnogórze Zachara Priwajewa, wora w zakonie, byłego kagiebiście. A teraz zabił Asłana Tugajewa, szefa czecheńskiego klanu w Polsce. Nie zabija się takich ludzi bez bardzo wyraźnego pozwolenia innych klanów, grup. Chyba że jest się kompletnie szalonym...

– Panie inspektorze.

Może to kawa daje mi siłę, aby mu przerwać – pomimo tego, że moja twarz jest popękana na dziesiątki małych części i właśnie do reszty schodzą mi przeciwbólowe. Nie obchodzi mnie to, co mówi. Nie jestem tu po to, aby robił mi wykład z historii polskiej gangsterki.

– Przepraszam, ale to nie są sprawy, z którymi miałabym cokolwiek wspólnego. Nie wiem nic o gangsterach, o powiązaniach Jacka, ja...

Żakowski uderza dłonią o blat stołu, głośno, z małej wysokości. Coś zgrzyta mu w szyi.

– Dasz nam ich.

Nie rozumiem.

– Nitecki cię dymał. Odezwiiesz się do niego. Dasz nam ich.

– Nie możesz opierać tego na niej, to tak nie działa.

– Nie możesz opierać tego na niej, panie inspektorze.

– Niech pan nie będzie żaloszny, panie inspektorze.

Żakowski wydaje z siebie nieokreślony ryk, kieruje go w stronę Eweliny. Jest cały czerwony, a w kącikach ust zbiera mu się biała pianka. Ten człowiek to czysta przemoc. Jest jak Łukasz Czego Szukasz. I jak Dario. To wszystko to jeden mężczyzna.

– Dasz nam Niteckiego. A Nitecki da nam resztę.

Ewelina wstaje.

– Marek, teraz już bez jaj, nie naprawisz swoich błędów, biorąc cywila i...

Żakowski zasysa powietrze. Nagle rozumiem, że nic nie może mi zrobić. Tak jak nic nie zrobił mi Łukasz i ten zwyrol z żyłką. Pod jego furią nic nie ma, jest skorupą, ruchomym manekinem. Jego dusza jest mniejsza od insekta. Wystarczy, że to zobaczę.

– Jeśli ktoś zadaje się z bandytą, to jest, kurwa, bandytą! – krzyczy.

– Ona nie rozmawiała z nim od sześciu lat.

Marek, gdyby mógł, urwałby jej rękę i zatłukłby nią Ewelinę na śmierć. Na chwilę zastyga w bezruchu. Oblicza, co zniszczyć, w kogo uderzyć.

– Moja żona nie żyje od dwóch lat, ale dalej jest moją żoną – mówi w końcu.

Wrażenie, jakby teraz zdradził swój sekret. Ale to wciąż nieprawda. To znaczy, wierzę mu, że jego żona nie żyje. Ale to nie jest wszystko.

Ten przerażony gliniarz, który stoi pod ścianą, zaciska oczy.

Oni zrobili coś nieodwracalnego, ta trójka. Coś, czego nie powinni zrobić. Ci ludzie z tablicy – w tym Jacek – są kilka okrążeń przed nimi i robią, co chcą.

Dotykam swojej twarzy. Czuję linie pęknięć. Wzdłuż tych linii biegną złote wypełnienia, moja twarz przypomina naczynie sklezione techniką kintsugi.

– A co będę z tego miała?

Żakowski odwraca się w moją stronę, gwałtownie jak rozjuszony kot.

– Co będziesz z tego mieć, gwiazdo? Już ci mówię. Nie pójdziesz na celę z bandą zwyrodniałych lesb, które dusiły własne dzieci kablem od żelazka i nauczyły się czytać dopiero w więzieniu. Jest na ciebie tyle papieru w prokuraturze, że Mróz tyle nie napisał. Stręczycielstwo, dystrybucja narkotyków, wykorzystywanie seksualne...

On i Łukasz Czego Szukasz są tym samym. Oni wszyscy to ten sam mężczyzna. Ten mężczyzna jest bezsilny. W Marriocie zrobił wszystko, co mógł. Jest frajerem. Ja żyję, stoję i walczę. Moje pęknięcia są ze złota.

– Nie, czego nie będę miała, inspektorze Żakowski, tylko co będę z tego miała – mówię z przekonaniem.

W pokoju z powrotem zapada cisza. Żakowski próbuje oddychać, ale chyba zapomniał, jak to się robi.

– Nawet nie wiemy, czy Nitecki będzie chciał się z nią spotkać. – Głos Eweliny kruszy się pod ciężarem wyczerpania.

– Będzie chciał. Jeśli jest tak, jak mówicie, jeśli pracuje z tymi ludźmi, to odda wszystko, żeby porozmawiać z kimś, kto nie jest taki jak oni.

Jest zdziwiona tonem mojego głosu. Pewnym, mocnym. Sama jestem nim zdziwiona. Nie mówiłam w ten sposób od lat.

– Znam go jak nikt inny – dodaję.

Odzywa się ten przerażony spod ściany.

– My próbowaliśmy... Byliśmy z nim w kontakcie przez długi czas. Ale tuż przed incydem w Marriocie nas wystawił... – Ma ciepły głos

fajnego sąsiada. Tym samym głosem mówiłby do swoich bliskich, patrząc na grzyb atomowy.

– Incydent to jest kałowy na basenie, Damian. W Marriotcie była rzeź. – Ewelina skutecznie go zamyka.

Nie wiem, czy Jacek, którego znałam, kiedykolwiek istniał. Był czystą kartką. Gdy narysowałam na niej kogoś, kim chciałam, aby był, zaczął go odgrywać. Ci goście z tablicy też widzą w nim kogoś, kim nie jest, w kogo dopiero się przeistoczy, gdy zobaczy siebie w ich oczach.

– Pomyślcie, co możecie mi dać – powtarzam i wstaję.

– Nie pozwoliłem pani wyjść – warczy Żakowski.

Nawet nie odwracam się w jego stronę. Jest wielkości muchy.

– Nie pozwoliłem pani wyjść! – krzyczy.

O tej porze, w tej ciemności, korytarz jest korytarzem nawiedzonego zamku. Ewelina wybiega za mną. Jest przy mnie w sekundę.

– Ja się nie zgadzam, Marta. Nie słuchaj go.

Idę dalej, spokojnie, jakby to było rozgrzane czerwcowe popołudnie na Polu Mokotowskim, wolne od pandemii, zła, strachu. Wolne od Żakowskiego, Eweliny, Anioła i Daria.

– Czemu mam go nie słuchać? To twój przełożony.

– To skomplikowane.

– Widziałam. Współczuję.

Przyśpieszam. Nie mam czasu na żarty. Moja twarz jest z porcelany, ale te złote łączenia są twarde jak beton.

– Ja się nie zgadzam, Marta, na żadne odzywianie się do starego kolegi. To niebezpieczny człowiek.

– Jacek nic mi nie robi.

– Marta, on groził mi bronią, u mnie w domu, przy moich dzieciach.

– Sama do tego doprowadziłaś. Cokolwiek spieprzyliście, to wyłącznie wasza wina.

Zastawia mi drogę. Napręża się, próbuje mi pokazać, że ustąpi, tylko jeśli przesunę ją siłą. Ale jest nikim więcej jak duchem, który próbuje mnie przestraszyć w nawiedzonym korytarzu.

– Łukasz... ten, który cię pobił. Mamy go. Będzie miał sprawę o to, co ci zrobił. Ale to nie on zabił Oskara Malinowskiego. Nie on zabił Lucka.

– Skąd niby wiesz?

– Upewnialiśmy się cały wieczór. Ma teraz... problemy z mówieniem. I pewnie będę miała przez to kłopoty. Nieważne, ważne, że jestem pewna.

Przyglądam się jej twarzy. Kiedyś była normalną dziewczyną, wierzyła w świat, tak jak ja. Wierzyła, że biegnie przez niego droga, na której końcu jest jakieś nasze miejsce. Ta droga jest trudna, niewyafaltowana, można się na niej potknąć i przewrócić, ale można ją przejść.

Teraz obie wiemy, że nie ma żadnej drogi.

– Po co to mówisz?

– Bo chcę być w porządku. Zaslugujesz na to. Nie słuchaj go. Idź do domu. Zrobię wszystko, żeby nie było wobec ciebie żadnych zarzutów.

– Przecież nie masz na to wpływu, Ewelina.

Mówię to, choć mam pewność: oni nie mogą mi nic zrobić. I nie mogą nic zrobić moim dzieciakom. Zawiazaliśmy pakt. Znaleźliśmy się w ciemnym mieście. Wyciągnęliśmy do siebie ręce. Wiktor, Besia. Ignac, Przemo. Rena. Edgar. Lucek.

W mieście obcym nawet dla tych, którzy się w nim urodzili, masz dwa wyjścia. Możesz zostać duchem. Snuć się po pustych ulicach, szukać namacalności w innych duchach, tonąć w pozorach.

Ale możesz też zostać człowiekiem. Aby to zrobić, musisz znaleźć innych ludzi i stworzyć z nimi plemię. Zawierzyć im swoje życie. Rozpalić ogień, skupić się wraz z nimi dookoła płomieni. Słuchać się nawzajem. Opowiadać sobie baśnie. Szukać tych, którzy zbłądzili w ciemności.

– Powiedz swojemu szefowi, że dam mu Niteckiego. Proszę bardzo, zrobię, co chce. Ale wy znajdziecie tego, kto zabił Lucka. I tak jak się upewniłaś, że to nie Łukasz... tak samo się upewnisz, że ten człowiek już nigdy nikogo nie zabije.

Zanim odpowie, wymijam ją. Nie idzie za mną, a gdy spoglądam za siebie, rozplywa się w ciemności jak duch.

Na powrót dopada mnie ból rozbitej pięściami twarzy. Jakbym zamiast korzeni zębów miała druty rozpalone do czerwoności. Głęboko oddycham, żeby nie zacząć krzyczeć.

Gdy ból w końcu ostygnie, będę cała ze złota.

15 PAŹDZIERNIKA 2020

– Przynajmniej można pójść do lasu – mówi Besia.

– W Polsce nie ma lasów, są tylko plantacje drewna – rzuca Wiktor.

– Lepsza plantacja drewna niż betonowa plantacja idiotów.

Jest słonecznie, pięknie. Za każdym razem, gdy nad Polską świeci słońce, odnoszę wrażenie, że ktoś się wygłupia.

Urządzamy piknik. Mamy plastikowe pudełka z wegańskim żarciem, które ugotowałam razem z moją matką. Mamy bezalkoholowe piwa. Mamy ciasto, które znowu nam nie wyszło, mimo to rwiemy ten zakalec palcami i wkładamy sobie do ust.

Słucham ich rozmowy, rzadko się odzywając. Staram się spojrzeć na nich inaczej niż oczyma przejętej przedszkolanki. To dorośli lub prawie dorośli ludzie. Silni i samodzielni. Dużo silniejsi ode mnie.

Rozmawiają o potwornościach lekko, jakby opowiadali kawały. O prezydencie, który poinformował swoich wyborców, że Wiktor, Besia i Edgar nie są ludźmi. O jakimś księdzu, który oznajmił, że w niebie i tak Bóg robi gejom obóz koncentracyjny. O świetlikach. Edgar mówi, że może świetliki to pomysł rządu, służący temu, by wytępić wszystkie lewackie dzieciaki.

– Ale to przecież ćpają nie tylko lewackie dzieciaki – zauważam.

– No właśnie, ja nie jestem lewacki, tak jak wy. Tylko nikt inny mnie nie lubi – mówi Przemo.

– Przemo, to jest toxic, tak fiszować o akceptację – zwraca mu uwagę Wiktor.

– Nie wiem, o czym mówisz. Ja po prostu mówię, jak jest. Chcesz mi powiedzieć, że jest inaczej?

W odpowiedzi Besia całuje go w głowę, a Przemo się marszczy, jakby obsrał go ptak.

Wygląda lepiej. Schudł. Jest czysty, chociaż mówi, że świetliki lśnią zielonym światłem, gdy tylko zamknie oczy.

– Moja koleżanka załatwiała je dla swojej babci, która złamała biodro – mówi Besia.

– Mama Franka zaczęła łykać je na kręgosłup, bo nie dali jej recepty na silniejsze przeciwbóle – dodaje Edgar.

Przerzucają się faktami, komentują się nawzajem, gestykują. Tiktokują bez prądu. Wszystkie głosy naraz. Dyszkanty, barytony. Ogarnia mnie irytacja. Mam w ciągu dnia parę momentów, podczas których podarłabym cały świat jak ogromną kartkę, zgmiotła go w kulkę i wrzuciła w kosmiczny śmietnik. To płytka, ale dojmująca wściekłość.

Zioło świetnie sobie z nią poradzi, tyle że obiecałam sobie poczekać z nim do wieczora. Chcę być tutaj i teraz, w pełni przytomna. I nie chcę

znowu wylądować na policji, drugi raz w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Moja matka udostępniła dzieciakom swoje trzypokojowe mieszkanie na Woli. Ojciec kupił je kiedyś pod inwestycję, na licytacji komorniczej. Stało puste, niewyremontowane. Mieszkają tam, rotując; ci, którzy w danym momencie mogą się zatrzymać u kogoś innego, robią miejsce dla tych, którzy nie mają takiej możliwości. Ci pełnoletni opiekują się tymi nieletnimi, ci nieletni nie wychodzą z domu bez towarzystwa kogoś, kto nie ma dowodu osobistego. Stałym lokatorem jest kot Menel. Błagam ich, aby dawali mu jedną miskę dziennie, ale wiem, że nic sobie z tego nie robią. Nie mam pojęcia, czy Menel to przeżyje. Widziałam go wczoraj – przypominał brzydką, tłustą fokę.

Matka, dzięki Bogu, tymczasowo przestała mówić. Rzuciła tylko jeden komentarz, cytując samą siebie:

– Głupota w pewnym momencie robi się tak głupia, że zaczyna imponować.

Pierwszy raz usłyszałam to od niej w dziewięćdziesiątym piątym, gdy Wałęsa powiedział Kwaśniewskiemu w debacie, że nie poda mu nawet nogi.

To milczenie jest częścią niepisanej umowy – zaczęłam u niej pomieszkiwać. Nie chce, abym była sama w mieszkaniu. Boi się, że coś mi się stanie. Zgrałyśmy się o tyle, że ja też nie chcę być sama. A mama boi się, że wyjdę bez słowa, gdy ona powie cokolwiek, co nie jest zwykłą informacją – „śniadanie”, „obiad”, „oglądam telewizję”. Tego akurat boi się słusznie.

Co jakiś czas twarz eksploduje mi bólem. Żuchwa, potylicy, czoło. Leki i jointy pomagają, ale nie do końca. Oni widzą, kiedy mnie boli. Denerwują się. Nie chcieli tego poświęcenia. Przede wszystkim mają mnie teraz za osobę, która w ogóle nie dba o własne bezpieczeństwo. Próbuję ich uspokoić.

– Ten człowiek jest już w więzieniu. Już nic nikomu nie zrobi.

– Zapłacą za Lucka? – pyta Wiktor.

Chciałabym, aby ktoś odpowiedział im na to pytanie za mnie. Ale muszę to zrobić sama.

– To nie on. Policja tak twierdzi i wierzę, że ma rację.

– Policja go chroni.

– Nie, wprost przeciwnie. Uwierzcie mi.

– Skoro nie on, to pewnie wyjdzie po paru miesiącach – rzuca Rena.
– I wtedy będziemy się tym martwić – ucinam.
– Ale on nie pobił cię dlatego, że szukałaś zabójcy Lucka – tłumaczy Edgar. – Pobił cię, bo trzymasz z nami.

– Nie rozumiem.

Bierze głęboki wdech. Mówi głośno i powoli, z zamkniętymi oczyma:

– To nie ma znaczenia, kto tak naprawdę zabił Lucka. Każdy chciałby to zrobić, Pazina.

– Nie każdy.

– Dziewięćdziesiąt procent społeczeństwa, Pazina. My irytujemy ludzi. Psujemy im jakiś porządek, który mają w głowach. Jesteśmy dla nich rozpieszczeni i brzydki. Tylko im przeszkadzamy. Mają nas dość.

Rozumiem go. On też ma dość. Jest sfrustrowany. Zmęczony własnym strachem. Ale nie widzi wszystkiego. Jest na samym początku drogi. Dostrzega tylko to, co jest najbliżej.

– Zobacz, to wszystko dookoła... ja myślę, że idzie wielka zmiana. I ty jesteś jej częścią, wszyscy jesteście. I to jest dobre.

– Pytanie, czy ta wielka zmiana to zmiana na lepsze – rzuca Wiktor.

Nie wiem, co mu odpowiedzieć. Przecież nie mogę mu niczego zagwarantować.

Zamykam oczy. Próbuję znaleźć jakąś prostą błogość – w słońcu padającym mi na twarz, rozgrzewającym pęknięte miejsca. W głosach z oddali, w śpiewie ptaków, w tym zabawnym, kompletnie obcym języku.

– Cokolwiek by się działo, dla ludzi będziemy dziwadłami, Pazina.

Jakby na dowód słów Wiktora obok nas przejeżdża na rowerach rodzina z dziećmi. Patrzą na nas, odwracają wzrok. Mówię im „dzień dobry”, głośno. Nie odpowiadają.

Podsuwam się do Wiktora, ściągam mu czapkę i czochram go po włosach. Irytuje się, że traktuję go jak dzieciaka.

– Nie jesteś dziwadłem.

– Może nie jesteśmy dziwadłami, ale nie potrafimy się w ogóle zorganizować – ciągnie Edgar. – Zobacz, całe nasze życie to socjale. Nie mówię „nasze” w sensie tylko nas tutaj. Nasze, czyli nas wszystkich. Niby mamy tak samo przesrane, ale tak naprawdę tylko robimy sobie inby, dramy, wykluczamy się nawzajem. Może dlatego, że sami znamy tylko wykluczenie? Sami jesteśmy dla siebie oprawcami. Wszyscy histeryzujemy, tylko każdy w innym kierunku. Jak mamy cokolwiek zrobić?

Patrzę na nich, na każdego po kolei. W słońcu są najprawdziwsi. Są moim plemieniem. Tak jaśni, że aż nadzy. Dzielni i piękni, i potwornie silni.

– Wcale nie musi tak być – odzywa się nagle Wiktor.

– A jak ma być?

– Możemy kogoś zainspirować. Zrobić coś wielkiego.

Nie przerywam im. Nie wtrącam się. Niech rozmawiają ze sobą.

Pryszcze, blizny, szminki, kreski. Łzy, uśmiechy, tiki, paznokcie. Strach, ból, życie, miłość.

Nie chciałabym mieć teraz piętnastu, siedemnastu, dwudziestu lat. Gdybym musiała wybrać, wolałabym mieć osiemdziesiąt.

Wszyscy jesteśmy winni im przeprosiny.

– Tu nie chodzi tylko o wykluczanie różnych osób. Tu w ogóle chodzi o przyszłość. O następne dziesięć, piętnaście lat. Zobacz, nasi rodzice kombinowali, jak wybudować dom. My będziemy kombinować, jak zdobyć tyle wody, żeby raz w tygodniu się umyć.

– I co z tego? Myślisz, że ktoś o tym myśli? Tak serio? – mówi Przem.

Ma rację. Większość ludzi na horyzoncie w najlepszym razie ma najbliższe Boże Narodzenie.

– Ale można ich zmusić, aby traktowali to poważnie – odpowiada Wiktor.

– Tylko wtedy właśnie jesteś naziem. Jeśli zmuszasz ludzi do myślenia w jakiś konkretny sposób – zauważa Przem.

Kręcę głową. W końcu się wtrącam.

– Nie wiem, czy można kogoś zmusić do myślenia w określony sposób. Myślę, że nawet torturowany człowiek powie tylko coś, co chce usłyszeć torturujący. Ale dalej będzie myślał tak, jak myśli.

Spoglądam na Wiktora. Zmienił się, czymś obrósł, coś zyskał. Wzmocnił te mięśnie, które trzymają głowę w górze.

– Macie rację, zasługujecie na to, by się bronić. Że jesteście super. Jesteście, kurwa, wspaniali.

Cienki papieros tylko rozdrażnia mi dziąsła. Wrzucam go do pustej butelki, z cichym psyknięciem gaśnie w ostatnim łyku piwa.

– Pazina, gadasz trochę jak coach z TikToka. Ty sama myślisz o sobie, że jesteś w porządku? Tak po prostu? – To Rena, dziewczyna, którą mama chciała egzorcyzmować. Ma teraz bardzo krótkie włosy, a nad lewym uchem wytatuowany mały pentagram.

– Jasne, że nie. Ale próbuję. Próbuję tak myśleć.

Kolejni ludzie przebiegają obok, parka po czterdziestce. Mają czerwone twarze, szybkie oddechy, bidony w dłoniach.

– Dzień dobry! – wołam za nimi.

Nie reagują.

– Dzień dobry! – krzyczę głośniej.

Zatrzymują się. Facet rozkłada ręce. Podchodzi do mnie lekko poirytowany, pyta, o co mi chodzi.

– Dzień dobry – powtarzam.

– Dzień dobry? – odpowiada niepewnie.

– Widzi pan, to takie proste.

Patrzy na mnie jak na kretynkę. Biegnie dalej. Wznoszę za nim toast butelką ze zgaszonym papierosem.

– Zasługujemy na przykład, by nam odpowiadać na dzień dobry – mówię.

Są moim plemieniem. Prawdziwym. Umrę za nich.

Wyciągam się na ziemi, zamykam oczy. Ciepło słońca sięgającego przez liście kładzie mi się na bliznach, siniakach, pęknięciach.

I znów je czuję, te zrosty ze złota. Ból nie jest już ogniem, lecz rozżarzonym popiołem, niedługo zgaśnie. Mogłabym teraz zasnąć, tak po prostu. Bez tabletek, bez kilogramów jarania. Mogłabym zasnąć, bo jestem bezpieczna.

19 PAŹDZIERNIKA 2020

Wchodzę do domu brudna i ciężka.

To się stało, to się nie odstanie. To było szybkie i bardzo dziwne, zawstydzające jak chyba nic wcześniej. Próbowałam sobie wyobrazić, że to obcy człowiek z Tindera. Próbowałam myśleć, że zrobiłam to z nudów.

Naiwne nadzieje łomoczą o ściany czaszki jak stado pijanych bokserów. To wciąż on. Twój przyjaciel. Źle skręcił. Zdarza się. Zawsze można zawrócić. Czasami trzeba nadrobić mnóstwo kilometrów, ale to jest możliwe. Możesz go złapać za rękę i stąd wyprowadzić. Możecie gdzieś razem uciec. To może się stać. Jeszcze.

Lucek. Te wszystkie inne dzieciaki. On nie zabił ich z premedytacją. On to robi, bo zainstalował sobie we łbie jakąś kolejną przedziwną filozofię.

Pewnie w tej Argentynie nie miał nikogo, kto by go sprawdził, wybił mu to z głowy. Jacek myśli za szybko, za bardzo inaczej. Jest autystyczny. Inny. Trzeba go ciągle kontrolować.

Stop. Stop, kurwa.

Ewka powiedziała kiedyś: gdy rozpaczasz nad kimś, kto odszedł, rozpaczasz też nad całą energią, którą w niego włożyłaś. Bo wydaje ci się, że włożyłaś ją bez sensu.

Usprawiedliwiam go, bo chcę go ocalić. Sprawić, aby zmartwychwstał stary Jacek. Ten, który miał w sobie rozum i godność człowieka, który potrafił rysować nieprzekraczalne linie.

Zobaczyłam go pod Pałacem Kultury. Wyglądał, jakby uciekł z łagru. Był złamany i chory, chyba uzależniony. Boże, muszę ci pomóc, pomyślałam. Tak bardzo za tobą tęskniłam, tak bardzo tęskniłam, chuju. Cokolwiek mu się przytrafiło, zmieniło go na zawsze. Miał inne oczy, twarz, głos. Ale to wciąż był Jacek. Mój kolega.

Biorę długi, gorący prysznic. Nie pomaga.

Matka cały dzień gotowała. Teraz ciągle gotuje, dużo i dziwnie. Zapiekanki, pieczenie. Wielkie garnki rosółu. Dania, które były wymyślne w latach dziewięćdziesiątych – rolady, klopsy w sosach. Gotowała takie rzeczy, gdy żył ojciec i wydawali przyjęcia dla znajomych. Potem wozi to żarcie Azyłowcom, a oni go nie chcą, bo przecież prawie nikt z nich nie je mięsa. Ja sama jem tylko po to, aby tego nie marnować. Resztę dostają psy. Próbuję wytłumaczyć mamie, że im prościej i praktyczniej, tym lepiej. Zrób garnek ryżu, wrzuc jakies warzywa. Kup fasolę, ugotuj z pomidorami, po prostu. Mama nie odpowiada. Spina wszystkie mięśnie, byle tylko nie wejść w dyskusję. Nie prowokuję jej. Ona nie prowokuje mnie. Nakładam sobie trochę rosółu i siadam przed telewizorem. Matka ogląda jakiś kretyński serial.

Proponuję jej, by wykupiła jakiś serwis streamingowy, nie będzie mieć reklam co piętnaście minut. Odpowiada – jak nie ona – że jej reklamy się przydają, bo przynajmniej widzi nazwy nowych leków.

Gdy wymawia to słowo, coś wpada jej do głowy.

– Martula... słyszałaś o tych... jak to się nazywa... te robaki świecące...

Patrzę na nią uważnie.

– Świetliki?

– Tak. Te zielone kapsułki.

– To są narkotyki, mammo.

– Och, na miłość boską, jestem lekarką, wiem, jak działa morfina!

– Mamo, to są twarde narkotyki.

Zamiast na mnie spojrzeć, gapi się w ekran, w bohaterów starego amerykańskiego serialu mówiących głosem polskiego lektora.

– Ale czemu o to pytasz?

– Biodro, wiesz... już od dawna – mówi cicho. – Powinnam zrobić protezę, no ale... no i ojciec. Ojciec. Ciągłe on.

Pojedyncze, rwane słowa z trudem przeciskają się jej przez gardło. Kładzie dłoń na łbie jednego z leżących obok psów, aby pomóc sobie w mówieniu.

– Jest tu, i przez to jeszcze bardziej go nie ma. Nie wiem, czy rozumiesz. Jak masz kogoś w ciele i masz w głowie, Martuła, to jest nie do zniesienia wtedy.

– Rozumiem.

– Jeszcze nie rozumiesz, Marta. Jeszcze nie.

Zapała papierosa, choć oczywiście nie powinna. Trudno. Przez chwilę jest inną matką, taką, która się na mnie nie mści.

– Marzenka Stanisławska, wiesz która. Mówi, że to na nią wspaniale działa. I pomyślałam... pomyślałam, że może ty...

– Pomyślałaś, że załatwię ci narkotyki, mammo? – Z jakiegoś powodu twarz najbardziej boli mnie wtedy, gdy zaczynam płakać. – Ludzie na to umierają, mammo. Przemek, ten duży chłopak, on się od tego ledwo nie przekręcił. Lucek...

Macha ręką, abym przestała. Sama zaczyna płakać, jak dziecko, nie widziałam jej takiej od dekad. Jest jej wstyd, bo nie umie tego powstrzymać. Jakby rozebrała się do naga. Próbuje wymawiać słowa, ale udaje jej się tylko wyduszać pojedyncze sylaby. Bu, mu, du.

Przytulam ją nieporadnie, chyba pierwszy raz w życiu. Ciii, mammo. W moich ramionach wydaje się drobna jak dziewczynka. W końcu wykrztusza:

– Nie rozumiesz, Martuła.

– Doskonale to rozumiem – szepczę. – Nawet nie wiesz jak bardzo.

Jacek wrócił, ale nie wrócił. Jacek jest, i przez to jeszcze bardziej go nie ma.

Mam go w ciele i mam w głowie, i to jest nie do zniesienia.

W kieszeni byczy mi telefon. Odsuwam się od mamy, wstaję. Nieznany numer. Odbieram dopiero w kuchni.

– Marta Pazińska. Tu Marek Żakowski. Od paru dni próbuję się do pani dodzwonić. – Przez telefon jego głos jest jeszcze bardziej opresyjny.

– Byłam zajęta – mówię mu, chociaż nie muszę się z niczego tłumaczyć.

– Usłyszałam od podinspektor Kotlewskiej, jakie ma pani wymagania.

– Wymagania?

– Pani traktuje współpracę z nami jako jakąś transakcję. Przepraszam, ale pani nie jest tutaj żadnym podmiotem.

Słucham go, wpatrując się w garnki pełne jedzenia. Rosół, tłuczone ziemniaki. Mięso w sosie. Marchewka z groszkiem. Mama kroїła marchewkę ręcznie, nie uznaje tej mrożonki.

– Zrobiłam, co pan chciał – odpowiadam przytłumionym głosem. – Spotkałam się z Niteckim.

– Na bzykanko w lesie.

– Nie rozumiem.

– Mój człowiek za panią jechał. Nitecki coś pani powiedział? Cokolwiek istotnego?

Odruchowo biorę łyżkę i wsadzam sobie do ust ohydny ziemniaczaną breję. Żując i połykając, uspokajam oddech.

– Niech się pan zapyta swojego człowieka, skoro tam był.

– Nie pyskuj. Słyszałaś coś czy oprócz gęby zatkał ci też uszy?

Twarz boli nie tylko przy płaczu. Boli również, gdy mocniej zagryźć zęby.

– Nie mów tak do mnie, ty skurwysynu.

Myślę, że nawet psom matki to nie smakuje. Po prostu nie zwracają uwagi na smak. Instynkt każe im żreć, nawet jeśli coś wydaje im się wstrętne. Lepiej się otruć, niż umrzeć z głodu, myśli ciało psa.

– Pani Marto, jak prościej mam to pani powiedzieć? My prowadzimy śledztwo w tej sprawie. A pani jest głównym podejrzanym.

Twarz znowu boli, jakby zaczęła pękać.

– Mamy trochę ciekawych zeznań. Mama tego chłopca twierdzi, że proponowała jej pani pieniądze...

Dłoń z telefonem opada wzdłuż ciała. To, co mówi Żakowski, zamienia się w ciche bzyczenie. Jest wielkości pluskwy. Tak powinien brzmieć.

– Martula?

– Zaraz, mammo.

– Martula, ale tu ktoś do ciebie.

Naiwna nadzieja, znowu. To Jacek, który przyszedł mnie przeprosić. Powiedzieć mi, że się pogubił, a teraz zrozumiał. Jacek, który mówi: nie chcę się sobą brzydzić.

– Martusia. Jakiś kolega.

Że jedyny ratunek to być kimś odrobinę lepszym. Przynajmniej próbować.

W drzwiach wejściowych stoi Kurtka, brudny i zarośnięty, chudszy o dobre kilka kilogramów. Przyciska do piersi zip бага.

Orientuję się, że połączenie z Żakowskim nadal trwa, typ wciąż coś gada. Czerwona słuchawka, tryb samolotowy. Wciągam Kurtkę do środka. Zamykam drzwi na klucz, a jemu każę iść za sobą.

– Dzień dobry, Olek jestem – przedstawia się Kurtka mojej mamie.

Odruchowo się spinam, czekam na jej reakcję. Ale mama tylko patrzy zdeorientowana, jak nie ona.

– Za parę minut wracam – tłumaczę.

Prowadzę go na piętro. Na ścianach zdjęcia rodziców i potworne obrazy, zachody słońca nad Bałtykiem, panoramy ze zgubioną perspektywą. Przechodzę do pokoju, który był kiedyś moim pokojem. Teraz stoi tam odłączona bieżnia i przedpotopowy komputer na drewnianym biurku.

– Skąd wiesz, gdzie mieszka moja mama, i skąd wiesz, że tu jestem? – pytam.

– Chłopak za tobą pojechał wczoraj, wiesz, o co chodzi.

– Nie, Kurtka, nie wiem, o co chodzi.

– Jest gruz w chuj.

– *Story of my life*, Kurtka.

– Myślę, że twoje przejebane i moje przejebane są, wiesz... jak dwa podzbiory tego samego zbioru? Tak?

– Nie jestem geniuszem matematycznym tak jak ty, Kurtka.

– Chodzi o to, że możemy sobie pomóc. – Ogląda swoje dłonie. Jest totalnie zaniedbany. Śmierdzi jak człowiek w ciężkim kryzysie. – Ty, mogę wziąć u ciebie prysznic? – pyta.

W głowie mam te wszystkie zdania, które powinnam mu teraz powiedzieć. Masz tu więcej nie przychodzić. Masz się nie pokazywać. Bo policja... Jaka policja?

– Jak nie, to luz. Spróbuję gdzieś indziej – mówi.

Proszę, aby poczekał.

Pokój obok to magazyn rzeczy po ojcu. Są tu dyplomy i książki poupychane w kartonach, są dziesiątki koszul, swetrów i płaszczy w czarnych foliowych workach opisanych przez mamę. Rozpruwam ten z przyklejoną kartką „ubrania codzienne”. Kurtka stoi za mną, obserwuje mnie w milczeniu. Znajduję jakiś stary dres pумы, spraną koszulkę z logo towarzystwa ubezpieczeniowego, gacie i skarpetki. Wręczam mu ten zestaw bez słowa. Ogląda go z półuśmiechem.

– Dzięki, mordo – rzuca.

Bez słowa zaciągam go do łazienki. Maszynka jednorazowa, pianka do golenia. Ręcznik.

– Ściągnij kurtkę, wypiorę ci ją.

Ściąga, ostrożnie.

– Ale w trzydziestu stopniach, mordko – zaznacza.

Niech będzie, wrzucam ją na szybkie pranie. Schodzę na dół.

– Kolega będzie tu spał – informuję mamę.

Spodziewam się gwałtownych protestów, ale ona tylko wzrusza ramionami.

Wracam przed drzwi łazienki. Stojąc pod prysznicem, Kurtka wydaje pełno dźwięków. Prycha, gwizdże.

– Lubisz mięso? – pytam głośno.

– Jestem mięsem, mordko! – odkrzykuje przez strumienie lejącej się wody.

W kuchni odgrzewam mu trochę maminyh specjałów. Po nałożeniu na talerz okazuje się, że trochę to góra żarcia, ale z garnków nic nie ubyło. Wkrótce Kurtka schodzi na dół. W starych i za dużych ciuchach mojego ojca wygląda tak samo jak w swoich. Jednak tu nie chodzi o ubranie, o flex, myślę, on po prostu jest, kim jest. Żre jak zwierzę, po prostu ładuje sobie żarcie do gęby, widelca używa jak wideł, połyka bez gryzienia. W końcu zamyka oczy, łapie się za brzuch. Głośno beka.

– Przepraszam – mówi i odgania sprzed ust nieświeże powietrze.

– No więc jak chciałbyś, żebyśmy sobie pomogli? – pytam go.

Patrzy na mnie uważnie. Coś mu się przypomina. Wbiega na górę, po chwili zjawia się z powrotem. W ręku ma swoją czarną samarkę. Otwiera ją, wyciąga plastikowe opakowanie po medycznej marihuanie. W środku jest kwiat. Podstawia mi pod nos, zanim zdążę pokręcić głową.

– Gorilla Glue, mordko. Trzy dychy THC. Kosa.

– Nie, nie chcę.

Nie chcę jarać teraz, nie w domu, nie przy mojej matce. I nie po tym, co stało się w lesie.

– Jak to nie chcesz? Pazińska Marta, co całą Warszawę przejara?

Kurtka pyta gestem, czy może sobie zrolować. Wstaje, znajduje mu jakąś plastikową tackę, zerkając przy okazji na mamę. Przysnęła przed telewizorem. W końcu jest późno. W telewizji powtórka wiadomości, znowu przemówienie ministra zdrowia. Facet wygląda, jakby ktoś porwał mu rodzinę i go szantażował. Nie chcę tego słuchać. Ale nie chcę też budzić mamy nagłym wyłączeniem odbiornika.

Pokazuję Kurtce, abyśmy wrócili na górę. Bierze talerz. Kończy jeść, wchodząc po schodach. Przechodzimy do jeszcze innego pokoju, w którym była sypialnia rodziców. Teraz ja tu śpię, w łóżku ciężkim od kurzu. Książki ojca wciąż leżą na szafce po jego stronie.

Jest jeszcze jeden pokój, na końcu korytarza. Pokój, w którym ojciec po pięciu latach nieodzywania się do mamy ostatecznie wyłączył się wyborową. Ten pokój jest zamknięty na klucz.

Kurtka, oparty o ścianę, wrzuca sobie do żołądka resztkę obiadu. Ociera usta, kładzie talerz na ziemi i zapala blanta. Zapach wdziera mi się do nosa, robi mi w mózgu kompletny bałagan.

– Ten koleś, Łukasz... No fart, że bardziej cię nie uszkodził.

– To ma być twoje przepraszam?

– Ty, a za co ja mam cię przepraszać? Zrobiłaś, co chciałaś. Widziałaś, co się dzieje.

– Przepróż mnie za to, że mnie wystawiłeś.

Nie odpowiada, strzepuje popiół na ziemię. Dym wchodzi do mojego ciała przez nos, przez uszy, przez usta.

– Wiedziałaś, że to nie Łukasz. I wiedziałaś, co może mi zrobić.

Patrzy na mnie. Ma oczy dużo starszego mężczyzny.

– Przepraszam. Miałem z nim temat. Chciałem go dojechać, skaleczyć. Najmocniej, jak się da.

– Nie obchodzi mnie, co miałeś i co chciałeś. To cud, że wciąż mam twarz, Kurtka.

Rozkłada ręce. Jest poirytowany, ale szczerzy.

– Przepraszam.

Chyba jednak chcę tego jointa. Chyba na pewno. Podaje mi jointa z lekko parszywym, zwycięskim uśmiechem.

– Wiedziałem, mordko, że dwa razy nie trzeba cię prosić.

To dobry strain. Potwornie mocny, pałący gardło. Od razu wałący w głowę i w nogi, zgęszczający krew. Dobry. Nie, kurwa, wspaniały. Zamykam oczy.

– Wiesz w ogóle, co się dzieje? Dobrze ten twój były się rozgościł na rewirach, co?

– Były przyjaciel.

– Były to były.

– To też mnie nie obchodzi – wyduszam z siebie.

– Myślę, że trochę kłamiesz, mordko. Obchodzi cię to.

Oddaję mu blanta i otwieram okno.

– Zrobili z nas frajerów. Przecwelili nas, co nie. Zresztą to już było wiadomo, jak widzieliśmy się ostatnio. Tylko od tamtej pory pojawił się jakiś pomysł, co z tym zrobić. Coś sobie rozkminiliśmy.

– My czyli kto?

– Ja i paru chłopaków. Przyznam ci się, że ja na początku byłem ciut kruchy w tym temacie. Chciałem się ukreścić, schować. No, ale nie. Tak się jednak nie robi. Nie spierdala się, gdy deszcz pada. Czy jakoś tak. Mylą mi się te przysłowia pojebane. – Zaciąga się jointem, po czym znowu podstawia mi go pod nos.

Zaciągam się.

– Duch. Potrzebujemy się z nim spotkać. Porozmawiać po prostu.

Śmiech zaczyna się głęboko w brzuchu, wzbiera, idzie przez przeponę i wybucha, wydostając się na zewnątrz. Śmieję się jak szalona. Śmieję się, jakbym się upaliła samym dymem. Kurtka także zaczyna się śmiać.

– I co cię tak bawi, co? – pyta.

Bawią mnie resztki ziemi pod paznokciami. Bawi mnie wizja sprzed kilku chwil, Jacka na wycieraczce. Bawi mnie soundtrack, który podłożyłam do tego w myślach. Bawi mnie to, że gram tytułową rolę w smutnym sitcomie o Marcie Pazińskiej.

– Gdy wchodziłeś do domu, dzwonił do mnie policjant, który chce tego samego.

– Jasne, że tak. Czemu miał nie dzwonić? Próbują go dojechać, tylko zabierają się do tego jak banda chuja. – Znów się zaciąga. Patrzy tym swoim wzrokiem mówiącym „rozkminiam cię”. – Ale oni nic dla ciebie nie mają. – Przystawia mi jointa bardzo blisko twarzy.

– Mają dużo. Mają zeznania matki chłopca.

– Wiem coś o dzieciaku. To znaczy, wiem. Domyślam się.

- Oferujesz mi swoje domyślanie się?
- Tym razem cię nie wystawię. Obiecuję.
- Twoje obietnice są chuja warte.

– Jak każde obietnice. Wiem, kto zabił dzieciaka. Serio wiem.

Jeszcze raz biorę blanta. Jest pyszny, słodki, żywiczny. Znowu zamykam oczy. Ta ulga, odciąć się na chwilę od wszystkiego, ale dalej istnieć w takim skromnym, małym wymiarze.

- Jaką miałeś sprawę z Łukaszem?

Kurtka, którego znam, gaśnie jak przepalona żarówka. Przypomina mi się tamten moment u niego w mieszkaniu. Moje pytanie, czy kogoś ma. Wtedy zrobił to samo. Zgasł.

– Była taka dziewczyna, w sensie... no i on... Gdyby nie on, żyłaby pewnie dalej. Niby nie chciał nic zrobić. No, ale jest, jak jest. Nieważne, Marta. Dasz Niteckiego, dostaniesz numer telefonu.

Spokój kiełkuje, rośnie. Rozlewa się po całym ciele. Wędruję po nim, przez palce u stóp aż do czubka głowy.

Jest dziwny. Trochę nie na miejscu. Może wynika z przekroczenia ostatniej granicy wytrzymałości.

– Ta osoba będzie już trochę nastraszona. Powie ci, co jest cięte. Może nawet da ci jakieś nagranie.

- I co dalej?

– Dalej zrobisz, co zechcesz. Pójdiesz na psy albo ogarniesz to inaczej.

Otwieram oczy. Stary Kurtka z powrotem się zaświecił. Stary Kurtka się uśmiecha.

- Tym razem cię nie wystawię. Serio.

– Co tak śmierdzi, Marta? – woła z dołu mama.

– No i wiesz, jeszcze jedna sprawa. Twój by... dobra, kurwa, to nie jest twój były, co nie. Duch i Dario, i cała ta banda, to oni w ogóle wpuścili świetliki do Warszawy. Sprzedawaliśmy ich towar, nawet o tym nie wiedząc. A potem nas sobie wzięli. Z chodnika nas podnieśli, ręką.

- Wiem o tym – odpowiadam.

Myśli, że blefuję.

- Wiem o tym od policji.

Marszczy się.

- Cokolwiek sprzedajesz, mam wszystko.

Zagryza zęby. Myślał, że pójdzie mu łatwiej.

- Ta osoba to też eskort. Mówią na nią Śliwka.

– Ta, którą pobił Łukasz? I to ona niby zabiła Lucka? – Podchodzę do okna. Gaszę jointa o parapet. Zostaje na nim czarne, okrągłe kółko.

– Nie, nie ona – mówi Kurtka po chwili.

– Marta? Co tam tak śmierdzi?! – krzyczy znowu matka.

– Żeby było jasne, my tylko chcemy z nim pogadać.

– Pogadać.

– Wytlumaczyć swoje stanowisko.

Wyrzucam gwizdek za okno, zamykam je. Pokazuję Kurtce, abyśmy wyszli na zewnątrz.

Matka stoi na półpiętrze. Słyszy wszystko, ale niczego nie rozumie. Ma teraz spojrzenie matki sprzed kilku tygodni, o wszystko złej, ciągle rozczarowanej. Matki, która czerpie siłę z bycia lepszą osobą od własnej córki.

Kurtka patrzy jej w oczy. Odwraca się do mnie.

– Co się dzieje, Marta? – naciska ona. – Nie oszukasz mnie. Nie powiesz mi, że nic.

– Zejdź na dół, mamó. W tym momencie.

Czerwienieje, w gardle wzbiera jej krzyk, ale skun postawił między mną a nią brudną, kuloodporną szybę. Mama może robić, co chce.

– Bardzo chciałabym wiedzieć, co dzieje się w moim domu! O tej porze! – krzyczy, i w tym krzyku oprócz furii jest też bezsilność.

– Kolega nie będzie tu nocował, mamó. Tyle się dzieje.

Już w ogóle nie boli mnie twarz. Nie ma w niej żadnych pęknięć, między pęknięciami żadnego złota. Jestem gładka. Jednolita, lekko brudna. Od smaru i krwi.

– Po prostu go do nas przywieziesz. Pogadamy z nim. Nic więcej. Szybka bajera. Włos mu z głowy nie spadnie. Pomyśl – mówi Kurtka, po czym schodzi na dół. Gdy wymija matkę, ta łapie go za rękę.

– To jest ubranie ojca! – wrzeszczy. – Co ty zrobiłaś najlepszego! Co ty narobiłaś! Zdejmuj to!

Kurtka nie wie, jak zareagować, nie był przygotowany, że zaatakuje go kobieta chwilę po siedemdziesiątce. Matka zaczyna okładać go na oślep. Zbiegam na dół, odciągam ją, popycham na ścianę. Mama nieruchomieje, ale zaczyna piszczeć jak zużyta tarcza hamulcowa, jak gwóźdź przejeżdżający po tablicy. Robiła tak, gdy ojciec wytaczał się z pokoju i uderzał w nią z siłą rozpedzonego auta. Rozbijali się o siebie nawzajem, a ja uciekałam z domu. Kurtka, zdziwiony, rozciera sobie ucho. Szyba jest

gruba na dwa palce. Nie ma szans jej przebić, rozbić, spalić. Mama piszczy, ale szyba nie pęknie od tego pisku. Uderzam mamę w twarz z otwartej dłoni. Mama już nie piszczy. Mama przestaje.

W zupełnej ciszy słysząc pikanie pralki. Idę na górę. Gdy wracam z kurtką, mama ścieka po ścianie. Płacze histerycznie, ale bezgłośnie. Nie obchodzi mnie to. Wkładam monclera do foliowego worka, wciskam go Kurtce do ręki. On wyciąga go z worka, wkłada.

– Możesz poczekać, aż wyschnie.

– Wyschnie na mnie.

– Moja mama jest chora.

– Każda mama jest na coś chora. – Wkładając kurtkę, wzdryga się. – Zastanów się. Ale szybko, Pazina.

Kolejne ukłucie, w samym środku serca. Dawna i nowa twarz Jacka, przekształcające się w siebie nawzajem. Dawny uśmiech kontra woskowa maska upiora. Siła i czystość, które miał wtedy, a po których nie został nawet ślad.

Może po prostu przestał odgrywać to, co na nim malowałam.

Ale nawet jeśli był człowiekiem przez mimikrę, to wciąż był człowiekiem.

– Ja wiem, że on jest zwykłym bandytą – mówię.

– Nie, mordko, on nie jest zwykłym bandytą. Ja jestem zwykłym bandytą. Oni są jak Al-Kaida.

– Też tym handlowałeś. Też jesteś Al-Kaidą.

– Mordo, nie chodzi o to, co się robi, tylko po co się to robi. Wiesz, o co chodzi?

Wiem, o co chodzi, ale zrozumienie przychodzi powoli.

– On ma w dupie, ile tych dzieci umrze, Pazina. Serio. Oni w ogóle chcą, żeby to było legalne, łapiesz?

– Legalne.

– Tak, mordko. Jak w USA. Chcą, żeby ćpało to pół kraju. Wszyscy, starzy, dzieci, wszyscy. I są tak pancerni, że to zrobią. Mówię ci. Oni nie mają wstydu. Idą po bandzie.

Zrozumienie wygania nadzieję. Zrozumienie zamienia twarz starego Jacka w portret nagrobny. Zrozumienie, że kochałam się z obcym i złym człowiekiem, na zimnej ziemi.

To zawsze trwa zbyt długo. Zaakceptowanie, że daliśmy się nabrać. Zadaję Kurtce pytanie, ale robiąc to, odwracam twarz. Może znowu

uśmiechnąć się tak, jak uśmiechnął się, gdy podawał mi blanta. A ja tego nie wytrzymam.

– Załóżmy, że z nim pogadacie. Załóżmy że... się spotkamy...

– Załóżmy.

– Co możecie im zrobić, czego nie robi policja?

– A ty co możesz zrobić mordercy twojego dzieciaka, czego nie robi policja?

Nie pyta, czy wiem, o co chodzi. Wie, że wiem.

– Mordo, co jest tak naprawdę ważne?

Wyciąga z samarki plastikowy słóiczek i mi podaje. Chowam go do kieszeni.

– Zadzwoń do mnie. Szybko – mówi, wychodząc.

Zamykam drzwi i stoję bez ruchu. Minutę. Pięć. Dziesięć. Słyszę, jak matka oddycha. Wciąż siedzi na schodach. Zanim sama wyjdę z tego domu, wyłączam telewizor.

23 PAŹDZIERNIKA 2020

Nie powinno mnie tu być. Powinnam być gdzieś daleko, jak najdalej. W takich chwilach na niektórych ludzi spada łaska dysocjacji. Widzą siebie z boku. Oglądają film. Nie ja, nie teraz. Ja jestem wbita w zatrzymany czas jak gwóźdź w ścianę.

– Jak pani tak bardzo się upiera, może siedzieć w poczekalni. Ale nikt pani nie wpuści. – Głos lekarza jest monotony, spokojny.

Tkwią na krześle. To wszystko było krótkie i straszne. Krótkie jak życie. Straszne jak wieczność. Przestań filozofować, Pazina. Przestań pierdolić.

– Kim jest ten człowiek? – pyta Wiktor. Uparł się, że tu przyjedzie. Że mnie nie zostawi.

Nie umiem mu powiedzieć, kim jest Jacek. Kim Jacek był. Kim się stał. Nikt nie wie. Nikt się nie dowie.

– To twój przyjaciel?

– Poznałeś go – odpowiadam.

– Pamiętam, przyszedł do twojego mieszkania. No, ale to nie jest odpowiedź na pytanie, czy to był twój przyjaciel.

Nie odpowiadam, bo nie znam odpowiedzi. Wiktor jest mądry – rozumie, co to znaczy nie wiedzieć.

– Czytałem ostatnio, że przyjaźń umiera. W sensie, ludzie już się nie przyjaźnią. Nie ufają sobie, nie mają też dla siebie czasu. Myślą, że tego nie potrzebują. A ja uważam, że to gówno prawda.

Wyciąga telefon, włącza kolejny filmik, z drona. Dziesiątki tysięcy ludzi na Żoliborzu, idących placem Wilsona. Las głów lśniących w ciemności. Zaczęli wczoraj, po ogłoszeniu wyroku.

- Oni wszyscy są przyjaciółmi – mówi.
- Jutro, za tydzień, już nimi nie będą.
- Ale są nimi teraz.

Nie mam siły mu tego mówić, ale z mojej perspektywy „tu i teraz” jest cholernie przereklamowane.

Jednak faktem jest, że ludzie wyszli na ulicę. Wyłamali kraty w oknach. Spoliczkowali śmierć. Powinam być z nimi, nie tutaj, nie w tym bezsensie, przyśrubowana do plastikowego krzesła siłą, której nawet nie potrafię nazwać. Wiktor był z nimi i zaraz do nich wraca. Ma wymalowany na twarzy czerwony piorun, jak David Bowie na okładce *Alladin Sane*. Teraz widzę tylko jego czubek, resztę zasłania maseczka.

- Miałaś rację, wtedy, na pikniku. Zasługujemy na to, by się bronić.

Wiktor niósł karton z hasłem NAWET ŚWIETLIKI MAJĄ LEPSZY SKŁAD NIŻ RZĄD. Policjant w cywilu zaatakował osobę obok. Wiktor dostał kopa w brzuch, rzucono go na ziemię, ktoś szarpnął go za włosy, ktoś inny nazwał go małą głupią pizdą, która zaraz dostanie nauczkę. Wiktor podrapał temu komuś twarz do krwi. Przemknął się między ciałami, wydostał się z policyjnego pierścienia.

Ściskam go za rękę.

- Miałaś rację dużo częściej, niż ci to przyznawaliśmy.
- To nie ma znaczenia.
- Kochamy cię, Pazina.
- Dziękuję.

Ludzie wyszli na ulicę, bo rząd zabawił się rzeczywistością. Aby odwrócić uwagę od kolejnych złodziejstw, lewych interesów, nakazał kobietom rodzić martwe i uszkodzone płody. Ja też powinam być na ulicy. Powinam czuć wściekłość, płonąć potężnym ogniem. Wszystkie kobiety, wszystkie osoby, które chcą po prostu nie być karane za bycie sobą – wszyscy ci ludzie są teraz moją rodziną, a ten moment jest jak święto. Święta spędza się z rodziną. Po to je wymyślono.

Ludzie są razem. Ludzie ryzykują zarażenie się chorobą. Ludzie są bici i aresztowani. Ludzie krzyczą. Ludzie chcą wolności. Ludzie są.

A pośród nich Besia. Być może trafiła do aresztu. Od dłuższego czasu nie odpisuje na wiadomości.

– Ona sobie poradzi – pociesza mnie Wiktor. – Wszystko będzie w porządku, Pazina.

Jasne, że sobie poradzi. Jasne, że będzie dobrze. Kiedyś, gdzieś, komuś.

– Ten człowiek, który tam leży... – zaczynam i nie kończę.

– Myślisz, że leży tam przez ciebie?

„Tam” oznacza dalszą część OIOM-u, znajdującą się za jednolitymi niebieskimi drzwiami, obok których stoi para ochroniarzy. „Tam” oznacza podłogi pokryte linoleum. Białe kafelki. „Tam” oznacza szelest maszyn, bzyczenie elektryczności, szum pomp.

Nie odpowiadam, a on ściska moją dłoń. Każdy paznokieć ma w innym kolorze tęczy i na każdym – inną literę. Wszystkie razem układają się w napis LGBTQ POWER. Dla niego nie ma znaczenia, kto to zobaczy. Napisał to sam dla siebie.

– Powinieneś napisać WIKTOR POWER – mówię.

– Tu nie chodzi o mnie.

– Jasne. Przepraszam.

Odwzajemniam uścisk. On powtarza swój. Rozmawiamy ze sobą uściskami.

– Pazina, cokolwiek się stało, to ten człowiek cię w to wkręcił. To jego wina.

Drzwi się otwierają, ale nie patrzę, kto przez nie przechodzi, skupiona na Wiktorze.

– Skąd to wiesz, co?

– Bo cię znam.

– Pani inspektor, przecież zna pani... – To głos lekarza, ale zaraz inny głos, znajomy, przecina tę wypowiedź na pół:

– Wpuście ją tam na moją odpowiedzialność.

Ewelina ma czarnego flyersa, na piersiach odznakę na łańcuchu. Nie ma nawet grama makijażu. Jest inna. Jest silniejsza i bardziej wolna. Ale nie wiem, czy ma to cokolwiek wspólnego z tym, co się dzieje w mieście. To nie jest zbiorowe, polityczne. To jej własna zmiana.

Wiktor podskakuje na jej widok, na początku nie rozumie, o co chodzi. Ale uspokaja się, gdy ich spojrzenia się spotykają, gdy Ewelina się

uśmiecha.

– Jebać tych debili – mówi.

– Jebać ich – odpowiada Wiktor, bardzo nieufnie.

Ewelina pokazuje mi, że mam wstać. Mam iść za nią „tam”. Mam iść w stronę szumu pomp, w stronę białych kafelków.

– Pani była w Azylu – odzywa się nagle Wiktor – pamiętam panią.

– Ja ciebie też pamiętam. Pilnuj się, dziewczyno.

– Wiktor woli, żeby mówić do niego... – zaczynam, ale on natychmiast przerywa. Wyciąga rękę do Eweliny.

– Jestem Wiktor. – I posyła mi spojrzenie, które doskonale znam. Spojrzenie: nie musisz mi matkować.

– Jestem Ewelina. Pilnuj się, Wiktor.

Muszę włożyć biały kombinezon ochronny z idącym przez całą długość niebieskim lampasem. Ewelina podobnie. Gdy kończę zapinać swój, momentalnie robi mi się potwornie gorąco. Drzwi zamykają się za nami. Jesteśmy w kolejnym korytarzu, takim samym jak poprzedni.

Biorę głęboki wdech.

– Powiedz to, kurwa. Że gdybym się ciebie posłuchała, to...

– Nie mogłaś mnie nie posłuchać. – Patrzy na mnie, bardzo uważnie. – Nie mogłaś powiedzieć niczego Żakowskiemu ani dać mu Jacka. W sensie, mojemu przełożonemu.

– Nie rozumiem, co mówisz.

– Zaraz zrozumiesz. Chodź.

Daje mi znać, że mam iść za nią. Idziemy potwornie długo, całe tygodnie, o mało nie mdleję ze zmęczenia. Jacek jest na końcu tej drogi, Jacek jest za szybą. To znaczy ciało Jacka jest za szybą. Ciało Jacka jest zniszczone, tak powiedział lekarz. Jego czaszka, ręce i nogi są zmiżdżone w kilku miejscach, mózg został uszkodzony w stopniu uniemożliwiającym funkcjonowanie. Jacek jest sztucznie podtrzymywany przy życiu przez maszynę, tylko rodzice nie podjęli jeszcze decyzji o odłączeniu.

To nie jest kwestia szans ani prognoz, proszę pani. Jacek Nitecki nie żyje, powiedział lekarz.

– Mój przełożony i jego zastępca zostali trzy dni temu zastrzeleni. Brudna ruska egzekucja, jak z lat dziewięćdziesiątych. Nie mamy twardych dowodów, ale jesteśmy przekonani, że zrobili to Dario i Nitecki. To jest najpoważniejszy kaliber, Marta. To jest dwóch martwych oficerów policji.

Jacek jest ciemnym kształtem pod plątaniną rur. Jacek nie ma nic wspólnego z Jackiem.

– Dlaczego myślicie, że to on? – ledwo mówię. Przygnieciona czymś, czego nigdy nie powinnam być częścią.

– Bo mieli powody. Nitecki miał powód.

Ona też traci miejsce w płucach. Też jest przygnieciona. Ludzie w mieście wrzeszczą o wolność, tylko my dwie stoimy tutaj, bohaterki strasznej bajki, zaklęte w kamień.

– Mój szef zasłużył na to, co go spotkało – dodaje ciszej.

Nie wiem, o co jej chodzi. Próbuję połączyć ze sobą jakieś strzępki faktów, fragmenty zdań.

– To mój szef zabił jego siostrę. Ale wciąż... to dwóch martwych policjantów. Ty o tym nie wiesz. Nikt o tym nie wie i nikt się nie dowie.

Odwracam się tyłem, opieram o ścianę. Nie umiem już dłużej na niego patrzeć.

Jacek Nitecki umarł sześć lat temu, przed wejściem do hali odlotów lotniska Okęcie. Ostatnie, co do mnie powiedział: bardzo cię lubiłem.

Ewelina chwyta mnie za ramię. Zmusza, bym odwróciła się w stronę szyby i patrzyła na to obce ciało, gwałcone rurkami i kablami, obandażowane, zniszczone ciało, poruszane maszyną. To czysta przemoc, myślę. Dajcie mu spokój. Odłączcie go. On nie chce. Może nigdy nie chciał.

Parę dni temu próbowałam wskrzesić go z martwych. Ożywić trupa. Głupie nadzieje. Małe, głodne ptaki.

– W wydziale jednogłośnie zdecydowano, abym przejęła sprawę. Zgodziłam się. Mam teraz, oficjalnie, rozbić gang Daria. Nieoficjalnie: pomścić inspektora Żakowskiego. Oznacza to, Marta, że wiedziałabym, gdyby Niteckiemu zrobiła to policja. Więc powiedz mi, kto to zrobił?

– Ja mu to zrobiłam.

– A konkretnie?

Bokser traci najwięcej energii, gdy trafia w powietrze. Podobno wtedy najłatwiej go znokautować. Czasami trafiamy w powietrze swoją miłością. Czasami mamy przyjaciół, którzy nie mogą być niczymi przyjaciółmi. Czasami kochamy ludzi, którzy są wrogami całego świata. To jest prawdziwy nokaut, który zabiera połowę oddechów mających wystarczyć na całe życie.

– Obiecałaś, że mi pomożesz. Że znajdziecie mordercę Lucka. A potem powiedziałaś, że tak naprawdę nigdy nie chodziło o to, żeby mi pomóc.

Dociera do niej po krótkiej chwili. Rozumie, że się myliła, od samego początku. Jeszcze raz patrzy na Jacka.

– Myśleliśmy, że... byliśmy pewni, że jest dla ciebie kimś ważnym.

Był wielką fikcją. Był kimś złym. Ale ja – ja, Pazina, fajna laska z miasta, która wszystkich znała i którą wszyscy lubili, a która potem chciała wszystkich ocalić – jestem teraz taka sama jak on.

Kiedyś przyszedł do mnie do domu naćpany, zrozpaczony, uzbrojony. Myślał, że go zdradziłam.

Dopiero teraz zdradziłam go naprawdę.

– Musiałam dokonać wyboru – mówię w końcu.

– Gdy po raz pierwszy nawiązaliśmy z nim kontakt, powiedział nam, kim dla niego jesteś. Marek od razu chciał cię aresztować. Rozwalić ci życie, szantażować go tobą. Odgrodziłam go od ciebie.

– Udając, że mi pomagasz.

– Powinam cię wtedy skuć i zawieźć na komendę. Wiesz, zanim zabrali cię do Marriotta. Powinam zamknąć cię na czterdzieści osiem godzin, zanim skatował cię ten sadysta.

– Ale wiedziałaś, że twój szef jest jeszcze gorszy od tego całego Łukasza. To mi próbujesz powiedzieć?

– Tak. Już wtedy to wiedziałam.

Jakaś część mnie rozmawia z nią tylko dlatego, żeby nie słyszeć szumu pompy wtłaczającej w ciało Jacka zbędny oddech. Ten szum wchodzi w uszy, rozsadza je od środka.

Ewelina puka w szybę, jakby bezskutecznie próbowała go obudzić.

– Przejęłam śledztwo w sprawie tego chłopaka, aby cię chronić. Nitecki mnie o to poprosił.

– Nie mów tak.

– Nitecki się o ciebie troszczył.

– Nie mów tego, kurwa. Zabraniam ci. – No dobrze, otwieraj te drzwi. Otwieraj je. Niech to mnie zaleje. Niech się w tym utopię. Proszę cię bardzo. – Ja musiałam dokonać wyboru.

Chce coś powiedzieć, ale ciało bezwiednie ją hamuje. Zaciska pięści, spina mięśnie. Musi je obłaskawić, rozluźnić. Bierze głęboki oddech. Zamyka oczy.

– Ja cię nie oceniam. Nitecki chciał mnie zabić. Trwale przeraził moje dzieci. Obaj teraz moczą się w nocy. Nie chcą wracać do mieszkania, siedzą u babci. Może już będą pojebani do końca życia, Pazina. Stracili pień. Potem mnie porwał, przyglądał się, jak jego kumpel mnie torturuje. Ja się cieszę, że on tu jest, bo był gnidą. Ale też nie chciał, aby stała ci się krzywda. Taka jest prawda. Jak bardzo byśmy wszystko upraszczali, zawsze jest jakiś niuans i to jest całkiem śmieszne, co nie?

Nie, nie ma niuansów, myślę. Są tylko skorupy. Niech ktoś je zamiecie, wyrzuci do śmietnika. Pomiędzy łączeniami nie było żadnego złota. Nie jestem żadnym drogocennym naczyniem. Popłakałabym się, gdybym mogła, ale zamiast tego piszczę jak moja mama.

Nagle dzwoni jej telefon. Patrzy na wyświetlacz, momentalnie odwraca się od szyby. Gdy odbiera, odruchowo dotyka odznaki.

– Ewelina Kotlewska, słucham.

Daje rozmówcę na głośnomówiący, nie wiem, czy specjalnie. Mężczyzna krzyczy, próbuje się przebić przez otaczający go hałas, syreny, wrzaski, szum miasta, czyjś płacz.

– Dom ministra Kunickiego, za piętnaście minut. Musisz tam być.

– Bo?

– Ktoś wyrzucił mu córkę pod furtkę. Tę, która zaginęła.

– Wyrzucił.

– Teraz jest w helikopterze. Stan krytyczny.

– Jak bardzo krytyczny? – Z powrotem patrzy na nieczynne ciało pod pompą. Szum zaczyna pokonywać jej głos. Szum staje się wszystkim.

– Mamy blachy tego auta na kamerze. Te same były wtedy pod Marriottem.

Coś wypełnia ją od środka. Siła, o której myślała, że ją straciła. Momentalnie robi się wyższa.

Głos mówi dalej:

– To jest kompletna zmiana priorytetu.

– Myślałam, że ta zmiana już nastąpiła.

– To nie jest moment na docinki. Zmiana. Priorytetu.

– Fajnie, od pół roku wiadomo że mamy w mieście organizację terrorystyczną, która morduje ludzi narko...

– Nie bądź dzieckiem. Jeśli przyjedziesz tu za pięć minut, to będzie dalej twoja sprawa. Teraz to najważniejsza sprawa w Polsce.

Milczy, ale nie mam wątpliwości: oczywiście, że tam pojedzie.

– Po tej dziewczynce ktoś skakał – mówi głos. – A może jeździł samochodem. Jeśli nie umrze i nie umrze od ciężkiego covid, którego ma...

– Już. Jadę.

– Przepraszam, ale muszą panie stąd iść. – Lekarz, który nie chciał mnie tutaj wpuścić, pojawia się na korytarzu. I zanim Ewelina cokolwiek powie, dodaje: – Tylko niech pani mi tu nie macha tą odznaką. Ona już tutaj nie działa.

Ewelina chowa telefon do kieszeni i popycha mnie w stronę wyjścia. Idzie szybko, zmusza mnie, żebym za nią nadążyła.

– Teraz dasz mi wszystko, co ci powiedział. Nie, nic nie mów. Nie dyskutuj. Nitecki to twoja wina, sama powiedziałaś. Masz ostatnią szansę. – I nagle wsuwa dłoń pod moją maseczkę, dotyka twarzy, jakby chciała mi udowodnić, że ta jeszcze się nie rozpadła.

– Gdzie oni są, Marta?

Chcę jej powiedzieć, że przecież nic nie wiem. Ale jednak coś wiem. Coś pamiętam. Lekarz podnosi głos, Ewelina odpowiada mu szorstkim zdaniem z przekleństwem w środku. Otwiera niebieskie drzwi, przez które weszliśmy. Zamyka je lekarzowi przed nosem, zanim ten powie coś jeszcze. Szybko zdziera z siebie kombinezon.

Rząd krzeseł przy ścianie jest pusty. Wiktor musiał wrócić na demonstrację.

Coś wiem.

To miało taką idiotyczną nazwę.

W ostatniej wiadomości, którą mi wysłał.

Warszawa Jutra. Gala. Teatr.

Chciał mnie tam zabrać. Chciał mi pomóc. Powiedział: możemy otworzyć sto takich Azylów.

Nie widział w tym żadnej sprzeczności: zabijać ludzi, ich leczyć. Niszczyć świat lewą ręką, a prawą go naprawiać.

Wiadomość od Kurtki, na Sygnalu. W wiadomości pinezka z dopiskiem: „4.30”.

Dodaje, że mam, czego chciałam.

Czego chciałam?

Odpowiedź: chciałam, aby parę osób było bezpieczniejszych. Aby ich życie było odrobinę łatwiejsze.

Moi ludzie.

Moje plemię.

24 PAŹDZIERNIKA 2020

Wiktor odpisał dopiero dziesięć minut temu, o trzeciej trzydzieści, do tego momentu strach o mało nie rozsadził mi serca. Strach i trzy red bulle. Wiktor pisze: „Jesteśmy cali”. Besię wypuszczono z komisariatu, teraz jadą do mieszkania na Woli, wyczerpani i głodni. Policja podobno podrzuca demonstrantom świetliki, aby dołożyć im zarzuty za posiadanie, poza tym konfiskuje telefony. Domyślam się, jak się czują. Są na wojnie. Są pewni, że ją wygrają.

Nie ma sensu myśleć o tym, co zrobiłam. Muszę skupić się, co mam zrobić zaraz. Cel ułatwia wszystko. Cel wyznacza tor. Po obu stronach są zapory. Zapory to racjonalizacje. Racjonalizacja pierwsza, zabawna – nie wiedziałaś, że go zabiją. Kurtka mówił, że po prostu z nim porozmawiają. Rozumiałaś to jako – pobiją. Przystawią broń do głowy. Nastraszą. Tak sobie to zawsze wyobrażałaś. Tak pokazywali to na filmach. Racjonalizacja druga, moralna – zasłużył na to przez całe to zło, które wybrał. Świetliki. Dario. Zabijanie ludzi. Torturowanie kobiet. Cięcie im twarzy. To lepiej, że go nie ma. Lepiej dla wszystkich. Racjonalizacja trzecia, pragmatyczna – skoro robił to wszystko innym ludziom, co ostatecznie zrobiłby tobie? Zaczął od tego, że zabrał ci najważniejszą rzecz w życiu, nawet się do ciebie nie odzywając. Nie zwracał uwagi na nic i na nikogo. Chciał się o ciebie zatroszczyć? Gówna prawda. Racjonalizacja czwarta, prawdziwa – rzeczywistość zawężyła się do wyboru. Dam ci numer telefonu, powiedział Kurtka, albo ci go nie dam. Ktoś pokaże ci nagranie albo ci go nie pokaże. Ludzie będą myśleć, że to ty, albo nie będą tak myśleć. A ile czasu jeszcze Ewelina może cię chronić przed procesem, przed więzieniem? Publicznym ogóleniem głowy Marcie Pazińskiej, burdelmamie z piekła?

Prędzej czy później te zapory pękają. Wszechświat nienawiści, straty, wyrzutów sumienia w końcu zabierze mnie ze sobą. Umrę śmiercią kosmonauty wyrzuczonego w próżnię. To nie będzie zła śmierć. W kosmosie umiera się z braku tlenu, a podobno człowiekowi, z którego organizmu zaczyna uciekać powietrze, wszystko zaczyna się wydawać śmieszne. Umierając, przypomina sobie najlepsze kawały.

Każdemu na koniec jego własny dowcip. Kto to powiedział?

W końcu klikam w pinezkę, którą dostałam od Kurtki. Ulica Bakalarska. Giełda kwiatowa, warszawskie Chinatown. Więc dalej są na łasce Wietnamczyków – Kurtka i jego kumple, kimkolwiek są.

Jadę tam Azyłowozem, który przez ostatnie tygodnie stał na podwórku u matki. Czerniakowska, potem Wilanowska. Na Dworcu Południowym pojedynczy ludzie z kartonowymi transparentami. Są niewyraźnymi sylwetkami, ale i tak widzę ich gesty, ich rozgorączkowanie. Ich światło, inną elektryczność odcinającą się na tle półmroku. Zapach tej elektryczności, powietrza między dwoma wielkimi burzami, wpada do środka auta nawet pomimo podniesionych szyb. Dalej, bliżej Okęcia, ulice pustoszeją. Włączam radio.

– Protesty z powodu wyroku Trybunału Konstytucyjnego wstrząsnęły Polską. Pomimo restrykcji covidowych na ulice wyszło...

Nie, nie chcę tego słuchać. Wyłączam odbiornik. Skręcam przez tory w Bakalarską; trąbi na mnie tramwaj zjeżdżający do zajezdni, którego nie zauważyłam.

Pinezka pokazuje bar karaoke po lewej, jeden z kilkunastu działających tu lokali. To ulica z zupełnie innej czasoprzestrzeni, fragment Azji w Warszawie. W normalnym świecie, tym przed wirusem, codziennie zastawiona samochodami dostawczymi, ludźmi przebiegającymi przez jezdnię w każdym jej punkcie. Teraz – zupełnie pusta.

Jest czwarta dwadzieścia siedem. Drzwi do lokalu są zamknięte, w środku nie pali się światło. Piszę do Kurtki na Sygnale. Po trzech minutach na dół schodzi chłopak, chudy, młody Wietnamczyk w okularach i bluzie z Myszka Miki. Bez słowa wpuszcza mnie do środka. Gdy się odwraca, widzę pistolet zatknięty za pasek jego spodni. Przechodzimy przez hol udekorowany zwiędłymi roślinami w doniczkach i gigantycznym połączonym kotkiem machającym łapką. Chłopak kładzie mu dłoń na głowie.

Klub na piętrze jest pusty, ale nie zamknięty. W ogromnym telewizorze leci k-popowy teledysk, na ekranie tańczą dziewczyny sprawiające wrażenie szczupłych, kolorowych robotów. Chłopak wchodzi za ladę, nie zwraca na mnie uwagi. Mówi coś do kobiety nieruchomo wpatrzony w swój telefon. Ta nie odpowiada.

Zauważam ich dopiero po chwili. Siedzą w głębi sali. Kilkunastu. Stół przed nimi jest zavalony plastikowymi pojemnikami po żarciu. W rogu sali leżą rozłożone na ziemi śpiwory.

Na mój widok jeden z młodych mężczyzn wstaje. Wielki, napakowany chłop w obcisłej czarnej bluzie. Czekam, aż się z nim przywitam. Ale to on powinien przywitać się ze mną.

– Kurtka – mówię.

Koleś sięga po opartą o blat kulę i kuśtyka w moją stronę. Prawą nogę ma obandażowaną, na stopie zamiast buta, kłapek. Na wytatuowanej szyi widać część mozaiki, która pewnie pokrywa całą górę jego ciała. Czapka papieża, krzyż, górna część Polski Walczącej. Dobry chłopak. obrońca kraju.

– To ty.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– To ty go przywiozłaś.

Pilnuj się. Myśl o zaporach. Są lewe, zrobione z nieprawdy, ale jeszcze działają. Myśl o nich. Nie spadaj w próżnię na oczach tego łba i jego świty.

– Ja jestem Rafi.

– Fajnie, Rafi. A gdzie jest Kurtka?

– Też na niego czekamy. – Rafi wzrusza ramionami.

– Kazał mi być tutaj o czwartej trzydzięci.

– Nic o tym nie wiem... Pazina, tak? – Taksuje mnie wzrokiem. Raczej nie ocenia mojej przydatności jako samicy. Mój wiek i wygląd są zupełnie poza jego skalą.

Zadaję sobie w duchu jedno jedyne pytanie na temat Rafiego: czy to właśnie on zatłukł Jacka na śmierć? A jeśli tak, co o nim myślał, gdy to robił? Jak go widział?

Co namalował sobie na pustym Jackowym płótnie, aby to zrobić?

– Więc to ty prowadzisz ten przytułek dla ciot?

– A ty co robisz ciekawego w życiu, Rafi?

– Bronię moich ludzi.

– Przed ciotami?

– Nie, Pazina. Cioty to tylko cioty. Były, są i będą. – Wyciąga z kieszeni świetlika. Podstawia mi pod nos.

– Wiem, co to jest.

– To jest atak terrorystyczny na moje, kurwa, miasto, w którym się urodziłem. – Jego głos robi się donośniejszy. Ma przećwiczone przemówienie, którym chce mnie poczęstować. Ale ja go nie chcę. Nawet jeśli w tej jednej kwestii ma rację. Tak, to jest atak terrorystyczny.

– Słuchaj, ja nie wpadłam sobie poklimać.

– Ej! – Głos Kurtki za mną.

Ma na sobie tę samą kurtkę, w której był u mnie w domu. Tę samą, którą miał na sobie w Wólce. Jest albo ujarany, albo bardzo z siebie zadowolony.

Coś we mnie pęka.

Podchodzę do niego, biorę zamach. Nawet nie wiedziałam, że potrafię tak mocno uderzyć kogoś w twarz. Wnętrze dłoni boli, jakby ukąsił mnie szerszeń. Kurtka krzyczy, ale ten krzyk zaraz się urywa. Jego kolesie zrywają się zza stołu. Jeśli popatrzeć na każdego z osobna, nie są sklonowani – są plemieniem walczącym o terytorium, szukającym schronienia. Plemieniem takim samym jak moje.

Uderzam go jeszcze raz, i znowu, nad uchem, w głowę.

– Ej! Zostawcie! – krzyczy do kumpli.

Kolejny cios. Nie wydaje dźwięku, tylko bierze głębokie wdechy. Jeszcze raz. I jeszcze. Dopiero teraz zasłania się łokciami.

– Mówiłeś. Mówiłeś, kurwa, że po prostu z nim porozmawiacie.

Racjonalizacja numer jeden. Ta zabawna.

Ktoś łapie mnie za ramię, odciąga. Kurtka stoi bez ruchu, zasłaniając się łokciami. Wreszcie opuszcza ręce wzdłuż ciała. Na twarzy jest cały czerwony.

– Ja cię pierdolę, jaka córka, taka matka – ocenia po chwili, a ja potrzebuję trzech takich chwil, aby zrozumieć, o co mu chodzi. Pamięć, mózg rozbity na łupiny. Bez żadnego spoiwa w środku. – Siebie powinnaś pobić. Idź do łazienki, tam jest duże lustro. Będiesz się dobrze widzieć.

Ogolony, w wypranych ciuchach, wygląda lepiej niż tydzień temu. Ale wciąż jest w nim wielka pustka, zmęczenie nie do odespania.

– Zadałaś mi pytanie. Co możemy zrobić, czego nie może zrobić policja. Mordko, możemy zrobić wszystko. Wiesz, o co chodzi.

– Kurtka, nocujecie w piętnastu w barze karaoke.

– No niby tak, ale chodź ze mną.

Rafi staje pomiędzy mną a nim. Pokazuje Kurtce, że ma mnie nigdzie nie zabierać. Ale Kurtka nie słucha się Rafiego, on nie ma nad nim władzy. Łapie mnie za nadgarstek, pociąga za sobą za ladę. Bez słowa wymija chłopaka z bronią i kobietę z nosem w telefonie, którzy usiłują być niewidzialni.

Zaplecze. Są tu metalowe półki pełne worków z ryżem, przyprawami, mąką, detergentami w kilkilitrowych baniakach. Czuję ostry zapach sosu

sojowego i środka do mycia toalet. Kurtka prowadzi mnie w głąb tego pomieszczenia. Plastikowe skrzynki na chleb wypełnia broń: pistolety, karabiny, noże, maczety.

– Mam ci pogratulować? – pytam go.

– Nie, masz mi podziękować, że pamiętałem o tobie, chociaż to jest dużo większe niż ty.

– Po prostu mnie potrzebowałaś.

Kręci głową, jakbym powiedziała coś naiwnego.

– Oczywiście, kurwa, że tak. – Wciska w moją dłoń zgniecioną kartkę. – Nigdy nie kwestionuj mojego słowa. Nigdy nie mów, że coś mówię i potem to jest chuja warte. Nie jest. Jestem Kurtka. Moje słowo to wszystko, co mam.

Wypowiada to przesadnie teatralnym tonem. Dopiero po chwili dociera do mnie – używa tego tonu, bo wie, że widzimy się po raz ostatni.

Na kartce jest nabazgrany numer telefonu. Niektóre cyfry są dwuznaczne, upewniam się, czy dobrze je odczytuję. Kurtka patrzy na zegarek.

– To i tak na wszelki wypadek, bo ona za godzinę będzie w Nietoperzu.

Po prostu kiwam głową. „Dziękuję” to słowo zupełnie nieadekwatne do sytuacji.

Takiego go zapamiętam – chłopaka w drogiej kurtce noszonej jak resztką prawdziwej godności, opartego o plastikowe skrzynki z bronią. Chłopaka, który choć ma jeszcze w sobie coś ludzkiego, wie, że w jego sytuacji to balast. Jacek też o tym wiedział. I pozbył się tego balastu. Tak było łatwiej żyć i iść po swoje.

– Orientuj się – słyszę, gdy ruszam w stronę drzwi.

Odwracam się, patrzę mu w oczy, nie mówiąc nic w odpowiedzi.

*

Nietoperz. Chyba nawet siedzą tu ci sami ludzie co ostatnio. Sto, tysiąc lat temu, dawno temu w Warszawie. Powietrze jest gęste i ciężkie, trudno złapać oddech. Gorące potrawy, ciężkie perfumy, papierosy.

Widzę ją w rogu sali.

Ma na sobie powłóczyście ciemne kimono, spod bardzo mocnego jasnego makijażu przebija twarz, która kiedyś była twarzą młodego

chłopca. Długie czarne włosy upięła w kok na czubku głowy. Podobno jest bardzo młoda, ale jej wygląd nie ma wieku. Paznokcie pomalowała na krwistą czerwień. Wygląda jak japoński wampir. Mogłaby mieć własny dragowy *show* oparty na *Madame Butterfly*.

– Nie powinno cię tu być. Powinnaś się zajmować czymś pięknym – mówię jej na powitanie.

Kelnerka kładzie na stole zalaminowane karty.

– Proszę czarną herbatę – zwracam się do niej, a następnie pytam Śliwkę, czy coś zje.

– Jem dopiero, gdy czuję, że zemdleję – odpowiada.

– Właśnie wyglądasz, jakbyś tak się czuła – zauważam.

Zamawiam dla niej zupę. Ma smukłe, kruche dłonie o długich palcach. Na moment zasłania nimi twarz.

– Miejmy to za sobą – rzuca.

Z kieszeni wyciąga iPhone'a, model sprzed kilku lat. Przesuwa go na środek stołu.

– Kurtka i reszta... czy oni jakoś zmusili cię do tego, żebyś się ze mną spotkała? – pytam.

Kręci głową.

– Kurtka to kumaty koleś. – Jej głos jest niski, zmęczony, opuchnięty od emocji.

– Kumaci kolesie też biją i...

– Nikt mnie nie zmuszał. Po prostu miałam tego, kurwa, dosyć. To jest coś takiego, że... Znasz to uczucie, że obok dzieje się coś, na co się nie godzisz, ale nie masz na to żadnego wpływu? I to coś nie jest, rozumiesz...

– Szuka mojego imienia.

– Marta. A ty jak masz na imię, bo chyba nie Śliwka?

– Róża.

– Dlaczego tak na ciebie nie mówią?

– Bo nie lubią róż. Zadałam ci pytanie. Obok ciebie jest coś, na co się nie zgadzasz. Nie przez chwilę, jak bójka na ulicy. Nie, to wypełnia całe twoje życie. Znasz to uczucie czy nie?

Kiwam głową.

Tak, znam.

Racjonalizacja piąta, najprawdziwsza. Zrobiłam to po to, by pozbyć się tego uczucia.

Kelnerka wraca. Mówi, że również muszę zamówić coś do jedzenia. Parskam śmiechem, ona nie reaguje – chirurg wyjął jej z twarzy wszystkie emocje. Nie chcę się z nią kłócić. Zamawiam zupę.

Kątem oka widzę znajomą osobę w rogu sali. Oczywiście, to on. Przestraszony, tłustawy szczur. Rzucam w jego stronę głośne i powolne „dzień dobry panu”. Strobiński się kuli, jakby dostał w brzuch niewidzialną pięścią. Odwracam się do Śliwki.

Ta ksywa ją kaleczy – tak dostojną w tym stroju, z tą gracją. Przewisko musi pochodzić z czasów, gdy jeszcze przedstawiała się męskim imieniem. To deadnaming. Ona jest Różą.

– Skatował nas ten sam facet. Jest już w areszcie.

– Miał powód.

– Nigdy nie ma powodu, aby zrobić coś takiego.

Patrzy na mnie, dziwnie urażona.

– Broniałam się, żeby nie było. Trenowałam kiedyś sztuki walki.

Jest ofiarą gwałtu. Nawet jeśli parę razy go uderzyła, podrapała, on zjadł jej duszę. Teraz go broni. Umniejsza się. Wymierza sobie ciągle kary. Może dlatego zamienia się w wampira, dlatego nie je.

– To był po prostu model biznesowy.

– Czyj model biznesowy?

Kelnerka przynosi jedzenie. Śliwka sięga po łyżkę, ale zaraz ją odkłada. Ja zjadam odrobinę. Też nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam w ustach coś poza red bullem.

– Wpadli na ten pomysł na początku pandemii. Kamil i Michałka. W sumie bardzo dobry pomysł. Jest tylu, wiesz, niby-fobów, którzy tak naprawdę to uwielbiają. Najbardziej nienawidzi się własnych pragnień, jeśli ktoś odpowiednio wcześniej ci ich zabroni.

Telefon – leży między nami i rośnie. Zaraz zajmie cały ten stół.

– Widziałam dramę z piosenkarzem – mówię. – Tylko co innego zaszantażować artystę, polityka, a co innego typa, który siedział w kryminale ile, dziesięć lat?

Kątem oka widzę, jak Strobiński wstaje i szybkim krokiem kieruje się ku drzwiom. Widzę jego współtowarzyszy – młodych, trochę przegiętych chłopaków, którzy jakieś osiem godzin temu byli jeszcze świeży i odpieprzeni na wieczór. Teraz są truchłami, parującymi od ketaminy.

– To był model biznesowy, ale też historia o miłości.

Brzmi to tak bezsensownie, że aż bezwiednie to powtarzam.

- Historia o miłości.
- Ona go otworzyła. Jak drzwi.

Wypowiadając słowo „drzwi”, Śliwka się uśmiecha. Dopiero w tym uśmiechu widać, że jej twarz jest naprawiona. Nie upiększona, ale poddana próbie przywrócenia do stanu sprzed pobicia. Śliwka ma nowy nos, łuk brwiowy, nowe zęby i policzki.

– Michałka oszalała na jego punkcie. To najpiękniejszy mężczyzna, gadała jak opętana. Brutalny, prawdziwy. Zachowywała się jak nastolatka. To było śmieszne, do czasu. Potem zaczęło być dziwne, a jeszcze później trochę straszne. A on wciąż traktował ją jak eskortkę. W końcu mu powiedziała i... – zawiesza teatralnie głos, jakby grała na czas.

Wkręciła się w tę opowieść. Irytuje mnie to. Leżący na stole telefon jest już wielkości całej sali.

– No i ten goryl oczywiście ją wyśmiał. Nic jej nie zrobił, po prostu ją upokorzył, zaczął gadać do niej jak do mężczyzny. Wstrętny pedale paskudny i tak dalej. Próbowwała się zabić, nie wiem, czy na poważnie, Kamil twierdził, że cięła się płytko, Sandra mówiła inaczej. Nie było mnie przy tym, dowiedziałam się dopiero, gdy mnie do niego wysłała. Miałam go naćpać, nagrać, wiesz. Myślałam, że tu chodzi o pieniądze, że to kolejny gość, którego mamy skasować, znany youtuber.

– Skojarzył cię z nią?

– Nie... po prostu ja nie jestem w tym dobra, skarbie. Za to Michałka jest świetna. Wkręca tych gości, oni idą za nią jak na smyczy. Ja tego nie umiem. Masz rację, wszyscy powinniśmy być gdzieś indziej. No, ale trudno, gra jest zamknięta. Nie ma ucieczki.

Wykonuje powolny, kolisty ruch ręką, mówiąc:

– To wszystko dookoła to spaceriak, nie sądzisz, skarbie?

Zaczyna mi być jej potwornie szkoda, ale szybko przywołuję się do porządku. Nie jestem tu po to, by jej pomagać. Jest młoda i skrzywdzona, ale jest też dorosła. Nie jest moją podopieczną.

– Słuchaj, to piękna historia, ale spotkałyśmy się po coś innego.

– Nie, skarbie. Spotkałyśmy się właśnie po to.

Kładzie dwa palce na telefonie i przesuwają go w moją stronę. Nachyla się do mnie.

– Dla niektórych mężczyzn to incydenty, ale inni doznają olśnienia. Jego przestały interesować zarówno kobiety, jak i osoby takie jak ja. Zrozumiał,

czego naprawdę chce. Zaczął się kręcić dookoła chłopaków. Młodych, takich, którzy się sprzedawali.

– Lucek też się z nim spotkał. Wiem to od dzieciaków z Azylu, wiem, że Łukasz zabierał go na imprezy.

Kiwa głową.

– Na melanzach przedstawiał tych chłopaków jako swoich kolegów. Nawet ich przebierał, kazał im się zachowywać w określony sposób, tak, żeby to jego sztywniutkie towarzystwo sobie czegoś nie pomyślało. Zmuszał ich, żeby palili crack. Pojawiły się świetliki, i też mu się spodobały.

Jeszcze raz to wspomnienie. Lucek w drzwiach mojego biura, oparty o framugę. Wciskający mi kit, że właśnie wrócił ze Skaryszaka. W cudzych ciuchach, naćpany. Lucek, który mówi o miłości.

– Chciał tego, ale wciąż ze sobą walczył. Nienawidził się za to. Krzywdził ich. Jednemu ponoć zapowiedział, że zrobi go, jakby robił cweli pod celą. Niektórych bił.

– Albo ciął. – Przypominam sobie historię o synu gangstera z Pruszkowa.

– Tak, było coś takiego. Drapnął któregoś nożem, nie jakoś poważnie. Innego pobił, tak jak mnie. Ale nikogo nie zabił. Miał resztki samokontroli. Ci Czeczeni się nim brzydzili, no, ale był cenny. Kazali mu się pilnować. Kategoriecznie zabronili mu się widywać z Michałką.

– Ale skąd ty to wszystko wiesz?

Krzywi się w bólu, którego nie umie wypłakać.

Znów odrobinę przesuwa iPhone'a w moją stronę. Wypowiada kilka cyfr, a ja potrzebuję chwili, aby zrozumieć, że to kod do odblokowania telefonu. Biorę go do ręki. Jest lekki i ciężki jednocześnie. Wpisuję kod. Podstawowe ikonki, zero dodatkowych aplikacji. Pustka w miejscu, gdzie powinien być znaczek LTE.

– Ostatni film na rolce. W sensie jedyny.

Jej twarz to trupia maska. Mam wrażenie, że wszyscy w Nietoperzu teraz nas obserwują.

– Michałka najpierw mi to wysłała, naćpana. Potem kazała skasować, na swoich oczach. No, ale ja tego nie zrobiłam. Czegoś takiego nie można skasować.

Tak, oni wszyscy patrzą. Każde spojrzenie jest jak metalowy łańcuch zawieszany mi na szyi.

– Chyba chcesz założyć słuchawki. – Podaje mi etui z airpodsami.

Robi się lodowato. Wokół mnie wyrasta ściana ciemności, która odgradza mnie od otoczenia. Widzę tylko twarz Lucka, ktoś go nagrywa z bardzo bliska. Twarz jest blada, niemalże błękitna. Twarz jest poraniona i przerażona. Twarz błaga. Twarz mówi: proszę, nie. Twarz mówi: chcę iść do domu. Do domu, przedrzeźnia ktoś, kto trzyma telefon. Znam ten głos. Znam go z filmików wrzucanych na TikToka i YouTube'a. Chcesz iść do domu, mówi głos. Ni chuja. Chcesz iść do Łukasza. Chcesz, żeby cię dobrze poruchał, co nie? Tego chcesz. Nie, nie chcę iść do żadnego Łukasza, mówi twarz Lucka, wilgotna, brzydka skrajnym strachem. Chcę iść do domu.

Zamykam oczy.

– Chciałaś wiedzieć, to patrz. – Słowa Róży dobiegają zza muru ciemności, z zupełnie innej planety.

Z trudem unoszę powieki, a głos mówi dalej, nie przestaje. Jest w słuchawkach, ale dobiega jakby ze środka głowy. Fajnie jest się tak bawić z Łukaszem, obciążać mu, co nie? Super masz zabawę, prawda? Fajnie się bawisz, co nie? Nie, zaprzecza Lucek. Nie bawię się fajnie. Chcę do domu i nie bawię się fajnie, i obiecuję, nie spotkam się z Łukaszem, kurwa, ja nawet nie wiem, który to Łukasz. PUŚĆ MNIE. CHCĘ DO DOMU. Na ekranie pojawia się coś białego, obłego, co okazuje się dłonią. Dłoń trzyma papierosa. Zamykam oczy. Inny głos, bardziej oddalony, mówi: odpuść, Michałka. Daj chłopcu spokój. Ale ten głos wcale nie jest przekonany, czy Michałka ma dać spokój. Ten głos jest odprężony, cieszy się, że Michałka krzywdzi kogoś innego niż właściciela głosu. Dłoń przystawia papierosa do twarzy Lucka. Zamykam oczy.

– Patrz, kurwa.

Lucek wrzeszczy. Czerwona plama wykwita na jego policzku. Czerwona plama to planeta bólu. A to dopiero początek, mówi głos. Najlepsza zabawa przed nami, co nie? Najlepszy melanż. Lubisz imprezki, to się pobawimy, co nie?

Obraz gwałtownie znika, telefon chyba spada na ziemię. Zostaje sam dźwięk. Dźwięk to krzyki. Błagania. Pomocy. Mamo. Pomocy. Są też inne dźwięki. Głuche, bezkształtne uderzenia w miękkie powierzchnie. Lucek najpierw woła POMOCY. Potem woła MAMO. Na końcu woła PAZINA. Modłę się, żeby to było złudzenie. Ale on woła mnie jeszcze raz. I kolejny. Nie, dość. Nie mogę. Zdejmuję słuchawki, spadają na blat, a ja tracę całą

krew. Gubię wszystko, co było dobre. O Boże. Nie mam już słuchawek, ale dalej słyszę dźwięk, pełno dźwięku. Przeciągły ryk.

O Boże. Ten przeciągły ryk to ja. Jeśli nie patrzyli, to teraz to robią. A jeśli patrzyli, to już nie patrzą.

– Palila crack codziennie. W tym stanie też chodziła na imprezy, na przykład do tej willi na Saską. Zobaczyła go tam, tego twojego chłopaka...

– Lucka. Zobaczyła tam Lucka.

– Wymyśliła sobie, że zabije któregoś z chłopaków Łukasza, żeby go ukarać. Padło na Lucka. Crack zjadł jej głowę. Planowali to. Zwabili młodego do niej do domu...

Nie wiem, czy zawiesza głos, czy przestaje ją słyszeć.

Ktoś mnie dotyka. Ktoś pyta, czy wszystko w porządku. Ktoś patrzy na mnie z przerażeniem, wciśnięty w róg sali. Strobiński? Znowu? Nieważne. Nie mogę. O Boże. Ktoś pokaże ci nagranie, powiedział Kurtka, o jakim nagraniu ty myślałaś? Teraz już wiem, jak to jest, gdy ktoś cię kocha, mówi Lucek. Żadne serce nie zje tyle smutku.

– Nie można wytrzymać czegoś takiego obok.

Wstaję, chowam telefon do kieszeni.

Róża chyba krzyczy na mnie, abym jej go oddała. Nie słyszę jej. Nie wiem, czy płacę. Idę na ślepo przed siebie. Świat skurczył się do rozmiarów małego ekranu. Do bladej twarzy. Do białej dłoni. Do oparzenia po papierosie. Do krzyku: PAZINA.

Ktoś za mną wybiega. Ktoś o coś pyta. PAZINA. Zapory wybuchły, rozpadły się w pył. Idę, chociaż ważę tonę. Wszystko naraz. Wszystko wszędzie. Jednocześnie. O Boże.

Chyba wychodzę na dwór, próbuję się nie przewrócić. Jestem bezbronna, to dobre określenie. Ta myśl przychodzi o wiele za późno. Ktoś zobaczył to pierwszy. Ktoś prawdziwy, ktoś namacalny jak ściana. Ktoś, kto łapie mnie za rękę, szarpie, zmusza, bym wsiadła do auta. Ktoś, kogo już kiedyś widziałam.

Nie mam już miejsca, aby się bać.

Ktoś inny zapala silnik.

– Cześć, laleczko pyzata.

Głos jak wepchnięcie do lodowatej wody. Sprawia, że wraca mi wzrok. Teraz widzę wszystko w doskonałej rozdzielczości. Miasto za szybą. Wnętrze samochodu. Łysą czaszkę kierowcy pokrytą grubymi węzłami żył.

Przede wszystkim widzę jego twarz. Widzę każde jej okropieństwo, każdy defekt. Tak jak wtedy, gdy przyszedł do mnie za pierwszym razem.

– Nie dotykaj mnie – mówię bardzo cicho, ale on nie słucha, głaszcze mnie po policzku. Jego dłoń jest boleśnie szorstka.

– Kto zabił mojego Jacusia? – pyta. Raz, drugi, trzeci, dziesiąty.

Pyta i już nie przestaje pytać.

*

Nie chce mnie wypuścić. Chyba zamierza mi pokazać, że cierpi bardziej ode mnie.

– Jacuś! Kto zabił mojego Jacusia?! – wyje.

Oprócz mnie i niego w wiejskiej izbie o wściekle czerwonych ścianach jest mężczyzna w spodniach moro, który leży na podłodze twarzą do dołu. Najprawdopodobniej martwy. Jest tu zimno, mam na sobie jedynie sweter. Kurtka wraz z kluczami do auta, dokumentami i telefonem musiały zostać w Nietoperzu.

W centralnym punkcie pokoju stoi telewizor. Plastikowe i szklane butelki, foliowe worki i narzędzia walają się po podłodze, częściowo pokrywają też ciało.

On dłonie ma we krwi. Powybił większość szyb gołymi pięściami, w pewnym momencie wziął odłamek szkła i rozciął sobie policzek. Zostanie mu wstrętna, brzydka blizna.

– Jacuś! Kto? Jacuś! Kto?!

Gdy widziałam go pierwszy raz, zadał mi podobne pytanie: gdzie jest mój Jacuś?

To było po zniknięciu Jacka, na początku działania Azylu. Miałam jeszcze normalną pracę, produkowałam eventy, duże koncerty młodych hip-hopowców. Hip-hop zamienił się wtedy w ogromne pieniądze, na te koncerty zaczynało przychodzić więcej ludzi niż na zagraniczne, stare gwiazdy. Pracowałam przy takim festiwalu na Stadionie Dziesięciolecia. Do piątej nad ranem byłam na montażu sceny.

Po prostu stał przy samochodzie. Sam. W czapce z daszkiem nasuniętej na oczy.

– Przepraszam, czy ma pani chwilę? – zapytał.

Myślałam, że trzeba mu w czymś pomóc, że szuka drogi albo zepsuło mu się auto.

Teraz co jakiś czas siada na ziemi, wyczerpany. Oddycha szybko i płytko, jakby pił powietrze małymi łykami. Patrzy obok mnie, przeze mnie, skrzyżowane ręce przyciska do klatki piersiowej. Kiwa się w przód i w tył.

Jestem wyczerpana. Boję się ruszyć, przerażenie zacisnęło mi wszystkie mięśnie. Ktoś wchodzi do pokoju. Chyba też go widziałam – wysoki, barczysty, facet o wschodniej urodzie, w wojskowej kurtce. Stawia przede mną tackę: chleb, masło, szynka, herbata, podane jak w szpitalu. Sięgam po plastikowy kubek, biorę łyk herbaty. Facet wychodzi z pokoju bez słowa. Na zewnątrz słychać odgłosy parkujących samochodów, następnie szcęk metalu, komendy wydawane w obcym języku. Jakaś praca, rozładunek. Jakiś dzień.

Jestem sztywna z przerażenia, ale część mnie chce zrozumieć, co widzi. Czemu ten człowiek tak cierpi? Czy kochał Jacka jak syna? Czy może jak mężczyznę? Skoro Jacek nie istniał, to kim było to ciało oplecione rurami?

– Dlaczego go tak bardzo kochałeś? – pytam.

Wtedy pod stadionem. Po paru sekundach już wiedziałam. Mimo to stałam, sparaliżowana strachem. Pamiętam dokładnie, co powiedział.

– Wiesz, laleczko pyzata. Tak naprawdę to ja jestem martwiutki. Trupek taki jestem. W trumience powinienem leżeć, spanko robić sobie.

Wyjął z kieszeni coś małego, wziął to w dwa palce. Zatrzymał mi ten przedmiot przed oczyma. Zwykła żyłetka. To uczucie – cała krew w ciele momentalnie zamieniona w brudny lód.

– Tak myślą wszyscy, którzy mnie nie lubią. Że nie żyję.

I wtedy bardzo powoli, nie wiedząc jeszcze o jego istnieniu – zaczęłam rozumieć, kim rzeczywiście jest.

Teraz, w tym strasznym wiejskim domu, czołga się w moją stronę. Łapie mnie za kolana. Kładzie na nich głowę. Obrzydzenie to polip, który wyrasta w żołądku, wypełnia go w całości, zaraz eksploduje. Od obrzydzenia można umrzeć, może być tak silne. A potem patrzę w bok i widzę coś, czego wcześniej nie zauważyłam, choć jestem z nim w tym pokoju od co najmniej dwóch godzin. Zapięte na rurze od kaloryfera zakrwawione kajdanki.

– Kochałem go, bo był moim chłopcem pięknym. Pozwoliłem mu zniknąć. Pozwoliłem mu wyjeżdżać. Pozwoliłem mu mnie uderzyć, o tutaj,

w główkę. Na wszystko mu pozwalałem, chłopcu mojemu pięknemu. – Wbija palce w rzepki moich kolan, zaraz je zgniecie. – Ale nie pozwoliłem mu umrzeć. Co to, to nie. Nie dałem na to zgody.

Wtedy pod stadionem, gdy odnalazł mnie po raz pierwszy, trzymał żyletkę przed moimi oczyma przez dobre kilka minut. Czułam jego zapach. Kurzu, brudu, starej boazerii. Zepsutego piwa.

– Jesteś koleżaneczką Jacusia – powiedział. – Fajną taką.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest Jacek – odparłam.

– Myślę, że masz świetne pojęcie – stwierdził.

– Ostatni raz... ostatni raz widziałam go na lotnisku. Mieliśmy lecieć do Argentyny, ale on nie pojechał. Zniknął – mówiłam, a po policzkach płynęły mi łzy. – Teraz nie odzywa się do mnie. A ja go nie nagabuję.

Na żyletce było parę brązowych kropeczek. Bardzo chciałam, aby to była rdza. Bardzo. Ale zaraz, żyletka nie może rdzewieć, pomyślałam. Na pudełku żyletek jest napisane: STAINLESS STEEL.

– Czyli sobie poszedł, taki fajny Jacuś, a ty tak po prostu sobie żyjesz dalej?

Nigdy nie czułam takiego strachu jak wtedy. Nie czuję go nawet teraz. Nawet patrząc na te kajdanki.

– Nie pozwoliłem mu dać się zabić – chrypi. W końcu odsuwa się ode mnie. Nawet nie zauważa, że trafił kolanem w jedzenie na talerzu, że ma teraz przyklejoną do spodni kromkę chleba z masłem.

Wstaje chybotliwie, ma w sobie bezradność nowo narodzonego cielaka. Odwraca się do okna, odsłania zasłonę. Ja także się podnoszę. To jednak łatwiejsze, niż się spodziewałam, ale i tak potwornie boli mnie całe ciało. Na zewnątrz mężczyźni rozładowują ciężarówkę z plastikowych, nieprzezroczystych pojemników.

– Nie pozwoliłem mu... – powtarza, po czym głucho upada na ziemię.

Nie jestem w stanie zdecydować się, co dalej. Sama jestem, jakbym dopiero się urodziła. Jacek w szpitalu. Lucek na ekranie telefonu. Ten człowiek tutaj.

Do pokoju wchodzi mężczyzna z żyłami na głowie. Żakowski podał mi jego nazwisko. Kuraś? Karaś. Jego twarz wyraża przede wszystkim zmęczenie. Sunie przez śmieci, nawet na mnie nie patrząc, i kuca obok Daria. Sprawdza mu puls. Wstaje, otrzepuje spodnie. Rozgląda się wokół, nie wydaje się zdziwiony. Zaczynam płakać ze strachu i z wyczerpania.

Wtedy pod stadionem to trwało raptem kwadrans. Gdy siódmy raz powtórzyłam to samo zdanie – nie wiem, gdzie jest, i nie mam pojęcia, co się z nim stało – w końcu się odezwał:

– Gdybym coś ci zrobił, Jacuś byłby na mnie bardzo zły. A ja nie chcę, żeby Jacuś był zły. Ja bym chciał, żeby Jacuś mnie lubił. Kolegą żeby był moim.

Powiedział to i włożył sobie żyletkę do ust. A potem przełknął ślinę. Otworzył usta i wystawił język, na którym nie było już żyletki. Zaśmiał i odszedł, tak po prostu.

Łysy mężczyzna z żyłami każe mi wstać i iść za sobą. Nie mam odwagi mu się sprzeciwić. Przechodzimy przez korytarz, wychodzimy na podwórko pomiędzy zabudowaniami. To były kiedyś oddzielne gospodarstwa, ale zdemontowano płoty i otoczono je wielkim wspólnym ogrodzeniem. Teraz stanowią jeden organizm, odgradzony od świata metalową bramą. Na placu pomiędzy domami stoją dwa tiry oraz kilka mniejszych samochodów dostawczych. Wokół nich uwija się kilkadziesiąt osób. To zakład, przedsiębiorstwo. Obóz.

Mężczyzna, Leszek Karaś, popycha mnie przed siebie karabinem. Nagle łapie mnie za ramię, przekręca moje ciało w stronę wielkiego drewnianego budynku gospodarczego, prawdopodobnie obory. Panika jest piorunem, który uderza mnie w sam czubek głowy. Nagle rozumiem. On widzi to zrozumienie w lekkim zrywie ciała i od razu łapie mnie za szyję.

– Nie radzę się wygłupiać, kurwo.

Czuję mocne popchnięcie i już jestem w oborze, na brudnym klepisku pokrytym słomą. Gotuje mi się krew, jest mi gorąco jak w saunie. Płaczę, zupełnie przestałam to kontrolować. Między nogami wstydlive ciepło.

Zostawia otwarte drzwi. Wszyscy mogą zobaczyć, co tu się dzieje. I niektórzy widzą, ale nikt nie zwraca uwagi.

Nie ma tu żadnych zwierząt, ale smród gówna i krwi wisi w powietrzu, wżarty w ściany. Na drugim końcu budynku widać przykryte folią stoły, a na nich pełno laboratoryjnego sprzętu. Z jednej z podtrzymujących strop belek zwisa łańcuch zawieszony na haku. Trochę poniżej belki pojedyncze małe okno. Światło, które przez nie wpada, to smutny żart.

Karaś mnie obszukuje. Dziwne, że nie zrobił tego wcześniej. Znajduje telefon Śliwki. Bierze go do ręki i chowa do kieszeni.

– Oddawaj to – mówię, chociaż bardzo się boję.

Patrzy na mnie jak na głupią.

– Oddawaj to, kurwa! – Rzucam się na niego, nie zwracając uwagi na półautomatyczny karabin w jego dłoniach. Widziałam takie tylko w filmach sensacyjnych.

Coś mi mówi, że lepiej tak. Nie klęcząc, nie płacząc o pomoc. Pluję mu w twarz. On wyciera ślinę i łapie mnie za ramiona, a potem odwraca moją głowę w kierunku haka.

– Odzywał się do ciebie. Spotkał się z tobą. Jebałaś go. Wiesz, co się stało. Wiesz, kto to.

– Oddawaj telefon – powtarzam.

Wyobrażam sobie, że mu się wyrywam. Wyobrażam sobie, że jakimś cudem przewracam go na ziemię, wyrywam mu ten karabin i strzelam mu w głowę, a potem wydaję z kieszeni telefon i stąd uciekam.

– Jeśli mi nie powiesz, co się stało, zawieszę cię na tym haku i będziesz tak wisieć cztery dni. Razem z Darkiem będziemy ci robili różne rzeczy, mam sól i chlor, i kwas siarkowy, i skalpele, i nieizolowane kable, i obcęgi, i wiertarki, i palnik acetylenowy, jestem, kurwa, wyposażony jak hurtownia budowlana. Pozgarniamy te twoje bachory z miasta i będziemy robić im to samo, co tobie, i jednocześnie je ruchać, a ty będziesz patrzeć. A potem zakopimy was żywcem, w plastikowych beczkach. Bawiliśmy się tak z Darkiem całe lata dziewięćdziesiąte. Ja ci to obiecuję.

Ściska mi szyję, bardzo mocno. Próbuję uciec wzrokiem. Szukam jakiegokolwiek ulgi. Znajduję ją w kawałku nieba, widocznym przez niewielkie okno w ścianie naprzeciwko. Wyobrażam sobie, jak wyfruwam z ciała i uciekam przez nie wysoko, do samych chmur.

– A jak mi powiesz, to wtedy zobaczymy. Może po prostu dostaniesz kulę w łeb.

– Powiem, a wy nie skrzywdzicie dzieci.

– Niech ci będzie.

– I oddasz mi ten telefon. Puścisz mnie wolno.

– Ona się tego nie boi, Karaś. Ona jest twarda. Ty twarda jesteś, ty cegiełko cyncata. – Dario stoi w drzwiach. Jest wyprostowany, napięty, przytomny. W pełni panuje nad ciałem. – To mój kolega Karaś. Dobry kolega. Dużo mówi. Dużo robi. Ale czasem wystarczy niewiele.

Podchodzi do nas, a w palcach trzyma mały przedmiot. Przysuwa mi go pod nos.

Znajoma żyletka. Ma małe brązowe plamki.

– To ta sama, której użył tata, prawda?

Jego głos jest jak bagno. Głuchy i obrzydliwy. Przywołuje głęboko zakopane wspomnienie.

– Kto zabił mojego Jacusia? Powiedz mi to.

Kłęka przede mną. Jego oczy, dwie otchłanie. Trzyma żyletkę w dwóch palcach tuż przed moim nosem.

Wkłada ją sobie do ust. Przełyka ślinę. Otwiera usta. Język jest pusty. Mówię im wszystko, co chcą wiedzieć.

*

Ewa powiedziała kiedyś: gdy przyjdzie moment strachu i bólu, postaraj się zachować przytomność. Spróbuj się przebić. Licz oddechy. Wyrwij dziurę w lęku, włóż rękę do środka. Spróbuj znaleźć to, czego naprawdę chcesz. I myśl jedynie o tym, co realne. Na pogrzebie bliskiej osoby nie pragnij jej zmartwychwstania, bo ludzie nie zmartwychwstają. Nie módl się, aby było jej dobrze po drugiej stronie, bo strona jest tylko jedna. Przestań myśleć baśniami. Myśl o tych, którzy są przy tobie. Oni są realni. Zajmij się nimi.

– Tutaj? – pyta Dario.

– Mają pełno broni – mówię cicho.

Odwraca się do mnie z siedzenia pasażera. Przebrał się – w brzydki, stary dres – ale wciąż nie umył się z krwi; została mu zaschła plama na policzku. Pieści ją, jakby była pieczołowicie przygotowaną charakteryzacją.

– Dziękujemy, ale to nie jest odpowiedź na pytanie, które ci zadano, dziewczuszko betonowa.

Czego chcesz, Pazina? Czego chcesz najbardziej?

Chcę białego iPhone'a, którego wciąż ma w kieszeni ten cham Karaś. Tylko nie wiem, czy to jest realne.

– Byłam tu tylko raz. Ale tak. To tutaj.

Karaś ze zniecierpliwieniem uderza dłońmi o kierownicę. Co chwilę zerka na smartwatcha. W przeciwieństwie do Daria ma na sobie kamizelkę kuloodporną. Dario włącza radio, które wybucha starą polską piosenką. Kobieta o wysokim głosie śpiewa na tle przaśnego podkładu z syntezy:

*Nie lubię mężczyzn,
żonatych mężczyzn mam już dość.
Ciężko przegrani,*

wciąż płacą za swój błąd sprzed lat [16](#).

Dario gwizdże pod melodię, przytupuje.

– Kretówna. Ona to potem bardziej grała w filmach, niż śpiewała. W serialach, w *Klanie*, *Plebanii*. Fajne takie seriale, ale mogła coś więcej powycić. Ciekawa pani, blondynka taka. Tobie by się spodobała, Karaś. Ty lubisz mamusie.

W Bakalarską wjeżdżają dwa czarne SUV-y, które całą drogę jechały za nami, a w pewnym momencie się odbiły na stację.

– Ja nie pojmuję, Darek, co te pajace kombinowały. Że dojadą Jacka, a potem co? Mnie? Ciebie? Przyjadą do nas? Trzeba było Katyń im zrobić, po prostu.

Dario przestaje gwizdać, całe jego ciało się spina. Wyłącza radio, w aucie zapada nagle cisza. Samochody parkują obok nas, z lewej i prawej strony.

Czego chcesz, Pazina? Chcę jechać do Nietoperza, odzyskać swój telefon. Chcę się jak najszybciej skontaktować z Wiktorem, zmusić go, aby tego wieczoru, kiedy ma się odbyć gala Warszawa Jutra, zebrał pozostałych i zamknął się z nimi w mieszkaniu. Żeby nie wychodzili, dopóki im nie pozwolę.

– Czy jeśli zrobicie to, co macie zrobić, wypuścicie mnie? Oddacie mi ten telefon?

Nie odpowiadają, więc powtarzam pytanie, ale Dario włącza z powrotem radio.

Z ostatniej chwili: minister Kunicki złożył dziś dymisję na ręce Prezesa Rady Ministrów. Nie podał oficjalnego powodu swojej decyzji, jednak dla opinii publicznej jasne jest, że ma to związek z uprowadzeniem i dotkliwym pobiciem jego nieletniej córki. Julia Kunicka wciąż przebywa na oddziale intensywnej terapii. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że stan dziewczynki jest krytyczny.

Nie ustają zbiorowe protesty po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie dopuszczalności przerywania ciąży...

Facet w stroju moro, masce i goglach puka w okno. Karaś kiwa głową. Zakłada kominiarękę. Otwiera drzwi, ale Dario zatrzymuje go w pół ruchu, dotykając jego ramienia. Wyłącza radio.

– Niech chociaż kilku zostanie żywych. – Następnie zwraca się do mnie: – Spokojnie, ty bryło szalona. Uspokój się. To szybciotko będzie.

Widzę przez szyby, jak wysiadają z aut. Uzbrojeni, zamaskowani. Siedmiu albo ośmiu. Wyglądają jak komandosi i tak się zachowują. Ich ustawienie, ich ruchy są dokładnie przećwiczone. Na pewnym poziomie to w ogóle nie jest prawda. To świadomy sen. Podchodzą do drzwi, jeden z nich strzela w zamek pistoletem z tłumikiem.

Skup się na swoich dzieciakach. Skup się na tym, że wszystko z nimi w porządku. Ewka mówiła – schowana w swojej dziupli, otoczona kocia armią – gdy bardzo się o kogoś martwisz, oblep go miłością jak mokrym gipsem. Świat jest przede wszystkim bardzo złym miejscem. To zło wyczerpuje, zabiera siłę na ruch, oddech. Na to najzwyklejsze, spokojne życie. Miłość, to jest jedyna rzecz. Zawsze trzeba mieć ją w sobie. Jak powietrze w płucach.

Z piętra budynku dobiegają dźwięki – ciche, głuche, płaskie. Odgłosy fajerwerków odpalanych w zamkniętym pomieszczeniu.

– Nie oszukuj się, że jesteś mała dziewczynka niewinna. Bo mnie nie oszukasz.

Kolejne odgłosy fajerwerków. Kolejne kilka sekund paniki. Każdy następny atak może mnie zabić, wysadzić mi serce.

Myślę o Kurtce. Mam nadzieję, że go tam nie ma. A potem myślę: nie, może oni muszą zginąć wszyscy. Wiecznie głodni mężczyźni. Mężczyźni, którzy wciąż chcą być lepsi od innych mężczyzn. Mężczyźni, dla których słabość jest czymś, po czym się skacze.

– To był twój przyjaciel. Więc co? Wytłumacz mi. No weź. Nie bądź taka.

Panika mija. Biorę głęboki wdech. Dopiero teraz orientuję się, jak bardzo cuchnę – moczem, potem, dymem.

– Co mam ci tłumaczyć? Przecież wszystko wiesz.

– Tego akurat nie rozumiem, jagódko stalowa. Że jesteś taka zła, taka serio zła? Że wydajesz przyjaciela na pewną śmierć? To by znaczyło, że ty jesteś gorsza od nas, dużo gorsza. Bo my zjadamy świat. Z ogryzkami. Z kośćmi. Zjadamy wszystko, ale nie zabijamy braci.

Jedna z szyb eksploduje, rozlega się przeszywający dźwięk alarmu. Policja! Ta myśl zalewa mnie falą nadziei. Mogą tu przecież być. Za chwilę. Tak jak byli w Marriotcie.

Mężczyźni wypadają na zewnątrz, szybko wsiadają do samochodów. Zatrzasną drzwi, odpalają silniki. Karaś ładuje się za kierownicę auta, w którym siedzimy, ciężko sapiąc. Jest cały w pyłe.

– Wszystko git, nikt nie oberwał, ale musimy spierdalać, Darek.

Dario się uśmiecha.

– Wracajcie. My sobie wyjdziemy.

– Nie, Darek. To za dużo.

– Tylko daj mi zabaweczkę jakąś, Karasiu, kumplu, druhu.

– Darek, kurwa!

Dario mówi coś do niego bezgłośnie. Pamiętaj, co jest celem. Pamiętaj, co jest realne. Karaś, przeklinając, podaje mu broń. Dario wychodzi z auta, otwiera drzwi od strony pasażera. Delikatnie obejmuje mój nadgarstek i ciągnie mnie do siebie, jednocześnie mierząc do mnie z pistoletu. Owca

– Ta dziewczynka, o której mówili w radiu. Jacuś wymyślił, żeby ją porwać. Bardzo ją lubił, bronił jej jak rycerz. Nie umiał inaczej. Taki był Jacunia. Ciągle wymieszany.

Próbuję stawiać opór, ale jego uścisk staje się stalowy. Karaś coś pokrzykuje, próbuje perswadować.

– Jedźcie. Jedźcie, kochani – mówi mu Dario. – My spędzimy sobie noc na mieście. Zabawimy się. Pójdziemy do lokalu. Jednego, drugiego.

Popycha mnie w stronę drzwi wejściowych. Karaś w końcu odpuszcza, samochody ruszają, jeden po drugim znikają w cichej nocy.

Zapach, gryzący, igły wbijające się w nos. Spalenizna, ale bardziej pieprzna, siarczana. Czytałam gdzieś, że właśnie tak pachnie powierzchnia Księżyca – jak proch strzelniczy. Mijamy wielkiego złotego kota machającego łapką. Dario przyjaźnie klepie go w głowę w geście, który utwierdza mnie w poczuciu, że to wszystko jest snem.

– Kiedy Jacuś zniknął, pomyślałem sobie, że skoro ją tak polubił, to może chciałby mieć teraz towarzystwo. Że będzie mu miło, jak ją spotka w niebie u Boziulki. I zacząłem ją tam wysyłać, no, ale nie dałem rady. To jednak dziewczynka mała. Więc zacząłem bić takiego chłopaka, który stał obok. Z Abchazji był, tyle pamiętam. Trochę go pobiliśmy, no trudno. To, co widziałeś, kulko diamentowa, to mi już przechodziło, wiesz. Karaś widział mnie najgorszego. Dlatego jest trochę dziwny.

Oprowadza mnie po barze jak kustosz. Wszystko jest w wiórach, w gryzącym pyłe. Przed oczyma tańczą mi plamki. Oni wszyscy leżą na ziemi, niektórzy klęczą przy ścianie. Na kontuarze – czarna głowa ze spływającymi w dół czarnymi prostymi włosami. Broń wala się na ziemi. Chyba nawet jej nie użyli.

Dario przestępuje pomiędzy ciałami. Ktoś jeszcze się rusza, drży, próbuje mówić. Szczupły chłopak o ptasiej twarzy woła bardzo głośno swoją mamę.

Wypatruję Kurtki, ale nigdzie go nie widzę. Widzę za to tego kolegę wytatuowanego w papieża i Polskę Walczącą, Rafiego. Oparty o ścianę spazmatycznie łapie powietrze. Oczy ma nabiegłe krwią, ręce bezwładnie opuszczone wzdłuż ciała. Jego lewa noga jest przestrzelona w kolanie, skrzycona pod nienaturalnym kątem. Bluza z ogromną kotwicą nasiąka krwią.

Kurtka powiedział, że mogą zrobić wszystko. Kurtka, biedny kumplu.

Odkąd cię znałam, gadałeś same głupoty.

Dario kuca przed chłopakiem, patrzy mu w oczy. Patrzy – i widzi.

– To byłeś ty – mówi. Kładzie jedną dłoń na jego żuchwie, drugą powoli wsuwa mu do ust. Chłopak zaczyna się dusić. – To ty waliłeś mojego Jacusia po głowie. No jasne, że tak. Zobacz, świnko, jaki Karaś jest mądry, jak mi go zostawił.

Możesz wziąć pistolet do ręki. Możesz strzelić. To jest proste.

– Pamiętam cię.

Chłopak wyje z bólu. Nie widzę, co Dario mu robi, zasłania go plecami.

Możesz podnieść pistolet, który leży najbliżej ciebie. Możesz podnieść go bardzo powoli. Jeszcze raz, to jest realne.

Wycie chłopaka przerywa przedziwne, lekko wilgotne chrupnięcie. Słychać nowy, narastający dźwięk – syreny.

Podnieś, a teraz wyceluj. Dobrze.

– Zrobiłam to, bo dokonał wyboru.

Syreny. Coraz bliżej. Szybko.

– Bo mógł pozostać człowiekiem, ale stał się taki jak ty.

Kroki, gdzieś na dole. Tupot nóg. Kilka osób, kilkanaście.

– Zrobiłam to, bo jesteście tym samym. Jesteście demonami.

Naciśnij spust. NACIŚNIJ.

Łapie mnie za rękę, wybija z niej broń z łatwością, jakby rozbrajał pięciolatkę. Przyciska mnie do siebie, wciąga na zaplecze. Tam też są ciała, być może któreś z nich jest ciałem Kurtki, ale nie jestem w stanie już tego stwierdzić. Dario jest niewyobrażalnie silny. Pcha, a właściwie przerzuca mnie w stronę drzwi z napisem WYJŚCIE EWAKUACYJNE.

Zanim wepchnie mnie w ciemny korytarz, zanim zamknie za nami drzwi, zanim znajdziemy się w zupełnej ciemności, słyszę jeszcze

pojedyncze wyrazy: „policja”, „stać”, „kurwa”.

Znów jesteśmy sami. Dario oddycha ciężko. Cuchnie mu z ust czymś martwym.

– Więc jesteś jeszcze gorsza ode mnie. – Szcherzy się w półmroku.

– Nie.

– Oj jesteś, jesteś.

Dopiero teraz rozumiem, kim naprawdę jest. I wtedy wybuchają mi płuca, a potem serce.

– Chodź ze mną.

Łapie mnie za rękę i ciągnie za sobą w dół, po schodach, w zupełną ciemność.

25 PAŹDZIERNIKA 2020

Słyszę, jak się kłóca.

Warczą na siebie głosami, które tylko przypominają ludzkie. Ja siedzę na podłodze, na grubym, wzorzystym dywanie, nie sposób tu usiąść nigdzie indziej, nie ma krzeseł ani foteli. Mieszkanie to wielki apartament z potężnym tarasem, na ulicy Frascati. Jeszcze większy, jeszcze bardziej luksusowy niż ten Anioła. Chyba kiedyś o nim słyszałam. Zmieniał właścicieli. Najwyraźniej teraz rezyduje tu Dario.

Na ścianie wisi wydrukowane zdjęcie Jacka, powiększone do rozmiarów kartki A4. To, które widziałam w pałacu Mostowskich. Zapewne nie miał innych jego zdjęć.

Dario, tak jak umie przeczytać czyjaś najgłębiej skrywaną prawdę, tak potrafi wyczarować rzeczy z powietrza. Drzwi. Zakamarki. Samochody. Potrafi nabrać rzeczywistości w dłonie i ulepić z niej coś innego.

Postawił przede mną tacę, a ja w oszołomieniu przyglądam się leżącym na niej rzeczom. Worek z trawą, zapalniczka, bletki, crusher. Szklanka zimnego soku z lodem. Ciastka czekoladowe. Dzbanek z herbatą miętową, szklanka. Rzeczy materializują się na jego pstryknięcie.

Gdy wybiegliśmy na podwórko na Bakalarskiej, czerwono-niebieskie od policyjnych bomb, doskonale wiedział, dokąd iść. Wiedział, gdzie jest przejście w ogrodzeniu; w budynku za ogrodzeniem od razu trafił do otwartej klatki schodowej. Przebiegliśmy przez korytarz, wypadliśmy na ulicę po drugiej stronie budynku. Powtórzył to jeszcze raz, i jeszcze,

w końcu znaleźliśmy się na parkingu Lidla przy alei Krakowskiej. Trzymał mnie mocno w pasie, zgniatając żebra, jak demon, jak Dracula. Rzeczywistość naginała się do jego woli, przekształcał ją na bieżąco. Na przystanek po drugiej stronie ronda zajechał nocny autobus. Wbiegliśmy do niego zdyszani. Dopiero wtedy mnie puścił. W jasnym świetle wyglądał jak podstarzały pijak, facet, który kiedyś był taksówkarzem, ale stracił prawo jazdy i na bazarze na Kole sprzedaje śmieci z rozłożonego koca. Zdawał sobie z tego sprawę. Przybrał to smutne i zwyczajne ciało wiele lat temu. Zaczął przede mną tańczyć. Kręcił piruety, lekko przebiegając z jednego końca autobusu na drugi. Wykrzykiwał fragmenty piosenek, a nieliczni pasażerowie przyglądali mu się jak zahipnotyzowani. Szalony derwisz w żałobie.

Teraz ubrał się w garnitur. To nie jego rozmiar, ale jest mu to obojętne. Dłonie giną mu w zbyt długich rękawach, nogawki opierają się o ziemię, prawie zasłaniając buty. Na szyi zawiesił sobie indiański naszyjnik, co jakiś czas dotyka go palcami.

Ten dziwny garnitur to jego strój wyjściowy.

Jestem jego osobą towarzyszącą.

To była czysta desperacja, nic więcej.

Wiedziała, że chce mnie zabić, zemścić się za Jacka. Że wymyśla dla mnie coś, czego nie jestem w stanie sobie wyobrazić.

Gdy mnie tu przywieźli, od razu zasnęłam jak po końskiej dawce leków. Nie chciałam spać, błagałam samą siebie o czujność, ale organizm wybrał – sen albo śmierć. Śnił mi się ból całego ciała, ten ból mnie obudził.

Pokój wyglądał jak mała cela. Przy ścianie stała pusta toaleta, musiała go używać żona Asłana, albo jedna z żon. Niewielkie okno wpuszczało śmieszna odrobinę światła. Taki pokój, w takim mieszkaniu musiał być czymś w rodzaju schowka gospodarczego. Nikt nie zaplanował tego pomieszczenia jako miejsca do życia.

A potem on wszedł do tego pokoju. Przyniósł mi kefir, bułkę i kawę.

– Fryteczko niedopieczona – powiedział.

Chciałam oblać go wrzątkiem, skaleczyć, chwilowo obezwładnić, wybiec na ulicę.

– Oj, nie rób tego. – Cmoknął. – Nie radzę.

Musiałam zrobić cokolwiek.

Musiałam przeżyć.

Czas lał się jak podgrzany klej. Ciało wyło z bólu, żebra i lędźwie paliły, jakbym przez wiele godzin podnosiła ciężary.

Siedziałam w małym pokoju i patrzyłam w białą ścianę. W końcu wstałam. On siedział na podłodze w dużym pokoju, gapił się w telewizor z wyłączonym dźwiękiem. Pił coś, co wyglądało jak rozwodnione mleko.

– Gala prezydenta Warszawy. Chodźmy tam. Ja i ty. Jacek by tego chciał.

Odwrócił się, szczerze zdziwiony. Zapytał, skąd wiem o gali.

– Jacek wszystko mi powiedział. Jacek chciałby, żebyśmy poszli tam razem. – Improvizowałam jak głupia, a serce terkotało mi jak młot pneumatyczny. – Pomyśl o tym. Dwie najbliższe mu osoby.

Pokiwał głową. Wyszczерzył się. Poklepał podłogę obok siebie na znak, abym usiadła.

Pokręciłam głową. Wróciłam do pokoju. Patrzyłam w ścianę odrobinę spokojniej – na tyle, aby móc myśleć o Ewelinie.

– Przyciągasz do siebie ludzi, myśląc o nich – jedna ze starych ezobzdur Ewy.

Bądź tam, prosiłam ją w myślach. Bądź tam, bo oni nie kłamali. Mieli skalpele, palniki i plastikowe beczki. Na pewno wiedzieli, gdzie są dzieciaki, bo zdawali się wiedzieć wszystko.

Żaden ból, który mogli mi zadać, nie był najgorszym, co mogli mi zrobić.

Po kilku godzinach Dario zapukał do drzwi i wręczył mi naręcze ubrań, po czym kazał iść do łazienki.

Przymierzyłam każdy z tych tandetnych ciuchów, ale nic nie pasowało. Wtedy zadzwonił do kogoś, dał mi go do telefonu. Musiałam podać swoje wymiary jakiejś osobie ledwo mówiącej po polsku. Następnie zamknęłam się od środka, napuściłam wody do ogromnej wanny, położyłam się. Ból powoli odpuszczał.

Nowe ciuchy dotarły po kolejnych dwóch godzinach. Rajstopy, szpilki i czarna koronkowa sukienka, potwornie ciasna, rodem z lat dziewięćdziesiątych, cała z poliestrowej siateczki. Paskudna sukienka żony z Pruszkowa, opinająca biodra, uda, cycki. Tandetny kostium.

Dario cmoknął na mój widok, kazał mi się umalować. Stał ze mną w łazience i pokazywał, jak mam zrobić sobie rzęsy, jak przypudrować policzki.

Zmieniał mnie w jakąś znaną sobie kobietę sprzed kilkadziesiąt lat, kelnerkę albo striptizerkę.

– Zgruchotaną masz tę buzinę – powiedział, przejeżdżając palcem po miejscu, w którym czułam pęknięcie, złoty zrost. Jego palec był jak nóż. Otwierał pęknięcia z powrotem. Gdy położył mi na policzku całą dłoń, straciłam ją gwałtownie.

– Skarbenku skarbuśny, w ogóle nie o to chodzi.

– Czemu ty jeszcze mnie nie zabiłeś? – zapytałam. Chciałam to usłyszeć. Chciałam wiedzieć, dlaczego czekam.

– Bo jesteś jedynym, co mi po nim zostało. I on by tego nie chciał.

Być obojętna, powtarzałam sobie, być spokojna. Wierzyć w maleńkie światło.

– Możesz być moją żoneczką, a ja będę twoim malinowym królem.

Wtedy zrozumiałam, że naprawdę to łyknął – tę gadkę, że Jacek by tego chciał. Tak jakby naprawdę za nim tęsknił, naprawdę go kochał.

– Poza tym czemu mam cię krzywdzić, pokrzywko piekąca? Ty mnie nie skrzywdziłaś. Ty skrzywdziłaś moją miłość czyimiś rękami. Ja musiałbym zrobić to samo. Skrzywdzić twoją miłość jakimiś cudzymi rękami. Jak najbrudniejszymi, co nie?

Człowiek o nazwisku Karaś we wstrętnej i zimnej oborze. Skalpele. Palniki. Beczki.

Nadzieja, że Ewelina będzie w teatrze – pielęgnowałam ją jak kruchego, małego ptaka. Trzymałam go w dłoniach i chuchałam w niego, by przeżył.

Teraz Dario kłóci się z innymi. Rozmawiają cicho, zmęczeni się krzykami – Karaś, dwóch roślących typów o wschodniej urodzie i młody chłopak, niski, barczysty. Naprzeciw nich Dario w garniturze, co chwila rozkładający szeroko ręce. Jednego z tych mężczyzn widziałam w starym mieszkaniu Kurtki. Przedstawił mi się jako pierwsza osoba tutaj. Wyciągnął dłoń i powiedział, że nazywa się Umar. Najwidoczniej chciał dać mi do zrozumienia, że on jeden jest tutaj ludzki.

Próbują wyperswadować Dariowi wyjście. Twierdzą, że coś, co planowali, umarło razem z Jackiem. Chcą wrócić do tego, co było przedtem, cokolwiek to było. Tłumaczą, że będzie tam pełno policji, wspominają o tej uprowadzonej dziewczynce. Mają rację. On odpowiada im zdaniem, z którymi trudno dyskutować, bo nie mają sensu, składają się z niepasujących do siebie słów. Brzmi jak zepsuty program komputerowy.

Podchodzi do mnie, wskazuje na mnie dłonią.

– Zobaczcie, jak się odpiardoliła. Mamy tam nie iść? I mamy nie poznać prezydenta Warszawy? Ja chcę zobaczyć, jak to się robi, ja chcę być nowym prezydentem Warszawy. Mamusia mówiła: spełniaj marzenia, Dareczku.

– Ty już jesteś królem Warszawy – Karaś odpowiada mu zrezygnowanym głosem. Zatacza koło ręką w powietrzu, próbując mu pokazać, że mieszkanie, które zajmuje, jest przecież tego dowodem, jest jego pałacem.

To nie mogło być tak, że Jacek wrócił z Argentyny i oddał mu się bez protestu jak dziecko. Musiał go nienawidzić, zanim Dario zjadł mu duszę. Musiał się zastanawiać, jak mógłby go zabić. Czekać na ten moment, wypatrywać go.

Może ostatecznie zmieniło go właśnie to oczekiwanie, to niewyobrażalne napięcie.

– Darek. – Karaś zamyka oczy. – My nawet nie wiemy, jak to dalej popchnąć. Z kim on rozmawiał, co robił. On jakieś konta pozakładał, do których my nie mamy teraz dostępu. Ty sobie nie zdajesz sprawy z przejebania sytuacji.

Panika bije od nich jasną łuną. Daria w ogóle to nie obchodzi. Mówi im, żeby wrócili na wieś, żeby tam na nas poczekali. Na nas, podkreśla, czyli chce zabrać mnie tam z powrotem. Wypowiada zdania, które udają racjonalne podejście – ściągnie jakiegoś „magika”, który „dostanie się do komputerów”. Oni desperacko chwytają się tych zdań. Potrzebują ich, aby stąd wyjść, a on im je daje. On naprawdę wszystko oparł na Jacku.

Gdy zostajemy sami, patrzy na mnie z dziecinnym, potwornym zachwytem. Kiwa głową w stronę tacy nietkniętych dóbr.

– To może szampana?

Co zrobiłby mu Jacek? Co brał pod uwagę?

Jak się poczuł, gdy się dowiedział, że to nie Dario zabił jego siostrę?

Czy gdy zrozumiał, że nie musi go zabijać, dotarło też do niego, że tak naprawdę nie może tego zrobić?

Dario wyciąga butelkę z lodówki, miga mi naklejone na nią logo Power MMA. Znajduje w szafce dwie szklanki z Ikei, nalewa szampana do pełna. Daje mi jedną. Wącham, piję. On, ciamkając, rozsmarowuje sobie smak po podniebieniu. Krzywi się.

– Bułeczko żelazna, musisz mi wszystko powiedzieć.

– Jakie wszystko?

– Wszystko o Jacuni. Jak go poznałaś, na sam początek. Opowiadaj, szybciutko. Klaps, klaps.

– Na imprezie – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Ktoś go gdzieś przyprowadził.

– I co pomyślałaś, gdy go pierwszy raz zobaczyłaś? – Siada naprzeciwko mnie.

– Że jest przystojny – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Opróżniam szklanekę, biorę do ręki worek z trawą. Wdycham głęboko. On zachęca mnie gestem, abym sobie skręciła.

– Ja ci powiem, że nigdy tego nie lubiłem, piłko kolczasta, tej sałaty śmierdzącej. To, co niemiłe, jest po tym dużo wyraźniejsze.

– Ja to lubię. Wtedy czuję się bezpieczniej.

– Oczywiście, że Jacunia był przystojny. Najprzystojniejszy.

Odrywam kawałki kwiatów, wkładam do crushera. W stalowym kółku widzę swoje zniekształcone odbicie. Makijaż w barwach kredek świecowych, ciasno spięte włosy.

– Ale co jeszcze sobie pomyślałaś? Że byś chciała z nim coś teges? Że masz na niego jakieś pomysły? Jakie miałaś pomysły?

Przez chwilę myślę, że to go nakręca. Że to jego następne, tysięczne zwyrodnialstwo. Ale zdaję sobie sprawę, że naprawdę próbuje to robić – wspominać ze mną zmarłego przyjaciela. Chce cierpieć jak zwykły człowiek.

– Umarł kiedyś ktoś, kogo kochasz? – pytam, zamiast odpowiedzieć na jego pytanie.

Ucieka wzrokiem, przejeżdża językiem po zębach. Zaciska w dłoni naszyjnik.

– Miałem na sobie ten bisior, kiedy zobaczyłem go pierwszy raz. To prawdziwy indiański bisior. Jest w nim zaklęta martwa dusza, słuchaj. Dusza wodza zjadacza bizonów. Jestem tego pewien. Skąd go mam, to nieważne. Nieważne to jest, ważne, że to specjalny bisior. Siedzieliśmy u jego hurtownika, tego złodzieja Piotrka. Ja właśnie wyszedłem sobie z tej wstrętnej puchy zaruchanej śmierdzącej. Zobaczyłem go i pomyślałem, że to niespotykany chłopiec jest. I dziwne, że taki niespotykany chłopiec, taki Apollo, chce wszystko oddać ulicy. Ulica to głupia kurwa, lizaczku przyschnięty. Ulica to zoo, w którym pootwierali klatki, ale główna brama wciąż jest zamknięta i obstawiona. I taki chłopak tutaj. Mądry, jasny. To nie jest jego miejsce, on ma wracać na powierzchnię, ma iść grzecznie do

mamusi ssać jej cycuszki, raz lewy, raz prawy. Tylko potem zrozumiałem, że on jest nie tylko piękny, on jest nie tylko niespotykany, on jest genialny. Że on w ogóle wszystko może mi zmienić. Piotrek go używał... Jak by ci to powiedzieć... Jakbyś miała w garażu porsche najnowsze i najlepsze i wozila nim worki na budowę. Tak go używał, ten wsiur niedomyty śmierdzący. – Wypija szampana duszkiem. – Nie kochałem go w sposób... ja nie jestem kruchy. Nie jestem gejuchem.

– Kochałeś go jak syna.

Na policzku pojedyncza łza, jak błąd oka. On trze dłonią o twarz, szybko i mocno.

– Ja nie wiem, chmurko ołowiana, bo ja nie miałem nigdy syna. Wiem jedno: mógł nie łykać tej trucizny.

– Trucizny, którą sprzedawaliście dzieciom.

Puszcza to mimo uszu.

– Mówiłem mu, prosiłem go, krzyczałem na niego. Ale to nic nie dało. Nic, nic. Nie wiem, czemu to robił. Miał wszystko, co chciał. Wszyściutko. Ta siostra? Dlatego mu tak smutno było? Ale przecież żeśmy ukarali tych bydlaków. I co, i dalej było mu smutno? Czemu ja go nie zamknąłem w piwnicy? Nie związałem sznurami? Czemu nie byłem taki jak zawsze? Żeby tak leżał, żeby... Żeby to z niego wszystko wyciekło. – Odwraca się, żebym nie widziała. Dźwięk, który wydaje, płacząc, mógłby wydawać podpalany żywcem kot.

Zapalam jointa. Pachnie szyszkami, korą, ziemią, benzyną. Zaciągam się kilka razy i wyciągam go w stronę Daria. On się odwraca. Wciera sobie łzy pięściami w policzki jak mały chłopiec.

– Nie chcę, mówiłem ci, skarbenku skarbuśny. Pięknie wyglądasz. Naprawdę ładnie cię ubrałem. Jak laleczkę taką.

Ale ja nie cofam ręki. Chcę zobaczyć, czy można go do czegoś przekonać.

– Oj, zła ty jesteś, gorsza ode mnie. – Kręci głową.

Chcę zobaczyć, gdzie ma w sobie szczelinę, boczne wejście. Czują punkt.

– Naprawdę myślisz o sobie, że jesteś zły? Nikt tak o sobie nie myśli. Nawet Hitler tak o sobie nie myślał.

– Hitler był cwelem, malinko kolczasta. Dostawał chuja do dupy pod całą, codziennie. Dlatego tę książkę pisał, *Moja walka*. Uciekał w marzenia,

rozumiesz, gdy go szarpali. On do końca w pieluszce chodził, tak go do wora dali. Stał przy mównicy i w portkach miał pieluchę.

Powoli bierze jointa. Zaciąga się, zasłaniając usta otwartą dłonią. Jakby palił papierosa. Krztusi się, kaszle spazmatycznie. Wyciąga go w moją stronę.

– No co ty – mówię. – Poddajesz się?

– Nie weźmiesz mnie tak, cebulko wyrwana. Ja znam te wszystkie dowcipy.

Ale po chwili i tak zaciąga się jeszcze raz. Oddaje mi jointa. Męczy się, lekko wierci. Znowu mlaszcze, ma sucho w ustach. Bierze sok, który mi przyniósł, wypija go duszkiem. Wstaje, zdejmując ze ściany zdjęcie Jacka. Chce je pognieść, ale ostatecznie je składa, chowa do kieszeni.

– Wszystko nieprawda. Wszystko sztuczne. Ludzie wymyślają sobie bajki i myślą, że te bajki są na serio, żeby się nie poprzewracać. Więc trzeba je wziąć, wyjąć z ludzi. Wtedy będą jak lalki. Można będzie z nimi robić, co się chce.

– A co się chce? – pytam.

Zaciągam się, a on patrzy na jointa jak kot na zabawkę. Zasmakowało mu. Lekko się uśmiecham. Podaję mu go.

– Co się chce, Darku? Co Darek naprawdę chce? – pytam go cichym, nie swoim głosem.

To zabawne. Upiór, demon, morderca, najgorsze dziecko złych czasów – ma zwyczajne lęki po paleniu.

– Mógłbyś przeczytać siebie tak, jak czytasz innych?

Zaczyna się wściekać. Uderza się dłońmi o twarz, o czaszkę, syczy, przewraca oczami. Szczyrzy zęby. Chce coś z siebie wygonić. Pragnie mnie skrzywdzić i próbuje z tym walczyć. Teraz. Mimo strachu prowokuję go spojrzeniem. Zrób to, proszę cię bardzo. Ale musisz wiedzieć – ta myśl pojawia się znikąd, jakby była obca, wysłana do mojego mózgu z zewnątrz – Jacek tu jest. Jacek stoi w rogu pokoju. Jacek cię znienawidzi.

Dyszy, charczy. Robi się cały czerwony.

W końcu się otrząsa. Uspokaja.

– Jacunia myślał tak samo jak ja. Byliśmy tacy sami.

Odbieram od niego jointa, gaszę go w herbacie.

– Chcesz tam jechać? To zamawiaj ubera.

– A co to jest uber, skarbenku? – pyta zupełnie szczerze. Ujarał się jak świnią.

*

Radio mówi, że protesty trwają czwarty dzień.

Radio mówi o kilkudziesięciu zatrzymanych osobach, w tym nieletnich.

Radio mówi o zdewastowanym kościele przy placu Trzech Krzyży.

Radio mówi, że przy trójce młodych ludzi odpowiedzialnych za ten akt wandalizmu znaleziono popularny ostatnio narkotyk o nazwie „światliki”.

Radio mówi o młodej kobiecie, która uderzona przez policjanta wylądowała w szpitalu ze złamaną żuchwą i wstrząsem mózgu.

Dario nie słucha radia. Dario siedzi obok mnie na tylnym siedzeniu toyoty prius, przypięty pasami, uwięziony i oszołomiony. Trzymam w dłoni okropną skórzaną kopertówkę na złotym łańcuchu.

W lusterku wstecznym jak w małym monidle my oboje – niewydarzone małżeństwo. Auto przebija się przez korki w centrum. Ludzie wylewają się z metra, podążają w stronę Świętokrzyskiej i Nowego Świata, idą pod Sejm. Trzymają kartony z hasłami. Niektórzy mają twarze zasłonięte chustami, inni włożyli kominiarki. Pomiedzy nimi zwyczajni przechodnie, rodziny z dziećmi. Starsze panie. Jedni są ubrani w ciepłe kurtki, inni mają koszulki i krótkie spodenki. Gdzieś w oddali kolorowy dym zapalanej flary. Na każdym rogu stoi radiowóz, rozsiewający dookoła błękitne światło sygnału. Nieznacznie opuszczam szybę. Zapach miasta wpada przez szparę grubości małego palca. W tym zapachu – benzyny, deszczu na asfalcie, błota – jest obietnica życia, obietnica ucieczki.

Radio mówi, że córka ministra Kunickiego wciąż nie wybudziła się ze śpiączki farmakologicznej.

Radio mówi, że Centralne Biuro Śledcze zna sprawców porwania, ale ze względu na tajny charakter dochodzenia nie podaje ich tożsamości do wiadomości publicznej.

Radio mówi, że lockdown i zamknięcie granic pozostają w mocy do odwołania.

Radio mówi, a Dario nagle krzyczy. Żąda, by radio przestało mówić.

– Włącz Złote Przeboje, już! – rozkazuje kierowcy.

Ten nie rozumie, przyjechał gdzieś z Kaukazu, tak samo jak ludzie Daria, ma przestraszone oczy i imię trudne do wymówienia.

Dario odpina pasy, pochyla się między siedzeniami, próbuje sam zmienić stację. Delikatnie łapię go za materiał garnituru, przyciągam z powrotem na miejsce.

– Zapnij pasy. – Skoro mamy być tym niewydarzonym małżeństwem, to tak będę go traktować.

Ewelina. Próbuje wysłać myśl w jej kierunku: bądź tam, bądź tam i strzelaj celnie, proszę.

Samochód skręca w Świętokrzyską, gdzie tłum jest jeszcze większy. Dario nerwowo wciąga powietrze. Ludzie na ulicy go irytują, nie rozumie, co dzieje się w mieście. Ktoś wyskakuje na jezdnię, staje przed autem. Młoda dziewczyna w spodniach i samym staniku. Na brzuchu ma grube czerwone litery, namalowane palcem zanurzonym w farbie. Litery krzyczą: WOLNOŚĆ.

Kierowca usiłuje się przebić przez Krakowskie Przedmieście, ale w końcu rezygnuje. Ludzie prą naprzód, nic sobie nie robią z ruchu samochodów. Policja obstawiająca rogi ulic krzyczy przez megafony, że mają się rozejść – na próżno. Każdy z nich wie – tak jak Dario – że rzeczywistość można zmienić, przestawić, przemalować.

Dario otwiera drzwi, wysiada z auta, ściska mój nadgarstek. Potykam się w szpilkach, pokazuję mu, że muszę je zdjąć. Przystajemy. Mija nas potężna kobieta w wojskowej kurtce, wrzeszcząca przez megafon jak mantrę:

– WYPIERDALAĆ! WYPIERDALAĆ! WYPIERDALAĆ!

Dario ciągnie mnie w stronę teatru. Rozgląda się dookoła, mrużąc oczy. Jest dziwnie bezradny, jakby zapomniał drogi, którą znał całe życie, jakby cierpiał na alzheimera. Rzeczywistość odmówiła mu współpracy.

– Teatr jest tam. – Pokazuję mu.

– Widzisz, paprotko zaschła, czasami człowiek zwyczajnie głupieje. – Szczerzy zęby i mocniej zaciska dłoń na moim nadgarstku.

Próbuje udawać zwykłego spóźnionego mężczyznę. Obok nas przelewają się tłumy, nikt nie zwraca na nas uwagi.

Teatr sprawia wrażenie zamkniętego, na oświetlonych schodach nikogo nie ma. Przez chwilę łudzę się, że zaszła pomyłka. Przecież trwa lockdown, nikt nie organizuje żadnych gal. Poza tym miasto właśnie jest podpalone, pełne wściekłych ludzi. Jego prezydent powinien być na tyle rozumny, by nie wręczać teraz nagród swoim podwładnym, tylko przemawiać do protestujących, zapewniać ich, że jest razem z nimi. Że mają rację.

Ale gdy wchodzimy na schody, podbiega do nas para. Uśmiechają się jak do innej zwykłej pary, nie rejestrują naszej pokraczności. Prześlizgują się obok i otwierają drzwi, zza których buchają głosy, światło, muzyka typu

jazz z windy. Mężczyzna wyciąga z kieszeni bilet, pokazuje go chłopcu w czarnym garniturze i czarnej maseczce. Chłopiec wpuszcza ich do środka.

– Dobry wieczór, czy mogę zobaczyć zaproszenie? – zwraca się do nas. Widzi, że jesteśmy przebrani, coś mu się nie zgadza, ale zachowuje się profesjonalnie.

– Ale mnie już zaproszono, chłopczyku. Poznałem takiego pana fafluna, i on mnie tu zaprosił.

– Pana godność?

Chrząka.

– Dieter Bohlen – mówi z trudem.

Chłopak szuka nazwiska. Nie może znaleźć.

Dario otwiera usta, by coś powiedzieć, ale kręcę głową na znak, że ma się zamknąć. Znowu to czuję. Dryfuję nad tym wszystkim, pięć metrów nad ziemią.

– A pan Thomas Anders? – pytam. Przypominam sobie nagle, co mówił Żakowski. Te dwa nazwiska, które przybrali, razem tworzą niezrozumiałą dla mnie dowcip.

Jakaś część mnie chce wrzeszczeć z przerażenia. Jakaś część mnie myśli: palnik, beczki, obcęgi, skalpele. Ale inna część jest tak spokojna, że wydaje się martwa.

Chłopak patrzy na listę. Sprawdza ją raz, drugi. W końcu znajduje nazwisko Jacka. Wchodzimy do środka i zaraz zastawia nam drogę zmęczony mężczyzna w kurtce sanitariusza. Gestem zaprasza nas na bok, do stolika ze sprzętem medycznym.

– Musimy wykonać państwu test – informuje. – Wyniki będą w piętnaście minut.

– Test na co, misiaczku? – pyta Dario.

– Na covid – odpowiada sanitariusz z cierpliwością przedszkolanki.

– A jeśli nie chcę, to co?

– To pan nie wejdzie do środka. Taki jest wymóg – wyjaśnia mężczyzna. Odbywał tę rozmowę kilkadziesiąt razy.

– Pan chce wejść do środka. – Jestem coraz lepsza w udawaniu jego żony. Ściskam go za zimną, kamienną dłoń.

Facet wyciąga z folii długi wacik. Testowano mnie już kilka razy i uczucie jest tak paskudne jak zawsze. Patyczek gwałci zatokę, wchodzi w miejsce, w którym nigdy nie powinno być obcego ciała. Momentalnie

zaczynam płakać. Wyciągam lusterko z torebki. Nie jestem rozmazana, wstrętne kosmetyki są chyba wodoodporne. Dario patrzy na tę procedurę z fascynacją. Gdy przychodzi jego kolej, bierze głęboki wdech. Kiedy patyczek wchodzi w jego nos, uśmiecha się.

Stajemy w rogu, blisko siebie. Próbuję się nerwowo nie rozglądać, próbuję nie szukać Eweliny.

Dario zatrzymuje na mnie wzrok. Ocenia mnie, patrzy na mnie jak na krowę. Czuję, jak ten wzrok po mnie spływa. Nie przeżera się przez skórę. Nie infekuje mnie.

Jestem nad nim. Metr, pięć, dziesięć. Staje się coraz mniejszy, mimo to widzę go coraz wyraźniej.

– Ale ty ładnie w tym wyglądasz, ty szarlotko niezniszczalna. Dupę masz taką wielką, niesamowitą. Cały kontynent masz tej dupy, a chowasz.

Rozpina za dużą marynarkę. Widzę broń, niewielki pistolet z tłumikiem w materiałowej kaburze.

– Ty przecież lubisz to, co kruche i małe.

– No co ty, pistacjo zamknięta.

– Lubisz zgniatać ludzi w dłoni. Słuchać, jak pękają.

– A skąd. Pokażę ci, co lubię mieć w dłoni.

– Nie dotkniesz mnie.

– No jasne, bulwo zakwitła.

Nie mam pojęcia, czy sanitariusz słyszy naszą rozmowę. Być może cudze rozmowy też zlały się w jeden płaski szum.

– Są państwo zdrowi – informuje.

Zrobili nawet ściankę. Zamknięte miasto zaczyna płonąć, a oni zrobili sobie ściankę i pozują na jej tle, chociaż wchodzących wita rollup z nadrukiem ZAKAZ ROBIENIA ZDJĘĆ.

W wąskim foyer otaczającym salę kręci się kilkadziesiąt osób w strojach wieczorowych. Ich słowa topią się w plastikowym jazzie lecącym z głośników. Ta wstrętna kiecka pije mnie pod pachami, wrzyna się w pasie, rajstopy są za małe, co chwila zjeżdżają z tyłka. Przysięgam, zaraz oszaleję.

Dario się rozgląda. Ja również. Ewelina. Desperacko jej wypatruję, chcę zawołać jej imię.

– Muszę do łazienki.

– Nie ma mowy, ty zupko trująca.

– Muszę się załatwić.

– Nie, skarbenku. Sikniesz w majciory. Tak będzie nawet fajniusio. – Dario niucha jak pies. Ucieka wzrokiem od spojrzeń, jest niespokojny.

Sawicki na drugim końcu foyer. Stoi obok bardzo szczupłej kobiety w prostej płóciennej sukience. W jej włosy wpleciona jest galaktyka paciorków, dłonie, jeśli dobrze widzę z tej odległości, pokrywają tatuaże. Poznają ją, była na polaroidach przyklejonych do ściany w apartamencie Anioła. Obok nich jest jego asystent Marcel. To on poznaje mnie pierwszy. Mówi coś Aniołowi na ucho, Anioł patrzy w naszą stronę. Dario wciąż rozgląda się po suficie, po ścianach. Doskonale udaje kogoś, kto nie umie się odnaleźć, kto jest w teatrze pierwszy raz w życiu. A może wcale nie udaje.

Anioł robi kilka kroków w naszą stronę, ale gdy zauważa Daria, odwraca się i rusza z powrotem do Marcela. Dario tego nie rejestruje, znowu mocno ściska mój nadgarstek.

Hostessa podchodzi do nas z tacą pełną kieliszków szampana. Bierzemy po jednym. Dario uśmiecha się, podnosi kieliszek, patrząc dziewczynie w oczy.

Anioł udaje, że nic się nie stało, że w ogóle nas nie zauważył, ale co chwila nerwowo zerka na Daria.

Rozlega się dzwonek, nieliczni goście idą zająć miejsca. Jednak większość patrzy w naszą stronę, rozpoznaje Daria. Już rozumiem – mogli go widzieć w Marriotcie. Przecież to ci sami ludzie. Miejska sitwa, zjadacze cukru. Radni, urzędnicy, paru posłów opozycji. Dyrektorzy instytucji, muzeów, innych teatrów. Deweloperzy. Ci, którzy zauważyli Daria, zbliżają się do siebie widocznie zdenerwowani. Szepczą coś jeden drugiemu na ucho, przy tym co chwila na nas zerkając. Widać po nich, że bardzo próbują nie panikować. Pojawia się Strobiński. Patrzy na nas, rozpoznaje mnie. Nie rozumie, co tu robię. Upewnia się, czy to na pewno ja. Przypada do zdenerwowanej grupki, próbuje uspokoić gości serią mało wiarygodnych gestów, po czym szybkim krokiem podchodzi do członka obsługi. Coś mu tłumaczy, bardzo starając się przy tym na nas nie patrzeć, a następnie kieruje się ku nam. Na jego widok Dario szczerzy się jak krokodyl.

– To ty. Faflun.

– Witam pana, panie...

– Miałeś mnie poznać z prezydentem, faflunie. Gdzie jest prezydent? Strobiński się poci, jest tak przerażony, że cały się trzęsie.

- Ja... tak, zaraz. Ale... a gdzie jest pan Anders?
- Pan Anders jest w szpitalu – odpowiadam obcym, pewnym głosem.
- Pani...
- Przecież pan mnie zna. Byliśmy nawet po imieniu.

Daje znać gestem, że zaraz do nas wróci, i oddala się szybkim krokiem. Powietrze zaczyna bzyać od elektryczności. Jeszcze jeden dzwonek, głośniejszy, bardziej przeciągły. Obsługa delikatnie, ale stanowczo kieruje obecnych we foyer gości w stronę siedzeń.

Młoda kobieta, upewniwszy się co do naszej tożsamości, prowadzi nas ku siedzeniom z boku, mniej więcej w połowie widowni. Na każdym leży kartka z imieniem i nazwiskiem THOMAS ANDERS.

Między każdą parą jest jeden pusty fotel. Najbliżej nas siedzi starsza para: dostojna, zmumifikowana kobieta w czarnej sukni i mężczyzna z siwym wiechciem okalającym czaszkę. Sztywno się uśmiecha. Odpowiadam tym samym. Patrzę na nich jeszcze raz. Tak naprawdę wszyscy tu jesteśmy pokraczni.

Na scenę wchodzi prowadzący – celebryta, którego nie rozpoznaję. Puka w mikrofon, chrząka. Podnoszę się nieznacznie na siedzeniu. Odwracam.

- Co się tak rozglądasz, czarna rybko? Kogo szukasz?

Ewelina, proszę cię.

- Ktoś ma tu jeszcze przyjść? – pytam.

– Proszę państwa, wszyscy poczuliśmy się fajnie, i super, ale bardzo prosimy o wyłączenie telefonów, założenie maseczek i zdezynfekowanie dłoni. Tak aby nikt ani nic nie mogło się do nas przyczepić.

Cicha fala śmiechu.

Na sygnał prowadzącego hostessy, niosąc szerokie tace, przechodzą wzdłuż rzędów siedzeń. Na tacach leżą maseczki i małe opakowania żelu antybakteryjnego. Biorę dwie, jedną podaję Dariowi. Zakłada ją sobie na oczy i głośno rechocze.

Wiercę się, rozglądam. Zerkam na balkony. On ściska moją dłoń, dając do zrozumienia, że jeśli wykonam nierozważny gest, zmiażdży mi palce.

Światło przygasa. Kurtyna się rozsuwa, odsłaniając kinowy ekran, prowadzący robi parę kroków w bok. Film, a raczej teledysk, sprawia wrażenie znaleziska archeologicznego. Impreza nad Wisłą, ludzie w Łazienkach spacerujący bez maseczek, tłumy w galeriach handlowych. Barki na rzece. Szczęśliwe rodziny pod nowiutkimi blokami. Nadęta,

kiczowata muzyka. Film się kończy, a na wygaszonym ekranie pojawia się napis: WARSZAWA JUTRA JEST MOŻLIWA.

Tylko kilka osób bije brawo. W tym Dario.

– Ładny film – mówi. – Ładny taki, wesoły.

Warszawa jutra jest niemożliwa.

– Witam państwa na gali Warszawa Jutra. Jako prowadzący powinienem powiedzieć teraz coś zabawnego. Błysnąć dowcipem, dykteryjką. Ale tak jak wam, nie jest mi do śmiechu. Mamy trudne czasy, drodzy państwo. Pełne lęku, obaw o jutro. Czasy pełne rezygnacji. Zadajemy sobie pytanie: kiedy to się skończy? Miało trwać miesiąc, dwa miesiące. Trzy miesiące. Do świąt, do wakacji. W wakacje złapaliśmy trochę oddechu, ale znów jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Mówimy sobie: cierpliwości, mówimy sobie: trzymajmy się. Ale na ile starczy nam tej cierpliwości?

Starsi państwo obok nas kiwiają głowami. Rozbrzmiewają oklaski, teraz głośniejsze niż po filmie, do tego wyrażające aprobatę pomruki.

– Drodzy państwo, bez zbędnego przeciągania. Chcę oddać głos naszemu gospodarzowi, prezydentowi Warszawy. Konrad Namysłowski, zapraszamy!

Na salę prowadzi kilka drzwi wejściowych. Wszystkie są zamknięte. Zaczynam się pocić, tak samo jak Strobiński. Dario to czuje.

Okazuje się, że Namysłowski siedział niedaleko, parę rzędów przed nami. Wstając, prawie podskakuje. Wybiega ku scenie, sprawny sprawnością golema zrobionego z gumy dobrej jakości. Uśmiecha się w sposób, który każe myśleć, że to jego naturalny wyraz twarzy. Nie jest aż tak wysoki, jak myślałam, ale niewielki wzrost nadrabia zwinnością. Jego ciało mówi: mam nad wszystkim kontrolę, będę żył bardzo długo.

Dario mlaszcze.

– Myślisz, że mnie polubi? Ten fajny prezydent?

– Drodzy. Dziękuję. Mój sztab, moi ludzie odradzali mi ten pomysł. Covid? Lockdown? I w tym wszystkim gala? Zjedzą cię, Konrad. Dasz partii rządzącej materiał na lata. Chcesz, aby myśleli o tobie, że jesteś lekkomyślny? Nie, ja nie jestem lekkomyślny. Ja chcę podziękować moim przyjaciołom i chcę im coś obiecać.

Jakiś szum, ruch. Nie mogę zobaczyć, co się dzieje, bo dłoń Daria wbija mnie w fotel, zabrania mi się podnieść.

– Tam, na zewnątrz, trwa walka. Dzielne kobiety walczą o swoje podstawowe prawa. Ryzykują zdrowie, aby przybliżyć nas do Europy. Niby

w niej jesteśmy, ale właśnie: niby! Chciałem powiedzieć: jestem z wami. I chciałem powiedzieć: tu również trwa walka!

Coraz więcej oklasków. On umie przemawiać, trenuje to codziennie, ale należy do poprzedniej epoki. Jest piękną skamieliną. W latach dziewięćdziesiątych wygrałby wszystko. Dzisiaj jest skazany na wymarcie.

Thomas Anders. Zdaję sobie sprawę, że cały czas siedzę na tej kartce. Wolną dłonią wyciągam ją sobie spod tyłka, zgniatam w kulkę.

– Jaka walka, zapytacie? Drodzy, prowadzący tę galę mój serdeczny przyjaciel Tomek powiedział mądrze: ile to wszystko ma jeszcze trwać? Czy mamy poświęcić nasze marzenia? Naszą wolność, w ramach globalnego eksperymentu? Czy mamy zamknąć przed sobą drzwi z napisem WARSZAWA JUTRA?

Rozumiem już, co chciał zrobić Jacek, na czym polegał jego prawdziwy pomysł. Tu nie chodziło tylko o świetliki.

Podły Jacek, genialny Jacek. Zły Duch Jacek.

Ktoś wstaje z krzesła. Nie widzę kto. Namysłowski też to dostrzega, ale celowo nie patrzy w jego stronę. To nie może być nikt uzbrojony, nikt groźny, inaczej już teraz wzbudziłby panikę. To nie może być policja. To nie może być Ewelina. Chcę się odwrócić jeszcze raz. Ale Dario kręci głową.

– Tak chciałaś tu przyjść i teraz ci się nudzi, gwiazdko gasnąca?

– Kochani. Moi przyjaciele. Kurczę, jeszcze raz, jak dobrze was widzieć. Ja chcę, aby to miasto rosło. Aby było coraz piękniejsze, coraz bezpieczniejsze, coraz bardziej otwarte dla wszystkich. Jednak aby tak się stało, to miasto musi działać.

Jacek chciał go ugłaskać. Podzielić na małe części i sprzedawać, rozbić na pojedyncze żarty, małe strachy. Jacek miał być przedsiębiorcą, a Dario maskotką. Chciał zrobić z niego bohatera. Dać mu platformę, ubrać go w dobrze skrojony garnitur, wygładzić zmarszczki, wybielić zęby. Chciał zrobić z niego mem, którego wszyscy pokochają. Zmienić go w niewyczerpany żart, wieczne źródło lolcontentu. Chciał go okiełznać, wykastrować i użyć, a potem zdobyć nim prawdziwą władzę. Zbudować dookoła siebie prawdziwy mur.

To musiał być jego plan. Na tyle, na ile go znam.

A znałam go najlepiej. Mimo wszystko.

Myśl, której nie wyganiam. Którą wpuszczam do środka. Której pozwalam się rozgościć. Straszna myśl, która zostaje moją przyjaciółką.

To dobrze, że Jacek nie żyje.

On to wiedział – ludzie chcą prawdy, nawet jeśli mówiłby ją potwór. Potwora wystarczy tylko trochę wygładzić. Umalować. Zrobić mu zdjęcie z filtrem.

Kto tam stoi? Kto wszedł? Ewelina?

– Nie wierć się tak – mówi cicho, ale bardzo głośno.

Namysłowski kładzie sobie dłoń na sercu.

– Przysięgam, że Warszawa będzie właśnie taka. Otwarta. Działająca. Sprawna. Inklusywna. Przysięgam...

– Co ty w ogóle pierdolisz, typie? – Ze środka sali rozbrzmiewa głos, który dobrze znam. Zbyt niski, aby mógł należeć do młodej dziewczyny, bo obniżony przez leki hormonalne.

O Boże.

Próbuję poderwać się z miejsca. Nie, proszę, nie.

– Siedź – rozkazuje Dario.

– Młodzi ludzie – mówi Namysłowski. – Oto i oni. Cześć. Fajnie, że wpadliście. – Uśmiecha się, rozpościera ramiona w przyjaznym geście.

Przez publiczność przetacza się ciche buczenie.

Teraz ich widzę, gdy podchodzą bliżej sceny, całą trójkę. Są ubrani w stroje, które uznali za wieczorowe: zbyt duże pogniecione koszule, czarne oversize'owe spodnie. W innych okolicznościach powiedziałabym im, że to piękne, że zawsze są sobą. Że nie umieją się za nikogo przebrać.

Muszę wstać. Muszę kazać im wracać do domu. TERAZ. Moje plemię. Małe plemię. Małe ptaki. Co wy tu robicie, głupki?

– Ty nawet nie wiesz, że istniejemy – stwierdza Wiktor i robi krok w kierunku prezydenta. Jego głos jest dźwięczny, mocny. Nie potrzebuje mikrofonu, aby usłyszał go każdy na tej sali.

Besia z włosami spiętymi w koński ogon odwraca się w stronę publiczności, podnosi transparent. Jest na nim zaciśnięta tęczowa pięść. Ktoś krzyczy:

– Gówniarze!

Ktoś inny:

– Won do domu!

To ja powinnam to krzyknąć.

Wiktor rozgląda się po sali, nie wiem, czy mnie widzi. Posłuchaj ich, Wiktor.

– A bo ty znasz te dzieciaczki, kurko pomarszczona – syczy mi Dario prosto do ucha. Matko, jak on cuchnie.

– Ty myślisz, że to jest wszystko wygłup. Chcesz tylko wygrać kolejne wybory.

Wiktor stoi na baczność. Wiktor patrzy Namysłowskiemu prosto w oczy. Wiktor, WON DO DOMU.

Namysłowski kuca, wyciąga do Wiktora rękę, chce pomóc mu wejść na scenę.

– Chętnie z panią porozmawiam – deklaruje.

– Nie jestem żadną panią, ja nazywam się Wiktor.

Jeszcze więcej buczenia, oburzonych okrzyków. Dario zaczyna ciężiej oddychać, jakby coś zablokowało mu płuca. Jednocześnie się oblizuje. Jak ktoś bardzo głodny.

– Taki śliczny, taki samorodek maluśny.

– Ja nazywam się Konrad. Porozmawiajmy. – Namysłowski zwraca się do Wiktora z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Zabierzcie stąd tych gówniarzy! – krzyczy jakiś starszy człowiek z głębi sali. – Zabierzcie ich stąd w cholere!

– To taki biedny chłopczyk jest. Ale fajny taki.

Namysłowski kręci głową.

Ewelina. Błagam cię. Błagam cię, Ewelina. Chyba mówię to na głos. Chyba zaczynam płakać. Chyba Dario rozumie.

– Nie. Wiktor ma rację. Posłuchajmy go. – Prezydent macha do Wiktora, wyciąga mikrofon w jego stronę.

Wiktor bierze mikrofon do ręki, ostrożnie, najpierw w dwa palce, potem pewniej, w całą dłoń. Rozgląda się nerwowo po sali. Próbuje złapać jego spojrzenie. Ale nie ma szans, by rozpoznał mnie z tej odległości, zwłaszcza że zupełnie nie przypominam siebie.

– Gdy wrócimy do domu, żoneczko kochana, najpierw zdejmę ci skórę z pleców – mówi Dario.

– Jesteśmy wszędzie dookoła was – odzywa się Wiktor, a jego głos staje się jeszcze dźwięczniejszy, jeszcze donośniejszy. – Nigdzie nie jesteśmy u siebie, bo jesteśmy inni, nie mamy domów nawet we własnych ciałach. Poukrywani w mieście, poznajemy się po strojach, po spojrzeniach. Nikt za nami nie stoi. Ludzie na zewnątrz...

Jest niepotrzebnie nadęty. Powiedziałałabym mu: jeśli chcesz się dogadać z innymi, wyciągnij do nich dłoń, przestań fruwać tak wysoko. Mimo to

jestem z niego dumna.

Ludzie są coraz bardziej wściekli, ale nie Namysłowski. Siada na krawędzi sceny, zwiesza nogi, a gdy podjeżdżają mu nogawki, widać kolorowe skarpetki. Opuszcza głowę, pozorując uwagę i zatroskanie.

– To, co ci zrobię, będzie trwać długo. Ewelinka nie przyjdzie. Znudziłaś się Ewelince.

WRACAJCIE DO DOMU.

– Jeśli chcecie, aby Warszawa była otwarta, nie pozwalajcie nam umierać – ciągnie Wiktor. – Bo to my jesteśmy jutrem. Kurczę, podobno za dwanaście lat świat nie będzie się nadawał do życia, a wy uważacie, że to my jesteśmy problemem, bo chcemy, aby mówiono do nas naszymi prawdziwymi imionami?

Ktoś zapala światło.

Wiktor mruży oczy.

Na krótką sekundę obraz zastyga jak na fotografii.

A potem wszystkie drzwi naraz – główne, boczne – otwierają się z hukiem.

– Policja. Proszę zachować spokój. Policja!

Dario miażdży moją dłoń.

– Utnę ci piersi i je upiekę.

Dwóch mężczyzn w czarnych garniturach podbiega do Namysłowskiego, w okamgnieniu wciąga go za kulisy.

– Ty kurwo, która zabiłaś Jacusia. Plugawa kurwo.

Pojawiają się we wszystkich drzwiach naraz. Są w uniformach, kamizelkach kuloodpornych. Mają maski, kaski. Mają broń.

– Proszę pozostać na swoich miejscach!

Część ludzi rzuca się do ucieczki, zasłania scenę.

– Proszę się nie ruszać!

Dario rozgląda się dookoła. Wstaje z krzesła, nagle puszczając moją dłoń. Wyciąga broń i strzela w powietrze.

Policjanci stojący koło wejścia najbliżej nas potrzebują chwili, aby go zauważyć. On to wykorzystuje, strzela jednemu z nich w twarz. Widzę to po raz pierwszy. Krwawa, nienaturalna plama w miejscu, w którym był człowiek. To nie wygląda jak coś, co można sobie wyobrazić. To jak zerwać i zgnieść kawałek rzeczywistości, zostawić w jego miejscu czarną dziurę.

Chcę pobiec w stronę Wiktora, ale ktoś znowu chwyta mnie za rękę, tym razem to nie Dario. Ktoś przyciska mnie do siebie, łapie za kark jak małego kota.

– Proszę się nie ruszać!

Wszystko wokół zaczyna drżeć i podskakiwać, ale Dario wciąż jest wyraźny. Jest igłą wbitą w sam środek świata.

Już nie ma go koło mnie. Skacze po siedzeniach, tańczy jak wczoraj w autobusie. Ma siłę i zwinność młodego demona. Po kolei zasłania się osobami, które na niego wpadają. Przyciska każdą do siebie, przystawia broń do głowy, czeka kilka sekund, puszcza wolno. Upiorny, perfekcyjny rytm kroków, gracia baletmistrza. Wie, że policja boi się strzelać, bo nie chce ofiar wśród cywilów.

Rzeczywistość znowu go słucha.

Uderzam łokciem w brzuch człowieka, który mnie trzyma, z całej siły. Suchy syk bólu w odpowiedzi. Uścisk słabnie. Zrzucam obcasy i ruszam w stronę Wiktora. Jest sam, pod sceną, sparaliżowany ze strachu. Besia i Edgar przepadli.

Ewelina. Widzę ją. Stoi w wejściu dokładnie naprzeciwko sceny.

Patrzy na Daria.

Dario przewraca ludzi na ziemię, jakby byli kostkami domina. Ewelina chce do niego dotrzeć, ale obie arterie ruchu po obu stronach widowni są zatkane ludźmi.

– Stój! – krzyczy, jakby Dario miał jej posłuchać. W końcu wskakuje na siedzenie. Próbuje biec po fotelach w stronę sceny. Traci równowagę. Przewraca się. Próbuje znowu. – Stój, skurwysynu! – wrzeszczy.

Też próbuję wstać i się wydostać, ale ktoś odpycha mnie w stronę siedzeń, uderzam biodrem o drewniany kant. Ból łamie mnie wpół jak gałąź. To policja, próbują okrążyć stojącego pod sceną Daria.

Dario dobiega do Wiktora. Chwyta go za kark, podnosi z lekkością, jakby Wiktor był zabawką.

Dario przystawia Wiktorowi broń do głowy.

Widzę go z bardzo wysoka, unosząc się wiele metrów nad ziemią.

Dario coś mówi, nie słyszę co.

Dario się śmieje.

Dario znika z Wiktozem za kurtyną, tańcząc.

Rzeczywistość znowu wypacza się pod wolą złego czarodzieja.

Wiktor. Miałeś być bezpieczny. To wszystko było dla ciebie.

– Kurwa mać! Łapcie go! – wrzeszczy Ewelina.
Policjanci próbują tamować strumień ludzi, ale ten chlusta na zewnątrz.
– Kurwa mać! – wrzeszczy jeszcze raz.
Odwracam się do niej. Chcę jej powiedzieć: to ja, ale ona mnie poznaje.
– Wiem – mówię jej głośno.
Najpierw nie rozumie. Podbiegam do niej. Ciągnę ją za sobą.
– Byłam tam. Ja wiem, gdzie on będzie.
– Co ty tu, kurwa, robisz? – To najczęstsze pytanie, które mi zadaje.
I odpowiedź, której musi posłuchać.
– Musimy tam jechać. Teraz!

*

Ewelina pyta, do której z licznych Nowych Wsi ma jechać. Odpowiadam jej, że pamiętam drogę niemal metr po metrze, wryła mi się w mózg jak koszmar z dzieciństwa. Gdy tu jechaliśmy, nie zawiązał mi oczu. Nigdy nie zakładał, że kiedykolwiek się uwolnię.

To wszystko było wstępem do tortur.

Nie daj się porwać panice, Pazina, rozkazuję sobie. Wciąż żyjesz. Może ten stan się utrzyma.

Ewelina przejechała właśnie ponad sześćdziesiąt przez zabudowany. Jej wolno. Cały czas rozmawia przez telefon.

– Kurwa, potrzebuję wszystkich.

Kolejni rozmówcy nie traktują jej poważnie.

– To są terroryści. Handlarze narkotyków. To są zabójcy policjantów. To są goście, którzy porwali córkę Kunickiego...

– Ja wszystko wiem – dobiega ze słuchawki – ale...

Z tego, co rozumiem, córka ministra jest w takim samym stanie jak Jacek.

– Ale może byście przestali, kurwa, ścigać po mieście kobiety i dzieci na polecenie kurdupła, tylko zajęli się czymś, co jest, kurwa, prawdziwym zagrożeniem?!

Rozłącza się i zjeżdża na pobocze. Wrzeszczy, waląc dłońmi w kierownicę.

– Mam dziesięć radiowozów. Na jebany mecz Legii z jakimś Szczebreszynem mam pięćdziesiąt! Potrzebuję całej dostępnej

antyterroraki!

Mówi to do mnie, wpatrzona przed siebie, w ciemność drogi. Wysiada z auta. Wychodzę za nią, chociaż rzuca do mnie, abym została w środku. Koło nas zatrzymują się kolejne radiowozy, każdy na sygnale.

Z pierwszego wychodzi Mateusz, napakowany brodaczką o niewinnym spojrzeniu. Ma na sobie czarną kamizelkę, w ręku wojskowy karabinek.

– No i? – pyta.

– Kto był wtedy u Kunickiego? Gdy zabrali mu córkę?

Mruga i przechyla głowę, przypomina przy tym owczarka próbującego zrozumieć ludzki monolog. Ewelina rzuca kurwą, głośną i wrzaskliwą. Opieram się o samochód. Wiktor. On ma Viktora. Próbuję nie myśleć o kajdankach przypiętych do kaloryfera. O haku na końcu łańcucha przewieszzonego przez więźbę. Myśl o realnych opcjach, mówiła Ewka. Ewa, kochanie, realne jest to, co najgorsze.

– Dowiedz się, teraz. I daj mi go do telefonu. Chcę mieć połączenie za trzydzieści sekund.

Wyciąga papierosa, daje mi jednego. Kłóciłyśmy się przez chwilę, chyba dla formalności, jeszcze pod teatrem. Gdy skończyłyśmy, bardzo mocno mnie przytuliła. A może to ja przytuliłam ją.

– Potrzebuję imienia, które dali jej rodzice.

– Zmienił je prawnie. Rodziców nie ma. To Wiktor.

Ewelina wykonała kolejne telefony. Potem powiedziała mi, że ma ekipę w apartamencie na Frascati, ale na razie nie zjawił się tam nikt od Daria. A na koniec zapewniła, tak dobitnie, że przez chwilę nawet jej uwierzyłam:

– Drugiego nie stracisz.

Płakałam, bezgłośnie i krótko. Poprosiłam ją o jakieś ubranie i coś do demakijażu.

– To on cię tak przebrał? Za taką starą kurwę?

– Nie, kurwa, na Instagramie podpatrzyłam.

Zaczęła się śmiać.

– Serio, zorganizuj mi jakieś ciuchy, stara, i normalne buty. I coś, żeby zmyć to z twarzy. Błagam.

Ludzie stali przed zamkniętym teatrem, przestraszeni i bezradni. Pan z białą tonsurą trzymał się za serce, chrapliwie oddychając. Zapytałam go, czy potrzebuje pomocy medycznej.

– Nie, proszę pani – wyrzęził – ja po prostu jestem wściekły na te durne czasy.

Na miejscu byli już reporterzy telewizji. Oficjalna informacja: w świetle przepisów sanitarnych gala Warszawa Jutra została uznana za nielegalne zgromadzenie. Jej organizatorzy dostaną stosowne kary pieniężne. Stanowisko Namysłowskiego, który stał obok w maseczce, przemawiając do kamery i celując w nią palcem, brzmiało: to atak policyjnego państwa partii rządzącej na niezależne władze Warszawy.

Dookoła nas przebiegali protestujący, którzy wydostali się z policyjnych pierścieni. Jakaś dziewczyna na krawężniku wylewała kefir na twarz swojego chłopaka, próbując ją oczyścić z gazu łzawiącego.

Ewelina wysłała kogoś do swojego mieszkania, zamknęła mnie w radiowozie. Zaproponowała mi środki uspokajające, ale odmówiłam. Powtarzałam swojemu łomoczącemu sercu: wal, ile chcesz, tylko mnie nie zabij. Przynajmniej dzisiaj.

Niedługo potem dostałam dres, kurtkę, sneakersy, rzeczy do demakijażu, krem. Przebierałam się i zmywałam tapetę, mając gdzieś, że jestem na widoku. Towarzyszyła mi przy tym ulga większa niż po najwybitniejszym skunie.

– Dlaczego ty wciąż żyjesz, co? Dlaczego cię nie załatwił? – zapytała Ewelina.

– Może mnie się nie da załatwić – próbowałam powiedzieć coś śmiesznego, ale ona pokiwała głową, jakby przyznając mi rację.

Teraz. Mateusz wraca, podaje jej telefon. Ewelina siada na bagażniku samochodu. Przedstawia się i od razu żąda prywatnej komórki Kunickiego. Widzę, ile kosztuje ją ta rozmowa. Jak bardzo napina mięśnie, aby zrobić to, co Dario robi z lekkością – nagiąć rzeczywistość, wydusić z niej coś, czego potrzebuje.

– Musi pan zrozumieć, poruczniku, że mam polecenie do wypełnienia.

Na tym polega zasadnicza różnica między kobietami a mężczyznami, myślę. Kobiety kosztuje to sto razy więcej sił. Rozmiękczenie kamienia. Używanie czarów. Ale gdy już to zrobią, rzeczywistość zmienia się na stałe. Nic jej nie odkształci. To dlatego, że ta zmiana jest na lepsze, że rzeczywistość potem lepiej działa.

– Nie, komendant mnie nie posłucha. Kunicki mnie posłucha, a komendant posłucha Kunickiego.

Po chwili zapisuje coś palcem na brudzie pokrywającym karoserię. Celebrytuje sukces zaciśniętą pięścią i cichym:

– Yess, kurwa.

– Nie wierzę w to – mówi Mateusz.

Reszta jej ludzi też w to nie wierzy. Wszyscy wyszli z radiowozów, piją kawę z termosów, palą papierosy. Gdy mówi:

– Dobry wieczór, panie ministrze – zaczynają się śmiać, klaskać, gwizdać.

Ewelina daje na głośnomówiący. Niektórzy podchodzą bliżej. Głos Kunickiego przypomina papier ścierny, czarny jak kosmos.

– Kim pani jest?

– Młodsza inspektor Ewelina Kotlewska. Spełniam polecenie szefa i jadę aresztować ludzi, którzy skrzywdzili pana córkę. Zanim pan cokolwiek powie... Mam tutaj chłopaków. Są fantastyczni, ale zginą. Tak, mówię to, co pan słyszy. Jest ich za mało. Panie... panie ministrze, wiem, że pan złożył dymisję, ale dymisja nie została podpisana przez prezydenta, więc jeszcze, technicznie rzecz biorąc... tak, właśnie. Do komendanta. Tak. Cztery razy więcej ludzi. Potrzebuję wozu bojowego. Tak, dobrze pan słyszał. Potrzebuję wojska.

Rozłącza się, zanim Kunicki powie coś jeszcze. Wszyscy biją jej brawo. Ona nie zwraca uwagi, zamiast tego patrzy na mnie. Każe mi znowu wsiąść do samochodu. Dopiero gdy sama jest w środku, pozwala sobie na okazanie słabości. Opiera czoło o kierownicę. Tkwi tak bez ruchu przez jakieś trzy minuty. Kiedy podnosi głowę, rozumiem, że to była jej drzemka.

Oddycham głęboko. Skoro tu jestem, to znaczy, że to może się udać. Że Wiktor – straumatyzowany, trwale pokaleczony – będzie żył.

Odwraca się w stronę kolumny radiowozów. Pokazuje palcem na gliniarzy stojących na zewnątrz, czekających na sygnał.

– Te chłopaki jadą pomścić swojego szefa. Nie lubili go, widzieli, że jest pierdolnięty, ale był ich szefem. Są naprawdę głodni.

– Czyli nigdy się nie dowiedzą, co zrobił Żakowski.

– Tak jak powiedziałam ci w szpitalu. Nigdy.

– A rodzina Jacka...

– Naprawdę to dla ciebie istotne? – pyta.

Posiłki przyjeżdżają po dwudziestu minutach. W ciemności pojawiają się kolejne reflektory. Tymczasem mówię jej o Lucku. O tym, kto naprawdę go zabił. O telefonie z nagraniem i o Karasiu, który mi go zabrał i który jest tam, dokąd jedziemy.

– Czyli dostałaś, co chciałaś – stwierdza Ewelina, otwierając drzwi samochodu. I zanim odpowiem, dodaje: – Nitecki był tego wart. Tak myślę.

Wychodzi na zewnątrz, a ja wysiadam za nią. Widzę, jak staje przed kolejnymi ludźmi czekającymi na jej rozkazy. Zaczyna do nich mówić – spokojnie przygotowuje ich na to, co może ich czekać w Nowej Wsi. Informuje, że to może być najtrudniejsza noc ich życia.

– Spóźniliśmy się cztery razy. Marriott. Janówka. Bakalarska. Teraz teatr. Nie możemy się spóźnić po raz piąty.

– Tak jest! – odkrzykują jej, gromko i chóralnie.

Ona nie napawa się ich szacunkiem, po prostu kiwa do nich głową i wsiada do auta. Zanim ruszy, odwraca się do mnie.

– Zabiję go. Obiecuję.

– Już nic nie obiecuj, po prostu uratujmy Wiktora.

– To nie obietnica. To deklaracja.

– Nie wiem, czy w ogóle można go zabić.

Lekko się uśmiecha. Zapala papierosa. Na krótki moment się wyłącza. Potrzebuje mikroodpoczynku, kilkunastu sekund. Widać to po niej – ostatni raz spała dawno, dawno temu.

– Na pewno chcesz tam jechać?

Kiwam głową.

– Naprawdę poradzimy sobie bez ciebie. Wystarczy, że opiszesz mi mniej więcej drogę. Ktoś odwiezie cię do domu. Bo jeśli coś ci się stanie...

– Wiem, zajebią cię. Jesteś mi to winna. Zabierz mnie tam.

Uruchamia silnik. Od razu przyspiesza do setki. Włącza bomby.

– Każdego można zabić. Uwierz mi – mówi tak głośno, jakby krzyczała.

*

To zaczyna się bezdźwięcznie, ale jest bezdźwięczne tylko przez chwilę. Ta chwila jest czarna i gęsta, pięknie spokojna. Są szmery, blade światła w ciemności. Ciche kliknięcia kombinerek rozcinających drut.

Mam siedzieć w aucie. Dostaję kamizelkę kuloodporną, kask, który gniecie mi głowę. Mam się nie ruszać. Zostało mi to powiedziane dziesięć razy, podkreślone siedemnastoma „kurwami”.

– Jeśli wyjdiesz z tego auta, przysięgam, że sama cię zastrzelę.

Szepty. Kliknięcia. Aby nie oszaleć, obserwuję ich jak najuważniej. Jednostka antyterrorystyczna ma swojego dowódcę, dwumetrowego faceta

w typie Pudzianowskiego. On koordynuje ten taniec, ale Ewelina ściśle z nim współpracuje.

W ciemności widać kontury domów, samochodów, ciężarówek. Dwie ogromne bryły – obory? stodoły?

– Powinniśmy tu przyjechać nad ranem. Ale i tak zaraz będzie burdel nie z tej ziemi – mówi dowódca antyterrorystów.

I jakby w odpowiedzi na jego słowa rozlegają się strzały. Najpierw je widać, a dopiero potem słyszeć – flesze w ciemności, po nich głucho, donośne trzaski.

Odpinam pasy, schylam się, zamykam oczy. Do strzałów dochodzą okrzyki. Tupot. Komendy po polsku i po rosyjsku.

To za dużo.

Dwie metalowe pięści ściskają mi płuca. Ciśnienie rozsadza bębenki, jak podczas lądowania samolotu. Chciałabym się rozpłakać, ale nie mam oczu. Chcę krzyknąć, ale nie mam ust.

Jeszcze więcej krzyków. Strzałów. Hałasu. Kroków.

Odłamki eksplodującej szyby spadają mi na plecy. Włącza się alarm, rozsadza mi głowę. Strach to prasa ściskająca wszystkie narządy wewnętrzne. Moje ciało nie może tu siedzieć. Moje ciało decyduje za mnie. Nie mogę go zatrzymać. Powiedzieć mu stop.

Jeśli wyjdiesz z tego auta...

Przestaję myśleć, co będzie, gdy wyjdę z tego auta. Poddaję się ciału. Ciało musi biec, biec po oddech, inaczej się wyłączy.

Ciało otwiera drzwi i bokiem przewraca się na ziemię. Ciało zaczyna biec, schylone, wzdłuż ogrodzenia. Szybko, coraz szybciej.

Krzyk:

– Snajper! Kurwa, snajper!

Ktoś wrzeszczy. Ktoś upada. Słyszę to. Powoli przestaję interpretować te dźwięki.

Mózg je wytłumia. Mózg myśli o czymś innym.

Jesteś znowu zamknięta w pokoju hotelowym ze złym mężczyzną, który rozbija ci twarz. Leżysz we własnym łóżku, bezsilna i unieruchomiona. Otaczają cię ludzie, których zawiodłaś. Współczują ci jak dziecku, choć przecież ich zdradziłaś. Jesteś w lesie z człowiekiem, który zeszmacił waszą przyjaźń, który dał się zjeść temu, co w nim najgorsze. Pozwalasz temu człowiekowi w ciebie wejść, tylko po to, aby się go pozbyć.

Jesteś w Wólce Kosowskiej, na tyłach obcego domu.

Jesteś w cudzym apartamencie, siedzisz na dywaniku modlitewnym przebrana za dziwkę.

Czujesz się jak gówno. Bezsilna. Wycięta. Wymazana. Niepotrzebna.

Hałas. Bardzo blisko. Ciało się zatrzymuje, ciało pada na ziemię. Ciało eksploduje bólem, który zaczął się w pokoju w Marriotcie, mimo to łapie oddech. Wraz z wydechem na zewnątrz wydostaje się wrzask. Nikt go nie słyszy. Wraz z wrzaskiem przychodzi ból. To kawałki szkła powbijane w skórę.

Budynki toną w ciemności. Co kilka sekund rozbłyska krótki flesz strzału. Flesze wyłaniają z ciemności kształty, figury, ludzi schowanych za ciężarówkami. Leżących na ziemi. Zatrzymanych w biegu. Wyglądających zza wyłomu. Celujących. Strzelających. Trafiających. Padających.

Ludzie Daria są w budynkach, na dachach. Strzelają do ludzi Eweliny przez okna i szczeliny w drzwiach. Leżą na dachach, celują ze snajperek. Ludzie Daria przebiegają, schyleni, do kolejnych tymczasowych kryjówek. Wybierają te punkty instynktownie, jak zwierzęta. Ludzie Daria cofają się przed policją, ale wiedzą, co robią. Są skoordynowani. Są żołnierzami. Są na wojnie.

Ogłuszający hałas na lewo ode mnie, szcęk miażdżonego metalu. Jakieś dwieście metrów dalej dwa wozy bojowe wjeżdżają za ogrodzenie. Czarne, kanciaste, potężne. Przypominają oszalałe zabawki, które wyszły żywcem z gry wideo.

Ludzie uciekają im z drogi, a pojazdy suną przez podwórze. Kule odbijają się od nich, pryskają jak iskry. Pojazdy docierają aż pod same domy. Pojazdy zaczynają strzelać.

To potworny, trochę piękny spektakl. Ale nie tak wyraźny jak kadry w głowie. Kajdanki przypięte do kaloryfera. Całe we krwi. Dłoń w kajdankach. Twarz Wiktora, cała w...

Stop. Skoro już tu jesteś, idź dalej. Czołgaj się. Wzdłuż ogrodzenia. Śmierdzi gównem i błotem, ale gówno i błoto to teraz twoi przyjaciele. Zaufaj im. Idź do przodu. Postaraj się znaleźć wejście, przesmyk, dziurę.

Kolejne ciało, które upada na ziemię. Krzyk – kobieta, może Ewelina. Nie myśl o niej. Ewelina nie jest bezbronna. Kto inny jest bezbronny. Chodzi o bezpieczeństwo kogoś innego.

To jebane ogrodzenie jest tak długie, że wydaje się biec wzdłuż całej Warszawy. Ale jest nowe i musiało zostać wzniesione pośpiesznie. Składa się z połączonych ze sobą modułów o metalowej podstawie. Jest równe,

a ziemia nie jest równa. Tak, Pazina. Brawo. Ziemia nie jest równa. Włóż rękę. Szczelina. Potem większa. Być może pod następnym modułem będzie taka, że prześlisz się do środka. Poczekaj. Popatrz. Jest. Włóż rękę. Włóż głowę. Gdy przejdzie głowa, przejdzie cała reszta. Jakoś. Kosztem zdartej skóry. Nie, kretynko, to dotyczy harcerzy, a nie starych i grubych bab. Jak on cię nazywał, stalowa pyza?

Flesz wyłania z ciemności coś niebywałego – jeden z wozów bojowych wrzuca wsteczny, a następnie przyśpiesza do przodu. Do jego przedniego zderzaka jest przytwierdzony stalowy taran. Taran wali z impetem w powierzchnię jednego z domów. Dom trzeszczy. Dom chyba pęka.

Głos przez megafon:

– Jesteście otoczeni. Jeśli się poddacie, czeka was sprawiedliwy proces w polskim sądzie. Jeśli nie...

Nie słuchaj tego. Nie patrz. Wchodzi dłoń. Wchodzi głowa. Nikt cię nie widzi. Jesteś w ciemności, mieszkasz w czarnej plamie. Powoli, powoli. Pod spodem.

Jestem cała w błocie i w gównie. Spodnie. Bluza. Dłonie. Włosy. Twarz.

Kolejny chrzęst, kolejny huk. Kolejne strzały. Ktoś wrzeszczy. Krzyczy, że dostał, po polsku. Wybuch, potworna jasność na ułamek sekundy. Granat? Flara? Ziemia poskakuje, na głowę spada lekki deszcz drobinek. Znowu błoto i znowu gówno, i jeszcze jeden dźwięk, gdzieś w oddali – ryk przerażonych zwierząt.

Biegnij dalej. Biegnij. Schylona. Przy ścianach. Nie widzą cię.

Pierwszy dom. Dopadam do niego, przywieram do tylnej ściany. Moje serce łomocze. Z tyłu, pod ciemnymi oknami, kołdra szkła.

Przez chwilę jest dziwnie pusto, cicho. Jakby ktoś przeniósł mnie w czasie do następnego dnia. Ale nie, wszystko zaczyna się od nowa. Hałas, krzyk, szcęk. Błyski.

Następny dom – to chyba ten, w którym zamknął się ze mną Dario – jest oddalony od pierwszego o kilkadziesiąt metrów. Uspokój się. Nikt nie strzela w twoją stronę. Wszyscy stoją tyłem do tych domów. Nikt cię nie widzi. Jesteś cała w błocie i gównie. Niewidzialna.

Nie zadawaj sobie pytania, co tu robisz. Strzał i w odpowiedzi łomot. Coś ciężkiego turla się i spada na ziemię z drugiej strony budynku.

– MAM GO! – okrzyk z oddali. – MAM GO, SKURWYSYNA!

Biegnę dalej schylona, z twarzą tuż przy ziemi. Jestem już za kolejnym domem. Kucam. Łapię oddech. Proszę serce, żeby zwolniło. Ciało zaraz

wybuchnie. Wolałabym teraz biec triathlon bez przygotowania. Wolałabym teraz umierać, byle spokojnie.

Stery styropianu. Zardzewiałe narzędzia. Plastikowe beczki z nadpalonymi brzegami. W jednym z okien pali się światło, i gdy strzały na chwilę cichną, słyszę dobiegający z wnętrza szum. Telewizor albo radio. Nie, nie szum. Kształt. Melodia.

Szum znika, przykryty przez kolejną eksplozję hałasu. Ale zaraz pojawia się znowu.

Zardzewiałe narzędzia. Popatrz na nie. Znajdź coś poręcznego. Kawałek brudnego metalu. Jak mówi się na coś takiego? Kielnia? Weź to do ręki. Chwyć mocno. Ściśnij.

Teraz masz broń. Jakąkolwiek. Teraz nie jesteś zupełnie naga.

Polska piosenka, kobiecy wokół. Strzał. Wrzask. Strzał. Cisza. Posłuchaj. Posłuchaj uważnie. Może Wiktor jest właśnie tutaj. Kajdanki. Kaloryfer. Brązowe kropki na żyletce. Poczekaj. Nie jest za późno. Nie jesteś bezsilna, nie jesteś gównem. Poczekaj. Oddech. Błoto jest dobre. Gówno jest dobre. Masz je na twarzy jak maskę. Piosenka. Posłuchaj. Gitara, która płacze jak dziecko. Znasz tę piosenkę. Znasz wszystkie te piosenki.

Panorama. Mama. Pizza. Fontanna. Mgła wspomnień. Dawno temu w Warszawie.

– WY CHUJE KURWIE SYNY!

Kolejne błyski. Śmierć ma dziś sesję zdjęciową. Strzały jak trzaski migawek. Raz. Drugi. Trzeci. Dwudziesty. Setny.

*Daj mi zgodę na ten dzień,
który właśnie kona.*

Posłuchaj. Czy jest tam coś jeszcze? Czy jest tam płacz?

*Prowadź mnie w niebieski cień,
po niebieskiej trawie.*

Alarmy. Podnieś się. Spójrz przez okno. Nie myśl. Zobacz. Telewizor, w nim teledysk. Wokalistka w mocnym makijażu i długich czarnych rękawiczkach, nie pamiętasz jej imienia. W pomieszczeniu nikogo nie ma, na pierwszy rzut oka. Popatrz. Skup się. Popatrz bardziej.

Dłoń chwyta cię za usta. Cuchnie prochem, spirytusem, fajkami.

Jest ich paru. Mówią po rosyjsku. Ale ten, który cię trzyma, ma znajomy głos i zwraca się do tamtych po polsku:

– Spierdalajcie stąd. Spierdalajcie tam, już.

Nie reagują.

– Prujcie do oporu. Ja zaraz przyjdę. Za chwilę.

Jest oszalały, lekko przerażony. Ale przede wszystkim podniecony.

– Takiej głupiej cipy to ja naprawdę dawno nie widziałem. – Śmieje się.

Malinowy król malowanych róż.

Zawsze nas od złego obroni.

Jakbym mogła ci narysować sny,

A w nich dom, drogę, drzwi.

Skup się. Poszybowałaś wiele, wiele metrów do góry. Ta winda, do której wsiadłaś w brudnej, oblesnej piwnicy domu na Saskiej Kępie – ona działa. Może cię zabrać hen, wysoko.

– Mam cię, kurwo.

Tyle potrafi o mnie powiedzieć. Tyle potrafią powiedzieć oni wszyscy. Anioł. Łukasz. Poza tym potrafią tylko mlaskać. Gapić się. Wszyscy jesteście tacy sami, wy oblesne, durne, tępe, przemocowe skurwysyny i diabeł jebał was w dupę!

Masz to w ręku. Ściśnij mocniej. Może jest tak pordzewiałe i stare, że pęknie w kontakcie z tym żylastym łbem. Masz wolną rękę. Uderzasz tam, gdzie wydaje ci się, że może być jego głowa. Dobrze ci się wydaje. Krzyczy, przeklina. Puszczą twoją dłoń. Odwracasz się, teraz go widzisz. Trzyma się za łuk brwiowy. Masz ułamek sekundy, nie przestawaj. Jeszcze raz. W czoło, w nos. W oko. W te węże, które oplatają mu czaszkę. Raz. Drugi. Trzeci. Wyzywa cię. Pluje. Próbuje uderzyć cię pięścią w twarz. Chybia. Dobrze. Bierzesz zamach. On bierze zamach. Siła powala cię na ziemię. Ból rozlewa się po twarzy. Wszystkie te złączenia, wszystkie te szwy. Złoto, które je spajało, teraz wrzeszczy na czerwono.

Poraniłaś go, zalałaś go krwią, ale za mało. Kuca na tobie. Wrywa ci z rąk twoją broń. Była gównem warta.

Pieniądze nie kupią mnie,

lecz oczu twych blask.

Wystarczy mi biały chleb,

dopłynemy do gwiazd [17](#).

Spróbuj go uderzyć, Pazina. Z całą furją, jaką masz. Weź zamach. Albo wydrap mu oczy, po prostu. Nie, nie możesz. On łapie cię za nadgarstki, ściska, jakby chciał je zgnieść. Przygniata całym sobą do ziemi.

Cały ten hałas, cała ta śmierć i wojna zamienia się w lepki szum. Widzisz tylko jego. Żyły na czaszce, wściekłe węże.

Tylko ty nie wrzeszcz, Pazina. Patrz mu w oczy. Nie daj mu tej satysfakcji. Przynajmniej tyle.

Wiktor, przepraszasz go w myślach. Nie jesteś najgorsza. Nie jesteś głównym. Nie daj nikomu...

Najpierw myślisz, że zatrzymało się wszystko. Ale krzyk Eweliny uświadamia ci, że nie:

– Mamy rannego, mamy rannego oficera!

Rozumiesz, że zatrzymał się tylko on. Z durnym wyrazem twarzy, półotwartą gębą. Te żyły pod skórą jego czaszki, one w końcu znikają. Teraz to śmierć ma aparat i śmierć robi zdjęcia. On był pierwszy.

Przewraca się na ciebie i musisz zużyć więcej siły, niż masz, aby go z siebie zepchnąć.

A potem wymiotujesz. A potem się podnosisz.

Pierwsze, co rozumiesz, to fakt, dlaczego nie słyszałaś strzału. Pistolet był z tłumikiem. Poznajesz tego chłopaka – wysokiego, z czarną brodą. Ma hełm, kamizelkę kuloodporną i kominiarkę, ale poznajesz go po oczach.

Umar. Tak ci się przedstawił. Kładzie palec na ustach, po czym wyciąga ten sam palec w kierunku, w którym masz biec.

Nie rozumiesz tej sytuacji, nie rozumiesz, czemu to zrobił, ale to musiało dojrzewać w nim od długiego czasu. Dziękujesz mu spojrzeniem, patrzysz na niego tak, jak wyobrażasz sobie, że patrzy się na ludzi, którzy ratują ci życie.

Znowu wstrząs, wybuch. Krzyk.

Zamykasz oczy, a gdy je otwierasz, jego już nie ma. Ale Karaś wciąż leży na ziemi. Tył jego czaszki przestał istnieć. Jesteś Paziną. Jestem Paziną. Wciąż żyjesz. Będzie dobrze. Oddychaj. Tak, oddycham. Obszukaj mu kieszenie. Znajdź telefon.

Tak, szukam mu kieszenie. Papierosy, scyzoryk, gumy do żucia, portfel, krótkofalówka, zaraz. Jest. Mały biały iPhone. Próbuje go włączyć, nie reaguje, jest wyładowany.

Biorę do ręki pistolet, który miał w kaburze, ważę go w ręce. Jest mały i lekki. Pasuje do dłoni jak nic innego. Wstaję, wzlatuję wysoko, cała w błocie i krwi.

Wypadam na zewnątrz. Obora przede mną jest olbrzymia. Można by do niej schować cały wszechświat. Wygląda jak kościół Szatana.

Schylona, zamieniona w oddech i ból, biegnę w stronę wejścia. Biegnę po ciebie, skurwysynu.

Strzały. Blaski. Nagle hałas, potężny jak uderzenie pioruna. Wyłącza wszystkie dźwięki, zostaje tylko cichy pisk. Coś płonie w kąciaku mojego oka, to chyba któraś z ciężarówek. Może ktoś trafił w zbiornik paliwa.

Świat kurczy się do wąskiego tunelu. Do korytarza – hotelowego, szpitalnego, do korytarza na piętrze domu rodziców. Na końcu korytarza są drzwi. Na końcu korytarza zawsze są drzwi. Nogi grzęzną w gęstym błocie aż po kostki. Gubię but. Zdejmuję drugi, zostaję w samych skarpetkach. Zimno pożera mi stopy.

Idę dalej, człapię. Nie, nie mogę stać. Na kolana. Zaczynam się czołgać. Nie wypuszczam broni.

Ktoś krzyczy po rosyjsku i krzycząc, przerywa ostrzał. Ktoś prosi. Ktoś odpowiada mu po polsku, rozkazuje wyjść.

Wejdz tam, Pazina. Wchodzę. Wejdz w ciemność. W znajomy zapach. Krwi. Gnoju. Bólu. I przyśpieszone oddechy. Tak, wchodzę.

To jego sala tronowa. Jest tutaj i czeka. Malinowy Król.

W oddali startujący silnik, koła buksujące w błocie, czyjś krzyk, znowu strzały. Komenda, w uniwersalnym języku:

– STOP! STOP!

To ostatnie, co słyszę.

Czeka na mnie w ciemności. Połyka wszystko, co jasne. Nie połknął tylko garści gwiazd, które widać przez okno pod belką. Okno, które pamiętam. Okno jak żart.

Na podłodze ktoś rozsypał inne gwiazdy. Setki tysięcy świetlnych zielonych plamek, układających się w odwrócony kosmos, chrzęszczących pod stopami, wbijających się w ciało. Zatrzymuję się. Ten odwrócony kosmos może się dostać do mojego organizmu przez skórę.

– Puść go – mówię.

Nie reaguje.

– Puść go, kurwa.

Wyciągam broń. Próbuje ją odbezpieczyć. Chyba mi się udaje. A on zapala światło.

Wiktor siedzi na podłodze, po turecku, w nogach Daria. Ma związane ręce, usta zalepione srebrną taśmą. Dario tkwi na krześle jak na tronie, zawinięty w wielką płachtę czerwonego materiału. Opiera dłoń na stojącym na ziemi karabinie maszynowym. Łańcuch nie wisi już na drewnianej belce, łańcuch leży na ziemi. Wiktor chyba mnie nie poznaje. Głowa bezwładnie opada mu na szyję. Wygląda jak naćpany.

– Co tam robiłaś, muszelko połamana? Bawiłaś się ze świnkami? Gdzie się tak wygłupiałaś? Umyj się, tak nie można wyglądać. Tak nie wypada.

Broń. Niezdecydowana ręka drętwieje, zatrzymana pod kątem czterdziestu pięciu stopni od ciała. W końcu podnoszę ją wyżej.

– To wszystko umarło z Jackiem, prawda? – pytam go. – Tylko Jacek mógł zrobić tak, żeby się udało. Jacek był genialny. Ty jesteś zwykłym trepem.

Dario kręci głową.

– Nic nie umarło. To dzieje się tylko dlatego, że ja tak chcę.

Znowu okrzyki. Bardzo wyraźny głos Eweliny.

– Macie wyjść z rękami w górze, wszyscy!

Dario kładzie dłoń na głowie Wiktora, drapie go za uchem jak psa. Wiktor zaczyna cicho jęczeć.

– Twój przyjaciel nie żyje.

– Miałem jednego przyjaciela i fakt, on nie żyje, bo go zabiłaś, sroko oskubana.

Uśmiecha się. Wstaje. Materiał opada na ziemię, a ja widzę, że Dario jest nagi. Ma wzdęty brzuch, bliznę biegnącą wzdłuż uda. Członek między jego nogami jest długi i cienki.

Kolejne okrzyki na zewnątrz. Okrzyki bez strzałów, okrzyki po polsku. Na ziemię. Ręce! Na ziemię, skurwysynu! Jeszcze jeden okrzyk, kobiecy głos. UWAŻAJ.

Dario zdaje się tego nie słyszeć.

– Twój największy koszmar jest twoim przyjacielem, ty łąko spalona. Terror jest twoim przyjacielem. Musi nim być, bo gdy stanie się twoim wrogiem, jesteś stracona.

Zamiast mu odpowiadać, mówię do Wiktora:

– Wszystko jest w porządku. Jest tu policja. Uratujemy cię, Wiktor.

– Najgorszy jest smród kłamstw, wiesz? Kłamstwo, które wszyscy sobie powtarzają dookoła: będzie dobrze. będzie w porządku. Nie, macioro omdlała. Czy w Auschwitzu było w porządku? Czy w średniowieczu było w porządku? Czy gdy wbijano na pal całe wiochy, bo ktoś nie zapłacił dukata podatku, to było w porządku? Gdy całe życie mieszkałaś w jaskini, czy wtedy było w porządku? Czy było w porządku, gdy jadłaś surowe mięso, bo nie wiedziałaś, jak je upiec? Skarbenku, może być tylko tak, jak ty chcesz, i tylko wtedy będzie dobrze.

Kuca. Bierze do ręki kilka świetlików. Ogląda je pod światło.

– Chatka z masła. Iskiereczka z popielnika.

– Wiktor, ja tu jestem. Wszystko jest dobrze.

Wiktor osuwa się na ziemię. Nie wiem, czy oddycha. O Boże.

Głos po polsku, donośny:

– Sprawdźcie domy. Dzwoncie po karetki. Szybko.

Dario bierze karabin, opiera lufę o tył głowy Wiktora. Moje ciało odruchowo podskakuje.

– Powiem ci coś. Byliśmy z Jacunią w Czarnogórze. Jacunia wpadł tam na pomysł. Tak, wtedy pomyślałem: obstawieś dobrego konia, Darku. Wybrałaś tęgą głowę. Pełno mózgu w tej głowie. – Przenosi lufę karabinu z głowy Wiktora na jego kolano. – Siedzieliśmy sobie w hotelu, wiesz? Pełno ludzi. Zgiełk straszny. Za dużo było tych ludzi, i wszyscy strasznie weseli. Aż się chciało to przerwać. Najstraszniej jest wtedy, gdy ludziom jest wesoło. Nie sądzisz? Nie uważasz tak, burzo bez deszczu?

Głosy poza oborą, mężczyzna:

– Mamy za nimi kogoś posłać?

– Zostawcie ich w spokoju.

Nie przestając celować w Wiktora, Dario robi kilka kroków w bok. Lekko kuśtyka. Coś nie działa mu w ciele.

– I stał tam chłopczyk. Smutny taki. Smutny chłopczyk. Dzieciątko zapłakane. Wziąłem go stamtąd, zabrałem go. Zabrałem go na górę.

Oddychaj. Głęboki wdech. Jesteś nad nim. Wzlatujesz wysoko. On jest tylko muchą. Insektem. Komarem. Niech bzyczy, co chce. To nie ma znaczenia. Nie jest żadnym czarownikiem. Nic nie może.

– I powiedziałem mu: posłuchaj, będą się śmiać i nie będą się tobą interesować, i będą cię wyzywać. Ale to nic, powiedziałem mu. Nie jesteś sam, gościu mały. Masz zawsze siebie. Możesz robić rzeczy.

Głosy oddalają się od budynku. Jakaś część mnie chce ich zawołać. Przypomnieć im, pokazać.

– Ustawmy ich w rzędzie – mówi ktoś bardzo daleko. Ktoś inny zapala silnik.

Trzymaj go tutaj. Słuchaj go. Mów do niego. On znowu podchodzi do Wiktora, znowu przystawia mu lufę do głowy.

– Powiedziałem temu chłopczykowi, jak jest. Pokazałem mu, co może. Tak jak Jacuni. Powiedziałem mu: mogą się śmiać i mogą cię wyzywać, i mogą cię karać, ale ty możesz ich skrzywdzić. Możesz kupić coś przez internet. Wystarczy małe coś, trucizna na ślimaki. Jesteś duży chłopczyk, umiesz w internet. Kupisz to coś. Dodasz do obiadku. Mamusia zje. Tatuś zje. Już nie będą się śmiać. Już nigdy nie będą się z ciebie śmiać. Karaś myślał, że ja krzywdzę dzieci. Ale ja mu tylko pomogłem, temu chłopcu.

Oblizuje się. Parska śmiechem. Na moment traci równowagę. Palec ślizga się po spuście. Lufa orbituje nad głową Wiktora jak potworne wahadło.

– To jak ze mną i z Jackiem. Ja też mu tylko pomogłam.

Mruży oczy. Zaskoczyłaś go.

– Pomogłam mu odejść. On tego chciał.

Prostuje się, wypręża. Wściekłość przebiega przez jego ciało jak prąd.

– Widzisz, bo on cię wcale nie kochał. On się tobą brzydził.

Nagle rozmowy milkną. Ktoś coś zrozumiał. Ktoś coś zobaczył. Kroki w stronę obory.

– Co ty mówisz, obciążaro parszywa?

– Uważał, że jesteś wstrętny. Chciał cię tylko wykorzystać, zrobić sobie z ciebie jaja. Wymyślił sobie, że zarobi fortunę na świetlikach. Chciał pieniędzy, nieskończonej ilości. Myślał, że pieniądze zabiorą mu lęk. A ty byłeś dla niego po prostu starym klaunem.

Krztusi się. Kroki, kolejne. Głęboki wdech.

– Szybko zrozumiał, z kim się zadaje.

Krok w moją stronę. Bose stopy klaszczą o podłogę. Cmoka. Kroki, kolejne. A potem cichy, dziwny dźwięk. Stukanie. Sapanie. Cicho, bardzo. On też je słyszy, ale nie zwraca uwagi.

– Wolał umrzeć. Serio, wolał śmierć niż ciebie. Tak bardzo się brzydził. Ja mu tylko pomogłam.

Rzeczywistość to zbiór rozsypanych po podłodze tabletek. Rzeczywistość to antykosmos. Ale można go poukładać. Ulepić nową

konstelację. Zamienić nieprawdziwe w prawdziwe. Znaleźć wzór.

– Bredzisz, kurwisko żebracze. Bredzisz. Papłasz. Co to za rzeczy ci wylatują z gęby? Co to w ogóle jest?

Coś znika, a ja dopiero po chwili rozumiem co. To gwiazdy w oknie. Zasłania je czyjaś sylwetka.

– CO TO W OGÓLE JEST?! – ryczy, potwornie głośno, otwierając szeroko oczy.

Ten ktoś w oknie daje mi znak. Mam mówić dalej.

Wtedy rzeczywistość też zacznie mówić.

Wystarczy znaleźć punkt nacisku.

– Widziałeś krew i zło, Darku. Tyle widziałeś krwi i zła. Banalnego, głupiego. Podwórko. Gdańsk, tak? Orunia? Wrzeszcz? Tak, Orunia. Ci bracia, którzy mieszkali naprzeciwko. Wujek, który przychodził do twojej mamy. Widziałeś i czułeś, Darku. Robiłeś, co chcieli. Chcieli te wszystkie złe rzeczy, bo byli gorsi od zwierząt. W szkole podobno męczyłeś dzieci. Tak mówili mi na policji, że zepchnąłeś kogoś ze schodów. Że kazałeś jakiemuś chłopcu jeść z kibla. Ale to było odwrotnie, Darek. To ciebie zepchnęli ze schodów. To tobie kazali jeść z kibla. Tak bardzo cię nienawidzili. Dzieci, dorośli. Może inaczej pachniałeś. Może nigdy nie wyglądałeś do końca jak człowiek. Wszyscy instynktownie wiedzieli: trzeba cię zabić zanim urośniesz.

Przechyla głowę jak pies. Nie rozumie. To znaczy rozumie wyrazy, ale nie rozumie, skąd się biorą.

– Robiłeś wszystko, aby ktoś dał ci kolejny dzień. I w końcu zrozumiałeś. Zrozumiałeś, że musisz im pokazać, że jest już za późno. Wujek, który przychodził do mamy. Wujek, który kładł się obok niej. Siedział na podwórku, przy wszystkich pili dynks, jedli chleb. Miałeś brzytwę. Zakradłeś się cicho, z tyłu. Otworzyłeś go. Napiliłeś się. Zobaczyli diabła. Już nikt ci nigdy nic nie zrobił.

– Nie, nie, ty dziuro gnijąca. Ty tego nie umiesz. Tylko ja to umiem. – Podnosi dłoń. Ale już nie ma prawa głosu.

Na chwilę znowu widać gwiazdy w oknie. Akurat wtedy, gdy on odwraca się w tę stronę.

Spoglądam za siebie, w kierunku otwartego wyjścia. Nikogo tam nie ma. Jest zupełnie cicho. Jakby przeniesiono nas w czasie o jedną dobę do przodu.

– Wymyślasz to. Udajesz mnie, parodiujesz jak w kabarecie jakimś. Ja nie jestem z żadnego kabaretu. Ja nie jestem uszkodzony. Wierz sobie dalej w bajeczki, w maślaną chatkę. W Bożię wierz. Ja po prostu żyję. Ja jestem, powiem ci kim. Posłuchaj. Ja jestem siłą, która wszystko zjada. Cieniem wielkiej góry. Malinowym Królem, który rządzi. Tu na razie jest ściernisko, ale będzie... będzie wszystko. Król rządzi, czym chce. Król rucha, co chce. Taki jest król, jego królowatość. U stóp cały świat. Świat to szmata, a szmata to świat. Oj, tak. Tak właśnie jest, ty Marto Pazińska. Stara kurwa świat. A Jacuś, a Jacuś był...

Ktoś w oknie bierze głęboki wdech. Słyszy ten wdech.

Znów się odwraca.

Odwraca się za późno.

– A Jacuś mój... – chce skończyć.

Pierwszy strzał trafia go w serce. Zatyka go, ale jakimś nieopisywalnym cudem nie przewraca.

– Nagle ptak by w locie zgasł... – zaczyna śpiewać.

– Serce by umarło, SKURWYSYNIE – kończę za niego.

Wciąż stoi, jakby to, co go ożywia, zaabsorbowało ten pocisk. A potem tył jego czaszki pęka jak arbuzy zrzucony na chodnik z trzeciego piętra.

Jego ciało stoi jeszcze przez chwilę. Jego zdziwienie śmiercią jest silniejsze niż prawa fizyki.

A potem chlust różowej piany na podłogę.

I moje torsje.

Osuwa się na kolana. I kapituluje zupełnie, pada twarzą na klepisko. Ordynarny dźwięk, głucho tąpnięcie. Po prostu – coś uderzyło o ziemię. Coś, co nigdy nie zostanie podniesione.

Kroki, tuż za mną, w środku.

Znowu flesze. Świat traci ciągłość. Pojedyncze klatki, tylko tyle. Moje ciało chce zgasnąć tak bardzo, że nie potrafię tego zatrzymać. Siadam, uderzam tyłkiem w ziemię.

Podnoszą Wiktora, zrywają mu taśmę z ust. Niosą go do wyjścia. Wyciągam rękę w jego stronę, ręka chwyta powietrze.

Chcę myśleć, że dotrzymałam obietnicy. Ale wszystkie obietnice stają się niedotrzymane, prędzej czy później.

Wciąż leży na ziemi. Wciąż nie żyje. Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Zwykły, śmieszny trup.

– Mówiłam ci, kurwa, masz siedzieć... – Ewelina jest gdzieś obok. Wie, że nie ma sensu kończyć tego zdania.

I tak go nie usłyszę. W ogóle przestaję słyszeć i widzieć.

Nigdy.

Nie będziesz.

Już.

Bezwładna.

5 MAJA 2021

Najpierw chcieliśmy tam być. Choćby poczekać na korytarzu, jeśli nie wpuszczą nas na salę. Zamierzałam popatrzeć jej w oczy, może nawet zapytać: dlaczego? Ale wczoraj uznaliśmy, że to niepotrzebne. I może nawet trochę tandetne, dodała Besia. Sędzia odrzucił wniosek o utajnienie procesu, więc oglądamy go ze streamu na tablecie.

Jesteśmy we czwórkę: Besia, Wiktor, ja, Ewa. Tak naprawdę w dziesiątkę, bo są jeszcze koty, a Menel został przyjęty do gangu Ewy. Zabierają go na wyprawy, uczą się wspinać po drzewach. Nie wiem, czy to dobry pomysł. Wczoraj przywłókł wiewiórkę.

Zamiast do sądu pojechaliśmy na cmentarz. Przeleźliśmy przez ogrodzenie, w środku nocy, uzbrojeni w latarki i kominiarki. Znaleźliśmy grób. Besia miała ze sobą puszkę sprayu. Zamazała nim imię Oskar. Napisała to prawdziwe: LUCEK. Nad ranem wróciliśmy uberem do domku Ewy, głupi jak małpy, pijani z ekscytacji.

Sprzątanie tego domku, przycięcie otaczającego go gąszczu malin i chmielu trwało całą majówkę, dlatego zostaliśmy tu dłużej. Chyba wrastamy w to miejsce. Jest tu wszystko, co potrzebne do życia. Studnia, z której czerpiemy wodę. Materace na piętrze, ułożone ciasno obok siebie, na których śpimy i budzimy się co chwila własnym chrapaniem. Palnik i butla gazowa. Prąd. Internet z telefonu. A do tego bluszcz, który zjada grube, stare deski. Pobielone ściany. Kominek. Zardzewiały bojler, który naprawił starszy, wiecznie wkurwiony facet o imieniu, uwaga, Darek.

Nie potrzebujesz żadnego specjalnego miejsca, aby mieć azyl, powiedział wczoraj Wiktor, gdy rozpaliliśmy ognisko. Dym wypełnił cały świat, wlaził do nosa i w oczy, gryzące, skłębione kołtuny. Może spaliliśmy

jakieś złe drewno. Może było mokre w środku. Nie mam pojęcia o tych sprawach.

Ale pomimo tego dymu wokół nas było pełno życia, które cykało, ćwierkało, syczało, rozmawiało ze sobą na setki sposobów. Raz po raz musieliśmy strzepywać z siebie namolne owady.

– Co dokładnie masz na myśli? Mamy się nie starać o nowe miejsce?

– Może już dość, Marta.

Zmienił się. Stał się dużo starszy, twardszy. Coś bezpowrotnie się w nim zamknęło. Wielokrotnie pytałam go, czy podczas tamtej nocy Dario go skrzywdził. Odpowiadał to samo, co kiedyś odpowiadałam ja. Samo spotkanie takiego człowieka krzywdzi.

– Dość czego?

Nadział na patyk kromkę chleba.

– My nie potrzebujemy żadnego azylu. Nie musimy się za nikim chować. Jeśli będziemy tak robić, zawsze będziemy najsłabsi.

– Wy już nie. Ale są inni, słabi i najsłabsi. To zawsze będzie potrzebne, rozumiesz?

– Nie mogę myśleć o wszystkich.

Czekałam, co powie dalej.

– Muszę myśleć o sobie. Może to złe...

– Nie. Absolutnie nie.

Objęłam go. Trochę się rozluźnił. Obrócił patyk z kromką nad ogniem.

– Nie możemy, ja nie mogę liczyć, że pojawi się jeszcze ktoś taki jak ty.

– Ale ja jestem.

– Nie, Marta. Ciebie już nie ma. Ty masz dość. – I zanim zdążyłam zaprotestować, dodał: – I nie mów, że nie masz. Bo masz.

Miałam dość. Wciąż mam dość. I może tak już będzie do końca mojego życia, może to uszkodziło mnie na stałe. Po nocy w Nowej Wsi resztę jesieni i całą zimę spędziłam w szpitalu. Pod opieką, zneutralizowana lekami. Jacek i Dario przychodzili w snach. Zlewali się w jedną osobę. Czasami stali nade mną, gdy się budziłam. Wtedy krzyczałam, i dostawałam więcej leków. Z czasem nauczyłam się im mówić: spierdalaj. I przestali przychodzić. A gdy zdjęto mnie z leków, zaczęłam czuć się bezpiecznie. Odrobinę. Czasami. Tak na pięć minut dziennie, ale zawsze coś.

W szpitalu przestałam palić zioło, a gdy z niego wyszłam – już nie zaczęłam. Świat bez trawy był na początku nieznośnie ostry,

przejaskrawiony. Sny przypominały całe sezony seriali z niebywale skomplikowanymi fabułami, do tego puszczone bardzo głośno, z podkreślonym kontrastem. Życie przypominało spanie na gołej ziemi. Wszystkie ubrania ocierały mi skórę.

Było tak mniej więcej do Nowego Roku. Po sylwestrze pojechałam do mamy, po swoje rzeczy. Mama zamknęła się przerażona w łazience, pytała, kim jestem, chciała zadzwonić po policję. Musiała długo ukrywać objawy, bo te były już bardzo zaawansowane. Dom zarósł brudem i pleśnią, duża część sprzętów nadawała się do wyrzucenia. Sprzedałam go bardzo szybko. Opłaciłam dom opieki z góry na pięć lat, lekarz dawał matce prognozę na trzy. Było mi jej strasznie szkoda, bo nie powinno jej się to przydarzyć. Było mi też szkoda samej siebie. Mama całe życie wypierała, co zrobiła złego. Ale teraz zupełnie o tym zapomniała, i już nigdy sobie tego nie wytłumaczymy.

Zostało mi jeszcze sporo pieniędzy, z którymi nie wiedziałam, co zrobić. Chciałam otworzyć nowy Azyl, wynajmując lokal w mieście. Ale samo myślenie o tym zamieniało powietrze w ścianę.

– Chciałbym po prostu normalnie żyć.

– Zawsze możesz na mnie liczyć – powiedziałam. Od dymu łzawiły mi oczy.

– Jasne. Ale nie mogę się na tobie opierać.

Miał teraz pracę, a nawet dwie – jedną w kawiarni, drugą w studiu tatuażu. Wynajmował mieszkanie z dwoma innymi queerowymi dziećmi z Azylu. Ewelina pomogła mu załatwić państwową terapię po tym, co przeszedł. Powoli, w milczeniu szedł do przodu. Nie był sam.

Większość pełnoletnich Azyłowców się usamodzielniała. Nieletni trafili na oddział psychiatryczny w Józefowie. Niektórzy wrócili do swoich rodzin. Dwie osoby dostały od swoich rodzin przeprosiny, zadośćuczynienie – przynajmniej tak słyszałam. Ale ktoś inny wrócił w stare piekło.

Nie miałam na to wpływu. Musiałam odpuścić. Uczylałam się. To była najtrudniejsza rzecz.

Proces jest trudny w oglądaniu. Michałka dramatyzuje, rzuca urywkami monologów z nieistniejących sztuk teatralnych, gubi słowa. Mówi o homofobicznym spisku. Besia nie chce w to uwierzyć.

– Naprawdę myślisz, że to ona? – pyta mnie, chociaż mówiłam jej tyle razy. O Śliwce, czyli Róży. O Kamilu. O nagraniu.

Nie widzieli nagrania, bo od razu oddałam telefon Ewelinie. Ta nigdy nie zapytała, gdzie go zdobyłam. Nigdy też nie wróciła do tego, co właściwie stało się z Jackiem. Po prostu złożyłam podyktowane przez nią zeznania. Na odchodnym zaproponowałam, że może kiedyś mogłybyśmy pójść na kawę, jak dwie zwykłe, czterdziestoletnie laski.

– Nie wiem, gdzie jest ta druga czterdziestoletnia laska – odfuknęła. Była ode mnie parę lat młodsza.

Przeprosiłam ją i powiedziałam:

– Jak dwie laski, po prostu.

Odparła, że może kiedyś.

– Skoro Pazina tak twierdzi, to znaczy, że to ona – mówi Wiktor, może trochę zbyt ostro. – Nawet nie wiesz, przez co musiała przejść, żeby się tego dowiedzieć.

– Nie musisz mnie bronić. – Uśmiecham się do niego.

– Nie muszę, ale chcę. Widziałaś, jak zabijają ludzi.

– Nie ja jedna, Wiktor.

– Jeśli zrobisz to jeszcze raz, to cię walnę, przysięgam.

– Jeśli zrobię co?

– Umniejszysz się.

Kamera łapie mamę Lucka. Patrzy na Michałkę, ledwo mrugając oczami. Tak samo patrzyła na mnie w Azylu. Nie sądzę, aby przestała mnie winić.

Michałka zostaje wyprowadzona z sali w mocnym uścisku dwóch policjantów. obrońca informuje, że jego klientka przyznaje się do winy. Sędzia mówi o Michałce jej oryginalnym, męskim imieniem. Dodatkowo ją karze.

– To straszny dzień. Bardzo, bardzo zły. Najbardziej znana osoba z nas jest teraz... no zobaczcie. Mordercą. – Besia jest potwornie przejęta.

Mogłabym sprzedać jej jakąś mądrość, powiedzieć coś w rodzaju: to, czy człowiek jest dobry, czy zły, nie ma nic wspólnego z jego tożsamością. Ale po co mam się mądrzyć? Ma prawo tak to odbierać.

– To nie wy to zrobiliście. To tylko ona – wyręcza mnie Ewa. Mówiąc to, patrzy Besi w oczy, z miłością i spokojem.

– Ale dlaczego? Dlaczego to zrobiła? – Besia zaczyna płakać.

– Bo kiedy dostajesz tylko przemoc, przemoc jest wszystkim, co masz. I jedynym, co dajesz.

Sędzia zapowiada przerwę w obradach. Następny w kolejce jest Kamil. Kamera pokazuje mężczyznę, który jest cieniem znanego mi człowieka. Podkrążone, pełne strachu oczy proszą znad maseczki o litość. Przez chwilę Kamil patrzy w kamerę, a ja mam wrażenie, że patrzy na nas.

Nie chce mi się dalej tego oglądać.

Wstaję, biorę kubek z herbatą, wychodzę przed domek. Siadam na deskach, które są porowate, pokryte mchem. Zmierzch ma kolor różowawej stali.

Tej nocy będę spała bardzo długo. Nieprzerwane siedem, osiem godzin. Nauczyłam się tego w szpitalu. To najlepsza umiejętność, jaką zdobyłam w życiu.

Dopiero gdy Ewka siada obok i podaje mi kurtkę, dociera do mnie, że jest mi zimno. Nabieram ochoty na jointa, który mógłby sprawić, że ten zmierzch stanie się jeszcze ładniejszy. Ale taki, jaki jest, wystarczy.

Ewa jest zmęczona zmęczeniem podobnym do mojego – chronicznym i dożywotnym. Nie walczy z nim. To zmęczenie, jak twierdzi, daje jej różne luksusy. Nie robi pewnych rzeczy, bo zwyczajnie nie może, bo nie ma na nie siły.

– Mają rację. Ten kraj stanie się dla nich jeszcze gorszy.

Przeklinam. Ten kraj stanie się dla nich piekłem, ale ja nie mam już siły ich chronić. Ewa mnie obejmuje. Ewa rozumie.

– Spierdalaj stąd – mówi.

Pytam ją wzrokiem, co ma na myśli.

– Spierdalaj tam, gdzie było ci dobrze. Gdzie było ci dobrze?

– Jeśli było mi gdzieś dobrze przez chwilę, to nie znaczy...

– Znaczy, cholera jasna. Jesteś wolna. Serio, wolna! Martuła, no babo, no. Jesteś jeszcze młoda. To tak dużo, że aż wszystko. Możesz mieć teraz wspaniałe dwadzieścia lat. Nawet trzydzieści. Nikt cię już o nic nie podejrzewa, ta policjantka to załatwiła.

– Internet mnie podejrzewa.

– Internet? Pomyśl, co za typ ludzki pisze te komentarze? Obchodzi cię to? Możesz mieć cały świat.

– Świat się rozpada, Ewa.

– Trochę tak, ale nie aż tak bardzo, jak nas straszą. Gdzie chciałaś pojechać? Co chciałaś zrobić? Jest tyle miejsc, Pazina.

No dobrze. Niech jej będzie.

– Znałam kiedyś taką dziewczynę, Anastazję. Miłą, trochę nawiedzoną. Miała takiego małego psa. I każdemu opowiadała, że się jej śnił, czaisz? Wszyscy się jej śnili, bez kitu. Spotkałam ją znowu przed pandemią. Już nie miała psa. Była jeszcze bardziej nawiedzona. Trudno było powiedzieć, o co jej chodzi...

– Do brzegu, Martunia.

– Powiedziała mi, że śniło jej się, że byłam w Stanach. Że jechałam do Kalifornii, pięknym samochodem.

– To na co czekasz?

– Stany są zamknięte, Ewka. Jest pandemia. I weź ty przestań mi w ogóle truć. Weź sama se leć. Daj mi święty spokój.

– Będę ci truć, krowo. Co jest otwarte? Jaki kraj najbliższej Stanów?

Nie mogę jej znieść. Kiedyś ją zabiję. Może nie teraz. Ale jutro wieczorem. Tak, zabiję ją jutro po kolacji.

– Realne opcje, Marta. Pamiętasz?

– Meksyk. Chyba można lecieć do Meksyku, jakoś przez Dubaj – odpowiadam, wzdychając.

Oczywiście, że sprawdzam loty od kilku tygodni. Pomimo braku zioła kolor zmierzchu zrobił się odrobinę ładniejszy, a gwiazdy mrugają specjalnie dla mnie. Wielka Niedźwiedzica. Wielki Wóz. I planety – Wenus, Mars, Saturn. Zawsze mi się mylą.

– Jeśli tego nie wykorzystasz, to jesteś głupia pi... Sama wiesz co.

– A nie jestem?

– Nie, i koniec tematu. Już z tobą o tym nie gadam. Już wszystko powiedziałam.

Wstaje powoli. Deski trzeszczą.

Jeszcze nie wszystko powiedziała. Jeszcze się odwraca.

– Zrób to. Błagam.

Coś sunie miękko przez wysoką trawę. To koty wracają z polowania. Skupiony, zgrany gang morderców. Menel niesie coś w pysku. Rzuca mi to pod stopami. Nie widzę, czy to ptak, czy mały ssak, i nie zamierzam sprawdzać.

– Menel, ile można zabijać?

Nie rozumie mojego pytania. Wymija mnie i wchodzi do domu.

Zostaję sama. Najpierw dotykam swojej twarzy. Myślę o tym, że nie ma żadnych pęknięć i sklejeń. Nie biegną przez nią żadne złote linie. Myślę o tym, że cała moja twarz jest pęknięciem. Że cała jest ze złota.

A potem kładę dłoń na mostku.

Znajduję palcem puste miejsce, w którym kiedyś była perła – przez krótki moment, w trakcie pięknych fajerwerków.

Wciskam w nie palec.

Coś tam jest.

Biorę wdech.

To puste miejsce, ono chyba nigdy nie jest puste tak do końca.

EPILOG

BERLIN, KWIECIEŃ 2022

- Co on mówi, że co?
- Mówi, że chuj w niego generalnie. Że sobie poradzą.
- Kto sobie poradzi? Bayern?
- Deutsche Fussball sobie poradzi.
- Gada tak, bo się czuje urażony, że Lewy zostawił najlepszą drużynę na świecie dla patałachów z Barcelony, co nie.
- Kurtka, ja nic mu nie powiem, bo on i tak wie, co ty gadasz. Nie jesteś pierwszy Polak w Berlinie.
- Pierwszy dobrze ubrany, mordko.

Generalnie rozumiem niemiecki, tylko chłop nawija z dziwnym akcentem, albo ma wadę wymowy, do tego dochodzi to arabskie charczenie.

Nic to, jem sobie na luzie. Dobre te kebaby, wiesz, o co chodzi. Po prostu kebab musi być halal, a nie udawane gówno dla polskiego kanalarza w zapoconym dżinsie, co najlepsze, co w życiu jadł, to mu matka ugotowała. Tutaj wszystko się zgadza – cebula, sosik, papryczki ostre opalone nad ogniem, świeża pietruszka. Herbatka z kardamonem, baklava słodka jak kenijska małolatka. W Warszawie to tylko w Efezie próbują tak dawać. Niektórzy gadają, że to niezdrowe. Chuja niezdrowe. Wszystko jak trzeba, mięso i warzywa. Chłop, co wymyślił doner, żył sto dwa lata i bez kitu codziennie jadł trzy razy doner, tylko oczywiście nie polski, wiesz, o co chodzi.

Można tu żyć na tym rejonie. Pojebany kraj, ale dla mnie to dobrze. Pojebany oznacza, że musisz mieć orient. Orient oznacza dobre życie, godne i czyste.

Tylko świnię snią na jawie.

Oranienstrasse o tej porze dnia bardzo na spokojnie. Przejedzie czasem jakiś nieumyty kapsel na rowerze, coś beknie, że potrzebuje trzy euro, tak

jak teraz. Co za gnida obrzydliwa, kasztan w zmiętym dresie Pумы, wszędzie piercingi, stopy w laczkach z paznokciami pomalowanymi. Zmęczony jest, bo pewnie cały weekend sikali mu do buzi w piwnicy w Berghainie. A dasz mu te trzy jurki, to zaraz śmignie na tym ostrym kole po vege macha latte do Einstein Coffee.

– Do roboty spierdalaj, łapsie. Umyj pachę. Arbeit machen.

Umar za tym nie przepada, za tym moim gadaniem. Jest oszczędny we wszystkim, nawet w żarciu. Skubie jakiś hummus sobie ewentualnie. Pytam go, czy w domu też tak żre, potężne chłopisko przecież, taki jak on idzie szamać, to zamawia trzy główne, plus deser sobie w uszy wkłada. Wielki jest skurwelin jak Kristof Van Hout, wiesz, o co chodzi, a gdzie z nim pójdziesz, to brzydzi się jedzenia. Albo, nie wiem, boi się, że go otrują.

Umar się krzywi, ale ten naprzeciwno się uśmiecha. Powiedział, że nazywa się Abd Al-Azis. To poważny chłop, choć nie aż tak poważny – kurtkę ma Gucci, łapy na stole trzyma tak, by ciągle fleksować sikor, nie jakieś chuj wie co, basicowy submariner, miałem takiego w dwa tysiące piętnastym, ale wymieniłem się za taką omegę fajną. Przyszedł tu wybadać temat. Poważny to jest chłop, co go tu wysłał. Na bank siedzi na Mitte i ma przyciemniane szyby w biurze, żeby Bóg nie widział, że se pije kawkę w ramadan.

Mówię mu już sam, takim moim niemieckim kulawym, że ogólnie to przejebane mają w tej Bundeslidze, bo Galland też poszedł do Manchesteru grać, co nie.

Azis kręci głową. Zawiesza dłoń nisko nad stołem. Patrzy mi w oczy.

– Lewandowski – mówi.

Drugą zawiesza dużo wyżej. Prawie nad swoim łbem.

– Patrik Schick – mówi.

No wesoły z niego chłopak. Gapi się na mnie i uśmiecha kąśliwie. Pakuję sobie trochę barana do mordy, zwilżam czajem. Mówię mu, że mnie nie wkurwi takim gadaniem, nie ma szans. Schick rzeczywiście kot, poza tym od Lewandowskiego dychę młodszy, więc o czym tu gadać. Poza tym ja jestem odprężony gość. Nie mam nad sobą żadnych złotych cielców. Śmigam tam, gdzie mnie niesie, i tyle. Jestem Kurtka, wiesz, o co chodzi.

Umar kiwa głową na znak, żebyśmy przeszli do rzeczy. Zerkam sobie na ściszoną plazmę w rogu. Dalej napierdalają w ten Azowstal. To jest dopiero akcja, mordó. Tak ich zatkało, że aż przyciszyli całe to jaszczurstwo. Przez chwilę się łudziłem, że im cały ten syf pokaże, do czego to prowadzi

dzielenie ludzi, znakowanie ich czipami. No, ale nikt od tego, kurwa, nie zmańdrzeje. Ludzkość nie odrabia lekcji, mordko, bo świat to nie szkoła.

Farta mają tylko, że się okazało, że ta kurwa z Kremla to zwykły przygłup, a nie żaden diabeł. Widziałeś zresztą, jak na niedźwiedziu jeździł. Nie ma diabłów, mordko. Każdy demon to tak naprawdę retard. Myślisz, że to kawaleria szatana, ale to są zwykłe dziady, co się tak zaczadziły hajsem, tak bardzo chciały mieć większego, że zaczęły wjeżdzać w ludzi na miliony. Myślisz, że Hitler to jakiś diabeł wcielony był? Popatrz dzisiaj, kto go wciąż lubi. Małpy jakieś pierdolone, co nie rozpoznają liter.

Podstawowa lekcja, mordko. Posłuchaj.

Weź swoje największe marzenie i podziel je na pół. To pół ci wystarczy. Najesz się. Drugie pół niech ci wisi na ścianie w ramce. Popatrzysz sobie czasem, rozmarzysz się i tyle. Poza tym skumaj, że nawet jak spełnisz to marzenie, to ono i tak nie wydłuży ci kutasa. Hajs raz jest, a raz go nie ma. Hajs nic ci nie daje. Hajs to hajs. Szmaty to szmaty. Sikory, nawet kurtki, to zawsze szmelc. Fakt, to wszystko dobrze wygląda. Można mieć zajawę, ja mam, ale to tylko zabawki są, lego takie. To ma pokazywać innym typom mój flex, właśnie w takich momentach, jak siedzisz z nimi przy stoliku i dopinasz interes. Pamiętaj: Mike Tyson przepierdolił pięćset baniek dolaru, mordko, na szony i szponty. Nic mu to nie zabrało, nic mu to nie dało. Mógłby przepierdolić miliard i zarobić dwa i byłoby tak samo. Mógłby też mieć ostatnie pięć jawek i kombinować w Żabce, czy kupić dwie małpki i trzy harnasie, czy na odwrót. Ale co by się działo, był, jest i będzie największą bestią kiedykolwiek urodzoną z ludzkiej baby. Wiesz, o co chodzi.

Jakby każdy to skumał, toby nie było tego całego gówna, nie byłoby wojen, mordko.

Bo co to jest wojna?

Wojna to taka wielka dziesiona, nic więcej.

Umara wsysa telewizor. Wypatruje swoich. Boli go zwyczajnie o tych ludzi, to jest dobry człowiek, który powinien tirem jeździć albo na budowie robić, albo uczyć w szkole. Boli go, że jest z przeklętej ziemi. Że tam zawsze musi być jakiś gnój.

W sumie to ja też jestem z przeklętej ziemi.

Skumaliśmy się już tutaj, w Berlinie. Pierwszy rok siedziałem cicho i spokojnie pod Kolonią. Normalnie robiłem na trefnym paszporcie na fabryce. Nawet miałem jakiś klawisz wynajęty, no, ale ile można siedzieć

co wieczór na dartach z Heńkami z Małkini albo pykać z nimi na chacie w *Pro Evo* na plejce czwórce. Ja nie miałem trzech Brajanków do wykarmienia za miedzą, tak jak oni. Rok wytrzymałem, ale potem wziąłem te jurki i zrobiłem rzut na Berlin. Siedziałem cicho, bo się bałem. Minął rok. Przestałem się bać. W Berlinie od razu zrobiło się kolorowo. Wyjmiesz człowieka ze szpontu, ale nie wyjmiesz szpontu z człowieka. Najpierw coś kręciłem z Polakami, potem z Turkami. Potem wjechałem mocniej w kluby i zacząłem ustawiać sobie po swojemu. Mam to szczęście, że ludzie mnie lubią. Tinder zafurczał. Za dnia jeździłem na uberze, coś tam nawet z tego było. Pierwszą dobrą kurtkę kupiłem po trzech miesiącach. Czarna prada, oversized, dobrze siedziała na białym T-shircie. Teraz mam takie trzy.

Nadziałem się na Umara dość szybko. Coś tam czilowałem przy Kottbusser Tor, jarałem sobie petka w ogrodzie. Kawka, zdrapka, emerycki moment. Rozkminiłem go od razu. Jak ktoś ci zabiera klawisz, a potem jeszcze zgarnia z ulicy i robi przekopę, nigdy go nie zapomnisz. Zobaczyłem go i już chciałem biec jak głupek. Byłem pewien, że się na mnie zawzięli, w końcu jako jedyny z ekipy Rafiego uniknąłem tej rzezi na Bakalarskiej. Zrozumiał szybko i podniósł dłonie, że niby luz. A potem podszedł i położył coś przede mną na stole. Dopiero po chwili rozpoznałem moje fanty z tej torby – sikor i ledgera do krypto. Zdziwiłem się, ale jeszcze dziwniej bywa, wiesz, o co chodzi. Pokiwałem głową. Usiedliśmy razem. Wypiliśmy kawę, zjaraliśmy petka. Pochwaliłem jego sikor, fajnego patka miał. Odburknął, że znalezione, a potem wyjął coś z kieszeni i mi pokazał. A ja wszystko od razu skumałem.

Teraz też wyjmuje to z kieszeni, też kładzie na stole, a ten Al-Azis bierze to i ogląda. Samara, w niej tabletki, błyszczące w ciemności, tylko teraz różowe i większe. Wersja 2.0, wiesz, o co chodzi. Rozkminił to ich człowiek w Turcji. Przedłużone uwalnianie fentanylu. Dziesięć godzin odcinki, po jednej wyjebane na amen na wszystko.

Azis kiwa głową, podoba mu się to, ale i tak pewnie zaraz powie jakąś cenę z dupy, schowa sobie to do kiermany i wyjdzie. Nic to, na spokojnie. Łykam jeszcze trochę czaju, składam widelce. Trzeba się jednak trochę poddać z tym szamaniem, bo jedyne, w co wjadę, to szelki z Oktoberfestu.

Umar jeszcze raz odwraca się w stronę telewizora. Chłop zmienia kanał. Już nie ma Ukrainy, jakaś Eurowizja, chłop ubrany w cekiny żongluje pochodniami.

Umar opowiadał potem, że ukrećili się w ostatnim momencie. To znaczy, od początku widział, co się dzieje. Gdy wyłączyliśmy Ducha, to u nich była już równia pochyła. Było widać, że gangus ze zwyrodnialcem mają zero kontaktu z bazą. Duch wszystko trzymał. Dla Umara koniec był wtedy, gdy zwyrodnialec zatłukł tę dziewczynkę, córkę ministra. Podobno dalej żyje, i to normalnie, nie pod maszyną, tylko jest trochę dziwna. W każdym razie Umar skrzyknął paru rozumniejszych. Chcieli ukrećić się z rana i jechać do Ankary, ale tej nocy wjechały psy. Rozpętało się piekło. Psów zawsze jest więcej, poza tym strzelać do policjanta w kraju, w którym panuje pokój, to zupełnie inna sprawa niż walić do żołdata. A psy się nie pierdoliły w tańcu, po prostu strzelały każdemu w łeb. Kto przeżył, dostawał ekstradycję do Rosji. Umar i reszta wbili się do fury na rympał, bez hajsu, bez niczego. Przejechali przez tych psów. Pół na pół było, że im odpuszczą. Odpuścili, bo snajperzy byli jeszcze na dachu. Całą drogę modlone do Allacha było. Allah zesłał im jakiegoś tirowca, co gotówkę trzymał w samarce pod głową. Dostał chłop w łeb, optymalnie, obudził się potem. Starczyło na wachę do Pireusu i prom do Turcji.

Oczywiście nikt w tej Rosji nie poszedł siedzieć. Wszyscy poszli się strzelać, do tych grup Wagnera i tak dalej. Umar dalej patrzy w telewizor. Dalej ich wypatruje, jak głupi, dopóki kelner nie wyłączy.

Zaczynają znowu gadać, po niemiecku. Teraz już wszystko rozumiem, co mówi, przebiłem się przez ten jego akcent. Umar tłumaczy mu, dlaczego to takie zajebiste. Pstrykam na tego kelnera. Taki dziadek biały pan doner z wąsami. Mówię mu: daj jeszcze coś, może zawijanego w cienkim. Dziwny mam dzisiaj dzień. Bez kitu, nie mogę się najeść.

– My nie lubimy *opioids*. Fakt, masz stałych klientów, ale mało, bo ciągle umierają. I nie są wierni, raz coś się stanie, to biorą od kogoś innego. Tu wszyscy ćpają. Poza tym to jest Berlin, panowie. Ludzie są wybredni. Widzieli już wszystko. Te zielone, które były w pandemii, przez chwilę szły ciekawie, ale się znudziły. Wszystko się nudzi.

Umar patrzy na mnie. Mrugam do niego. Kelner przynosi kanapkę, wgryzam się w nią. Dzisiaj musi wjechać mocne cardio, bo się tego nie pozbędę, nie ma opcji.

– Nam nie chodzi o to, aby sprzedawać to tutaj – mówi Umar.

Azis nie klei. Patrzy na Umara z zapytaniem, po co zawracamy mu dupę, skoro on odpowiada za tutaj. Umar to wszystko rozumie, to bystry kot, wiesz, o co chodzi.

Umar tłumaczy: my mamy wszystko przemyślane, potrzebujemy tylko odważnego inwestora. Zobacz, mówi. Rysuje przy tym palcem na blacie, jakby był tam schemat tego, co mu właśnie przewija. Al-Azis słucha w milczeniu, zerka czasem na ten jego palec. Umar tłumaczy mu cały pomysł. Trzeba robić to w Chinach i puszczać w Rosji. Na darkwebie są całe linie fabryczne do wynajęcia. Przerzuty tylko przedpłacone, wiadomo, jak to jest z Ruskimi. A oni pokochają to gówno. Ludzie boją się wszędzie, ale pomyśl, jak ci Ruscy teraz się boją. To oni są zamknięci. To oni zaraz nie będą mieli, mordko, komputerów, telefonów, same chińskie fury. To im wszystko wyłączyli. To oni nie mogą głośniej smarknąć, bo im zaraz Specnaz na chatę wjedzie. Pyta go, czy czytał o krokodilu. Co ci Ruscy są w stanie ćpać, żeby przestać się tak bać. Azis odpowiada: fajnie, ciekawy pomysł, ale Chińczycy to podrobiją. Niech podrabiają, odpowiada mu Umar. Niech robią nawet drugie tyle, co my robiliśmy. Dwa razy tyle. Chuj w to. W dwa lata zasypie nas szmałem, nas i każdego, kto w to wejdzie. Za tydzień lecimy do Shenzhen, a stamtąd w głąb kraju, do Gansu. Mamy tam fabryczkę taką, wstępne spotkanie umówione. Covida tam robili, rzucam dla śmiechu, ale z tego Azis akurat się nie śmieje.

Azis się pyta o kwotę, a Umar mu odpowiada. Azis na to, że jutro o trzynastej w Mitte, tym razem z poważnym chłopem. No pewnie, że tak, wiadomo że ty jesteś tylko zaganiacz. Podajemy sobie wity. Azis wychodzi. Umar zostaje. Jeszcze po baklaviu. I herbatka na sprzęgło.

Pytam go, czy myśli, że będzie git.

Teraz jest dobrze, odpowiada, a co będzie jutro, to strata czasu myśleć. Ma rację.

W końcu się nażarłem. Nie mogę już więcej. Bekam, a Umar patrzy na mnie jak na wstrętą świnię. Trudno, nie zmienię się w kogoś innego niż ja sam, wiesz, o co chodzi.

Czas się zawijać. Rzucam sto jurków na blat, dociążam popielniczką, wkładam kurtkę. Dzisiaj wrzuciłem taką Burberry, lekką. Kieszenie ma na dobrej wysokości. Wygodnie się chodzi.

Moje marzenia są przecięte na pół już od dawna. Martwe okno w mieszkaniu na Ochocie – najostrzejszy nóż na świecie. Zadzwoiłem do nich jakiś czas temu. Odebrała jej matka. Niewiele mówiła, ale przynajmniej posłuchała. Powiedziałem jej krótko: zrobiłbym wszystko, żeby było inaczej. Ale że im dziękuję, wiesz, o co chodzi. Gdyby nie oni, nigdy bym jej nie poznał. A tak ją mam na zawsze w środku. W takim

małym miejscu w sercu, wiesz, o co chodzi. Siedzi tam jak perła. Nikt jej stamtąd nie wyjmie, nie ma takiej opcji. Nie ma chuja.

Umar też się zawija. Coś tam ma do roboty, poznał dziewczuchę. Muzułmankę taką, w chuście śmiga, ale buzi nie zasłania. Grzeczna, oczy ma ładne. No i dobrze. On jest dobry. Niech ma coś dobrego. Umówił się z nią, że pójdą sobie do zoo, bo jest pogoda.

Ja też kiedyś pójde sobie z kimś do zoo, może.

Czasy są dziwne. Przyszło groźne i inne, no stało się, mordko.

Świry hukają coraz głośniej. Babilon pręży się jak pojebany. Te komputery, co robią ten matrix, to kable im się palą z przeciążenia. Jest wojna, ale ty właściwej wojny to jeszcze nie widzisz, mordko. Ona się dopiero wykluwa.

To dopiero początek, więc nie ma co się mazać.

Trzeba jeść i żyć, i tyle.

Dbać o tych, którzy nam zaufali.

Reszta to hałas.

Wiesz, o co chodzi.

Warszawa, 2022–2023

PODZIĘKOWANIA

Bardzo dziękuję otaczającym mnie wspaniałym kobietom. Tym najważniejszym – Adrianie i Olenie. Joannie Mice, najlepszej redaktorce w Polsce i nie tylko, która brnąc przez nadesłaną przeze mnie czarną dziurę chaotycznych liter, dogrzebała się do powieści. Mojej agentce Monice Regulskiej, wydawczyni Joannie Laprus. Izie Łopuch, producentce *Ślepnąc od świateł*, *Warszawianki* i wielu projektów, które jeszcze razem zrobimy – cały ten świat, ci bohaterowie i fenomen *Ślepnąc...* nie zaistniałyby, gdyby nie Ty.

Dziękuję Krzyśkowi Skoniecznemu, który oddał tym bohaterom i tej historii tyle z siebie. Nasz sukces to Twój talent, upór i wizja.

Dziękuję Przemkowi Corso, który odłożył na bok wiele swoich spraw, aby pomóc tej książce.

Wszystkie osoby, które poświęciły swój cenny czas, by odpowiedzieć na pytania związane z pisaniem *Dawno temu w Warszawie* i poruszonymi w powieści kwestiami, zasługują na moją dozgonną wdzięczność. Są to Tycjana, Frosti, Yanek, Kaz Bałagane, Mikołaj, Andrzej, Krzysztof, Mewa i parę innych.

Dziękuję wszystkim odbiorcom moich historii, tych na papierze i tych na ekranie.

Przypisy

1. *Odkryjemy miłość nieznaną*, tekst: Wojciech Młynarski, muzyka: Włodzimierz Korcz, wykonanie oryginalne: Alicja Majewska. [\[wróć\]](#)
2. *Nie rozumiem. Chcesz dać mi prezent?* (hiszp.). [\[wróć\]](#)
3. *Nie wiem, kto to jest, nigdy go nie widziałem* (hiszp.). [\[wróć\]](#)
4. *Po co ci to?* (hiszp.). [\[wróć\]](#)
5. *Przyjechałem zobaczyć koniec świata* (hiszp.). [\[wróć\]](#)
6. *Proszę, zostaw mnie w spokoju* (hiszp.). [\[wróć\]](#)
7. *Paco, zjedz skurwysyna, Paco* (hiszp.). [\[wróć\]](#)
8. Patrz przypis na s. 14. [\[wróć\]](#)
9. *Podróż w krainę baśni*, tekst: Krzysztof Gradowski, muzyka: Andrzej Korzyński, wykonanie oryginalne: Małgorzata Ostrowska. [\[wróć\]](#)
10. *W domach z betonu nie ma wolnej miłości*, tekst: Andrzej Jakubowicz, muzyka: Martyna Jakubowicz, wykonanie oryginalne: Martyna Jakubowicz. [\[wróć\]](#)
11. *Jeziro szczęścia*, tekst: Beata Kozidrak, muzyka: Dariusz Adamczyk, wykonanie oryginalne: BAJM. [\[wróć\]](#)
12. *Selawi*, tekst, muzyka i wykonanie: zespół Darek & Jacek. [\[wróć\]](#)
13. *Stan pogody*, tekst: Jacek Cygan, muzyka: Krzesimir Dębski, wykonanie oryginalne: Anna Jurkiewicz. [\[wróć\]](#)
14. *Ja to się cieszę byle czym*, tekst: Błażej Perkun, muzyka: Andrzej Dąbrowski, Jerzy Milian, wykonanie oryginalne: Wojciech Skowroński. [\[wróć\]](#)
15. *Jesteś piękna, jak fala* (hiszp.). [\[wróć\]](#)
16. *Nie lubię żonatych mężczyzn*, tekst: Maria Czubaszek, muzyka: Ryszard Poznakowski, wykonanie oryginalne: Renata Kretówna. [\[wróć\]](#)
17. *Malinowy król*, tekst: Marek Dutkiewicz, muzyka: Romuald Lipko, wykonanie oryginalne: Urszula. [\[wróć\]](#)